

Powieść kryminalna z bestsellerowej serii C.J. Sansoma osadzona w Anglii w I połowie XVI wieku u schyłku rządów Henryka VIII. Jej bohaterem i jednocześnie narratorem jest prawnik (i detektyw) Matthew Shardlake. Książka utrzymana w klimacie twórczości Uberta Eco.

Jesień 1541 roku. Po rozwiązaniu klasztorów, przejęciu ich majątków przez Koronę oraz krwawym stłumieniu rebelii na konserwatywnej północy Anglii narasta niechęć wobec rządów Tudorów. Ujawnienie kolejnego spisku wywołuje panikę na dworze i natychmiastową reakcję władcy. W towarzystwie piątej żony Katarzyny Howard oraz armii liczącej ponad tysiąc żołnierzy Henryk VIII wyrusza do miasta York, by ugruntować swą władzę w zbuntowanej części kraju. Do Yorku przybywa też Matthew Shardlake z asystentem. Oficjalnie powodem jego podróży są skargi kierowane przez obywateli do króla. W rzeczywistości prawnik otrzymał ważne zadanie od arcybiskupa Cranmera - ma zadbać o bezpieczne dostarczenie do londyńskiego Tower groźnego więźnia, jednego z przywódców spisku, sir Edwarda Brodericka. Tam zostanie on przesłuchany z użyciem tortur. Wkrótce potem w Yorku ma miejsce morderstwo - ginie szklarz pracujący przy rozbiórce kościelnych witraży. Umierający mężczyzna wypowiada zagadkowe słowa: Żadne dziecko Henryka i Katarzyny Howard nie może być ich prawowitym dziedzicem! Z rozkazu Tajnej Rady Królewskiej prawnik rozpoczyna dochodzenie. W domu zabitego odnajduje skrzynkę z dokumentami niezwyklej wagi - mogą one podważyć prawo Tudorów do tronu. Niestety, dokumenty zostają skradzione; dochodzi też do kilku zamachów na życie Shardlake'a. Okrutna śmierć grozi mu nie tylko ze strony spiskowców, pragnących udowodnić, że Henryk VIII nie jest prawowitym władcą. Jeśli zbyt gorliwie poprowadzi śledztwo i ujawni szczegóły mrocznej intrygi, zginie z ręki kata...

Tego autora

ZIMA W MADRYCIE

Matthew Shardlake

KOMISARZ ALCHEMIK REBELIA KSIĘGA OBJAWIENIA INWAZJA

C.J. SANSOM

REBELIA

Z angielskiego przełożył ZBIGNIEW KOŚCIUK

Tytuł oryginału: SOVEREIGN

Dla P.D. James

Rozdział pierwszy

Pod drzewami panowała ciemność, przez półnogie konary przenikały jedynie słabe promienie księżyca. Ziemię zaścielała gruba warstwa liści, która powodowała, że końskie kopyta wydawały ledwie słyszalny dźwięk, trudno więc było stwierdzić, czy nie zboczyliśmy z drogi. Podłej drogi, jak ją określił Barak, nie przestając narzekać na barbarzyńską krainę, do której go przywiódłem. Nie odpowiedziałem na jego skargi, byłem bowiem wielce utrudzony, a mój chory grzbiet i nogi w ciężkich butach do jazdy były sztywnie niczym deska. Martwiła mnie też osobliwa misja, która nas czekała. Wypuściwszy na chwilę lejce, namacałem spoczywającą w kieszeni pieczęć arcybiskupa. Ująłem ją w palce niczym talizman, wspominając obietnicę Cranmera: „Niebezpieczeństwo minęło, nic wam nie grozi”.

Pozostawiłem też za sobą inne zmartwienia, sześć dni wcześniej pochowałem ojca w Lichfield. Razem z Barakiem od pięciu dni z mozołem podążaliśmy na północ lichymi drogami zniszczonymi podczas deszczowego lata roku tysiąc pięćset czterdziestego pierwszego. Znaleźliśmy się w dzikiej krainie z wioskami o starych, długich chałupach przypominających norę, krytych strzechami i darnią, w których ludzie mieszkali wspólnie z bydłem. Tego popołudnia we Flaxby zboczyliśmy z traktu Great North. Barak chciał zanoć w gospodzie, lecz nalegałem, abyśmy kontynuowali podróż, nawet gdyby miało nam to zająć całą noc. Przypomniałem mu, że jesteśmy spóźnieni,

jako że jutro dwunasty września, i że powinniśmy znaleźć się na miejscu kilka dni przed przybyciem króla.

Niebawem trakt zamienił się w bagniste bajoro, gdy więc zapadła noc, skręciliśmy na suchszą drogę wiodącą na północ przez zalesione obszary, jałowe pola i pozółkłe rżyska, na których świnie ryły w poszukiwaniu pokarmu.

Zalesione tereny przeszły w knieję i od kilku godzin jechaliśmy w gęstwinie. W ciemności zboczyliśmy z głównego szlaku, którego w ciemności sam diabeł nie zdołałby wypatrzeć. Wokół panowała całkowita cisza przerywana jedynie szelestem liści i traskiem zarośli, przez które uciekał dzik lub żbik. Konie obciążone torbami z odzieżą i innymi niezbędnymi sprzętami były wyczerpane podobnie jak my. Czułem, że Genesis jest zmęczony, a Sukey, zwykle pełna energii klacz Baraka, bez sprzeciwu dostosowała się do tempa mojego wierzchowca.

— Zabłądziliśmy — mruknął Barak.

— W gospodzie powiedzieli, żebyśmy podążali na południe głównym traktem przez las. Tak czy owak, wkrótce nadejdzie świt — odrzekłem. — Wówczas zorientujemy się, gdzie jesteśmy.

— Mam wrażenie, że dotarliśmy do Szkocji — odburknął znużonym głosem Barak. — Nie byłbym zaskoczony, gdyby porwano nas dla okupu. — Nie odpowiedziałem zmęczony jego narzekaniem, toteż jechaliśmy dalej w milczeniu.

Powróciłem myślami do pogrzebu ojca, który odbył się tydzień temu. Ponownie ujrzałem małą garstkę ludzi zgromadzonych wokół grobu i trumnę opuszczaną do dołu. Kuzynka Bess znalazła ojca martwego w łóżu, kiedy przyniosła mu jadło.

— Nie wiedziałem, że jest tak poważnie chory — rzekłem jej, gdy wracaliśmy do domu po uroczystości. — Zaopiekowałbym się nim.

Pokręciła głową ze znużeniem.

— Byłeś daleko, w Londynie. Nie widzieliśmy cię od ponad roku. — Spojrzała na mnie z wyrzutem.

— Miałem trudności, Bess. Mimo to przyjechałbym.

Westchnęła.

— Załamał się, gdy stary William Poer odszedł zeszłej jesieni. Przez ostatnie lata trudziłem się, by gospodarstwo przyniosło zysk. Kiedy William odszedł, twój ojciec się poddał. — Przerwała na chwilę. — Rzekłam mu, że powinien się z tobą skontaktować, lecz tego nie uczynił. Bóg wystawił nas na ciężkie próby. W ubiegłym roku susza, w tym ciągłe deszcze. Chyba wstydził się tego, iż popadł w trudności. Później zabrała go gorączka.

Skinąłem głową. Byłem zaszokowany, gdy dowiedziałem się, że gospodarstwo, na którym się wychowałem i które obecnie stało się moją własnością, jest poważnie zadłużone. Ojciec dobiegał siedemdziesiątki, a jego sługa William był niewiele młodszy od niego. Nie mieli dość siły, aby zajmować się ziemią jak należy, a ostatnie zbiory były mizerne. Aby móc dalej prowadzić gospodarstwo, ojciec musiał obciążyć hipotekę, biorąc pożyczkę u dużego posiadacza ziemskiego z Lichfield. Dowiedziałem się o tym zaraz po śmierci ojca, gdy ów człowiek powiadomił mnie o długu, dając do zrozumienia, iż wątpi, czy wartość gospodarstwa w całości pokryje należność. Podobnie jak wielii ówczesnych właścicieli ziemskich zabiegał o powiększenie pastwisk dla owiec, a udzielanie pożyczek na wysoki procent leciwym gospodarzom było jedną z metod realizacji tego celu.

— Pan Henry to pijawka — odrzekłem z goryczą.

— Co masz zamiar uczynić? Dopuścisz do ogłoszenia niewypłacalności?

— Nie — zaprzeczyłem. — Nie zhańbię imienia ojca. Spłacę dług. Bóg wie, że jestem mu to winien.

— Słusznie.

Wstrzymałem konia, słysząc za plecami pełne sprzeciwu rżenie. Barak ściągnął wodze Sukey, zmuszając ją, by stanęła. Zatrzymałem konia i odwróciłem się w siodle. Zarys postaci Baraka wśród drzew stał się nieco wyraźniejszy. Nadchodził świt.

— Spójrz tam! — powiedział, wskazując przed siebie.

W kierunku, który pokazywał, drzewa się przerzedzały. W oddali dostrzegłem czerwone światełko nisko na niebie.

— To lampa, której kazali nam wypatrywać — oznajmiłem triumfalnie. — Zapalają ją na wieży kościoła, aby wskazywała drogę podróżnym. Jesteśmy w lesie Galtres, tak jak mówiłem!

Wyjechaliśmy spomiędzy drzew. Kiedy niebo poczęło się rozjaśniać, od strony rzeki powiał zimny wiatr. Owinęliśmy się szczelniej pelerynami i ruszyliśmy w dół, w kierunku Yorku.

Główny trakt wiodący do miasta był pełen jucznych koni i fur obładowanych wszelkiego rodzaju żywnością. Sunęły nim też ogromne wozy drwali z niebezpiecznie chybotającymi kłodami drewna. W oddali majaczyły mury Yorku poczerniałe od dymu minionych wieków. Nad nimi górowały wieże niezliczonych kościołów, a nad tym wszystkim wznosiły się dumnie bliźniacze wieże Minsteru.

— Taki tu tłok, jak na Cheapside w dzień targu — zauważyłem.

— Wiozą te dobra dla okazałej królewskiej świty.

Jechaliśmy powoli w ciżbie tak gęstej, iż rzadko udawało się

nam poruszać w tempie szybszym od kroku pieszego. Spojrzałem z ukosa na mojego towarzysza. Uplłynął ponad rok od czasu, gdy zatrudniłem Jacka Baraka w swojej kancelarii po ścięciu jego dawnego pana. Ten niegdysiejszy londyński ulicznik trafił na służbę do Thomasa Cromwella, wykonując dlań podejrzaną robotę. Chociaż był inteligentny, a także potrafił czytać i pisać, wszystko wskazywało na to, że nie jest właściwym kandydatem. Mimo to nie żałowałem podjętej decyzji. Barak bez trudu przystosował się do nowej pracy i wytrwale studiował prawo. Nikt lepiej od niego nie potrafił skłonić świadka do trzymania się sedna sprawy w pisemnym oświadczeniu lub rozwikłać zagmatwanej historii, a jego cyniczny, niezależny pogląd na nasz system prawny stanowił odpowiednią przeciwwagę dla mojego entuzjazmu. Po ostatniej przygodzie z ogniem greckim zaprzyjaźniliśmy się, prosiłem też, by zwracał się do mnie po imieniu.

W ostatnich miesiącach często jednak sprawiał wrażenie przygnębitego, czasem też zapominał o należnym sobie miejscu, przybierając prostacką i szyderczą pozę typową dla okresu, w którym go poznałem. Lękałem się, że praca w kancelarii zaczęła go nużyć, dlatego miałem nadzieję, iż wyprawa do Yorku poprawi mu nastrój. Niestety, jak na londyńczyka przystało, był uprzedzony do północy i jej mieszkańców, co powodowało, że przez całą drogę skarżył się i narzekał.

Wzdłuż traktu zaczęły pojawiać się domy, a później po prawej wyrósł stary, wysoki mur zwieńczony blankami, nad którym zamajaczyła ogromna wieża. Mur patrolowali wartownicy w stalowych hełmach i białych bluzach z czerwonym krzyżem, znakiem królewskich łuczników. Zamiast łuków i strzał mieli miecze i budzące trwogę piki. Niektórzy nawet długie rusznice. Zza muru dobiegał przeraźliwy huk i odgłosy kucia."

— To pewnie dawne opactwo Świętej Marii, w którym się zatrzymamy — rzekłem. — Wygląda na to, że praca idzie pełną parą. Chcą przygotować wszystko na przyjazd króla.

— Zajdziemy tam, aby zostawić bagaże?

— Nie, pierwszej spotkamy się z Wrenne'em, a następnie pojedziemy do zamku.

— Aby pomówić z więźniem? — zapytał cicho Barak.

— Tak.

Barak podniósł głowę, spoglądając na mury.

— Opactwo Świętej Marii jest dobrze strzeżone.

— Król nie jest pewny, czy zostanie dobrze przyjęty po tym, co tu się wydarzyło.

Chociaż wyrzekłem te słowa przyciszonym głosem, człowiek prowadzący przed nami jucznego konia obładowanego ziarnem odwrócił się, rzucając nam ostre spojrzenie. Kiedy Barak uniósł brwi, odwrócił wzrok. Ciekawym, czy był jednym z informatorów Rady Północy. Pewnie mieli teraz w Yorku huk roboty.

— Może powinieneś przywdziać swoją prawniczą szatę — zasugerował Barak, wskazując głową przed siebie. Wozy i handlarze wchodzili na teren opactwa przez dużą furtę w murach. Tuż za nią mur zbiegał się pod kątem prostym z murami miasta. W pobliżu stała wartownia z herbem Yorku — pięcioma białymi lwami na czerwonym polu. Zauważyłem tam więcej straży — wartowników w stalowych hełmach z napierśnikami i pikami. Za murem na tle szarego nieba wznosiły się ogromne wieże Minsteru.

— Zbyt jestem zmęczony, aby wyciągać ją z torby. — Poklepałem się po kieszeni kurtki. — Mam pełnomocnictwa od szambelana. — Wiozłem też pieczęć Cranmera, lecz mogłem

ją pokazać tylko jednej osobie. Spojrzałem przed siebie i przeszedł mnie dreszcz, chociaż ostrzeżono mnie przed tym widokiem. Na wysokich tyczkach tkwiły cztery odrąbane głowy. Spalone i poczerwiałe od słońca, częściowo rozdziobane przez wrony. Wiedziałem, że wiosną aresztowano i stracono w Yorku dwunastu spiskowców, a ich głowy i poćwiartowane ciała ku przestrodze zatknięto na palach we wszystkich bramach miasta.

Przystanęliśmy na końcu małej kolejki, a konie zwiesiły łby ze znużenia. Wartownicy zatrzymali lichy odzianego człowieka, wypytując go ostro o powód przyjazdu do miasta.

— Mogliby się pośpieszyć — szepnął Barak. — Umieram z głodu.

— Wiem. Daj spokój, jesteśmy następni.

Jeden ze strażników chwycił wodze Genesis, a drugi zapytał, jaki interes sprowadza mnie do Yorku. Przemawiał z południowym akcentem, a jego twarz była surowa i poznaczona zmarszczkami. Pokazałem mu glejt.

— Królewski prawnik? — zapytał.

— Tak. To mój asystent. Przybyliśmy, aby pomóc w rozpatrywaniu petycji adresowanych do Jego Królewskiej Wysokości.

— Miejscowi potrzebują twardej ręki — odparł wartownik, a następnie zwinął list i dał znak, abyśmy ruszali. Przejeżdżając pod barbakanem, wzdygnąłem się na widok wielkiego kawałka mięsa przybitego do bramy, wokół którego unosiła się chmara much.

— Poćwiartowane ciała buntowników — zauważył Barak z grymasem na twarzy.

— Tak.

Pokiwałem głową na myśl o nieodgadnionych kolejach losu. Gdyby nie spisek wykryty ostatniej wiosny, nie byłoby mnie tu, a król nie wyruszyłby w podróż na północ, największy i najbardziej okazały objazd w dziejach Anglii. We wnętrzu barbakanu rozległ się stukot końskich kopyt, a chwilę później wjechaliśmy do miasta.

Tuż za bramą biegła wąska uliczka, przy której stały trzy piętrowe domy z wystającymi na zewnątrz dachami. Przed nimi ciągnął się rząd straganów. Kupcy przycupnęli na klocach drewna,

gromko zachwalając swój towar. Uderzył mnie ubogi wygląd Yorku. Niektóre z domostw wymagały pilnej naprawy. W miejscu, gdzie odpadł tynk, widniały poczerńiałe belki. Uliczki niewiele się różniły od błotnistej drogi. Gęsta ciżba powodowała, że posuwaliśmy się z trudem, wiedziałem jednak, iż Wrenne, podobnie jak wszyscy czołowi prawnicy, mieszka w zaułku Minster Close, który łatwo odnaleźć, albowiem gmach Minsteru górował nad miastem.

— Jestem głodny — oznajmił Barak. — Zjedzmy śniadanie.

Przed nami ukazała się kolejna wysoka zaporę. Pomyślałem,

że York to miasto murów. W oddali majaczył zarys Minsteru, przed nami zaś rozciągał się duży plac wypełniony straganami osłoniętymi jaskrawymi markizami łopoczącymi w powiewach chłodnego, wilgotnego wietrzyku. Gospodynie w ciężkich spódnicach wyklócały się ze straganiarzami, rzemieślnicy w jasnych barwach swego cechu pogardliwie spoglądali na wyłożone towary, a obdarta dziatwa i psy myszkowali w poszukiwaniu resztek. Strażnik w liberii z herbem miasta stał nieopodal, obserwując tłuszcę.

Grupka wysokich, jasnowłosych mężczyzn z psami wiodła na skraj targowiska stadko osobliwych owiec o czarnych łbach. Spojrzałem z zaciekawieniem na ogorzałe twarze mężczyzn i ciężkie wełniane kurtki. Musieli to być legendarni mieszkańcy północnych hrabstw stanowiący trzon rebelii, która wybuchła tutaj pięć lat temu. Minąłem również duchownych w czarnych habitach i kapelanów w brązowych kapturach na głowie, jak wchodzili i wychodzili przez furtę prowadzącą do Minsteru.

Barak podjechał do straganu z jadłem, pochylił się i z końskiego grzbietu zapytał, ile kosztują dwa pierogi z baraniną. Kupiec spojrzał pytająco, nie rozumiejąc jego londyńskiego akcentu.

— Przybyliście z południa? — burknął.

— Tak, zgłodnieliśmy. Ile chcecie... za dwa... pierogi? — Barak mówił głośno i powoli, jakby rozmawiał z idiotą.

Straganiarz rzucił mu gniewne spojrzenie.

- Moja to wina, że gdaczenie jak kaczką? — zapytał.
- A wy cedzicie słowa, jakby kto przesuwiał nożem po patelni.

Dwaj rośli mężowie z północnych dolin, którzy przechodzili między straganami, przystanęli i spojrzeli w naszą stronę.

- Czy ten pies z południa cię niepokoi? — zapytał kupca jeden z nich. Drugi ujął wielkim stwardniałym łapskiem wodze Sukey.
- Puszczaj, chamie — rzekł groźnie Barak.

Ze zdumieniem dostrzegłem wściekłość malującą się na twarzy tamtego.

- Chojrak z południa. Myśli, że skoro do miasta przyjedzie tłusty Henryk, może nas znieważać do woli.
- Pocałuj mnie w dupę — odparł Barak, uważnie obserwując tamtego.

Gdy nieznajomy sięgnął po miecz, dłoń Baraka też powędrowała w kierunku pochwy.

- Wybaczcie, panie — rzekłem spokojnie, choć serce waliło mi gwałtownie. — Mój człowiek nie chciał wyrządzić krzywdy kupcykowi... jechaliśmy całą noc...

Tamten spojrzał na mnie z odrazą.

- Pan garbus? Przyjechałeś, aby pozbawić nas reszty pieniędzy? — Począł wyciągać miecz, lecz zamarł, czując na piersi ostrze piki. Podbiegło do nas dwóch strażników miejskich, wyczuwając nadciągające kłopoty.
- Ręce precz od mieczy! — krzyknął jeden, mierząc piką w serce tamtego. Drugi skierował pikę w stronę Baraka. Wokół nas zebrał się tłum ciekawskich.
- O co poszło? — spytał gniewnie strażnik
- Ten z południa obraził straganiarza! — zawołał ktoś z cizby.

Strażnik skinął głową. Był korpulentnym mężczyzną w średnim wieku o przenikliwych oczach.

- Ci z południa są pozbawieni ogłady — zauważył głośno. — Powinieneś być się tego spodziewać, straganiarzu. — W tłumie rozległy się śmiechy, któryś z gapiów zaklaskał.
- Chcieliśmy jedynie kupić dwa pierogi — rzekł Barak.

Strażnik skinął głową handlarzowi.

- Podaj mu dwa.

Straganiarz wręczył Barakowi dwa baranie pierogi.

— Ile?

Handlarz uniósł wzrok ku niebu.* — Jedną sześciopensówkę.

— Za dwa pierogi? — spytał z niedowierzaniem Barak.

— Zapłać mu — prychnął strażnik. Widząc, że Barak się waha, wcisnąłem mu pośpiesznie dwie monety. Straganiarz sprawdził je ostentacyjnie zębami, a następnie wsunął do sakwy. Strażnik nachylił się ku mnie i szepnął:

— A teraz zmiatajcie stąd, panie. I rzeknijcie swojemu człowiekowi, aby baczył, jak się zachowuje. Chyba nie chcecie wywoływać burd przed wizytą króla? — Uniósł brwi, obserwując, jak odjeżdżamy w stronę furty Minsteru. Zsiedliśmy sztywno przy ławie opartej o mur, przywiązaliśmy konie i usiedliśmy.

— Ależ mnie bolą nogi — rzekł Barak.

— Mnie też. — Miałem wrażenie, że nie należą do mnie, a plecy dokuczały mi okrutnie.

Barak ugryzł pieróg.

— Dobry — powiedział z lekka zaskoczony.

— Musisz baczyć na słowa — rzekłem cicho. — Wiesz, że nas tu nie lubią.

— Odwzajemniam to uczucie. Głupcy. — Rzucił gniewne spojrzenie w kierunku straganiarza.

— Posłuchaj — kontynuowałem przyciszonym głosem. — Starają się zachować spokój. Jeśli będziesz traktował ludzi tak jak owego straganiarza, nie tylko skończymy z mieczem w brzuchu, lecz zakłócimy królewską podróż. Naprawdę tego pragniesz?

Nie odpowiedział, lecz zmarszczył brwi, wpatrując się w swoje stopy.

— Co się z tobą dzieje? — zapytałem. — Od kilku tygodni jesteś dziwnie rozdrażniony. Kiedyś potrafiłeś utrzymać język na wodzy. Miesiąc temu narobiłeś mi kłopotów, podczas rozprawy nazywając sędziego Jacksona starą gąsienicą o czerwonych oczach.

Spojrzał na mnie z tym swoim szelmowskim uśmiechem.

— Wiesz, że to prawda.

Nie zdołałem stłumić śmiechu.

— O co chodzi, Jack?

Wzruszył ramionami.

— O nic. Nie podoba mi się tutaj, nie lubię przebywać wśród tępych prostaków. — Spojrzał mi prosto w oczy. — Przepraszam za kłopot. Będę się lepiej pilnował.

Wiedząc, że trudno mu wykrztusić słowo „przepraszam”, skinąłem potakująco głową. Mimo to byłem pewny, że jego nastrój nie był wywołany jedynie niechęcią do północy. Spojrzałem w zamyśleniu na swój pieróg. Barak przypatrywał się targowisku badawczym wzrokiem.

— Interesy kiepsko idą — zauważył.

— Handel od wielu lat utyka. Likwidacja klasztorów jedynie pogorszyła sytuację. W tej części kraju było wiele majątków zakonnych. Jeszcze trzy lub cztery lata temu wielu kupujących nosiłoby duchowne lub zakonne szaty.

— Teraz to już przeszłość. — Barak dokończył pierożek i otarł usta dłonią.

Wstałem na sztywnych nogach.

— Poszukajmy Wrenne'a i odbierzmy nasze rozkazy.

— Sądzisz, że ujrzymy króla, gdy przybędzie do miasta? — zapytał Barak. — Z bliska?

— To możliwe.

Wydął policzki. Z radością stwierdziłem, że nie tylko ja czułem się onieśmielony tą perspektywą.

— W jego orszaku będzie dawny wróg, którego lepiej unikać — dodałem.

Odwrócił się gwałtownie.

— Kto? — Sir Richard Rich. Przybędzie wraz z królem i członkami Tajnej Rady Królewskiej. Cranmer mi o tym powiedział. Jak rzekłem, bacz, co czynisz. Nie ściągaj na nas uwagi. Jeśli to możliwe, powinniśmy trzymać się z boku.

Odwiązaliśmy konie i doprowadziliśmy je pod bramę, gdzie kolejny wartownik skierował pikę w naszą pierś. Ponownie wyciągnąłem list z pełnomocnictwem i zostaliśmy wpuszczeni do środka. Przed nami stanął ogromny gmach Minsteru.

Rozdział drugi

— Jest olbrzymi. — Barak westchnął.

Znaleźliśmy się na szerokim kamiennym dziedzińcu, wokół którego stały domy o zaokrąglonych rogach, ocienione przez bryłę Minsteru.

— To największy gmach na północy kraju. Wielkością nie ustępuje katedrze Świętego Pawła.
— Spojrzałem na ogromne wrota pod misternie zdobionym łukiem, w pobliżu rozmawiali ludzie prowadzący interesy. Poniżej, na stopniach schodów, przysiedli żebracy z miseczkami na jałmużnę. Czułem pokusę, aby zajrzeć do środka, lecz odwróciłem się, jako że powinniśmy byli zameldować się u Wrenne'a wczorajszego dnia. Przypomniałem sobie otrzymane wskazówki i zwróciłem kroki ku domowi z królewskim herbem nad drzwiami. — Tam — rzekłem. Powiedliśmy konie przez podwórzec, uważając, aby nie poślizgnąć się na liściach, które opadły z drzew rosnących wokół zaułka.

— Wiesz, jakim człowiekiem jest ów Wrenne? — spytał Barak. ✓

— Wiem jedynie, że to znany obrońca z Yorku, który często pracował dla Korony. Sądzę, że to mąż posunięty w latach.

— Miejmy nadzieję, że nie trafimy na drżącego staruszka niezdolnego do żadnej pracy.

— Zapewne to człek kompetentny, skoro rozpatruje petycje kierowane do króla. Musi się też cieszyć zaufaniem naszego władcy.

Wprowadziliśmy konie w uliczkę, przy której stały ciasno

Rozdział drugi

— Jest olbrzymi. — Barak westchnął.

Znaleźliśmy się na szerokim kamiennym dziedzińcu, wokół którego stały domy o zaokrąglonych rogach, ocienione przez bryłę Minsteru.

— To największy gmach na północy kraju. Wielkością nie ustępuje katedrze Świętego Pawła.
— Spojrzałem na ogromne wrota pod misternie zdobionym łukiem, w pobliżu rozmawiali ludzie prowadzący interesy. Poniżej, na stopniach schodów, przysiedli żebracy z miseczkami na jałmużnę. Czułem pokusę, aby zajrzeć do środka, lecz odwróciłem się, jako że powinniśmy byli zameldować się u Wrenne'a wczorajszego dnia. Przypomniałem sobie otrzymane wskazówki i zwróciłem kroki ku domowi z królewskim herbem nad drzwiami. — Tam — rzekłem. Powiedliśmy konie przez podwórzec, uważając, aby nie poślizgnąć się na liściach, które opadły z drzew rosnących wokół zaułka.

— Wiesz, jakim człowiekiem jest ów Wrenne? — spytał Barak. '

— Wiem jedynie, że to znany obrońca z Yorku, który często pracował dla Korony. Sądzę, że to mąż posunięty w latach.

— Miejmy nadzieję, że nie trafimy na drżącego staruszka niezdolnego do żadnej pracy.

— Zapewne to człek kompetentny, skoro rozpatruje petycje kierowane do króla. Musi się też cieszyć zaufaniem naszego władcy.

Wprowadziliśmy konie w uliczkę, przy której stały ciasnoścłoczone stare domy. Kazano mi szukać narożnej kamienicy po prawej. Okazała się wysoka i bardzo stara. Zapukałem do drzwi. Po chwili usłyszałem dźwięk kroków i ujrzałem starszą niewiastę. Miała okrągłą, pomarszczoną twarz okoloną siwymi włosami. Spojrzała na mnie badawczym wzrokiem.

— Słucham?

— Czy pan Wrenne jest u siebie?

— Przybywacie z Londynu?

Uniosłem lekko brwi, słysząc taki brak szacunku.

— Tak, nazywam się Matthew Shardlake, a to mój asystent, pan Barak.

— Spodziewaliśmy się panów wczoraj. Pan się o was niepokoił.

- Zabłądziliśmy w kniei Galtres.
- Nie wy jedni.

Wskazałem głową konie.

- Jesteśmy utrudzeni. My i nasze konie.
- Potwornie utrudzeni — dodał wymownie Barak.
- Wejdźcie do środka. Zawołam stajennego. Odprowadzi konie i je oporzędzi.
- Dziękujemy.
- Pan wyszedł w interesach, wróci niebawem. Jesteście głodni, jak mniemam.
- Dziękujemy jejmości — odparłem, choć zjedzony pierożek sprawił, że mój głód osłabł.

Starsza niewiasta odwróciła się i wolnym krokiem wprowadziła nas do centralnego holu urządzonego w dawnym stylu, z umieszczonym pośrodku paleniskiem. Na nim spoczywały świeże polana, a dym wznosił się leniwie do otworu kominowego wśród poczerńiałych krokwi. Na kredensie leżały ładne srebrne sztucce, lecz zastona za stojącym na podeście stołem sprawiała wrażenie zakurzonej. Sokół wędrowny o wspaniałym szarym upierzeniu siedział na żerdzi obok ognia. Zwrócił ku nam olbrzymie oczy drapieńczy, gdy przypadkowo się stertom książek rozrzuconym po całej izbie, na krzesłach, na drewnianej skrzyni i przy ścianach, w stosach gotowych runąć w każdej chwili. Z wyjątkiem biblioteki nigdy nie widziałem tylu książek w jednym miejscu. — Widzę, że chlebowca jejmości jest miłośnikiem książek — zauważyłem.

- Tak — odparła staruszka. — Przyniosę zupę — rzekła na odchodnym.
- Nie zawadziłaby odrobina piwa! — zawołał za nią Barak, sadowiąc się na ławie przykrytej owczą skórą i poduszkami. Podniosłem duże stare tomiszczce oprawione w cielęcą skórę, otworzyłem i uniosłem brwi ze zdumienia.
- Na Boga, toż to jeden ze starych woluminów ręcznie zdobionych przez mnichów. — Odwróciłem kilka stronic. Była to pięknie kaligrafowana i iluminowana Historia ecclesiastica gentis Anglorum Bedy Czcigodnego.
- Wszystkie owe księgi powinny być trafić do ognia — zauważył Barak. — Mistrz Wrenne nie jest wystarczająco ostrożny.
- Słusznie prawisz. Nie jest też zwolennikiem reform. — Odłożyłem księgę na miejsce, kaszląc z powodu obłoku kurzu, który wzbił się w górę. — Dobry Jezu, owa gosposia nie garnie się do roboty.
- Odniosłem wrażenie, że wołałaby ją złożyć na moje barki. Jeśli jest równie stara jak Wrenne, może być kimś więcej niż gosposią. Nie miej przesadnego mniemania o jego guście. — Barak usadowił się na poduszkach i zamknął powieki. Ja umościłem się w fotelu, próbując jak najwygodniej ułożyć zeszywniałe nogi. Oczy poczęły mi się zamykać, gdy staruszka wróciła, niosąc tacę z dwiema miskami zupy i dwoma dzbankami piwa. Zaczęliśmy jeść nazbyt ochoczo, lecz zupa

okazała się pozbawiona smaku i przypraw, choć sycąca. Później Barak ponownie zamknął powieki. Zastanawiałem się, czy nie dać mu kuksańca, albowiem rzeczą nieobyčajną jest drzemanie w izbie gospodarza, wiedziałem jednak, że jest zmęczony. W domu panowała cisza — słycać było jedynie hałas dolatujący przez okna i cichy trzask ognia. Zamknąłem oczy podobnie jak Barak. Przesunąłem dłonią po kieszeni, w której spoczywała pieczęć arcybiskupa Cranmera, cofając się myślami kilka tygodni, kiedy wszystko się zaczęło.

Ostatni rok był dla mnie wyjątkowo trudny. Po upadku Cromwella uważano za niebezpieczne utrzymywanie kontaktów z jego dawnymi współpracownikami, dlatego straciłem sporo klientów. Pogwałciłem też niepisana regułę, reprezentując rajców Londynu w sporze z innym prawnikiem należącym do korporacji prawniczej Lincoln's Inn. Stephen Bealknap mógł być jednym z największych łotrów, których Bóg raczył umieścić na tym padole, lecz mimo to naruszyłem zasadę solidarności zawodowej, występując przeciw niemu. Niektórzy koledzy, którzy wcześniej podsyłali mi klientów, teraz poczęli mnie unikać. Sytuacji nie ułatwiał fakt, że Bealknap miał za sobą jednego z najmożniejszych patronów w kraju — sir Richarda Richa, przewodniczącego sądu do spraw majątku likwidowanych klasztorów. Na początku września otrzymałem wiadomość o śmierci ojca. Później, pewnego ranka, gdy byłem jeszcze pogrążony w szoku i bólu, zastałem w kancelarii zatroskanego Baraka.

— Muszę z wami mówić, panie — oznajmił, spoglądając na mojego sekretarza, Skellya, który kopiował teksty z okularami na nosie połyskującymi w promieniach słońca wpadających przez okno. Wskazał głową mój gabinet. — Gdy wyjechaliście, przybył do was posłaniec — zaczął, skoro tylko drzwi się za nami zamknęły. — Z pałacu Lambeth. Arcybiskup Cranmer chce się z wami widzieć dziś wieczorem o ósmej.

Ciężko opadłem na krzesło.

— Miałem nadzieję, że wizyty możliwych w końcu ustaną. — Spojrzałem badawczo na Baraka, jako że misja, której podjęliśmy się rok temu dla Cromwella, przysporzyła nam kilku wpływowych wrogów. — Sądysz, iż może nas to narazić na niebezpieczeństwo? Doszły cię jakieś plotki? — Wiedziałem, że Barak w dalszym ciągu utrzymuje kontakty z ludźmi służącymi na królewskim dworze.

Pokręcił przecząco głową.

— Nie miałem żadnych wieści od czasu, gdy dano mi znać, że jesteśmy bezpieczni.

Odetchnąłem głęboko.

— W takim razie sprawdzę, o co chodzi.

Tego dnia z trudem koncentrowałem się na pracy. Wyszedłem wcześniej, aby wrócić do domu na obiad. Gdy zmierzałem w stronę bramy, ujrzałem wysoką, chudą postać w eleganckiej jedwabnej szacie, z jasnymi puklami włosów wystającymi spod czapki. Stephen Bealknap. Najbardziej szemrany i chciwy prawnik, jakiego znałem.

— Witam, kolego Bealknap — rzekłem grzecznie, zgodnie z obyczajem obowiązującym w korporacji.

— Witam, kolego Shardlake. Słyszałem, że nie wyznaczono daty naszej rozprawy przed Sądem Kanclerskim. Są niezwykle powolni. — Pokręcił głową, choć wiedziałem, że jest rad z opóźnienia. Przedmiotem sporu były budynki małego opactwa nieopodal Cripplegate, które Bealknap nabył. Przekształcił je w nędzną kamienicę czynszową, nie zadbawszy należycie o odprowadzenie nieczystości, co wielce uprzykrzyło życie lokatorom sąsiednich domów. Spór szedł o to, czy przysługuje mu należne klasztorom wyjęcie spod władzy rady miasta. Popierał go Richard Rich, przewodniczący sądu do spraw majątku likwidowanych klasztorów, gdyby bowiem Bealknap przegrał sprawę, wartość rynkowa owych nieruchomości uległaby znacznemu obniżeniu.

— Kancelaria Sześciu Urzędów nie potrafi wytłumaczyć opóźnienia — powiedziałem Bealknapowi. Kilkakrotnie wysyłałem do nich Baraka, który potrafił być nieznośny, aby im palnął kazanie. Bez rezultatu. — Może twój przyjaciel Richard Rich zna przyczynę. — Natychmiast pożałowałem wypowiedzianych słów, albowiem sugerowałam, że sędzia sądu królewskiego jest przekupny. Uchybienie to dowodziło, jak silnego napięcia doświadczam.

Bealknap pokręcił głową.

— Przykry z was człek, kolego, skoro sugerujecie takie rzeczy. Cóż rzekłby na to skarbnik naszej korporacji?

Zagryzłem wargi.

— Wybaczcie, cofam, com rzekł.

Bealknap uśmiechnął się szeroko, odstaniając paskudne żółte zęby.

— Przebaczam wam, kolego. Kiedy perspektywy rozstrzygnięcia nie są zachęcające, zgryzota powoduje, że człowiek się czasem zapomni. — Skłonił się i poszedł dalej. Popatrzyłem za nim, żałując, iż nie wymierzyłem tęgiego kopniaka w jego kościsty zadek.

Po obiedzie przywdziałem prawniczą togę, przeprowiłem się łodzią na drugi brzeg i ruszyłem do pałacu Lambeth. W Londynie przez całe lato panował spokój, gdyż król i jego dwór przenieśli się na północ Anglii. Wiosną rozeszły się plotki, że w Yorkshire udaremiono rebelię, król zaś zdecydował się odbyć wielką podróż, aby wzbudzić respekt i podziw mieszkańców północy. Powiadano, że Henryk i jego doradcy byli wielce zatrwożeni ostatnimi wypadkami. Mieli ku temu powody. Pięć lat wcześniej cała północna Anglia zbuntowała się przeciw zmianom religijnym. Zorganizowano wówczas Pielgrzymkę Łaski, armię buntowników liczącą trzydzieści tysięcy zbrojnych. Król doprowadził do rozejścia się wojska, składając fałszywe obietnice, a następnie powołał własną armię, by pokonać rozproszonych. Mimo to wszyscy lękali się, że północ powstanie ponownie.

Przez cały czerwiec dostawcy królewscy krążyli po Londynie, ogałcając z żywności i innych produktów wszystkie kramy i magazyny, mówiono bowiem, że na północ wyruszą trzy tysiące ludzi. Mieszkańcom małego miasta trudno było pojąć tak wielką liczbę. Kiedy wyruszone w końcu

czerwca, kolumna ciągnących traktem wozów miała długość ponad mili. Przez całe deszczowe lato w Londynie panowała dziwna cisza.

Kiedy łódkarz płynął obok wieży Lollardów, mijając północny kraniec pałacu Lambeth, w słabnących promieniach słońca ujrzałem światło odbijające się od okna arcybiskupiego więzienia na szczycie wieży, w którym przetrzymywano heretyków. Niektórzy nazywali je oczyma Cranmera spoglądającymi na Londyn. Po chwili przybiliśmy do stopni Wielkich Schodów. Strażnik wpuścił mnie do środka i poprowadził przez dziedziniec do Wielkiej Sali, gdzie mnie pozostawił.

Stałem tak przez chwilę, podziwiając wspaniałe belki stropu. Później zjawił się, bezszelestnie stąpając, urzędnik odziany w czarną szatę.

— Arcybiskup was oczekuje — rzekł cicho, a następnie powiódł mnie labiryntem mrocznych korytarzy, stawiając cicho stopy na sitowiu, którym wyłożono posadzkę.

W końcu dotarliśmy do małego gabinetu o niskim sklepieniu. Thomas Cranmer siedział za biurkiem, czytając dokumenty w świetle świec płonących na kinkiecie. W kominku żywo buchał

ogień. Złożyłem głęboki pokłon przed wielkim arcybiskupem, który obalił władzę papieża, zaślubił króla z Anną Boleyn i był przyjacielem oraz współpracownikiem Thomasa Cromwella we wszystkich jego reformatorskich działaniach. Po upadku Cromwella wielu sądziło, że Cranmera czeka katowski pień, ten zdołał jednak przeżyć mimo wstrzymania reform. Henryk powierzał jego pieczy Londyn, gdy wyjeżdżał z miasta. Powiadano, że ufa mu jak nikomu innemu.

Głębokim, cichym głosem polecił, abym usiadł. Wcześniej oglądałem go jedynie z oddali, gdy wygłaszał kazania. Dziś miał na sobie biały habit z futrzaną stułą, zdjął jednak czapkę, odsłaniając gęstwą czarnych, siwiejących włosów. Zauważyłem bladość na jego szerokiej, owalnej twarzy oraz linię zmarszczek wokół pełnych warg. Przede wszystkim wszakże moją uwagę przykuły jego oczy — duże i ciemnoniebieskie. Gdy mi się przypatrywał, dostrzegłem w nich niepokój, wewnętrzny konflikt i furję.

— Jesteś pan Matthew Shardlake? — spytał, uśmiechając się przyjaźnie, abym poczuł się swobodnie.

— Tak, panie.

Usiadłem na twardym krześle naprzeciw niego. Na piersi arcybiskupa lśnił duży srebrny pektorał.

— Co słychać w Lincoln's Inn?

Zawahałem się.

— Bywało lepiej.

— Nadeszły ciężkie czasy dla tych, którzy współpracowali z lordem Cromwellem.

— Tak, panie — odparłem ostrożnie.

— Chciałbym, aby wreszcie zdjęli jego głowę z Mostu Londyńskiego. Widzę ją za każdym razem, gdy przejeżdżam tamtędy... a właściwie to, co pozostawiły z niej mewy.

— Przykry to widok.

— Jak pewnie wiecie, odwiedziłem go w Tower. Wypowiadałem. Opowiedział mi o ostatniej misji, którą wam zlecił.

Wytrzeszczyłem oczy, czując zimny dreszcz mimo żaru idącego od ognia. Zatem Cranmer wiedział o wszystkim.

— Opowiedziałem królowi o poszukiwaniu czarnego ognia... kilka miesięcy temu. —
Wstrzymałem oddech, lecz Cranmer

uśmiechnął się, wznosząc ozdobioną pierścieniami dłoń. — Poczekaj, aż gniew króla na Cromwella, związany ze sprawą małżeństwa z Anną Kliwijską, osłabnie i zacznie mu brakować jego rady. Ludzie odpowiedzialni za to, co się stało, stąpają po kruchym lodzie. Chociaż zaprzeczają, że brali w tym udział, tają prawdę i łżą.

Przez moją głowę przemknęła niepokojąca myśl.

— Czy król wie o moim udziale, panie?

Potrząsnął uspokajająco głową.

— Lord Cromwell prosił, abym nie wspominał o was królowi. Wiedział, że służyliście mu jak najlepiej i że wolicie, aby o was nie wspominać.

Zatem u kresu swojego życia wspominał mnie życzliwie. Srogi, wielki człowiek stojący w obliczu strasznej śmierci. Poczuję łzy w kącikach oczu.

— Mimo surowych metod, które stosował, miał wiele znakomitych przymiotów, panie Shardlake. Powiedziałem królowi, że śledztwo prowadzili ludzie lorda Cromwella. Jego Wysokość nie wypytywał o szczegóły, choć był rozgniewany na tych, którzy go oszukali. Niedawno oznajmił księciu Norfolk, iż żałuje, że nie może mieć u swojego boku lorda Cromwella. Powiedział, że podstępem skłonił go do stracenia najwierniejszego sługi. Bo i tak było. — Cranmer spojrzał na mnie poważnym wzrokiem. — Lord Cromwell rzekł mi, iż jesteście człowiekiem niezwyklej dyskrecji, potrafiącym utrzymać w sekrecie największe tajemnice.

— To jedno z wymagań mojego fachu.

Arcybiskup się uśmiechnął.

— W siedlisku plotki, jakim są korporacje prawnicze? Nie, hrabia rzekł, że wasza dyskrecja jest wyjątkowa.

Zrozumiałem nagle, że uwięziony w Tower Cromwell powiedział Cranmerowi o ludziach, którzy mogą być mu użyteczni.

— Z przykrością dowiedziałem się o śmierci waszego ojca — ciągnął dalej arcybiskup.

Zrobiłem wielkie oczy. Skąd, u licha, o tym wiedział? Zauważył to i uśmiechnął się ponuro.

— Zapytałem skarbnika waszej korporacji, czy jesteście w Londynie. Opowiedział mi o wszystkim. Chciałem z wamipomówić. Niech Bóg da wieczne odpoczywanie duszy waszego ojca.

— Amen, panie.

— Mieszkał w Lichfield, czy tak?

— Tak. Muszę tam pojechać na dwa dni na pogrzeb.

— Król bawi obecnie na dalekiej północy. W Hatfield. Z powodu lipcowych deszczów wielka podróż napotyka poważne przeszkody. Kurierzy przybywają spóźnieni, a królewskie życzenia są często trudne do spełnienia. — Pokiwał głową a jego twarz przybrała zmęczony wyraz. Powiadano, że Cranmer nie był zręcznym politykiem.

— Kiepskie mamy lato — zauważyłem. — Równie wilgotne, jak poprzednie było suche.

— Bogu dzięki, że w ostatnim czasie pogoda uległa poprawie. Królowa źle się czuła.

— Ludzie powiadają, że spodziewa się dziecka.

Arcybiskup zmarszczył brwi.

— Plotki — uciął. Przerwał na chwilę, próbując zebrać myśli, a następnie podjął przerwany wątek. — Jak pewnie wiecie, w królewskim orszaku jest kilku prawników. To największa podróż królewska w dziejach Anglii, a obecność prawników jest niezbędną, by rozstrzygać zatargi na dworze oraz spory z okolicznymi dostawcami. — Wziął głęboki oddech. — Król przyobiecał też mieszkańcom północy wymierzenie sprawiedliwości. W każdym mieście wzywa obywateli do zgłaszania skarg przeciw miejscowym urzędnikom, trzeba więc prawników, aby je zbadać. Oddzielić głupie i błahe, podjąć działania rozjemcze tam, gdzie to możliwe, i przestać resztę spraw Radzie Północy. Jeden z królewskich prawników zmarł niedawno. Nieszczęśnik nabawił się zapalenia płuc. Biuro szambelana przesłało list z prośbą o oddelegowanie kogoś w jego miejsce, aby dołączył do królewskiego orszaku w Yorku, będzie tam bowiem wiele spraw do rozpatrzenia. Wówczas przypomniałem sobie o was.

— Panie... — Spodziewałem się czego innego. Arcybiskup chciał mi wyświadczyć przysługę.

— W Lichfield będziesz waść w pół drogi. Tym lepiej. Za miesiąc powrócisz razem z królem, zyskawszy pięćdziesiąt

funtów za swoją pracę. Możesz zabrać tylko jednego człowieka. Lepiej asystenta niż osobistego służącego.

Była to zaiste hojna propozycja, nawet jak na wysokie apanaże płacone w służbie dla króla. Mimo to zawahałem się, nie miałem bowiem ochoty zbliżyć się ponownie do królewskiego dworu. Wziąłem głęboki oddech.

— Panie, słyszałem, że królowi towarzyszy sir Richard Rich.

- Tak. Wiem, że Rich stał się twym wrogiem z powodu śledztwa dotyczącego czarnego ognia.
- Prowadzę sprawę, która go interesuje. Z całych sił będzie próbował mi przeszkodzić.

Arcybiskup pokręcił głową.

— Nie będziesz się musiał kontaktować z Richem ani żadnym z królewskich doradców. Rich jest tam w roli przewodniczącego sądu do spraw majątku likwidowanych klasztorów. Doradza też królowi w sprawie rozdziału ziem, które odebrano w Yorkshire uczestnikom rebelii. Król i jego doradcy nie zajmują się petycjami. Wszystkie sprawy załatwiają prawnicy.

Zawahałem się. Przyjęcie propozycji arcybiskupa rozwiązałoby moje kłopoty finansowe, umożliwiło spełnienie obowiązku wobec zmarłego ojca. Co więcej, poruszyła mnie myśl o udziale w wielkim widowisku. Mogła być to podróż mojego życia, mogła mi też pomóc zapomnieć o zmartwieniach.

Arcybiskup pochylił głowę.

— Zdecydujcie, panie Shardlake. Mam mało czasu.

— Pojadę, panie — odrzekłem. — Dziękuję.

Cranmer skinął głową.

— Dobrze. — Po tych słowach pochylił się do przodu i z ciężkich rękawów szaty wysunął na biurko kilka dokumentów. — Mam też dla was małą misję o poufnym charakterze — powiedział. — Chciałbym, abyście zrobili coś dla mnie w Yorku.

Wstrzymałem oddech. Dałem się wciągnąć w pułapkę. Okazało się, że wcale nie był takim złym dyplomata.

Arcybiskup pokręcił głową, widząc moją reakcję.

— Nie frasujcie się. Sprawa nie jest niebezpieczna, a misja wydaje się godna. Wymaga jedynie pewnego taktu i ponad wszystko... — Spojrzał na mnie bacznie — ...dyskrecji.

Zacisnąłem wargi. Cranmer zetknął czubki palców dłoni i spojrzał mi prosto w oczy.

— Wiesz waść, jaki jest cel podróży króla na północ? — zapytał.

— Okazanie władzy królewskiej w zbuntowanych częściach kraju, umocnienie władzy.

— Powiadają, że Bóg stworzył północ na ostatku — rzekł Cranmer z nieoczekiwanym gniewem. — Zamieszkują je dzikie ludy nadal uwikłane w papieską herezję.

Skinąłem głową, lecz nic nie odpowiedziałem, czekając, aby ujawnił, o co chodzi.

— Lord Cromwell ustanowił na północy silne rządy po buncie, który wybuchł pięć lat temu. Nowa Rada Północy opłaca licznych szpiegów i dobrze czyni, albowiem spisek, który wykryto ostatniej wiosny, okazał się poważny. — Wpatrywał się we mnie płonącym wzrokiem. — Poprzednim razem domagali się jedynie, aby król odsunął doradców sprzyjających reformom.

Podobnych do ciebie, pomyślałem. Wiedziałem, że chętnie spaliliby" Cranmera na stosie.

— Tym razem ogłosili go tyranem, chcieli obalić. Zamierzali zawrzeć sojusz ze Szkotami, chociaż mieszkańcy północy zawsze ich nienawidzili, uważając za gorszych barbarzyńców od siebie. Gdyby ich plany nie wyszły na jaw, Bóg jeden wie, co by się stało.

Zaczerpnąłem powietrza. Arcybiskup zdradzał mi tajemnice,

o których wolałem nie wiedzieć. Sekrety, które mogły mnie z nim związać.

— Nie udało się pojmać wszystkich spiskowców. Wielu schroniło się w górach. Nie wiemy, co knują. W Yorku przebywa jeden z nich, niedawno pojmany. Moją go przewieźć łodzią do Londynu. To sir Edward Broderick. — Cranmer zacisnął wargi

i na chwilę na jego twarzy pojawił się lęk. — Nadal nie znamy całego planu spiskowców. Znała go jedynie nieliczna garstka, przypuszczamy, że do wtajemniczonych należał Broderick. Król wysłał swoich ludzi do Yorku, lecz ci nic nie wskórali. Broderick jest uparty jak diabeł. Mają go przetransportować z Yorku do Hull w zamkniętym wozie, kiedy dotrze tam królewski dwór, a następnie odesłać łodzią do Londynu pod strażą najbardziej lojalnych i zaufanych ludzi. Król chce być w Londynie, gdy

Broderick będzie przesłuchiwany. Można to bezpiecznie uczynić jedynie w Tower. Tylko tam możemy mieć pełne zaufanie do przesłuchujących i pewność, że zdołają wydobyć zeń prawdę.

Wiedziałem, co to oznacza. Tortury. Wziętem głęboki oddech.

— Na czym ma polegać moja misja, panie?

Jego odpowiedź wprawiła mnie w zdumienie.

— Masz dopilnować, aby cały i zdrowy dotarł do Londynu.

— Czyż nie będzie się znajdował pod opieką króla?

— Księżę Suffolk odpowiada za przebieg królewskiej wizyty. On to wybrał strażnika pilnującego Brodericka, człowieka, do którego ma zaufanie. Nawet on nie wie jednak, o co podejrzewamy jego więźnia. Odpowiada za bezpieczeństwo Brodericka, który przebywa w więzieniu na zamku w Yorku. Nazywa się Fulke Radwinter.

— Nigdy o nim nie słyszałem, panie.

— Mianowano go pośpiesznie, co trochę mnie... niepokoi. — Arcybiskup wydał wargi, a następnie położył na biurku mosiężną pieczęć. — Radwinter ma doświadczenie w pilnowaniu i przesłuchiowaniu... heretyków. To człowiek wielkiej wiary, można mu ufać, pilnie będzie strzegł Brodericka. — Wziął głęboki oddech. — Czasem bywa jednak zbyt surowy. Jeden z jego więźniów... zmarł. — Arcybiskup gniewnie zmarszczył brwi. — Chcę mieć na miejscu człowieka, który dopilnuje, aby Broderick dotarł bezpiecznie do Tower.

— Rozumiem.

— Napisalem już do księcia Suffolk i uzyskałem jego zgodę. Myślę, że zrozumiał, o co mi idzie.
— Podniósł pieczęć i położył ją przede mną. Duży owalny romb z imieniem i urzędem Cranmera wypisanym na brzegu po łacinie i umieszczoną centralnie sceną biczowania Chrystusa. — Chcę, abyś wziął to na dowód władzy, jaką ci przyznaję. Będziesz odpowiadał za bezpieczeństwo Brodericka w Yorku oraz podczas podróży do Londynu. Nie będziesz mógł z nim rozmawiać, chyba że w grę będzie wchodzić jego bezpieczeństwo. Dopilnujesz, aby nie spotkało go nic złego. Radwinter wie, że kogoś przyślę, i uszanuje moją decyzję. — Arcybiskup ponownie uśmiechnął się ponuro. — To mój człowiek. Strzeże więźniów podlegających mej jurysdykcji w wieży Lollardów. —
Rozumiem — rzekłem obojętnie.

— Jeśli więzień zostanie zbyt mocno skrępowany, poluzuj więzy, dbając wszak, aby pozostały solidne. Jeśli będzie głodny, daj mu jeść. Jeśli zachoruje, dopilnuj, aby otrzymał pomoc medyczną.
— Cranmer się uśmiechnął. — Czyż nie jest to misja miłosierdzia?

Odetchnąłem głęboko.

— Panie — rzekłem — zdecydowałem się ruszyć do Yorku, aby pomóc w rozpatrywaniu skarg kierowanych do króla. Poprzednie misje państwowe, których się podjąłem, wiele mnie kosztowały. Teraz wolałbym, jak rzekł lord Cromwell, pozostać prywatnym człowiekiem. Widziałem ludzi umierających potworną śmiercią...

— Dopilnuj zatem, aby ten dotarł do mnie bezpiecznie — powiedział cicho Cranmer. — W dobrym stanie. Tego jedynie pragnę, sądzę też, że jesteś odpowiednim człowiekiem do wykonania tego zadania. Kiedyś sam byłem osobą prywatną, kolego Shardlake. Nauczałem w Cambridge. Aż pewnego dnia król wezwał mnie do siebie w sprawie przeprowadzenia rozwodu. Czasami Bóg powołuje nas do niewdzięcznej misji. Wówczas... — jego spojrzenie ponownie stwardniało — ...musimy znaleźć w sobie dość odwagi, by ją wykonać.

Spojrzałem na niego. Jeśli odmówię, nie będę mógł uczestniczyć w królewskiej podróży, przypuszczalnie też nie zdołam spłacić długów hipotecznych. Wiedząc o tym, że mam wrogów na dworze, nie chciałem zniechęcać do siebie arcybiskupa. Byłem w pułapce. Westchnąłem głęboko.

— Przyjmuję to zadanie, panie.

Uśmiechnął się.

— Jutro prześlę ci glejt zaświadczący, że jesteś doradcą biorącym udział w królewskiej podróży. — Podniósł pieczęć i wcisnął mi ją do ręki. Była ciężka. — To moje upoważnienie, które przekażesz Radwinterowi. Żadnych papierów.

— Mogę wtajemniczyć w sprawę mojego asystenta? Baraka?

Cranmer skinął głową.

— Tak. Wiem, że lord Cromwell mu ufał, chociaż rzekł, iż żaden z was nie ma zapału dla reform. — Nagle rzucił mi badawcze spojrzenie. — Kiedyś miałeś ten zapał.

— Wówczas byłem terminatorem.

Arcybiskup skinął głową.

— Wiem. Należysz do tych, którzy działali na początku, przynosząc Anglii prawdziwą religię. — Spojrzał na mnie czujnym wzrokiem. — Religię głoszącą, że prawowitym zwierzchnikiem Kościoła Anglii nie jest biskup Rzymu, lecz król umieszczony przez Boga ponad ludem, by mu przewodził. Kiedy sumienie króla jest poruszone, przemawia przez niego sam Bóg.

— Tak, panie — rzekłem, chociaż nigdy w to nie wierzyłem.

— Spiskowcy, o których wspomniałem, to niebezpieczni, źli ludzie. Trzeba podjąć przeciwko nim surowe kroki. Nie lubię ich stosować, lecz sami nas do tego zmusili. W inny sposób nie obronimy dotychczasowych osiągnięć. Dla stworzenia w Anglii chrześcijańskiej wspólnoty trzeba będzie uczynić znacznie więcej.

— Zaiste, panie.

Uśmiechnął się, biorąc moje słowa za znak zgody.

— Idź zatem, panie Shardlake. Niech Bóg kieruje twoimi krokami. — Powstał, dając znak, że rozmowa jest skończona. Skłoniłem się, wychodząc z komnaty. Na odchodnym pomyślałem, że moja misja nie będzie misją miłosierdzia. Miałem dopilnować, aby więzień dotarł bezpiecznie do Tower, gdzie będą nań czekać tortury. Cóż takiego uczynił ów Broderick, że w oczach Cranmera dostrzegłem tak wielki strach?

Z zadumy wyrwały mnie głosy dobiegające spoza komnaty. Szturchnąłem stopą Baraka i podnieśliśmy się pośpiesznie, krzywiąc z bólu, jako że nasze nogi nadal były zeszywniałe od jazdy. Drzwi się otwały i do izby wkroczył mężczyzna w wytartej todze. Mistrz Wrenne był korpulentnym, bardzo wysokim mężczyzną, przerastającym Baraka o głowę. Jego kwadratową twarz znaczyły głębokie zmarszczki. Z ulgą stwierdziłem, iż mimo podeszłego wieku szedł pewnie i trzymał się prosto, a niebieskie oczy skrzące się pod posiwiałymi rudozłocistymi włosami spoglądały na mnie badawczo.

— Witaj, panie Shardlake — rzekł wyraźnie, z wyczuwalnym miejscowym akcentem. — A raczej kolego Shardlake, bracie prawniku. Jestem Giles Wrenne. Rad jestem was widzieć. Lękałem się, że spotkało was coś złego po drodze.

Zauważyłem, że gdy mi się przypatrywał, nie zatrzymał wzroku na garbatym grzbiecie, jak to czyni większość ludzi. To człek wrażliwy, pomyślałem.

— Zgubiliśmy drogę. Pozwólcie, że przedstawię wam mojego asystenta. Jack Barak.

Barak skłonił się, a następnie uścisnął wyciągniętą dłoń Wrenne'a.

— Dobry Boże, silny uścisk jak na prawnika — rzekł staruszek, klepiąc go po ramieniu. — Rad jestem to widzieć. Nasza młodzież za mało ćwiczy. Większość urzędników ma ziemistą cerę. — Wrenne spojrzął na puste talerze. — Widzę, że pocziwa Madge was nakarmiła. Znakomicie. — Przynął się do ognia. Sokół obrócił się ku niemu, pobrzękując małym dzwoneczkiem przywiązany do nogi i pozwalając podrapać się w szyję. — Witaj, moja stara Octavio. Nie jest ci

zimno? — Odwrócił się ku nam z uśmiechem. — Przez wiele zim polowaliśmy razem w okolicach Yorku, lecz teraz jesteśmy na to za starzy. Proszę, spocznijcie panowie. Żałuję, że nie możecie się u mnie zatrzymać podczas pobytu w mieście. — Usadowił się na krześle, patrząc z zalem na zakurzone meble i księgi. — Obawiam się, że po śmierci mojej nieszczęsnej małżonki trzy lata temu zaniedbałem dom. Samotny ze mnie mężczyzna. Zatrzymałem jedynie Madge i stajennego. Madge się zestarzała, nie zdoła ugościć naszej trójki. Była służką mojej małżonki.

Tyle warte okazały się domysły Baraka na temat Madge, pomyślałem.

— Dziękuję, przygotowano nam miejsce w opactwie Świętej Marii.

— Rozumiem. — Wrenne uśmiechnął się i zatarł ręce. — Będzie tu co oglądać, gdy zjawi się król ze swoim orszakiem. Wiem, że chcielibyście odpocząć. Proponuję, abyście przyszli jutro o dziesiątej rano. Przejrzemy wspólnie petycje skierowane do Jego Wysokości.

-Znakomicie. Widzę, że robota w opactwie idzie pełną parą jak zakładałem. Staruszek skinął głową.

— Powiadają, że wzniesiono kilka wspaniałych gmachów i że Lucas Hourenbout nadzoruje prace budowlane.

— Hourenbout? Nadworny artysta króla z Holandii?

Wrenne skinął głową z uśmiechem.

— Mówią, że to największy artysta w kraju, po Holbeinie.

— To prawda. Nie miałem pojęcia, że tu jest.

— Mam wrażenie, że przygotowują to miejsce na wielką uroczystość. Nie widziałem go. Do opactwa wpuszcza się jedynie tych, którzy mają tam jakąś sprawę. Niektórzy powiadają, że królowa jest brzemienna, że zostanie tam koronowana. Kto wie... — Przerwał na chwilę. — Słyszeliście jakieś wieści?

— Te same plotki. — Przypomniałem sobie, jak rozdrażniony był Cranmer, gdy mu je powtórzyłem.

— Cóż, mieszkańcy Yorku dowiedzą się o tym dopiero wówczas, gdy ludzie króla uznają to za stosowne.

Spojrzałem na niego przenikliwie, wyczuwając nutkę rozgoryczenia pod warstwą pozorów.

— Może królowa Katarzyna zostanie koronowana — rzekłem. — W końcu przetrwała ponad rok. — Wypowiedziałem tę uwagę celowo, pragnąc dać do zrozumienia, że nie należę do twardogłowych na dworze, którzy wspominają o królu jedynie w oficjalnym tonie.

Wrenne uśmiechnął się i skinął głową, dając znak, że odebrał przesłanie.

— Cóż, czeka nas wiele roboty z petycjami. Jestem rad z waszej pomocy. Trzeba będzie oddzielić błahe sprawy od tych ważnych, na przykład skargę pewnego człowieka spierającego się z Radą Północy o całą ziemi. — Zaśmiał się. — Pewnie nie są wam obce takie nonsensy, kolego.

— Zaiste. Specjalizuję się w nieruchomościach.

— Pożałujesz pan, żeś to powiedział! — Mrugnął do Baraka. — Przekażę wam wszystkie sprawy dotyczące nieruchomości. Sam zajmę się długami i zatargami z pomniejszych urzędnikami.

— Czy będziemy mieli do czynienia jedynie z takimi sprawami? — zapytałem.

— W większości. — Uniósł brwi. — Ludność ma odczuć, iż król troszczy się o swoich poddanych z północy. Tak mi powiedziano. Błahe sprawy mają zostać rozstrzygnięte przez prawników działających z upoważnienia króla, poważniejsze zaś przekazane do rozsądzenia Radzie Królewskiej.

— Jak ma wyglądać arbitraż?

— Będziemy rozstrzygać na nieformalnych posiedzeniach, działając na mocy powierzonej nam władzy. Ja będę przewodniczył, ty zaś i przedstawiciel Rady Północy będziecie zasiadać wraz ze mną. Masz doświadczenie w arbitrażu? — Tak. Zatem król nie będzie osobiście zaangażowany w rozstrzygnięcie pomniejszych spraw?

— W żaden sposób. — Przerwał na chwilę. — Mimo to będziemy mogli się z nim spotkać.

Barak i ja opadliśmy na krzesła.

— Jakim sposobem, panie?

Wrenne przechylił głowę.

— Podczas drogi z Lincoln, w miastach i innych miejscach po drodze, gdzie król będzie odbierał hołd miejscowej szlachty i rajców miejskich, tych, którzy pięć lat temu błagali go na kolanach o litość. Król chce związać ich na nowo przysięgą wierności. Co interesujące, wydano polecenie, aby zbyt wielu nie gromadziło się naraz w jednym miejscu. Widać nadal się ich boją. Henrykowi towarzyszy tysiąc zbrojnych, a królewską artylerię wysłano łodziami do Hull.

— Były jakieś niepokoje?

Wrenne pokręcił głową.

— Nie, choć zmuszono nas do najbardziej upokarzającej formy poddania. Pokorne błagania zanoszone w Yorku mają być prawdziwym widowiskiem. Radni Yorku spotkają się z królem i królową w piątek, poza bramami miasta, ubrani w pokutne szaty, ślubując posłuszeństwo i przepraszając za to, iż w roku tysiąc pięćset trzydziestym szóstym pozwolili buntownikom obrać York na swoją stolicę. Obywatele nie będą mogli uczestniczyć w owej ceremonii, nie jest bowiem właściwe, aby pospółstwo oglądało upokorzenie swoich rajców... — Wrenne uniósł brwi. — Mogliby też zapalać gniewem do króla. Rajcowie mają przekazać Ich Wysokościom wielkie kielichy pełne monet. Wśród mieszkańców przeprowadzono zbiórkę... — Uśmiechnął się ironicznie. — Aby się przypochlebić. — Wziął głęboki oddech. — W uroczystości mają też uczestniczyć królewscy prawnicy, aby oficjalnie przekazać Henrykowi petycje.

— Znajdziemy się zatem w samym środku wydarzeń. — Mimo zapewnień Cranmera, pomyślałem.

— Może tak się stać. Tankerd, miejski kronikarz, jest w nie lada kłopotcie z powodu mowy, którą ma wygłosić. Urzędnicy miejscy nieustannie konsultują się z księciem Suffolk, aby wszystko zostało wykonane zgodnie z życzeniem króla. — Uśmiechnął się. — Wyznaję, że z niecierpliwością czekam na przyjazd Henryka. Jutro wyruszy z Hull, jak sądzę. Jego dwór przebywał w Pontefract znacznie dłużej, niż planowano. Później król udał się do Hull, aby w końcu wyruszyć do Yorku. Następnie ponownie wróci do Hull. Pragnie zreorganizować jego umocnienia. — Pomyślałem, że właśnie tam wsadzimy naszego więźnia na okręt.

— Kiedy to się stanie? — zapytałem.

— Na początku przyszłego tygodnia, jak sądzę. Król zabawi tu jedynie kilka dni. — Wrenne rzucił nam baczne spojrzenie. — Może widzieliście już króla, skoro przybywacie z Londynu?

— Ujrzałem go podczas procesji po koronacji Anny Boleyn. Jedynie z oddali. — Westchnąłem. — Skoro mamy uczestniczyć w owej ceremonii, dobrze, że zapakowałem najlepszą szatę i nową czapkę.

Wrenne skinął głową.

— Racja. — Podniósł się z fotela z powolnością zdradzającą podeszły wiek. — Musicie być znużeni długą podróżą, panowie. Powinniście odszukać swoją kwaterę i solidnie odpocząć.

— Prawda to, wielceśmy zdrożeni.

— Nawiasem mówiąc, usłyszycie tu wiele dziwnych słów. Najważniejsze to pamiętać, że „brama” oznacza ulicę, a ją samą zwą tutaj „rogatką”.

Barak podrapał się w głowę.

— Rozumiem.

Wrenne się uśmiechnął.

— Każę naszykować wasze konie. Pożegnawszy się ze staruszką, wyruszyliśmy w kierunku bramy wiodącej do zaułka Minster Close.

— Mistrz Wrenne wygląda na żwawego starszego jegomościa — rzekłem do Baraka.

— Racja. Dobrze się prezentuje jak na prawnika. — Spojrzał na mnie. — Dokąd teraz?

Wziętem głęboki oddech.

— Nie możemy dłużej zwlekać, musimy się udać do więzienia.

Rozdział trzeci

Przystanęliśmy za bramą, zastanawiając się, jak dotrzeć do zamku w Yorku. Skinąłem na jasnowłosego urwisa i zaproponowałem mu pensa za wskazanie drogi. Rzucił nam podejrzliwe spojrzenie.

— Pokażcie monetę, panie.

— Oto ona! — Wyciągnąłem z sakwy jednego pensa." — Kędy do zamku, chłopcze?

Wskazał trakt.

— Droga wiedzie przez rzeźnię Shambles. Poznacie po zapachu. Gdy miniecie plac, ujrzycie wieżę zamkową.

Podał mu monetę. Począł, aż się oddalimy, a następnie zawołał: „Heretycy z południa!", by chwilę później zniknąć w wąskiej uliczce. Niektórzy z przechodniów zareagowali uśmiechem.

— Nie lubią nas tutaj, co? — zapytał Barak.

— To prawda. Myślę, że każdego przybysza z południa utożsamiają z nową wiarą.

— Tacy z nich zagorzali papiści?

— Na to wygląda. Nie radują ich dobre czasy głoszenia Ewangelii — odparłem ironicznie. Barak uniósł brwi. Chociaż unikał zabierania głosu w sprawach wiary, od dawna podejrzewałem, że podobnie jak ja nie opowiada się po stronie ewangelików ani papistów. Wiedziałem, że nadal boleje po śmierci Thomasa Cromwella, lecz jego lojalność wobec dawnego pana miała charakter raczej osobisty niż religijny.

Przedzierał się przez gęstą ciżbę. Szatę Baraka, podobnie jak moją, pokrywał pył, a jego twarzą, urodziwa twarz osłonięta płaskim czarnym kapeluszem zbrązowiła od kilkudniowej podróży.

— Stary Wrenne był ciekaw, czy królowa jest przy nadziei — zaczął.

— Jak wszyscy. Król ma tylko jednego syna. Losy dynastii zależą od jednego człowieka.

— Jeden z moich dawnych znajomych na dworze powiedział, iż król omal nie skonał na wiosnę z powodu wrzodu na nodze. Musieli wozić go po pałacu Whitehall w małym krześle na kółkach.

Spojrzałem na Baraka z zaciekawieniem. Czasem docierały doń interesujące nowiny od dawnych kompanów spośród szpiegów i doradców pozostających w służbie króla.

— Książę z rodu Howardów wzmocniłby stronnictwo papieskie na dworze. Jego przywódca, książę Norfolk, jest wujem królowej.

Barak zaprzeczył ruchem głowy.

— Powiadają, że królowa nie interesuje się sprawami wiary. Ma zaledwie osiemnaście lat. To płoche dziewczę. — Uśmiechnął się lubieżnie. — Szczęśliwy stary pies z naszego króla.

— Cranmer dał mi do zrozumienia, że Norfolk wypadł z łask.

— Może zatem postrada głowę — odparł Barak z wyraźną goryczą. — Czy z tym królem ktokolwiek może być czegoś pewien?

— Mów ciszej — przypomniałem.

Nie czułem się pewnie w Yorku. W mieście owym nie było szerokich dróg jak w Londynie, więc zewsząd otaczał nas tłum przechodniów. Ulica była tak zatłoczona, że zdecydowałem, iż odtąd będziemy chodzić piechotą. Mimo że uliczki wypełniała gęsta ciżba i handlowano w najlepsze w oczekiwaniu na przybycie króla, nie słychać było radosnego zgiełku jak w Londynie. Jadąc wolno przed siebie, ściągałiśmy coraz więcej wrogich spojrzeń.

Chłopak miał słuszość, mówiąc o Shambles — smród mięsa ogarnął nas na dobrych dwadzieścia jardów przed dzielnicą rzeźni. Wjechaliśmy w kolejną wąską uliczkę ze straganami,

Przedzieraliśmy się przez gęstą ciżbę. Szatę Baraka, podobnie jak moją, pokrywał pył, a jego twarda, urodziwa twarz osłonięta płaskim czarnym kapeluszem zbrązowiła od kilkudniowej podróży.

- Stary Wrenne był ciekaw, czy królowa jest przy nadziei — zaczął.
- Jak wszyscy. Król ma tylko jednego syna. Losy dynastii zależą od jednego człowieka.
- Jeden z moich dawnych znajomych na dworze powiedział, iż król omal nie skonał na wiosnę z powodu wrzodu na nodze. Musieli wozić go po pałacu Whitehall w małym krześle na kółkach.

Spojrzałem na Baraka z zaciekawieniem. Czasem docierały doń interesujące nowiny od dawnych kompanów spośród szpiegów i doradców pozostających w służbie króla.

- Książę z rodu Howardów wzmocniłby stronnictwo papieskie na dworze. Jego przywódca, książę Norfolk, jest wujem królowej.

Barak zaprzeczył ruchem głowy.

- Powiadają, że królowa nie interesuje się sprawami wiary. Ma zaledwie osiemnaście lat. To płochy dziewczę. — Uśmiechnął się lubieżnie. — Szczęśliwy stary pies z naszego króla.
- Cranmer dał mi do zrozumienia, że Norfolk wypadł z łask.
- Może zatem postrada głowę — odparł Barak z wyraźną goryczą. — Czy z tym królem ktokolwiek może być czegoś pewien?
- Mów ciszej — przypomniałem.

Nie czułem się pewnie w Yorku. W mieście owym nie było szerokich dróg jak w Londynie, więc zewsząd otaczał nas tłum przechodniów. Ulica była tak zatłoczona, że zdecydowałem, iż odtąd będziemy chodzić piechotą. Mimo że uliczki wypełniała gęsta ciżba i handlowano w najlepsze w oczekiwaniu na przybycie króla, nie słychać było radosnego zgiełku jak w Londynie. Jadąc wolno przed siebie, ściągałiśmy coraz więcej wrogich spojrzeń.

Chłopak miał słuszość, mówiąc o Shambles — smród mięsa ogarnął nas na dobrych dwadzieścia jardów przed dzielnicą rzeźni. Wjechaliśmy w kolejną wąską uliczkę ze straganami,

na których wywieszono kawały mięsa oblepione chmarą much. Byłem rad, że jedziemy konno, bowiem trakt wyściełała gruba warstwa zwierzęcych odpadków. Barak skrzywił nos, widząc, jak kramarze odpędzają muchy od mięsiwa. Kobiety targujące się ze sklepikarzami unosiły spódnice, aby nie pobrudzić się

o resztki. Kiedy przejechaliśmy przez owo odrażające miejsce, poklepałem Genesis, wypowiadając kilka uspokajających słów, jako że przykra woń wprowadziła wierzchowca w przerażenie. Na końcu kolejnej, spokojniejszej uliczki dostrzegliśmy mury miasta

i następny barbakan patrolowany przez strażę. Za nim widać było wysoki zielony kopiec, na którego wierzchołku stała kamienna baszta.

— Zamek Yorku — powiedziałem.

Z przeciwka szła ku nam dziewczyna. Przyciągnęła mą uwagę, albowiem tuż za nią podążał sługa z dużym królewskim godłem na kaftanie. Dziewka miała na sobie elegancką żółtą suknię. Była niezwyklej urody, o delikatnych rysach twarzy, ■ pełnych wargach i zdrowej, białej skórze. Spod białego czepca wystawały piękne jasne włosy. Spojrzała mi w oczy, a następnie popatrzyła na Baraka. Gdyśmy ją mijali, uśmiechnęła się doń zuchwale. Barak uchylił kapelusza, odślaniając w uśmiechu białe zęby. Dziewczyna spuściła oczy i poszła dalej.

— Śmiała latawica — zauważyłem. Barak się roześmiał.

— Czy dziewczyna nie może się uśmiechnąć do przystojnego kawalera?

— Nie będziesz miał czasu na amory. To obywatelka Yorku, może cię schrupać.

— Nie miałbym nic przeciwko temu.

Dotarliśmy do barbakanu. Także tutaj zatknięto na słupach głowy zdrajców, a nad bramą przybito zwłoki z odrąbaną nogą. Wyciągnąłem list z rozkazem i wpuszczono nas do środka. Jechaliśmy wzdłuż zamkowego muru, obok wyschłej fosy wypełnionej mułem. Podniosłem głowę i zobaczyłem, że wysoka baszta to w istocie ruina. Biały mur pokrywały porosty, pośrodku zaś biegła szeroka szczelina. Bramy z opuszczonym mostem zwodzonym broniły dwie wieże. Po moście w jedną i drugą stronę przechodzili ludzie. Widok odzianych w czarne szaty prawników przypomniał mi o tym, że sądy Yorku znajdowały się przy dziedzińcu zamkowym. Gdy kopyta naszych wierzchowców zadudniły na moście, drogę zastąpiło nam dwóch strażników w królewskiej liberii, przegradzając drogę skrzyżowanymi pikami. Trzeci ujął wodze Genesis i przyjrzał mi się bacznie.

— Co was tu sprowadza? — zapytał z akcentem z południa.

— Przybywamy z Londynu. Mamy sprawę do pana Radwin-tera, dozorca arcybiskupiego więzienia.

Strażnik spojrzał na mnie badawczo.

— Jedźcie do południowej wieży, po drugiej stronie dziedzińca. — Gdyśmy przejechali przez bramę, odwróciłem się i zobaczyłem, iż ów człowiek nadal się nam przypatruje.

— W tym mieście nie ma niczego prócz bram i murów — zauważył Barak, gdy wjechaliśmy na dziedziniec.

Podobnie jak reszta zamczyska dziedziniec miał już za sobą okres świetności. Choć na terenie górnego zamku wzniesiono kilka imponujących budowli, na wielu ścianach widać było szczeliny i pęknięcia w tynku. Nawet gmach sądu, na którego stopniach prawnicy toczyli spory, wyglądał jakby lada chwila miał się zawalić. Nie dziwota, że król wybrał na kwaterę opactwo Świętej Marii.

Zauważyłem, że na wysokiej baszcie dynda biały szkielec opasany ciężkimi łańcuchami.

— Kolejny buntownik — rzekł Barak. — W Yorku dają jasno do zrozumienia, o co im chodzi.

— Nie, ten szkielec wisi tu od dłuższego czasu. Kości zostały ogołoczone do czysta. Jak mniemam, jest to ciało Roberta Aske'a, który pięć lat temu stanął na czele Pielgrzymki Łaski. — Słyszałem, że został powieszony na łańcuchach. Wzdrygnąłem się, była to bowiem straszna śmierć. — Chodź, poszukajmy strażnika — rzekłem, ściągając wodze Genesis.

Bramy po przeciwnej stronie broniła kolejna para wież. Przejechaliśmy dziedziniec i zsiadliśmy z koni. Mimo krótkiego odpoczynku byłem nadal zeszywniały i zmęczony, choć Barak najwyraźniej odzyskał siły. Pomyślałem, że wieczorem powinienem wykonać ćwiczenia kręgosłupa.

Ku nam podszedł wartownik, mężczyzna w moim wieku, o twardej, kwadratowej twarzy. Rzekłem mu, że przybywamy

od arcybiskupa Cranmera i chcemy się widzieć z panem Rad-winterem.

— Oczekiwał was wczoraj.

— Jak wszyscy. Przybyliśmy spóźnieni. Możecie zaprowadzić nasze konie do stajni? Dajcie im jeść, są bowiem wielce utrudzone i głodne.

Mężczyzna zawołał innego wartownika.

— Idź z nimi. — Skinąłem głową Barakowi. — Lepiej, jeśli najpierw sam z nim pomówię.

Barak sprawiał wrażenie rozczarowanego, lecz odprowadził konie. Pierwszy z wartowników zaprowadził mnie do drzwi wieży, otworzył je i powiódł wąskimi, krętymi schodami oświetlonymi promieniami słońca wpadającymi przez maleńkie otwory strzelnicze. W połowie wysokości wieży, gdym zaczął dyszeć, przystanął przed masywnymi drewnianymi drzwiami. Zakołatał i po chwili usłyszeliśmy głośnie „wejść”. Wartownik otworzył i ustąpił drogi, wpuszczając mnie do środka, i natychmiast zamknął wrota. Usłyszałem oddalające się kroki.

Izba, w której się znalazłem, była mroczna, choć w murze dostrzegłem więcej otworów strzelniczych wychodzących na miasto. Kamienne ściany były gołe. Na posadzce rozrzucono wonne sitowie. Przy jednej ze ścian stało schludnie zasłane wysuwane łóżko, przy drugiej dostrzegłem stół z papierami. Obok niego na wyściełanym poduszkami krześle siedział człek i czytał księgę. Świeczka płonąca na małym stoliku wzmacniała słabe światło dnia. Sądziłem, że nadzorca będzie niechlujnie

odziany, lecz człek ów miał na sobie czysty brązowy kaftan i rajtuzy z dobrej wełny. Zamknął księgę i powstał z uśmiechem, zwinnie niczym kot.

Miał około czterdziestki. Oprócz dwóch głębokich bruzd na policzkach rysy jego twarzy okolonej krótką czarną brodą, lecz siwiejącą przy kącikach ust, wydawały się regularne. Był niewielkiego wzrostu, szczupły, lecz krępej budowy.

— Witam, panie Shardlake — rzekł ze śpiewnym londyńskim akcentem, wyciągając ku mnie dłoń. — Fulke Radwinter. Oczekiwaliśmy was wczoraj. — Uśmiechnął się, odsłaniając małe, białe zęby, choć jasnobłękitne oczy były twarde i przenikliwe jak lód. Jego dłoń była czysta i sucha, paznokcie zadbane. Niebył to zwyczajny strażnik więzienny. — Zmęczyła was wspinaczka? — spytał z troską w głosie. — Ciężko dyszycie.

— Jechaliśmy całą noc, panie Radwinter — odrzekłem zdecydowanym głosem, aby podkreślić swoją władzę. Sięgnąłem do kieszeni. — To pieczęć arcybiskupa. — Podałem mu znak. Przyglądał się jej przez chwilę, a następnie oddał do moich rąk.

— Jestem na pańskie rozkazy — odparł z kolejnym uśmiechem.

— Przejdźmy do rzeczy. Czy Jego Ekscelencja napisał wam, że przyjadę, aby zadbać o dobro sir Edwarda Brodericka?

— W rzeczy samej. — Skinął głową. — Choć nie było takiej potrzeby. Arcybiskup to wielki i pobożny człowiek, ostatnio jednak stał się... zbyt nerwowy.

— Czy sir Edward dobrze się miewa?

Radwinter przechylił głowę.

— Królewscy śledczy, którzy przesłuchiwali go zaraz po aresztowaniu, surowo się z nim obeszli. Później wyszyły na jaw pewne fakty i postanowiono przewieźć go do Londynu. Większość z nich to sprawy okryte tajemnicą. — Uniósł brwi. Musiał wiedzieć, że zatajono je przed nim, podobnie jak przede mną. Pewnie Cranmer zakomunikował mu to w liście.

— Zatem torturowano go przed waszym przybyciem.

Strażnik skinął głową.

— Doświadcza pewnego dyskomfortu, lecz nic w tej sprawie nie można uczynić. Pod innymi względami miewa się wystarczająco dobrze. Wkrótce przewiozą go do Londynu, gdzie jego dyskomfort wzrośnie. Król chce, by jak najszybciej go przesłuchano, ważne jest jednak, aby uczynili to najrzęczniejsi ludzie, ci zaś są w stolicy.

Wolałem nie myśleć, co czeka więźnia u kresu jego podróży. Stłumiłem drzenie.

— Napijesz się waść piwa? — spytał wesoło Radwinter.

— Dziękuję, nie teraz. Powinienem zobaczyć sir Edwarda.

Ponownie pochylił głowę.

— Oczywiście. Wezmę klucze. — Podeszedł do skrzyni i otworzył ją. Spojrzałem na dokumenty leżące na stole. Kartki z rozkazami i notatki sporządzone małym, okrągłym pismem. Księga, którą czytał, okazała się Obediencją chrześcijanina,

tekstem zwolenników reformacji. Biurko stało obok jednego z wąskich okien, z których rozciągał się dobry widok na miasto. Wyjrzawszy na zewnątrz, ujrzałem liczne wieże i większy kościół pozbawiony dachu, bez wątpienia należący do jakiegoś rozwiązaneo klasztoru. Za nim rozciągały się grzęzawiska, a jeszcze dalej — jezioro. Spojrzałem w dół i zobaczyłem, że fosa z tej strony zamku była nieco szersza, brzegi kanału zaś porastały gęste trzciny.

— Z trzciny wytwarzają tu knoty do świec — usłyszałem łagodny głos Radwintera. — Spójrzcie tam. — Wskazał kobietę odrywającą coś od nogi. Z oddali usłyszałem słaby okrzyk bólu. Radwinter się uśmiechnął. — Zbierają pijawki, aby je sprzedać aptekarzom.

— Polutowania godne zajęcie. Stoją w głębokiej wodzie, czekając, aż pijawki przysną się do nóg.

— Ich nogi pokrywają małe blizny. — Odwrócił się i spojrzał mi prosto w oczy. — Tak jak Anglię pokrywają blizny pozostawione przez wielką pijawkę — Rzym. Odwiedzmy naszego przyjaciela, Brodericka. — Odwrócił się i podeszedł do drzwi. Wziąłem świecę ze stołu i ruszyłem jego śladem.

Cela okazała się mała i mroczna, było w niej bowiem jedynie małe zakratowane okienko, przez które przedostawał się chłodny wietrzyk. Zimne powietrze przenikała wilgoć i smród, a sitowie pod nogami wydawało się oślizgłe. Brzęk łańcucha sprawił, że spojrzałem w kąt celi. Na drewnianej pryczy leżała drobna postać w brudnej białej koszuli.

— Masz gościa, Broderick — oznajmił Radwinter. — Z Londynu. — Mówił spokojnym, równym głosem.

Mężczyzna usiadł, pobrękując łańcuchami. Uczynił to powoli i krzywiąc się -z bólu, co kazało mi przypuszczać, że musi być stary, gdym jednak podeszedł bliżej, pod warstwą brudu ujrzałem twarz należącą do dwudziestokilkuletniego mężczyzny.

— Z Londynu? — przemówił głosem zdradzającym szlachetne urodzenie. — Kolejne przesłuchanie z użyciem pogrzebacza?

— Nie — odparłem cicho. — Przybyłem, aby dopilnować, że dotrzesz, panie, do Londynu bezpiecznie i w dobrym zdrowiu.

Z jego twarzy nie zniknął gniew. tekstem zwolenników reformacji. Biurko stało obok jednego z wąskich okien, z których rozciągał się dobry widok na miasto. Wyjrzawszy na zewnątrz, ujrzałem liczne wieże i większy kościół pozbawiony dachu, bez wątpienia należący do jakiegoś rozwiązaneo klasztoru. Za nim rozciągały się grzęzawiska, a jeszcze dalej — jezioro. Spojrzałem w dół i zobaczyłem, że fosa z tej strony zamku była nieco szersza, brzegi kanału zaś porastały gęste trzciny.

— Z trzciny wytwarzają tu knoty do świec — usłyszałem łagodny głos Radwintera. — Spójrzcie tam. — Wskazał kobietę odrywającą coś od nogi. Z oddali usłyszałem słaby okrzyk bólu. Radwinter się uśmiechnął. — Zbierają pijawki, aby je sprzedać aptekarzom.

— Politowania godne zajęcie. Stoją w głębokiej wodzie, czekając, aż pijawki przyssą się do nóg.

— Ich nogi pokrywają małe blizny. — Odwrócił się i spojrzał mi prosto w oczy. — Tak jak Anglię pokrywają blizny pozostawione przez wielką pijawkę — Rzym. Odwiedzmy naszego przyjaciela, Brodericka. — Odwrócił się i podszedł do drzwi. Wziąłem świecę ze stołu i ruszyłem jego śladem.

Cela okazała się mała i mroczna, było w niej bowiem jedynie małe zakratowane okienko, przez które przedostawał się chłodny wietrzyk. Zimne powietrze przenikała wilgoć i smród, a sitowie pod nogami wydawało się oślizgłe. Brzęk łańcucha sprawił, że spojrzałem w kąt celi. Na drewnianej przycy leżała drobna postać w brudnej białej koszuli.

— Masz gościa, Broderick — oznajmił Radwinter. — Z Londynu. — Mówił spokojnym, równym głosem.

Mężczyzna usiadł, pobrząkując łańcuchami. Uczynił to powoli i krzywiąc się z bólu, co kazało mi przypuszczać, że musi być stary, gdym jednak podszedł bliżej, pod warstwą brudu ujrzałem twarz należącą do dwudziestokilkuletniego mężczyzny.

— Z Londynu? — przemówił głosem zdradzającym szlachetne urodzenie. — Kolejne przesłuchanie z użyciem pogrzebacza?

— Nie — odparłem cicho. — Przybyłem, aby dopilnować, że dotrzesz, panie, do Londynu bezpiecznie i w dobrym zdrowiu.

Z jego twarzy nie zniknął gniew. — Czyżby królewscy kaci woleli nietknięte ciała? — Głos więźnia się załamał. — Na rany Jezusa — zakaszłał — mogę dostać coś do picia, panie Radwinter?

— Nie, dopóki nie powtórzysz wersetów, które ci wczoraj zadałem.

Spojrzałem na niego zdumiony.

— O co chodzi?

Radwinter się uśmiechnął.

— Próbuję skłonić Brodericka, aby uczył się codziennie dziesięciu wersetów z angielskiej Biblii. Mam nadzieję, że nieskalane Słowo Boże uleczy jego duszę papisty. Wczoraj był uparty. Rzekłem mu, że nie dostanie pić, póki nie powtórzy wyznaczonych fragmentów.

— Proszę przynieść mu wody — rzekłem ostro. — Jesteś tu waszmość, aby dbać o jego ciało, nie zaś duszę. — Przynależem świeczkę do twarzy Radwintera. Zauważyłem, że zacisnął usta, lecz po chwili uśmiechnął się ponownie.

— Oczywiście, może faktycznie zbyt długo odmawiałem mu wody. Wydam polecenie, aby strażnik go напоił.

— Nie, sam ją przynieś. W ten sposób szybciej ją dostanie. Nic mi nie grozi, więzień jest skuty łańcuchami.

Radwinter zawahał się, a później bez słowa wyszedł z celi. Usłyszałem szcęk przekręcane go zamku klucza. Stałem, patrząc na więźnia, który opuścił głowę.

— Czego ci trzeba? — spytałem. — Nie przybyłem tu, aby wyrządzić ci krzywdę. Daję słowo. Nie wiem, co ci zarzucają, mam jedynie rozkaz od arcybiskupa, aby dostarczyć cię bezpiecznie do Londynu.

Spojrzał na mnie i uśmiechnął się boleśnie.

— Czyżby Cranmer podejrzewał, że jego człowiek może się nade mną pastwić dla rozrywki?

— Uczynił to? — spytałem.

— Nie. Radwinter lubi dręczyć moją duszę, lecz na to jestem odporny. — Broderick rzucił mi długie, twarde spojrzenie, a następnie wyciągnął się na pryczy. Gdy to uczynił, ujrzałem pod koszulą sine ślady po oparzeniu.

— Pokaż — rzekłem ostro. — Rozsuń koszulę.

Wzdrygnął się, a następnie usiadł i rozwiązał sznurki. Ktoś

kilkakrotnie przytknął gorący pogrzebacz do jego ciała. Jedna z blizn na klatce piersiowej była czerwona i zaogniona. W blasku świeczki widać było ciekącą ropę. Rzucił mi gniewne spojrzenie. Jego wściekłość była niemal namacalna. Pomyślałem, że jeśli Radwinter to lód, ów człowiek jest ogniem.

— Skąd to masz? — zapytałem.

— Uczynili mi to na zamku. Ludzie króla przesłuchiwali mnie dwa tygodnie temu. Nie zdołali mnie złamać. Dlatego wysyłają mnie do Londynu, do ludzi, którzy znają się na swym rzemiośle. Wiesz wszak o tym.

Nic nie odrzekłem.

Spojrzał na mnie ciekawie.

— Cóż z ciebie za człowiek, skoro moje rany cię poruszyły, a mimo to współpracujesz z Radwinterem?

— Jestem prawnikiem. Powiedziałem wszak, że przysłano mnie tu, abym ci zapewnił właściwą opiekę.

Jego oczy ponownie zabłyśły.

— Sądziś, że to wystarczy? Po to tu przybyłeś?

— Co masz na myśli?

— Przyjechałeś, abym cały i zdrowy dotarł do londyńskich katów. Żeby ci dłużej się nade mną znęcali? Wolałbym tu skonać.

— Przekaż im informacje, które chcą znać — powiedziałem. — W końcu i tak je z ciebie wycisną.

Na jego twarzy pojawił się grymas upiornego uśmiechu.

— Rozumiem, postępujesz się delikatną perswazją. Nic im nie powiem, niezależnie od tego, co uczynią.

— Niewielu więźniom Tower się to udało. Nie przybyłem tu, aby cię przekonywać, potrzebujesz jednak medyka.

— O nic nie proszę, garbusie. — Opał na prycę, wpatrując się w okno po przeciwnej stronie celi. Na chwilę zapanowało milczenie. — Widziałeś ciało Roberta Aske'a wiszące w łańcuchach na wieży Clifforda? — spytał nagle.

— A zatem to on.

— Mój łańcuch jest wystarczająco długi, abym mógł stanąć przy oknie. Patrę przez nie i pamiętam. Kiedy Robert został skazany za zdradę, król obiecał, iż oszczędzą mu katuszy wypatroszenia, że nie zawisnie na murze. Nie zdawał sobie sprawy, że powieszą go żywego na łańcuchach i umrze z głodu i pragnienia. — Zakaszłał. — Nieszczęsny Robert zaufał Henrykowi Okrutnemu.

— Zważaj na słowa, sir Edwardzie.

Odwrócił się i spojrzał na mnie.

— Robert Aske był moim najlepszym przyjacielem.

W zamku zazgrzytał klucz. Radwiter wrócił z dzbanem cienkiego piwa. Podał go Broderickowi, który usiadł i zaczął łapczywie pić. Skinąłem Radwiterowi, aby stanął w rogu celi.

— Powiedział coś? — warknął strażnik.

— Tylko że znał Roberta Aske'a. Widziałem rany po oparzeniach na jego ciele. Nie podoba mi się ich wygląd. Jedna z ran jest zaogniona. Trzeba wezwać medyka.

— Dobrze. — Radwiter skinął głową. — Więzień, który umrze z gorączki, na nic się zda arcybiskupowi.

— Proszę, zadbaj o to. Przyjdę jutro, aby sprawdzić, jak się miewa. Dajcie też świeże sitowie na posadzkę.

— A może wonne zioła o słodkiej woni? — Radwinter nadal się uśmiechał, lecz jego głos przenikał chłodny gniew. — Wspomniałeś panu Shardlake'owi o Robercie Aske'u, Broderick? — ciągnął dalej. — A czy rzekłeś mu, że pierwszej zimy po jego śmierci, gdy niemal całe ciało zostało objedzone przez kruki, małe kostki poczęły spadać na ziemię i trzeba było ustawić strażę, albowiem ludzie je zbierali. Papiści z całego Yorku ukrywają kości jego rąk i nóg, zwykle w gnojowisku, gdyż w takim miejscu najbezpieczniej przechowywać relikwie. Tam też jest właściwe miejsce dla kości Aske'a.

Broderick skoczył na równe nogi, wydając ni to jęk, ni to warknięcie. Ruszył w stronę Radwintera, pobrzękując łańcuchem. Strażnik cofnął się szybko, jakby był na to przygotowany. Kajdany krępujące ramiona Brodericka naprężyły się, powodując, że ponownie opadł na pryczę, wydając głośne stęknięcie.

Radwinter cicho zachichotał.

— Strzeż się go, panie Shardlake. Nie jest taki słaby, na jakiego wygląda. Puszczę w niepamięć twą napaść, Broderick, pocieszając się myślą o tym, co cię czeka w Londynie. Jak powiadają, w cierpieniu jest prawda. — Przeszedł obok mnie i otworzył drzwi. Podążyłem za nim, po raz ostatni patrząc na więźnia. Broderick spojrział na mnie ponownie.

— Jesteś prawnikiem? — spytał cicho.

— Już powiedziałem.

Uśmiechnął się z goryczą.

— Robert Aske też nim był. Kiedy go ujrzysz, pomyśl, jaki los może spotkać prawnika.

— Słowa, sir Edwardzie, puste słowa — odrzekł Radwinter, gdy go mijałem. Strażnik zamknął drzwi i zeszedł na dół. Kiedy znaleźliśmy się w jego izbie, zwrócił ku mnie swoje lodowate spojrzenie i rzekł poważnie:

— Chciałem, abys sam się przekonał, jaki jest niebezpieczny, choć wygląda na bezbronnego.

— Czemu go sprowokowałeś?

— Aby tego dowieść, mimo to sprowadzę medyka.

— Proszę. Niezależnie od tego, co uczynił, trzeba go traktować tak dobrze, jak pozwalają na to zasady bezpieczeństwa. Przez wzgląd na uprzejmość powinieneś zwracać się do niego „sir Edwardzie”.

— Bezpieczeństwo wymaga, aby nie miał wątpliwości, kto tu rządzi. Nie wiesz, do czego jest zdolny.

— Niewiele zdziała przykuty łańcuchami do muru.

Linia ust Radwintera stała się twarda niczym ostrze noża. Przysunął się tak blisko, że jego twarz znalazła się przy mojej. Jego oczy zdawały się świdrować mnie na wylot.

— Dostrzegłem współczucie, jakim go darzysz — rzekł. — Twoja twarz była łagodna. Martwi mnie to, ponieważ to człek niebezpieczny.

Wziętem głęboki oddech, albowiem rzeczywistość więzienie ludzi budziło .we mnie odrazę.

— Widzę, że trafiłem w czuły punkt. — Radwinter uśmiechnął się łagodnie. — Pozwólcie, że wskażę kolejny. Wasze współczucie do Brodericka nie wzbudza mojego zaufania. Może masz waść słabość do wyrzutków. Może jest to spowodowane stanem waszych pleców.

Zacisnąłem wargi na tę zniewagę, a jednocześnie poczułem skurcz brzucha, gdyż ponownie wiedziałem, że mówi prawdę.

Skinął głową.

— Jestem odpowiedzialny za pilnowanie Brodericka i dostarczenie go do Londynu. W mieście są ludzie, którzy wiedzą,

gdzie przebywa, i uczynią wszystko, aby go uwolnić. Z tej przyczyny muszę bacznie śledzić i badać wszystkich, z którymi mam do czynienia, sięgać w głąb ich duszy tak daleko, jak się da. Nawet w głąb waszej duszy, panie.

Spojrzałem w jego chłodne oczy.

— Wezwij medyka — rzekłem uprzejmie. — Przyjdę jutro, aby sprawdzić, czy jego stan uległ poprawie.

Odpowiedział dłuższym spojrzeniem, a następnie lekko przechylił głowę i spytał:

— Kiedy?

— Kiedy zechcę — odrzekłem i wyszedłem z pokoju.

Barak siedział na zewnątrz, obserwując dziedziniec. Powiew chłodnego jesiennego wiatru zerwał liście z drzew. Barak spojrzał na mnie ciekawie.

— Wszystko w porządku? — zapytał. Musiałem wyglądać na tak wyczerpanego, jaki się czułem.

Pokręciłem głową.

— Nie wiem, który z nich jest gorszy — odparłem. — Chyba strażnik, lecz nie jestem pewien. — Popatrzyłem na dyndający szkielet Aske'a. Powiewy wiatru sprawiały, że kołysał się lekko to w jedną, to w drugą stronę, jakby zbieleń kości pragnęły się uwolnić.

Rozdział czwarty

Strażnik wyjaśnił, że do opactwa Świętej Marii dotrzemy Coneygate. Była to wąska uliczka pełna zatłoczonych kramów, posuwaliśmy się więc w ślimaczym tempie. Po drodze zauważyłem kilka węższych przecznicy wiodących do bocznych placów i dziedzińców. W tym mieście stale czułem się osaczony.

W drzwiach dużej gospody, którą mijaliśmy, dostrzegłem grupkę młodych mężczyzn w barwnych kaftanach z rozcięciem, przypatrujących się ciżbie i sączących wino ze skórzanych bukłaków. Jeden z nich, wysoki przystojny kawaler o czarnej brodzie, wskazywał przechodniów, naśmiewając się z ich lichego przyodziewku. Wściekłe spojrzenia sprawiały, że śmiał się jeszcze głośniejsze. Domyśliłem się, że to członkowie królewskiej straży przedniej i że panowie ci powinni baczyć, jak się zachowują.

Pomyślałem o Radwintrze i Brodericku. Strażnik i więzień, lód i ogień. Było jasne, że Radwintre na wszelkie możliwe sposoby uprzykrza życie Broderickowi, aby go złamać, a być może dostarczyć sobie rozrywki. Takie traktowanie pojmanego mogło być niebezpieczne. Chociaż sir Edward był młody, nie przywykł do niedostatku. Rany po oparzeniach na piersi mogły go zabić. Miałem nadzieję, że w Yorku są dobrzy medycy. Żałowałem, iż nie towarzyszy mi mój stary przyjaciel, Guy, ten jednak był daleko, prowadził aptekę w Londynie.

Nie dawało mi też spokoju oskarżenie sir Edwarda, że dbam o jego bezpieczeństwo po to jedynie, aby dostarczyć go całego na tortury. Trudno było odmówić mu racji. Z drugiej strony mimo hardych, buntowniczych słów błagał Radwintre o coś do picia, ja zaś zdołałem wymóc spełnienie jego prośby.

Przypomniałem też sobie uwagę, którą Radwintre wypowiedział na temat mojego stanu i współczucia okazywanego nieszczęsnym wyrzutkom. Był niezwykle przenikliwy. Czy wykorzystywał tę umiejętność, aby rozpoznać duszę heretyków, gdy pracował w więzieniu Cranmera na szczycie wieży Lollardów? Wiedziałem, że miał rację. Sympatia dla Brodericka mogła zaćmić mój osąd. Przypomniałem sobie gwałtowny atak więźnia na Radwintre. Cóż takiego uczynił, że trzymali go niczym roznoszącego zarazę?

Przed kramem ze świeczkami dostrzegłem pulchnego mężczyznę o wyglądzie choleryka, w czerwonej szacie i czerwonym kapeluszu z szerokim rondem i złotym urzędowym łańcuchu na szyi, sprawdzającego pudło ze świecami. Pomyślałem, że to burmistrz. Rzemieślnik w fartuchu poplamionym łojem patrzył niespokojnie, jak burmistrz unosi tłustą żółtą świeczkę i uważnie ją bada. Obok niego stali trzej odziani w czarne szaty urzędnicy, a jeden z nich trzymał złotą buławę.

— Są wystarczająco dobre — oznajmił burmistrz. — Prześlijcie najlepsze z pszczelego wosku do opactwa Świętej Marii. — Skinął głową swoim kompanom i podszedł do kolejnego straganu.

— Obchodzi miasto — rzekłem do Baraka — bacząc, czy wszystko jest w porządku na przyjazd króla... — Przerwałem, słysząc ostry krzyk.

U wylotu jednej z wąskich uliczek stała młoda kobieta, przyciskając do tułowia duży koszyk. Próbowwała wyrwać go ubranemu w łachmany młodzieńcowi z dużą brodawką na nosie, który ciągnął w drugą stronę. Zauważyłem, że jest to ta sama dziewczyna, która wcześniej mrugnęła do Baraka. Inny łobuz, jasnowłosy chłopak o złamanym nosie, chwycił ją wpół. Barak wypuścił wodze i zeskoczył na ziemię, dobywając miecza. Przechodnie rozpięchli się w popłochu.

— Zostawcie ją, łotry! — wykrzyknął. Młodzieńcy natychmiast puścili dziewczynę i rzucili się bezładnie do ucieczki. Barak chciał za nimi pobiec, lecz kobieta chwyciła go za ramię.

— Nie czyn tego, panie! Mam rzeczy dla królowej Katarzyny.

Barak wsunął miecz do pochwy i uśmiechnął się do niej.

— Nic ci nie jest, panienko?

Ostrożnie opuściłem się na ziemię, trzymając lejce obu koni. Genesis niespokojnie przestępował z nogi na nogę.

— Co się stało? — spytałem. — Co miałaś na myśli, mówiąc, że w twoim koszu są rzeczy dla królowej Katarzyny.

Zwróciła ku mnie swoje duże chabrowe oczy.

— Jestem służką z kuchni królowej, panie. Posłano mnie po jadło, które lubi Katarzyna. — Spojrzałem do koszyka. Znajdowały się w niej laski cynamonu, migdały i korzenie imbiru. Dziewka lekko dygnęła. — Nazywam się Tamasin, panie. Ta-masin Reedbourne. — Zauważyłem, że mówi z londyńskim akcentem, lecz jej barchanowa suknia wydała mi się zbyt droga jak na przyodziewek kuchennej służki.

— Dobrze się czujesz, pani? — spytał Barak. — Owe łotry ciągnęły tak silnie, jakby chciały wyrwać te śliczne ramiona ze stawów.

Uśmiechnęła się, odstawiając białe zęby i ukazując parę uroczych dołeczków w policzkach.

— Za nic nie wypuściłabym kosza. Kiedy przyjedzie królowa, jej komnaty muszą być pełne ulubionych słodkości przyrządzonych z tych specjałów. — Spojrzała między nas. — Dołączycie do królewskiego orszaku, waszmościowie?

— Tak. — Skinąłem lekko głową. — Jestem prawnikiem, nazywam się Shardlake. To mój asystent, Jack Barak.

Barak uchylił kapelusza, a dziewczyna uśmiechnęła się doń powtórnie, tym razem nieco kokieteryjnie.

— Jesteś dzielny, panie. Widzieliśmy się wcześniej, prawda?

— Przecież wiesz, jaki śliczny uśmiech mi posłałaś.

— Zauważyłem, że towarzyszył ci przyboczny w królewskiej liberii — rzekłem.

— Tak, panie. Pan Tanner chciał sobie kupić jakiś przyodziewek, więc dałam mu chwilę wolnego. — Potrząsnęła głową. — Głupio postąpiłam, prawda? Zapomniałam, jak barbarzyńskie jest to miejsce.

— Czy to on? — zapytałem, wskazując młodzieńca o pociągłej twarzy z królewskim herbem na kaftanie, który wyszedł ze sklepu po drugiej stronie uliczki. Zapamiętałem go z naszego porannego spotkania. Mężczyzna ruszył ku nam, kładąc dłoń na rękojeści miecza.

— Co się stało, panienko Reedbourne? — spytał nerwowo.

— Dobrze pytanie, Tanner! Kiedy wybierałeś koszulę do nowego kaftana, dwóch pachotków próbowało mi wyrwać koszyk z przysmakami dla królowej. Ten człowiek mnie wybawił — rzekła, ponownie uśmiechając się do Baraka.

Pan Tanner wbił wzrok w ziemię. Genesis pociągnął za wodze.

— Pora jechać — oznajmiłem. — Musimy się stawić w opactwie Świętej Marii. Chodźmy, Baraku. Znowu usłyszymy, że spodziewali się nas wczoraj. — Skłoniłem się panience Reedbourne. Dygnęła ponownie.

— Też mieszkam w opactwie Świętej Marii — odparła słodkim głosem. — Może się jeszcze spotkamy.

— Mam nadzieję. — Barak nasadził kapelusz na głowę i puścił do niej oko. Twarz dziewczyny poczerwieniała.

— Nareszcie coś się wydarzyło — powiedział wesoło, kiedy odjechaliśmy. — Nie żeby nam coś groziło. To były zwyczajne obdartusy. Pewnie myśleli, że w koszyku znajduje się coś cennego.

— Dobrze się sprawiłeś — odrzekłem z ironicznym uśmiechem. — Ocaliłeś łakocie królowej.

— Ta dziewczyna to łakomy kąsek. Chętnie bym ją schrupał.

Dojechawszy do końca Coneygate, skręciliśmy w inną uliczkę biegnącą wzdłuż masywnych murów opactwa. Żołnierze króla patrolowali blanki, za którymi ujrzałem kolejną wysoką wieżę. Widzieliśmy ją, gdyśmy wjeżdżali do miasta, wysokością niemal dorównywała wieży Minsteru. Chociaż wszystkie dawne opactwa były otoczone murami, jeszcze nigdy nie widziałem równie wysokiego. Opactwo Świętej Marii musiało być zaiste ogromne. Masywny mur zapewniał bezpieczeństwo temu miejscu i pewnie dlatego wybrano je na kwaterę króla w Yorku.

Ponownie przejechaliśmy pod barbakanem Bootham Bar, tym razem skręciliśmy jednak w lewo i stanęliśmy w długiej kolejce konnych i pieszych czekających na wpuszczenie na teren opactwa. Zanim pozwolono nam ruszyć dalej, pieczołowicie sprawdzono

moje rozkazy. W środku zsiadliśmy z koni. Barak zdjął z torby z naszym dobytkiem i przewiesił je sobie przez ramię, a następnie stanął obok mnie, przypatrując się zapierającemu dech w piersi widokowi.

Na wprost nas wznosił się ogromny gmach, który kiedyś musiał pełnić funkcję pałacu opata. Była to okazała rezydencja nawet jak na duży klasztor. Wzniesiony z czerwonej cegły budynek z wąskimi

kominami liczył trzy piętra. Wzdłuż murów ciągnęły się grządki małych białych róż. Niegdyś przed pałacem rozciągał się trawnik, który obecnie zamienił się w błotnisty plac, gdy przeszły po nim konie i przejechały wozy. Robotnicy usuwali resztki trawy, zastępując ją kamiennym brukiem. Kilka jardów dalej inni rozkopywali dawny cmentarz zakonny, zrywali kamienie nagrobne i ładowali je na wozy. Ponad głównymi drzwiami zawieszono dużą tarczę z królewskim herbem.

Za rezydencją wznosił się olbrzymi kościół klasztorny w stylu normandzkim, jeden z największych, jakie widziałem, o kwadratowej wieży zwieńczonej ogromną kamienną iglicą. Jego fasadę zdobiły przypory i rzeźbione filary. Rezydencja i kościół stały po przeciwnych stronach dużego dziedzińca długości jednego furlonga. Dziedziniec ów przedstawiał sobą niezwykle widok — zburzono budynki gospodarcze, pozostawiając wykopy w miejscu dawnych fundamentów. Na placu rozbito całe mnóstwo namiotów, a setki robotników pośpiesznie kończyły wznoszenie dwóch ogromnych pawilonów. Sięgające czterdziestu stóp budowle przypominały zamek wieżyczkami i bramami w barbakanach. Na rusztowaniach roіło się od rzemieślników ustawiających gipsowe wyobrażenia heraldycznych bestii, malujących ściany jaskrawymi kolorami i szklących okna. Obserwując to wszystko, pomyślałem, że w projekcie pawilonów było coś znajomego.

Na dziedzińcu rozstawiono stoły na kozłach, na których cieśle ociosywali i heblowali ogromne kłoc drewna. Przy murze opactwa złożono około pięćdziesięciu pni młodych dębów. Wszędzie walały się trociny. Inni rzemieślnicy rzeźbili misterne gzymsy, w świetle ponurego szarego popołudnia skrzyły się jaskrawe barwy.

Barak gwizdnął z podziwu.— Na Boga, co się tu odbędzie?

— Widowisko, jakiego sobie nie wyobrażam.

Staliśmy jeszcze chwilę, obserwując tę niezwykle scenę, zanim dotknąłem ramienia Baraka.

— Chodź. Musimy odnaleźć człowieka, który nas zakwateruje. Nazywa się Simon Craike. — Uśmiechnąłem się. — Poznałem go, dawno temu.

Barak poprawił torby na ramieniu.

— Kiedy?

— Studiował wraz ze mną w Lincoln's Inn. Od tego czasu go nie widziałem. Nie rozpoczął praktyki prawniczej, gdyż podjął pracę w administracji królewskiej.

— Dlaczego? Z powodu zapłaty?

— Tak. Jego wuj pracował dla króla i załatwił mu intratną posadę.

— Co to za człek?

Uśmiechnąłem się ponownie.

— Sam się przekonasz. Ciekawym, czy się zmienił.

Zaprowadziliśmy konie do rezydencji, która chyba znajdowała

się w samym środku gorączkowej krzątaniny. Przez drzwi wbiegali i wybiegali ludzie, a urzędnicy stali na stopniach, wydając polecenia, spierając się i przeglądając plany. Gdy zapytaliśmy strażnika o pana Craike'a, kazał nam poczekać i skinął stajennemu, aby zabrał nasze konie. Po chwili wyższy urzędnik królewski odziany w zieloną aksamitną szatę dał znak, abyśmy zeszli z drogi, inny zaś odepchnął nas na bok, jakbyśmy byli psami.

— Durnie — burknął Barak.

— Chodź, usuńmy się stąd.

Stanęliśmy w rogu rezydencji, obok dwóch niewiast, które kłóciły się z urzędnikiem trzymającym coś przypominającego plan gmachu. Mąż ów pochylił się nisko, tak że plan omal nie zamoczył się w błocie, słuchając, jak bogato odziana dama ciska na niego gromy. Była to trzydziestokilkuletnia białogłowa o brązowych włosach upiętych pod francuskim czepcem ozdobionym perłami, w czerwonej jedwabnej sukni z wysokim kołnierzem. Szlachetnie urodzona. Jej kwadratową, pospolitą twarz wykrzywił gniew.— Czy królowa nie powinna wiedzieć, jak opuścić swe komnaty w razie pożaru? — Usłyszałem, jak mówi głębokim, przenikliwym głosem. — Pytam raz jeszcze, gdzie są najbliższe drzwi i kto ma do nich klucz?

— Nie jestem pewny, pani. — Urzędnik odwrócił plan. — Najbliżej mogą się znajdować drzwi kuchenne...

— Nie interesują mnie przypuszczenia.

Druga z niewiast zauważyła, że przysłuchujemy się rozmowie, uniosła brwi, spoglądając na nas poirytowana. Była szczupła, a jej twarz mogłaby uchodzić za atrakcyjną, gdyby nie malujący się na niej chłód. Brązowe kręcone włosy ukryte pod prostym czepcem nie były związane, co wskazywało, że jest panną choć podobnie jak jej towarzyszka miała trzydzieści kilka lat. Na jej palcu błysnął drogi pierścionek zaręczynowy — diament oprawiony w złoto. Kiedy rzuciła nam kolejne gniewne spojrzenie, szturchnąłem Baraka, dając znak, abyśmy odeszli. Chwilę później uśmiechnąłem się na widok mężczyzny w brązowej szacie, który wyszedł z rezydencji i stanął na schodach, rozglądając się dokoła. Na szyi na niebieskiej tasiemce miał zawieszoną małą deseczkę do pisania. Do niej przymocowano kałamarz i gęsie pióro oraz gruby plik papierów.

Zapamiętałem niespokojne, udręczone spojrzenie Simona Craike'a, lecz mógłbym go po nim nie rozpoznać, jako że minione lata bardzo zmieniły kolegę z dawnych czasów. Dworskie jadło sprawiło, że miał pulchną twarz i okazały brzuch, a gęstwa jasnych włosów niemal zniknęła, pozostawiając po sobie jedynie żółtawą obwódkę. Gdy jednak się odwrócił na moje wołanie, na jego twarz powrócił znękanym wyraz. Uchylił kapeluszy, gdy ruszył ku nam, jedną ręką podtrzymując deseczkę. Drugą uściśnął moją prawicę.

— Kolega Shardlake! Od razu cię rozpoznałem. Upływ czasu obszedł się z tobą łagodnie. Widzę, że nadal masz włosy. Nawet nie posiwiały.

Roześmiałem się.

— To istny cud, zważywszy na sprawy, którymi się zajmowałem.

— Dobry Boże, od naszych studenckich czasów minęło niemal dwadzieścia lat. — Craike uśmiechnął się ponuro. — Świat zmienił się nie do poznania. — Czy królowa nie powinna wiedzieć, jak opuścić swe komnaty w razie pożaru? — Usłyszałem, jak mówi głębokim, przenikliwym głosem. — Pytam raz jeszcze, gdzie są najbliższe drzwi i kto ma do nich klucz?

— Nie jestem pewny, pani. — Urzędnik odwrócił plan. — Najbliżej mogą się znajdować drzwi kuchenne...

— Nie interesują mnie przypuszczenia.

Druga z niewiast zauważyła, że przysłuchujemy się rozmowie, uniosła brwi, spoglądając na nas poirytowana. Była szczupła, a jej twarz mogłaby uchodzić za atrakcyjną, gdyby nie malujący się na niej chłód. Brązowe kręcone włosy ukryte pod prostym czepcem nie były związane, co wskazywało, że jest panną, choć podobnie jak jej towarzyszka miała trzydzieści kilka lat. Na jej palcu błysnął drogi pierścionek zaręczynowy — diament oprawiony w złoto. Kiedy rzuciła nam kolejne gniewne spojrzenie, szturchnąłem Baraka, dając znak, abyśmy odeszli. Chwilę później uśmiechnąłem się na widok mężczyzny w brązowej szacie, który wyszedł z rezydencji i stanął na schodach, rozglądając się dokoła. Na szyi na niebieskiej tasiemce miał zawieszoną małą deseczkę do pisania. Do niej przymocowano kałamarz i gęsie pióro oraz gruby plik papierów.

Zapamiętałem niespokojne, udręczone spojrzenie Simona Craike'a, lecz mógłbym go po nim nie rozpoznać, jako że minione lata bardzo zmieniły kolegę z dawnych czasów. Dworskie jadło sprawiło, że miał pulchną twarz i pokaźny brzuch, a gęstwa jasnych włosów niemal zniknęła, pozostawiając po sobie jedynie żółtawą obwódkę. Gdy jednak się odwrócił na moje wołanie, na jego twarz powrócił znękany wyraz. Uchylił kapeluszy, gdy ruszył ku nam, jedną ręką podtrzymując deseczkę. Drugą uściśnął moją prawicę.

— Kolega Shardlake! Od razu cię rozpoznałem. Upływ czasu obszedł się z tobą łagodnie. Widzę, że nadal masz włosy. Nawet nie posiwiały.

Roześmiałem się.

— To istny cud, zważywszy na sprawy, którymi się zajmowałem.

— Dobry Boże, od naszych studenckich czasów minęło niemal dwadzieścia lat. — Craike uśmiechnął się ponuro. — Świat zmienił się nie do poznania.

— Zaiste. — Pomyślałem o reformie religijnej, likwidacji klasztorów i wielkim powstaniu. Nagle poczułem bolesne ukłucie, przypominając sobie o śmierci ojca. — Słyszałem, że odpowiadasz za zakwaterowanie gości przybywających do Yorku.

— Tak, królewska podróż to największe wyzwanie, z jakim się zetknąłem. Podążam przed królem, aby wszystkiego dopilnować razem z kwatermistrzami. Z powodu deszczu król stale zmienia plany.

— Towarzyszysz królowi od początku?

— Tak. Nie pamiętam równie ogromnego przedsięwzięcia. — Pokręcił głową. — Nie wyobrażasz sobie nawet, przed jakimi problemami stajemy. Najgorsze jest wywożenie odpadków.

Na wszystkich przystankach trzeba kopać duże doły. Tylko pomyśl: trzy tysiące ludzi, pięć tysięcy koni.

— Czy miejscowi nie mogą wykorzystać odpadków jako nawozu?

— Jest tego znacznie więcej niż potrzeba. Panuje niewyobrażalny smród...

— Zaiste.

— Wszystkie rowy przy drodze z Londynu do Hull są pełne nieczystości. To mój koszmar, senny koszmar. — Znowu pokręcił głową. — Moja nieszczęsna małżonka została w Londynie.

— Ożeniłeś się?

— Tak, mam siedmioro dzieci. — Uśmiechnął się z dumą. — A ty?

— Nie jestem żonaty. Nawiasem mówiąc, to mój asystent, pan Barak.

Craike przyjrzał się badawczo Barakowi swoimi jasnoniebieskimi oczami.

— Będziesz go potrzebował. Roboty jest huk. Jeśli o mnie idzie, otaczają mnie sami niekompetentni ludzie. Lepiej się na to przygotuj. Nie mam teraz czasu, lecz rad jestem, że cię ponownie spotkałem. Pokażę wam kwatery.

— To piękny gmach — rzekłem, wskazując głową budynek.

— Tak. Kiedyś była to rezydencja opata. Zatrzyma się w niej król, gdy przybędzie do miasta. Na jego cześć gmach przemianowano na King's Manor. — Może później nadarzy się okazja spotkania, pogadania o dawnych czasach.

— Z radością. Spotkam się z tobą, jeśli zdołam... — Zadrżał na widok dwóch niewiast, które wyszły zza rogu. — Dobry Boże, tylko nie lady Rochford — jęknął.

Spojrzałem przerażony, albowiem dźwięk tego nazwiska wprawiałby w drżenie każdego. Wszyscy trzej skłoniliśmy się pośpiesznie. Gdy unieśliśmy głowy, przyjrzałem się uważniej niewieście o kwadratowej twarzy. Jej upudrowane oblicze nadal wykrzywił grymas gniewu. Wydawała się zdenerwowana i spięta. Jej towarzyska, trzymająca plan pokazany przez urzędnika, zauważyła, że bacznie przyglądam się jej pani i rzuciła mi kolejne ganiące spojrzenie.

— Panie Craike! — prychnęła lady Rochford — Wasz człowiek od planów nie umie odpowiedzieć na najprostsze pytanie. Chcę wiedzieć, czy królowa ma do dyspozycji zapasowe wyjście? Lęka się pożaru od czasu, gdy jako dziewczyna była w Horsham świadkiem sptonięcia domu do fundamentów...

— Przykro mi, pani...

— Cóż mi po tym! Jennet, podaj plan! Szybciej, kobieto!

Jej towarzyska podała szkic. Craike rozłożył plan na deseczce, przypatrywał się mu przez chwilę, a następnie wskazał drzwi. — Tutaj. Najbliżej jest kuchnia Jej Królewskiej Wysokości.

— Drzwi są strzeżone?

— Nie, pani.

— W takim razie będę potrzebowała kluczy. Załatw to. Jennet, za mną! Czemu stoisz jak zbłąkana owca! — Rzekłszy to, lady Rochford wyszarpnęła plan i obie damy oddaliły się, unosząc spódnice, tak by nie pobrudzić ich błotem.

Craike otarł czoło.

— Dobry Boże, ta kobieta to istny potwór.

— Racja, znam jej historię. Kim była jej towarzyszka o skwa-szonej minie?

— To Jennet Marlin, dama do towarzystwa. Ma powody do zmartwienia. Jej narzeczony siedzi w Tower oskarżony o udział w spisku.

— Pochodzi z Yorkshire? — Tak, kazano jej przyjechać do Yorku, gdyż zna okolicę. Nie ma wobec niej najmniejszych podejrzeń. Cała jej rodzina to zwolennicy reform. — Craike skrzywił usta w lekkim niesmaku, który wystarczył, abym pojął, jakie stanowisko zajmuje w sprawach religii. — Chodźcie, zaprowadzę was na kwatery. Obawiam się, że nie są najwygodniejsze, lecz za kilka dni będą tu tysiące ludzi. Tysiące! — Potrząsnął głową.

— Król przyjedzie za cztery dni, prawda?

— Tak, rozesałem ludzi do okolicznych zajazdów, aby sprawdzić, czy wszystko jest w porządku. Zawsze coś może pójść nie tak. Dobry Boże, ileż problemów mieliśmy z powodu lipcowych deszczy. Tyle wozów zostało uszkodzonych bądź ugrzęzło w błocie, że omal nie trzeba było wszystkiego odwołać.

— Jestem pewny, że będzie jak należy — rzekłem z uśmiechem. Nagle przypomniałem sobie Craike'a studenta, przesiadującego do późnych godzin w bibliotece Lincoln's Inn nad ćwiczeniami, otoczonego notatkami, z dłońmi umazanymi atramentem, pilnującego, aby wszystko było dokładnie tak, jak należy.

— Mam nadzieję — odparł z westchnieniem. — Plan podróży ulega ciągłym zmianom, co doprowadza mnie na skraj obłędu. Król miał być w Pontefract dwa dni, a zabawił tam niemal dwa tygodnie. Teraz ruszył do Hull.

— Może chciał dać wam czas na dokończenie owych pawilonów przed rezydencją. Na co je szykujecie?

Craike rozejrzał się niepewnie.

— Przepraszam, lecz nie mogę powiedzieć. Ogłoszą to, gdy król przybędzie do Yorku. — Skręcił w bok, wiodąc nas w stronę klasztornej kościoła. — Budowa owych pawilonów jest koszmarem, istnym koszmarem!

Barak spojrział na jego plecy z uśmiechem. Od czasu poznania dziewczyny jego nastrój wyraźnie się poprawił.

— Zawsze taki był? — wyszeptał.

— Był najpilniejszym studentem, jakiego znałem. Zawsze musiał mieć wszystko w najlepszym porządku.

— Gwarantowany sposób, aby dostać ataku serca.

Roześmiałem się.

— Chodź, w przeciwnym razie nas zostawi. Kiedy dotarliśmy do kościoła, okazało się, że wiele witraży usunięto, inne zaś zostały uszkodzone. W pewnej odległości od nas na drabinie stał ciemnowłosy mężczyzna w średnim wieku i ostrożnie wyjmował szybę. U stóp drabiny olbrzymi czarny koń skubał trawę przy wozie z wysoką skrzynią.

— Zdjęto witraże — zauważyłem, zwracając się w stronę Craike'a. — Kościół będzie wyglądał ponuro, gdy przybędzie król.

— Szklarz stara się usunąć jak najwięcej okien przed przyjazdem dworu, albowiem król chce, aby świątynia wyglądała na nieużywaną.

Na dźwięk naszych głosów szklarz przerwał pracę i spojrzał w dół. Miał wąską, zatroskaną twarz i przenikliwe, czujne oczy.

— Jak idzie robota, mistrzu Oldroyd?! — zawołał Craike.

— Dobrze, panie. Dziękuję.

— Zdązysz usunąć wszystkie witraże przed przybyciem króla?

— Tak, panie. Będę przyjeżdżał codziennie o świcie, dopóki nie skończę roboty.

Craike wprowadził nas po zniszczonych stopniach do wnętrza kościoła. Wielkie wrota były na wpół otwarte, a błotniste ślady wiodły do środka, wskazując, że świątynię zamieniono w drogę publiczną.

Kiedyś była to wspaniała budowla. Ogromne, misternie zdobione łuki i wysokie kolumny pomalowano zieloną farbą i ochrą. Posadzki pokrywały barwne mozaiki. Gdyby oświetlić wnętrze świecami, przedstawiałoby imponujący widok, jednak liczne puste otwory okien rzucały przyćmione, chłodne światło na boczne, pozbawione mebli kaplice i nisze ogołoczone z posągów, których kawałki leżały rozsypane na posadzce. Ślady błota i rozbitych płytek wskazywały drogę na skróty do kolejnych na wpół otwartych drzwi na południowym końcu nawy. Nasze kroki pobrzmiwały upiornym echem w zdewastowanym kościele, w ciszy osobliwie kontrastującej z gwarem panującym na zewnątrz. Przeszedł mnie zimny dreszcz.

— Zimno tu — przytaknął Craike. — Jesteśmy w pobliżu rzeki. To wilgotne, mgliste miejsce.

Zauważyłem, że wzdłuż muru wzniesiono mnóstwo drewnianych boksów. W niektórych stały konie, lecz większość była pusta. W nawie piętrzyły się stogi słomy.

Barak wskazał jedną z przegród.

- Popatrz, Sukey i Genesis.
- Urządziliście tu stajnie? — spytałem z niedowierzaniem.
- Znajdą tu miejsce konie dworzan i starszych sług. To mądre wykorzystanie przestrzeni, choć może się wydać świętokradztwem, nawet jeśli kościół został wcześniej sprofanowany.

Przez południowe drzwi wyszliśmy na drugi rozległy dziedziniec równie gwarny jak poprzedni. Wzdłuż murów stały kolejne budynki, dostrzegłem też następną olśniewającą bramę i mniejszy kościół, przypuszczalnie parafialny, jako że nie został jeszcze rozebrany. Na dziedzińcu wyładowywano z fur różne towary: worki jabłek i gruszek, naręcza świec oraz liczne bele siana. Słudzy przenosili je do budynków i prowizorycznych baraków. Wzniesiono też szereg zagród, w których stały owce, krowy, a nawet kilka jeleni. Obok nich spostrzegłem stado kilkuset sztuk ptactwa domowego, które dziobało nagą ziemię. Były tam kury, kaczki, indyki, a nawet dwa wielkie dropie. Nieopodal grupa robotników układała rury w wykopie sięgającym południowego muru klasztoru. Za nim, przez otwartą bramę, ujrzałem nadrzeczną równinę i szary nurt rzeki. Pokręciłem głową.

- Nigdy nie widziałem robót zakrojonych na taką skalę.
- W piątek trzeba będzie nakarmić trzy tysiące ludzi. Chodźcie tędy. — Craike poprowadził nas obok zagród dla zwierząt w kierunku dużego dwupiętrowego domu. — Mnisi prowadzili tu szpital — rzekł przepaszająco. — Podzieliliśmy go na pokoje. Zakwaterowano tu większość prawników. Sługom przygotowano jedynie nędzne namioty.

Mała grupka urzędników stała w drzwiach, prowadząc rozmowę. Niektórzy trzymali czerwoną laskę odźwiernych strzegących królewskich pałaców przed intruzami. Rosły, krzepki mężczyzna w prawniczej todze, przewyższający innych o głowę, wypytywał o coś pozostałych. Craike zniżył głos.

- To sir William Maleverer, prawnik, członek Rady Północy. Sprawuje całościowy nadzór nad zagadnieniami prawnymi i bezpieczeństwem.

Craike podszedł i zakasał, aby zwrócić jego uwagę. Mężczyzna spojrzał poirytowany w naszą stronę. Miał czterdzieści kilka lat, twarde, toporne rysy i czarną prostą brodę, która była

ostatnio w modzie. Przyjrzał się nam uważnie chłodnymi, czarnymi oczami.

- Kogóż to mi sprowadzasz, panie Craike i ta twoja urzędnicza deseczka? — rzekł Maleverer z głębokim północnym akcentem. Przypomniałem sobie, że w Radzie Północy zasiadali miejscowi lojaliści.
- To kolega Matthew Shardlake z Londynu, sir Williamie, oraz jego asystent.
- Będziesz waść rozpatrywał petycje zanoszone do króla, nieprawdaż? — Maleverer spojrzał na mnie pogardliwie, jakby sądził, że otrzymał wysoki urząd lub ma prosty grzbiet z powodu jakowejś cnoty. — Spóźniliście się.
- Wybaczcie panie, mieliśmy trudną drogę.

- Będziecie musieli przejrzeć sprawy na piątek, razem z kolegą Wrenne'em.
- Jużem się z nim widział.

Maleverer mruknął coś pod nosem.

- To stara baba. Nie mam zamiaru wtrącać się w wasze sprawy, mam dość własnych. Dopilnujcie jeno, aby na czwartek rano przygotować streszczenie petycji dla kancelarii szambelana.
- Jestem pewien, że damy sobie radę.

Spojrzał na mnie ponownie z powątpiewaniem.

- W piątek staniesz waszmość przed królem. Mam nadzieję, że masz lepsze szaty od tych ubłoconych.
- W bagażu, panie. — Wskazałem na torby, które Barak poprawił na ramieniu.

Maleverer skinął szorstko głową i odwrócił się do swych towarzyszy. Barak zrobił do mnie minę, gdy wchodziliśmy do środka. Wewnątrz budynku panował mrok. Dostrzegłem małe łukowate okna i ogień płonący na środku kamiennej podłogi. Ze ścian zeszkrobano polichromie z religijnymi scenami, co nadało wnętrzu zaniedbany wygląd. Sala została podzielona na kabiny drewnianymi ściankami. Odniosłem wrażenie, że w środku nie było nikogo — pewnie wszyscy wyszli do pracy.

- Surowy człowiek z sir Williama — zauważyłem cicho.
- Jak wszyscy członkowie Rady Północy — odparł Simon Craike. — Cieszę się, że niewiele mam z nim do czynienia. — Przerwał, spoglądając na mnie przepraszającym wzrokiem. — Pozwoliłem sobie dać wam sąsiednie pomieszczenia. W przeciwnym razie pan Barak musiałby zostać zakwaterowany w namiocie dla służby. Mamy tu tylu ludzi rozmaitej rangi, że trudno dać każdemu należne miejsce.
- Nie mam nic przeciwko temu — odparłem z uśmiechem. Spojrzał na mnie z wyraźną ulgą. Zaczął szukać czegoś na swojej małej deseczce, a następnie odnalazł skrawek papieru i poprowadził nas wzdłuż szeregu kabin. Na wszystkich drzwiach widniały numery.
- Osiemnaście i dziewiętnaście, wasze pokoje, panowie. — Zaznaczył coś na kartce i uśmiechnął się ponownie. — Miło spotkać dawnego kolegę. Niestety, muszę was teraz opuścić.
- Rozumiem. Mam nadzieję, że spotkamy się kiedyś przy kuflu piwa.
- Z przyjemnością, jeśli czas pozwoli. Wszystko to... — skinął ręką w kierunku dziedzińca — ...to senny koszmar. — Skłonił się i szybko odszedł, spoglądając na listę umieszczoną na deseczce.
- Zobaczmy nasze kwatery — rzekłem do Baraka. W drzwiach kabiny tkwił klucz, który przekręciłem. Wewnątrz pomieszczenia znajdowała się jedynie mała skrzynia na ubranie i wysuwane łóżko. Zzułem buty do konnej jazdy i wyciągnąłem się na nim z westchnieniem ulgi. Po kilku minutach rozległo się pukanie i do środka wszedł Barak. Był bez butów, a w rękę trzymał moją torbę. Usiadłem.
- Na Boga, twoje stopy śmierdzą — rzekłem. — Pewnie tak samo jak moje.

— Nie zaprzeczę.

Wyczułem zmęczenie w jego głosie.

— Wykorzystajmy dzisiejsze popołudnie na odpoczynek — zaproponowałem. — Pośpijmy do wieczery.

— W porządku. — Pokręcił głową. — Ależ zamieszanie. Nigdy nie widziałem tyle dobra i zwierząt w jednym miejscu. Nie wiem, jaką sekretną uroczystość planują, zadbali jednak, aby miała należytą oprawę.

Pstryknąłem palcami.

— Te pawilony coś mi przypominają — rzekłem. — Już wiem, Pole Żłotogłowie.

— Kiedy król udał się do Calais na spotkanie króla Francji?

— Tak, dwadzieścia lat temu. W ratuszu jest obraz przedstawiający tę uroczystość. Wzniesiono wówczas identyczne pawilony, olbrzymie namioty ozdobione żłotogłowie. Od tego wzięło nazwę spotkanie. Oczywiście, Lucas Hourenbout wzorował się na ich projekcie.

— Na jaką ceremonię je szykują?

— Nie mam pojęcia, pewnie planują jakąś wielką galę. Proponuję, abyśmy powściągnęli ciekawość i zajęli się własnymi sprawami.

— Jak szare myszki?

— Dokładnie.

— Jest tu lady Rochford. Na miły Bóg, lepiej trzymać się od niej z daleka.

Spojrzałem na niego poważnie.

— Masz słuszność, brała udział w najmroczniejszym ze spisków twojego dawnego pana.

Barak poruszył się niezręcznie. Thomas Cromwell wykorzystał Jane Rochford do zdyskredytowania królowej Anny Boleyn. Pięć lat wcześniej oskarżył ją o rozwiązłość. Dowody dostarczone przez lady Rochford należały do najbardziej odrażających: zeznała ona, że jej mąż i brat królowej, George Boleyn, utrzymywał kazirodcze stosunki z królową. Podobnie jak większość ludzi miałem pewność, że dowody przeciwko niej zostały sfabrykowane z przyczyn politycznych.

— Jej osoba stała się synonimem najgorszej zdrady — ciągnąłem dalej. — Sowiec ją za to nagrodzono. Stała się osobistą damą dworu Jane Seymour, a później Anny Kliwijskiej i Katarzyny Howard.

— Nie wyglądała na szczególnie zadowoloną, prawda?

— Masz rację. Coś musiało się kryć za jej wybuchem gniewu. Niezbyt człowiekowi przyjemnie, gdy ma świadomość, że cały świat go nienawidzi. Miejmy nadzieję, że więcej jej nie ujrzymy.

- Czekają cię spotkanie z królem.
- Na to wygląda. — Potrząsnąłem głową. — Nie wiem czemu, nie mogę się oswoić z tą myślą.
- Musisz też nadzorować więźnia, którego trzymają w zamku. Nie masz wyboru.
- Kiedy król udał się do Calais na spotkanie króla Francji?
- Tak, dwadzieścia lat temu. W ratuszu jest obraz przedstawiający tę uroczystość. Wzniesiono wówczas identyczne pawilony, olbrzymie namioty ozdobione złotogłowiem. Od tego wzięto nazwę spotkania. Oczywiście, Lucas Hourenbout wzorował się na ich projekcie.
- Na jaką ceremonię je szykują?
- Nie mam pojęcia, pewnie planują jakąś wielką galę. Proponuję, abyśmy powściągnęli ciekawość i zajęli się własnymi sprawami.
- Jak szare myszki?
- Dokładnie.
- Jest tu lady Rochford. Na miły Bóg, lepiej trzymać się od niej z daleka.

Spojrzałem na niego poważnie.

- Masz słuszną rację, brała udział w najmroczniejszym ze spisków twojego dawnego pana.

Barak poruszył się niezręcznie. Thomas Cromwell wykorzystał Jane Rochford do zdyskredytowania królowej Anny Boleyn. Pięć lat wcześniej oskarżył ją o rozwiązłość. Dowody dostarczone przez lady Rochford należały do najbardziej odrażających: zeznała ona, że jej mąż i brat królowej, George Boleyn, utrzymywał kazirodcze stosunki z królową. Podobnie jak większość ludzi miałem pewność, że dowody przeciwko niej zostały sfabrykowane z przyczyn politycznych.

- Jej osoba stała się synonimem najgorszej zdrady — ciągnąłem dalej. — Sowiec ją za to nagrodzono. Stała się osobistą damą dworu Jane Seymour, a później Anny Kliwijskiej i Katarzyny Howard.
- Nie wyglądała na szczególnie zadowoloną, prawda?
- Masz rację. Coś musiało się kryć za jej wybuchem gniewu. Niezbyt człowiekowi przyjemnie, gdy ma świadomość, że cały świat go nienawidzi. Miejmy nadzieję, że więcej jej nie ujrzymy.
- Czekają cię spotkanie z królem.
- Na to wygląda. — Potrząsnąłem głową. — Nie wiem czemu, nie mogę się oswoić z tą myślą.
- Musisz też nadzorować więźnia, którego trzymają w zamku. Nie masz wyboru.— Słusznie, zamierzam jednak zadawać jak najmniej pytań. — Opowiedziałem Barakowi o

tym, czego dowiedziałem się na zamku w Yorku, o okrucieństwie Radwintera i nieoczekiwanym ataku Brodericka. Nie wspomniałem jedynie o tym, co strażnik rzekł na temat sympatii, którą okazałem więźniowi. Wysłuchawszy mojej opowieści, Barak zamyślił się głęboko.

— Niewielu ludzi potrafi się zajmować niebezpiecznymi więźniami, pilnować ich i strzec. Lord Cromwell wielce ich ceniał. — Spojrzał na mnie poważnym wzrokiem. — Myślę, że masz rację. Nie zbliżaj się do żadnego z nich bardziej niż to konieczne.

Odszedł, mówiąc, że zbudzi mnie na wieczerzę. Po chwili usłyszałem skrzypienie i głośne westchnienie, gdy padł na łożo w sąsiednim pomieszczeniu. Zamknąłem oczy i natychmiast zasnąłem. Śniło mi się, że ojciec woła mnie zza drzwi. Jego głos był wyraźny i energiczny, kiedy jednak powstałem z łoża, aby się doń przyłączyć, drzwi okazały się grube i ciężkie jak te, które znajdowały się w celi Brodericka. Na dodatek zamknięte.

Barak miał godną pozazdroszczenia zdolność budzenia się o żądanej porze, rzadko też przesypiał wyznaczony czas. Jego pukanie przerwało mój niespokojny sen. W izbie panował półmrok. Wyjrzałem przez okno i zobaczyłem, że słońce stoi nisko na niebie. Spotkaliśmy się w holu. Byli tam teraz inni ludzie: urzędnicy i dwaj prawnicy w czarnych szatach, młodszy koledzy. Jeden z nich, niski, szczupły mężczyzna, który stał przy ogniu, ogrzewając ręce, zauważył, że patrzę i złożył mi pokłon.

— Przybyliście niedawno, panie? — zapytał, spoglądając na mnie ciekawie dużymi oczami.

— Tak, jestem Matthew Shardlake z Lincoln's Inn, a to mój pomocnik, pan Barak. Mamy pomagać w rozpatrywaniu petycji zanoszonych do króla.

— Rozumiem — odparł z podziwem, uśmiechając się przymilnie. — Nazywam się Paul Kimber, panie. Także z Lincoln's Inn. — Skłonił się ponownie.

— Czym się waszmość zajmujesz podczas królewskiej podróży?

— Nadzoruję umowy podpisywane z dostawcami, pracuję w biurze kwatermistrza. Służę pomocą. Towarzyszę królowi od początku. Prowadzenie negocjacji z tymi barbarzyńcami z północy to ciężka robota. — Zaśmiał się pogardliwie.

— Wiesz waść, gdzie podadzą wieczerzę? — zapytałem.

— We wspólnej jadalni. Będziemy wieczerzać w zgiełku, z urzędnikami i cieślami. Musisz, panie, wystarać się o kwit poświadczający, że jesteś uprawniony do spożywania jadła przy królewskim stole.

— Gdzie go można otrzymać?

— W kancelarii Wielkiej Sali. — Zmarszczył nos. — Nie wiem, gdzie się obecnie znajduje. Przenieśli ją dzisiaj do większych pomieszczeń w oczekiwaniu na przyjazd króla.

— Damy sobie radę.

Wyszliśmy na zewnątrz, czując w powietrzu dym jesiennych ognisk. Lekko zadrzałem, wilgotne powietrze dawało się bowiem teraz bardziej we znaki. Nieopodal ogorzali słudzy karmili zwierzęta stłoczone w prowizorycznych zagrodach.

— Przejdźmy przez kościół — poprosiłem. — Rezydencja jest tuż obok.

Po chwili echo naszych kroków zadudniło we wnętrzu klasztornej kościoła. W środku panował chłód, cienie uległy wydłużeniu, a jedynym dźwiękiem były odgłosy koni kręcących się w boksach. Wyszliśmy przez główne drzwi na przedni dziedziniec. Robotnicy w dalszym ciągu piłowali drewno i malowali. Nigdy nie widziałem, by tak wielu ludzi pracowało w tak szybkim tempie. Dwaj słudzy wyładowywali z wozu kandelabry z białymi łojowymi świecami i podawali innym. Wiele namiotów rozświetlały palące się w środku lampy.

— Zamierzają pracować w nocy? — spytał Barak.

— Na to wygląda. Miejmy nadzieję, że nie będzie padać.

Odwrociłem się, słysząc brzęk. Szklarz Oldroyd, którego

ujrzałem kilka godzin temu, prowadził swojego wielkiego konia. Było to jedno z owych ogromnych czarnych zwierząt z Midland — największych i najsilniejszych w kraju. Koń ciągnął wóz o wysokich burtach wypełniony witrażami.

— Mielicie, waszmość, udany dzień? — spytałem.

— Pracowity dzień, panie — odparł cicho. Kiedy dotknął runda kapelusza, zauważyłem, że jego dłoń jest poznaczona małymi bliznami będącymi bez wątpienia znakiem jego fachu. — Pozwolili, abym zatrzymał szyby i ołów jako zapłatę za moją pracę.

— Co z nimi uczynisz?

— Trafiają do domów szlachty. Mityczna bestia lub oracz nadadzą się na środkową część okna, będą też tańsze od nowego witraża. — Przerwał na chwilę. — Nakazano mi stopić figury przedstawiające mnichów i świętych. Szkoda, niektóre są niezwykle piękne. — Nagle stanął i rzucił mi niespokojne spojrzenie, albowiem słowa takie mogły zostać poczytane za krytykę polityki króla. Uśmiechnąłem się, aby okazać, że nie poczułem się urażony jego słowami. Przez chwilę myślałem, że powie coś więcej, lecz on jedynie spuścił głowę i powiodł swojego ogromnego konia ku bramie.

Zwróciłem się w stronę namiotów, ciekaw, czy uda mi się dostrzec Lucasa Hourenbouta. Barak zapytał kilku przechodzących urzędników, gdzie jest kancelaria Wielkiej Sali, lecz zaprzeczyli ruchem głowy. Wszyscy sprawiali wrażenie zabieganych. Westchnął, wskazując w stronę małej wartowni przy bramie, obok której stał żołnierz sprawdzający wchodzących i wychodzących.

— Spytajmy go.

Podeszliśmy do bramy. Młody sierżant w szkarłatnej liberii królewskiej straży przybocznej sprawdzał dokumenty woźnicy. Miał dwadzieścia kilka lat, był wysoki, o włosach jak len, z urodziwą, przyjazną twarzą. Zajrzałem do budki i na półce przy oknie dostrzegłem Nowy Testament, jeden z tych, w których drobnym drukiem objaśniono znaczenie wybranych słów.

— W porządku — rzekł, oddając papiery. Woźnica wprowadził konia na dziedziniec.

— Wiesz, gdzie jest kancelaria Wielkiej Sali? — spytał Barak. — Przyjechaliśmy rano, jesteśmy głodni.

— Przykro mi, nie mam pojęcia, panie — odrzekł. — Słyszałem, że przeniesiono ją w nowe miejsce.

— Wszyscy to powtarzają.

— Ten człowiek ma dobre pierogi. — Młody sierżant skinął głową w kierunku kramarza zachwalającego cieślom swój towar. Interes szedł mu znakomicie. — Masz ochotę na kolejnego pierożka? — spytał Barak.

— Lepsze to niż błąkanie się cały wieczór o pustym brzuchu.

Barak podszedł do kramarza. Człek ów złożył mu głęboki

pokłon, świadom, że jest teraz na królewskiej ziemi.

— Dzięki — rzekłem do wartownika.

— Nie ma za co, panie. Wielki tu dziś rejwach i zamieszanie.

— Skąd jesteście, sierżancie? — spytałem, wyczuwając w jego głosie południowy akcent.

— Z Kentu, panie.

— Tak mi się zdawało. Pracowałem tam kilka lat temu.

— Większość żołnierzy zabezpieczających królewską podróż sprowadzono z Kentu. W piątek razem z królem przybędzie sześćuset naszych łuczników. Król wie, że jesteśmy najlepsi w kraju, najbardziej oddani.

— Widzę, że się uczysz? — Wskazałem głową książkę.

Zapłonął rumieńcem.

— Nasz kapelan powiada, że wszyscy powinni umieć czytać.

— To prawda. Życzę miłego wieczoru, sierżancie —' rzekłem na odchodnym, przyłączając się do Baraka.

Stanęliśmy, jedząc pierogi i obserwując rzemieślników. Był to zaiste niezwykły widok: ludzie nawoływali jedni drugich, wokół płonęły setki lamp, a wartownicy patrolowali wysokie mury, zbrojni w piki i rusznice. Spojrzałem w stronę ogromnej, ponurej bryły kościoła, której kontury rysowały się na tle ciemniejącego nieba.

— Nie miałbym nic przeciwko pójściu spać — oznajmił Barak.

— Ani ja. Nie spaliśmy ostatniej nocy.

Wróciliśmy do domu, w którym wyznaczono nam kwatery. Chociaż o tej porze rojło się w nim od prawników i urzędników królewskich, byliśmy tak zmęczeni, że mogliśmy ich jedynie pozdrowić i powlec się do naszych pomieszczeń. Zasnąłem natychmiast.

Przebudziłem się bardzo wcześnie rano, nareszcie wyspany. Przed chwilą wzeszło słońce, zewsząd więc dochodziły odgłosy chrapania i postękiwania. Rzadko się zdarzało, abym wstał przed Barakiem. Zwlekłem się z łoża i ubrałem w milczeniu, pocierając dłonią zarośnięte policzki. Pomyślałem, że powinienem się ogolić.

Wyszedłem cicho na zewnątrz. Wokół panował półmrok, powietrze wypełniała biała, nieruchoma mgielka. Zdałem sobie sprawę, że po raz pierwszy od czasu naszego przybycia w opactwie Świętej Marii panowała cisza. Ustały nawoływania i skrzywienie pił, ucichł tupot kroków. Zwierzęta stały nieruchomo w zagrodach, buchając parą z pysków. Przeszedłem dziedziniec, kierując się w stronę kościoła, stawiając bezgłośnie kroki na trawie. Po wilgotnych źdźbłach odgadłem, że w nocy musiało padać. Dach ginął we mgle. Pomyślałem, że jeszcze dwa lub trzy lata temu o tej porze zakonnicy odprawiali tu nabożeństwo.

Postanowiłem przejść przez kościół, aby zobaczyć, co się dzieje na głównym dziedzińcu. Przez okna wpadało do środka przyćmione światło, lecz wszystkie boczne kaplice, w których kiedyś zapalano świece przed obrazami świętych, były teraz puste i pogrążone w mroku. Podszedłem do koni i zagadałem do Genesis i Sukey, a następnie ruszyłem dalej. W połowie drogi usłyszałem ze zdumieniem brzęk i odgłos skrobania. Podniosłem głowę i ujrzałem mistrza Oldroyda nacinającego ołowianą "ramę witraża.

Wyszedłem na główny dziedziniec. Tu także panowała cisza, we mgle majaczyły upiorne kształty pawilonów. Brama do Bootham była zamknięta, a wartownik oparty o pikę ziewał sennie. Dostrzegłem słabe migotanie w oknie rezydencji opata, kilku urzędników stało w drzwiach, przestępując z nogi na nogę i pokastując.

— Panie Shardlake! — Odwróciłem się na dźwięk kobiecego głosu. W moją stronę szła Tamasin ubrana w ładną pelerynę z kapturem uszytą z czesankowej wełny. Przystanąłem.

— Panienska Reedbourne.

— Dzień dobry, panie — rzekła, dygając. — Rada was widzę. Chciałabym podziękować wam jak należy za wczorajszą pomoc. — Rozejrzała się wokół, próbując przeniknąć mgłę. — Czy pan Barak jest z wami?

— Jeszcze śpi — odrzekłem. — Nie wstaliście za wcześnie, panienko? — spytałem, myśląc o wczorajszej przygodzie. Dobrze się stało, że do ataku doszło, gdy przejeżdżaliśmy w pobliżu. Uśmiechnęła się.

— Muszę się spotkać z moją panią, Jennet Marlin, a później odwiedzić kucharzy. Lady Rochford nie jest zadowolona ze sposobu urządzenia kuchni królowej. Moją panią czeka pracowity dzień, więc postanowiła zabrać się wcześniej do roboty.

Przyjrzałem się jej uważnie. Zatem była na służbie u Jennet Marlin, owej skwaszonej niewiasty, która towarzyszyła wczoraj lady Rochford.

— Obawiam się, że panna Marlin też śpi — rzekła dziewczyna, otulając się szczelnie peleryną.
— Mam tu na nią czekać.

Skinąłem głową.

- Muszę ruszać — oznajmiłem.
- Może uda mi się spotkać ponownie pana Baraka — ciągnęła dalej, niezrażona moją chłodną reakcją. — Chciałabym mu podziękować.
- Będziemy bardzo zajęci, wątpię, aby nasze drogi się skrzyżowały.
- To możliwe, skoro zakwaterowano nas w jednym miejscu...

Przerwała i oboje obejrzelśmy się za siebie, słysząc przeraźliwy kwik dolatujący przez mgłę od kościoła — straszliwy, zwierzęcy ryk, nieludzko doniosły, który sprawił, że włosy na karku stanęły mi dęba. Urzędnik w czerwonej szacie, oglądający postęp robót, stanął jak wryty z szeroko otwartymi ustami.

- Dobry Jezu, a cóż to takiego... — wyjąkała dziewczyna. Przerazający dźwięk rozległ się ponownie, bliżej nas i nagle z mgły wyłonił się ogromny zamazany kształt. Uderzył odzianego w czerwoną szatę urzędnika, powalając go na ziemię niczym kręgle, a następnie skoczył przed siebie wprost na nas.

Rozdział piąty

Okazało się, że to olbrzymi koń szklarza. Rozpoznałem go w tej samej chwili, w której chwyciłem dziewczynę i uskokiłem w bok, czując powiew wiatru i woń potu biegnącego zwierzęcia. Omal nie upadłem. Na szczęście Tamasin wykazała się dobrym refleksem, opierając dłoń na moim grzbiecie i pomagając mi utrzymać się na nogach. Nie lubię, gdy obcy mnie dotykają, lecz w owym momencie prawie tego nie zauważyłem. Patrzyliśmy w zdumieniu na wielkiego konia, który podbiegł do muru i stanął osaczony, drżąc, dziko przewracając ślepiami i tocząc pianę z pyska.

- Nic ci się nie stało? — spytałem dziewczynę.
- Nie, panie. — Spojrzała na mnie dziwnym wzrokiem. — Ocaliłeś mi życie.
- Zwaliliby nas tylko z nóg — rzekłem opryskliwie. — Spójrz, tamten już się podnosi. — Wskazałem na urzędnika obalonego przez konia. Człowiek w ubłoconej czerwonej szacie z grymasem bólu dźwigał się na nogi. Z dawnej rezydencji opata wybiegli ludzie, słysząc zgiełk. Dostrzegłem wśród nich dwóch wartowników z dobytymi mieczami. Podeszli do konia, który wydawszy kolejne przeraźliwe rzenie, odwrócił się na zadnich nogach i wierzgnął, powodując, że tamci odskoczyli w pośpiechu, albowiem jego ogromne, pokryte sierścią kopyta mogłyby roztrzaskać czaszkę. Patrzyłem ze zdumieniem na zwierzę, które wczorajszego wieczoru minęło mnie tak spokojnie. Co je tak przeraziło?— Zostawcie go! — zawołał jeden z ludzi. — Odstąpcie! Uspokoi się.

Tłum się cofnął, otaczając konia półkolem. Zwierzę stało nieruchomo, drżąc i wpatrując się w ludzi przerażonymi oczami.

- Dobry Boże, co się stało? Nic ci nie jest, Shardlake? — Odwróciłem się na dźwięk znajomego głosu. Craike stał obok, przypatrując się zbiegowisku z otwartymi ustami.
- Wszystko w porządku. To koń szklarza, coś go spłoszyło.

— Mistrza Oldroyda? — Craike rozejrzał się wokół. — Gdzie on?

— Nie mam pojęcia.

Spojrzał na przerażone zwierzę.

— To wyjątkowo spokojny koń. Nie trzeba go było przywiązywać. Mistrz Oldroyd zostawiał go zwykle przy wozie, aby skubał trawę.

Spojrzałem na niego.

— Pójdiesz ze mną, aby zobaczyć, co się stało? .

Tłum gęstniał z każdą chwilą. Wokół kręcili się słudzy i na wpół ubrani rzemieślnicy, którzy wyszli z namiotów. Dostrzegłem sierżanta, z którym rozmawiałem wczorajszego wieczoru, podbiegającego z małą grupką żołnierzy.

— Tak — odparł Craike. — Pójdę. — Spojrzał na Tamasin stojącą obok mnie. — Jestem zdumiony, że wstałaś tak wcześnie i przysłałaś tu sama, dziewczyno.

— Czekam na pannę Marlin.

— Myślę, że powinniśmy zajrzeć do środka — powiedziałem zdecydowanym głosem.

Tamasin zawahała się, a następnie dygnęła i odeszła. Craike ruszył w kierunku sierżanta, a ja podążyłem jego śladem. Zauważyłem, że Tamasin przystanęła na skraju tłumu i obserwuje, co się dzieje. Przypomniałem sobie dotyk jej dłoni na plecach i spojrzałem za siebie. Weszła do domu.

Craike przemówił do sierżanta. W sposób typowy dla pewnych nerwowych ludzi potrafił zachować spokój w chwili prawdziwego kryzysu.

— Koń należy do rzemieślnika wyjmującego witraże z okien kościoła. Lękam się, że spotkało go coś złego. Weźmiecie jednego człowieka i pójdziecie z nami?— Tak, panie.

— Każcie pozostałym strzec konia i dopilnować, aby ludzie wrócili do swoich obowiązków. Poślijcie kogoś, aby zawiadomił sir Williama Maleverera. Jak się nazywacie?

— George Leacon, panie. — Sierżant wydał szybko polecenia swoim ludziom, wybrał jednego z towarzyszy, rosteo i krzepkiego jak on, a następnie chwycił pikę i ruszył w stronę kościoła.

W dalszym ciągu podwórzec wypełniała gęsta mgła. Stąpaliśmy ostrożnie wzdłuż wilgotnej schodni, którą położono po prawej stronie kościoła. Żałowałem, że nie ma z nami Baraka. Nagle doleciał mnie skrzyp zamykanych zardzewiałych drzwi.

— Słyszałeś? — spytałem Craike'a.

— Nie.

— Niczym dźwięk zamykanych drzwi.

— Co to takiego? — Craike wskazał duży brązowy kształt, który wyłonił się z mgły tuż przed nami. Podeszliśmy bliżej i rozpoznaliśmy wóz szklarza, o który oparto drabinę.

— Gdzie on jest? — zdumiał się Craike. — Przez tę cholerną mgłę nic nie widać. Mistrzu Oldroyd! — zawołał donośnie. Żołnierze poszli za jego przykładem, nawołując we mgle. Żadnej odpowiedzi, żadnego dźwięku.

— Musiał zostawić konia, aby paść się na trawie. Co tak go przeraziło?

Żołnierze powtórzyli wołanie. Przyjrzałem się wozowi. Drabina opierała się o niego pod dziwnym kątem, tuż nad skrzynią. Nagle ogarnęło mnie złe przeczucie. Dotknąłem ramienia Leacona.

— Możecie mnie podsadzić, sierżancie? Chciałbym zajrzeć do środka.

Młodzieniec skinął głową i pochylił się, czyniąc stopień z dłoni. Chwyćłem za wierzchołek wozu i podciągnąłem się. Usłyszałem dźwięk rozdieranej szaty, przeciętej przez kawałek szkła tkwiący w drewnie. Wówczas, gdy sierżant nadal trzymał moje stopy, pochyliłem się nad krawędzią i ujrzałem jeden z najbardziej przerażających widoków, jakie oglądałem w życiu.

Skrzynia była w trzech czwartych wypełniona kawałkami rozbitych witraży. Mistrz Oldroyd spoczywał na plecach na kupie szkła, a jego ciało w kilku miejscach przebijały ostre krawędzie. Duży zakrwawiony kawałek szkła, ostry niczym

miecz, przechodził przez tułów i sterczał w górę z jego brzucha. Błada twarz Oldroyda znajdowała się tuż poniżej mojej, oczy miał zamknięte. Krew pokrywała odłamki znajdujące się pod jego ciałem.

Z trudem przełknąłem ślinę.

— Jest tutaj! — zawołałem. — Nie żyje!

— Niech mnie któryś podsadzi — usłyszałem polecenie Craike'a i chwilę później jego twarz ukazała się z drugiej strony wozu. Wzdrygnął się gwałtownie. — Dobry Jezu, musiał spaść z drabiny. — Zwrócił się do miejsca, w którym stała grupka ludzi i zawołał: — Tutaj! Niech no czterech się tu wdrapie! Stańcie na ramionach kompanów. Trzeba wyciągnąć ciało!

Usłyszałem skrobanie po omacku i po chwili moim oczom ukazały się głowy i ramiona czterech krzepkich robotników. Wszyscy sprawiali wrażenie zaszokowanych tym, co ujrzeli, lecz mimo wahania pochylili się nad ciałem Oldroyda. Chwycili go za ręce i nogi, podnosząc. Kiedy ciało ściągano z kawałka szkła, z rany trysnęła krew. Omal nie upadłem na ziemię, widząc, że szklarz szeroko otworzył oczy.

— Żyje! — krzyknąłem, spoglądając w strachu na robotników.

Opuścili go ponownie na popękane szyby, które wydały przeraźliwy chrzęst.

Oldroyd nie odrywał ode mnie wzorku. Chciał unieść ramię, a jego wargi poruszały się tak, jakby próbował coś powiedzieć. Pochyliłem się nad nim na tyle, na ile starczyło mi odwagi. Sięgnął ku mnie i chwycił skraj szaty upiorną, zakrwawioną ręką. Konwulsyjnie uczepiłem się skrzyni, lękając się, iż mogę runąć twarzą na popękane kawałki szkła.

— Król... król...

— Co z nim? Kto? — spytałem drżącym głosem, albowiem serce niespokojnie łomotało w mej piersi.

— Żadne dziecko Henryka i... — wycharczał, kaszląc krwią. — Żadne dziecko Henryka i Katarzyny Howard nie może być ich prawowitym dziedzicem!

— Co? Co powiadasz?

— Ona wie. — Drgnął konwulsyjnie. — Blaybourne... — wyszeptał rozpaczliwie, wpatrując się we mnie niebieskimi oczami, jakby w ten sposób chciał się uczepić życia. — Blaybourne... — Przerwał, z trudem łapiąc powietrze. Jego uścisk osłabł,

a głowa opadła do tyłu. Nie żył. W wyniku podniesienia jego rany ponownie się otworzyły i z ciała wypłynęła resztką krwi na szklane kolce.

Wyprostowałem się na drżących ramionach. Robotnicy patrzyli na mnie z przerażeniem.

— Co powiedział? — spytał Craike.

— Nic — odrzekłem pośpiesznie. — Nic. Zabierzcie go. Pomóżcie mi zejść! — zawołałem do sierżanta Leacona. Kiedy mnie opuścił, oparłem się o skrzynię wozu i ujrzałem nadbiegającego Baraka. — Gdzie się, u licha, podziewałeś? — burknąłem niesprawiedliwie.

— Szukałem cię — odrzekł bojowo. — Wszędzie huczy jak w ulu. Co się stało?

— Szklarz spadł z drabiny wprost do wozu, płosząc konia.

W oddali ukazała się wysoka postać sir Williama Maleverera.

Czarna szata trzepotała wokół jego długich nóg. Tłum rozstąpił się w pośpiechu. Przypatrywał się gniewnie, jak ściągają z wozu zakrwawione zwłoki Oldroyda, które padły z upiornym kłasnieniem na ziemię.

— Co tu się dzieje? — prychnął Maleverer, zwracając się do Craike'a i do mnie.

— Szklarz spadł z drabiny do wozu — odparł Craike.

Maleverer spojrzął z odrazą na ciało

— Głupiec! Nie miał nic lepszego do roboty? Będę musiał zawiadomić królewskiego koronera.

— Rozejrzył się wokół. — Kto go znalazł?

— Ja — rzekłem, występując do przodu.

Maleverer burknął coś pod nosem i zwrócił się do tłumu.

— Do roboty, lenie! — krzyknął. — Ty Craike również. Żołnierzu, zanieście zwłoki do rezydencji i dopilnujcie, aby to oszalałe zwierzę zakosztowało topora! — rzekł do Leacona.

Cieszył się tak wielkim poważaniem, że ludzie rozproszyli się w mgnieniu oka, szepcząc we mgle. Leacon i inny żołnierz podnieśli ciało Oldroyda i ruszyli w stronę domu opata w asyście nachmurzonego Maleverera. Barak chciał pójść za nimi, lecz go powstrzymałem.

— Zaczekaj, Jack — powiedziałem. — Muszę ci coś wyznać. Kręci mi się w głowie.

a głowa opadła do tyłu. Nie żył. W wyniku podniesienia jego rany ponownie się otworzyły i z ciała wypłynęła resztkę krwi na szklane kolce.

Wyprostowałem się na drżących ramionach. Robotnicy patrzyli na mnie z przerażeniem.

— Co powiedział? — spytał Craike.

— Nic — odrzekłem pośpiesznie. — Nic. Zabierzcie go. Pomóżcie mi zejść! — zawołałem do sierżanta Leacona. Kiedy mnie opuścił, oparłem się o skrzynię wozu i ujrzałem nadbiegającego Baraka. — Gdzie się, u licha, podziewałeś? — burknąłem niesprawiedliwie.

— Szukałem cię — odrzekł bojowo. — Wszędzie huczy jak w ulu. Co się stało?

— Szklarz spadł z drabiny wprost do wozu, płosząc konia.

W oddali ukazała się wysoka postać sir Williama Maleverera.

Czarna szata trzepotała wokół jego długich nóg. Tłum rozstąpił się w pośpiechu. Przypatrywał się gniewnie, jak ściągają z wozu zakrwawione zwłoki Oldroyda, które padły z upiornym kłasnieniem na ziemię.

— Co tu się dzieje? — prychnął Maleverer, zwracając się do Craike'a i do mnie.

— Szklarz spadł z drabiny do wozu — odparł Craike.

Maleverer spojrzał z odrazą na ciało

— Głupiec! Nie miał nic lepszego do roboty? Będę musiał zawiadomić królewskiego koronera.
— Rozejrzył się wokół. — Kto go znalazł?

— Ja — rzekłem, występując do przodu.

Maleverer burknął coś pod nosem i zwrócił się do tłumu.

— Do roboty, lenie! — krzyknął. — Ty Craike również. Żołnierzu, zanieście zwłoki do rezydencji i dopilnujcie, aby to oszalałe zwierzę zakosztowało topora! — rzekł do Leacona.

Cieszył się tak wielkim poważaniem, że ludzie rozproszyli się w mgnieniu oka, szepcząc we mgle. Leacon i inny żołnierz podnieśli ciało Oldroyda i ruszyli w stronę domu opata w asyście nachmurzonego Maleverera. Barak chciał pójść za nimi, lecz go powstrzymałem.

— Zaczekaj, Jack — powiedziałem. — Muszę ci coś wyznać. Kręci mi się w głowie. Kiedy stanęliśmy w cieniu wozu, powtórzyłem mu ostatnie słowa Oldroyda.

— Dobry Jezu, ten człowiek mówił o zdradzie. Czyżby sprzyjał spiskowcom? Wykrzyczał swój sprzeciw, wiedząc, że lada chwila skona?

Zmarszczyłem czoło.

- Odniosłem wrażenie, że rozpaczliwie próbuje coś mi powiedzieć.
- Czemu akurat tobie? Przecież wczoraj rozmawiałeś z nim ledwie minutę.
- Wiedział, że umiera. W pobliżu nie było nikogo innego.
- Kim jest ów Blaybourne?
- Nie mam pojęcia, może to człowiek, który go zabił. — Pokręciłem głową.
- Przecież był to wypadek. Spadł z drabiny.
- Nie jestem pewny — odparłem, wykonując głęboki oddech. — Ktoś mógł go zepchnąć. Oldroyd był szklarzem, tacy ludzie nie spadają z drabiny. — Spojrzałem na ścianę kościoła za wozem. — Gdyśmy tu szli, usłyszałem skrzypnięcie zamykanych drzwi.

Twarz Baraka przybrała czujny wyraz.

- Sądzisz, że ten, kto zabił Oldroyda, usłyszał wasze kroki?
- To możliwe, mógł się ukryć w kościele.
- Chodźmy, sprawdźmy to. — W jego oczach błysnęła dawna chęć do bitki. Zawahałem się.
- Nie chcę się w to mieszać, Baraku. Właśnie dlatego nie wspominałem o ostatnich słowach Oldroyda. Nie słyszał ich nikt prócz mnie. Nikt nie musi o nich wiedzieć.
- Jeśli obraził króla i królową, musisz powiadomić władzę. — Barak był wyraźnie zaniepokojony. — Tej wiosny powieszono kilku ludzi za to, że wiedzieli, co się święci, lecz nie rzekli ani słowa. A jeśli coś tu się święci i Oldroyd o tym wiedział? Król przybędzie do Yorku za dwa dni. Na rany Chrystusa, powiedz Malevererowi, coś słyszał!

Skinąłem wolno głową. Miał rację.

- Poszukajmy skrzypiących drzwi, sprawdźmy, czy w kościele nie ma nikogo. Chodź! Jeśli faktycznie coś słyszałeś, Maleverer chciałby, abyśmy zajrzeli do kościoła. Spojrzałem na niego. Od ponad roku pełniłem funkcję przywódcy, tłumacząc mu zawite labirynty prawa, aż tu nagle zbudził się w nim dawny człowiek lorda Cromwella, aktywny, przenikliwy i czujny. Skinąłem niechętnie głową, macając dłońią ręką do szyi.
- Ruszajmy zatem.

Barak poszedł przodem wzdłuż muru. Mgła zaczęła opadać i naszym oczom ukazało się blade słońce. W murze za wozem dostrzegłem małe drzwi z dużym otworem na klucz. Sądziłem, że są zamknięte, lecz gdy Barak je pchnął, otwały się z takim samym zardzewiałym skrzypieniem, jakie wcześniej słyszałem. Dobył miecza i rozwarł je na całą szerokość. Weszliśmy do środka.

- Spójrz — szepnął, wskazując świeże ślady stóp. Wilgotne plamy wiodły od drzwi do środka kościoła. Wytężyłem wzrok i wytknąłem głowę, starając się zajrzeć za dużą kolumnę.

- Nic nie widzę — rzekłem przyciszonym głosem.
- Chodźmy po śladach, są całkiem świeże. Ten, kto je zostawił, stał na wilgotnej trawie.
- Zatem faktycznie ktoś tu był.

Barak skinął głową.

- Ukrył się w kościele, gdy usłyszał, że nadchodzicie. Później uciekł, przypuszczalnie przez jedno z głównych drzwi.

Potrząsnąłem głową.

- Na jego miejscu ukryłbym się w kościele, dopóki ludzie się nie rozejdą. Wiedziałbym, że podniesie się wielka wrzawa. Pełno tu mrocznych zakątków.

Barak ujął mocniej rękojeść miecza.

- Chodźmy po śladach.

Odciski stóp na pokrytej płytkami podłodze były słabe, lecz widoczne. Ślady przecinały kościół, krzyżując się ze szlakiem błota i gnoju, uczynionym przez ludzi, którzy podążali na skróty przez nawę. Później stały jeszcze bardziej, zmierzając ku dużym wewnętrznym drzwiom, nad którymi rozpościerał się łuk ze scenami z życia Chrystusa. Drzwi były lekko uchylone i właśnie tam urywał się trop.

Barak się uśmiechnął.

- Mamy go — wyszeptał. — Będzie to nasz kolejny sukces. — Cofnął się o krok i kopnięciem otworzył drzwi na oścież. Huk rozszedł się echem po wielkim, opuszczonym kościele. Zajrzeliśmy do środka. Przed nami znajdował się duży, bogato zdobiony przedsionek z niskim sklepieniem wspartym na szerokich rzeźbionych kolumnach. Kolejny łuk wiodł do dużego wewnętrznego pomieszczenia oświetlonego słabymi promieniami słońca wpadającymi przez duży ocalały witraż. Pomyślałem, że to kapituła. Weszliśmy ostrożnie do środka, zaglądając za kolumny, zbieg mógł się bowiem ukryć za jedną z nich.

- Wychodź! — krzyknął Barak. — Nie umkniesz! Poddaj się!
- Przypilnuj drzwi — zasugerowałem. — Pójdę po żołnierzy.
- Nie, sam go schwytam.
- Baraku, bądźże rozsądny!

Nie posłuchał, lecz zaczął przeczesywać izbę, trzymając przed sobą miecz. Wyciągnąłem sztylet i zacząłem zaglądać w kąty sali. Przedpokój był źle oświetlony, więc trudno było cokolwiek zobaczyć. Nagle usłyszałem krzyk Baraka.

- Jezu Chryste!

Ruszyłem ku niemu i stanąłem jak wryty w drzwiach prowadzących do wewnętrznego pomieszczenia. W pustej sali, z której usunięto wszystkie sprzęty, wokół ścian stały dwa rzędy mężczyzn odzianych w barwne szaty. Zauważyłem jasne włosy, długie brody, różowe twarze i lśniące oczy. Przez chwilę przyglądałem się im z otwartymi ustami, a później wybuchnąłem śmiechem.

— To posągi, Baraku. Posągi apostołów i proroków. — W przyćmionym świetle wyglądały jak żywe, więc jego zdumienie było całkiem uzasadnione. — Ten w niebieskiej szacie to Mojżesz. Dobry Boże, pomalowali mu usta, aby wyglądał jak prawdziwy...

Odwróciliśmy się, słysząc dźwięk kroków, w samą porę, by dostrzec krawędź czarnej szaty znikającej w drzwiach, które zamknęły się z hukiem. Gdy do nich podbiegliśmy, usłyszeliśmy dźwięk przekręcanego klucza. Barak chwycił klamkę jak oszalały.

— Niech to szlag! — krzyknął. — Zamknął nas! — Szarpnął ponownie, lecz bez skutku.

Zacisnąłem wargi.— Teraz to my znaleźliśmy się w pułapce, a jemu udało się uciec.

Wróciliśmy do kapitulacza nieco lepiej oświetlonego. Zauważyłem, że twarz Baraka poczerwieniała z zakłopotania.

— Przepraszam — powiedział. — To moja wina. Wdarłem się tu bez zastanowienia jak ostatni dureń, a później krzyknąłem na widok tych przeklętych posągów. Musiał się ukryć w jednym z kątów. Gdyby nie moja głupota, zatrzymałbyś go. — Na jego twarzy malowało się prawdziwe cierpienie.

— Nie ma o czym mówić — odparłem.

— Nie jestem taki jak dawniej — rzekł nagle z rozgoryczeniem.

— O co ci chodzi?

— Kilka lat temu nie popełniłbym tak głupiego błędu. Wygodne życie w Lincoln's Inn sprawiło, że zmiękłem. — Zacisnął zęby. — Jak się stąd wydostaniemy?

Spojrzałem w kierunku witraża.

— Jest tylko jeden sposób. Wdrapiesz się na jeden z tych posągów, zbijesz okno i wezwiesz pomoc. Użyj rękojeści miecza.

Zacisnął wargi.

— Będą się z nas śmiali w całym opactwie Świętej Marii.

— Wątpię, czy Malevererowi będzie do śmiechu. Musimy się z nim niezwłocznie zobaczyć.

— Zatem trzeba się stąd jak najszybciej wydostać. — Barak westchnął głęboko, a następnie wspiął się na posąg Mojżesza. Balansując na kamiennej głowie, wdrapał się na stojącą wyżej figurę świętego Marka. Pomyślałem, że jednak nie stracił dawnej zwinności. Stanąwszy na kamiennej głowie apostoła, objął ramieniem bogato zdobioną kolumnę, a następnie rękojeścią miecza rozbił najbliższy kawałek witraża. Dźwięk tłuczonego szkła rozszedł się echem po sali kapitulacza.

Skrzywiłem się. Barak stłukł sąsiedni element, a następnie wychylił się na zewnątrz i zaczął wzywać pomocy. Echo powtórzyło wołanie. Skrzywiłem się powtórnie. Zakrzyknął jeszcze dwa razy, a następnie oznajmił:

— Usłyszeli, zaraz tu będą.

UGodzinę później staliśmy przed biurkiem Maleverera w King's Manor. Po drodze spostrzegłem tłum zgromadzony wokół leżącego nieruchomo konia Oldroyda. Wzdrygnąłem się na widok szerokiego strumienia krwi płynącego po dziedzińcu. Rozkaz Maleverera został wykonany. W środku gmachu czuć było woń wiórów. Zza drzwi gabinetu Maleverera dochodziły odgłosy piłowania, gdyż na przyjazd króla dekorowano całą rezydencję. Opowiedziałem, co się wydarzyło. Słuchał z surowym, gniewnym grymasem, który wydawał się na stałe przyklejony do jego twarzy. W wielkim owłosionym łapsku trzymał kałamarz, jakby miał zamiar go zmiażdżyć. Obok stał szczupły mężczyzna w prawniczej szacie i peruce woźnego sądowego na głowie. Wezwano go i przedstawiono jako Archbolda, królewskiego koronera odpowiedzialnego za badanie zgonów, do których doszło we włościach należących do króla.

Kiedy skończyłem, Maleverer milczał przez chwilę, gładząc palcem brodę.

— Wypowiadał się niepochlebnie o królu i królowej? To tutaj całkiem powszechne. Trzeba było powiesić ich więcej ostatniej wiosny Powinieneś pan słyszeć, co donoszą nam informatorzy.

— Odniosłem wrażenie, że szklarz próbował mi przekazać coś ważnego. Musiał istnieć powód, dla którego go zabito.

— Jeśli faktycznie został zamordowany — przerwał mi Maleverer. — A jeśli ten, o którym mówicie, po prostu przeląkł się owego prostaka biegającego z dobytym mieczem po kościele? — Spojrzał niechętnie na Baraka.

— Nie sądzę, sir Williamie. — Nie takiej reakcji spodziewałem się z jego strony. — Ślady stóp prowadziły od drzwi obok wozu aż do kapitularza. Podejrzewam, że człowiek ten miał klucz do obu i od początku zamierzał ukryć się w kościele, aby go nikt nie zobaczył. Kto może mieć dostęp do kluczy?

Maleverer chrząknął.

— Pewnie przed odejściem zakonnicy wykonali duplikaty, aby móc wrócić i ukraść, co im się spodoba. — Przyjrzał mi się uważnie. — Jesteś pan jednym z owych prawników, którzy znajdują upodobanie w tajemnicach i zagadkach? Masz waść przenikliwe spojrzenie, jak jeden z owych cudaków. — Gdy to mówił, akcent z Yorkshire stał się wyraźniejszy Nie odrzekłem ani słowa. — Nie sprawiłeś się zbyt dobrze, pozwalając mu uciec. Zauważyłeś, jak wyglądał?

— Dostrzegłem jedynie skraj czarnej szaty.

Maleverer zwrócił się do koronera.

— Słyszałeś kiedy nazwisko wymienione przez owego szklarza? Blaybourne?

— Nie, panie. — Spojrzał na mnie przenikliwymi, niebieskimi oczami. — Może to on zepchnął szklarza do wozu, jeśli nie był to zwykły wypadek. Może Blaybourne to rzemieślnik należący do cechu, z którym Oldroyd był w sporze

Maleverer skinął głową.

— To bardzo prawdopodobne. — Pochylił się nad biurkiem. — Kolego Shardlake, król i jego dwór nadciągną tu za trzy dni. Urzędnicy mozolą się godzinami, aby przygotować wszystko na przybycie Jego Wysokości, zadbać, by wizyta przebiegła bez zgrzytów. Szczególnie hołd radnych i miejscowej szlachty. Nie chcemy robić szumu tylko dlatego, że jakiś głupi rzemieślnik spadł lub został zepchnięty z drabiny na wóz pełen szkła. Rozumiecie?

— Tak, panie. — Poczuję rozczarowanie, a jednocześnie ulgę. Wykonałem swój obowiązek, podjęcie decyzji w sprawie dalszych działań należało do Maleverera. Niestety, jego kolejne słowa sprawiły, że serce we mnie zamarło.

— Skoro lubisz pan tajemnice, przeprowadzisz dla koronera śledztwo w sprawie śmierci owego szklarza.

Archbold skinął głową z uśmiechem.

— Doskonały pomysł. Nie mam nikogo, komu mógłbym zlecić to zadanie.

— Udaj się do domu owego człowieka, porozmawiaj z jego przyjaciółmi, wywiedz się, czy miał jakichś wrogów. — Maleverer zwrócił się ponownie do koronera. — Trzeba będzie wszcząć oficjalne dochodzenie, prawda?

Archbold skinął głową.

— Obawiam się, że tak, sir Williamie. Nie można tak tego zostawić, choć jeśli nie mamy do czynienia z wypadkiem, była to zapewne sprzeczka między rzemieślnikami z cechu. W każdym razie trzeba coś zrobić. Nie chcę, aby w mieście zapanowały jeszcze gorsze nastroje.— A zatem dochodzeniem zajmą się kolega Shardlake i jego asystent. — Maleverer sięgnął do kieszeni i położył na stole duży żelazny klucz. Podniosłem go niechętnie. — To wszystko, co przy nim znaleźli, oprócz sakiewki z kilkoma miedzakami. Pewnie to klucz do jego domu. Powiadom mnie, czego się dowiedziawsz. Byłoby dobrze, gdybyś znalazł pan dowody świadczące, iż był to nieszczęśliwy wypadek. Zrozumiałeś, pan? — Uśmiechnął się, odsłaniając duże pożółkłe zęby. — Powiadomię księcia Suffolk, że wyciszmy sprawę.

— Sir Williamie, jako świadek zdarzenia nie jestem odpowiednim kandydatem... — rzekłem.

— Nic mnie to nie obchodzi. Załatw to. Skompletujemy ławę przysięgłych z rzemieślników.

— Miałem się zająć petycjami adresowanymi do króla — zaprotestowałem.

— W takim razie będziesz musiał pracować okrągłą dobę, jak my wszyscy — rzekł otwarcie Maleverer, a następnie zwrócił się do Archbolda. — Waszmość koronerze, mógłbyś zostawić nas chwilę samych? Weź go ze sobą. — Wskazał Baraka. Obaj panowie skłonili się i wyszli, zostawiając mnie z Malevererem, który rzucił mi lodowate spojrzenie. Wyczułem jego niechęć i zastanawiałem

się, czy jej źródłem jest pogarda, którą rośli, krzepcy mężczyźni okazują czasem kalekom. Spojrzał na mnie, mrużąc oczy.

— Masz tu waszmość do wykonania jeszcze jedno zadanie, prawda? — zapytał. — W zamku? Nie próbuj mnie zwodzić jak młodzika. Zasiadam w Radzie Północy i wiem o wszystkim. Sytuacja polityczna, która się tu wytworzyła, jest niezwykle delikatna. W sprawie szklarza zrób, co kazałem, jasne? Szybko uporaj się z tą sprawą.

— Tak, panie — odparłem ciężko. Zatem Maleverer był jednym z zaufanych członków Rady Północy, których Cranmer powiadomił o mojej misji. Byłem ciekaw, czy wie, o co oskarżano Brodericka.

Ponownie posłał mi lodowaty uśmiech.

— Jeśli zaś idzie o drugą sprawę, dobrze, aby ktoś miał oko na waszmość Radwintera po tym, co o nim słyszałem. Jak się miewa Broderick? Widziałeś go pan? — Wczoraj. Rany po oparzeniach są zaognione. Kazałem sprowadzić medyka.

— Bardzo dobrze. Powiem wam coś, kolego Shardlake — rzekł, mierząc we mnie paluchem. — Dbaj o Brodericka, lecz nie wściubiaj swojego długiego nosa w tę sprawę. Trzymaj się od niej z daleka. — Spojrzał na mnie surowo. — Nie lubię długich nosów. Czasami obcinam je razem z głową.

Rozdział szósty

Barak stał na schodach rezydencji, obserwując ludzi, którzy uwijali się na dziedzińcu. Rozpoczął się kolejny dzień pracy i robotnicy krzatali się w obłądnym tempie. Postęp robót przy dwóch pawilonach był wyraźny — przez otwarte drzwi dostrzegłem rzemieślników kończących wewnętrzne dekoracje. Nieopodal wzniesiono rusztowania trzech olbrzymich namiotów, obok których stały wozy z ogromnymi płótnami. Mgła opadła, odsłaniając szare niebo.

— Zabrali konia — rzekł Barak, wskazując mur, gdzie człowiek ze szczotką i kubłem zmywał krew z kamieni.

— Niepotrzebnie zabili biedne zwierzę — odparłem, a następnie opowiedziałem mu o rozkazach Maleverera. — Żałuję, iż nie milczałem. Otrzymałem nowe zadanie, a jeśli znajdę dowody świadczące o tym, iż Oldroyd został zamordowany, stanę się jeszcze mniej lubiany.

— Od czego zaczniemy?

— Od ratusza, jak mniemam. Powinienem działać w porozumieniu z miejskim koronerem. Jeśli nieszczęsny Oldroyd był mistrzem szklarskim, skontaktuje nas z cechem, może uzyskamy też jego adres.

Barak skinął głową. Widząc ponure spojrzenie, przypomniałem sobie jego gniewny wybuch w kościele. Pomyślałem, że będę musiał z nim pomówić.

— A zatem do dzieła — rzekłem z westchnieniem.

— O dziesiątej mamy spotkanie ze starym Wrenne'em. — Niech to diabli, faktycznie. Napiszę do niego, że się spóźnimy. Muszę też zajrzeć do więzienia, aby sprawdzić, czy Radwinter sprowadził medyka.

— Panie Shardlake! — Odwróciłem się na dźwięk znajomego głosu i ujrzałem Tamasin Reedbourne idącą ku nam od strony kościoła. Towarzyszyła jej skwaszona dama, która wczoraj podążała za lady Rochford. Zaciśnąłem zęby. Czy nie zdołam się uwolnić od tej natrętnej dziewczki? Tamasin podeszła do nas.

— Nie mamy czasu na pogaduszki — rzekła gniewnie jej towarzyszka.

— Ci panowie ocalili wczoraj kosz z łakociami dla królowej, a pan Shardlake pomógł mi dziś rano, gdy oszalały koń pędził w naszą stronę.

Starsza niewiasta spojrzała na mnie z zaciekawieniem.

— Czy jesteś panie owym prawnikiem, który znalazł zwłoki mężczyzny dzisiejszego ranka?

— Tak, pani — odparłem są ukłonem. — Matthew Shardlake. Nazywasz się, pani, Marlin, jak mniemam.

Zdumiało mnie gniewne spojrzenie jej dużych brązowych oczu.

— Skąd pan to wiesz?

— Pan Craike wymienił nazwisko, gdyśmy was wczoraj spotkali.

— Doprawdy? — Na jej twarzy pojawił się ponownie cyniczny, pozbawiony radości uśmiech.

— Tak, jestem Jennet Marlin, pomagam lady Rochford, czego byłeś waszmość świadkiem. — Spojrzała na mnie. — Powiadają, że zatrzasnęliście się w kapitularku i musieliście wzywać pomocy.

Popatrzyłem na nią spokojnie.

— To prawda.

— Jak to się stało?

— Nie wolno mi o tym mówić — odparłem chłodno.

— Cóż za tajemniczy człowiek — rzekła, odwracając się do Tamasin. — Chodź, musimy sprawdzić, jak zamierzają urządzić kuchnię królowej.

Tamasin uśmiechnęła się do nas, zatrzymując spojrzenie na Baraku.

— Król i królowa będą mieli własną kuchnię w rezydencjiopata — oznajmiła z dumą. — Pomagamy ją urządzić, o czym wam wcześniej wspominałam.

— Chodź wreszcie! — Lady Marlin odeszła, szeleszcząc suknią. Jej chód wydał mi się dziwnie sztywny, jakby całe ciało paraliżowało napięcie. Miała się czym martwić, jeśli jej narzeczony faktycznie siedział w Tower.

— Będziesz wieształ w wielkiej jadalni dziś wieczorem? — spytała pośpiesznie Baraka.

- Nie wiem, panienko. Nie mieliśmy nawet czasu na śniadanie.
- Przecież macie prawo jadać przy królewskim stole. Dostaliście kwity?
- Jeszcze nie — odparłem.
- Załatwię wam.
- Będziemy jedli późno — rzekłem. — Czeka nas pracowity dzień.
- O szóstej?
- Doskonale. — Barak skinął głową. — Spotkajmy się o szóstej.

Tamasin szybko dygnęła i pobiegła za swoją panią. Kiedy zniknęły w środku domu, pokręciłem głową.

- Ta dziewczyna jest najbardziej zadziornym stworzeniem, jakie tu spotkałem.
- Jej pani to ruda suka.
- To prawda. Królewskie dworki myślą, że wszystko im wolno. Wpadłeś w oko młodej Tamasin.
- Nie mogę rzec, abym miał coś przeciw temu. Energiczna dziewczyna, co?
- Chodź — odparłem — Ciekawe, czy w tym wielkim labiryncie jest miejsce, w którym można przesłać wiadomość.

Wartownik wskazał namiot, z którego co chwila wybiegali posłańcy z listami — najwyraźniej system przekazywania wiadomości sprawnie działał. Człowiek odpowiedzialny za pocztę początkowo odmówił dostarczenia wiadomości Wrenne'owi, lecz nazwisko Maleverera podziałało niczym zaklęcie i natychmiast pchnął tam pacholka z karteczką, którą nagryzmoliłem w pośpiechu.

Przywdzialiśmy wyjściowe odzienie i ruszyliśmy ku bramiewiodącej do Bootham. Ludzie przemysłki pod barbakanem to w jedną, to w drugą stronę, a jeden z królewskich żołnierzy kłócił się z małżeństwem w zakurzonych szatach, które zsiadło z lichego wozu załadowanego workami. Oboje mieli na sobie zgrzebne koszule dziwnego kształtu, z zieloną szachownicą na rdzawym tle.

- Słyszeliśmy, że skupujecie wszelkie płody na przyjazd króla! — rzekł mężczyzna ze szkockim akcentem.
- Z powodu przyjazdu króla nie wpuszczamy do miasta Szkotów ani włóczęgów — powtarzał nieubłagane strażnik.
- Przyjechaliśmy z Jedburgha. Zakończyły się zbiory owsa.
- Sprzedajcie wasz owies rabusiom, którzy kradną nasze konie na granicy. Zmiatajcie stąd! Żadnych Szkotów!

Małżonkowie z mozołem wsiedli na wóz. Strażnik mrugnął porozumiewawczo, gdy ruszyliśmy w jego stronę.

— Chronimy miasto przed barbarzyńcami — rzekł z akcentem z Yorkshire wyraźnie zadowolony z siebie. Przypomniałem sobie, że wczorajszego dnia kolega Kimber użył identycznego określenia w odniesieniu do Anglików z północy.

Weszliśmy do miasta. Ratusz znajdował się w odległości zaledwie kilku przecznic, na placu w pobliżu opuszczonego klasztoru pozbawionego dachu. Kiedyś w Yorku musiało się roić od mnichów i zakonników. W ratuszu panował taki rejwach, jak w King's Manor — co chwila ktoś wychodził lub wchodził do środka. Sam gmach był zaiste imponujący, chociaż mniejszy od swojego londyńskiego odpowiednika. Zapytałem wartownika przy drzwiach, gdzie znajdę miejskiego koronera.

— Wyjechał, panie — odrzekł mężczyzna, spoglądając na mnie ciekawie. — Możecie pomówić z miejskim kronikarzem Tankerdem. — Przepuścił nas do wielkiego holu o wspinałym belkowanym stropie, w którym kupcy prowadzili rozmowy z urzędnikami tłoczącymi się w bocznych salach i na zewnątrz. Spytałem przechodzącego mężczyznę, gdzie znajdę miejskiego kronikarza. Główny urzędnik miejski nosił ten sam tytuł co w Londynie.

— Jest u burmistrza, wątpię jednak, czy będzie mógł się z wami widzieć, panie.

— Przychodzę od sir Williama Maleverera. Nazwisko sir Williama i tym razem nie zawiodło.

— Chodźcie za mną, panie.

Weszliśmy do dużej komnaty z pięknym widokiem na rzekę. Dwaj mężczyźni pochylali się nad stołem, na którym piętrzyły się stosiki złotych monet. Rozpoznałem pulchnego burmistrza w jaskrawych szatach, którego widziałem poprzedniego dnia.

— Powiedzą, że powinniśmy zgromadzić więcej, biorąc pod uwagę, do ilu ludzi się zwróciliśmy — mówił z rozdrażnieniem jeden z nich.

— Z trudem uzbieraliśmy tyle, złoty kielich jest całkiem okazały. — Drugi z mężczyzn był młodszy, o pociągłej, poważnej twarzy, odziany w szatę prawnika.

— Nie wystarczy. — Burmistrz podniósł głowę, spoglądając na nas gniewnym wzorkiem. — Na rany Boga, co się stało, Oswaldkirke?

Urzędnik skłonił się głęboko, niemal dotykając podłogi.

— Panie burmistrzu, człowiek ten przychodzi od sir Williama Maleverera.

Burmistrz skinął dłonią, odsyłając tamtego i zwracając na mnie swe wybałuszone oczy.

— Słucham, panie. Czym mogę służyć sir Williamowi tym razem? — Właśnie razem z kronikarzem przygotowuję dar mieszkańców Yorku dla króla. Wręczymy go w piątek.

Przedstawiłem się i wyjaśniłem, że prowadzę dochodzenie w sprawie śmierci szklarza.

— Poproszono mnie, abym zajął się tą sprawą — rzekłem. — Z grzeczności chciałem poinformować o tym koronera Yorku. Może będzie mógł mi udzielić jakowejś pomocy — dodałem z nutką nadziei.

Burmistrz zmarszczył brwi.

— Znałem Petera Oldroyda, dwa lata temu był przewodniczącym cechu szklarzy. Dochodzenie powinno prowadzić miasto.

— Jeśli do śmierci doszło na terenie królewskich włości, sprawa leży w gestii królewskiego koronera — wtrącił mężczyzna o pociągłej twarzy. Wyciągnął ku mnie dłoń. — William Tankerd, kronikarz miejski. — Uśmiechnął się, a jego oczy spoglądały na mnie z zaciekawieniem.—
Matthew Shardlake z Londynu.

— Na Boga — prychnął zrzędliwie burmistrz — czy nie mam już żadnej władzy w tym mieście?
— Westchnął i skinął dłonią kronikarzowi. — Zabierz ich stąd, Tankerd. Nie powinni oglądać złota. Przekaż waszmości informacje, których potrzebuję, lecz nie ociągaj się zbytnio.

Tankerd wyprowadził nas na zewnątrz.

— Wybaczcie burmistrzowi Hallowi — rzekł przeproszającym tonem. — Mamy jeszcze wiele do zrobienia przed piątkiem. Ludzie w dalszym ciągu wyrzucają śmieci na ulice, nie wywożą gnoju, pozostają nieczuli na groźby.

— Przykro mi, że was niepokoję, panie. Gdybyś mi rzekł, gdzie znajduje koronera...

Kronikarz pokręcił głową.

— Obawiam się, że pana Sykesa nie ma w mieście. Prowadzi dochodzenie w Ainsty.

— Znacie adres mistrza Oldroyda? Trzeba zawiadomić rodzinę. — Z niepokojem pomyślałem o tej części mojej misji.

— Wszyscy szklarze mieszkają w Stonegate. To po przeciwnej stronie miasta, w górę od kościoła świętej Heleny. O ile pamiętam, Oldroyd mieszkał obok kościelnego cmentarza.

— Dziękuję, panie. Pójdziemy tam.

Skinął głową.

— Uważajcie, panie. Po likwidacji klasztorów szklarze stracili większość zamówień. Nie są zbyt przyjaźnie nastawieni do przybyszów z południa.

Przy placu, niemal naprzeciw ratusza, wznosił się stary kościół o pięknych witrażach, przechodnie potwierdzili, że wąska ulica biegnąca wzdłuż jego bocznej ściany to Stonegate. Z jednej strony graniczyła ona z dawnym przykościelnym cmentarzem — domy były tu wysokie i wąskie, a wystające na ulicę okapy zasłaniały większą część szarego nieba. Zauważyłem, że niektóre domostwa mają szyldy z przeszklonymi oknami, usłyszałem też brzęk i dźwięk kucia dochodzący z warsztatów. W połowie Stonegate kościelny cmentarz nagle się urywał.

— To gdzieś tutaj — powiedział Barak. Zatrzymaliśmy przechodzącego mężczyznę w średnim wieku, o kwadratowej twarzy i czarnych włosach ukrytych pod szeroką czapką, pytając, czy wie, gdzie jest dom mistrza Oldroyda.

- A kto pyta? — odrzekł, bacznie mi się przypatrując. Zauważyłem, że jego dłonie były pokryte bliznami podobnie jak dłonie Oldroyda.
- Przychodzimy z opactwa Świętej Marii — wyjaśniłem. — Mistrz Oldroyd miał wypadek.
- Wypadek? Peter? — Jego twarz przybrała zatroskany wygląd.
- Znałeś go, panie?
- Oczywiście, należy do cechu i jest moim przyjacielem. Co się stało, prawniku?
- Wczesnym rankiem spadł z drabiny, gdy pracował w klasztornej kościele. Nie żyje.

Mężczyzna zmarszczył czoło.

- Spadł z drabiny?
- Nie znamy okoliczności. Królewski koroner zlecił nam przeprowadzenie dochodzenia — rzekłem. — Jeśli znałeś go waszmość...
- Jestem Ralph Dike, mistrz szklarski, podobnie jak Peter. Oldroyd był porządnym człowiekiem.
- Możesz rzec nam waść kilka słów o mistrzu Oldroydzie? Miał rodzinę?
- Jego żona i trójka dzieci zmarli podczas zarazy w trzydziesty ósmym roku. — Szklarz przeżegnał się nabożnie. — Miał tylko jednego ucznia.

Nie trzeba będzie zawiadamiać rodziny, pomyślałem z ulgą. Mistrz Dike wskazał trzeci dom z rzędu.

- Mieszkał tam — powiedział, spoglądając na nas przeciągle, a następnie cofając się o krok.
- Muszę powiadomić władze cechu o tym zdarzeniu. — Odwrócił się i odszedł w pośpiechu.
- Nie był zbyt rozmowny, prawda? — zapytał Barak.
- Myślę, że odnosi się nieufnie do przybyszów z południa, którzy mieszkają w opactwie Świętej Marii. Zobaczmy dom Oldroyda.

Dom wskazany przez mistrza Dike'a potrzebował nowego tynku, a farba, którą pomalowano drzwi wejściowe, popękała i zaczęła odpadać. Zapukałem, a gdy nikt nie odpowiedział, wyciągnąłem klucz i przekręciłem go w zamku. Gdy to czyniłem, poczułem szturchnięcie Baraka, który wskazał głową okno domu po przeciwnej stronie. Kobięca twarz zniknęła w mgnieniu oka. Pchnąłem drzwi i weszliśmy do środka.

Pomieszczenia były skupione wokół centralnego korytarza, podobnie jak w domu Wrenne'a, choć nieruchomość Oldroyda była mniejsza. Pośrodku znajdowało się palenisko i otwór na dym widniejący w poczerniałym stropie. Na małym ruszcie leżał popiół z ostatniej nocy. Zauważyłem, że naczynia w kredensie wykonano z cyny, a sprzęty były czyste, choć tanie.

- Halo! — zawołałem. — Jest tu kto? — Żadnej odpowiedzi.
- Dziwne — rzekł Barak. — Sługa lub uczeń powinni być w pobliżu.

Podszedłem do wewnętrznych drzwi prowadzących do kolejnych, które wychodziły na korytarz, oraz drewnianych schodów wiodących na piętro. Otworzyłem pierwsze z nich i znalazłem się w kuchni. Podszedłem do pieca i stwierdziłem, że ktoś go niedawno używał. Oprócz przytłumionych dźwięków dochodzących z ulicy w domu panowała cisza. Kolejne drzwi prowadziły na zamknięty dziedziniec z furtą oraz piecem ustawionym w jednym z kątów pod wiatą. Witraże i malowane szyby stały oparte o ściany. Wzdrygnąłem się, widząc, że dwie z nich są pęknięte, przypomniałem sobie bowiem zakrwawiony wóz szklarza. Zauważyłem, że Oldroyd wyjął z nich fragmenty, które zamierzał powtórnie wykorzystać. Na kawałku płótna umieścił szybki z podobiznami ptaków, zwierząt i mitycznych bestii. Żadna ze scen nie miała religijnego tematu.

— Dokładnie tak, jak powiedział — rzekł Barak. — Wykorzystywał fragmenty witraży. — Pochyliłem się i spojrzałem na posągi. Niektóre były piękne, liczyły wiele wieków. Byłem ciekaw, czy pochodziły z opactwa.

Barak podszedł do pieca, obok którego stało duże wiadro wypełnione fragmentami witraży przedstawiającymi modlących się mnichów, bez wątplenia przeznaczonymi do stopienia. Dotknął boku pieca.

— Chłodny — zauważył.

— Chodźmy na górę.

Wróciliśmy do domu i weszliśmy po schodach na piętro. Z wąskiego korytarza wychodziła kolejna para drzwi. Otworzyłem pierwsze, które prowadziły do sypialni. Stało w niej jedynie wysuwane łóżko ze słomianym materacem oraz otwarta skrzynia z koszulami i niebieską szatą.

— To pewnie pokój ucznia — rzekłem.

— Szczęściarz, miał własny pokój.

— W domu biednego Oldroyda jest wiele pustych pokojów, jeśli członkowie jego rodziny zmarli podczas zarazy. — Otworzyłem kolejne drzwi prowadzące do pokoju mistrza. Ściany wyklejono tapetą w zielonożółte paski, pozostawiając jedynie otwory na okna. Dostrzegłem wygodne łożo z materacem z pierza oraz kilka dużych, rzeźbionych i malowanych skrzyń. Kiedy zajrzałem do jednej z nich, okazało się, że w środku leżą schludnie poukładane ubrania.

— Ciekawym, gdzie trzymał dokumenty. — Odwróciłem się, czując na ramieniu dłoń Baraka. Jack przytknął palec do warg i wskazał głową za siebie.

— Ktoś jest na schodach — szepnął. — Usłyszałem skrzypnięcie desek. — Skinął ręką, abym się nie ruszał, podkraść się do drzwi i przez chwilę nasłuchiwał, aby otworzyć je nagle na oścież. Usłyszałem okrzyk przerażenia i po chwili Barak wrócił do pokoju, zaciskając ramię wokół szyi pulchnego kilkunastoletniego młodzieńca o gęstych rudych włosach, odzianego w niebieską suknię ucznia.

— Podśłuchiwał pod drzwiami — powiedział Barak. — Gdy go chwyciłem, próbował mnie ugryźć jak mała łasica. — Puścił chłopaka i pchnął go w kierunku przeciwległej ściany, sam zaś oparł się plecami o drzwi. Młodzieniec spoglądał na nas szeroko otwartymi oczami.

— Jesteś uczniem mistrza Oldroyda? — spytałem.

Przełknął nerwowo ślinę.

— Tak, panie.

— Jesteśmy królewskimi urzędnikami. — Słowa te sprawiły, że jego przerażone oczy otworzyły się jeszcze szerzej. — Przychodzimy z opactwa Świętej Marii. Jak się nazywasz, chłopcze?

— P... Paul Green, panie.

— Mieszkaś tu?

— Tak, panie. Razem z mistrzem Oldroydem.

— Od dawna u niego terminujesz? — zapytałem delikatnie.

— Od dwóch lat, przyjął mnie, gdy skończyłem czternaście lat. — Wziął głęboki oddech. — Nie chciałem wyrządzić wam nic złego, panie. Poszedłem po węgiel drzewny, a gdy wróciłem, usłyszałem głosy w sypialni mistrza Oldroyda. — Chłopak przez chwilę wpatrywał się w plamę widniejącą nisko na ścianie. — Myślałem, że to złodzieje.

— U dołu schodów stoi worek z węglem — potwierdził Barak.

— Są tu inni słudzy? — spytałem.

— Tylko kucharka, panie. Poszła po kurę na wieczerzę dla mistrza. W mieście nie ma żywności, wszystko wykupili królewscy dostawcy. Mistrz kazał mi rozpalić w piecu i stopić witraże z mnichami, musiałem pójść po węgiel. — Spojrzał na mnie oczami pełnymi lęku.

— Mamy złe wiadomości, Green — rzekłem delikatnie. — Twój mistrz nie żyje. Wczesnym rankiem spadł z drabiny w opactwie Świętej Marii prosto do swojego wozu.

Chłopiec pobałdł jak papier. Opadł ciężko na łożo, otwierając usta ze zdumienia.

— Czy pan Oldroyd dobrze cię traktował?

— Tak — wyszeptał. — Biedny mistrz. — Przeżegnał się nabożnie.

— Królewski koroner prosił nas o przeprowadzenie dochodzenia w sprawie jego śmierci.

Chłopak zmrużył oczy.

— To nie był wypadek?

— Chcemy to ustalić. — Spojrzałem na niego. — Czy twój mistrz miał z kimś zatarg?

— Nie, panie. — Wyczułem wahanie w jego głosie i zauważyłem, że jego spojrzenie spoczęło ponownie na owej plamie widniejącej na ścianie, choć tym razem starał się pilnować.

— Znasz nazwiska przyjaciół i rodziny twojego pana?

— Przyjaźnił się głównie z rzemieślnikami należącymi do cechu, z nimi też prowadził interesy. Nie miał rodziny, panie, wszyscy pomarli w czasie zarazy. Zmarł też jego starszy uczeń i wtedy przyjął mnie do terminu.

— Nie znasz nikogo, kto by mu źle życzył?

— Nie, panie. — Ponownie wyczułem lekkie wahanie.

— Jesteś pewny?

— Tak, panie...

Zanim chłopak zdążył odpowiedzieć, doleciało nas walenie do drzwi. Nie pukanie, lecz głośny łomot. Wszyscy spojrzeliśmy w tamtą stronę, a chłopak przeraźliwie zapiszczał. Za moment w pokojach na dole, na podwórku i schodach zadudniły ciężkie kroki. Barak odskoczył od drzwi, przez które chwilę później wpadło dwóch żołnierzy z dobytymi mieczami w szatach straży królewskiej. Uczeń jęknął z przerażenia. Strażnik stojący bliżej spojrzął na nas z dzikim uśmiechem.

— Nie ruszać się — warknął groźnie, a następnie zawołał do swoich towarzyszy na dole: — Panie! Pojmaliśmy trzech, w sypialni!

— Co tu się dzieje? — spytałem. — Jesteśmy...

— Milcz! — Ponownie uśmiechnął się złowieszczo. — Wpakowaliście się w niezłe tarapaty.

Za chwilę do izby wszedł Maleverer.

Rozdział siódmy

Sir William spojrzął na mnie i Baraka, a następnie na przerażonego ucznia.

— Co tu się dzieje?! — ryknął.

— Prowadzimy dochodzenie w sprawie śmierci szklarza, sir Williamie: Dla koronera, jak kazaliście. Przyszliśmy przed chwilą. Właśnie wypytywałem jego ucznia...

— A, tak. Faktycznie. — Ku memu zaskoczeniu Maleverer najwyraźniej zapomniał o własnym poleceniu. — Czemu akurat tutaj, na górze?

— Podśluchiwał pod drzwiami — odparł Barak, wskazując głową młodego Greena.

Maleverer pochylił się i chwycił chłopaka za ucho, podrywając go na palce. Dzieciak stanął na drżących nogach, patrząc ze strachem na Maleverera.

— Co z niego wyciągnęliście? — spytał, zwracając się do mnie.

— Powiedział, że nie zna żadnych wrogów mistrza Oldroyda.

— Czyżby? — Maleverer spojrzął na chłopaka. — Co wiesz

o interesach swojego pana? Czego się dowiedziałeś, podśluchując pod drzwiami?

— Wiem tylko o jego interesach, panie.

Maleverer mruknął pod nosem, puszczając ucho chłopaka

i biorąc głęboki oddech.

— Rozmawiałem z księciem Suffolk — rzekł. — Księżę polecił, abym osobiście przeprowadził dochodzenie. Wyglądana to, że Oldroyd dopuścił się nadużyć. Trzeba się temu dokładnie przyjrzeć.

— To niemożliwe, panie — zaprzeczył chłopak. — Mistrz nie...

Przerwał, albowiem Maleverer walnął go pięścią. Chłopak

upadł na łóżko. Z ust i policzka pociekła krew, gdyż pierścień Maleverera rozciął skórę. Sir William spojrzał na mnie.

— Zabiorę tego kwiczącego prosiaka do Świętej Marii, zobaczymy, co wyśpiewa podczas przesłuchania. Są tu inni słudzy?

— Gospodyni wyszła na zakupy.

— Ją też trzeba przesłuchać. — Sir William zwrócił się do stojącego obok strażnika. — Weź dwóch ludzi i odprowadź chłopaka do Świętej Marii. Reszta ma dokładnie przeszukać to miejsce. — Żołnierz postawił młodego Greena na nogi. Chłopak zakrzuszył się i wypluł zęb, płacząc ze strachu i obficie krwawiąc. Strażnik pchnął go brutalnie i wyprowadził z pokoju.

— Zejdź na dół i zajmij się przeszukaniem — sir-William rzucił opryskliwie drugiemu.

— Czego mamy szukać, sir Williamie?

— Będę wiedział, gdy zobaczę! — Maleverer obserwował, jak odchodzi, a następnie spojrzał gniewnie w moją stronę. — Odsuwam cię, panie, od tej sprawy. Zapomnij o wszystkim, zrozumiałeś?

— Tak, my...

— Zapomnij, co widziałeś. Zapomnij o tym, co Oldroyd rzekł ci dziś rano na temat króla. Zapomnij też owo nazwisko... — ściszył głos — Blaybourne. Nie wspominaj o nim nikomu, zrozumiałeś? Rzekłeś o tym komu?

— Nie, sir Williamie.

— Możecie odejść. Obaj. Zajmijcie się swoimi sprawami...

Przerwało mu zamieszanie na zewnątrz. Podeszedł do okna.

Dwóch żołnierzy wlokło ucznia ulicą. Pod chłopakiem ugięły się nogi i strażnicy musieli go ciągnąć za ramiona. Nieszczęśnik wył ze strachu, błagając, aby go puścili. Drzwi okolicznych domów otworzyły się i do naszych uszu doleciał szmer gromadzącego się tłumu złożonego głównie z kobiet.

— Hańba! — krzyknęła jakaś niewiasta za żołnierzami.

— Psy z południa! — wrzasnęła inna. Maleverer zacisnął wargi.— Na Boga, wszystkie je zamknę! — Wyszedł z furją z pokoju, a chwilę później usłyszałem, jak wrzeszczy do tłumu: — Pilnujcie swojego nosa, bo każę was wysmagać!

Barak szturchnął mnie w bok.

— Powinniśmy zwiewać, póki można. Wyjdźmy tylnymi drzwiami.

Zawahałem się, patrząc na plamę na ścianie, w którą wpatrywał się uczeń, a później skinąłem głową i szedłem za nim po schodach. Dwaj żołnierze strzegli tylnych drzwi. Wyjaśniłem, że przyszliśmy tu w oficjalnej sprawie, lecz musiałem im pokazać glejt, zanim nas puścili. Znaleźliśmy się w wąskiej bocznej uliczce, którą doszliśmy do głównej drogi. Wolnym krokiem wróciliśmy do ratusza, lekko zaszokowani tym, co się stało.

— Moglibyśmy zjeść lunch? — spytał Barak. — Czuję, że żołądek podchodzi mi do gardła.

— Dobrze. — Zdałem sobie sprawę, że ja również jestem głodny. Obaj nie zjedliśmy śniadania. Znaleźliśmy ruchliwą gospodę i usiedliśmy przy wolnym stole, zamawiając chleb i miskę polewki.

— O co w tym wszystkim chodzi? — spytał Barak tak cicho, by nie usłyszeli go ludzie siedzący przy sąsiednich stołach.

— Bóg jeden wie.

— Czemu ksiązę Suffolk zainteresował się tą sprawą? Czy to on odpowiada za królewską podróż?

— Tak, jest wysokim urzędnikiem z najbliższego otoczenia króla.

— W co był zamieszany Oldroyd? Nie wysłaliby oddziału żołnierzy, gdyby wystawiał zawyżone rachunki za usuwanie witraży. To łgarstwo.

— Słusznie prawisz. Odnoszę wrażenie, że była to pierwsza rzecz, która przyszła do głowy Malevererowi, gdy nas zobaczył. — Ściszyłem głos. — To sprawa polityczna, nie inaczej.

— Sądzisz, że ma jakiś związek ze spiskiem? — Barak gwizdnął cicho. — Oldroyd wyglądał mi na papistę, żałował niszczonych witraży.

Skinąłem głową, a następnie zmarszczyłem czoło.

— Bóg jeden wie, co uczynią owemu chłopcu.

— Biedny gnojek. — Barak spojrzał na mnie twardym wzrokiem. — Z drugiej strony terminatorzy dowiadują się wielu rzeczy, podsłuchując pod drzwiami, a gdy ma się do czynienia z takimi żółtodziobami, zastraszenie jest najszybszym sposobem na wyciągnięcie informacji.

— Czy właśnie to uczyniłby lord Cromwell?

Barak wzruszył ramionami.

— Jeśli chłopak ma odrobinę zdrowego rozsądku, powie im wszystko, co wie.

— Jestem pewien, że coś ukrywa — rzekłem w zamyśleniu. — Co chwila spoglądał na płamę na ścianie, jakby coś tam ukryto.

— Naprawdę? Nie zauważyłem.

— Zamierzałem rzec o tym Malevererowi, lecz wybiegł z izby w pośpiechu.

— Może powinniśmy wrócić i go powiadomić.

Potrząsnąłem głową.

— Sam widziałeś, że chciał się nas jak najszybciej pozbyć. Później z nim pomówię.

— W każdym razie wyłączono nas z tej sprawy. Nie mogę rzec, że mi przykro z tego powodu.

— Ani ja, z drugiej strony... — Zawahałem się. — Ciekawi mnie, o co w tym wszystkim idzie. Nie mogę zapomnieć rozpaczliwego spojrzenia Oldroyda. Tego, co powiedział o królu i królowej, oraz nazwiska Blaybourne. To pewne, że chodziło o coś ważnego.

— Na to wygląda.

— Domyślam się, że Maleverer powtórzył słowa Oldroyda księciu Suffolk, te zaś najwyraźniej coś mu mówiły. Zna on tajemnice państwowe, o których Maleverer nie ma pojęcia.

— Widzę, że ta sprawa wzbudziła twoją ciekawość — rzekł Barak, patrząc na mnie z uśmiechem. — Od tej pory będziemy musieli się strzec. Nie zaprzeczysz, że masz ochotę przeprowadzić własne śledztwo w sprawie śmierci szklarza?

— Nie, mam tego dość — rzekłem, odsuwając misę. — Musimy iść — oznajmiłem. — Trzeba się nam dziś spotkać z innym miłym panem, Radwinterem. Skoro jesteśmy w mieście, załatwmy to, zanim udamy się do kolegi Wrenne'a. Wąskimi, zatłoczonymi uliczkami łatwiej było poruszać się pieszo niż na końskim grzbiecie, więc w pół godziny przedostaliśmy się na drugi koniec miasta. York był mniejszy od Londynu i wkrótce zaczęliśmy rozpoznawać punkty orientacyjne. Kiedy dotarliśmy do zamku, ponownie zaczęło się śnieżyć. Liście i błoto na wewnętrznym dziedzińcu ślizgały się pod stopami. Spojrzałem ponownie na szkielet Aske'a.

— Zbyt długie przypatrywanie się owym szczątkom nie jest zdrowe dla duszy — rzekł cicho Barak.

— Broderick powiedział, że ten widok powinien mi przypominać, jaki los może czekać prawnika. — Podniosłem głowę, spoglądając na wieżę i małe okienko jego celi. — Lepiej już pójdę.

— Chcesz, abym ci towarzyszył tym razem? — spytał Barak.

— Nie — odparłem z uśmiechem. — Wiem, żeś ciekaw. Na twoim miejscu czułbym to samo, sądzę jednak, że powinienem się spotkać z Radwinterem sam na sam. Jeśli przyprowadzę kogoś ze sobą, weźmie to za oznakę słabości.

Kiedy Barak skinął głową, ruszyłem do izby strażnika. Żołnierz o surowym obliczu, którego poznałem poprzedniego dnia, pozwolił, aby Jack ogrzał się przy ogniu, zaprowadził mnie do wieży, otwierając zewnętrzne drzwi.

— Traficie sami, panie?

— Bez problemu.

Kiedy wszedłem do środka, przekręcił klucz. Zacząłem się wspinać po kamiennych stopniach. W środku słyhać było jedynie kapanie wody. Odgadłem, że Radwinter i Broderick byli jedynymi lokatorami wieży. Pomyślałem, że więzień był bezpiecznie strzeżony — od zewnętrznego świata oddzielały go straża i most zwodzony, wartownik w izbie, zamknięta furta do wieży oraz drzwi celi.

Przystanąłem na chwilę przed drzwiami Radwintera, próbując złapać oddech, aby nie ujrzał mnie ponownie zdyszanego. Musiał mieć wszakże koci słuch, albowiem po chwili ciężkie wrota otworzyły się ze zgrzytem. Radwinter stanął w drzwiach z ostrym mieczem w dłoni. Na mój widok wybuchnął śmiechem.

— Witajcie, panie Shardlake!

Poczerwieniałem, spodziewając się jakiejś ironicznej uwagi, lecz on zaprosił mnie gestem do środka. — Przestraszyliście mnie. Usłyszałem głosy na zewnątrz — rzekł, odkładając miecz. — Przemokliście, panie. Stańcie przy ogniu.

Z przyjemnością stanąłem obok koksownika z węglem drzewnym ustawionego pośrodku izby.

— Rok zbliża się do końca, nieprawdaż? — zagaił przyjacielskim tonem Radwinter, przyglądając swoje schludnie zaczesane włosy. — Miejmy nadzieję, że w piątek, gdy przyjedzie król, nie będzie padać. W wilgotnym Yorku nie można wszak tego gwarantować.

— Zaiste. — Byłem ciekaw, dlaczego zwraca się do mnie tak przyjaźnie.

— Napijcie się wina? — spytał. Zawahałem się, lecz po chwili skinąłem głową. Podał mi kielich. — Macie, panie. Był tu medyk i opatrzył rany sir Edwarda. Założył mu też kompres na ciekącą ranę. Jutro przyjdzie ponownie.

— Znakomicie.

— Obawiam się, że wczoraj źle zaczęliśmy naszą znajomość. Wybaczcie, panie, siedzę sam w tej wieży, mając za towarzyszy jedynie więźnia i tych gburów strażników. Taka izolacja powoduje, że w człowieku wzbierają złe humory.

— Zapomnijmy o tym — odparłem ze słabym uśmiechem. Miałem nadzieję, że oznacza to, iż wygrałem i nie będzie więcej podważał mojej władzy. Radwinter skinął głową, a następnie przystąpił do jednego z okien i skinął w moją stronę. Przez szybę pokrytą kroplami deszczu ujrzałem szeroką rzekę i kilka domów, mur miasta i ponurą równinę pokrytą wrzosowiskami i lasami. Radwinter wskazał drogę biegnącą od miasta.

— To Walmgate. Król i jego dwór wjadą nią w piątek do Yorku.

— Ciekawe, jak tysiące ludzi przejdą przez miasto do opactwa Świętej Marii.

— Królowie odbywają takie podróże od niepamiętnych czasów, choć nie wszyscy lubią takie imprezy. — Wskazał horyzont. — To Fulford Cross wyznaczający granice Yorku. Ojcowie miasta złożą tam hołd królowi.

— Wezmę udział w tej uroczystości — powiedziałem.

Odwrócił się do mnie. — Naprawdę?

— Mam pomóc w przejściu petycji skierowanych do króla. Podobno będę uczestniczył w ich przekazaniu.

— Nie mówisz tego z entuzjazmem.

Zawahałem się.

— Jestem trochę onieśmielony.

— Widziałem króla.

— Tak?

Radwiter skinął dumnie głową.

— Pamiętasz, panie, proces Johna Lamberta trzy lata temu?

Jakże mógłbym zapomnieć. Król, głowa angielskiego Kościoła,

przewodniczył procesowi radykalnego reformatora Lamberta oskarżonego o herezję. Był to pierwszy znak, że reformy religijne zaszły za daleko.

— Tak — odrzekłem wolno. — Został spalony na stosie.

— Zasłużył sobie na to. Lambert był pod moją strażą w wieży Lollardów. Towarzyszyłem mu podczas procesu. Król prezentował się... doskonale. — W kącikach jego ust zaigrał uśmiech. — Wspaniale. Odziany w białą szatę będącą symbolem czystości. Kiedy Lambert próbował przedstawić swoją heretycką interpretację Pisma, zgromił go niczym kulącego się z trwogi psa. Widziałem też, jak Lambert płonął na stosie. Darł się wniebogłosy. — Radwiter spojrział na mnie. Wiedział, że uważam to za odrażające. Wyczułem to. Ponownie bawił się moim kosztem. Nie odrzekłem ani słowa. — Równie wspaniale obejdzie się z mieszkańcami Yorku. Sprytnie postąpił, zmuszając szlachtę do złożenia osobistej przysięgi wierności — ciągnął dalej. — Daruje im uchybienia, a jednocześnie da jasno do zrozumienia, że ludzie łamiący uroczyste zapewnienie nie mogą liczyć na jego miłosierdzie. Kij i marchewka, oto jak należy się obchodzić z tymi osłami. — Po chwili dodał: — Zatem wasza podróż do Yorku nie ogranicza się do Brodericka.

— Arcybiskup zaproponował mi najpierw posadę prawniczą. O drugiej misji dowiedziałem się dopiero wówczas, gdy wyraziłem zgodę na pierwszą.

Radwiter zaśmiał się cicho.

— To chytry lis, choć z pewnością ci się to, panie, opłaci.

— Zapłata jest wystarczająca — odparłem chłodno.— Mam nadzieję, że wystarczy, aby kupić nową szatę, szczególnie że masz waszmość stanąć przed królem. Ta jest rozdarta. Wspominam o tym jedynie na wypadek, gdybyś nie zauważył.

— Mam inną. Tę rozdarłem dzisiaj rano, wdrapując się na wóz szklarza.

— Naprawdę? Dziwny wypadek.

— Żebyś pan wiedział. — Opowiedziałem mu o tym, jak znalazłem ciało Oldroyda, chociaż ograniczyłem się jedynie do tego, co było powszechnie znane. Strażnik uśmiechnął się ponownie.

— Wygląda na to, że praca prawnika nigdy się nie kończy — powiedział, odstawiając kielich.

— Jak sądzę, chcesz pan rzucić okiem na sir Edwarda.

— Jeśli łaska.

Ponownie ruszyłem za Radwinterem, który wspinał się po schodach szybko i z łatwością. Pomyślałem o tym, co rzekł na temat procesu i śmierci Lamberta, oraz przypomniałem sobie, że Cranmer scharakteryzował go jako człowieka prawdziwej i szczerzej wiary. Oznaczało to pewnikiem ortodoksyjne stanowisko, zgodnie z którym ostatnie słowo w sprawach religii należało do króla jako głowy angielskiego Kościoła. Taki człowiek mógłby bez trudu zaaprobować spalenie heretyka, chociaż lekki, żartobliwy ton, jakim o tym mówił, wydał mi się odpychający. Czy wyznawana wiara stanowiła jedynie przykrywkę dla jego sadystycznych upodobań? Wpatrywałem się w jego plecy, gdy otwierał drzwi celi Brodericka.

Sir Edward leżał na brudnym sienniku. Jak nakazałem, podłogę wyłożono świeżym sitowiem i w celi panował nieco mniejszy smród. Zauważyłem, że koszula więźnia jest rozsunięta, a na jego piersi położono kompres. Broderick był niezwykle wychudzony, pod trupio bladą skórą rysowały się wszystkie żebra. Rzucił mi lodowate spojrzenie.

— Witam, sir Edwardzie, jak się dziś macie?

— Kompres, który położyli na moją ranę, cuchnie.

— Zapewne to znak, że przyniósł skutek. — Zwróciłem się do strażnika. — Więzień jest bardzo wychudzony, panie Radwinter. Czym go karmicie?

— Dostaje polewkę z zamkowej kuchni, tę samą, którą otrzymują strażnicy. Oczywiście nie za wiele. Człowiek osłabiony sprawia mniej kłopotu. Widzieliście wszak, jak wczoraj na mnie skoczył.

— Widziałem też, jak mocno jest przykuty. Widziałem również, że jest chory. Człowiek chory może zmarnieć bez odpowiedniego jadła.

Oczy Radwintera błysnęły.

— Mam mu zamówić pasztet z drożdów z królewskiej kuchni? A może półmisek marcepanów?

— Nie — odparłem. — Chcę jednak, aby otrzymywał takie same racje jak strażnicy. — Radwinter wyduł wargi. — Proszę, abyście tego dopilnowali — dodałem cicho.

Broderick zarechotał chrapliwie.

— Nie przyszło wam, panie, do głowy, że wolałbym być słaby, gdy dotrę do Londynu? Tak słaby, aby zabiły mnie pierwsze tortury.

— Kaci będą dbali, aby do tego nie doszło — rzekł delikatnie Radwinter. — Kiedy cię do nich przywiodą, obejrzą pana dokładnie. Dobrze wiedzą, jak zadać człowiekowi ból, który go skłoni do mówienia, a jednocześnie nie pozbawi świadomości ani nie zabije. Oczywiście, osłabiony człowiek zniesie mniej i prędzej zacznie mówić. — Uśmiechnął się do mnie. — Widzicie zatem, że im lepiej go potraktujemy, tym więcej bólu będzie musiał wycierpieć.

— Nie — przerwałem mu ostro. — Więzień ma być właściwie żywiony.

— Będę jadł, bom głodny. Będę jadł, chociaż wiem, co mnie czeka. — Broderick rzucił mi spojrzenie pełne cierpienia i gniewu. — Jakże rozpaczliwie trzymamy się życia, prawda jurysto? Staramy się przeżyć nawet wówczas, gdy nie ma to najmniejszego sensu. — Spojrzał w kierunku okna. — Kiedy powieszono Roberta, przychodziłem tu codziennie, aby widział moją przyjazną twarz. Codziennie miałem nadzieję, że zastanę go martwego, on zaś w dalszym ciągu się poruszał, aby złagodzić cierpienie, jęczał cicho, dyndając na łańcuchach. To pewne, rozpaczliwie trzymamy się życia.

— Tylko ludzie niewinni zasługują na szybką śmierć — rzekł Radwinter. — Panie Shardlake, zadbam o dodatkową rację dla sir Edwarda. Życzysz sobie waść coś jeszcze? Spojrzałem na Brodericka, który ponownie wpatrywał się w sufit. Przez chwilę panowało milczenie, słychać było jedynie krople deszczu uderzające o szybę.

— Na dziś wystarczy. Przyjdę tu ponownie, najpewniej jutro.

Radwinter odprowadził mnie na zewnątrz, zamykając za nami

ciężkie drzwi. Choć po naprężeniu jego ramion wiedziałem, że jest wściekły, zdumiała mnie złość malująca się na jego twarzy, gdy się do mnie odwrócił. Gęba mu poczerwieniała, ledwie skrywał grymas niezadowolenia. Wiedziałem, że pod powierzchnią lodu kryje się ogień.

— Podważacie, panie, mój autorytet w obecności tego zdradzieckiego łotra — rzekł z gniewem. — Skoro chcieliście zwiększyć jego racje żywnościowe, nie mogliście tego rzec, gdy wyjdziemy?

Spojrzałem na niego spokojnie.

— Chciałem, aby wiedział, że to ja odpowiadam za opiekę nad nim.

— Jużem rzekł, nie wiesz, panie, z jakim człowiekiem masz do czynienia. Pożatujesz swojej delikatności.

— Wykonam to, co mi rozkazano. — Wziąłem głęboki oddech. — Sądzę, że macie, panie, przyćmiony osąd. Nie przez gorliwość, jak rzekł arcybiskup, lecz przez rozkosz czerpaną z zadawanego cierpienia. — Jego spojrzenie sprawiło, że moje ciało przebiegł zimny dreszcz, mimo to kontynuowałem powodowany gniewem: — Nie będziecie sobie folgować, lekceważąc rozkazy arcybiskupa. Powiadomię go, co z was za człowiek.

Ku mojemu zaskoczeniu Radwinter wybuchnął mi w twarz szyderczym rechotem pobrzmiwającym echem w wilgotnym korytarzu.

— Sądźcie, że arcybiskup mnie nie zna?! Zna mnie doskonale! Wie też, że Anglia potrzebuje takich ludzi jak ja, aby nic jej nie groziło ze strony heretyków! — Przysunął się ku mnie i dodał: — Wszyscy służymy sprawiedliwemu i gniewnemu Bogu. Nie powinniście o tym zapominać.

Spojrzałem na Brodericka, który ponownie wpatrywał się w sufit. Przez chwilę panowało milczenie, słychać było jedynie krople deszczu uderzające o szybę.

— Na dziś wystarczy. Przyjdę tu ponownie, najpewniej jutro.

Radwinter odprowadził mnie na zewnątrz, zamykając za nami

ciężkie drzwi. Choć po naprężeniu jego ramion wiedziałem, że jest wściekły, zdumiała mnie złość malująca się na jego twarzy, gdy się do mnie odwrócił. Gęba mu poczerwieniała, ledwie skrywał grymas niezadowolenia. Wiedziałem, że pod powierzchnią lodu kryje się ogień.

— Podważacie, panie, mój autorytet w obecności tego zdradzieckiego łotra — rzekł z gniewem. — Skoro chcieliście zwiększyć jego racje żywnościowe, nie mogliście tego rzec, gdy wyjdziemy?

Spojrzałem na niego spokojnie.

— Chciałem, aby wiedział, że to ja odpowiadam za opiekę nad nim.

— Jużem rzekł, nie wiesz, panie, z jakim człowiekiem masz do czynienia. Pożatujesz swojej delikatności.

— Wykonam to, co mi rozkazano. — Wziąłem głęboki oddech. — Sądzę, że macie, panie, przyćmiony osąd. Nie przez gorliwość, jak rzekł arcybiskup, lecz przez rozkosz czerpaną z zadawanego cierpienia. — Jego spojrzenie sprawiło, że moje ciało przebiegł zimny dreszcz, mimo to kontynuowałem powodowany gniewem: — Nie będziecie sobie folgować, lekceważąc rozkazy arcybiskupa. Powiadomię go, co z was za człowiek.

Ku mojemu zaskoczeniu Radwinter wybuchnął mi w twarz szyderczym rechotem pobrzmiwającym echem w wilgotnym korytarzu.

— Sądźcie, że arcybiskup mnie nie zna?! Zna mnie doskonale! Wie też, że Anglia potrzebuje takich ludzi jak ja, aby nic jej nie groziło ze strony heretyków! — Przysunął się ku mnie i dodał: — Wszyscy służymy sprawiedliwemu i gniewnemu Bogu. Nie powinniście o tym zapominać.

Rozdział ósmy

Ruszyliśmy pośpiesznie w drogę powrotną do Minsteru, gdyż byliśmy już znacznie spóźnieni na spotkanie z kolegą Wrenne'em.

— Może powinienem zanieść wiadomość Malevererowi do Świętej Marii? — zasugerował Barak. — Zawiadomić go, że chłopak popatrywał na ową plamę na ścianie.

Zawahałem się.

— Nie, musisz mi pomóc z owymi petycjami. Na jutro rano trzeba przygotować streszczenie. Wyjdziemy najszybciej, jak się da, i ydamy się wprost do opactwa Świętej Marii. Nawiasem mówiąc, przypuszczalnie tak wystraszył biednego chłopaka, że ten wszystko mu wyśpiewał.

Gdy dotarliśmy do Minsteru, ponownie pokazałem dokumenty i zostaliśmy wpuszczeni do środka.

Promień słońca przebił się przez gęstniejące obłoki, oświetlając ogromne okna wielkiego kościoła, które rozświetliły się wszystkimi kolorami tęczy.

— Ciekawe, dlaczego władze Yorku oszczędziły te witraże? — spytał Barak. — W klasztorze usunięto wszystkie, uznając je za przejaw bałwochwalstwa.

— Niektórzy reformatorzy usunęliby witraże ze wszystkich kościołów, zastępując je zwyczajnymi szybami, król jednak ograniczył się do klasztorów. Tymczasem.

— To bez sensu.

— To jeden z elementów kompromisu, który zawarł ze stron-nictwem konserwatystów. Nie możesz żądać, by polityka miała sens.

— Masz rację.

Drzwi domu Wrenne'a otworzyła stara gosposia, równie ponura jak wczoraj. Staruszek czytał coś w oświetlonym świeczkami holu. Na centralnym palenisku buchał ogień. Zauważyłem, że izba została sprzątnięta — książki starannie ułożono, a żółte płytki podłogi lśniły czystością. Sokół wędrowny siedział nieruchomo na grzędzie przy ogniu. Dzwoneczek przyczepiony do jego nogi brzęknął, gdy odwrócił się w naszą stronę. Stół zasłano eleganckim obrusem w białe róże, na nim zaś ułożono sterty dokumentów. Mistrz Wrenne podniósł się wolno, odkładając książkę.

— Kolega Shardlake, młody Barak. Znakomicie.

— Przepraszamy za spóźnienie — rzekłem. — Dostałeś, panie, mój list?

— Tak. Jakaż pilna sprawa was zatrzymała?

Opowiedziałem mu o szklarzu, który spadł z drabiny do wozu,

pominąłem jednak wydarzenia, które później nastąpiły. Wrenne zmarszczył czoło i zamyślił się głęboko.

— Peter Oldroyd. Tak, znałem go. Udzielałem porad prawnych cechowi szklarzy. Kiedyś stał na jego czele. Spokojny, przyzwoity człowiek. Stracił rodzinę podczas zarazy w trzydziestym ósmym roku. To smutne. — Wrenne milczał przez dłuższą chwilę. — Zdybałeś mnie pan na czytaniu. Studiuję księgę Thomasa More'a o życiu Ryszarda Trzeciego. Mało kto rzuca inwektywami jak on, nieprawdaż?

— Trudno zaprzeczyć, nie był delikatnym świętym, jak go niektórzy przedstawiają.

— Z drugiej strony posługuje się pięknym językiem. Czytałem właśnie o wojnie Dwóch Róż z końca ubiegłego wieku. Posłuchajcie tylko: „Owe igrzyska królów przypominały sztuki teatralne rozgrywające się na deskach szafotów”.

— Zaiste, rozgrywały się też na skrwawionych polach bitew.

— Prawda to. Usiądźcie. Napijcie się wina, zanim zaczniemy? Widzę, że mieliście za sobą trudny ranek.

— Dziękuję. — Wziąłem do ręki kielich i utkwilem wzrok w stercie książek. — Masz waszmość cenną kolekcję woluminów. — Tak, zebrałem wiele klasztornych ksiąg, nie są to wszakże dzieła teologiczne, które mogłyby wzbudzić podejrzenia Rady Północy. Udało mi się ocalić nieco cennych ksiąg z dziedziny historii i filozofii. Z uwagi na ich temat i piękno. Mam antykwaryczne zainteresowania. Pociągało mnie to przez całe życie.

— To piękne hobby, panie. W zakonach było wiele złego, lecz takie uczone i piękne księgi nie powinny trafić w ogień. Widziałem, jak wycierano konie kartami spisanymi pieczołowicie setki lat temu.

Wrenne skinął głową.

— Przeczuwałem, że będziemy podobnego zdania, kolego. Potrafię rozpoznać człowieka uczonego. W ciągu trzech ostatnich lat zniszczono wiele klasztornych bibliotek w Yorku. Bibliotekę u Świętego Klemensa, w opactwie Trójcy Świętej, a nade wszystko bibliotekę opactwa Świętej Marii. — Uśmiechnął się. — Na wiosnę był u mnie antykwariusz John Leland. Największe zainteresowanie wzbudziły w nim zbiory, które trzymam na górze. Odniosłem wrażenie, że trochę mi ich zazdrości.

— Może będę miał kiedyś okazję je zobaczyć.

— Miejmy nadzieję. — Wrenne skinął swoją lwią głową. — Obawiam się, że dzisiaj musimy się zająć dokumentami mniejszej wagi. Petycjami do króla. — Uśmiechnął się smutno. — Gdzie praktykujecie, kolego Shardlake?

— Należę do korporacji Lincoln's Inn. Mam dom nieopodal, przy Chancery Lane.

— Ja studiowałem w Gray's Inn. Wiele lat temu. — Wrenne się uśmiechnął. — Przybyłem do Londynu w roku tysiąc czterysta osiemdziesiątym szóstym. Owego roku ojciec króla nie zasiadał jeszcze na tronie.

Dokonałem pośpiesznych obliczeń. Pięćdziesiąt pięć lat temu, zatem obecnie musiał mieć dobrze ponad siedemdziesiątkę.

— Wróciłeś pan jednak, aby praktykować w Yorku? — spytałem.

— Tak, nigdy nie czułem się dobrze na południu. — Zawahał się, a następnie dodał: — Mam siostrzeńca w Gray's Inn, syna siostry mojej zmarłej żony. Pojechał do Londynu i tam pozostał. Może o nim słyszałeś. — Spojrzał na mnie uważnie. — Nazywa

się Martin Dakin. Powinien być teraz w twoim wieku, może nieco starszy. Niedawno przekroczył czterdziestkę.

— Nie słyszałem o nim, w Londynie są setki prawników.

Wrenne wyglądał na skępowanego.

— Doszło do niefortunnego zatargu, kłótni rodzinnej, która spowodowała, że straciliśmy ze sobą kontakt, -r- Westchnął głęboko. — Chciałbym go ujrzeć ponownie przed śmiercią. To mój jedyny krewny. Jego rodzice zmarli podczas zarazy trzy lata temu.

— Odnoszę wrażenie, że wielu wówczas odeszło.

Skinął głową.

— York doświadczył pięciu strasznych lat. Najpierw bunt roku tysiąc pięćset trzydziestego szóstego, później zaraza. Powróciła w roku tysiąc pięćset trzydziestym dziewiątym i rok temu. Bogu dzięki, w tym roku nam jej oszczędzono. — Uśmiechnął się cierpko. — Gdyby było inaczej, król nie zaszczyliłby nas wizytą. Jego wysłannicy przez całe lato kontrolowali szpitale, aby upewnić się, że nie ma nowych przypadków zachorowań. Zamiast plagi mieliśmy za to nowy spisek. Cóż za niespokojne czasy.

— Miejmy nadzieję, że miasto czeka lepsza przyszłość. Z przyjemnością dostarczę list waszemu siostrzeńcowi w Londynie, panie. Jeśli zechcecie.

— Dziękuję. — Wrenne skinął wolno głową. — Pomyślę o tym. Miałem syna i żywiłem nadzieję, że pójdzie w moje ślady, jednak nieszczęsne dziecię zmarło w wieku pięciu lat. — Wrenne utkwiał wzrok w płomieniach, a następnie wzdrygnął się i uśmiechnął. — Wybaczcie starcowi ponure słowa. Jestem ostatni z rodu i czasami bardzo mi to ciąży.

Poczułem ściskanie w gardle, gdyż jego słowa sprawiły, iż przypomniałem sobie o zmarłym ojcu. Ja również byłem ostatnim żyjącym członkiem rodziny.

— Zauważyliśmy, że w mieście bardzo zaostrożono środki bezpieczeństwa, panie — rzekł Barak.
— Widzieliśmy, jak w bramie Bootham Bar zatrzymano szkockie małżeństwo.

— To prawda, usunięto też z miasta wszystkich włóczęgów. Jutro wypędzą z Minsteru żebraków. Nieszczęśni biedacy. Środki bezpieczeństwa są zaiste surowe. — Wrenne zawahał się, a następnie dodał: — Musisz, panie, wiedzieć, że król nie jest tuszczególnie lubiany. Szlachta odnosi się do niego z niechęcią, chociaż składa pokłony i przebiera nogami. Wśród pospólstwa cieszy się jeszcze gorszą sławą.

Przypomniałem sobie zgryźliwą uwagę Cranmera o papistach z północy.

— Z powodu zmian religijnych, które doprowadziły do buntu?

— Tak. — Wrenne oplótł dłońmi kielich. — Pamiętam bunt. Agenci króla otaczali małe klasztory i grabili kościelną własność. Później w całym Yorkshire nieoczekiwanie zbuntował się prosty lud, przypominało to szerzący się w zastraszającym tempie ogień. — Machnął dużą dłońią ozdobioną pierścieniem ze szmaragdem. — Wybrali na przywódcę Roberta Aske'a"i po tygodniu ruszyli na York w sile pięciu tysięcy zbrojnych. Rada miejska i władze Minsteru wpadli w przerażenie. Była to groźna zbieranina złożona z prostego chłopstwa, pospolite ruszenie. Podporządkowali się więc Aske'owi, a księża odprawili dlań uroczystą mszę w Minsterze. — Skinął

głową w kierunku okna. — Obserwowałem, jak buntownicy kroczą na nabożeństwo, uzbrojeni w miecze i piki.

Skinąłem głową w zamyśleniu.

— Sądziłeś, że król zgodzi się odwołać wprowadzone zmiany.

— Jak na prawnika Robert Aske był naiwnym człowiekiem, gdyby jednak królowi nie udało się skłonić ich podstępem do rozwiązania armii, sądzę, że zajęliby cały kraj. — Spojrzał na mnie poważnie. — Niechęć mieszkańców północy ma długie korzenie, sięga wojny Dwóch Róż z minionego stulecia. Północ była wierna królowi Ryszardowi Trzeciemu, Tudorzy nie byli tu nigdy mile widziani. Bunt nie miał wyłącznie religijnego podłoża. Mieszkańcy północy przekazywali sobie pamflety pióra „Kapitana nędzarza”, w którym narzekano na wysokie podatki i dziesięciny. Zmiany w religii... — Wrenne rozłożył wielkie dłonie — przelały kielich goryczy.

— Popierali króla Ryszarda? — spytał Barak. — Przecież bezprawnie zajął tron i wymordował prawowitych dziedziców. Uwięził księżąt w Tower.

— Niektórzy powiadają, że to ojciec króla ich zgładził. — Wrenne przerwał na chwilę. — Byłem pacholęciem, gdy po swojej koronacji król Ryszard przejeżdżał przez York. Szkoda, że nie widzieliście, jak wyglądało wówczas miasto. Wzdłuż drogi ludzie wywieszali w oknach najlepsze dywany, a jadącego konno króla obsypywano płatkami kwiatów. Dziś jest inaczej. Pospólstwo ociąga się, aby wysypać żwir przed własnymi domami, by wyrównać drogę Henrykowi, chociaż władze wielokrotnie to nakazywały.

— Wojna Dwóch Róż nie ma już dziś większego znaczenia — zdziwiłem się. — Tudorzy zasiadają na tronie od blisko sześćdziesięciu lat.

— Tak sądzisz panie? — Wrenne przechylił głowę. — Powiadają, że po wykryciu spisku wiosną tego roku w Tower stracono starą hrabinę Salisbury i jej syna.

Przypomniałem sobie opowieści o przerażającej śmierci leciwej hrabiny, które krążyły w Londynie tego lata. Uwięziona bez żadnego powodu została przywieziona na miejsce kaźni, gdzie niewprawy pacholek odrąbał jej głowę wraz z ramionami. Królewski kat miał tego dnia huk roboty w Yorku, wykonując wyroki na spiskowcach.

— Była ostatnią spadkobierczynią rodu Yorków — rzekł cicho Wrenne. — Czyż nie uczyniono tego dlatego, że król nadal lęka się imienia Plantagenetów?

Rozsiadłem się wygodnie.

— Czy spisek, który wykryto wiosną tego roku, nie miał charakteru religijnego podobnie jak Pielgrzymka Łaski?

— Powróciły w nim do głosu także dawne sentymenty. Król rozkazał zabić hrabinę i jej syna, aby mieć pewność. — Staruszek uniósł brwi. — Powiadają, że w Tower zniknęły jego małe dzieci.

— Nikt tego nie wie.

— I że w Tower uwięziono więcej księżąt.

Skinąłem wolno głową, przypominając sobie słowa Cranmera: „Tym razem ogłosili go tyranem, chcieli go obalić”.

— Rozumiem teraz, dlaczego z powodu wizyty króla zastosowano takie środki ostrożności — rzekłem. — Mimo to dynastia Tudorów przyniosła Anglii spokój i bezpieczeństwo. Nikt nie może temu zaprzeczyć.

— To prawda. — Wrenne odchylił się na krześle z westchnieniem. — Król mądrze postąpił, przybywając na północ i odciskając tu swój ślad. Powiadam jedynie, że nie wolno lekceważyć głębinowych prądów, które tu występują. Spojrzałem na staruszkę, ciekaw, po której stronie się opowiada. Pomyślałem, że jak wielu leciwych obserwatorów spraw tego świata przestał już odczuwać silne napiętności. Zmieniłem temat.

— Słyszałem, że mamy uczestniczyć w piątkowym powitaniu króla. Sir William Maleverer potwierdził mi to wczoraj w Świątęj Marii. Mamy mu przekazać petycję.

— Tak, zawiadomiono mnie o tym. Mamy zanieść jutro petycję do kancelarii szambelana. Spotka się z nami o dziewiątej i zaprowadzi nas przed oblicze króla. Chce, abym dostarczył petycję wraz ze streszczeniem pół godziny wcześniej, by mógł je przejrzeć. Wyruszę wcześniej do Świątęj Marii, aby dołączyć do was o dziewiątej.

— Mam nadzieję, że zdążymy się należycie przygotować.

— Bez wątpienia. Rada chce, aby wszystko przebiegło gładko. — Wrenne uśmiechnął się i pokręcił głową. — Dobry Jezu, oglądać króla w moim wieku. Dziwne to będzie doświadczenie.

— Wyznam, że nie budzi to mojego entuzjazmu.

— Musimy jedynie wykonać nasz mały obowiązek. — Król ledwie nas zauważył. Pomyślcie, ujrzymy Henryka i niezwykle korowód wozów ciągnący się na milę. Siano dla koni przywiozą aż z Carlisle.

— Królewska podróż jest świetnie zorganizowana. Wczoraj spotkaliśmy dziewczkę, która chodziła po mieście, kupując łakocie dla królowej. — Opowiedziałem mu o spotkaniu z Tamasin Reedbourne. Wrenne mrugnął do Baraka.

— Jest urodziwa?

— Tak, panie.

Coś sobie przypomniałem. Dziewczyna rzekła, że dała studze wolne, aby kupić sobie nowy kaftan na straganie, ten wrócił jednak z pustymi rękami. Postanowiłem to zapamiętać.

— Powinniśmy wziąć się do roboty — rzekł Wrenne. — Podsumowanie każdej ze spraw musi być krótkie. Zaczniemy i będziemy pracować, dopóki nie skończymy.

— Zgoda, wolałbym nie drażnić ludzi z kancelarii szambelana. Ani sir Williama Maleverera.

Wrenne zmarszczył czoło.

- Maleverer to prostak, chociaż pochodzi ze starej rodzinyz Yorkshire. Jest taki jak wielu innych wyznaczonych do Rady Północy po Pielgrzymce Łaski. Szlachta, która nie przyłączyła się do rebelii, opowiada się teraz po stronie reform, choć nie interesuje jej żadna religia, tylko własny awans. To bezwzględni, ambitni ludzie. Powiedz mi, kolego, co budują w opactwie Świętej Marii?
- Liczne pawilony. Wznoszą je setki cieśli i murarzy. Skoro
- o tym mowa, kiedy zlikwidowano klasztor?
- Dwa lata temu. Opat Thornton napisał do Cromwella, prosząc, aby oszczędzono klasztor lub przyznano mu ziemię
- i pensję. Otrzymał je. — Staruszek zaśmiał się cynicznie.
- Opaci dużych klasztorów to skorumpowani chciwcy.
- Teraz opactwo Świętej Marii należy do Korony, z kolei rezydencja opata została przemianowana na King's Manor. — Wrenne potarł policzki w zadumie. — Może usłyszymy, że królowa spodziewa się dziecka.
- Król powitałby z radością drugiego syna.
- Królewska sukcesja. — Uśmiechnął się. — Linia krwi pomazańców bożych biegnąca nieprzerwanie przez wieki. Głowa i dusza kraju, najwyższe ogniwo łańcucha, który łączy ludzi i sprawia, że wszyscy czują się bezpieczni.
- Łańcucha, w którym my, prawnicy, wisimy gdzieś pośrodku, licząc na wyniesienie i lękając się upadku.
- Zaiste. — Wrenne zaśmiał się, wodząc dłonią wokół izby. — Widzicie mój stół na podeście? Znajduje się najbliżej ognia. Gdy studzy rozstawią swój, by na nim wieczerzać, znajdą się niżej i dalej od paleniska. Wszyscy jesteśmy częścią wielkiego ziemskiego łańcucha, nasz świat przypomina ogromny teatr. Widać musi tak być, w przeciwnym razie zapanowałby chaos. — Mrugnął konspiracyjnie w naszą stronę. — Mimo to pozwalam Madge siadać blisko ognia, aby mogła ogrzać swoje stare kości.

Pozostałą część dnia spędziliśmy na przeglądaniu petycji, przerywając jedynie, by spożyć mdłą polewkę, którą uwarzyła stara Madge. Niektóre petycje zostały starannie wykaligrafowane, ozdobione ciężkimi woskowymi pieczęciami, inne nagryzmołono na nędznych skrawkach papieru. Barak sporządzał krótkie streszczenia poszczególnych spraw, które dyktowaliśmy mu z Wrenne'em. Staruszek okazał się szybki i zdecydowany, bezlitośnie oddzielając ziarno od plewy. Większość pism zawierała błahę skargi na pomniejszych urzędników. Pracowaliśmy w miłej atmosferze przy świecach rozświetlających mroczne popołudnie. Jedynym dźwiękiem, który słyszeliśmy, był brzęk dzwoneczka poruszającego się sokoła i rozlegające się co jakiś czas dzwony na wieży Minsteru.

Było już późne popołudnie, gdy Wrenne podał mi kartkę zapisaną nieporadnym pismem.

— To interesująca sprawa — rzekł.

Autorem pisma był mieszkaniec z leżącej poza miastem parafii Towton. Człowiek ów zamienił swoje pastwiska w ziemi uprawne, na których uprawiał warzywa dla miasta. Jego oracze co chwila wykopywali ludzkie kości, które władze kościelne kazały dostarczać na przykościelny cmentarz w celu pochówku. Mężczyzna ów zażądał, aby zwrócono mu koszty podróży w jedną i drugą stronę oraz rekompensatę za stracony czas.

— W Townton doszło do bitwy, prawda? — zapytałem.

— W tysiąc czterysta sześćdziesiątym pierwszym roku. Była to największa bitwa wojny Dwóch Róż. Na krwawym polu poległo trzydzieści tysięcy ludzi. Co sądzisz o roszczeniu tego jegomościa?

— Z pewnością nie podlega ono naszej jurysdykcji. To sprawa Kościoła, powinna zatem trafić do dziekana Minsteru.

— Kościół nie rozstrzygnie sprawy wbrew własnemu interesowi i nie każe zapłacić temu człowiekowi, prawda? — wtrącił się Barak. — Powinien mieć przynajmniej swojego przedstawiciela. . .

Wrenne odebrał petycję i uśmiechnął się ponuro.

— Mimo to kolega Shardlake ma rację. Rzecz dotyczy prawa kanonicznego, nie można jej więc dołączyć do petycji skierowanych do króla. W ostatnim czasie Kościół jest czuły na takie sprawy. Król nie chciałby wywołać burzy z powodu błahej sprawy. Trzeba przekazać prośbę owego czelaka dziekanowi.

— Zgadza się — rzekłem.

Wrenne ponownie uśmiechnął się cierpko. — W dzisiejszych czasach wszyscy musimy być politykami. Pamiętać, że prawo ma ograniczenia. Nie wolno oczekiwać od niego zbyt wiele, panie Baraku.

O piątej sporządziliśmy krótkie streszczenie wszystkich spraw. Pociemniało, a o szyby zaczął dzwonić deszcz. Wrenne spojrzał na naszą pracę.

— Myślę, że wykonaliśmy niezłą robotę — rzekł.

— Znakomicie. Musimy wracać. Mamy do załatwienia pewną sprawę w King's Manor.

Wrenne wyjrzał przez okno.

— Pożyczę wam pelerynę, rozpadało się na dobre. Leje jak z cebra. Poczekajcie chwilę. — Zostawił nas w holu..

— To porządny człowiek — rzekł Barak, gdy stanęliśmy przy ogniu.

— Tak — odparłem, wyciągając ręce, aby ogrzać je nad paleniskiem. — Jest samotny, jak mniemam. Nie ma na świecie nikogo prócz starej gospodyni i sokoła. — Skinąłem w kierunku ptaka siedzącego sennie na żerdzi. Wrenne wrócił z peleryną. Była gruba i ciężka, lecz zbyt obszerna na mnie, a jej krawędź niemal ocierała się o podłogę. Obiecałem, że zwrócę ją następnego dnia.

Wyszliśmy na deszcz, aby dowiedzieć się, czy nieszczęsny młody Green wyśpiewał prawdę o skrytce w murze domu Oldroyda.

Rozdział dziewiąty

Szliśmy mrocznymi, pustymi uliczkami zmęczeni jak wczoraj. W powietrzu unosiło się mnóstwo jesiennych woni — zapach drzewnego dymu i smród wilgotnych opadłych liści.

— Zatem ujrysz króla? — Barak pokręcił głową w podziwem.

— Nigdy go nie widziałeś, pracując dla Cromwella?

Zaśmiał się.

— Nie, tacy jak ja trzymają się w cieniu.

— Chciałbyś go zobaczyć?

— Tak. — Uśmiechnął się w zamyśleniu. — Pewnego dnia mógłbym opowiedzieć o tym dzieciom.

Spojrzałem na niego. Nigdy wcześniej nie wspominał o dzieciach. Zawsze sprawiał wrażenie człowieka, który żyje z dnia na dzień.

— Może uda się nam odszukać siostrzeńca kolegi Wrenne'a — powiedziałem. — Mógłbyś się o niego wypytać w korporacji.

— A może lepiej dać temu spokój? A jak okaże się, że siostrzeniec nie chce go widzieć? — W głosie Baraka pojawił się twardy ton. Przypomniałem sobie, że rozgoryczony zerwał kontakt z matką, gdy ta powtórnie wyszła za mąż.

— Niewykluczone, lecz moglibyśmy spróbować. Szkoda, że jego jedyne dziecko zmarło.

— Tak. — Przerwał na chwilę. — Pan Wrenne żyje okruchami przeszłości. Cały czas opowiada o królach i dawnych wojnach.

— Przypominam sobie moją rozmowę z Guyem przed odjazdem.— Jak się miewa nasz stary Maur?

— Nieźle. Kiedy wspomniałem o królewskiej podróży, opowiedział mi o ostatnim władcy Grenady. Gdy był chłopcem, istniało jeszcze królestwo Maurów niezależne od Hiszpanii. Jego ostatnim władcą był król Boabdil...

— Cóż za imię!

— Możesz posłuchać choć przez chwilę. Kiedy Guy był dzieckiem, widział, jak noszono go po Grenadzie w lektyce, a wszyscy mieszkańcy kłaniali się i obsypywali go płatkami kwiatów, jak mieszkańcy Yorku króla Ryszarda. Kiedy Boabdil stracił swoje królestwo na rzecz Hiszpanii, musiał udać się na wygnanie do ziemi Maurów.

— Co się z nim stało?

— Guy powiada, że podobno zginął podczas jakiejś bitwy w Afryce. Właśnie w tym sęk, iż nikt nie wie. Cała jego władza i chwała przeminęły.

Idąc uliczką Petergate, usłyszeliśmy zgiełk, płacz i wołania. Odwróciliśmy się, by sprawdzić, co się dzieje, i ujrzeliśmy obdartych żebraków biegnących w naszą stronę. Nieszczęśnicy osłaniali plecy przed razami, które zadawali im kijami trzech mężowie w oficjalnych szatach.

— Oczyszczają miasto z żebraków — zauważyłem.

Barak przypatrywał się, jak gnają obdartych ludzi po dużym kamiennym moście.

— Jak przeżyją za murami? — spytał. — Mają prosić o jałmużnę krzewy i drzewa?

Byłem ciekaw, czy usuną szkielet Aske'a z murów zamku. Ale król pewnie i tak nie odwiedzi tego smętnego, zrujnowanego miejsca.

Mimo deszczu i zapadających ciemności w opactwie Świętej Marii nadal trwały prace. Od strony pawilonów dobiegały odgłosy piłowania i huk uderzeń, obok robotnicy ustawiali gigantyczne namioty, wygładzali płótno i naciągali liny. Przypomniałem sobie olbrzymie namioty, które widziałem na obrazach przedstawiających Pole Złotogłowie. Dziedziniec opactwa zamienił się w błotne bajoro. Nigdy wcześniej nie widziałem, aby ludzie pracowali w takich warunkach. Najwyraźniej system kanalizacyjny uległ zapchaniu, albowiem grupka ubłoconych robotników pracowała w wykopie biegnącym wokół drugiego pawilonu, przekształcając go w długi kanał. Mężczyźni głośno pokrzykiwali i przeklinali. W drzwiach rezydencji stali królewscy urzędnicy, spierając się nad planami. Przecisnęliśmy się i oznajmiliśmy wartownikowi, że musimy się widzieć z sir Williamem Male-vererem.

— Nie ma go tu, panie — odpowiedział mężczyzna. — Wyjechał na spotkanie królewskiego orszaku. O ile wiem, do Leconfield.

— Czy to daleko stąd?

— Trzydzieści mil. Otrzymał pilne wezwanie.. Wróci jutro rano.

Pomyślałem chwilę.

— Jest tu królewski koroner? Pan Archbold?

— Pojechał razem z nim.

Przygryzłem wargi.

— Dziś rano na rozkaz sir Williama sprowadzono tu z miasta terminatora w celu przesłuchania. Być może także służącą. Wiesz, co się z nimi stało?

Spojrzał na mnie podejrzliwie.

— Czemu waść pytasz?

— Byliśmy obecni przy aresztowaniu owego ucznia. Muszę pomówić z sir Williamem w jego sprawie.

— Chłopak siedzi w celi. Otrzymaliśmy surowe polecenie, aby go nie wypuszczać do powrotu sir Williama. Służkę odesłaliśmy do domu. Sir William skończył ją przepytować i miał się zająć chłopakiem, gdy nadeszło wezwanie.

— Czy mogę przesłać wiadomość sir Williamowi?

— Przy tej pogodzie nawet najlepszemu posłańcowi dotarcie i odszukanie go zajmie wiele godzin. Równie dobrze możecie poczekać do jutra. Jak mniemam, sir William wyruszy z samego rana.

Zawahałem się.

— W porządku. Poczekamy. Czy możesz zostawić dla niego wiadomość, że Matthew Shardlake chce się z nim widzieć w sprawie owego chłopaka? Będę tu jutro rano. Nie pozostało nam nic innego, jak wrócić do naszych kwater. Ruszyliśmy wzdłuż ściany kościoła — nie zamierzałem skracać sobie drogi przez nawę, nawet gdyby miał nas złapać deszcz. Spostrzegłem, że zabrano wóz szklarza.

— Chciałem wrócić, aby przekazać wiadomość Malevere-rowi — rzekł Barak.

— Dziękuję, że mi o tym przypomniałeś — odparłem oschle. — Teraz będę miał pewnie kłopoty. Dlaczego wyruszył na spotkanie króla? Na Boga, czy owa sprawa jest tak ważna, aby musiał się radzić członków Tajnej Rady?

— Należy do niej Richard Rich, prawda?

— Nie przypominaj mi o nim. — Westchnąłem głęboko. — Dobry Jezu, żałuję, że dałem się w to wplątać! — Kopnąłem gniewnie kawałek drewna leżący na schodni, gdy z mroku wyłoniła się tęga postać kolegi Craike'a i ruszyła w naszą stronę. Craike stąpał ostrożnie po śliskich deskach, owinięty obszytym futrem płaszczem z kapturem, który nasunął na głowę dla ochrony przed deszczem. Uśmiechnął się, udając, że nie zauważył mojego wybuchu gniewu.

— Podła pogoda — rzekł.

— Tak. Zauważyłem, że wóz szklarza zniknął.

Craike skinął głową.

— Kazano dokładnie go przeszukać, Bóg jeden wie dlaczego. Słyszałem, że- zatrzasnęliście się w kapitularni. — Jego oczy zabłyśły z ciekawości.

— Głupi wypadek. Dziękuję ci, panie, za pomoc, której nam udzieliłeś dziś rano.

— Drobiazg. Odniosłem wrażenie, że śmierć szklarza wywołała spore zamieszanie. Wezwano mnie przed oblicze sir Williama. Poprosił, abym mu wszystko opowiedział. Dzieje się tu coś dziwnego, panie — oznajmił złowieszczo.

— Jestem podobnego zdania — odparłem. — Powiedz mi, kolego Craike, jak dobrze znasz owego Oldroyda?

Spojrzał na mnie przenikliwie.

— Nieszczególnie — rzucił szybko. — Kiedy zaczął tu pracować tydzień temu, spytał, czy mógłby zostawiać konia i wóz na noc. Rzekłem, że może zostawiać wóz pod gołym niebem, konia zaś codziennie zabierać do domu. Mało tu miejsca, jak widzicie. Później, gdy przechodziłem mimo, zamieniałem z nim kilka słów. Pragnąłem pogadać z mieszkańcem Yorku, rzadko wychodziłem do miasta — dodał, według mnie zbyt pośpiesznie.

— Odniosłem wrażenie, iż żałuje starych czasów — oznajmiłem, przyglądając się bacznie Craike'owi.

— Może i tak. Nie gadałem z nim o tych sprawach. Nie mam teraz czasu na rozmowę, przybył królewski posłaniec, aby sprawdzić, czy wszystko jest gotowe na przyjazd króla. Idę się z nim spotkać. — Strząsnął wodę z kaptura. — Muszę was pożegnać.

— Niebawem się zobaczymy. Musimy się napić.

— Zaiste — odparł pośpiesznie. Zeszedł ze schodni, aby nas ominąć, i odszedł.

— Śpieszno mu było — zauważył Barak.

Obserwowałem, jak masywna postać znika w strugach deszczu.

— Masz rację. Podejrzewam, że on również jest zwolennikiem starej religii. Pewnie on i Oldroyd mieli podobne poglądy w tej sprawie. Mam nadzieję, że na tym koniec. — Ruszyliśmy przed siebie, docierając do drzwi, przez które weszliśmy rano.

— Craike nie mógł mieć nic wspólnego ze śmiercią Oldroyda — powiedział Barak. — Był z nami, gdy usłyszeliśmy skrzypienie kościelnych drzwi.

— To prawda, dziś rano wstał jednak bardzo wcześnie. Podeszedł do mnie zaraz po incydencie ze spłoszonym koniem. W śmierć Oldroyda mogło być zamieszanych więcej osób. Widzieliście, jak strzegą tego miejsca, Baraku. Człowiek, który zamordował szklarza, przebywał już na terenie opactwa. Był jego mieszkańcem.

— Są tu setki ludzi.

— To prawda.

Ruszyliśmy dalej w stronę naszych kwater. Krowy i owce mokły w zagrodach. Kury stłoczyły się pod ścianą, szukając osłony przed deszczem. We wnętrzu domu grupka urzędników zebrała się wokół ognia, który buchał wesoło. Z rąk do rąk krążył duży skórzany bukłak z winem. Młody prawnik, kolega Kimber, stał w pewnej odległości od nich, grzejąc dłonie nad żarem.

— Dobry wieczór, panowie — zawołał. — Zaskoczył was deszcz? . ,

— Tak, wracamy z miasta. Skończyliście pracę?

— Skończyliśmy, panie. Wraz z owymi urzędnikami przejrzeliliśmy wszystkie rachunki za zakupiony prowiant. — Mówiąc to, wskazał młodego mężczyznę. — Pan Barrow dziś rano odnotował zakup pięćdziesięciu świń, podczas gdy powinien zapisać pięćset. Pilnujący skatuty zagroził, że odeśle go do Londynu. Potrzebujecie urzędnika dla waszego domu obrachunkowego?

Pan Barrow spojrział gniewnie w jego stronę.

— Nie, dziękuję. — Roześmiałem się.

— Ktoś o was pytał jakiś czas temu. — Kimber odwrócił się i zawołał: — Hej! Tomie Cowfold, jesteście tam? — Młody tysięcący człowiek o okrągłej twarzy wychylił głowę ze swojej kabiny. — To kolega Shardlake — oznajmił z namaszczeniem Kimber.

— Ach, to wy, panie. — Urzędnik podszedł ku nam. — Chodzi o jutrzejszą próbę przed piątkową uroczystością w obecności króla...

— Chodźcie do mnie — powiedziałem, widząc, że urzędnicy przysłuchują się nam z zainteresowaniem. Poprowadziłem go do mojej kwatery, a Barak ruszył naszym śladem.

— Proszę was, panie, abyś stawił się jutro o dziewiątej w biurze mojego przełożonego — oznajmił zarozumiale. — Odbędzie się tam próba przed uroczystością wręczenia petycji. — W biurze zarządcy, sir Jamesa Fealty'ego. Stawi się tam również kolega Wrenne z petycjami. Mój pan zaznajomi was, jak należy przekazać petycje królowi.

— Kto ma je wręczyć?

— Kolega Wrenne. — Ulżyło mi. — Powinniście się zjawić w stroju, który będziecie mieli na sobie podczas uroczystości. — Urzędnik spojrział na obszerny płaszcz, który źle na mnie leżał.

— Zrozumiałem.

— W takim razie do jutra, panie. — Skłonił się i wyszedł.

— Przebierzmy się i chodźmy coś zjeść — zaproponował Barak. — Panienska Reedbourne powiedziała, że spotka się z nami w holu o szóstej. Zostało niewiele czasu.

— Dobrze. Pójdę i spytam owych młodzieńców, jak tam trafić. — Po tych słowach wyszedł na zewnątrz. Chwilę później usłyszałem głos Cowfolda:

— To pomocnik owego garbatego prawnika.

Zawrzałem z gniewu, albowiem gbur mógł przynajmniej

ściszyć głos.

— Zamknij gębę, durniu — usłyszałem szybką odpowiedź Baraka i po chwili ciszy rozmowa przybrała bardziej stateczny ton. Włożyłem suche szaty, wziąłem głęboki oddech i wyszedłem, świadom, że mam na grzbiecie za obszerną szatę Wrenne'a. Byłem wdzięczny, że dobry Bóg nie

uczynił staruszką wyższym. Urzędnicy rozeszli się do swych kabin, a Barak stał samotnie przy ogniu. Spojrzał na mnie niepewnie, wiedząc, iż podsłuchane zniewagi nie poprawiły mi nastroju.

- Gdzie jest jadalnia? — spytałem grzecznie.
- Urzędnicy powiedzieli, że zorganizowano ją w dawnym klasztorным refektarzu. Wszyscy jadają razem oprócz najwyższych urzędników wieczerzających w rezydencji opata.
- Chodźmy zatem.

Na zewnątrz spostrzegłem ludzi zmierzających do długiego szeregu budynków klasztornych biegnących wzdłuż ściany kościoła. Duże drzwi stały otworem. Podążyliśmy ku nim za grupką cieśli, do których przykleiły się mokre trociny. W łuku drzwi spostrzegłem Tamasin w drogiej żółtej sukni i niebieskim czepcu naciągniętym na oczy. Ku mojemu zaskoczeniu u jej boku stała Jennet Marlin z charakterystyczną gniewną miną. Panna Marlin nieznacznie skinęła głową na powitanie. Tamasin wręczyła nam dwa paski papieru. Na moim widniało „Matthew Shardlake”, prawnik zajmujący się petycjami adresowanymi do króla”, obok zaś widniała pieczęć kancelarii szambelana.

- Dziękuję, panienko Reedbourne — odparł Barak. — Dzięki tobie nie musieliśmy czekać w namiocie pełnym przeciągów.
- To prawda, również dziękuję — dodałem. Nie lubiłem bezpośredniego stylu bycia tej dziewczyny, oszczędziła nam jednak zachodu. Postanowiłem, że będę odnosił się do niej uprzejmie, choć nie miałem na to ochoty. — Jesteśmy głodni — rzekłem. — Nie wątpię, że panie również. Studzy królowej mają pewnie własną stołówkę.
- Nie, panie — odrzekła Tamasin. — Jadamy razem z innymi.
- Z motłochem — dodała panna Marlin ostrym tonem. — Bogu dzięki jutro zacznie działać kuchnia królowej, więc to się zmieni. — Rzuciła kwaśne spojrzenie Barakowi. — Dotrzymam towarzystwa Tamasin, nie będzie musiała wieczerzać sama.

Nie miałem nic do powiedzenia, skłoniłem więc głowę, dając znak, aby niewiasty weszły do środka. Wspięliśmy się na szerokie schody o gzymsach zdobionych misternie rzeźbionymi aniołami. Pomocnicy kuchenni krążyli po schodach, roznosząc tace i skórzane bukłaki z winem. Wkroczyliśmy do dawnego klasztornego refektarza. W wielkiej sali porozstawiano stoły na kozłach tak blisko siebie, że pomocnicy z ledwością się przeciskali. Pomyślałem, że przy stołach mogło się posilać około dwustu ludzi. Większość miejsc zajmowali utrudzeni rzemieślnicy i cieśle. Zauważyłem, że urzędnicy siedzą razem w pewnej odległości od nich. Obok przycupnęła mała gromadka niewiast. Jedna z nich spostrzegła pannę Marlin i trąciła koleżanki. Spojrzały na nią i zachichotały. Twarz Jennet Marlin poczerwieniała. Zrobiło mi się jej żal.

Mężczyzna w czarnej szacie woźnego ruszył w naszą stronę. Podaliśmy mu nasze kwity, on zaś zaprowadził nas do stołu, na którym stały cztery wolne nakrycia. Z radością stwierdziłem, że znajdował się on w pewnej odległości od stołu urzędników. Panna Marlin zmarszczyła nos, gdy spoczliśmy, albowiem obrus i serwetki były poplamione. Kelner postawił na stole dzban z piwem i oddalił się popiesznie. Nalałem wszystkim.

— Przynajmniej misy i kielichy są z cyny — rzekła panna Marlin. Obejrzałem się i dostrzegłem, że cieśle piją z drewnianych naczyń.

— Przestrzegają widać pewnych konwenansów — powiedziałem. Po chwili zjawił się inny pomocnik kuchenny z dużą wagą polewki. Postawił ją pośpiesznie na stole, rozlewając odrobinę na obrus. Panna Marlin westchnęła, lecz Tamasin roześmiała się tylko, podając jej wagę.—

Musimy to znieść, pani — rzekła. Ku memu zaskoczeniu Jennet Marlin rzuciła jej przelotne, czułe spojrzenie.

— Jak trafiłaś na służbę do królowej? — spytał Barak, gdy rozdzielono strawę.

— Moja matka pracowała w królewskiej kuchni — odrzekła Tamasin. — Od dwóch lat pomagam cukiernikowi królowej. Poproszono mnie, abym uczestniczyła w podróży, ponieważ potrafię przyrządzać łakocie — dodała dumnym głosem. — Posłano mnie przodem razem z lady Rochford i panną Marlin, abyśmy pomogły przygotować komnaty dla królowej i jej dworu. Mamy dopilnować, aby miała swoje ulubione desery. Drogie słodczyce z marcepanu, migdałów i imbiru.

— A ty pani, od dawno służysz u lady Rochford?

Panna Marlin spojrzała na mnie wyniośle.

— Nie, panie. Służyłam lady Edgecombe, gdy królową była Anna Kliwijska. Przeszłam na służbę do lady Rochford ostatniego lata.

— Pochodzisz z północy, pani?

— Urodziłam się w Ripon, lecz w wieku szesnastu lat posłano mnie na dwór.

— Od początku uczestniczysz w królewskiej podróży?

— Tak — odrzekła z westchnieniem. — Przez cały lipiec. W chłodzie i deszczu. Wszędzie taki brud, że aż trudno w to uwierzyć. Z powodu opadów wszystkie drogi zamieniły się w błotniste bajora. Urzędnicy królewscy sugerowali, aby wrócić do Londynu, lecz król i jego doradcy zdecydowali się kontynuować podróż.

Skinąłem głową.

— To sprawa o wielkim znaczeniu politycznym.

— Tak. Kiedy pogoda uległa poprawie, król zabawił dłużej w Hatfield i Pontefract. Nikt nie wie dlaczego. Później wysłano nas do Yorku, król zaś stanął na dłuższy pobyt w Hull. Tkwimy tu prawie tydzień.

— Jak długo król ma zamiar zabawić w Yorku?

— Powiadają, że trzy dni, zawsze są jednak opóźnienia.

— To musi być bardzo frustrujące. — Zawahałem się. — Wiesz pani, jaką wielką uroczystość tu szykują? Po co te wszystkie przygotowania?— Musimy to znieść, pani — rzekła. Ku memu zaskoczeniu Jennet Marlin rzuciła jej przelotne, czułe spojrzenie.

— Jak trafiłaś na służbę do królowej? — spytał Barak, gdy rozdzielono strawę.

— Moja matka pracowała w królewskiej kuchni — odrzekła Tamasin. — Od dwóch lat pomagam cukiernikowi królowej. Poproszono mnie, abym uczestniczyła w podróży, ponieważ potrafię przyrządzać łakocie — dodała dumnym głosem. — Posłano mnie przodem razem z lady Rochford i panną Marlin, abyśmy pomogły przygotować komnaty dla królowej i jej dworu. Mamy dopilnować, aby miała swoje ulubione desery. Drogie słodczyce z marcepanu, migdałów i imbiru.

— A ty pani, od dawno służysz u lady Rochford?

Panna Marlin spojrzała na mnie wyniośle.

— Nie, panie. Służyłam lady Edgcombe, gdy królową była Anna Kliwijska. Przeszłam na służbę do lady Rochford ostatniego lata.

— Pochodzisz z północy, pani?

— Urodziłam się w Ripon, lecz w wieku szesnastu lat posłano mnie na dwór.

— Od początku uczestniczysz w królewskiej podróży?

— Tak — odrzekła z westchnieniem. — Przez cały lipiec. W chłodzie i deszczu. Wszędzie taki brud, że aż trudno w to uwierzyć. Z powodu opadów wszystkie drogi zamieniły się w błotniste bajora. Urzędnicy królewscy sugerowali, aby wrócić do Londynu, lecz król i jego doradcy zdecydowali się kontynuować podróż.

Skinąłem głową.

— To sprawa o wielkim znaczeniu politycznym.

— Tak. Kiedy pogoda uległa poprawie, król zabawił dłużej w Hatfield i Pontefract. Nikt nie wie dlaczego. Później wysłano nas do Yorku, król zaś stanął na dłuższy pobyt w Hull. Tkwimy tu prawie tydzień.

— Jak długo król ma zamiar zabawić w Yorku?

— Powiadają, że trzy dni, zawsze są jednak opóźnienia.

— To musi być bardzo frustrujące. — Zawahałem się. — Wiesz pani, jaką wielką uroczystość tu szykują? Po co te wszystkie przygotowania? Wzruszyła ramionami.

— Nie. Krążą różne pogłoski. — Zmieniła temat. — Jesteś panie prawnikiem?

— Tak, należę do korporacji Lincoln's Inn.

— Mój narzeczony jest obrońcą z Gray's Inn.

Podobnie jak siostrzeniec Wrenne'a, pomyślałem.

— Pewnie słyszałeś — ciągnęła — że trzymają go w Tower pod zarzutem udziału w spisku. Krąży o tym mnóstwo plotek.

— Słyszałem — przytaknąłem niechętnie.

— Może go pan poznać? Nazywa Bernard Locke. — Jej pełne usta, które wydawały się wiecznie ściągnięte, rozluźniły się na chwilę.

— Obawiam się, że nie — odparłem. Po raz drugi tego dnia zapytano mnie, czy znam prawnika z korporacji Gray's Inn.

— Pochodzi z Ripon, jak ja. Znamy się od czasu, gdy byliśmy dziećmi. — Spojrzała na mnie z nagłym napięciem. — Jego aresztowanie to straszna pomyłka. Wypuszczą go. Aresztowano wielu ludzi, którzy nic nie zawinili. Szeroko zarzucili sieć, przekonując się, że Bernard jest niewinny i uwolnią go.

— Miejmy nadzieję, panno Marlin. — Byłem zaskoczony, że mówi o tym tak otwarcie. Liczyłem na to, że ma rację, z drugiej strony wiedziałem, że ludzie podejrzewani o przestępstwa polityczne gniją w Tower latami.

— Nigdy nie stracę nadziei — rzuciła gwałtownie.

— Twoja wierność, pani, jest godna pochwały.

Posłała mi jedno ze swych pogardliwych spojrzeń.

— Wiele mu zawdzięczam.

W tym momencie zjawił się pomocnik kuchenny i postawił na stole wielki pieróg z baraniną. Kiedy Barak pokroił jadło i Jennet Marlin sięgnęła po swój kawałek, zauważyłem, że dłoń, w której trzyma nóż, lekko drży. Chociaż zachowywała się gburowato, nie mogłem się powstrzymać, by nie okazać jej współczucia. Jeśli cały czas trzymała serce na dłoni, nic dziwnego, że dworki się z niej naśmiewały. Niewiasty potrafią być okrutniejsze od mężczyzn.

— Słyszałem, że królowa zachorowała podczas podróży na północ — powiedziałem. — Mam nadzieję, że jej stan uległ poprawie.

Rzuciła mi wymuszony uśmiech.

— Zapadła na letnią gorączkę. Nic wielkiego. Wyszła z tego, jest młoda.

— Jestem rad, że nie było to nic poważniejszego.

— Sprowadziła lady Rochford, by się z nią cackała, nazywała ją biedactwem, nosiła poduszki — rzekła z wyraźnym niesmakiem. Przypomniałem sobie, jak obcesowo potraktowała ją lady Rochford poprzedniego dnia. Uderzyło mnie, że Jennet Marlin jest bardzo gniewną kobietą. Przypominała mi kogoś, choć sam nie wiedziałem kogo.

— Krążą plotki, że królowa jest przy nadziei — rzekłem.

Spojrzała na mnie chłodno.

— Nic mi o tym nie wiadomo. Widzę, żeś łasy na plotki, panie.

— Przepraszam — odparłem. Panna Marlin pochyliła głowę nad talerzem. Najwyraźniej miała dość rozmowy ze mną.

Wkrótce wino rozwiązało języki i ludzie poczęli prowadzić coraz głośniejsze rozmowy. Barak przedstawił Tamasin skróconą opowieść o tym, jak został moim asystentem.

— Rok temu pracowałem dla lorda Cromwella. Pan Shardlake również mu służył. Kiedy mój pan został odsunięty, wziął mnie do siebie na urzędnika.

— Pracowałeś dla Cromwella? — zapytała, szeroko otwierając oczy ze zdumienia. — Znałeś go?

— Tak. — Barak posmutniał na chwilę.

— Opowiedz mi, jak zatrzasnęliście się w kapitularku — poprosiła z uśmiechem. — Jestem pewna, że nie stało się to przez zwykłe zaniedbanie.

— To nasza wina — odparł Barak, uśmiechając się cierpko. — Głupiec ze mnie, durny błazen.

Roześmiała się.

— Myślę, że jesteś mężczyzną o wielu obliczach.

— Zaiste.⁴— Oboje wybuchli śmiechem. Panna Marlin rzuciła Tamasin surowe spojrzenie. Ponownie zastanowiłem się, kogo mi przypomina. Gdy nad tym dumałem, rozmowa Baraka i Tamasin stawała się coraz bardziej swawolna. W końcu panna Marlin wstała.

— Powinnyśmy już iść, Tamasin. Lady Rochford skończyła już pewnie wieczerzę. Wolałaby nie wracać sama.

— Możemy odprowadzić was do domu opata, pani — zaproponowałem.

— Dziękuję, nie trzeba — odparła szybko. — Chodź, Tamasin. — Wstaliśmy z Barakiem i pokłoniliśmy się odchodzącym białogłowom. Kilku mężczyzn powiodło wzrokiem za Tamasin. Usiedliśmy ponownie.

— Przypadliście sobie do gustu — rzekłem do Baraka.

— Tak, to wspaniała dziewczyna. Powiedziała, że pojutrze trupa komediantów urządza próbę przedstawienia muzycznego, które ma zostać odegrane przed królem. Poprosiłem, abym mógł jej towarzyszyć. Oczywiście, jeśli pozwolisz — dodał.

— Jeśli nic nie stanie na przeszkodzie. — Spojrzałem mu w oczy. — Czy większość kobiet, z którymi flirtujesz, jest taka bezpośrednia? — Chciałem zażartować, lecz moje słowa zabrzmiały ostro. Barak wzruszył ramionami.

— Może i jest bezpośrednia, czemu jednak w tak dziwnych okolicznościach nie mielibyśmy wykraść dla siebie kilku radosnych chwil? — W jego głosie dało się wyczuć lekką zadziorność. — Nie lubisz jej?

— Myślę, że mimo pogodnego stylu bycia jest w niej coś fałszywego. — Zastanawiałem się, czy powiedzieć mu o dziwnym zdarzeniu z wczoraj, lecz ugryzłem się w język.

— Panna Marlin to dopiero dziwna niewiasta — stwierdził Barak. — Ciekawe, ile ma lat. Jak sądzisz?

— Około trzydziestki. Tyle co ty.

— Mogłaby być atrakcyjna, gdyby cały czas nie krzywiła się tak, jakby ją zęby bolały.

— Masz rację. Jej narzeczony jest w Tower. Wyznała mi, że zna go od dzieciństwa.

— To długie zaręczyny, jeśli skończyła trzydzieści lat.

— Tak.

Uśmiechnął się.

— Jeśli chcesz, spytam o to jutro panienkę Tamasin.

— Muszę wyznać, że poczuła się dotknięta moimi wścibskimi pytaniami. Mam wrażenie, że mnie nie lubi. Ciekawe dlaczego.

— Myślę, że ta niewiasta nikogo nie lubi.

— Może i tak. Dziś wieczór mamy ją z głowy. Chciałem z tobą pomówić o tym, co rzekłeś dzisiejszego ranka. Gdybyliśmy w kapitulacji, powiedziałeś, że nigdy nie popełniłeś takiego błędu, gdy pracowałeś dla Cromwella. Czy właśnie o tym dumałeś przez ostatnie tygodnie?

Zawahał się, a następnie odparł cicho:

— W ostatnim czasie czuję się nieswojo. — Skinąłem głową, dając znak, aby kontynuował. Poczzerwieniał na twarzy.

— Kiedy zacząłem dla ciebie pracować, było to nowe interesujące wyzwanie... Teraz zdałem sobie sprawę...

— Mów dalej.

— Zrozumiałem, że jestem zbyt szorstki i nieokrzesany. Nie masz pojęcia, ile razy, gdy sporządzałem notatki w sądzie lub pozdrowiałem innych prawników w twojej kancelarii, skrycie pragnąłem nazwać ich żalosnymi durniami i pociągnąć za nos.

— To dziecinada.

— Wcale nie. Wiesz, jak wyglądało moje życie, zanim cię poznałem? Twarde życie pośród twardych ludzi. Lord Cromwell cenił mnie za kontakty z takimi osobnikami. Teraz odszedł. Nie mam żadnego fachu, więc gdybym zrezygnował z posady u ciebie, skończyłbym na ulicy, tam gdzie byłem w dzieciństwie. — Westchnął i potarł dłonią czoło.

— Wiem, że żywot prawnika bywa nudny, Jack. Spróbuj jednak wybiec myślami w przyszłość. Wolisz być oszustem z londyńskiej ulicy, czującym, jak z każdą zimą sztywnieją mu stawy, czy mieć bezpieczną posadę w Lincoln's Inn?

Spojrzał mi prosto w oczy.

— Czuję się wewnętrznie rozdarty. Z jednej strony pragnę zostać przy tobie i ustatkować się, z drugiej cieszą mnie ekscytujące wydarzenia dzisiejszego ranka.

— Zauważyłem. — Wzięłem głęboki oddech. — Byłoby mi bardzo przykro, gdybym cię stracił. Wniosłeś do moich komnat wiele radości, lecz to twoje życie, sam musisz zdecydować.

Uśmiechnął się ponuro.

— Ostatnimi czasy byłem niesfornym pomocnikiem, co?

— Nie zaprzeczę.

— Przepraszam. — Zagryzł wargi. — Podejmę decyzję przed powrotem do Londynu. Obiecuję.

— Jeśli chcesz o tym pogadać, służę.

— Dzięki. Odetchnąłem głęboko.

— Jest coś jeszcze — powiedziałem. — Postanowiłem, że wstaniemy jutro wcześniej rano i zajrzemy do domu szklarza przed próbą wręczenia petycji. Lękam się, by Maleverer nie powiedział, że powinniśmy pchnąć do niego posłańca. Chcę się tam udać, aby sprawdzić, czy przeszukujący znaleźli coś w owym pokoju. Jeśli okaże się, że tak, będę miał mniej powodów do zmartwień.

— A jeśli niczego nie znaleźli?

— Wtenczas sami będziemy musieli poszukać. — Wypowiedziałem te słowa z trwogą, lecz oczy Baraka zabłyśły na myśl o przygodzie.

Rozdział dziesiąty

Kiedy wyszliśmy z refektarza, przestało padać. Chociaż dziedziniec spowijał mrok, ludzie w dalszym ciągu pracowali. Obok pawilonów wyrosły trzy olbrzymie namioty, robotnicy wnosili do środka sprzęty: zdobione krzesła, duże rzeźbione kredensy i skrzynie, które zawierały niechybnie złote naczynia, albowiem pilnowali ich żołnierze. Pomyślałem, że wszystkie te przedmioty zostały sprowadzone z Londynu.

W naszym domu urzędnicy ustawili przy ogniu mały stół na kozłach i grali w karty. Towarzyszył im Kimber i kilku młodzieńców w prawniczych togach. Zadumałem się nad osobliwym, chwilowym brataniem się ludzi, którzy obsługiwali królewską podróż. Kimber spytał, czy chcę się do nich przyłączyć. Rzekłem Barakowi, iż może to uczynić, ja jednak zamierzam pójść do swojego pokoju. W moich uszach nadal brzmiały słowa o „garbatym prawniku”. Został, co wzbudziło moje lekkie rozczarowanie. Wróciłem do siebie i załatałem szatę, korzystając z małego zestawu do szycia, a następnie zwałem się na łóżko.

Ponieważ było jeszcze za wcześnie na sen, leżałem, przysłuchując się okrzykom i jękom grających, od których odwróciła się fortuna. Ogarnęły mnie ponure myśli. Zadumałem się nad nieoczekiwanym wyjazdem Maleverera na spotkanie Tajnej Rady oraz nad tym, że nie powiadomiłem go o ewentualnej skrytce w domu Oldroyda. Choć decyzja udania się tam wczesnym rankiem zapadła pod wpływem impulsu, po zastanowieniu uznałem, że był to najbezpieczniejszy sposób uniknięcia kłopotów.

Jeśli w ścianie był schowek, który odkryto, nic straconego, gdyby jednak tak się nie stało, jego odnalezienie poczytano by mi za zasługę. Nie kryłem, że Maleverer wzbudzał moje przerażenie — był człowiekiem równie brutalnym i bezlitosnym jak mój dawny pan, lord Cromwell, choć nie miał jego ogłady, nie wyznawał też żadnych zasad, kierował się jedynie ambicją i umiłowaniem władzy. Brutalny, despotyczny, niebezpieczny człowiek.

Oprócz niego był Broderick. Przypominałem sobie chłodny sposób, w jaki powiedział, że żywię go, aby dotarł w dobrym stanie na tortury do Tower. Z drugiej strony nie mogłem zapominać, że Broderick uczestniczył w spisku, który w razie powodzenia skąpałby całe królestwo we krwi. Ponownie pomyślałem o tajemnicy, którą ukrywa, sekrecie, którego obawiał się nawet arcybiskup Cranmer, a następnie przypomniałem sobie, że lepiej o tym nie wiedzieć.

W końcu gracze rozeszli się do swoich sypialni. Usłyszałem przez ścianę, jak Barak wraca do siebie, a po chwili dobiegł mnie brzęk monet kładzionych na skrzyni. Najwyraźniej karta mu sprzyjała. Rozebrałem się i położyłem do łóżka, jednak głupie myśli nadal wirowały w mojej głowie, nie dając zasnąć. Pomyślałem o owej dziwnej, ponurej białołowie Jennet Marlin i jej gniewnym smutku zwróconym przeciwko całemu światu. Później odkryłem, kogo mi przypomina, z jasnością, która sprawiła, że wstrzymałem oddech.

Kalectwo towarzyszyło mi od najwcześniejszych dni, odróżniając mnie od innych dzieci. Nigdy nie czułem się swobodnie w towarzystwie chłopców z sąsiedztwa, którzy bawili się razem i wspólnie polowali na króliki w okolicznym lesie. Nigdy też nie przyjęli mnie do swojego grona, jakbym zagrażał ich prymitywnej fizyczności. Na dodatek uważano, że garbus przynosi pecha.

Przez kilka lat moją jedyną towarzyszką zabaw była mała dziewczynka w podobnym wieku jak ja. Nazywała się Suzanne i była córką właściciela sąsiedniego gospodarstwa. Ojciec Suzanne był wdowcem, rosnym, wesołym mężczyzną, który dorobił się stadka pięciu potężnie zbudowanych chłopaków. Suzanne była jego jedyną córką i po śmierci żony nieszczęśnik najwyraźniej nie wiedział, co z nią począć. Pewnego dnia zjawiała się na naszym podwórku, gdy puszczałem papierowe tódeczki w dużej kałuży. Przyglądała mi się przez chwilę. Byłem zbyt nieśmiały, aby do niej przemówić.

— Co robisz? — spytała w końcu.

— Bawię się tódkami. — Spojrzałem na nią. Miała na sobie ciasną, brudną sukienkę, a jej potargane włosy sterczały niczym słoma. Bardziej przypominała dziecko włóczęgi niż szanowanego gospodarza.

— Chcę się z tobą pobawić. — Lekko zmarszczyła czoło, jakby oczekiwała, że ją odpędzę. Zawsze brakowało mi towarzysza zabaw, więc uznałem, że dziewczyna się nada.

- Dobrze.
- Jak się nazywasz?
- Matthew.
- Jestem Suzanne. Ile masz lat?
- Osiem.
- To tak jak ja.

Uklękła obok mnie i wskazała tódeczkę.

- Przechyliła się. Źle złożyłeś papier.

Przez kilka lat Suzanne była moją towarzyszką zabaw. Nie przebywaliśmy ze sobą cały czas — bywało, że nie widywałem jej całe miesiące, może ojciec zakazał jej przychodzić do mnie, jednak prędzej czy później zawsze wracała, nie podając przyczyny swojej nieobecności, i przyłączała się do moich samotnych zabaw. Czasem nakłaniała mnie pochlebstwami do zabawy w dom w kąciku ich stodoły, podając wodę z kałuży swoim szmacianym lalkom. Chociaż zachowywała się despotycznie, dotrzymywała mi towarzystwa i było mi jej po prostu żal. Chyba zdawałem sobie sprawę, że była większym wyrzutkiem ode mnie — wyrzutkiem we własnym domu.

Nasza przyjaźń, jeśli można tak nazwać tę znajomość, zakończyła się gwałtownie, gdy mieliśmy trzynaście lat. Od kilku miesięcy widywałem ją jedynie podczas niedzielnych nabożeństw, i to z oddali, jako że jej rodzina miała ławkę z drugiej strony kościoła. Pewnego letniego dnia, gdy wracałem z nabożeństwa, dostrzegłem małą gromadkę dziewcząt i chłopców idących ścieżką. Dziewczynki miały na głowach czepce zawiązane podszyją oraz eleganckie dorosłe suknie sięgające kostek. Chłopcy paradowali w krótkich kaftanach i czapkach. Dziewczęta przepychały się, aby być najbliżej Gilberta Baldwina, przystojnego czternastolatka, który zawsze przewodził podczas zabaw. Za ową grupką podążała samotnie Suzanne, trzymając w ręku długą orzechową witkę, którą smagała wysokie trawy rosnące przy drodze. Dogoniłem ją i powiedziałem:

- Witaj, Suzanne.

Odwróciła ku mnie twarz, która mogłaby być ładna, gdyby nie wykrzywił jej gniew. Zauważyłem, że jej sukienka jest wygnieciona i ma rozdarcie na krawędzi. Włosy miała potargane.

- Odejdź! — syknęła wściekle.

Cofnąłem się o krok.

- Dlaczego, Suzanne? Co ci zrobiłem?

Odwróciła się w moją stronę.

- To wszystko twoja wina!
- Dlaczego? Co się stało?

— Nie pozwolili, abym z nimi szła! Powiedzieli, że moje ubranie śmierdzi! Że jestem brudasem i mam maniery włóczęgi! Wszystko dlatego, że spędzam czas z tobą, zamiast się zajmować dziewczęcymi sprawami. Gilly Baldwin powiedział, że robię słodkie oczy do garbusa! — Podniosła głos, który przybrał płaczliwy ton. Jej usta przypominały wielkie gniewne „O” pośrodku purpurowej twarzy.

Spojrzałem na ścieżkę. Idąca przed nami gromadka stanęła, obserwując scenę. Chłopcy sprawiali wrażenie skrępowanych, lecz dziewczynki zarechotały złośliwie.

— Suzy wiosłuje ze swoim łabędziem! — zawołała jedna z nich.

Suzanne odwróciła się w ich stronę.

— Przestańcie! — krzyknęła. — To nie tak! Zamknijcie się!

Kiedy śmiech się wzmógł, odwróciła się i uciekła w pole,

wyjąc z wściekłości i siekąc witką młode zboże niczym opętana. Patrzyłem za nią przez chwilę, a następnie odwróciłem się i odszedłem tą samą drogą, którą przybyłem. Dawno temu nauczyłem się, że zachowanie milczenia i odejście jest najlepszym sposobem uniknięcia szyderstwa. Od tej pory, mimo okrucieństwa, które mi okazała, i świadomości, że to własna rodzina, a nie ja, uczyniła ją wyrzutkiem, zawsze gdy widziałem ją samą, spoglądającą wściekle lub ignorującą mnie, czułem się winny, jakbym to ja częściowo ponosił odpowiedzialność za jej los. Kilka lat później wyjechałem do Londynu i od tego czasu więcej jej nie widziałem, chociaż słyszałem, że nigdy nie wyszła za mąż, a ostatnio stała się zagorzałą zwolenniczką reform donoszącą na sąsiadów sprzyjających papieżowi. Chociaż Jennet Marlin pochodziła z innej klasy społecznej, trawił ją ten sam gniew zwrócony przeciw całemu światu, który wyrządził jej krzywdę. W towarzystwie panny Marlin doświadczałem też podobnego, osobliwego pragnienia załagodzenia jej bólu. Westchnąłem, poprawiając głowę na poduszce i dumając nad dziwnym działaniem ludzkiego umysłu. W końcu zasnąłem.

Barak zaplanował, że obudzi się o szóstej i chwilę później zapukał cicho do moich drzwi. Niespokojne sny sprawiły, że nie czułem się wypoczęty, lecz wstałem i szybko się ubrałem w chłodnym, wilgotnym powietrzu. Zamiast własnej zarzuciłem na siebie pelerynę Wrenne'a, aby nie zapomnieć o jej zwrocie, kiedy spotkamy się na próbie. Wyślizgnęliśmy się cicho, aby nie obudzić innych lokatorów chrapiących w najlepsze w swoich pokojach: Słońce weszło przed chwilą i wszystko wokół spowijał głęboki cień. Ruszyliśmy ścieżką biegnącą wzdłuż kościoła, przy której poprzedniego ranka znaleźliśmy ciało nieszczęsnego Oldroyda, a następnie skierowaliśmy się ku bramie, gdzie wartę pełnił młody sierżant Leacon.

— Czemu wstaliście tak wcześnie, panie? — spytał.

— Musimy pójść do miasta. Pełniłeś waszmość nocną wartę?

— Tak, zostały mi jeszcze dwa dni do przyjazdu króla. — Potrząsnął głową. — Dziwna sprawa z tym szklarzem, panie. Sir William Maleverer o wszystko szczegółowo mnie wypytał.

Jego również, pomyślałem.

— Zaiste. — Skinąłem głową. — Macie rację, dziwna to sprawa. Kiedy ów koń wyskoczył z mgły, w pierwszej chwili nie wiedziałem, co to takiego. Przypominał bestię z otchłani piekieł.

— Powiadają, że był to wypadek. Słyszałeś coś waszmość? Jego przenikliwe spojrzenie wskazywało na to, że nie daje temu wiary, że Maleverer nie zadałby sobie tyle trudu, gdyby chodziło o przypadkową śmierć.

— Tak powiadają. — Postanowiłem zmienić temat. — Domyślam się, że widziałeś również dziwne zdarzenia podczas podróży z Londynu.

— Żadna nie była tak dziwna jak ta. Zanim przysłano mnie tu z Pontefract, cały czas towarzyszyłem królewskiemu orszakowi, konno i pieszo. W głębokim błocie, gdy padało, i wielkich tumanach kurzu, gdy świeciło słońce. — Uśmiechnął się. — W okolicy Hatfield doszło do sporego zamieszania, gdy małpa jednej z dworów królowej uciekła, aby ukryć się w okolicznej wsi.

— Naprawdę?

— Nieszczęśni wieśniacy sądzili, że to diabeł, i schronili się w kościele. Następnie posłali po księdza, aby wyekspediował czarta do piekła. Wysłano mnie wraz z kilkoma ludźmi, abym schwytał zwierzę. Małpa siedziała na przybudówce i dobierała się do zapasów.

Barak się zaśmiał.

— Musiał to być niezły widok!

— W rzeczy samej. Siedziała na dachu w malutkim kaftanie, w który przyodziła go jego pani. Z tyłu sterczał ogon. Wszyscy we wsi opowiadali się po stronie papieża. Gotów bym przysiąc, że ich zdaniem królewskiemu orszakowi towarzyszy cały legion diabłów. — Przerwał na chwilę i potrząsnął głową.

— Musimy ruszać, mamy sprawę do załatwienia.

Minęliśmy bramę i skierowaliśmy się w stronę Bootham Bar.

— Bardzo inteligentny młody człowiek — zauważyłem.

— Żołnierze nie powinni zadawać żadnych pytań — odburknął Barak.

— Niektórzy nie potrafią się przed tym powstrzymać.

Spojrzał na mnie z ukosa.

— Skąd ja to wiem?

Dotarliśmy do bramy. Była zamknięta, gdyż godzina policyjna jeszcze się nie skończyła, a żołnierz nie chciał nas przepuścić. Sięgnąłem do kieszeni, szukając listu z pełnomocnictwem, i zakląłem, gdy zdałem sobie sprawę, że zostawiłem go w swojej sypialni.

— Bez listu nie przepuszczę — oznajmił stanowczo wartownik.

Poprosiłem Baraka, aby wrócił do Leacona z prośbą, by ten przysłał kogoś, kto za nas poręczy. Kilka minut później przybył w towarzystwie innego rosnącego wojaka z Kentu, który rozkazującym tonem nakazał, aby nas przepuszczono. Wartownik otworzył drewniane wrota, głośno gderając, my zaś wyslizgnęliśmy się na zewnątrz.

Kiedy ruszyliśmy do Stonegate, słońce stało wysoko i miasto zaczęło się budzić ze snu. Staraliśmy się jechać pod okapami, albowiem ludzie otwierali okna i wylewali na ulicę zebrane przez noc nieczystości. Sklepiarze stawali w drzwiach, zewsząd dochodził hałas rozsuwanych okiennic.

— Dziwnie cichutki jesteś dzisiaj rana — rzekłem do Baraka. Byłem ciekaw, czy rozmyśla o naszej wczorajszej rozmowie.

— Ty też nie palisz się do rozmowy.

— Kiepsko spałem. — Zawahałem się. — Rozmyślałem

o Brodericku i innych sprawach.

— Tak?

— Odpowiadam za to, aby dotarł bezpiecznie i w dobrym stanie do Londynu.

— Radwintar ci przeszkadza?

— Lubi uprzykrzać życie więźniowi, lecz sądzę, że zdołam ukrócić ten proceder. Nie, chodzi o Brodericka. Powiada, że dbam o jego zdrowie, aby kaci mogli się z nim dłużej zabawić.

— Trudniej złamać zdrowego człowieka.

— Twierdzi, że nic nie skłoni go do mówienia. Umrze podczas tortur.

Barak rzucił mi obojętne spojrzenie.

— Lord Cromwell powtarzał, że większość ludzi w końcu

i tak mówi. Słusznie prawił.

— Wiem, lecz Broderick nie jest taki jak inni.

— W drodze do Tower może się wiele wydarzyć. Broderick może zdecydować się mówić, mogą też nadejść nowe informacje,

które sprawią, że jego przesłuchanie zejdzie na dalszy plan. Kto wie? Może być nawet wdzięczny za twoją troskę.

Pokręciłem głową.

— Nie. Cranmer dał do zrozumienia, że Broderick ma dla niego ogromne znaczenie. Pójdzie na tortury. Jeśli się załamie, uczyni to po wielkich cierpieniach.

Barak spojrział na mnie z wyrazem zniecierpliwienia na twarzy.

- Jesteś tym zaskoczony? — spytał.
- Nie, lecz wcześniej pochłaniały mnie myśli o ojcu, później zaś troska o jego majątek. Zyskam na tym — dodałem z ciężkim westchnieniem.
- Teraz cierpisz z tego powodu.
- Wiem. Dobry Boże, będę rad, gdy wrócę do Londynu — rzekłem dobitnie.
- Ja również.

Jadąc Petergate, usłyszeliśmy sprzeczkę. W niewielkiej odległości przed nami dwóch nadzorców przepędzało kijami pół tuzina młodzików w łachmanach. Gdy znaleźliśmy się bliżej, stanąłem jak wryty, gdyż wśród pachotków ujrzałem młodzieńca z dużą brodawką na nosie, który dwa dni temu próbował wyrwać koszyk Tamasin Reedbourne. Był tam również jego kompan. Z wyrazu twarzy Baraka odgadłem, że on również go rozpoznał. Przystąpiłem do nadzorców.

- Przepraszam waszmościów, wyganiacie owych młodzików z miasta?
- Tak, panie — odrzekł starszy mężczyzna o wąskich, zaciętych ustach. — Podczas wizyty króla w Yorku nie może być żadnych żebraków ani Szkotów.
- Chciałbym zamienić słówko z jednym z nich — rzekłem, wskazując chłopaka z brodawką na nosie.
- Znasz go, panie? Ograbił cię? — Chłopak spojrzał niespokojnie, najwyraźniej nas rozpoznając.
- Nie, może jednak udzielić odpowiedzi na ważne pytanie. — Uniostem dłoń z sześciopensówką.

Nadzorca łypnął na nią chciwym wzorkiem.

- Możecie zamienić z nim słówko. Miasto nas licho opłaca, prawda Ralph?
- Zaiste — zgodził się jego kompan. Z westchnieniem wyciągnąłem kolejną sześciopensówkę i skinąłem Barakowi, aby złapał chłopaka za kołnierz. Wyglądał na przerażonego, gdy zaprowadziliśmy go w boczną uliczkę, z dala od uszu nadzorców i wynędziałych kamratów, którzy przypatrywali się nam z zaciekawieniem.
- Chcę cię zapytać o zdarzenie sprzed dwóch dni — rzekłem, patrząc w brudną twarz chłopaka. Cuchnął okrutnie. Był młodszy, niż sądziłem, liczył nie więcej niż trzynaście lat. — Chodzi jedynie o informację, o nic cię nie oskarżymy. Możesz mi pomóc. — Dołem z sakwy kolejną sześciopensówkę.
- O co ci chodzi? — spytał zdumiony Barak. — Łajdak próbował okraść Tamasin.
- Jak się zwiesz, chłopcze? — zapytałem, ignorując Baraka.

— Steven Hawkcliffe, panie. — Chłopak mówił z szorstkim, trudnym do zrozumienia akcentem. — Nie napadliśmy tej panienki — odpowiedział. — Poprosiła, abyśmy udawali, że chcemy ukraść jej kosz.

— Dziewczyna?

— Tak, tak. Razem z moim przyjacielem, Johnem, żebraliśmy na ulicach, starając się zebrać jak najwięcej, zanim wyrzucą nas z miasta: Wtedy zjawiała się ta panienka i poprosiła, abyśmy udawali, że chcemy ją obrabować. Towarzyszył jej przyboczny. Nie był zadowolony z owego pomysłu, lecz nakłoniła go, aby poszedł do sklepu i udał, że chce coś kupić. To nie był rozbój, panie.

Barak szarpnął chłopaka, obracając go w swoją stronę.

— Mów prawdę, bo posiekam drobniej niż zioła do kotła. Czemu to zrobiła?

— Rzekła, iż chce zwrócić na siebie uwagę mężczyzny, który niebawem będzie przejeżdżał w pobliżu. To prawda, panie — dodał płacząco. — Kazała nam czekać w zaułku na znak. Kiedy to uczyniła, udawałem, że chcę jej wyrwać kosz, lecz nie ciągnąłem zbyt mocno. Wówczas zjawili się ty, panie, z dobytym mieczem. Przeraziłeś nas i uciekliśmy.

Barak zmarszczył czoło. Wiedział, że chłopak mówi prawdę.

— Skąd jesteś, chłopcze? — spytałem.

— Z Northallerton, panie. W mieście nie ma pracy. Razem z Johnem wyruszyliśmy do Yorku, lecz skończyliśmy, żebrząc na ulicy. — Dokąd zabierają was nadzorcy?

— Mamy wyruszyć w drogę. Do piątku musimy się znaleźć w odległości dziesięciu mil od Yorku. Zniedołączonych umieszczono w Merchant Taylors Hall, lecz wszyscy, którzy mogą chodzić, muszą opuścić miasto. Nie ma żadnych kościelnych przytułków, do których moglibyśmy pójść po zasiłek. — Spojrzał na mnie szeroko otwartymi, ciemnoniebieskimi oczami błyszczącymi na brudnej twarzy. Z westchnieniem zastąpiłem sześć-pensówkę szylingiem, upewniwszy się, że stoję zwrócony plecami do nadzorców. — Masz, nie pokazuj tamtym.

— Dziękuję, panie — wymamrotał chłopak. Skinąłem ręką nadzorcy i przekazałem mu chłopka.

— Co ona wyprawia? — spytał Barak, gdy żebrak się oddalił. Był wściekły.

— Nie mam pojęcia. Wiedziałem, że coś jest nie tak, lecz trzymałem język za zębami. — Spojrzałem na niego. — Teraz będę ją musiał zapytać. Może zrobiła to celowo, aby mnie poznać.

Barak sprawiał wrażenie zaskoczonego.

— Ciebie? Przecież to o mnie zabiega.

— To ja jestem odpowiedzialny za opiekę nad ważnym więźniem. Muszę ustalić, o co w tym wszystkim chodzi, Baraku.

Skinął głową.

— Mogę cię o coś prosić? Nie wspominaj o tym panie Marlin. Jeszcze nie teraz. Wypytaj ją sam...

— Taki miałem zamiar. Panna Marlin sama jest związana z człowiekiem podejrzanym o udział w spisku...

— Cholera, chyba nie sądzisz...

— Sam nie wiem, co sądzić, muszę się jednak dowiedzieć. Chodź, sprawdźmy, co się stało w domu Oldroyda, zanim na ulice wylegną tłumy. — Namacałem w kieszeni klucz, rad, że Maleverer nie poprosił o jego zwrot.

Idąc w dół Stonegate, obserwowaliśmy kupców otwierających swoje kramy. Handlarze popatrywali na nas niechętnie. Czułem na plecach ich spojrzenia. Pomyślałem, że Maleverer mógł zostawić w domu swojego człowieka, lecz na zewnątrz nie

zauważyłem nikogo. Okiennice były zamknięte, a drzwi, zaryglowane. Maleverer musiał mieć inny klucz. Otworzyłem zamek.

Wewnątrz panował mrok. Barak wszedł do pokoju i otworzył okiennice. Podskoczyliśmy ze strachu, słysząc za plecami głośny okrzyk.

Promienie słońca odsłoniły panujący w izbie bałagan. Kredens odsunięto od ściany, krzesła, zydle i stół leżały przewrócone na podłodze. Pośrodku tego rozgardiaszu, na wysuwanym łóżku przy palenisku siedziała pulchna niewiasta w średnim wieku w białym nocnym czepku i koszuli. Wrzasnęła ponownie, tak głośno, że zadrżały krokwie.

Wykonałem uspokajający gest.

— Uspokój się jejmość, błagam. Nie zrobimy ci krzywdy! — Ta jednak krzyczała nadal, wytrzeszczając oczy ze strachu, dopóki Barak nie wymierzył jej policzka. Zamknęła usta, przyłożyła dłoń do twarzy, a następnie zawyła ponownie.

— Na Boga, zmiłuj się jejmość — rzekł Barak. — Zbudziłabyś umarłego. Rzekliśmy wszak, iż nie uczynimy ci nic złego.

Szlochły nieco osłabły. Niewiasta naciągnęła na głowę cienki pled. Zrobiło mi się jej żal. Wyglądała na zupełnie bezradną, na policzku widniał czerwony ślad. Zauważyłem jej ubranie starannie złożone obok łóżka.

— Jesteście gosposią mistrza Oldroyda? — spytałem.

— Tak, panie — odrzekła, drżąc ze strachu. — Nazywam się Kat Byland. Jesteście ludźmi króla?

— Tak. Błagam, weź się w garść. Wyjdźmy na korytarz, Baraku, aby ta dobra niewiasta mogła się przyodziać.

Stanęliśmy w holu. Z izby dolatywało skrzypienie podłogi i stłumione pochlipywanie gospodyni szukającej swoich rzeczy.

— Żałuję, że musiałem wymierzyć jej policzek — mruknął Barak. — Tylko w ten sposób można ją było uciszyć, zanim zbudzi całą okolicę.

Skinąłem głową. Minutę później gospoia otworzyła drzwi. Wyglądała na bardzo zmęczoną.

— Nie chcielibyśmy sprawiać wam więcej kłopotów, pani — rzekłem. — Musimy jedynie sprawdzić coś na górze.

Ponownie usiadła na łóżku.

— Nie mogę wam rzec nic więcej ponad to, co powiedziałam wczoraj sir Williamowi. Nie mam pojęcia o sprawach nieszczęsnego mistrza Oldroyda, niech Bóg da odpoczywanie jego wrażliwej duszy. — Przeżegnała się, a następnie spojrzała zboląłym wzrokiem na pobojowisko. — Zobaczcie, jak zniszczyli dom. Podobnie obeszlą się z podwórkiem. Biedny młody Paul siedzi pod kluczem. Chłopak nie skrzywdziłby nawet muchy. Nie pojmuję, o co chodzi.

— Jeśli nic nie wiesz, nic ci nie grozi.

Podniosła rękę, aby po chwili opuścić ją bezradnie.

— Powinnam to wszystko posprzątać, tylko dla kogo? — zaśmiała się żałośnie. — Nie pozostał już nikt.

Zostawiliśmy ją samą i wspięliśmy się na schody. Drzwi prowadzące do obu sypialni były otwarte, w środku panował bałagan, podobnie jak w holu. Weszliśmy do izby Oldroyda. Łóżko zostało przewrócone, skrzynie leżały do góry dnem. Wszędzie walały się ubrania Oldroyda. Na podłodze dostrzegłem zerwane zasłony. Ściana za zasłonami była obita malowanymi drewnianymi deskami.

— Nic nie widzę — rzekł Barak. — Co miałeś nadzieję znaleźć? Jakąś wnękę?

— Coś w tym rodzaju. — Przystąpiłem do miejsca, na które spoglądał uczeń i opukałem ścianę. Usłyszałem twardy odgłos ściany nośnej oddzielającej dom Oldroyda od sąsiedniego. Barak przyłączył się do mnie, opukując płyty.

— Słyszysz? Co to takiego? — spytał.

Przyklęknąłem obok niego. Uderzył ponownie w deskę przy

podłodze. Wydała inny, pusty dźwięk. Namacałem krawędzie palcami. W drewnie znajdowało się kilka wgłębień wystarczających, aby wsunąć w nie paznokcie. Gdy delikatnie pociągnąłem, deska wysunęła się z małych rowków, upadła na podłogę i odłoniła pustą przestrzeń. Skrytka została zręcznie wykonana. Pomyślałem, że nieszczęsny Oldroyd był dobrym rzemieślnikiem.

Zajrzeliśmy do środka. Wnęka miała rozmiar około osiemnastu cali kwadratowych. Niemal całą powierzchnię zajmowała skrzynka wykonana z jakiegoś ciemnego drewna o wymiarach stopy kwadratowej. Na wieku widniała pięknie namalowana scena przedstawiająca boginię łowów Dianę mierzącą z łuku do jelenia. Była to szkatuła z rodzaju tych, w których zamożne białogłowy

przechowują klejnoty. Zauważyłem, że malowidło wyblakło. Suknia łowczyni i kształt skrzynki były modne sto lat temu, przed wybuchem wojny Dwóch Róż. Barak zagwizdał.

— Miałeś rację. Znaleźliśmy coś.

— Jest bardzo lekka. Ale w środku coś jest. — Chwyciłem wieko, lecz nie ustąpiło. Zauważyłem, że szkatuła jest wyposażona w mocny zamek. Potrząsnąłem, lecz nie usłyszałem żadnego dźwięku.

— Rozwal ją — zasugerował Barak.

Zawahałem się.

— Nie, należy ją otworzyć w obecności Maleverera. — Spojrzałem na skrzynię.

— Ów uczeń musiał o niej wiedzieć. Albo szpiegował swojego mistrza przez dziurkę od klucza, albo dowiedział się o skrytce w inny sposób.

— Nie powiedział o niej ludziom z opactwa Świętej Marii, w przeciwnym razie by ją zabrali. Nie dziwię się, że ci, którzy przeszukiwali dom, nie znaleźli skrzynki. Została dobrze ukryta.

— Czemu uczeń o niej nie wspomniał? Widziałeś, jaki był przerażony?

— Maleverer musiał wyjechać, nie przepytawszy go. Chodźmy, im szybciej szkatuła trafi do Świętej Marii, tym lepiej.

Barak zmarszczył brwi.

— Co to za hałas? — Podniósł się i wyjrzał przez okno. Z zewnątrz doleciał nas głośny szmer. Dołączyłem do Baraka. Jejmość By land stała na ulicy, wyplakując się na ramieniu innej niewiasty. Otaczały ją cztery inne białogłowy i pół tuzina mężczyzn, sądząc z wyglądu, kramarzy. Dostrzegłem też trzech uczniów w niebieskich sukniach.

— Niech tak szlag! — szepnąłem. — Gospodyni zbudziła sąsiadów.

— Wyjdźmy tylnymi drzwiami.

Wsunąłem skrzynkę pod pelerynę kolegi Wrenne'a, rad, iż ma tak obszerne poły, a następnie zszedłem po schodach za Barakiem. Niestety, okazało się, że droga ucieczki została odcięta. Gospodyni zostawiła otwarte drzwi i gdy zeszliśmy na dół, dostrzegli nas ludzie zgromadzeni na ulicy. Jeden z uczniów wskazał palcem i zawołał:— Spójrzcie, to oni!

— Chodź — rzekłem. — Zrób odważną minę. — Wyszedłem na zewnątrz z drżącym sercem, przypominając sobie, że nie zabrałem glejtu. — Co to za zbiegowisko? — spytałem.

Z gromadki wystąpił kramarz w skórzanym fartuchu. W poznaczonych bliznami dłoniach szklarza trzymał solidny kij.

— Coście za jedni? Czego tu szukacie? — zapytał gniewnie. — Mój przyjaciel, Peter Oldroyd, nie żyje, a ludzie króla korzystają z okazji, by wdzierać się do jego domu i dręczyć sługi. Biedna jejmość Byland omal nie umarła ze strachu.

— Jestem prawnikiem z opactwa Świętej Marii. Przyszliśmy sprawdzić, czy dom jest w należyłym porządku. — Wymówka zabrzmiała nieprzekonująco nawet w moich uszach.

— Pokręcony garbus! — wrzasnął terminator, wzbudzając ogólny pomruk aprobaty. Barak oparł dłoń na rękojeści miecza, lecz pokręciłem głową. Gdyby tłum się wzburzył, znaleźlibyśmy się w niezłych tarapatkach. Spojrzałem w jedną i drugą stronę, mając nadzieję ujrzeć strażników lub konstabla, lecz nie dostrzegłem nikogo.

Uniosłem dłoń.

— Posłuchajcie, przykro mi z powodu dokonanych zniszczeń. Nie miałem w tym udziału. Przykro mi też, jeśli wystraszyłem ową dobrą kobietę. W sprawie interesów mistrza Oldroyda prowadzone jest dochodzenie...

— Jakie dochodzenie? — zapytał szklarz. — Peter był porządnym człowiekiem, nie uczynił nic złego.

— Nie mogę rzec nic więcej. Przepuście nas.

Szklarz zacisnął dłoń na kiju.

— Pokaż papiery, pokurczu! Wszyscy ludzie króla mają papiery!

— Może to złodzieje?! — zawołał ktoś z tłumu.

Przyjrzałem się wrogiej tłuszczy, szukając mistrza Dike'a,

poznanego wczoraj szklarza, który mógłby zaświadczyć, że prowadzę dochodzenie w imieniu króla. Niestety, nie dostrzegłem go.

Wziętem głęboki oddech.

— Przepuście nas — rzekłem grzecznie, czyniąc krok do przodu. Szklarz ani reszta ludzi nie cofnęli się nawet o krok. Pomyślałem, że znaleźliśmy się w poważnych opałach. Kamień rzucony przez kogoś z tłumu zranił mnie boleśnie w ramię, pod którym trzymałem skrzynię. Ręka drgnęła i skrzynia upadła na bruk z głośnym hukiem.

— Złodzieje! — ryknął któryś z zebranych. — To złodzieje! — Inny kamień uderzył Baraka w ramię. Ludzie ruszyli w naszą stronę, przypierając nas do ściany. Widząc, że szklarz unosi kij, skuliłem się w oczekiwaniu na cios.

Rozdział jedenasty

— Stójcie! — Usłyszałem donośny, znajomy głos. Szklarz opuścił kij. Tuż za nim ukazała się głowa Gilesa Wrenne'a przepychającego się przez tłum.

— Panie, jeszcze nigdy widok znajomej twarzy nie sprawił mi takiej radości!

Staruszek stanął, osłaniając nas własnym ciałem. Wyglądał imponująco w szacie obszytej futrem, bez wątplenia najlepszej, jaką miał, i czarnej czapce z czerwonym piórkiem.

— Co się tu dzieje? — spytał ostro szklarza. — Mistrzu Pickiering, cóż czynicie?

— Ludzie ci byli w domu Petera Oldroyda, panie! Garbus rzekł, iż jest prawnikiem, ja jednak powiadam, że to złodzieje. — Mówiąc to wskazał malowaną skrzynię leżącą u naszych stóp. — Ukrywał to pod szatą.

Wrenne spojrział ze zdumieniem na skrzynkę, a następnie zwrócił oczy w moją stronę.

— Przyszliśmy w imieniu króla, panie — rzekłem, czując, że czerwienieję.

Wrenne wyprostował się i oznajmił zgromadzonym:

— Znają mnie wszyscy mieszkańcy Stonegate! Ręczę za tego człowieka. Jest prawnikiem, którego przysłano, aby pomógł mi w przejrzeniu petycji skierowanych do króla. Zajmę się tym!

Przez tłum przeszedł szmer, lecz ludzie najwyraźniej utracili dawny animusz. Ich twarze przybrały zatroszony wygląd, gdy pójeli, że niewiele brakowało, a poturbowaliby królewskiego urzędnika. Terminatorzy, którzy ciskali kamienie, czmychnęli chyłkiem. Barak rzucił za nimi gniewne spojrzenie, masując ramię.

— Głupcy — mruknął.

Wrenne położył dłoń na ramieniu Pickieringa.

— Wracajcie do domu. Zostawcie to mnie. Idź do warsztatu, bo nic nie sprzedasz.

— Komu mamy sprzedawać, gdy zlikwidowano wszystkie klasztory — odrzekł szklarz, spoglądając na mnie z goryczą. — Peter Oldroyd nie musi się już tym trapić, niech Bóg da mu wieczne odpoczywanie.

— Tak! Tak!

— Kupcy się burzą, mistrzu Wrenne. Obroty spadły o połowę, a gdy Peter zginął, ludzie króla zdobyli się jedynie na to, by przysłać żołnierzy, którzy przetrząsnęli jego dom i zastraszyli sługi. — Spojrział na jejmość Byland, która stała nieopodal z wynędzniałą zażawioną twarzą. — Pocziwego młodego Greena wywlekli z domu i zaciągnęli do Świętej Marii.

— Słyszałem. Przechodziłem tędy, aby sprawdzić, co się dzieje. Pan Shardlake nie zawinił żadnej z tych rzeczy. Przepuść nas. BaraTcu, weź skrzynkę.

Ku mojej uldze tłum zaczął się rozstępować. Wrenne podszedł do młodzieńca, który przypatrywał się tej scenie wybałuszonymi oczami. W ręku trzymał lejce osła obciążonego ciężkimi torbami, bez wątplenia zawierającymi petycje do króla.

— Chodź, Adamie — rzekł. Chłopak klepnął osła w zad. Kiedy odeszliśmy nieco, młodzieniaszek spojrział pytająco na Wrenne'a.

— Dobrześ uczynił, nie wtrącając się. — Skinął głową pachotkowi, aby następnie zwrócić się ku nam: — To mój kuchenny. Dręczył mnie, abym pozwolił mu zobaczyć prace w King's Manor.

Czułem na plecach spojrzenia tamtych i odetchnąłem swobodnie dopiero wówczas, gdy minęliśmy kościół, a po drugiej stronie placu, nad Stonegate ukazał się gmach ratusza.

— Dziękuję wam z całego serca, panie — powiedziałem. — Wolę nie myśleć, co by się stało, gdybyście nie nadeszli.— Zgadza się — przytaknął Barak. — Zaczęli w nas ciskać kamieniami. W Londynie widziałem, co tłum uczynił z pewnymi cudzoziemcami.

Wrenne spojrzał na mnie z powagą.

— Obawiam się, że miejscowi właśnie tak was postrzegają. Wczorajsze wypadki podgrzały nastroje panujące w Stonegate. Mówią o tym plotki w całym mieście. Dlatego dzisiejszego ranka ruszyłem do opactwa Świętej Marii okrężną drogą. Chciałem sprawdzić, co się dzieje.

— To wina Maleverera — zauważyłem. — Człowiek ów pochodzi z Yorkshire.

— Zasiada w Radzie Północy, więc obywatele Yorku uważają go za człowieka króla. — Potrząsnął głową. — Postępuje zbyt surowo.

Westchnąłem.

— Muszę się z nim spotkać.

— W związku z tym? — Wskazał głową skrzynkę, którą Barak przyciskał do piersi. — Znaleźliście ją w domu Oldroyda?

— Tak, panie.

— Co w niej jest, jeśli wolno spytać?

— Nie wiemy. Chcemy ją zanieść sir Williamowi.

Spojrzał na mnie badawczo.

— Czy ów nieszczęsny uczeń wspomniał o niej w opactwie Świętej Marii?

— Nie mogę powiedzieć, panie. Nie wiemy, co znajduje się w środku, skrzynia jest zamknięta.

Wrenne popatrzył na szkatułę, lecz nie rzekł więcej ani słowa. Ruszyliśmy w stronę opactwa.

Wrenne kroczył wolno, choć, co znamienne, nie zdradzał innych oznak podeszłego wieku. Młody sierżant Leacon nadal pełnił wartę przy bramie. Zapytałem go, czy sir William wrócił, i spostrzegłem, że gdym to czynił, Wrenne spojrzał na niego z zaciekawieniem.

— Jeszcze nie, panie. Spodziewamy się go lada chwila. Czeka już wielu, którzy chcą go widzieć. Przybył pan Dereham, nowy sekretarz królowej, i urządził wielką awanturę.

Wrenne rzucił okiem na mały zegarek stojący na stole w klitce wartownika. Do dziewiątej pozostało dwadzieścia minut.

— Musimy się stawić w kancelarii Fealty'ego — przypomniał Wrenne.

— Barak i ja mamy jeszcze pół godziny. Musimy dopilnować, aby ta skrzynka została właściwie zabezpieczona do powrotu Maleverera. — Po chwili namysłu zwróciłem się do sierżanta, który popatrywał ciekawie na szkatułę trzymaną przez Baraka. — Wiesz, gdzie znajdę pana Craike'a?

— Powinien być w swojej kancelarii w King's Manor.

— Dziękuję. — Odwróciłem się do Baraka i Wrenne'a. — Zapytamy go, gdzie umieścić skrzynię, aby była bezpieczna, a następnie przeberzemy się i przyjdziemy na próbę.

Wrenne spojrzął przez ramię na sierżanta Leacona, który w dalszym ciągu przypatrywał się nam z zaciekawieniem.

— Ten młodzieniec przypomina mojego ojca — rzekł ze smutkiem. — Ten sam wzrost, ta sama budowa ciała. W jego wieku ojciec miał takie same jasne, kręcone włosy. Jego wygląd sprawił, że o nim pomyślałem. — Po tych słowach odwrócił się i zamarł z zachwytem, widząc dziedziniec. Także młody Adam przypatrywał się z otwartymi ustami pawilonom i trzem ogromnym namiotom. Tragarze w dalszym ciągu wnosili do środka sprzęty pod baczynym okiem ubranych w czerwone kurtki żołnierzy. Przez otwarte drzwi jednego z namiotów dostrzegłem wielki barwny gobelin rozwieszany przez robotników.

— Dobry Jezu — westchnął Wrenne. — Nigdy nie widziałem czegoś równie okazałego.

— Nie powiedzieli nam, jaka uroczystość się tu odbędzie. Wiedzą o tym jedynie wyżsi urzędnicy, lecz nie mogą niczego zdradzić.

Wrenne spojrzął na klasztorny kościół wyraźnie zasmucony pustymi oknami i błotnistym szlakiem wiodącym do drzwi. Jeden z tragarzy wprowadził do środka kilka osłów.

— Jak miemam, wewnątrz zostało zniszczone — rzekł cicho.

— Całkowicie, urządzono tam stajnię.

— To smutne — mruknął. — Dawniej często tu bywałem. Chodźmy lepiej do King's Manor. Czeka tam na nas sir James Fealty i kolega Craike. Panie Baraku, mógłbyś zabrać petycje? Ciężkie są okrutnie.

Barak zdjął z osła obszerne torby, a wartownik pozwolił namprzymocować zwierzę do słupka. Zostawiliśmy je pod opieką Adama, choć ten miał wyraźnie ochotę wejść z nami do środka, a następnie wspięliśmy się po schodach. Po chwili znaleźliśmy się w dużym środkowym holu. Także tutaj cieśle kończyli prace. Zauważyłem, że całą salę od sufitu do podłogi obwieszono wspaniałymi gobelinami, jakich wcześniej nie widziałem. W tkaninę wpleciono złotą nić, która lśniła wśród jaskrawych barw. Podniosłem głowę i stwierdziłem, że także strop został pokryty barwnymi, misternymi wzorami.

Kilku urzędników rozprawiło o czymś zawzięcie, natomiast lady Rochford rozmawiała przyciszonym głosem z młodym brodatym mężczyzną odzianym w jedwabny jarmarczny kaftan z rozciętymi rękawami. Był to człowiek szydzący z miejscowych, którego widziałem w drzwiach oberży, gdy wjeżdżaliśmy do Yorku. Twarze obojga wykrzywiały grymas gniewu. Jennet Marlin stała nieopodal nich. Spojrzała z zaciekawieniem na Baraka dźwigającego na ramieniu ciężkie torby i

jaskrawo pomalowaną skrzynię pod pachą. Widząc, że na nią patrzę, skinęła nieznacznie głową. Lady Rochford i ów młodzieniec podążyli za jej wzrokiem. Twarz lady Rochford przybrała wyniosły wyraz.

— O co im chodzi? — mruknąłem.

— Twoja peleryna jest cała biała na plecach — rzekł Barak. Odwróciłem się i stwierdziłem, że faktycznie pobieliała od tynku, gdy się oparł plecami o ścianę domu Oldroyda. Usłyszałem rechot jarmarcznie odzianego młodzieńca.

— Przepraszam za waszą pelerynę, kolego Wrenne — rzekłem przeproszającym tonem.

— Nie ma o czym mówić. Zetrze się. Chodźmy, panie.

Ruszyliśmy dalej. Kiedy zapytałem wartownika, gdzie jest

kancelaria Craike'a, wskazał schody prowadzące do szeregu izb za holem. Wrenne rozstał się z nami, aby odnaleźć kancelarię sir Jamesa Fealty'ego. Obiecaliśmy, że wkrótce się spotkamy. Oddałem mu też pelerynę, raz jeszcze przeproszając, iż ją zabrudziłem.

Na piętrze panował wielki rejwach. Słudzy w królewskiej liberii wynosili z pokoi kufry i skrzynie. Craike stał w małym gabinecie na podłodze wyłożonej sitowiem, z niepokojem obserwując robotników pakujących dokumenty i książki do skrzyni. — Uważajcie — zrzędził. — Nie pomieszajcie papierów. — Gdy weszliśmy, rzucił nam zdumione spojrzenie. — Kolega Shardlake!

— Witajcie, kolego Craike. Moglibyśmy zamienić słówko na osobności?

Zmarszczył czoło, lecz nakazał sługom, aby wyszli z izby. Zabrali ze sobą skrzynię i w gabinecie pozostał jedynie stół, na którym leżał przenośny pulpit Craike'a z przypiętym doń grubym plikiem dokumentów. Zamknąłem drzwi.

— Przenoszą nas do dormitorium — oznajmił Craike. — To istny koszmar.

— Rozumiem. W moje ręce wpadło coś, co należało do zmarłego szklarza. — Wskazałem skrzynię, którą Barak trzymał pod pachą. — Należy zabezpieczyć ten przedmiot do powrotu sir Williama. Wiesz panie, gdzie mogę bezpiecznie umieścić ową skrzynkę? Za chwilę mamy spotkanie w kancelarii sir Jamesa Fealty'ego.

Craike przesunął dłonią po rzadkich włosach.

— Cały dom został przewrócony do góry nogami. Możecie pozostawić ją tutaj, jak sądzę. Kazano mi zamknąć gabinet, kiedy go opuszczę, lecz klucz mam zwrócić dopiero o szóstej.

Rozejrzałem się wokół z powątpiewaniem.

— Czy ten gabinet jest wystarczająco bezpieczny?

— Ma solidne drzwi — rzekł Barak. — Jest na drugim piętrze.

Craike ponownie przygładził włosy, a następnie uśmiechnął

się przeproszając.

— Kolego Shardlake, uznasz mnie pewnie za nieużytecznego gbura. Zostało jeszcze tak wiele do zrobienia... — Sięgnął ręką do kieszeni i podał mi klucz. — Masz, weź go. Kiedy skończycie, odnajdziesz mnie i zwrócisz.

— Uczynię to. Dziękuję za pomoc w tak niespokojnej porze.

— W takim razie do zobaczenia. — Craike podniósł swój mały pulpit, założył rzemyk na ramię i wybiegł z izby. Barak postawił skrzynię na stole.

— Jest lekka — rzekł, potrząsając nią — W środku coś jest. Może jakieś ubranie? — Pociągnął wieko na próbę, lecz nie ustąpiło.

— Pusta lub nie, teraz jest bezpieczna. Chodź, musimy się przebrać. — Zanim wyszliśmy z izby, spojrzałem z niepokojem na skrzynię i starannie zamknąłem drzwi.

Szybko odnaleźliśmy kancelarię sir Jamesa Fealty'ego — dużą izbę na parterze King's Manor. Mieliśmy na sobie najlepsze odzienie. Włożyłem przednią szatę i nową czapkę, którą nabyłem przed wyjazdem z Londynu. Było to kosztowne nakrycie głowy z czarnego aksamitu ozdobione maleńkimi granatami i niebieskim piórkem z boku. Nie lubiłem tej jarmarcznej części garderoby. Piórko lekko się obluzowało, a jego koniuszek to zjawiał się, to znikał w moim polu widzenia niczym krążący nad głową owad.

Sir James okazał się szczupłym staruszkim w brązowym kaftanie i koszuli z haftowanym kołnierzem. Miał długą białą brodę, rzadką i rozwichrzoną, sięgającą do połowy piersi. Siedział przy dużym biurku, odczytując petycje z marsową miną. Urzędnik Cowfold, który poprzedniej nocy znieważył mnie za moimi plecami, stał u jego boku z obojętnym wyrazem twarzy. Nie zmienił postawy, chociaż rzuciłem mu twarde spojrzenie. Wrenne trzymał się z tyłu.

Po minucie sir James łaskawie raczył na nas spojrzeć.

— Jesteście tym prawnikiem — rzekł piskliwym głosem. — Cóż, wasze odzienie nada się, jak sądzę, choć piórko należy wyprostować. — Wskazał gęsim piórem Baraka. — A ten kto zacz?

— Mój asystent, panie.

Machnął szybko piórem.

— Co waść tu robisz? Wynocha!

Barak rzucił mu nieprzyjemne spojrzenie, lecz wyszedł z izby. Sir James wrócił do lektury petycji i naszego streszczenia. Studiował owe dokumenty przez dobrych dziesięć minut, całkowicie nas ignorując. Miałem okazję poznać urzędników święcie przekonanych o swojej ważności, lecz nigdy nie widziałem kogoś takiego jak Fealty. Spojrzałem na Wrenne'a, który mrugnął porozumiewawczo.

Po chwili dał o sobie znać bolący grzbiet i zacząłem prze-stępować z nogi na nogę, przenosząc ciężar ciała to na jedną, to na drugą stronę. _____

— W piątek lepiej się pan tak nie kiwaj — rzekł sir James, nie podnosząc głowy. — W obecności króla masz waszmość stać nieruchomo. — Rzucił na bok streszczenie. — Zda się, jak miemam. — Podniósł się zza biurka. — Postuchajcie uważnie. Wyjaśnię wam, co wydarzy się w piątek.

Po tych słowach omówił planowaną uroczystość krok po kroku. Wczesnym rankiem mieliśmy wyruszyć do Fulford Cross wraz z delegacją rajców Yorku, która miała się ukorzyć przed królem i wręczyć mu dary od miasta. W owym miejscu mieliśmy oczekiwać na przybycie królewskiego orszaku. Henryk nakazał, abyśmy przyklękli, gdy się do nas zbliży. Później miały się odbyć przeróżne ceremonie, podczas których kronikarz miejski Tankerd i ja mieliśmy klęczeć w oczekiwaniu, na czele delegacji Yorku. Następnie Wrenne i ja mieliśmy powstać, aby przekazać petycje królowi.

— Wręczycie petycje królewskim paziom, którzy będą stali obok Jego Wysokości, ci zaś podadzą je królowi. Po oficjalnym odebraniu dokumentów król przekaze je innemu urzędnikowi. Później ponownie do was wrócą, abyście mogli się nimi zająć.

— Zatoczą krąg niczym tancerze wokół ozdobnego słupa podczas święta wiosny — zauważył z uśmiechem Wrenne. Odniosłem wrażenie, że nie poczuł się onieśmielony, chociaż sir James spojrział na niego z urazą.

— Jego Wysokość w swojej łaskawości zgodził się nimi zająć — wychrypiał. — To najważniejsze.

— Oczywiście, sir Jamesie. — Wrenne uśmiechnął się łagodnie.

— Jeszcze jedno. Król może wypowiedzieć kilka słów pod waszym adresem. Jeśli raczy to uczynić, spójrzcie mu w twarz i udzielcie krótkiej, powiadam krótkiej, odpowiedzi, dziękując za okazaną łaskę. Należy zwracać się do niego „Wasza Wysokość”, nie zaś „Wasza łaskawość”. Jego Wysokość woli tę formę, rozumiano?

— Będzie to dla nas wielki zaszczyt — mruknął Wrenne.

— Jeśli król się do was nie zwróci — burknął sir James — nie patrzcie mu w oczy. Trzymajcie pochylone głowy. Często bywa, że ludzie z gminu, którzy stają przed królem, nie oglądają jego oblicza. Gawiedź spogląda w górę z pospolitej ciekawości. Jeśli król to dostrzeże... cóż, słynie z ciętego języka... a jeśli będzie w złym humorze z powodu bólu nogi lub innej przyczyny, wymyśli uciążliwą karę dla tego, kto go obraził. — Sir James postąpił nam słaby uśmiech.

Pomyślałem o szkielecie Aske'a dyndającym na łańcuchach.

— Będziemy uważać w piątek, panie — rzekłem.

— Tak będzie dla was lepiej. To nie przelewki. Celem uroczystości jest pokazanie owym barbarzyńskim papistom władzy i majestatu ich króla. — Skinął w kierunku Cowfolda, który włożył petycje do toreb i oddał je w moje ręce.

— To wszystko. Macie się stawić w holu King's Manor w piątek o ósmej. Ogól się, panie prawniku. W mieście nietrudno o balwierza. — Rzekłszy to, skinął piórem, dając znak, że możemy odejść.

Wyszliśmy i przyłączyliśmy się do Baraka, który czekał na zewnątrz. Wydałem policzki.

— Cóż za żalony stary dureń — rzekł Barak.

— Rad jestem, że spotkanie się skończyło. Z jeszcze mniejszym entuzjazmem oczekuję piątku.
— Wziąłem głębszy oddech. — Sprawdźmy, czy Maleverer już wrócił. Kolego Wrenne, do zobaczenia w piątek. Możesz, panie, przechować owe petycje?

— Tak. Zabiorę je do domu.

Skinąłem głową.

— Dziękuję wam raz jeszcze za to, co uczyniliście dziś rano. Gdyby nie wy, spuściliby nam tęgie lanie lub uczynili coś gorszego.

— Jestem rad, że mogłem pomóc. Życzę powodzenia u sir Williama.

— Dziękuję. Do zobaczenia w piątek.

— Do piątku. Czeka nas wielki dzień. — Uniósł brwi, a następnie odwrócił się i odszedł.

Okazało się, że Maleverer jeszcze nie wrócił. Czekaliśmy jakiś czas w holu razem z gromadką innych, których sprawy wymagały decyzji sir Williama. Lady Rochford i panna Jennet Marlin nadal tam były. Brodaty młodzieniec prowadził ożywioną rozmowę z panią Rochford. — Nie będzie go przez cały dzień? — spytał Barak.

— Wolałbym, aby skrzynia nie pozostawała tak długo bez opieki.

— Popilnujmy jej zatem — zaproponował Barak. — Równie dobrze możemy czekać w gabinecie Craike'a.

Zastanowiłem się nad tym przez chwilę.

— Tak, czemu nie. Gdy wróci, zauważymy to przez okno. — Spojrzałem na niego. — Nie sądzisz chyba, że przesadnie się niepokoję?

— Nie, jeśli chodzi o sprawę mającą związek z osobą Maleverera.

— W porządku.

Przysunął się bliżej.

— Może zajrzemy do środka?

Rzuciłem mu poirytowane spojrzenie.

— Skrzynia jest zamknięta. Nie zamierzam uszkodzić zamka, aby ją otworzyć.

— To zbyt łatwe. — Uśmiechnął się do mnie przebiegle. — Zapomniałeś, że potrafię otworzyć zamek. Otwarcie takiej skrzyni jest dziecinnie proste. — Spojrzał na czapkę, którą zdjąłem z głowy i trzymałem ostrożnie w dłoniach. — Daj mi szpilkę, którą przytwierdzono piórko do kapelusza, a bez trudu ją otworzę. Sprawdzimy, co jest w środku, a następnie zamkniemy skrzynię. Nikt się nie dowie, jeśli mu o tym nie powiemy.

Zawahałem się. W oczach Baraka pojawił się dawny błysk.

— Zobaczmy — odrzekłem.

Udaliśmy się do gabinetu Craike'a. Serce waliło mi jak oszalałe, czułem bowiem irracjonalny lęk, że skrzynka mogła zniknąć. Korytarz był cichy i pusty, najwyraźniej urzędnicy zostali już przeniesieni do dormitorium. Otworzyłem drzwi gabinetu Craike'a i z westchnieniem ulgi stwierdziłem, że skrzynka stoi na stole, tam gdzie ją zostawiliśmy.

Zamknęliśmy drzwi. Barak spojrzał na mnie pytająco. Ciekawość zmagala się z lękiem przed głębszym uwikłaniem się w tę ponurą sprawę. Tkwił w niej jednak i tak po uszy, wiedziałem też, jakim specjalistą od zamków był Barak, gdyż już wcześniej oglądałem go w akcji. — Zgoda — rzekłem nagle. — Tylko na miły Bóg, bądź ostrożny. — Wyciągnąłem szpilkę z kapelusza i podałem mu.

Barak wsunął szpilkę do małego zamka i zaczął delikatnie kręcić w jedną i drugą stronę. Spojrzałem ponownie na scenę wymalowaną na wieczku, przedstawiającą boginię łowów Dianę. Na farbie widać było pęknięcia spowodowane wiekiem. Kiedyś owa szkatuła musiała być niezwykle kosztowna.

— Niech to szlag — zaklął nagle Barak, podnosząc pękniętą szpilkę. Druga część utkwiła w zamku, widziałem kawałek wystającego metalu. Barak próbował go wyciągnąć, lecz tkwił głęboko.

— Głupku! Zobacz, ile są warte twoje przechwałki! — zawołałem. — Jeśli kawałek szpilki zostanie w zamku, trzeba będzie go rozwalić, w przeciwnym razie Maleverer zauważy, że ktoś przy nim majstrował.

— Ta szpilka była za cienka.

— Wymówki nic tu nie pomogą.

— Możemy powiedzieć, że znaleźliśmy ją w takim stanie.

— Nie zamierzam go okłamywać, a ty?

Zmarszczył czoło.

— Gdybym miał cienkie szczypce, mógłbym wyciągnąć szpilkę z zamka. Rzemieślnicy z pewnością takie mają.

Wziąłem głęboki oddech.

— W takim razie idź po nie, na rany Chrystusa. Wiedziałem, że nie powinienem być się na to zgodzić.

Spojrzał na mnie wyraźnie przybity.

— Wróć tak szybko, jak się da — oznajmił i ruszył do wyjścia. Otworzył drzwi i wybiegł na zewnątrz. Westchnąłem, słysząc oddalające się kroki, i spojrzałem niespokojnie na skrzynkę. Delikatnie dotknąłem końca złamanej szpilki, zastanawiając się, czy zdołam go wyciągnąć swymi cieńszymi palcami, lecz okazało się to niemożliwe.

Wtedy usłyszałem słabe kliknięcie. Spojrzałem na skrzynkę. Czyżbym podczas majstrowania poruszył zapadki? Zawahałem się przez chwilę, a następnie pociągnąłem za wieczko. Ustąpiło. Powoli otworzyłem skrzyneczkę, dobiegła mnie woń stęchlizny. Pochyliłem głowę i ostrożnie zajrzałem do środka.

Skrzyneczka była w połowie wypełniona dokumentami. Sięgnąłem po kartę leżącą na wierzchu, ostrożnie ją rozłożyłem i zamarłem ze zdziwienia. Było to drzewo genealogiczne rodziny królewskiej przypominające ozdobne genealogie, lecz nakreślone inkaustem nieporadną ręką. Sięgało ono czasów Yorków, chociaż pominięto niektórych pomniejszych członków rodziny panującej, którzy zmarli bezpotomnie. Przyjrzałem mu się uważnie wyraźnie speszony. Dokument nie zawierał żadnych tajnych informacji — był to znany królewski rodowód podobny do tych, które znajdowały się w wielu państwowych budynkach. Czemu ktoś miałby chować sporządzoną dla rozrywki, uproszczoną wersję drzewa genealogicznego Tudorów?

Zajrzałem ponownie do skrzynki. Pod kartą z drzewem genealogicznym Henryka znajdował się postrzępiony kawałek papieru, na którym nagryzmołono: „Proroctwo wielkiego czarnoksiężnika Merlina, objawione w czasach króla Artura, o władcach, którzy przyjdą po Janie...”. Dalej była mowa o monarchach, których autor nazywał Kozłem, Lwem i Osłem. Na końcu widniały słowa: „Ósmy z Henryków, którego zwać będą Mould-warpem* zostanie przeklęty przez Boga za swoje dzieła. Jego królestwo podzielą na trzy części, lecz nie odziedziczy go żaden z jego spadkobierców”.

Odłożyłem kartkę, przypominała bowiem jedno z owych pospolitych proroctw, które krążyły po Londynie w czasie Pielgrzymki Łaski. Karą za ich rozpowszechnianie była śmierć.

Kolejny dokument nie został sporządzony na papierze, lecz na pergaminie, był całkiem sporych rozmiarów i został kilkakrotnie złożony. Otworzyłem go. Ku mojemu zaskoczeniu u dołu widniała pieczęć parlamentu. Była to ustawa, której wszak nigdy nie widziałem. „Titulus Regulus — przeczytałem. — Ustawa przekazująca koronę królowi i jego spadkobiercom...”. O którego z królów chodziło? Szybko przejrzałem dokument nakreślony grubymi, pięknymi literami. „Suwerenny władca i król, Ryszard III...”, przeczytałem. Ponownie zmarszczyłem czoło. Nigdy nie słyszałem o takim dokumencie. Odłożyłem go ostrożnie na bok

* W proroctwach Merlina, Mole lub Mouldwarp, włochaty człowiek o skórze przypominającej skórę kozła, który początkowo miał być wielbiony przez lud, a następnie obalony z powodu grzechu i pychy. i ponownie zajrzałem do skrzynki. Inne dokumenty sprawiały wrażenie zapisków nagryzmołonych na skrawkach taniego papieru. Umieszczony na górze był większy od pozostałych. Wyciągnąłem go i położyłem na stole.

Prawdziwe wyznanie Edwarda Blaybourne'a, sporządzone w obliczu śmierci, aby świat dowiedział się o jego wielkim grzechu...

W tym momencie coś uderzyło mnie w bok głowy tak mocno, że straciłem oddech. Obraz zamigotał przed moimi oczami i ujrzałem wielką czerwoną kroplę spadającą na wyznanie Blay-bourne'a. Zdałem sobie sprawę, że to moja krew i poczułem kolejne uderzenie w tył karku. Nogi się przede mną ugięły i pogrążyłem się w mrocznej otchłani.

Rozdział dwunasty

Gdym się przebudził, od razu poczułem niezwykle ciepło. Przez chwilę pławiłem się w nim, zdając sobie sprawę, że w Yorku przywykłem do zimna i wilgoci. Dlaczego znalazłem się w Yorku? Później wszystko sobie przypomniałem. Próbowałem się podnieść, lecz nie pozwolił mi na to przeszywający ból karku. Poczułem, że chwytają mnie czyjeś ręce i układają w pozycji leżącej.

— Obudził się! — usłyszałem okrzyk kolegi Craike'a. — Zawołajcie medyka! Ostrożnie. Uważajcie, panie, otrzymaliście silny cios w głowę.

Otworzyłem oczy. Spoczywałem na poduszkach umieszczonych na wystanej sitowiem podłodze. Craike pochylał się nade mną, klaszcząc niespokojnie w pulchne dłonie. Za nim pojawił się Barak, niosąc dzban i szklanicę.

— Wypij łyk — rzekł. — Odrobinę.

Wypiłem mały łyk ciepłego wina. Jego słodycz mnie ożywiła. Ponownie chciałem się podnieść, lecz tył karku bolał okrutnie. Pomacałem go i stwierdziłem, że cała moja dłoń lepi się od krwi.

— Nie jest tak źle, jak wygląda — pocieszył mnie Barak. — Cios był częściowo chybiony.

Rozejrzałem się półprzytomnie po izbie, która wydała mi się znajoma. Zrozumiałem, że jestem w gabinecie Maleverera w King's Manor. Źródłem przyjemnego ciepła był jeden z owych koksowników używanych do ogrzewania pomieszczeń w bogatych domach. Przy drzwiach stał żołnierz w czerwonej kurtce

i bacznie obserwował nasze poczynania. Zrozumiałem, że umieszczono nas pod strażą.

— Jak długo byłem nieprzytomny? — spytałem.

— Ponad godzinę — odpowiedział Barak. — Zacząłem się o ciebie niepokoić. — Jego twarz była wyraźnie zatroskana, podobnie jak twarz Craike'a.

— Pamiętasz, co się stało? — spytał Craike.

— Coś mnie uderzyło. Kiedy dotknąłem zamka, skrzynka się otworzyła. Wewnątrz były papiery. Przeglądałem je, gdy... Baraku, szkatuła! Gdzie ona jest?

— Skrzynka jest bezpieczna. — Skinął głową w kierunku stołu, na której spoczywała otwarta szkatuła. — Została opróżniona — westchnął ciężko.

— Dokumenty... — jęknąłem. — W środku był plik dokumentów.

Jego twarz przybrała kamienny wyraz.

— Wdepnęliśmy w niezłe gówno — rzekł. — Po "uptywie pół godziny wróciłem z obcęgami. Znalazłem cię na podłodze gabinetu i pana Craike'a, który pochylał się nad tobą. — Rzucił podejrzliwe spojrzenie, na które Craike zareagowało gniewnym typnięciem.

— Kancelaria rządcy poprosiła mnie o zwrot klucza — wyjaśnił pulchny urzędnik. — Wcześniej twierdzili, że będzie im potrzebny dopiero wieczorem, lecz zmienili zdanie. — Spojrzał wyniośle na Baraka. — Możesz ich zapytać. Szukałem cię, lecz nigdzie nie mogłem znaleźć. W końcu zajrzałem do gabinetu. Kiedy skręciłem w tę stronę, usłyszałem kroki. Ktoś schodził tylnymi schodami. Drzwi do gabinetu były otwarte, ty zaś leżałeś jak długi na podłodze. Później zjawił się ten człek.

Ostrożnie pomacałem głowę. Byłem zaskoczony, że nie zostałem zamordowany. Na myśl o tym, że Oldroyd zginął, przeszedł mnie dreszcz przerażenia. Spojrzałem na Craike'a.

— Musiałeś spłoszyć napastnika. Być może ocaliłeś mi życie. Czy słyszałeś coś jeszcze? Widziałeś osobę zbiegającą po schodach?

— Nie, słyszałem jedynie kroki.

Jęknąłem boleśnie.

— A zatem papiery zniknęły. — Spojrzałem na Baraka. Gdyby 158

nie jego nieudolna próba otworzenia zamka, nie doszłoby do tego. Podjąłem wysiłek uporządkowania myśli. — Człowiek, który mnie zaatakował, usłyszał kolegę Craike'a, zabrał dokumenty i uciekł. Trudno byłoby mu ukryć skrzynkę. — Popatrzyłem na obmierzły przedmiot, którego usiłowałem strzec z taką pieczołowitością. — Teraz, gdy zniknęły dokumenty, skrzynka nie przedstawiała żadnej wartości.

Barak stanął przed Craikiem i nachylił się, aby ponownie napełnić mój kielich.

— Słusznie, każdy mógł ukryć dokumenty pod połą szaty. — Lekko przechylił głowę, wskazując Craike'a, jakby w dalszym ciągu go podejrzewał.

Spojrzałem na wartownika.

— Dlaczego trzymają nas pod strażą?

— Sir William powrócił, gdy tylko cię znalazłem — wyjaśnił Barak. — Nakazał, aby sprowadzić tu nas wszystkich. Wyszedł, aby zasięgnąć pewnych informacji. — Mówiąc to, poczerwieniał. — Jest wściekły, że otworzyliśmy skrzynkę. Miałem nadzieję, że była pusta. Co napisano w owych papierach?

— One... one nie miały żadnego sensu.

Strażnik poruszył się niespokojnie.

— Powinienem zawiadomić sir Williama, że odzyskaliście przytomność. — Otworzył drzwi i zamienił kilka słów z człowiekiem stojącym na zewnątrz, a następnie wrócił na posterunek, mocno dzierżąc pikę. Kilka chwil później usłyszeliśmy ciężkie kroki na korytarzu. Uniosłem się lekko, gdy drzwi otwały się z hukiem i do środka wkroczył Maleverer.

Nadal miał na sobie podróżny strój, ciężkie buty do konnej jazdy i pelerynę zabrudzoną błotem. Spojrzał na mnie chłodno.

— Widzę, że odzyskaliście przytomność — rzucił ostro. — Na miły Bóg, zechcecie mi łaskawie powiedzieć, co tu się dzieje? Wracam i oto dowiaduję się, że zostaliście napadnięci w samym środku King's Manor, w którym za dwa dni ma się zatrzymać Jego Wysokość. — Gdy podnosił głos zagniewany, akcent z Yorkshire stawał się wyraźniejszy. Zrzucił pelerynę, odstaniając czarną aksamitną kamizelkę narzuconą na jedwabną koszulę. Na jego szerokiej piersi błyszczał gruby złoty łańcuch. Oparł dłonie na biodrach i spojrzał na mnie z góry. Próbowałem się podnieść, aby usiąść należycie.

— W skrzyni, sir Williamie... W domu Oldroyda znaleźliśmy skrzynię. Były w niej papiery...

Wybałuszył oczy i pochylił się nade mną.

— Jakie papiery? Gadaj szybko! Kto je widział?

— Nikt prócz mnie. Zabrano je, gdy zostałem napadnięty...

— Miałeś je i pozwoliłeś ukraść! Ty... — Opanował się i spojrzał na strażnika. — Poczekaj na zewnątrz, to tajna sprawa. Wy również, kolego Craike. Nie, zaczekajcie. Czy to wy znaleźliście owego prawnika?

— Tak, wspominałem wam o tym, panie...

— Wszedłeś na górę — rzekłem, odzyskując zdolność myślenia. — Na górne piętro i gdy znalazłeś się na korytarzu, usłyszałeś kogoś zbiegającego tylnymi schodami?

— Tak.

— Wy tak twierdzicie, kolego Craike — przerwał mu brutalnie Maleverer. — Chwilę później ów człowiek, Barak, znalazł Was pochylonego nad ciałem.

— To prawda — potwierdził Barak.

Craike zacisnął wargi.

— Rozumiem, jestem podejrzany.

Maleverer zwrócił się ponownie do Craike'a.

— Gdybyście użyli jakiegoś narzędzia, aby ogłuszyć kolegę Shardlake'a, mielibyście nadal ów przedmiot. Zniknęły też papiery. Zdejmijcie szatę, sprawdzimy, czy nie ukrywacie niczego w fałdach.

— Nie mam nic do ukrycia, panie. — Craike ściągnął długą szatę. Z ulgą stwierdziłem, że pod spodem ma jedynie kaftan, którego guzki napięły się na wydatnym brzuchu. Maleverer przywołał strażnika.

— Przeszukajcie go. Sprawdźcie, czy nie ukrył niczego w rajtuzach. — Zwrócił się do mnie. — Ile było owych papierów?

— Pół skrzynki, panie. Gruby plik.

Maleverer ponownie skinął głową strażnikowi.

— Sprawdźcie, czy je ma.

Strażnik podszedł do Craike'a i obmacał go od stóp do głów. Craike zaczął się pocić. Żołnierz odwrócił się do Maleverera i pokręcił głową.— Nie ma niczego, jaśnie panie.

Na twarzy sir Williama pojawił się grymas niezadowolenia. Skinął w kierunku Baraka.

— Teraz jego, na wszelki wypadek. — Obserwował, jak Barak poddaje się rewizji, a następnie spojrzał złowrogo na Craike'a. — W porządku, możesz waszmość odejść. Na ten raz. Trudno mi jednak uwierzyć, aby ktoś usłyszał, jak wchodzisz po schodach, w samą porę, by uciec niewidziany przez nikogo. Jesteście, panie, podejrzani. Wasze sympatie dla papieżstwa są znane od dawna.

Wychodząc z izby, Craike wybałuszył oczy ze strachu. Maleverer zwrócił swój wzrok na Baraka.

— Możesz zostać. Byłeś zaufanym człowiekiem Cromwella, prawda?

— Jesteś dobrze poinformowany, panie — odrzekł cicho Barak.

Widząc, że usiłuję się podnieść, Barak pomógł mi usiąść na krześle.

Maleverer przyjrzał mi się uważnie.

— Nic wam nie jest? — zapytał.

— Nie, panie. Lekko wiruje mi w głowie, czerep i kark są obolałe.

Sir William mruknął coś pod nosem.

— Od samego początku głowa dziwnie tkwiła na twym karku. — Przeszedł na drugą stronę pokoju i usiadł w rogu biurka, wysuwając do przodu nogi w buciorach i składając ręce na piersi. Spojrzał na mnie badawczo twardymi czarnymi oczami. — Co było w owych papierach, które widziałeś?

— Zdążyłem przejrzeć cztery, które leżały na wierzchu. Pozostałych pię widziałem. Pierwszy zawierał nakreślony odręcznie rodowód dynastii panującej.

— Od kogo się rozpoczął? Pomyślcie chwilę, to bardzo ważne.

— Od Ryszarda, księcia Yorku, ojca Edwarda Szóstego i jego żony, księżnej Cecily Neville.

Maleverer westchnął, aby po chwili wybuchnąć pełnym gorzki śmiechem.

— No tak, jak zwykle wszystko zaczyna się od Cecily Neville. — Dostrzegłem wyraz napięcia na jego twarzy. — Sądzicie, że moglibyście odtworzyć ów rodowód?

— Tak, tak mi się zdaje.

Skinął głową.

— Prawnicy mają dobrą pamięć do dokumentów, aby móc je cytować ku zadziwieniu gawiedzi. Uczynicie to dziś, tylko w sekrecie, i prześlijcie mi za pośrednictwem Baraka.

— Zrozumiałem, panie.

— Co było w innych papierach?

— Znalazłem skrawek, na którym spisano legendę z czasów Merlina powiadającą, że nasz obecny król wzbudzi gniew boży i zostanie wygnany z kraju. — Zawahałem się. — Zwano go tam Mouldwarpem.

Maleverer uśmiechnął się cynicznie.

— Legenda o Mouldwarpie. Setki owych fałszywych prorocstw krążą od czasu Pielgrzymki Łaski. Wygląda na to, że owa skrzynka była pełna śmieci. Coś jeszcze?

— Trzeci dokument sporządzono na pergaminie. Była to oficjalna kopia uchwały parlamentu, choć nigdy o takiej nie słyszałem. Nosiła tytuł Titulus Regulus.

Głowa Maleverera drgnęła.

— Co? — Zawahał się, a następnie spytał szeptem. — Czytałeś ją?

— Nie, przejrzałem jedynie stronę tytułową. Dokument pochodził z okresu panowania Ryszarda Trzeciego.

Maleverer milczał przez chwilę, gładząc palcami czarną brodę.

— Nie była to prawdziwa uchwała parlamentu — rzekł w końcu. — Dokument został sfalszowany.

— A pieczęć?

— Na miły Bóg, nie słyszeliście, co powiedziałem? Dokument podrobiono. — Pochylił się nade mną. — Sfalszowali go zwolennicy Lamberta Simnela, który podszył się w Tower pod jednego z książąt i rzucił wyzwanie ojcu króla.

Było oczywiste, że kłamie. Wzmianka o odnalezionej uchwale wstrząsnęła nim do głębi.

— A czwarty dokument? — zapytał.

— Ten był jeszcze inny, spisany na kolejnym skrawku papieru. Miało to być wyznanie niejakiego Edwarda Blaybourne'a. Ów Blaybourne spisał go w obliczu śmierci, aby świat dowiedział się o jego wielkim grzechu.

Odniosłem wrażenie, że Maleverer na chwilę przestał oddychać.

- O jego wielkim grzechu... — powtórzył cicho. — Wyjaśnił, na czym on polegał?
- Nie zdążyłem przeczytać, uderzono mnie w głowę.
- Jesteście pewni? — spytał głosem graniczącym z szeptem. Spojrzałem na niego spokojnie.
- Tak.

Zastanawiał się przez chwilę.

- Rzekliście, że papier ów był stary. Była na nim jakowaś data?
- Nie w nagłówku. — Zawahałem się. — Czy mistrz Oldroyd nie wymienił nazwiska owego Blaybourne'a?

Maleverer skinął głową.

- Tak. Szklarz nie był tym, za kogo się podawał. Należał do spisku, którego członkowie usiłovali obalić króla tej wiosny. — Rzucił mi przeciągłe, twarde spojrzenie. — Przysięgniecie, że nie przeczytaliście więcej, niż rzekliście? Że nie wiecie, na czym polegał grzech Blaybourne'a? Pomyślcie, zanim odpowiecie. Jeśli skłamięcie, czeka was straszna kara.
- Przysięgam na Biblię, panie.

Patrzył na mnie przez dłuższą chwilę, a następnie odwrócił wzrok. Przez moment sprawiał wrażenie rozkojarzonego, a następnie spojrzał na mnie powtórnie.

- Głupcy! Czemu nie zostawiliście tej skrzynki na miejscu? Nie przynieśliście owych papierów do mnie? — Zacisnął wielkie pięści. — No tak, chłopak.
- Uczeń?

Tak, Barak twierdzi, że zauważyliście, jak spogląda na płamę w sypialni swojego mistrza. Tam właśnie znaleźliście skrzynkę. Wczoraj nie miałem czasu go przesłuchać, zostałem wezwany przed Tajną Radę. — Skinął głową. — Przyprowdźcie tu owego pachotka.

Strażnik odszedł. Maleverer usiadł za biurkiem, chwycił pióro i zaczął pośpiesznie notować, co jakiś czas prosząc, abym potwierdził to, com rzekł o owych papierach. Spojrzałem niepewnie na Baraka, rad, że powiedziałem samą prawdę. — Panie, mogę spytać, dla kogo przeznaczony jest ten raport? — zapytałem.

- Dla Tajnej Rady — odrzekł wprost, nie unosząc głowy.

Ktoś zapukał do drzwi. Dwóch strażników wciągnęło do izby

rudego ucznia. Był w strasznym stanie. Policzek i wargę, gdzie trafiła go pięść Maleverera, były opuchnięte i krwawiły. Miał na sobie jedynie koszulę, której skraj ledwie zasłaniał umazane kałem pośladki i równie brudne tłuste nogi. Cuchnął tak, że się wzdrygnąłem.

- Zesrał się, gdy go prowadziliśmy — wyjaśnił strażnik.

Maleverer zarechotał.

— Dobrze, że nie uczynił tego tutaj. Puśćcie go. — Strażnicy wypuścili chłopaka, który zachwiał się na widok sir Williama. Wybałuszone oczy omal nie wyszły mu z orbit.

— I co, chłopcze, będziesz mówił? — zapytał Maleverer.

— Panie! — Uczeń złożył dłonie. — Panie, nie uczyniłem nic złego. Błagam o litość.

— Przestań jęczeć! — Maleverer uniósł groźnie wielką pięść. — Chyba że chcesz stracić więcej zębów. — Chłopak przetknął ślinę i zapadł w trwożliwe milczenie. — Pamiętasz owych panów, z którymi wczoraj rozmawiałeś? Zanim przyszedłem?

Green spojrzał na nas lękliwie.

— Tak.

— Ów prawnik powiedział, że zauważył, jak spoglądasz na płamę na ścianie w sypialni mistrza Oldroyda. Dzisiaj wrócił i znalazł skrytkę w ścianie z tym... — Wskazał skrzynkę. — Z tym w środku. — Chłopak odwrócił się, spojrzał na skrzynkę i pobladł ze strachu.

— Widzę, że ją rozpoznajesz — rzucił ostro Maleverer. — Gadaj, co wiesz na jej temat.

Green kilka razy przetknął ślinę, zanim zdołał wydobyć z siebie głos.

— Mistrza odwiedzali czasami jacyś ludzie. Prowadził ich do swej sypialni, aby potajemnie z nimi rozmawiać. Pewnego razu... z ciekawości zajrzałem przez dziurkę od klucza... wiem, że nie powinienem tego czynić, diabeł mnie podkusił. Siedzieli na łożu, przeglądając całą stertę dokumentów. Dostrzegłem otwór w ścianie i skrzynkę. Jeden z nich rzekł, iż to wystarczy do obalenia...

— Wspomnieli o królu? — spytał Maleverer z pewnym wahaniem.

— Nie, panie. Mówili o... o starym Mouldwarpie. — Green zatrząsł się ze strachu, lecz Maleverer jedynie skinął głową.

— Kiedy to było?

— Na początku roku. W styczniu, na ziemi leżał jeszcze śnieg.

— Powinieneś być powiadomić Radę Północy, że słyszałeś, jak spiskują przeciw królowi — rzekł groźnie Maleverer.

— Bałem się, panie.

Sir William przyglądał się Greenowi przez dłuższą chwilę, a następnie rzekł cicho:

— Posłuchaj, chłopcze, chcę, abyś mi powiedział, kim byli ci ludzie. Jeśli skłamiesz, zakosztujesz miażdżenia kciuków i łamania kołem w tutejszym więzieniu. Zrozumiałeś?

Green pobladł i zaczął się trząść.

— Nigdy... nigdy ich wcześniej nie widziałem. Przychodzili później wielokrotnie od końca ubiegłego roku do odkrycia spisku na wiosnę. Nie byli stąd, gdyby mieszkali w Yorku, znałbym ich. Zjawiali się zawsze po zmroku, gdy mistrz skończył pracę.

— Opisz ich.

— Jeden był wysokim blondynem z zajęczą wargą.

— Ile miał lat.

— Około trzydziestu pięciu, panie. Wyrażał się wykwintnie, choć strój nosił ubogi. Wzbudziło to moją podejrzliwość... pomyślałem, że to dziwna sprawa.

— Rozumiem, a drugi?

— Drugi też był dobrze urodzony, chociaż mówił z dziwnym akcentem, jakby pochodził z południa. Trochę jak on. — Wskazał mnie drżącym palcem.

— Jak wyglądał?

— Był w tym samym wieku co pierwszy, może trochę starszy. Szatyn o pociągłej twarzy. Przykro mi, panie, lecz nie wiem nic więcej. Gdybym wiedział, rzekłbym wam, przysięgam. — Po tych słowach opadł na kolana i splótł ręce, zwracając je ku Maleverero-wi w błagalnym geście. — Panie, miejcie litość! Nie posyłajcie mnie do więzienia. Nie mogę rzec wam więcej, niż wiem. —

Dobrze, puszcze cię. Jeśli jednak piśniesz komuś choćby słówko, znajdziesz się w łańcuchach, zanim się obejrzyysz. Jasne?

— Tak, panie...

— Straże! — zawołał Maleverer. Do izby weszło dwóch żołnierzy. — Zabierzcie tego płacznego gnojka i wyrzucie za drzwi.

— Mamy go obmyć i dać nowy przydziewek?

— Nie — zarechotał Maleverer. — Wyrzucie na ulicę tak, jak stoi, z gołym zadkiem i obsranymi nogami. Jeśli wróci do miasta w takim stanie, nauczy się nie wtykać nosa w cudze sprawy. — Żołnierze wywlekli chłopaka na zewnątrz. Minutę później pojawił się na dziedzińcu. Wraz z uśmiechającym się od ucha do ucha Malevererem patrzyliśmy, jak biegnie ku bramie, naciągając koszulę na kolana przy wtórze śmiechu gawiedzi. Maleverer odwrócił się w naszą stronę.

— Kazałem go śledzić — powiedział. Wziął głęboki oddech. — Blondyn, którego opisał Green, to Thomas Tattershall, kupiec handlujący odzieżą. Stracono go w czerwcu. Niech to szlag, nie powie nam nic więcej. Nie mam pojęcia, kim był drugi. Spiskowcy są ostrożni, zakładają małe komórki, każdy zna tylko dwóch lub trzech innych, a także niektóre elementy spisku. Nigdy wszystkie. Dostęp do owych papierów mieli jedynie ludzie na samej górze. — Nagle rzucił mi ponownie nienawistne spojrzenie. — Znaleźć takie dokumenty, by chwilę później je utracić! Gdybyś się, waszmość, nie wtrącał, wydobylbym informacje z chłopaka i sprowadził skrzynię.

— Bardzo mi przykro, sir Williamie.

Ponownie wyrztał przez okno.

— Wydaje się, że zaatakował was ten sam człowiek, który zamordował Oldroyda. Byłby cię zabił, gdyby nie zjawił się Craike... chyba że to on był napastnikiem. Jeśli nie Craike, to kto?

— Ktoś, kto chciał zdobyć owe dokumenty, komu Oldroyd mógł odmówić ich przekazania. — Zawahałem się. — Człek ten ma wstęp do King's Manor. Zdobyl też klucze do kapitulacza.

Maleverer odwrócił się i spojrzał na mnie, po raz pierwszy bez pogardy w oczach.

— Słusznie. Celna obserwacja. To obciążałoby Craike'a. — Zaczął chodzić po izbie, stawiając wielkie stopy w ciężkich buciorach na skrzypiących deskach. — Kiedy doniosłem księciu Suffolk o śmierci Oldroyda i wymieniłem nazwisko Blaybourne'a, otwały się wrota piekieł. Członkowie Tajnej Rady nakazali, abym osobiście zajął się śledztwem. Utrzymał je w sekrecie. Nie wiem, kim był ów Blaybourne, ale łączyło go coś z waszym więźniem, Broderickiem.

— Czy Radwinter coś wie?

— Nie, tylko członkowie Tajnej Rady i Cranmer w Londynie. Lepiej, aby Oldroyd nie wymienił tego nazwiska, kolego Shar-dlake. W ten sposób znalazłeś się waść w gnieździe szerszeni. Ostrzegam, że gdy członkowie Tajnej Rady dowiedzą się, iż straciłeś, panie, owe papiery, może cię spotkać surowa nagana. — Potrząsnął głową, zgrzytając zębami z gniewu i frustracji.

— Przykro nam — powtórzyłem.

— Do diabła z tym. Przeprosiny nic tu nie pomogą. — Podeszedł do nas i spojrzał z góry, tak że musiałem boleśnie przekrzywić szyję, aby popatrzeć mu w oczy. Poczułem woń potu człowieka, który odbył forsowną konną podróż. — Powiedzieliście komu o słowach szklarza? O tym, co rzekł na temat króla i królowej? Wspomnieliście nazwisko Blaybourne'a?

— Nie, panie.

Podeszedł do stołu i obrócił skrzynkę w wielkich, owłosionych łapskach.

— Stara, ma ze sto lat. Misternie wykonana, cenna. Dziwne, że wybrali ją na kasetkę. — Zmarszczył czoło w zamyśleniu. — Kto mógł wiedzieć, że przysłicie tu ze skrzynką? Kto was widział?

— Skrzynkę mogła zobaczyć setka ludzi na dziedzińcu. Z tych, których znam? Oczywiście, kolega Craike, którego poprosiłem o klucz. Lady Rochford i panna Marlin były w holu. Rozmawiały z brodatym młodzieńcem, śmiali się z tego, że pobrudziłem płaszcz tynkiem.

— To pewnie Francis Dereham, sekretarz królowej Katarzyny. Młody głupiec.

— Wartownik przy bramie, sierżant Leacon. Oprócz nich kolega Wrenne i jego kuchenny. — Zawahałem się, albowiem panna Marlin nasunęła mi myśl o Tamasin.

— Kto jeszcze? — zapytał ostro Maleverer. — Mów!

Spojrzałem na Baraka, a następnie wziętem głęboki oddech.—Dziś rano odkryliśmy coś osobliwego, panie. — Rzuciłem szybkie spojrzenie Barakowi i kontynuowałem. — Myślę, że powinniśmy wam o

tym powiedzieć. Chodzi o służkę królowej, pannę Reedbourne. — Barak zacisnął wargi, słysząc, jak opowiadam Malevererowi o upozorowanej próbie rabunku.

— Wyjaśnijmy to od razu — zdecydował Maleverer. Otworzył drzwi i zamienił słowo ze strażnikiem. Barak rzucił mi oskarżycielskie spojrzenie. Wyczułem, iż zastanawia się, czy sir William potraktuje ją podobnie jak młodego Greena. To, że była niewiastą, nie miało dla Maleverera żadnego znaczenia.

— Nie wolno nam teraz niczego przed nim ukrywać — szepnąłem. — Niczego, nie rozumiesz, w jakim niebezpieczeństwie się znaleźliśmy?

Maleverer wrócił po chwili.

— Zaraz ją sprowadzą razem z ową Marlin. — Przez minutę czekaliśmy w napięciu, następnie usłyszeliśmy kroki, a' po nich pukanie do drzwi. Dwóch żołnierzy wprowadziło do izby przerażoną Tamasin Reedbourne w fartuchu narzuconym na roboczą suknię. Za nią weszła do izby Jennet Marlin. Posłała Malevererowi spojrzenie tak pełne nienawiści, że wybałuszyłem oczy ze zdumienia. Tamasin spojrzała z przerażeniem na krew zakrzepłą z boku mej głowy.

Maleverer podszedł w ich stronę. Spojrzał przelotnie na Tamasin, a następnie przyjrzał się starszej niewieście.

— Panna Marlin, jak sądzę?

— Tak, panie — odpowiedziała chłodnym głosem. — Czemu nas tu sprowadzono? Lady Rochford...

— Mam gdzieś lady Rochford. — Zwrócił się ku poblądłej Tamasin, stając nad nią z założonymi rękami.

— Witam, panno Reedbourne. Wiesz, kim jestem?

— Tak, panie. — Przełknęła ślinę. — Sir William Maleverer.

— Przybyłaś pani razem z panną Marlin i lady Rochford, aby dopilnować urządzenia komnat królowej w King's Manor. Jesteś pomocą kuchenną?

— Cukiernikiem, panie — odrzekła.

— Pomocą kuchenną... wykonujesz polecenia panny Marlin?

— Tak, panie — odpowiedziała Jennet Marlin. — Ja zaś wykonuję rozkazy lady Rochford. — Zamknij gębę, nie ciebie pytałem. — Odwrócił się do Tamasin. — Ci panowie opowiedzieli mi dziwną historię. — Zauważyłem, że Barak spojrzał z bólem na Tamasin, gdy Maleverer pochylił się nad nią, onieśmielając dziewczynę swoim wzrostem. — Powiedzieli, że upozorowałaś rabunek, aby się z nimi zapoznać. Mają dowody. Pan Shardlake wykonuje ważną misję państwową. Może na takiego nie wygląda, lecz to prawda. Powiesz mi teraz, panienko, dlaczego odegrałaś tę scenę i czy twoja pani brała w tym udział.

Tamasin milczała przez chwilę, a następnie wzięła się w garść. Oddychała równo, a na jej policzki powrócił rumieniec.

— Nie chciałam się zapoznać z panem Shardlakiem, lecz z panem Barakiem — odrzekła wyraźnie. — Widziałam, jak wjeżdża do miasta, spodobał mi się. Później minęliśmy się ponownie i wówczas wpadłam na pomysł, jak go zatrzymać. W mieście roi się od żebrzących młodzieniaszków. Wiedziałam, że za jednego szylinga odegrają dla mnie tę scenkę — oznajmiła z lekką nutką lekceważenia.

Maleverer wymierzył jej silny policzek. Barak uczynił krok do przodu. Chwyciłem go za ramię i poczułem przeszywający ból wywołany raptownym ruchem. Tamasin przyłożyła dłoń do policzka, lecz nie krzyknęła, a jedynie wbiła wzrok w podłogę, trzęsąc się ze strachu.

— Nie mów do mnie w taki sposób, zuchwała dziewczko — prychnął Maleverer. — Tylko dlatego? Nie chodziło o nic więcej? Obmyśliłaś to jedynie dlatego, że spodobał ci się ten prostak?

— Tylko dlatego, panie. Przysięgam.

Maleverer ujął ją za brodę i podniósł jej głowę, zaglądając w oczy.

— Jesteś krnąbrną, zuchwałą, nieugiętą istotą. Panno Marlin, proszę powiadomić lady Rochford o jej zachowaniu. Powinna cię odesłać do Londynu, skąd pewnie pochodzisz, sądząc po akcencie, z jakim mówisz.

— Tak, panie.

— W takim razie wracaj do swoich zuchwalców, a ty, panno Marlin, pilnuj lepiej sług, zamiast lamentować nad ciężkim losem narzeczonego i prowokować szyderstwa. Panna Marlin poczerwieniała.

— Dlatego kazałeś nas pan tu sprowadzić? Obawiałeś się, że wplątałam Tamasin w jakiś spisek? Że nie jestem lojalna? — Zaczęła mówić podniesionym głosem. — Chcesz mnie oskarżyć jak nieszczęsnego Bernarda. — Maleverer podszedł do niej, lecz panna Marlin nie poruszyła się, patrząc mu twardo w oczy. Byłem pełen podziwu dla jej odwagi.

— Chcesz zarobić w tę swoją cnotliwą bużkę jak tamta? Nie myśl, że się zawaham.

— Nie mam wątpliwości, panie.

— Wynoście się stąd obie. Marnujecie mój czas. — Odwrócił się, a niewiasty wyszły z izby. Tamasin miała zaczerwienioną twarz.

Maleverer spojrział na Baraka z odrazą.

— Zatem to wszystko. Pomyśleć, czym zajmują się królewscy słudzy podczas podróży Jego Wysokości. Obojgu przydałaby się chłosta. — Zwrócił się ku mnie. — Rzekliście, iż owà Marlin widziała, jak weszliście ze skrzynią do holu? Znacie ją?

— Rozmawialiśmy przelotnie — odparłem. — Powiedziała mi, że jej narzeczonego siedzi w Tower.

— Nie mówi o niczym innym. Nie powinni jej byli zabierać, chociaż zna miejscowe obyczaje. Ma bzika na punkcie niewinności owego papisty Bernarda Locke'a. Kocha się w nim od czasu, gdy była dziewczynką. Skłoniła go, aby się jej oświadczył dopiero po śmierci pierwszej żony. Później trafił do Tower. — Maleverer zarechotał. — Dobrze. A teraz wyruszyć mi owo drzewo genealogiczne, które widziałeś. Pilnie wykonaj robotę, będą na nie patrzyły oczy członków Tajnej Rady. Przesłucham osobiście kolegę Wrenne'a. — Musiał zauważyć, że spuściłem głowę, gdyż zapytał: — Nie chcecie, abym to czynił?

— Wrenne... wydaje się nieszkodliwym starcem.

— Nieszkodliwym? — Maleverer ponownie zarechotał. — Jak tu rozpoznać, kto jest nieszkodliwy, a kto nie?

Robotnicy na zewnątrz wykonywali ostatnie prace na przyjazd króla. Na namioty narzucano wielkie draperie złotogłowia. Rząd wozów załadowanych belami siana ciągnął się od bramy dokościoła. Wkrótce miała nadejść wyściółka i pasza dla koni. Wziętem głęboki oddech i na chwilę zakręciło mi się w głowie.

— Nic ci nie jest?

— Nie. — Spojrzałem na niego. Przykro mi z powodu panienki Reedbourne. Musiałem mu powiedzieć.

Wzruszył ramionami.

— Cóż, mamy to za sobą.

— Chodźmy, muszę naszkicować ów rodowód. Maleverer to prawdziwy brutal, mam nadzieję, że nie obejdzie się tak surowo z kolegą Wrenne'em.

— Staruszek umie o sobie zadbać.

Barak spojrział przez ramię.

— Uszło nam na sucho.

— Nie bądź taki pewny — odpowiedziałem. — Nie sądzę, aby Maleverer z nami skończył. Tym bardziej ludzie, dla których sporządził raport.

Rozdział trzynasty

W naszej kwaterze wszystko było inaczej niż zwykle — lokatorzy wyszli, a ogień przygasał na palenisku. Barak wynalazł gdzieś ławę i wstawił ją do mej sypialni. Przyniósł też moją czapkę, którą musiał zabrać z gabinetu Craike'a, gdzie mnie znalazł. Zauważyłem, że prowizorycznie przymocował piórko tym, co pozostało ze szpili.

Ryszard, książę Yorku poślubiony Cecyli Heuffle ur 1460 I ui 1415 zm. 1405

KfiÓL eowmc IV poślubiony Elżbiecie Woodoille okres panowania 14SM483

Królowa Katarzyna i okres panowania 1463-1483 zm. 1483

Księżniczka Katarzyna poślubiona KÓLOWI

Henryk V z YORKU I okres panowania zm. 1483-1509

król Henryk

Księżniczka Elżbieta

Książę Edward

Zamknąłem drzwi i sięgnąłem do torby po duży arkusz papieru. Ułożyłem go na stole, podczas gdy Barak naostrzył gęsie pióro.

— Jesteś pewny, że wszystko zapamiętałeś?

— Tak. — Przekręciłem się na ławie, próbując umieścić szyję w wygodnej pozycji. — Nadal wiruje mi we łbie, lecz Maleverer miał rację, mimochodem chwaląc prawników. Mamy doskonałą pamięć do dokumentów. Sprawdźmy, co udało mi się zapamiętać. — Umoczyłem pióro w kałamarzu. Z ulgą stwierdziłem, że Barak nie jest na mnie zły za Tamasin. Siedział cichuteńko niczym trusia, obserwując, jak kreślę drzewo genealogiczne. Zapamiętałem, że linia przodków wiodła do obecnego króla, którego imię napisałem grubszymi literami, mocniej przyciskając pióro do papieru. Nie minęło wiele czasu, a przed naszymi oczami ukazała się tablica genealogiczna Tudorów.

— Widziałem mnóstwo podobnych rodowodów w pałacu Whitehall, gdy pracowałem dla lorda Cromwella — rzekł Barak. — Ten różni się nieco od pozostałych.

— Zaiste, brakuje kilkoro dzieci, na ten raz syna Ryszarda Trzeciego, który zmarł w młodym wieku.

George książę Clarence zm. 1478

Edward, grabież Warroick Wygnany 1409

Królowa Katarzyna III zwany Garbatym okres panowania 1483-1485

Henry lord Tfrontagu

Margaret poślubiona sir Richardowi pole grabina Salfisbury

Reginald. kardynał pole

Henry

Katherine— I dwóch siostr króla.

— Tak. — Zmarszczyłem czoło. — Każdy rodowód snuje jakąś opowieść. Jego celem jest wykazanie czyichś praw poprzez wskazanie przodków, od których pochodzi. Ponieważ początkowo roszczenia Tudorów do tronu były bardzo słabe, kazali umieścić w państwowych budynkach genealogie z wyeksponowanymi małżeństwami wzmacniającymi ich prawa do korony.

Barak przyjrzał się uważnie rysunkowi.

— W tym podkreślono, że nasz król jest potomkiem Edwarda Czwartego. — Spojrzał na mnie.
— Ten rodowód wspiera roszczenia króla.

— Rzeczywiście, wymienia również ród księcia Clarence, który inne zwykle pomijają. Spójrz, mamy tu jego córkę, Margaret, hrabinę Salisbury, oraz jej syna, lorda Montagu, o których rozmawialiśmy z kolegą Wrenne'em. Oboje zostali straceni w tym roku. Młody syn i córka Montagu zniknęli w Tower. — Potarłem brodę. — Czy roszczenia zgłaszane przez króla miały inny cel?

— Imiona księżnej Mary i księżnej Elizabeth nie zostały nakreślone grubym pismem.

— Nie wyeksponowano ich w oryginalnym dokumencie, który widziałem. Pamiętaj, że żadna z nich nie ma prawa do tronu. Po unieważnieniu małżeństwa króla z Katarzyną Aragońską i Anną Boleyn ich córki zostały uznane za dzieci z nieprawego łoża. Jedynym dziedzicem króla jest książę Edward, syn Jane Seymour.

— Chyba że plotki są prawdziwe i królowa Katarzyna spodziewa się dziecka.

— Słusznie prawisz, jej dziecko byłoby drugie w kolejce do tronu, wzmacniałoby dynastię Tudorów. Czy rzeczywiście jest przy nadziei? — Odwróciłem się, by spojrzeć na Baraka. Skrzywiłem się, czując przenikliwy ból karku, i chociaż w całym domu nie było nikogo, ściszyłem głos. — Jako powód rozwodu króla z Anną Kliwijską podano nieskonsumowanie związku. Powiadali, że widok Anny był mu tak przykry, iż nie był zdolny do współżycia. Kiedy omawialiśmy ustawę unieważniającą małżeństwo, niektórzy szeptali, że schorowany król stał się impotentem. Ponoć poślubił śliczną młodziankę Katarzynę Howard w nadziei, że jej uroda ożywi jego wyschłe łądzwie. — W tawernach powtarzano to samo przyciszonym głosem.

— Może po przybyciu króla dowiemy się, że królowa Katarzyna jest przy nadziei. Może właśnie to ogłoszą w owych pawilonach. — Spojrzałem ponownie na drzewo rodowe. — Wydaje się całkiem prawomyślne.

Barak wskazał imię widniejące na samej górze.

— Kim był Ryszard, książę Yorku? Muszę wyznać, że nie potrafię się połapać w roszczeniach uczestników wojny Dwóch Róż.

— Trzeba się cofnąć do obalenia despotycznej władzy Ryszarda Drugiego w roku tysiąc trzysta dziewięćdziesiątym dziewiątym. Richard odszedł bezpotomnie, a jego kuzyni wysunęli rywalizujące roszczenia do tronu. W końcu doszło do otwartej wojny i w roku tysiąc czterysta sześćdziesiątym pierwszym Henryk Czwarty Lancaster został odsunięty, tron zaś objął Edward Czwarty z dynastii Yorków. Królem mógłby zostać ojciec Edwarda, Ryszard, książę Yorku, gdyby rok wcześniej nie poległ w bitwie.

Barak powiódł palcem wzdłuż linii.

— Edward Czwarty jest dziadkiem obecnego króla.

— Tak, poprzez matkę Henryka, Elżbietę z Yorku. Powiadają, że król wielce go przypomina.

- Jakie prawa przysługiwały ojcu naszego króla? Królowi Henrykowi Siódmemu?
- Miał słabe prawa do tronu, lecz połączył swoją linię z linią Edwarda Czwartego, poślubiając jego córkę. Właśnie to sprawia, że dynastia Henryka jest bezpieczna.

Barak powiódł palcem w górę.

- Po śmierci Edwarda Czwartego władzę na krótki czas objął jego syn, Edward Piąty, prawda? Został jednak zamordowany wraz z bratem, gdy Ryszard, brat Edwarda, uzurpował sobie tron.

— To prawda, księżęta zgładzono w Tower. — Westchnąłem głęboko. — Zauważyłem coś interesującego. Napisano: „Ryszard Trzeci zwany Garbusem”. — Uśmiechnąłem się ponuro, widząc niepewny wzrok Baraka. — Powiedzmy sobie otwarcie, podobno Ryszard Trzeci był garbaty, chociaż niektórzy później twierdzili, że to kłamstwo wymyślone przez Tudorów. To, iż autor owej genealogii pisze „zwany”, sugeruje, że nie wierzył on w opowieści o królu Ryszardzie. W każdym razie przejście tronu przez Ryszarda Trzeciego wzburzyło cały kraj, gdy więc ojciec Henryka Ósmego powstał przeciw niemu, uzyskał znaczne poparcie. Później zabezpieczył władzę swoich potomków, poślubiając Elżbietę z Yorku.

- Czy księżę Clarence, drugi z braci Edwarda Czwartego, zmarł przed nim?

— Został stracony pod zarzutem zdrady, próbował też przejąć tron.

— Dobry Boże, niezła rodzinka. Matką owej trójki była Cecily Neville. Maleverer wspomniał o niej. Powiedział, że wszystko bierze od niej początek.

— Tak, uczynił to z goryczą w głosie. — Zmarszczyłem brwi. — Jestem ciekaw dlaczego. Wszyscy, których tu wymieniono, są jej potomkami, pochodzą jednak także od Ryszarda z Yorku, który należy do linii królewskich przodków.

Barak zamyślił się chwilę.

— Gdyby wiosną spiskowcom udało się obalić króla, mały księżę Edward stałby się prawowitym dziedzicem.

— Tak, byłby jednak dzieckiem królem, co jest gwarantowaną receptą na waśnie pomiędzy możnymi. Nie, gdyby spiskowcy usunęli króla, wybraliby raczej Margaret z Salisbury.

— Słusznie.

— Spiskowcy wybraliby ją z powodu, który ma większą wagę niż pozostałe: członkowie tego rodu są papistami podobnie jak oni. Brat Montagu, Reginald Pole, jest kardynałem w Rzymie.

— Dobry Jezu.

— Królewskie pochodzenie daje nie tylko prawo do tronu, lecz także tytuł głowy Kościoła w miejsce papieża. Cranmer rzekł mi, że gdy sumienie króla jest poruszone, przemawia doń sam Bóg, co daje mu prawo decydowania w sprawach religii. — Uniosłem brwi. — Ten, kto przejmie tron, zyska również tytuł Obrońcy Wiary.

— Bóg przemawiający za pośrednictwem króla! — Barak potrząsnął głową. — Zawsze uważałem to za równie głupie jak twierdzenie, że czyni to przez papieża. Z drugiej strony daje to królowi wielką władzę.

Po raz pierwszy tak otwarcie mówił o swoich poglądach. Skinąłem wolno głową. — Zgadza się, pamiętaj jednak, że takie słowa zostałyby uznane za zdradę.

— Wielu sądzi podobnie.

— To prawda. Słuchaj, wptynęliśmy na niebezpieczne wody. — Ostrożnie posypałem kartkę piaskiem. — Masz, zanieś to Malevererowi. Do rąk własnych.

Zawahał się.

— Może powinniśmy sporządzić kopię.

— Nie, nie będziemy więcej stawiać wszystkiego na jedną kartę. Oprócz tego mam już kopię.
— Wskazałem swoją posiniaczoną głowę. — Tutaj.

Kiedy Barak wyszedł, położyłem się na łóżku polowym i natychmiast zasnąłem. Obudziłem się dopiero wówczas, gdy kilka godzin później Barak potrząsnął mnie za ramię.

— Która godzina? — zapytałem.

— Dochodzi piąta, przespałeś całe popołudnie. — Miał chyba nieco lepszy nastrój.

— Dostarczyłeś rodowód Malevererowi?

— Tak, warknął na mnie w podzięcie. — Zawahał się. — Później poszedłem do pani Tamasin.

— Co?

— Przekupiłem strażnika, aby ją sprowadził pod pretekstem, że otrzymała wiadomość od krewnego. — Rzucił mi jedno ze swoich twardych spojrzeń. — Rozumiem, dlaczego uznałeś, że trzeba powiadomić Maleverera o tym, co uczyniła, lecz chciałem jej wyjaśnić, że nie była to moja decyzja.

— Rozumiem.

— Przebaczyła mi bez większego ociągania. Przyznała, że zawiniła, oszukując nas, choć rzekła, że wcale tego nie żałuje. Dobry Boże, ta dziewczyna ma niezwykły hart ducha.

— Wiele razy powtarzałeś, że lubisz kobiety, które wiedzą, gdzie jest ich miejsce — mruknąłem.

— Nie lubię apodyktycznych niewiast, lecz Tamasin jest inna. Szczerze mówiąc... — uśmiechnął się — nigdy nie spotkałem takiej jak ona.

— Białołowy o silnej woli często tyranizują mężczyzn. — Zgadza się, pamiętaj jednak, że takie słowa zostałyby uznane za zdradę.

— Wielu sądzi podobnie.

— To prawda. Słuchaj, wpłynęliśmy na niebezpieczne wody. — Ostrożnie posypałem kartkę piaskiem. — Masz, zanieś to Malevererowi. Do rąk własnych.

Zawahał się.

— Może powinniśmy sporządzić kopię.

— Nie, nie będziemy więcej stawiać wszystkiego na jedną kartę. Oprócz tego mam już kopię.
— Wskazałem swoją posiniaczoną głowę. — Tutaj.

Kiedy Barak wyszedł, położyłem się na łóżku polowym i natychmiast zasnąłem. Obudziłem się dopiero wówczas, gdy kilka godzin później Barak potrząsnął mnie za ramię.

— Która godzina? — zapytałem.

— Dochodzi piąta, przespałeś całe popołudnie. — Miał chyba nieco lepszy nastrój.

— Dostarczyłeś rodowód Malevererowi?

— Tak, warknął na mnie w podzięcie. — Zawahał się. — Później poszedłem do panienki Tamasin.

— Co?

— Przekupiłem strażnika, aby ją sprowadził pod pretekstem, że otrzymała wiadomość od krewnego. — Rzucił mi jedno ze swoich twardych spojrzeń. — Rozumiem, dlaczego uznałeś, że trzeba powiadomić Maleverera o tym, co uczyniła, lecz chciałem jej wyjaśnić, że nie była to moja decyzja.

— Rozumiem.

— Przebaczyła mi bez większego ociągania. Przyznała, że zawiniła, oszukując nas, choć rzekła, że wcale tego nie żałuje. Dobry Boże, ta dziewczyna ma niezwykły hart ducha.

— Wiele razy powtarzałeś, że lubisz kobiety, które wiedzą, gdzie jest ich miejsce — mruknąłem.

— Nie lubię apodyktycznych niewiast, lecz Tamasin jest inna. Szczerze mówiąc... — uśmiechnął się — nigdy nie spotkałem takiej jak ona.

— Białogłowy o silnej woli często tyranizują mężczyzn. — Daj spokój — odpowiedział z żarem.
— Sam w to nie wierzysz. Ileż to razy powtarzałeś, że podziwiasz kobiety, które mają własne zdanie? Takie jak lady Bryanston.

— Im mniej będziesz mówił o lady Bryanston, tym lepiej. — W moim głosie pojawiła się nutka goryczy, gdyż przypomniałem sobie swoje nieszczęsne zaloty sprzed roku. — Nie popełnij błędu, myśląc lekkomyślnie z niezależnym sądem.

- Spotkam się z nią na jutrzejszym przedstawieniu, tak jak ustaliliśmy.
- Czy to mądre? Maleverer nie byłby z tego rad.
- Nie obchodzą go zaloty mężczyzn i kobiet, które są pozbawione politycznych konsekwencji.
- Rzucił mi ponownie twarde spojrzenie. — Nie apróbujesz tego?
- Nie moja sprawa — odparłem, przybierając obronną postawę. Chociaż nadal żywiłem pewne wątpliwości wobec owej dziewczyny, zdałem sobie sprawę, że byłem zazdrosny, nie o to wszak, iż ugania się za nim urodziwa niewiasta, lecz że zwróciła na siebie uwagę jednego z niewielu prawdziwych przyjaciół, jakich miałem. Zmieniłem temat, pytając, czy widział kolegę Wrenne'a.
- Spotkałem go na dziedzińcu, idąc do Maleverera. Ujrzałem go w oddali, szedł ku bramie i nie zauważył mnie.
- Dobrze wyglądał?
- Tak. Zmierał do wyjścia. Dostrzegłem słaby uśmiech na jego twarzy.
- Dzięki Bogu. Lękałem się, że Maleverer urządzi mu srogie przesłuchanie.
- Powiedziałem ci przecież, że Wrenne umie o sobie zadbać.
- Tak. — Podniosłem się z łoża. — Powinienem się przejść. Potrzebuję powietrza.
- Chcesz, abym ci towarzyszył.
- Tak — odparłem z uśmiechem.

Na zewnątrz zerwał się wiatr, a w powietrzu dawało się wyczuć woń deszczu.

- Jesień zagościła tu na dobre — zauważyłem. Moje myśli się rozjaśniły, zacząłem się lękać. Obserwując mijających nas ludzi, zastanawiałem się nad tym, czy jest wśród nich człowiek, który mnie napadł. Czy spróbuje ponownie? Byłem rad, że mam przy sobie Baraka.

Szliśmy wzdłuż zagród dla zwierząt. W wielkich metalowych klatkach przycupnęły dwa potężne niedźwiedzie, przypatrując się nam małymi czerwonymi ślepiami pełnymi lęku i gniewu.

- Planują urządzić szczucia niedźwiedzia ku uciesze króla — wyjaśnił Barak. — Jak mniemam, nie będziesz chciał tego oglądać. — Uśmiechnął się nieznacznie, albowiem poczytywał moją przesadną wrażliwość za rzecz dziwaczną.

- Tak — uciąłem krótko.

- Wcześniej widziałem na dziedzińcu mnóstwo kogutów do walk. Dostarczą rozrywki robotnikom i żołnierzom, którym nie wolno wychodzić do miasta, aby nie wdawali się w bójki z miejscowymi. Podobno umieścili ptaki w kapitularni.

Potrząsnąłem głową.

— Świat stanął na głowie.

Szliśmy wzdłuż kościoła w kierunku głównego dziedzińca. Robotnicy na drabinach ozdabiali pawilony proporcami z zielono--białymi barwami Tudorów i angielskimi czerwonymi krzyżami na białym polu. Ku memu zdziwieniu spostrzegłem również chorągwie z ukośnym białym krzyżem na niebieskim tle. Wskazałem je Barakowi.

— Spójrz! Czy nie jest to flaga Szkocji? Dobry Jezu, ani chybi przyjedzie tu król Jakub! W tym celu szykowali to wszystko!

Barak zagwizdał.

— Spotkanie królów.

— Król Henryk przybył, aby podyktować swoje warunki nie tylko mieszkańcom Yorku, lecz również Szkotom. Zawarł traktat pokojowy. — Pokręciłem głową. — Król Jakub byłby szalony, gdyby zerwał sojusz z Francją. Tylko to powstrzymywało nas przed ciągłymi najazdami na jego ziemie.

— Może Henryk dał Jakubowi wybór: zaakceptuje warunki pokoju albo dokonamy inwazji.

— Jeśli taki jest cel owych uroczystości, królowa Katarzyna może wcale nie być przy nadziei.

Spojrzałem na dziedziniec, który po zakończeniu prac budowlanych był mniej zatłoczony. Robotnicy ładowali na wozy niewykorzystane materiały. Nieopodal wysypywano kostkę, by wybrukować nią ziemię obok dawnej rezydencji opata, aby król — a właściwie królowie — nie ubłócili szat.

— Proponuję, abyśmy wrócili przez kościół. Sprawdzimy, jak się czują konie.

Klasztorna kaplica była pełna robotników, którzy ustawiali wzdłuż nawy drewniane boksy dla koni. Inni przenosili bele siana na paszę i umieszczali je w przegrodach. Dźwięk rzucanych beli pobrzmiwał echem po całym kościele. Idąc nawą usłyszeliśmy inny dźwięk — gniewne pienia dobiegające z kapitułarza. Pomyślałem, że musieli tam umieścić setki kogutów. Byłem ciekaw, czy tak jak Barak ptaki wzięły posagi świętych za żywych ludzi. Wielkie sklepione łuki czyniły kapitułarz główną częścią świątyni. Cześć, która miała zostać wyszydzone i zbezczeszczone, podobnie jak zbezczeszczone zwłoki Ryszard III po klęsce w bitwie pod Bosworth. Nagle poczułem zawroty głowy i podszedłem do ławy, którą pozostawiono na środku nawy.

— Muszę chwilę odpocząć — rzekłem.

Barak usiadł obok mnie. Po chwili milczenia odwróciłem się w jego stronę, krzywiąc się z powodu bólu karku.

— Ciekawym, czy coś mi grozi — powiedziałem.

— Sądzisz, że napastnik by cię zabił, gdyby nie został spłoszony przez Craike'a?

— Nie jestem pewny, czy Craike faktycznie go spłoszył.

— Podejrzewasz go?

— Nie, gdyby to uczynił, podczas rewizji znaleziono by przy nim pałkę lub -inne narzędzie, którym się posłużył. A także owe przeklęte papiery. Sądzę, że napastnik już wyszedł, gdy Craike zjawił się na korytarzu. Zastanów się. To długi korytarz, więc człowiek, który mnie zaatakował, usłyszałby kroki Craike'a, gdy ten stanął na jego końcu. Nie mógłby wówczas wybiec z izby i czmychnąć po schodach tak, by Craike go nie zobaczył. Ten rzekł, iż słyszał kroki człowieka schodzącego, a nie zbiegającego po schodach.

— Zatem napastnik uznał, że nie żyjesz.

— Chyba że nie chciał mnie zabić, a jedynie ogłuszyć. Wszedł do izby, gdy wyjąłem wyznanie Blaybourne'a, i zadał cios, zanim zdążyłem je przeczytać.— Gdyby ów dokument był taki ważny, upewniłby się, że nie żyjesz.

Westchnąłem.

— Masz rację, może sądził, że wyzionąłem ducha. Jeśli tak było, okazał się lekkomyślny. Kiedy usłyszysz, że przeżyłem, może podjąć kolejną próbę.

— Szkoda została już wyrządzona, rzekłesż Malevererowi, co widziałeś.

— Napastnik może o tym nie wiedzieć.

— W takim razie musimy się mieć na baczności.

— Dziękuję, że powiedziałaś „my”. Ciekawym, jakie znaczenie mają owe dokumenty. Rodowód sprawiający wrażenie prawomyślnego, dawna legenda o Mouldwarpie, uchwała parlamentu, która zdaniem Maleverera została sfalszowana, oraz wyznanie jakiegoś Blaybourne'a, którego imię wzbudza grozę w sercach możnych tego świata. Oprócz nich w skrzyni było kilka innych dokumentów przypominających oświadczenia. Kim był złodziej? Spiskowcem starającym się nie dopuścić, aby te dokumenty wpadły w ręce króla? Jeśli tak, dlaczego Oldroyd mu ich nie przekazał? Zakładam, że właśnie z tego powodu został zabity.

— Na miły Bóg, nie wiem. Żałuję, że nie mogę wrócić do domu.

— Ja również. — Zadrżałem z zimna, czując chłodny powiew wiatru, który wdarł się do środka przez łukowate okno pozbawione szyby. Wyjrzałem na zewnątrz i stwierdziłem, że szare niebo staje się mroczne. Pomyślałem, że Oldroyd musiał wyjąć ten witraż. Ciekawe, co się stanie z jego domem i warsztatem. Jeszcze jeden, który zmarł bezpotomnie.

— O czym rozmyślasz? — spytał Barak.

— Od kiedy tu przyjechaliśmy, nie przestaję myśleć o rodowodach. O rodowodach ludzi podobnych do króla, którzy mają spadkobierców, i tych, którzy jak Wrenne i Oldroyd odchodzą, nie pozostawiając potomka. — Uśmiechnąłem się smutno. — Twój rodowód sięga jak sądzę Abrahama, odziedziczyłeś po ojcu żydowską krew.

Wzruszył ramionami.

— Wszyscy wywodzimy się od Adama, pierwszego grzesznika. Też jestem jedynakiem. Chciałbym przedłużyć swój ród. — Na jego twarzy pojawił się wymuszony uśmiech. — Sekretną linię żydowskiej krwi. — Odwrócił się ku mnie. — Mógłbyś się jeszcze ożenić. Nie przekroczyłeś czterdziestki.

— Za rok stuknie mi czwarty krzyżyk. Później niektórzy zaczną mnie uważać za starca.

— Będziesz dziesięć lat młodszy od króla.

Westchnąłem.

— Po mojej zeszłorocznej przygodzie z lady Bryanston... — Postanowiłem zmienić temat. — Powiadasz, że pogodziłeś się Tamasin?

— Tak — odparł z uśmiechem, a następnie spojrzał na mnie poważnie. — Myślę, że była przerażona, gdy zawlekli ją przed oblicze Maleverera, chociaż próbowała to ukryć. Powiedziała, że panna Marlin surowo ją zganiała, lecz obiecała, iż nie zawiadomi lady Rochford.

Skinąłem głową.

— To leży w jej własnym interesie. Lady Rochford mogłaby jej zarzucić, że nie upilnowała dziewczyny. Panna Marlin to dziwna osoba. Co myśli o niej młoda Tamasin?

— Choć może się to wydać dziwne, panna Marlin jest łaskawą panią. To ona wybrała Tamasin, aby towarzyszyła jej do Yorku. Myślę, że Tamasin współczuje panie Marlin, ponieważ inne dworki z niej szydzą. Ma dobre serce.

— Cóż, piękna to cecha u kobiety. — Rozmasowałem kark. — Jezu, ależ jestem zmęczony. Wieczorem powinienem udać się do więzienia, nie mogę jednak wlec się o zmroku przez cały York.

— Byłoby to dziwne po napaści. Dziś wieczorem powinieneś odpocząć.

— Udam się tam jutro. Odwiedzę też kolegę Wrenne'a. Polubiłem staruszkę. — Milczałem przez chwilę, a następnie rzekłem: — Jest samotny. Czasem przypomina mi ojca, a wówczas czuję się winny, że nie odwiedziłem rodziciela w ciągu ostatniego roku przed śmiercią.

Wydarzenia minionego dnia sprawiły, że obaj byliśmy w nastroju do zwierzeń. Siedzieliśmy pod ogromnym sklepieniem sprofanowanego kościoła, słuchając szelestu słomy i echa koguciego pienia. — Czasami śni mi się ojciec — powiedział Barak. — Kiedy byłem mały, zawsze chciał mnie przytulić, ja zaś wyrывałem mu się, nie mogąc znieść smrodu związanego z jego fachim. Czyściciel kłocznych dołów. We śnie przychodzi do mnie z otwartymi ramionami, ja zaś uciekam, czując jego przykrą woń. Nie potrafię tego znieść, tak jak w dzieciństwie. Później budzę się, czując w nozdrzach ów zapach. Pomyślałem o nim, gdy przyprowadzili do Maleverera owego ucznia. — Jego palce powędrowały do piersi, tam gdzie nosił starożytną mezuzę, którą otrzymał do ojca. — Może Bóg zsyła na nas takie sny, by nas pokarać — zakończył cicho. — Aby przypomnieć o naszych grzechach.

— Umiesz pocieszać, jak przyjaciele Hioba.

— Właśnie. — Podniósł się z miejsca. — Cóż za ponure gmaszysko.

- Jestem ciekaw, co się stało z owym chłopakiem.
- Młodym Greenem?
- Maleverer okrutnie go upokorzył, wygnał z gołym zadkiem na miasto.

Barak stłumił chichot.

- Wybacz, śmiesznie to wyglądało — rzekł. — Pewnie mieszkańcy Yorku okażą mu współczucie. Zjemy coś, zanim udasz się na spoczynek?
- Tak. — Wstałem i ruszyłem w stronę przeciwległych drzwi.

Barak odwrócił się w moją stronę.

- Przepraszam, to przeze mnie straciłeś te papiery. Jest mi niewymownie przykro.

Poklepałem go po ramieniu.

- Daj spokój, nie oskarżajmy się wzajemnie. To bez sensu.

Podeszliśmy do koni, chwając stajennego za to, jak się o nie

troszczy, a następnie udaliśmy się do refektarza, mając nadzieję zjeść wieczerę w miłej atmosferze. Szliśmy czujnie, bacznie rozglądając na boki. W refektarzu panował wielki rejwach, wieczerzało w nim więcej ludzi niż poprzedniego dnia. Ciesle, którzy zakończyli robotę, byli w bardziej hałaśliwym nastroju. Gdyby wieczorem pozwolono im pójść do miasta, z pewnością urządziliby wielką hulankę i wielu wróciłoby z rozkwaszonym nosem. Ponownie ogarnęło mnie zmęczenie, więc z radością pomyślałem, że za chwilę wyciągnę się na pryczy. Barak oznajmił, że zamierza wyjść do miasta, „aby się rozejrzeć”.

- Tylko pamiętaj, żadnych przygód.
- Zachowam je na jutro dla Tamasin. Mam cię zbudzić o szóstej rano?
- Tak. — Kiedy wyszedł, pogrzeżyłem się w głębokim śnie. Na szczęście nie nękały mnie żadne koszmary, przeszkodzili mi jedynie prawnicy i urzędnicy królewscy, którzy wrócili późną porą i udali się spać. Mimo to dłoń, która potrząsnęła mym ramieniem następnego ranka, nie należała do Baraka, lecz żołnierza. Przetarłem oczy i ujrzałem nad sobą młodego sierżanta Leacona. Miał poważną twarz. Serce we mnie struchlało, pomyślałem bowiem, że Maleverer kazał mnie aresztować.
- Co się stało?
- Mam was zaprowadzić do zamku w Yorku, panie. Natychmiast — dodał. — Więzień Broderick został otruty.

Rozdział czternasty

Była zaledwie piąta rano, gdy wyruszyliśmy mrocznymi, pograżonymi w ciszy ulicami Yorku. Nadejście Leacona zbudziło Baraka, więc poprosiłem, aby nam towarzyszył. Niezależnie od tego, co

czekało nas w zamku, chciałem, aby ktoś mi towarzyszył. Miejscy konstable zaalarmowani odgłosem kroków zaświecili nam w oczy lampami, aby wycofać się na widok czerwonego munduru Leacona. Zadrzałem z zimna, szczerzej owijając się peleryną- albowiem zerwał się chłodny wiatr.

— Kto przyniósł wam tę wiadomość? — spytałem młodego sierżanta.

— Posłaniec pchnięty przez dowódcę zamkowej straży. Rzekł on, iż więzień został otruty i może skonać. Od razu zażądano waszego przybycia. Pomyślałem, że będę wam towarzyszył, gdyż w przeciwnym razie by was nie przepuścili konstable.

— Dziękuję. — W świetle lampy dostrzegłem zatroskanie malujące się na jego chłopięcej twarzy. — Widzę, że sprawiłem wam kłopot.,,

— Wczoraj wezwał mnie do siebie sir William, aby wypytać o wszystkie szczegóły waszego przybycia do opactwa Świętej Marii z ową skrzynką. Przesłuchał mnie bardzo dokładnie. — Zawahał się, widząc siniak na mojej głowie. — Powiedział, że zostaliście napadnięci. Straże opactwa Świętej Marii postawiono w stan najwyższej gotowości. Król przybędzie jutro.

Na wzgórzu, na tle jaśniejącego porannego nieba majaczyła wieża zamkowa. Pośpieszyliśmy w stronę miejsca, w którym

Była zaledwie piąta rano, gdy wyruszyliśmy mrocznymi, pogrążonymi w ciszy ulicami Yorku. Nadejście Leacona zbudziło Baraka, więc poprosiłem, aby nam towarzyszył. Niezależnie od tego, co czekało nas w zamku, chciałem, aby ktoś mi towarzyszył. Miejscy konstable zaalarmowani odgłosem kroków zaświecili nam w oczy lampami, aby wycofać się na widok czerwonego munduru Leacona. Zadrzałem z zimna, szczerzej owijając się peleryną," albowiem zerwał się chłodny wiatr.

— Kto przyniósł wam tę wiadomość? — spytałem młodego sierżanta.

— Posłaniec pchnięty przez dowódcę zamkowej straży. Rzekł on, iż więzień został otruty i może skonać. Od razu zażądano waszego przybycia. Pomyślałem, że będę wam towarzyszył, gdyż w przeciwnym razie by was nie przepuścili konstable.

— Dziękuję. — W świetle lampy dostrzegłem zatroskanie malujące się na jego chłopięcej twarzy. — Widzę, że sprawiłem wam kłopot.

— Wczoraj wezwał mnie do siebie sir William, aby wypytać o wszystkie szczegóły waszego przybycia do opactwa Świętej Marii z ową skrzynką. Przesłuchał mnie bardzo dokładnie. — Zawahał się, widząc siniak na mojej głowie. — Powiedział, że zostaliście napadnięci. Straże opactwa Świętej Marii postawiono w stan najwyższej gotowości. Król przybędzie jutro.

Na wzgórzu, na tle jaśniejącego porannego nieba majaczyła wieża zamkowa. Pośpieszyliśmy w stronę miejsca, w którymi

nad zwodzonym mostem płonęły jasne pochodnie. Oczekiwano naszego przybycia, toteż szybko znaleźliśmy się w środku. Podziękowałem sierżantowi i powiedziałem, aby wrócił do opactwa. Barak obserwował, jak przechodzi przez most zwodzony.

— Pomyśli, że stwarzamy problemy wszędzie, gdzie się udamy.

Żwawo przekroczyliśmy dziedziniec, kierując się do wartowni. Przez otwarte drzwi na podwórzec wylewało się jasne światło. W progu stał strażnik o surowej twarzy i spoglądał na mnie zmartwiony.

— Zaprowadzę was, panie — rzekł bez zbędnych ceregieli.

— Co się stało?

— Pan Radwinter wszedł do wartowni niecałą godzinę temu, mówiąc, że więzień źle się czuje. Podejrzał otrucie, posłał więc po pana i medyka. Medyk przybył przed chwilą.

Zatem to Radwinter kazał mnie sprowadzić. Pewnie, aby chronić własny tyłek, pomyślałem. Aby zwalić na mnie część odpowiedzialności, gdyby Broderick umarł. Wszedłem na strażnikiem po wilgotnych krętych schodach. Drzwi do celi Brodericka stały otworem. W środku, w świetle ustawionej na podłodze lampy dostrzegłem korpulentnego mężczyznę w czarnej szacie obszytej futrem. Pochylał się nad pryczą. W celi czuć było cierpki zapach wymiotów. Radwinter stał obok, unosząc drugą lampę. Odwrócił się, gdy weszliśmy. Jego pobladła twarz odcinała się wyraźnie od czarnej brody. Zauważyłem, że ubrał się w pośpiechu. Wygląd Radwintera był pozbawiony typowej elegancji, a w jego oczach dostrzegłem trwogę i wściekłość. Spojrzał gniewnie na Baraka, który nawet nie mrugnął.

— Kto zasz? — burknął.

— Mój asystent, pan Barak. Został we wszystko wtajemniczony z upoważnienia arcybiskupa. Jak się czuje sir Edward?

Odpowiedzieli udzielił medyk, odwracając się w moją stronę. Miał pięćdziesiąt kilka lat i siwe włosy wystawały mu spod czapki. Z radością stwierdziłem, że jego szeroka twarz sprawia wrażenie inteligentnej.

— Człowiek ten został bez wątpienia otruty. Pan Radwinter rzekł mi, iż jakąś godzinę temu, gdy przebywał w swojej izbie, usłyszał, jak więzień osunął się ciężko z pryczy.

— Jesteś panie medykiem, który badał więźnia dwa dni temu?

— Tak. — Skłonił się. — Doktor Jibson, mam gabinet przy Lop Lane.

Obszedłem go, aby przyjrzeć się lepiej Broderickowi. Leżał na sienniku z długimi łańcuchami spoczywającymi luźno wzdłuż tułowia. Jego broda była wilgotna od wymiocin, twarz upiornie blada.

— Będzie żył?

— Mam nadzieję. Nie wiem, co mu podano, lecz najwyraźniej wszystko zwymiotował. — Medyk wskazał wypełnione do połowy wiadro. Pusta miska i drewniana łyżka leżały na podłodze.

— Z tego jadł?

— Tak — odrzekł Radwinter. — Ostatniego wieczoru spożył późno wieczerzę.

Doktor Jibson zmarszczył brwi.

— W takim razie powinien być wcześniej wymiotować, chociaż każda trucizna ma inne działanie. — Wiedziony zawodowym zainteresowaniem rzucił okiem na cuchnący kubek.

— Musieli podać mu truciznę w jedzeniu — doszedł do wniosku Radwinter. — Nie ma innego sposobu. Cały czas przebywałem w swojej izbie. Cela Brodericka była zamknięta jak zwykle. Obok mojej komnaty nawet mysz się nie prześlizgnie. Wartownicy powiadają, że przez cały dzień w tej części podwórca nie było nikogo.

Doktor Jibson skinął głową.

— Trucizna w posiłku to chyba najbardziej prawdopodobne wyjaśnienie.

— Więzień otrzymuje polewkę ze wspólnego kotła — dodał Radwinter. — Sam mu ją zaniósłem z wartowni. Wiem, że to służebne zajęcie, lecz w ten sposób mogę dopilnować, aby nie przekazano mu czegoś w jadło, przykładowo jakiejś wiadomości. — Zaciśnął zęby i spojrzał na mnie. — Słowa medyka potwierdzają moje przypuszczenia. Mam pewne podejrzenia. Chodzi o kucharza przygotowującego strawę dla strażników. Kiedyś pracował w kuchni opactwa Świętej Marii. Żle o nim powiadają. Kazałem go zamknąć w wartowni.

Medyk rzekł poważnie:

— Muszę was ostrzec, panowie, że życie tego człowieka może być w dalszym ciągu zagrożone. Nieco trucizny zapewne nadal krąży w organizmie. Już wcześniej był osłabiony leczeniem... — Na twarzy medyka pojawił się grymas odrazy. — Nędznymi racjami żywności, które otrzymywał, i tym ponurym miejscem. — Rozejrzał się po celi. Wyjrzałem przez zakratowane okno i spostrzegłem, że nastał świt. Zamek nadal szarzał na tle jaśniejącego nieba, a szkielet Aske'a obracał się na wietrze zawadząc wokół wieży. — Myślę, że sir Edwarda należałoby przenieść w inne miejsce — dodał doktor Jibson. — Ułożyć gdzieś wygodnie.

— Jest zbyt groźny — sprzeciwił się stanowczo Radwinter. — Musi przebywać w bezpiecznym miejscu, skuty łańcuchami.

Medyk spojrzał na mnie. Zawahałem się.

— Musi być bezpieczny, można mu jednak dać więcej pleców i wstawić mały koksownik, aby ogrzewał celę.

Jibson skinął głową

— To powinno pomóc.

— Zgoda — przytaknął Radwinter, rzucając mi z ukosa złośliwe spojrzenie. Widać nie spodobała mu się uwaga medyka o nędznym więziennym jadło.

Broderick przekręcił się na pryczy, a wówczas zdałem sobie sprawę, że jest przytomny. Jak długo przysłuchiwał się naszej rozmowie? Spojrzał na mnie i uśmiechnął się z goryczą.

— Nadal troszczysz się o moje zdrowie, panie jurysto? — spytał chrapliwie. — Ktoś okazał mniejszą troskę, chciał skrócić moje cierpienie. — Westchnął głęboko. Spojrzałem mu w oczy. Miejsce dawnego ognia zajęło okrutne wycieńczenie.

- Wiesz, jak to się stało, Brodericku?
- Otruł mnie król — odrzekł, ciężko dysząc.
- Gadaj, jak było — przerwał mu groźnie Radwinter.
- Chodźcie, panie Radwinter — powiedziałem. — Musimy pomówić. Doktorze Jibson, przyjdziecie za jakiś czas?
- Oczywiście, po południu. — Kiedy się uśmiechnął, odgadłem, że służąc królowi zostanie sowicie wynagrodzony.

Wyszliśmy z celi, a Radwinter starannie zamknął drzwi.

- Poczekajcie w mojej izbie — zaproponował grzecznie. — Odprowadzę doktora Jibsona i zamknę drzwi na dole.

Zeszliśmy do izby Radwintera. Zamiast starannie zasłanegołoża znaleźliśmy pościel rozrzuconą bezładnie na podłodze. Rozmasowałem kark, który począł mi dokuczać.

- Zatem tak wygląda ów Radwinter — powiedział Barak. — Sądząc z powierzchowności, zawodowy inkwizytor. — Podniósł Obediencją chrześcijanina, która leżała otwarta na krześle. — Tania książka i takiz sam człowiek.

- Wyobraża sobie, że jest narzędziem Pana.

- W naszych czasach jest takich wielu. Nie jest wcale taki straszny, jak mówiłeś. Na górze sprawiał wrażenie przestraszonego.

- Poczekaj, aż zaczniesz czytać w twoich myślach. Masz wszak rację, ta sprawa go wystraszyła.
- Chodziłem po pokoju to w jedną, to w drugą stronę. — Podjęto wszelkie środki ostrożności, aby nikt nie zdołał uwolnić Brodericka. Nie spodziewaliśmy się, że ktoś spróbuje go zamordować. Czy ta sprawa ma jakiś związek ze śmiercią Oldroyda? Z wykradzionymi dokumentami? Maleverer wskazał na związek łączący Brodericka z Blay-bourne'em.

- Może powinniśmy ostrzec Radwintera.

- Nie, to obowiązek Maleverera. Sam musi to uczynić.

Przerwaliśmy, słysząc na schodach lekkie kroki. Do izby

wszedł Radwinter. Zamknął drzwi i przyjrzał się Barakowi, aby po chwili uśmiechnąć się do mnie wesoło, odsłaniając małe, białe zęby.

- Pomyślałeś wacć, że potrzebujesz przede mną obrony? — zapytał.

Nawet teraz próbował podważyć mój autorytet.

- Panie Radwinter, nie mam czasu na przekomarzenie — odparłem. — Sprawa jest poważna.

— Kazałem przynieść pledy i koksownik — odparł grzecznie. — Nie pozwolę, aby ten człowiek umarł pod moją strażą — dodał gniewnie. — Na miły Bóg, nie pozwolę! — Odwrócił się do nas. — Chcę, abyście ze mną poszli. Przesłucham kucharza.

— Gdyby trucizny dodał kucharz, niechybnie by uciekł — zauważył Barak. — Nie czekałby, aż zostanie pojmany, wiedząc, że będzie jednym z głównych podejrzanych.

Radwinter spojrzał na niego z nienawiścią, a następnie rzekł do mnie:

Łoża znaleźliśmy pościel rozrzuconą bezładnie na podłodze. Rozmasowałem kark, który począł mi dokuczać.

— Zatem tak wygląda ów Radwinter — powiedział Barak. — Sądząc z powierzchowności, zawodowy inkwizytor. — Podniósł Obediencją chrześcijanina, która leżała otwarta na krześle. — Tania książka i takiż sam człowiek.

— Wyobraża sobie, że jest narzędziem Pana.

— W naszych czasach jest takich wielu. Nie jest wcale taki straszny, jak mówiłeś. Na górze sprawiał wrażenie przestraszonego.

— Poczekaj, aż zaczniesz czytać w twoich myślach. Masz wszak rację, ta sprawa go wystraszyła. — Chodziłem po pokoju to w jedną, to w drugą stronę. — Podjęto wszelkie środki ostrożności, aby nikt nie zdołał uwolnić Brodericka. Nie spodziewaliśmy się, że ktoś spróbuje go zamordować. Czy ta sprawa ma jakiś związek ze śmiercią Oldroyda? Z wykradzionymi dokumentami? Maleverer wskazał na związek łączący Brodericka z Blay-bourne'em.

— Może powinniśmy ostrzec Radwintera.

— Nie, to obowiązek Maleverera. Sam musi to uczynić.

Przerwaliśmy, słysząc na schodach lekkie kroki. Do izby

wszedł Radwinter. Zamknął drzwi i przyjrzał się Barakowi, aby po chwili uśmiechnąć się do mnie wesoło, odsłaniając małe, białe zęby.

— Pomyślałeś waść, że potrzebujesz przede mną obrony? — zapytał.

Nawet teraz próbował podważyć mój autorytet.

— Panie Radwinter, nie mam czasu na przekomarzenie — odparłem. — Sprawa jest poważna.

— Kazałem przynieść pledy i koksownik — odparł grzecznie. — Nie pozwolę, aby ten człowiek umarł pod moją strażą — dodał gniewnie. — Na miły Bóg, nie pozwolę! — Odwrócił się do nas. — Chcę, abyście ze mną poszli. Przesłucham kucharza.

— Gdyby trucizny dodał kucharz, niechybnie by uciekł — zauważył Barak. — Nie czekałby, aż zostanie pojmany, wiedząc, że będzie jednym z głównych podejrzanych.

Radwinter spojrzał na niego z nienawiścią, a następnie rzekł do mnie:— Pozwalasz waszmość, aby słudzy wypowiadali się w waszych sprawach?

- Barak dobrze prawi — odrzekłem beznamiętnie.
- Czyżby? — Wzrok Radwintera spoczął na mojej posiniaczonej głowie. — Czyżbyście panie rozgniewali kogoś swymi przykrymi manierami?
- Rzekłem wam już, że nie pora na przekomarżanie. Zobaczmy owego podejrzanego.
- Znakomicie. — Radwinter chwycił pęk kluczy. — Na rany Jezusa, wydobędę zeń prawdę. — Skinął gniewnie dłonią, dając znak, abyśmy wyszli z izby.

Kucharz siedział na zydlu w wartowni pilnowany przez dwóch żołnierzy. Był otyły, jak na kucharza przystało, o łysej, jajowatej głowie. Mimo to w jego twarzy i przerażonych oczach dostrzegłem pewną ostrość. Radwinter miał rację, ów człek nie wzbudzał zaufania. Nadzorca podszedł do więźnia i spojrzał mu w twarz, uśmiechając się ponuro. W izbie stał koksownik, z którego wystawał pogrzebacz. Radwinter odwrócił się szybko, wyciągnął go z węgli i podniósł. Kucharz spojrzał na niego, a następnie przełknął ślinę, gdy Radwinter pokazał mu czubek rozżarzonego pręta. Żołnierze popatrywali na siebie niepewnie. Radwinter pogładził w zamyśleniu krótką brodę, a następnie odezwał się łagodnie do kucharza.

- Jak się zwiesz?
- D... David Youhill, panie.

Radwinter skinął głową.

- Warzyłeś strawę dla mnichów ze Świętej Marii.

Youhill wybałuszzył oczy ze strachu, popatrując na pogrzebacz.

- Tak, panie.
- Patrz na mnie, gdy odpowiadasz, chamie. Jak długo tam pracowałeś?
- Ponad dziesięć lat. Byłem trzecim kucharzem w opactwie.
- Gamoń z opactwa. Wygodne życie, łatwa robota. Musiałeś przeżyć szok, gdy zamknięto owe papieskie mateczniki.

— Zatrudniono mnie tu, panie. — A ty wykorzystałeś sposobność, aby otruć człowieka, którego król chciał mieć żywego. Wiesz, jaka kara czeka kuchcika, co zatrutą jadło? Z rozkazu króla gotuje się takiego żywcem. — Youhill ponownie przełknął ślinę. Zauważyłem, że na jego czoło wystąpił pot. Radwinter skinął poważnie głową, wbijając w kuchcika bezlitosne spojrzenie. — Straszna śmierć, zaręczam, choć nie byłem jej świadkiem. Przynajmniej do tej pory.

— Panie... nie uczyniłem nic złego. — Youhill załamał się nagle, wyrzucając z siebie potok słów i spoglądając dziko na pogrzebacz. — Ugotowałem jedynie cienką polewkę dla strażników... taką jak co dzień... z tego, co przynieśli mi z miasta. Jadło dla więźnia zostało wzięte ze wspólnego kotła. Resztką została w kuchni. Gdyby strawa była zatruta, wszyscy by-słabowali. — Zwrócił się do żołnierzy. — Giles, Peter, wszak widzieliście.

Strażnicy skinęli głową.

— To prawda, panie — przytaknął jeden z nich. Radwinter rzucił mu gniewne spojrzenie. — Mogę jedynie rzec, com widział, panie. Kucharz nie miał sposobności dodać czegoś do jadła owego więźnia.

— Samiście zanieśli mu misę i kubek, panie — dodał Youhill. — Widzieliście, jak nalewam mu piwa ze wspólnej beczutki.

— Kto czyści jego misę i kubek? — spytałem.

— Ja — odrzekł Radwinter, gładząc czarną brodę i przysuwając pogrzebacz do nosa kucharza. Pomyślałem, że interweniuję, jeśli zbliży go zanadto. Youhill począł się wić na zydlu, sko-wycząc cicho ze strachu.

— Nie wiem, jeszcze jakieście to zrobili, panie kucharzu, wszak nikt prócz was nie mógł tego uczynić. Nie lękaj się, wydobędę to z ciebie. Zaraziłeś się papieskimi poglądami, a gdy zostałeś wyrzucony, zapalałeś nienawiścią do Jego Wysokości. Pojawiła się okazja wyrządzenia zła i wykorzystasteś ją. Do mojej wieży Lollardów trafia wielu gamoni z dawnych opactw. W większości takich jak ty — tłustych i miękkich. Wystarczy zadać im odrobinę bólu, aby się załamali.

— Nienawidziłem mnichów! — wykrzyknął Youhill. Radwinter zatrzymał pogrzebacz tuż przed jego nosem.

— Co?— Nienawidziłem ich! Nienawidziłem ich za łatwe i wygodne życie, gdy ja musiałem sypiać na workach. Wiedziałem, że wszystkie ich obrzędy mają na celu jedynie wyciągnięcie pieniędzy od łatwowiernego motłochu. Byłem jednym z informatorów Cromwella!

Radwinter zmrużył oczy.

— Bzdury gadasz! '

Kucharz rozpaczliwie odwrócił twarz od żaru.

— To prawda! — krzyknął. — Jak mi Bóg miły! Kiedy w trzydziestym piątym zjawili się tu ludzie lorda Cromwella, wypytywali wszystkie sługi. Odkryli, że miałem problemy z powodu pijaństwa, choć człowiek może się przecie napić na mieście. Zapytali, czy mógłbym przekazywać wszelkie plotki do kancelarii lorda Cromwella, i obiecali dobrą robotę, gdy zlikwidują klasztery. Dotrzymali słowa, dostałem pracę na zaniku. Jestem lojalny wobec króla, jak każdy człowiek w Anglii!

Radwinter przyjrzał się bacznie Youhillowi, a następnie wolno pokręcił głową.

— Zbyt gładka ta twoja bajeczka, panie kucharzu. Po twarzy widzę, żeś człek zwodniczy i przebiegły. Otrułeś mojego więźnia i zapewniam cię, że dowiem się prawdy. Każę cię zaprowadzić do mojej izby. Pomówimy inaczej. Mam tam inny koksownik. — Wetknął pogrzebacz w węgle. — Weźcie go — nakazał strażnikom. — Panie Shardlake, nie będziecie już potrzebni.

Youhill rozpaczliwie chwycił się zydlu. Żołnierze spojrzeli na siebie. Wówczas ku memu zdziwieniu Barak wystąpił do przodu i rzekł do kucharza:

— Służyłem u lorda Cromwella. W trzydziestym szóstym współpracowałem z informatorami po klasztorach. Wiem, jak to działało.

Na twarzy kucharza pojawił się wyraz ulgi, że ktoś potwierdził jego słowa.

— W takim razie pomóż mi, panie!

— Musiałeś pan wysyłać listy. Umiesz pisać?

— Mój brat potrafi. Dyktowałem mu.

— Do kogo szły owe listy?

— Do kancelarii pana Bywatera, przy urzędzie wikarego generalnego w Westminsterze — rzekł gorliwie. — Do rąk pana Wellsa. Barak zwrócił się w naszą stronę.

— Mówi prawdę. Pracował dla lorda Cromwella.

— Mógł przejść na drugą stronę — odparł Radwinter.

Barak wzruszył ramionami.

— To prawda, lecz wygląda mi na zbyt przerażonego.

— Nie masz dowodów przeciw niemu — dodałem. — Panie Radwinter, nie macie prawa torturować tego człowieka. Można go umieścić w areszcie, lecz nie wolno wyrządzić krzywdy. Powiadomię sir Williama Maleverera, choć nie widzę sposobu, w jaki ów człowiek mógłby otruć Brodericka.

— Może wcale nie zatruto żywności — dodał Barak.

— Zastanówcie się, w jaki inny sposób mogło dojść do otrucia, panie Radwinter. Wróć do was, gdy pomówię z sir Williamem.

Kiedy wyszliśmy na zewnątrz, wiatr się nasilił, smagając nasze twarze kropelkami deszczu i zaścielając podwórzec wirującymi liśćmi. Radwinter wyszedł za nami z twarzą poszarzałą od gniewu. Chwyciwszy mnie za ramię, rzekł:

— Nie będziecie się wtrącać w moje dochodzenie, panie! Odpowiadacie jedynie za dobro więźnia!

— Nie macie prawa prowadzić dochodzenia! Wprzód trzeba zawiadomić sir Williama.

Wzmógł uścisk, łypiąc na mnie gniewnie.

Barak położył mu dłoń na ramieniu.

— Dość tego, waszmość — rzekł spokojnie.

Radwinter zamilkł na chwilę, a następnie zwolnił uścisk, wybuchając śmiechem.

— Zatem miałem rację, lękaś się waść spotkać ze mną bez ochrony. — Spojrzał na Baraka. — Zwiesz się pan Barak? Żydowskie to imię, prawda? Ze Starego Testamentu.

Barak się uśmiechnął.

— Rzekłem, żeś pan jest człowiek lichy.

Radwinter wskazał wieżę.

— Spójrz tam, gdzie wisi Aske. Powiadają, że była tam kiedyś drewniana wieża. Pewnej nocy, kilka wieków temu, mieszkańcy Yorku, z których Żydzi wysłali całą krew, zagnali ich do niej i żywcem spalili. Oto, jak należy traktować

zradzieckich pogan! — Po tych słowach odwrócił się i odszedł. Twarz Baraka pobladła, więc tym razem to ja musiałem go chwycić za ramię i przytrzymać.

— Łajdak!

— Racja. Przestał panować nad sytuacją, szaleje z przerażenia. Nie umie rozwiązać zagadki, albowiem potrafi jedynie strzec i dręczyć ludzi. Jego władza zaczyna się chwiać. — Potrząsnąłem głową. — Trudno się dziwić. Jak ktoś mógł podać truciznę, skoro Radwinter wszystkiego pilnuje? — Wziąłem głęboki oddech. — To zmartwienie Maleverera.

Rozdział piętnasty

Tym razem Maleverer zauważył nas od razu. Siedział w swym gabinecie za stertą dokumentów, odrzuciwszy do tyłu wielką czarną głowę.

— Na Boga — westchnął ciężko. — Ściągacie na mą głowę same kłopoty. Chyba mi nie powiecie, że Broderick nie żyje.

Opowiedziałem mu wszystko, co zdarzyło się w zamku. Na biurku Maleverera leżała wielka bryła czerwonego wosku do pieczętowania listów, którą ugniatał szerokimi, włochatymi paluchami. Kiedym skończył, przesunął drugą dłoń po krawędzi brody, jakby ją trzymował niewidzialnymi nożycami.

— Jeśli to, co wam rzekł Radwinter, jest prawdą, w jaki sposób dostali się do Brodericka? Czy medyk jest pewny, że to trucizna?

— Jest o tym przekonany. Przeprowadzi kilka badań i wróci później.

— Badania! — Twarz Maleverera wykrzywił grymas zniecierpliwienia. — Czy wczoraj ktoś mógł tam wejść niezauważony przez Radwintera? Może on zasnął w swej izbie?

— Nie sądzę, sir Williamie. Ten człowiek jest bez reszty oddany swojej misji.

— Odniosłem podobne wrażenie — burknął Maleverer.

— Truciciel musiałby pierwaj minąć wartowników, a następnie otworzyć dwoje drzwi i podać truciznę.

Maleverer skinął głową w stronę Baraka.

- Czy możecie zaręczyć, że ów kucharz był informatorem lorda Cromwella?
- Znał właściwe nazwiska, sir Williamie.

Sir William spojrzął na bryłę wosku, ugniatając ją tak, jakby mógł z niej wycisnąć prawdę.

- Zatem w jaki sposób tego dokonali? — Rzucił mi badawcze spojrzenie. — Ponoć lubisz rozwiązywać zagadki, prawniku?
- Nie wiem, panie, lecz nikt nie mógł wnieść niczego do celi bez wiedzy Radwintera.
- W takim razie trzeba umieścić Radwintera w kręgu podejrzanych — rzekł Maleverer, zaciskając wargi.

Zawahałem się.

- Nie jest on moim przyjacielem, panie, wierzę jednak, iż pozostaje wierny arcybiskupowi Cranmerowi i sprawie reform. Nie uczyniłby nic, aby pomóc spiskowcom.

Maleverer zmarszczył brwi i przygryzł długi poślótki paznokiec.

- Każę przenieść Brodericka i Radwintera do opactwa Świętej Marii — oznajmił. — Będę miał na wszystko oko. Umieszczę Brodericka w celi, w której przetrzymywaliśmy Greena i każę strzec dwadzieścia cztery godziny na dobę. Odpowiedzialnym za jego bezpieczeństwo uczynię młodego Leacona, to chyba dobry żołnierz. Broderick nie rzekł, jak to się stało?
- Nie. Sądzę, że wie, lecz nie rzeknie ani słowa. Bredzi, że to król go otruł. Może został doprowadzony do skrajności z powodu tego, co nań czeka w Londynie.

Sir William spojrzął na mnie przenikliwie, a następnie mruknął:

- Dobrze, tymczasem umieśćcie kucharza w dawnej celi Brodericka i sprawdźcie, czy rzeczywiście w taki sposób zdobył pracę. Napiszę do arcybiskupa w sprawie Radwintera. — Popatrzył na mnie. — Nie rzekliście nic Radwinterowi o zaginionych dokumentach?
- Nie.
- A komu innemu?
- Nie rzekłem nikomu ani słowa, panie. Jak kazaliście. Mruknął gniewnie.
- Muszę powiadomić o tym zdarzeniu Tajną Radę. Król wyruszył już z Leconfield. Dotarcie do nich nie zajmie mi wiele czasu. Potrzebuję wytycznych. — Odchylił się na krześle i wyjrzał przez okno, ugniatając wosk, aby w końcu cisnąć go niecierpliwie na stół między papiery. — Na rany Chrystusa, co tu się dzieje? — wybuchnął gniewnie. — Można by pomyśleć, że mamy do czynienia z duchem, który szybuje swobodnie po opactwie Świętej Marii i zamku Yorku, przechodzi bez przeszkód przez zamknięte drzwi i zabija, kogo chce. Król przybędzie tu jutro, a wraz z nim król Szkocji. To oficjalna wiadomość. Nawiasem mówiąc, właśnie w tym celu wzniesiono namioty i

pawilony, choć nikt nie wie, kiedy przybędą władcy. — Spojrzał na mnie. — Kazałem zwiększyć środki bezpieczeństwa. Trzeba zawiadomić króla o problemach. Dobry Boże, będzie wściekły.

— Postać, którą ujrzeliśmy w kapitulacji, okazała się realna, sir Williamie. Nie wiem, jak sprawca dostał się do Brodericka, lecz fakty wskazują, iż napastnik miał dostęp do owego miejsca, a także do King's Manor. Obcy nie mogą wchodzić bez pozwolenia na teren opactwa. Mamy do czynienia z człowiekiem, którego ludzie spodziewają się widzieć w obu miejscach — człowiekiem, którego obecność nie wzbudza niczyich podejrzeń.

— Taki człek stwarza zagrożenie dla króla.

— Czy gdyby się ukrył na terenie rezydencji, aby przeprowadzić zamach na króla, zdradziłby swoją obecność, atakując lub zabijając ludzi w opactwie?

Maleverer skinął głową, ponownie gładząc czarną brodę, aby po chwili zachichotać.

— Macie rozum, jurysto. Muszę wam to przyznać, choć po tym jak pozwoliliście sobie odebrać owe papiery, wasze imię zostanie zszargane przed tymi, którzy nami rządzą. Przygotujcie się na konsekwencje. — Uśmiechnął się chłodno. — Mniemam wszakże, iż odeślą was do Londynu.

— Rozumiem — odrzekłem.

— Obawiam się, że człowiek, który was napadł, może podjąć kolejną próbę. Niestety, będziecie musieli tu zostać, dopóki was nie zwolnię. Pozostaniecie też odpowiedzialni za bezpieczeństwo Brodericka. — W okno uderzyła kropla deszczu. Maleverer wyjrzał na zewnątrz poirytowany. — Król nie będzie jechał konno w taką pogodę. Przybędzie wraz z królową w lektyce. To spowolni tempo. Ellerton! — zawołał sekretarza tak gromko, że podskoczyłem, i kazał mu osiodłać konia. — Powiedzcie Leaconowi, aby przygotował oddział, który sprowadzi tu Brodericka. Mają zabrać wóz, przywiązać do niego więźnia i zasłonić płótnem. Nie chcę, aby widziano go w mieście. Wy dwaj możecie mu towarzyszyć, dostarczyć go bezpiecznie do nowej celi. Zadbajcie, by jak najmniej ludzi wiedziało, że zostanie tu przewieziony.

Wyszliśmy od Maleverera i zaczęliśmy schodzić po stopniach do wielkiego holu, gdzie wśród barwnych gobelinów, malowanych stropów i kredensów lśniących od złotej zastawy uwijali się sprzątacze. Za pomocą miotły i szufelki usuwali, ostatnie wióry i kurz, dbając, aby wszędzie panowała nieskazitelna czystość. Zauważyłem kolegę Craike'a stojącego przy ścianie i przeglądającego dokumenty przymocowane do deseczki. Pomyślałem, że Craike, jak nikt inny, mógłby poruszać się niepostrzeżenie po opactwie Świętej Marii. Nikt też nie miałby łatwiejszego dostępu do kluczy od klasztornej kościoła i innych izb.

— Dzień dobry! — zawołałem. — Wszystko gotowe?

— Ach! To ty, Shardlake, i młody pan Barak. — Zauważyłem, że spojrzał na nas z lekkim niepokojem. — Dobry Boże, masz ogromnego siniaka.

— Kark też mnie pobolewa.

— Przykro mi. Znaleźliście człowieka, który to uczynił?

— Jeszcze nie. Jak ci idzie praca?

Craike westchnął głęboko.

— To koszmar. Jestem na nogach od trzeciej, muszę dopilnować, aby wszystko było gotowe na jutro. Wynajęliśmy sekretarzowi królowej, koledze Derehamowi, pokój w najlepszej oberży Yorku.

— Sięgnął po dokument i pokazał go nam. — Okazało się, że nie spełniał jego oczekiwań. Urządził nam z tego powodu wielką awanturę.— Dereham? Wysoki młody fircyk w jarmarcznym stroju? Widzieliśmy go wczoraj.

— To gbur, jest jednak starym przyjacielem królowej z czasów młodości w Horsham. Chciała go na sekretarza. Zawsze dostaje to, czego pragnie.

— Rzekłeś to z przyganą.

Wzruszył ramionami.

— Królowa Katarzyna to roztrzepane dziewczę. Według mnie jest zbyt młoda i głupia, aby sprawować wysoki urząd, do którego została powołana. Jest uprzejma, lecz nie interesuje jej nic z wyjątkiem strojów i klejnotów. Mimo to król się w niej zadurzył.

— Poznałeś ją? — spytałem.

— Nie, widziałem ją jeno przelotnie.

— Powiadają, że stronnictwo konserwatywne robiło sobie wielkie nadzieje z powodu jej małżeństwa z królem, teraz zaś są rozczarowani.

Craike skinął głową.

— Nie jest ona jak Jane Seymour, która szeptała królowi, że dawne zwyczaje były lepsze. Tak przynajmniej powiadają — Na tych słowach zakończył, przypuszczalnie dochodząc do wniosku, że i tak rzekł zbyt wiele.

— Ufasz mu? — spytał Barak, gdy przechodziliśmy przez hol.

— Nie ufam tu nikomu.

W drzwiach uderzył w nas podmuch wiatru i krople deszczu. Na podwórku panowało istne piekło. Jeden z trzech namiotów runął. Poły złotogłowa wydymały się na wietrze, wystawiając adamaszkowe zasłony i dywany na działanie sił natury. Robotnicy podejmowali rozpaczliwe próby uniesienia płótna. Temu wszystkiemu przypatrywał się królewski artysta Lucas Hourenbout, co chwila wykrzykując rozkazy. Zaczął podskakiwać ze zdenerwowania, widząc, jak ludzie depczą bezcenny gobelin, pozostawiając na nim odciski ubłoconych buciorów.

Znaleźliśmy sierżanta Leaona w wartowni. Byłem zdumiony, jak sprawnie zarządził zbiórkę i kazał sprowadzić wóz. Kiedy poszedł wszystkiego dopilnować, zostaliśmy w wartowni i obserwowaliśmy robotników zbierających sprzęty rozrzucone przez wiatr i wynoszących je w celu oczyszczenia.

— Martwi mnie Maleverer — rzekł Barak. — Wyraźnie nas nie lubi. Jest bezwzględny i dysponuje wielką władzą. Ten człek gotów oskarżyć nas o wszystko, jeśli coś pójdzie nie tak, jak powinno.

— Masz rację... — przerwałem, widząc, że sierżant Leacon wraca. Młodzieniec przesunął ręką po kręconych jasnych włosach przyklejonych do czoła kroplami deszczu. — Wszystko gotowe. Czy pan Barak mógłby nam pomóc z wozem? Obok spichlerzy jest głębokie błoto.

Barak skinął głową. Kiedy sierżant udzielił mu wskazówek, wyszedł ochotczo na zewnątrz mimo padającego deszczu. Uśmiechnąłem się do Leacona.

— Służba u sir Williama powoduje, że nasze drogi często się krzyżują, sierżancie. Będziesz pan odpowiadał za bezpieczeństwo Brodericka.

— To miła odmiana po obowiązkach wartowniczych, panie.

— Z jakiego miasta w Kencie pochodzicie? — spytałem, aby zagaić rozmowę.

— Z Waltham, lecz moja rodzina wywodzi się z Leacon, kilka mil dalej.

— Stąd się pewnie wzięło wasze nazwisko, prawda? Czytałem, że po wielkiej zarazie wielu ludzi zmieniło miejsce zamieszkania, "lecz zachowało nazwisko pochodzące od dawnych stron.

— Tak było i z nami.

— Znam Kent. Kilka lat temu uczestniczyłem w skomplikowanej debacie prawnej o granice nieruchomości w okolicy Ashford. Do kilku aktów przeniesienia własności dołączono wzajemnie wykluczające się mapy, w prawach własności ziemi panował wielki bałagan.

Leacon pokręcił głową.

— Dziwną macie robotę, wy prawnicy. Miałem okazję się z wami zetknąć.— Doprawdy?
— Spojrzałem na niego z zaciekawieniem.

— Tak, może będziecie mogli mi doradzić, panie — dodał nieśmiało.

— Chętnie, jeśli zdołam.

— Chodzi o spór w sprawie gospodarstwa moich rodziców. Nasza rodzina miała ową ziemię od pokoleń. Otrzymaliśmy ją od miejscowego klasztoru ponad sto lat temu. Po likwidacji zakonu nowy właściciel zażądał zwrotu ziemi, twierdząc, że stanowi jego własność, gdyż darowizna miała jakieś prawne braki.

Skinąłem głową ze współczuciem.

— Od czasu likwidacji klasztorów zgłaszano wiele podobnych roszczeń. Bywało, że mniejsze klasztory nie przywiązywały właściwej wagi do dokumentów. Z drugiej strony po tak długim użytkowaniu... musiałbym się zapoznać z dokumentami...

— Można by pomyśleć, że właściciele ziemscy powinni być usatysfakcjonowani, skoro otrzymali tyle zakonnej ziemi za grosze.

— Ludzie pożądający ziemi nigdy nie są syści. Czy twoi rodzice zasięgnęli porady prawnej?
— Nie stać ich na to. Wuj im pomaga, potrafi czytać. Ciężko mi, że zostałem przeniesiony tak daleko.

— Rozumiem, mógłbyś jednak im pomóc. — Przypomniałem sobie pożyczkę na niebotyczny procent, którą zaciągnął ojciec, by ratować gospodarstwo. Nawet mi o niej nie wspomniał. Zagryzłem wargi. — Życzę powodzenia. — Nagle przyszło mi coś do głowy i z wrażenia wzięłem głęboki oddech.

— O czym pomyśleliście, panie? — zapytał ciekawie.

— O niczym — odparłem pośpiesznie. — Kark mnie boli, ot co. — Nie o to jednak szło. Nasza rozmowa o nazwiskach i czas spędzony w Kencie sprawiły, iż przypomniałem sobie nazwę jednego z okręgów. Braybourne. Może jego forma uległa skażeniu i została przekształcona w nazwisko Blaybourne. Mały wóz o wysokiej skrzyni i ogromnej plandecie ciągnęła para koni. Barak, ja i sierżant kroczyliśmy obok wraz z sześcioma żołnierzami uzbrojonymi w piki, którzy torowali sobie drogę przez ciżbę. Mimo wiatru i deszczu bliski przyjazd króla sprawił, że w mieście panował większy ruch niż zwykle.

Oczekiwałem sprzeciwu, mówiąc Radwinterowi o planie Ma-leverera, lecz ten skinął jedynie głową, choć widziałem, że jest rozgoryczony. Na rozkaz Leacona zdjął długie łańcuchy przypinające Brodericka do ściany, ale nadgarstki więźnia nadal krępowały kajdany. Obudził się z jękiem. Wciąż wyglądał na osłabionego. Kiedy ujrzał żołnierzy w hełmach, dostrzegłem przerażenie w jego oczach.

— Zostaniesz zabrany do Świętej Marii — wyjaśniłem cicho. — Dla twojego bezpieczeństwa.
— Uśmiechnął się z goryczą, lecz nie odrzekł ani słowa.

Kiedy schodził do wozu, nogi mu drżały okrutnie. Po niepewnych krokach odgadłem, że dawno nie przeszedł więcej niż kilka jardów. Ze zdumieniem spostrzegłem, że jest niskiego wzrostu, mniejszy ode mnie. Kiedy wyszliśmy na dwór, przystanął na chwilę, stawiając czoło podmuchom wiatru i deszczowi. Podniósł głowę i spojrzał na szare obłoki sunące po niebie. Wziął głęboki oddech, który omal nie pozbawił go przytomności.

— Uważaj — rzekłem, widząc, jak żołnierz chwyta go za ramię. Broderick patrzył chwilę na szkielet swojego druha, Roberta Aske'a dyndający na wietrze to w jedną, to w drugą stronę, a następnie odwrócił się do mnie i ponownie uśmiechnął.

— Wiesz, kto cię otruł? — spytałem cicho.

Roześmiał się słabo.

— Król Henryk.

Westchnąłem.

— Zaprowadźcie go do wozu. Gotów dostać drzączki od stania na dworze. — Był bardzo blady, kiedy żołnierze wiedli go do wozu. Podnieśli go i półprzytomnego ułożyli delikatnie na deskach, które ktoś wymościł poduszkami. Wóz pachniał jabłkami, co nadawało osobliwie swojskiej atmosfery ponurej misji, którą mieliśmy do spełnienia. Żołnierze przykryli go i ruszyliśmy w drogę

powrotną. Na pierwszy rzut oka wyglądało to tak, jakby żołnierze eskortowali do opactwa jakieś cenne dobra. Obserwując przechodniów smaganych deszczem, zastanawiałem się, ilu pośpieszyliby na ratunek Broderickowi, gdyby wiedzieli, że go przewozimy.

Rozdział szesnasty

Szliśmy Fossgate, jedną z głównych ulic miasta, wśród tłumu podążającego na próbę przedstawienia muzycznego, które jutrzejszego dnia miało zostać odegrane przed królem. Wraz z nastaniem zmroku wiatr i deszcz ustały, lecz ulica była grząska, pokryta liśćmi i małymi gałęziami, a wilgotne progi i witryny sklepowe lśniły w świetle księżyca. Była to rozradowana ciżba, najweselsza, jaką widziałem w Yorku. Gawiedź podążała do sali w Merchant Adventurers' Hall.

Pomyślałem, że pójdę z Barakiem na próbę, zamiast siedzieć w ciasnej kabinie, tęskniąc za ludzkim towarzystwem i wysłuchując kolejnych przykrych uwag z ust urzędników. Barak przywdział swój najlepszy zielony kaftan, spod którego wystawał elegancki kołnierz ozdobiony haftami. Mieliśmy gładkie twarze, albowiem królewscy balwierze, którzy po południu przybyli do opactwa, usunęli z nich niemal tygodniowy zarost. Od razu zarządzono masowe golenie, aby wszyscy panowie wyglądali należycie, gdy w opactwie stanie król. Włożyłem najlepsze szaty, lecz na głowie miałem starą czapkę. Nie potrafiłem przymocować jak należy piórka do nowej, a nie chciałem, by tego wieczoru wypadło ponownie. Na myśl, że jutro uchylę ją przed królem, dostawałem skurczu żołądka.

Minęliśmy Minster oświetlony od środka jasnymi światłami. Ogromne szklane witraże mieniły się barwami na tle czarnego nieba.

— Spójrz tylko — rzekłem do Baraka. 204

Odwrócił głowę.

— Pięknie, wszystko jest gotowe na przyjazd króla.

Podciągnąłem szatę, gdy obok nas przebiegli dwaj terminatorzy, rozchlapując kałużę.

Barak uśmiechnął się ironicznie.

— Ostatniej nocy w tawernach rozprawiano o najnowszym zarządzeniu. Usunięcie gnoju nastęrcza poważne problemy, gdyż zakazano wyrzucania czegokolwiek do rzeki. Władze miasta chcą, aby w dniu przyjazdu króla woda miała przyjemną woń. Ludzie, którzy nie mają odpowiednich dołów kloacznych, muszą trzymać nieczystości na tylnym podwórku. Będzie niemiłosiernie cuchnąć, chociaż część frontowa zostanie pięknie przystrojona.

— Ludzie są niezadowoleni?

Przytaknął głową.

— Większość mieszkańców Yorku nie chce przyjazdu króla.

— Zdołałeś uniknąć kłopotów ostatniej nocy?

— Tak, przyłączyłem się do grupy cieśli. Większość robotników przybyła z Londynu, wśród nich znaleźli się jednak obywatele Yorku. Dobrze ich opłacono, więc byli radzi z przyjazdu Jego Wysokości. Trzymaliśmy się z dala od tawern, w których nie lubią "tych z południa. — Spojrzał na mnie. — Zauważyłem coś intrygującego.

— Co?

— Szliśmy przez ubogą część miasta, obok lichej tawerny, którą cieśle radzili nam omijać z daleka. Jak sądzisz, kto do niej wchodził?

— Powiedz.

— Craike. Miał na sobie czarną pelerynę i czapkę, lecz rozpoznałem jego tłustą gębę w świetle księżycy. Miał dziwnie zaciętą minę.

— Spostrzegł cię?

— Nie, jestem tego pewny.

— Craike — powtórzyłem w zamyśleniu. — Jest ostatnią osobą, którą podejrzewałbym o odwiedzanie nocną porą tawerny o wątpliwej reputacji. Po co się tam udał?

— Może ktoś powinien go o to zapytać.

Skinąłem głową, gdy skręciliśmy na plac, przy którym wznosił się gmach Merchant Adventurers' Hall. Był to imponujący starybudynek, szeroki, o trzech piętrach, z brukowanym podjazdem, na którym zgromadził się już spory tłum. Z przodu wzniesiono scenę zasłoniętą kurtyną i oświetloną pochodniami. Członkowie cechów skupili się w małych grupkach pomiędzy ludźmi. W ciżbie dostrzegłem kilku bogatych mężczyzn otoczonych przez sługi. Przednia straż króla, pomyślałem. Wzdłuż wolnej przestrzeni stanął rząd konstabli w liberjach Yorku. Rzuciłem okiem na małe grupki żołnierzy w drzwiach, z napierśnikami lśniącymi w świetle pochodni. Przypomniałem sobie, co rzekł Maleverer o podwyższonej czujności.

Ku nam podszedł młody mężczyzna w prawniczej szacie, zginając się w ukłonie.

— Witam, kolego Shardlake.

— Dobry wieczór, kolego Tankerd. — Z miejsca rozpoznałem kronikarza Yorku, którego poznałem w ratuszu dwa dni wcześniej. — Jak idą przygotowania?

— Wszystko jest gotowe. Czekaliśmy tak długo, wręcz nie mogę uwierzyć, że król stanie tu jutro. — Zaśmiał się nerwowo. — I że wygłoszę mowę w jego obecności. Jak miemam, sir James Fealty jest zadowolony z petycji.

— Tak.

— Muszę wyznać, że czuję się nieco podenerwowany.

— Jak wszyscy.

— Czy to nie wspaniałe, że będziemy mogli zobaczyć króla? Powiadają, że w latach swojej młodości był najwspanialszym władcą chrześcijańskiego świata — wysoki i mocny, o pięknym obliczu.

— To było ponad trzydzieści lat temu.

Przyjrzał się mej twarzy.

— Macie szpetnego siniaka, panie.

— Tak. — Poprawiłem czapkę. — Jutro spróbuję go ukryć.

Spojrzał na mnie z zaciekawieniem.

— Jak tam wasze dochodzenie w sprawie mistrza Oldroyda?

— Sir William osobiście zajął się tą sprawą.

Ktoś pozdrowił Tankerda i ten się z nami pożegnał. Odwróciłem się do Baraka, który wyciągnął szyję, rozglądając się w tłumie.

— Gdzie ona jest? — mruknął. — Panienska Reedbourne? Tam. — Wskazałem grupkę dworzan stojącą w pewnej odległości od nas. Rozpoznałem lady Rochford, która z rozpromienioną twarzą opowiadała jakąś historię grupce niewiast. Jak zawsze jej twarz miała rozgorączkowany, przesadnie egzaltowany wyraz. Jennet Marlin i Tamasin stały w odległości kilku kroków od niej. Panna Marlin spoglądała z dezaprobatą na scenę, lecz Tamasin była wyraźnie podekscytowana.

Wstrzymałem oddech, jako że rozpoznałem niewysokiego, schludnego mężczyznę o ostrych, delikatnych rysach twarzy, który stał obok lady Rochford, odziany w bogatą futrzaną szatę. Rozmawiał z młodym sekretarzem królowej. Był to sir Richard Rich, przewodniczący sądu do spraw majątku likwidowanych klasztorów, który rok wcześniej stał się moim wrogiem i wspierał Bealknapa, mojego przeciwnika w Sądzie Kanclerskim. Wiedziałem, że go tu spotkam, lecz teraz mina mi zrzędała.

Barak też go zauważył.

— Widzę tego łajdaka — mruknął.

— Jeśli nie jest to konieczne, wolałbym się z nim nie spotkać.

— W takim razie pozwól, że cię zostawię. Pójdę przywitać się z Tamasin. Rich nie zapamiętał pewnie takiego prostaka jak ja.

— Proszę bardzo.

— Uważaj na kieszonkowców — ostrzegł, a następnie począł torować sobie drogę łokciami, zmierzając w kierunku panienski Reedbourne. Zostawszy sam, nagle poczułem się bezbronny. Tak, powinienem uważać na rzeźmieszków i zabójców.

W drzwiach gmachu pojawili się pierwsi grajkowie, nieśli trąbki i flety. Człowiek w szacie chórzysty wiódł ku scenie grupę trajkoczących chłopców. Wszyscy zniknęli za kurtyną.

— To mój chłopak, Oswald! — zawołała jakaś podekscytowana niewiasta stojąca za moimi plecami. Zmieniłem pozycję, żałując, iż nie mogę usiąść, albowiem kark począł mi ponownie doskwierać. Zamyśliłem się nad tym, co sobie wcześniej przypominałem — nazwiskiem Blaybourne i regionem Kentu? Czy powinienem powiedzieć o tym Malevererowi? Jeśli Blaybourne'a łączył jakiś związek z Kentem, Maleverer powinien o tym wiedzieć. York był już pełen żołnierzy z tej części kraju, a setki innych miały przybyć następnego dnia. Maleverer, jak podejrzewałem, nie byłby rad, że nie usunąłem owego nazwiska ze swojego umysłu.

— Witaj, kolego Shardlake. — Drgnąłem na dźwięk głębokiego głosu dolatującego z boku, lecz gdy się odwróciłem, moją twarz rozpromienił uśmiech.

— Kolega Wrenne! Jak się miewacie, panie?

Stary prawnik miał na sobie czapkę i grubą pelerynę, dostrzegłem też laskę, na której ciężko się wspierał.

— Nieco zeszywniałem tego wieczoru. Co u was? Maleverer powiedział, że zostaliście napadnięci, kiedy się wczoraj rozstaliśmy, i że wykradzono wam starą skrzynkę znaną w domu Oldroyda.

— Nic mi nie jest, straciłem jedynie przytomność.

— Widzę, że macie bolesnego siniaka.

— To nic. Przykro mi, że sir William was przesłuchał.

Uśmiechnął się cierpko.

— Maleverer mnie nie przeraża. Odpowiedziałem na jego pytania i wyszedłem.

— Obszedł się okrutnie z młodym uczniem Oldroyda.

— Madge mi powiedziała. Gadają o tym w całym Yorku. Cech szklarzy szuka nowego miejsca dla pana Greena.

— Rad to słyszę.

— Pamiętam sir Williama z okresu, gdy był młodszym synem starego rodu, lawirującym i pchającym się do władzy po buncie na północy. To człek wielkich ambicji, jak to często bywa u bękartów.

— Pochodzi z nieprawego łoża?

— Tak powiadają. Nie jest prawdziwym spadkobiercą dawnego rodu Malevererów. Jego matka i ojciec towarzyszyli Mar-garet Tudor w podróży do Szkocji, gdzie czterdzieści lat temu poślubiła ojca obecnego króla Szkocji. Powiadają, że matka Maleverera miała tam romans.

— Naprawdę?

— William Maleverer to człowiek, który nieustannie pragnie dowieść swojej wartości. Pewnego dnia posunie się za daleko, brak mu delikatności. — Machnął ręką odpędzając myśli o Ma

levererze. Jego wielki szmaragdowy pierścień błysnął w świetle pochodni. — Pomyślałem, że wyjdę z domu i zobaczę przedstawienie. Poprosiłem Madge, aby mi towarzyszyła, lecz odparła, że nie pójdzie na pogańskie przedstawienie.

— To muzyczne widowisko.

— Fakt, lecz wykorzystano doń muzyków i dekoracje z dawnych misteriów. Madge tego nie aprobuje. W sprawach wiary jest typową tradycjonalistką z Yorku. — Uśmiechnął się delikatnie. Światła sceny podkreśliły głębokie zmarszczki na jego twarzy.

Kurtyna zaczęła się podnosić. Głosy podnieconego tłumu przerodziły się w szept, gdy ukazała się bogato zdobiona scena. Zastony pomalowano tak, by przypominały leśną polanę z niebieskim niebem i jaskrawą tęczą nad odległymi górami. Papierowe obłoki zawieszane na niewidzialnych linach przesuwały się to w jedną, to w drugą stronę. Muzycy otoczyli półkolem chłopięcy chór.

— Tego pragnie miasto — szepnął Wrenne, uśmiechając się ponuro. — Uwielbiam misteria Yorku, od kiedy byłem chłopcem. Reformatorzy zakazali ich wystawiania jako przejaw dawnych przesądów.

— To smutne — przytaknąłem.

— Czyż istnieje lepszy sposób przedstawienia biblijnych opowieści o Zbawicielu ludziom nieuczonym? — Zrozumiałem, że Wrenne jest człowiekiem wierzącym, czego w ostatnim czasie nie mogłem powiedzieć o sobie.

Grajkowie nastroili instrumenty. Szepty ustały i w nagłej ciszy usłyszałem wysoki, rozentuzjzmowany głos lady Rochford.

— To prawda! Anna Kliwijska była tak niewinna, że jej zdaniem zwykły pocałunek... — Odwróciłem się jak wszyscy i spostrzegłem, że przygryzła wargi, czerwieniejąc ze wstydu. Cóż za hałaśliwe, głupie stworzenie, pomyślałem. Zauważyłem, że Barak prowadzi ożywioną rozmowę z Tamasin, a później poczułem na sobie wzrok sir Richarda Richa. Miał zamyślony wyraz twarzy. Odwróciłem się, gdy muzycy poczęli grać.

Grali zręcznie, dobywając z instrumentów radosne tony. Później chłopięta zanucily:

Witaj w Yorku, wielki suwerenie. Pozdrawiają cię lasy i mroczne góry, Przynosisz bowiem sprawiedliwość i wesele, I światło, które rozproszy deszcz i mrok, Aby pomyślność ponownie zagościła na tej ziemi.

Sznurki drgnęły i papierowe obłoki rozstąpiły się, odsłaniając żółte słońce, które rosło wraz z unoszącą się tęczą.

— Miejmy nadzieję, że jutro nie będą musieli grać w strugach deszczu — szepnął Wrenne.

Kolejna pieśń sławiła lojalność Yorkshire wobec Korony, mówiła o żalu za dawne grzechy i radości z powodu przybycia króla, który zaprowadzi sprawiedliwość i obdarzy kraj pomyślnością. Rozejrzałem się wokół. Wielu obserwowało przedstawienie z zapartym tchem, radując się widowiskiem, lecz inni, a szczególnie rośli mieszkańcy północnych równin, stali z założonymi rękami, uśmiechając się cynicznie. Po upływie półtorej godziny nastąpiła przerwa. Kurtyna poszła w

dół i na placu pojawili się sprzedawcy pierogów roznoszący swój towar na deseczkach przypominających mały pulpit Craike'a. Odwróciłem się i spostrzegłem, że Wrenne patrzy na mnie poważnym wzrokiem.

— Kolego Shardlake, wiecie, jak długo król zabawi w tym mieście? Ogłosili, że do Yorku przybędzie król Szkocji, lecz nikt nie słyszał, aby ruszył stamtąd jakiś orszak.

— Nie mam pojęcia.

Wrenne skinął głową.

— Pewnie pobędzie tu kilka dni. Chciałbym wiedzieć, muszę bowiem poczyścić pewne przygotowania. — Wziął głęboki oddech i spojrzał na mnie z powagą. — Mogę wam coś rzec w zaufaniu, panie?

— Oczywiście.

— Zamierzam wrócić do Londynu razem z królem. Chcę odwiedzić londyńskie korporacje, odnaleźć siostrzeńca Martina Dakina.

Spojrzałem nań zaskoczony.

— Czy nie byłoby roztropniej pierwiej do niego napisać? Jeśli doszło do kłótni rodzinnej... Pokręcił gwałtownie głową.

— Nie, taka okazja może się więcej nie zdarzyć. Jestem za stary, aby odbyć samotną podróż do Londynu. W minionych latach wyświadczyłem wiele dobrego ludności Yorku, w tym naszemu przyjacielowi Malevererowi w okresie, gdy nie był jeszcze taki znany. Myślę, że mogę załatwić sobie miejsce w królewskim orszaku.

— Mimo to po rodzinnej kłótni...

— Nie! Muszę go zobaczyć.

Zdumiał mnie nagły żar w głosie Wrenne'a, zwykle zrównoważonego i spokojnego. Na jego obliczu pojawił się nieoczekiwany grymas. Ująłem go za ramię.

— Nic wam nie jest, kolego?

Spojrzał poważnie, a następnie nieoczekiwanie chwycił moją dłoń.

— Tutaj — rzekł. — Naciśnijcie mój brzuch. Z tej strony... o, tu... — Zdumiony ową prośbą dotknąłem dłonią dolnej części jego brzucha i poczułem dziwny, mały, lecz twardy guz. Puścił moją rękę. — Rozumiecie? Mam w środku guz, który z każdym tygodniem staje się coraz większy. Ostatnio zaczął mi dokuczać. Mój ojciec cierpiał na to samo. Zmarł przed upływem roku na wyniszczającą chorobę, którą powodują owe guzy.

— Dobry medyk...

Wrenne machnął ręką ze zniecierpliwieniem.

— Byłem u medyków. Niczego nie wiedzą i nic uczynić nie potrafią. Pamiętam, jak było z ojcem... Nie dożyję kolejnego wiosennego misterium.

Spojrzałem na niego z przestachem.

— Kolego Wrenne, jest mi niewymownie przykro.

— Nikt o tym nie wie z wyjątkiem Madge. Rozumiesz teraz... — westchnął głęboko, by dokończyć normalnym tonem. — Rozumiesz, dlaczego nie mogę wyruszyć do Londynu sam. Mógłbym pojechać wraz z królewskim orszakiem do Hull, a następnie krótkimi etapami do Londynu... może nawet łodzią, tak byłoby najlepiej. Miałbym wielką pociechę, gdybyś mógł mi towarzyszyć, pomóc, gdybym zachorował. — Spojrzał na mnie błagalnie. — Wiem, że proszę o wiele, lecz mam przeczucie, że mi pomożecie.

— Kolego Wrenne — rzekłem serdecznie. — Pomogę wam tak, jak zdołam.

— Może w Londynie zaprowadzicie mnie do Gray's Inn, ułatwicie zadanie. Nie byłem w Londynie od ponad pięćdziesięciu lat. Słyszałem, że miasto znacznie się rozrosło. Wybacz, że ci to mówię, panie, lecz... — uśmiechnął się ponuro... — obawiam się, iż nadszedł czas, gdy muszę prosić o pomoc.

— Zrobię, co w mej mocy. Tak mi przykro.

— Nie! — zaprotestował gwałtownie. — Nip potrzebuję litości. Tego znieść nie zdołam. Żyłem dłużej od większości ludzi, choć lepiej, aby człowiek nie wiedział, że jego kres się zbliża. Chciałbym odnaleźć Martina, pojednać się z nim. To ostatnia ważna sprawa, która mi została.

— Rozumiem.

Chociaż pienia chóru się wzmożyły, nie w głowie mi było słuchanie pieśni. Wrenne westchnął ponownie, gdy głosy przycichły.

— Mój ojciec był rolnikiem. Miał gospodarstwo niedaleko Holderness. Żył wielkie nadzieje wobec mnie. Ciężko się trzymał, abym mógł się wyuczyć na prawnika.

— Mój też miał gospodarstwo. Mieszkał w Lichfield. Pochowałem go przed przyjazdem do Yorku. W ostatnich latach nie opiekowałem się nim... jak należy.

— Nie mogę uwierzyć, że byliście złym synem.

— Pozwoliłem, aby umarł w samotności.

Wrenne zamyślił się chwilę, jakby spoglądał w głąb siebie, a następnie na jego twarzy pojawiło się silne postanowienie.

— Po śmierci syna, gdy nie narodziły się kolejne dzieci, przez jakiś czas byłem trudny w pożyciu. Może właśnie dlatego posprzeczałem się z rodziną mojej biednej żony. Chcę się pojednać z Martinem. To jedyny krewny, jaki mi pozostał.

Ująłem go za ramię.

— Odnajdziemy go, panie. Barak znajdzie w Londynie każdego.

Uśmiechnął się.

— Nie wiedziałem, że jesteście synem rolnika. Może dlatego tak dobrze nam się razem pracowało — dodał z zakłopotaniem.

— Możliwe.— Przepraszam, że was obarczam ciężarem.

— Jestem zaszczycony, że mi się zwierzyliście.

— Dzięki. Od tej pory mów mi Giles, jak przyjacielowi.

— Matthew — rzekłem, wyciągając prawicę. Ucisnął ją mocno, zupełnie nie jak ktoś, kto wkrótce umrze. Popęłniono jakiś błąd. Poklepał moje ramię, a następnie odwrócił się, obserwując, jak kurtyna ponownie się rozdziela, a przypudrowani różem chórzyci odziani w niewieście szaty zaczynają nucić tęskną pieśń o miłości.

Wyruszyłem samotnie w stronę opactwa Świętej Marii, albowiem po tym, czego dowiedziałem się od Gilesa, chciałem być sam, niezależnie od niebezpieczeństwa, które mogło mi grozić. Pomyślałem o nieszczęsnej kłótni w rodzinie Wrenne'a. Miałem przeczucie, że sprawa była poważna. Ciekawe, jakie uczucia owa sprzeczka wzbudziła w jego zmarłej małżonce.

— Pięknie śpiewali, prawda? — Odwróciłem się gwałtownie i ujrzałem Baraka krocącego u mego boku. Był w wesołym nastroju, a młoda Tamasin szła obok, trzymając go pod rękę. Kiedy na niego spojrzała, jej piękna twarz zapłonęła rumieńcem. Dostałaś to, czego chciałaś, pomyślałem. Ładnej dziewczynie zwykle udaje się postawić na swoim. Po drugiej stronie Tamasin kroczyła Jennet Marlin z taką miną, jakby przeżuwała kwaśny ser. Brązowe loki opadające na czoło nadawały jej osobliwie dziecinny wygląd. Tak, przypominała mi Suzanne, przyjaciółkę z czasów dzieciństwa.

— Całkiem ładnie — przytaknąłem.

Tamasin się uśmiechnęła.

— Jestem pewna, że król z radością obejrzy przedstawienie. Może zostanie także odegrane w opactwie Świętej Marii dla króla Szkocji. Szkoda, że wszystkie przygotowania okazały się związane z jego wizytą. Myślałyśmy, że królowa jest przy nadziei, że ogłoszą tę wiadomość i być może odbędzie się uroczystość koronacji. Królowa jest bardzo piękna.

— Naprawdę?

— Niezwykle. Widziałam ją kilka razy, choć nigdy nie zamieniłyśmy ze sobą ani słowa. — Tamasin wyraźnie próbowała

mi się przypochlebić. Barak spojrzał na mnie i odgadłszy nastrój, w jakim się znajdowałem, pociągnął ją za ramię.

— Chodź — rzekł. — Blokujemy drogę, idąc w czwórkę ramię przy ramieniu. — Pchnął ją lekko do przodu, tak że znalazła się przede mną. Zostałem sam z panną Marlin, która rzuciła mi uśmiech pozbawiony krzty serdeczności.

— Podobało się wam przedstawienie, pani? — spytałem.

— Nieszczególnie — odpowiedziała, utkwivszy we mnie duże, ciemne oczy. — Muszę z wami pomówić — rzekła, wskazując głową plecy Baraka i Tamasin. — Jestem zaniepokojona tym, że wasz asystent nadal adoruje pannę Tamasin. Odpowiadam za nią w Yorku. Szczególnie po wezwaniu przed oblicze sir Williama.

— To jej zachowanie było przyczyną zamieszania. Barak nic nie zawinił.

— Jest mężczyzną, to on decyduje.

— Odniosłem wrażenie, że panienka Reedbourne potrafi się o siebie zatroszczyć. Znasz ją, pani, musiałaś to spostrzec. Pięknie się ubiera — dodałem, spoglądając na jej wspaniałą zieloną suknię.

Wyraz dezaprobaty na twarz panny Marlin pogłębił się jeszcze bardziej.

— Nie sędzę, aby dokonała mądrego wyboru. Wasz człowiek przypomina lubieżną małpę. Tamasin jest jeszcze młoda, nie ma na tym świecie nikogo, kto by się nią zaopiekował. Jej matka umarła. Muszę się o nią troszczyć. — Utkwiła we mnie badawczy wzrok. — Bronić przed tymi, którzy mogą chcieć wykorzystać znajomość z nią do otrzymania posady na dworze. Jeśli zaś idzie o stroje, babka, która się nią opiekowała, pozostawiła jej niewielką sumkę. Nie jest rozrzutna, pragnie jedynie ładnie wyglądać.

— Jesteś niesprawiedliwa dla mojego pomocnika, pani — rzekłem gwałtownie.

— Czyżby? Królewskie służki to cenna zdobycz, dużo zarabiają. — Wydęła usta, jakby dokuczał jej chory ząb.

— Wątpię, aby Barak o tym pomyślał. Otrzymuje godziwe wynagrodzenie — dodałem.

— Widzę wiele chciwości na dworze, panie.— Bez wątpienia, lecz my nie mamy nic wspólnego ze dworem. Jesteśmy londyńskimi prawnikami.

Rzuciła mi ostre spojrzenie.

— Macie, jak mniemam, kontakty z dworem. Powiadają, że jutro staniesz przed królem.

— Tak, przekażę mu petycje. — Wolałbym, aby mi o tym nie przypominała.

— Słyszałam też, że bezpośrednio współpracujesz z sir Williamem Malevererem.

Zmarszczyłem brwi.

— Od kogo się tego dowiedziałaś, pani?

Wzruszyła ramionami.

— Świat królewskiej służby jest mały.

— Współpracuję z nim w sprawach prawnych — rzekłem opryskliwie. — Cóż to ma wspólnego z Barakiem i panią Reedbourne? — Barak przysunął się do Tamasin i szepnął jej coś, a ta wybuchła śmiechem. Panna Marlin popatrzyła w ich stronę, a następnie odwróciła się i rzuciła mi złowrogie spojrzenie. Wyraz jej twarzy sprawił, że przeniosłem się prawie trzydzieści lat wstecz — na wiejskiej dróżce Suzanne spoglądała na mnie z takim samym wściekłym, nierozumnym gniewem.

— Należysz do ludzi, którzy całe życie pną się po szczeblach kariery, pragnąc czerpać zyski ze służby dla kraju — rzuciła zjadliwie. — Jaki pan, taki sługa.

— Jak śmiesz, pani! — odpowiedziałem gwałtownie wyprowadzony z równowagi. Ludzie przepychali się obok nas, gdyż niemal stanęliśmy w miejscu. Panna Marlin odwróciła się w moją stronę.

— Sądzę, że zaliczasz się do ludzi, którzy wykorzystują sprawę reform dla osobistych korzyści. Jesteś taki sam jak Maleverer.

— Na miły Bóg, masz pani język potwarzy, skoro wypowiadasz się tak o człowieku, którego nie znasz. Cóż o mnie wiesz i co cię obchodzi moje życie?

Nie przestraszyła się, a jedynie spojrzała mi twardo w oczy.

— Słyszałam, jak Tamasin i Barak rozmawiali o twojej przeszłości. O tym, jak początkowo byłeś zwolennikiem reform, o lordzie Cromwellu, który był twym opiekunem. Dziś utraciłeś dawny zapał, wszyscy to widzą. Jak wielu innym zależy ci wyłącznie na pieniądzu.

Przechodnie odwrócili się w naszą stronę.

— Zdziel w gębę tę krzykliwą babę, panie!

— Wiesz, dlaczego mój nieszczęsny Bernard siedzi w Tower? — Panna Marlin kontynuowała niezrażona zaczepkami. — Ponieważ ludzie w Londynie chcieliby, aby został skazany za udział w spisku i sprzyjanie papieżowi, by móc przejąć jego ziemie! Jego ziemie! — Jej głos przybrał niemal histeryczny ton.

— Żal mi cię, pani — odparłem spokojnym głosem. — Nie ma to jednak nic wspólnego z moją osobą. Nie waż się sądzić, że znasz moje myśli lub historię mego życia. To bezczelność, na którą nie dozwolę. Nie zamierzam być twoim kozłem ofiarnym! — Odwróciłem się i odszedłem, zostawiając ją samą na ulicy.

Pół godziny później byłem już w Świętej Marii. Przewrócony namiot został ponownie postawiony, a robotnicy usuwali zeń wszelkie ślady błota, pracując w blasku świec. Poszedłem do dawnej rezydencji opata. W gmachu panowała cisza, wszystko było przygotowane na przyjazd króla. Kilku służących i dworzan przechadzało się z bojaźnią po salach, ćwicząc gesty, które mieli wykonywać, gdy zawita tu król. Strażnik zaprowadził mnie do kancelarii Maleverera. Sir William nadał pracować, a jego wielka twarz okolona czarną brodą jaśniała w blasku świec. Spojrzał na mnie gniewnym wzrokiem.

- Czego znowu?
- Pomyślałem o czymś, panie.
- Gadaj!

Opowiedziałem mu o mojej pracy w Ashford i wspomnieniach, które przywołało nazwisko Blaybourne'a.

— Pomyślałem, że powinieneś o tym wiedzieć, panie. Wśród strażników jest wielu ludzi z Kentu.

— Zatem ów Blaybourne pochodził z Kentu? — mruknął. — Interesujące. — Jego usta wykrzywiły się w zgryźliwym uśmiechu. — Choć mało użyteczne. Edward Blaybourne zmarł dawno temu, zanim przyszedł na świat, kolego Shardlake. Dziświeczorem uczestniczyłem w posiedzeniu Tajnej Rady. Dowiedziałem się wiele na jego temat. — Spojrzał na mnie twardym wzrokiem. — To sekretne sprawy. Jutro ma się z tobą spotkać ktoś z Tajnej Rady. Porozmawiać o tym, co wiesz, przypomnieć o zachowaniu milczenia i zganieniu za twą głupotę.

Odniosłem wrażenie, iż Maleverer odzyskał dawną pewność siebie. Bez wątpienia zdołał przekonać Tajną Radę, że to ja wszystkim zawiniłem.

— Nadal odpowiadasz za Brodericka — ciągnął dalej. — Zajrzyj do niego, zanim się położysz. Chcę, abyś go widywał przynajmniej raz dziennie, sprawdzał, jak się miewa. Weź jednego ze strażników, aby zaprowadził cię do jego celi.

— Tak, sir Williamie.

— Odbylem rozmowę z panem Radwinterem, nakazałem, aby więcej nie popełniał błędów.

Machnął ręką, dając znak, że mogę odejść, a następnie spojrzał na mnie z okrutnym rozbawieniem.

Strażnik powiódł mnie w kierunku grupy budynków klasztornych skupionych wokół kościoła. Niedgdyś mieszkali i pracowali w nich zakonnicy z opactwa Świętej Marii. Dziś izby świeciły pustkami, pozbawione mebli, choć do niektórych wstawiono łózka dla gości, którzy mieli przybyć jutrzejszego dnia. Weszliśmy do wąskiego korytarza o kamiennej posadzce w samym środku labiryntu, zatrzymując się na jego końcu, gdzie przez okratowane okno w grubych drzwiach wydostawało się na zewnątrz światło świeczki. Straż pełniło dwóch ludzi sierżanta Leacona, którzy towarzyszyli nam wcześniej do zamku.

— Jak się czuje? — spytałem.

— Leży bez ruchu, panie. Medyk przyszedł ponownie i rzekł, iż jego stan uległ poprawie.

— Bogu dzięki. Gdzie Radwinter?

— Jest z więźniem, panie. Wprowadzić was do środka?

Skinąłem głową. Otworzył drzwi. Broderick leżał na pledach

pogrążony we śnie. Radwinter siedział w kucki obok niego, przypatrując się twarzy śpiącego. Na jego obliczu malował się wyraz wielkiego, złowrogiego gniewu. Obejrzał się za siebie, gdy wszedłem, a następnie podniósł z gibkością, której mu zazdrościłem.

— Słyszałem, że lepiej się miewa — rzekłem cicho.

— Śpi. Muszę spać razem z nim. Muszę nawet używać jego nocnika. Sir William okazał mi w ten sposób swe niezadowolenie.

— Rzekł coś?

— Nie, choć wcześniej był świadomy. Zapytałem go, co się stało, lecz powtórzył owe brednie, że został otruty przez króla. Gdyby dali mi wolną rękę, wydobyłbym zeń prawdę. Upokorzyłbym go.

— Gdyby było to takie łatwe, nie zabieraliby go do Londynu.

Spojrzał na mnie lodowato.

— Można przerazić i upokorzyć każdego człowieka, panie Shardlake. Trzeba jedynie znaleźć właściwy sposób.

Wróciłem do naszych kwater. W holu, tak jak wczoraj, kilku urzędników grało w karty. Skinąłem im uprzejmie, a następnie zapukałem do drzwi pokoju Baraka.

— Kto zacz?

— To ja, chciałbym z tobą pomówić. — Wszedłem do swojej izby i usiadłem na krawędzi łoża, czując nagłe zmęczenie. Barak zjawił się po chwili. Był w zawadiackim nastroju.

— Już wróciłeś? — zacząłem. — Sądziłem, że znaleźliście jakieś ustronne miejsce z panią Reedbourne.

— To niemożliwe, pilnuje ją panna Marlin. Była wściekła, że ją zostawiłeś. Czemu odszedłeś tak nieoczekiwanie?

— Musiałem odwiedzić więźnia, kiedy ty flirtowałeś.

— Jak się miewa?

— Radwinter pełni przy nim wartę niczym położna piekieł. Jeśli mowa o Jennet Marlin, sądzi ona, że zabiegasz o względy Tamasin, aby zdobyć posadę na dworze.

Roześmiał się.

— Niech ją zaraza, lęka się, że straci Tamasin.

— Czemu tak ją ceni? — spytałem. — To dziwne, lecz sprawiają wrażenie przyjaciółek.

— Zapytałem o to Tamasin. Wygląda na to, że panna Jennet lubi jej wesole usposobienie. Powiada, że pozwala jej zapomnieć

o zmartwieniach. Jej ukochany siedzi w Tower. — Wzruszył niecierpliwie ramionami. — Któż zdołałby przeniknąć niewieście serce?

— Towarzyszyłem jej w drodze powrotnej. Mam wrażenie, że mnie nie znosi. Myśli, że jestem jednym z tych, co to nie pragną niczego więcej prócz urzędu i zysku. Była tak wściekła, że nie mam pewności, czy jej umysł nie jest lekko przyćmiony.

— Zapytałem Tamasin o lady Rochford — ciągnął dalej Barak. — Wszystkie niewiasty się jej lękają. Nic nie robi, tylko rozsiewa złośliwe plotki. Powiadają, że lord Cromwell płacił jej za powtarzanie plotek o damach, którym służyła. O Jane Seymour, a później o Annie Kliwijskiej.

— I Katarzynie Howard?

— Najwyraźniej zaprzyjaźniła się z nią, choć Tamasin powiada, że królowa nie ufa jej za grosz. Panna Marlin też nie lubi lady Rochford. Twierdzi, że jest pozbawiona wszelkich zasad moralnych.

— A któż je ma na dworze? Myślę, że zadufana w sobie panna Marlin to naiwna niewiasta. — Westchnąłem. — Co zamierzasz robić, gdy będę witał jutro królewski orszak? Zobaczysz się z Tamasin?

— Będzie zajęta przygotowaniem do przyjazdu królowej. Pójdę do miasta, popatrzę jak królewski orszak wjeżdża do Yorku. — Spojrzał na mnie. — Tamasin uważa, że surowo się z nią obszedłeś, gdy mówiliśmy o królowej.

— Nie potrafię zapomnieć jej podstępu. Mam złe nowiny. — Opowiedziałem mu o chorobie Gilesa Wrenne'a i jego prośbie, abyśmy pomogli mu odnaleźć siostrzeńca.

— Biedny staruszek. — Ciałem Baraka wstrząsnął dreszcz. — Trudna sprawa.

— Powiedziałem, że mu pomożesz, kiedy wrócimy do Londynu.

— Oczywiście, chciałbym, żebyśmy już tam byli.

— Ja również. — Przerwałem na chwilę. — Kiedy panna Marlin rozmawiała ze mną o Tamasin, twierdziła, że dziewczyna nie ma nikogo na świecie. Rzekła, że jej matka nie żyje, lecz nie wspomniała słowem o ojcu. Powiedziała też, że odziedzyczyła niewielką sumkę po babce.—

Tamasin nie wie, kim był jej ojciec. Matka nigdy jej o tym nie powiedziała. Pewnie ktoś ze dworu, był to bowiem jedyny świat, jaki знаła, pracując w szwalni królowej. Tamasin ma pewnie domysły, lecz nie jest tego pewna.

— Tak?

Spojrzał na mnie z zakłopotaniem.

— Dziewczyńskie fantazje.

Uśmiechnąłem się.

— Śni, że jest córką szlachcica?

Wzruszył ramionami, lecz wiedziałem, że trafiłem w sedno.

— Zamierzasz się z nią spotykać, gdy wrócimy do domu? — spytałem niby od niechcienia.

— Być może.

Sądzę, że tak, pomyślałem. Pomyślałem też, że zadurzył się po raz pierwszy w swoim hulawczym życiu. Byłem ciekaw, czy to oznacza, że ze mną zostanie.

— Tamasin widziała królową — rzekł.

— Wspomniała mi o tym.

— Powiedziała, że bardziej przypomina dziewczę niż kobietę. Pojawiły się pewne komplikacje, albowiem królowa zatrudniła dawnego przyjaciela, Derehama, który próbuje wydawać polecenia lady Rochford. Tamasin powiada, że doprowadza tym starą wiedźmę do szału.

Wzruszyłem ramionami. Nie interesowały mnie plotki krążące na królewskim dworze.

Barak milczał przez chwilę, a następnie dodał nieco poważniejszym głosem:

— Myślałem o Craike'u i tym, co robił w mieście ostatniej nocy.

Skinąłem z wolną głową.

— Nikt nie może się poruszać po opactwie Świętej Marii równie swobodnie jak on. Był w pobliżu, gdy zabito Oldroyda, sprawuje też funkcję, która daje mu łatwy dostęp do kluczy. Na przykład tych do kapitułarza.

— Mimo to podczas przeszukania niczego nie znaleziono.

— A jeśli miał współnika? Jeśli rozmawiali z Oldroydem i ten odmówił przekazania dokumentów? Zamordowali go wówczas. Później napadli na mnie w King's Manor. — Wspólnik uderzył cię i uciekł, Craike zaś został na miejscu. Czemu cię nie zabili, przecież widzą, że poznałeś treść dokumentów?

— Nie wiem — odparłem ciężko. — Trudno mi wyobrazić sobie Craike'a uczestniczącego w spisku. Nie wyobrażam też, aby mógł wykonywać niebezpieczną robotę. Jaki związek ma to wszystko z Broderickiem? Czy ci sami ludzie usiłovali go otruć?

— Z jakiego powodu? Przecież jako spiskowcy są po tej samej stronie?

— Może prosił, aby mu dostarczyli truciznę — rzekłem powoli. — Teraz mówi zagadkami. Gdyby umożliwili mu popełnienie samobójstwa, umilkłby na zawsze. W jaki sposób tego dokonali? — Siedziałem przez chwilę w milczeniu, marszcząc czoło. — Te przekłete dokumenty zawierały coś, co miało ogromną wartość dla spiskowców. Inaczej do sprawy nie włączyliby się członkowie Tajnej Rady. Ludzie uczestniczący w spisku wykradli dokumenty i próbowali uciszyć Brodericka, aby nie zdradził, co wie.

— Jeśli są spiskowcami, czemu Oldroyd nie przekazał im papierów?

— Może nie miał do nich zaufania. Dobry Boże, zgotowali mu straszną śmierć. Z kolei mnie oszczędzili. To przypadek czy celowe działanie? Dobry Boże, mam nadzieję, że chcieli mnie

oszczędzić. — Odetchnąłem głęboko. — Jutro ma mnie przesłuchać ktoś z Tajnej Rady, pewnikiem po przekazaniu petycji królowi. Nie cieszę się na to spotkanie.

— Mogą nas odesłać do domu.

Uśmiechnąłem się cierpko.

— Na to liczę. Nie będę miał nic przeciwko temu, nawet jeśli okryje nas to hańbą. Nie chcę być zamieszany w tę sprawę. Do diabła z Cranmerem za to, że mnie zetknął z Broderickiem. — Rozprostowałem ręce nad głową. — Na miły Bóg, Baraku, chciałbym, aby jutrzejszy dzień już minął.

— Wspólnik uderzył cię i uciekł, Craike zaś został na miejscu. Czemu cię nie zabili, przecież widzą, że poznałeś treść dokumentów?

— Nie wiem — odparłem ciężko. — Trudno mi wyobrazić sobie Craike'a uczestniczącego w spisku. Nie wyobrażam też, aby mógł wykonywać niebezpieczną robotę. Jaki związek ma to wszystko z Broderickiem? Czy ci sami ludzie usiłovali go otruć?

— Z jakiego powodu? Przecież jako spiskowcy są po tej samej stronie?

— Może prosił, aby mu dostarczyli truciznę — rzekłem powoli. — Teraz mówi zagadkami. Gdyby umożliwili mu popełnienie samobójstwa, umilkłby na zawsze. W jaki sposób tego dokonali? — Siedziałem przez chwilę w milczeniu, marszcząc czoło. — Te przekłete dokumenty zawierały coś, co miało ogromną wartość dla spiskowców. Inaczej do sprawy nie włączyliby się członkowie Tajnej Rady. Ludzie uczestniczący w spisku wykradli dokumenty i próbowali uciszyć Brodericka, aby nie zdradził, co wie.

— Jeśli są spiskowcami, czemu Oldroyd nie przekazał im papierów?

— Może nie miał do nich zaufania. Dobry Boże, zgotowali mu straszną śmierć. Z kolei mnie oszczędzili. To przypadek czy celowe działanie? Dobry Boże, mam nadzieję, że chcieli mnie oszczędzić. — Odetchnąłem głęboko. — Jutro ma mnie przesłuchać ktoś z Tajnej Rady, pewnikiem po przekazaniu petycji królowi. Nie cieszę się na to spotkanie.

— Mogą nas odesłać do domu.

Uśmiechnąłem się cierpko.

— Na to liczę. Nie będę miał nic przeciwko temu, nawet jeśli okryje nas to hańbą. Nie chcę być zamieszany w tę sprawę. Do diabła z Cranmerem za to, że mnie zetknął z Broderickiem. — Rozprostowałem ręce nad głową. — Na miły Bóg, Baraku, chciałbym, aby jutrzejszy dzień już minął.

Rozdział siedemnasty

Obudziło mnie pianie kogutów. Nie jednego lub dwóch, lecz kilkunastu, istna kakofonia dźwięków. Przez chwilę leżałem zdumiony bez ruchu, aż wreszcie zdałem sobie sprawę, że to koguty do walki trzymane w klasztornej kościele. Ludzie we wszystkich sypialniach kaszleli, stękali i przeklinali ptaki.

Słońce weszło na czystym, błękitnym niebie, a gdy otworzyłem okno, poczułem powiew ciepłego powietrza, pierwszy raz od dnia przyjazdu do Yorku. Jak głośno słowa piosenki, król przegnał deszcz. Tak orzekliby przesądni prostaczkowie. Spojrzałem na wielką bryłę kościoła, uświadamiając sobie, że tego ranka jego ogromna iglica nie ginie we mgle. Iglica wskazywała niebo niczym ogromny, martwy palec.

Przywdziałem najlepszą szatę, poprawiłem futrzane obszycie, a następnie przygładziłem włosy i nasunąłem na głowę nową czapkę, do której wyszukałem odpowiednią szpilę. Umieściłem ją tak, by przekrzywiony lewy brzeg zasłaniał siniaka, i wyszedłem z izby.

Wszędy wokół urzędnicy wygładzali suknie i oglądali swoje twarze w stalowych zwierciadłach. Tego dnia nie słyhać było typowych prześmiewczych rozmów — wszyscy zdawali się skupieni i poważni, szykujący się do odegrania wyznaczonej roli. Ubrany w czerwony kaftan Barak stał oparty o drzwi swojej sypialni i ze zgryźliwym uśmiechem im się przypatrywał.

— Co robisz? — spytałem.

— Obserwuję tych waszmościów. Pomyślałem, że poczekam 222

na ciebie, zapytam, czy chcesz zjeść śniadanie w refektarzu. Powinieneś coś przekąsić, nie wiadomo, kiedy podadzą obiad.

— Słusznie, chodźmy coś zjeść — odparłem poruszony jego troską. — Jakże się prezentuję?

— Całkiem szykownie, choć nie pasuje do ciebie ten strój. Dobrze ukryłeś siniaka.

Przeszliśmy przez podwórzec do refektarza, który okazał się pełny urzędników i pomniejszych oficjeli, którzy jadal, kiedy tylko nadarzyła się sposobność. Cieśle jeszcze spali, albowiem ich robota dobiegła końca. Także tutaj dało się wyczuć atmosferę napięcia, słyhać było niewiele rozmów. Wszyscy podskoczyli i spojrzeli wokół, gdy stajenny upuścił półmisek z zimnym mięsiwem, który runął z brzękiem na podłogę.

— Na Boga! — krzyknął. — Zabrudziłem sobie tłuszczem tę przeklętą tunikę!

Barak uśmiechnął się.

— Niektórzy nie wytrzymują napięcia.

— Ty nie masz z tym żadnego problemu — mruknąłem. — Nie zmęcz się, łażąc po mieście — dodałem ironicznie, gdy schodziliśmy po schodach refektarza. Kiedy pozdrowił mnie szyderczo, przyłączyłem się do strumienia dobrze odzianych ludzi zmierzających do King's Manor. Miałem wrażenie, że znajduję się na pokładzie okrętu wyruszającego w podróż do dalekiej nieznannej ziemi.

Na dziedzińcu promienie wschodzącego słońca lśniły w złotych nitkach wplecionych w płótno namiotów i wypolerowanych napierśnikach żołnierzy pełniących straż przed pawilonami. Wartownicy trzymali piki, a na ich hełmach migotały jaskrawe pióropusze. Na ciepłym wietrze powiewały chorągwie ze szkockimi i angielskimi barwami. Stajenni wyprowadzali konie z kościoła, siodłając je i przywiązując do słupków, aby czekały na swych właścicieli. Każdy z wierzchowców miał na szyi tabliczkę z numerem. Rozejrzałem się za Genesis, lecz go nie spostrzegłem.

Obok rezydencji stał tłum ludzi w barwnych kaftanach, pelerynach i szatach, rozmawiali w małych grupkach. Co jakiś czas dały się słyszeć nerwowe salwy śmiechu. Wszedłem dośrodk. Wzdłuż ścian wielkiej sali pełnili wartę wyprostowani żołnierze. Dwoma rzędami schodów słudzy wnosili na górę elementy ogromnego łoża, kierując się do prywatnych komnat króla i królowej. Lady Rochford i sekretarz królowej Dereham łajali dwóch mężczyzn manewrujących ogromnym, bogato zdobionym drewnianym wezglowiem na wąskich schodach po stronie komnat królowej. Lady Rochford miała na sobie czerwoną suknię z brokatu ozdobioną liliami. Przystrojona klejnotami balsaminka dyndała u talii, a jej twarz pokrywała gruba warstwa bieli ołowiowej ukrywającej śniadą cerę.

— Uważaj, durniu! — krzyknęła. — Uszkodzisz krawędź! Panie Dereham, obserwuj ich pan. Muszę się naszykować!

— Jestem sekretarzem, a nie sługą! — warknął Dereham. Wygląd sekretarza królowej nie przypadł mi do gustu, choć prezentował się całkiem nieźle w krótkiej pelerynie obszytej bobrowym futrem, spod której wystawał duży złoty sącdek. Jego pociągła, przystojna twarz nie wzbudzała zaufania.

— W takim razie sprowadź szambelana królowej! — prychnęła lady Rochford, przechodząc obok mnie. Spojrzałem na drugie schody, gdzie grupka robotników zmagala się z największym materacem, jaki w życiu widziałem — tak grubym i szerokim, że gdyby upadł, mógłby ich zmiażdżyć swym ciężarem.

Ktoś dał mi mocnego kuksańca w zębra. Podskoczyłem, odwróciłem się i ujrzałem sir Jamesa Fealty'ego w sięgającej do kostek bufiastej szacie z przedniego brokatu obszytej futrem. Fealty spoglądał na mnie gniewnie. Obok stał kronikarz Tankerd, ubrany podobnie jak ja w czarną szatę, i nerwowo gmerał przy guzikach. Na ramieniu miał plecak ze złotym obszyciem, w którym ani chybi znajdował się tekst jego mowy. Obok stał sługa Fealty'ego, Cowfold, trzymając petycje przewiązane czerwoną tasiemką i zapieczętowane woskiem.

— Czemu tu sterczycie? — rzekł zrzędliwie sir James. — Wszyscy mamy być razem! Gdzie kolega Wrenne?

— Nie widziałem go.

— Wyjdźmy na zewnątrz. Powinniście stać obok swoich koni. Kolego Tankerd, przestańcie się bawić guzikami tej szaty, oderwiecie je. Rozgniewali mnie wasi ludzie. Mam nadzieję, że wiedzą, co czynią! — Rajcy miejscy upierają się, że nie zmienią szat, dopóki nie znajdą się za murami miasta.

Fealty prychnął i wyszedł na podwórzec. Idąc za nim, rzuciłem kronikarzowi pełne współczucia spojrzenie. Oblicze sir Jamesa wypogodziło się odrobinę, gdy okazało się, że u dołu schodów czeka na nas Giles Wrenne, a dalej stajenny trzymający wodze trzech koni. Jednym z nich okazał się Genesis, który zarżał radośnie na mój widok.

— Dzień dobry, Matthew — rzekł wesoło staruszek.

Patrząc na niego dzisiejszego dnia, nie pomyślałbyś, że jest

poważnie chory. Prezentował się wspaniale w swojej najlepszej szacie. Na głowie miał ozdobioną klejnotami wysoką czapkę w dawnym stylu, która nadawała oryginalności jego wyglądowi.

Sir James zrobił awanturę o to, że petycje umieszczono w torbach przytroczonych do siodła ogromnego konia Wrenne'a. Jego długa rzadka broda powiewała na lekkim wietrze. Kiedy wszystko zostało zrobione jak należy i dosiedliśmy naszych wierzchowców, wskazał bramę.

— Delegacja miasta czeka na zewnątrz. Na znak straży ruszycie razem z nimi do Fulford. — Przez chwilę spoglądał na nas groźnym wzrokiem. — Pamiętajcie o wszystkim, com wam rzekł. Nie okryjcie mnie hańbą. — Gdy czekaliśmy na sygnał, minęła nas grupka dworzan wyjeżdżających przez bramę. Wśród nich dostrzegłem lady Rochford i Richa. Gdyśmy mieli ruszać, usłyszałem czyjeś wołanie:

— Powodzenia, panie Shardlake!

Odwróciłem się i ujrzałem Tamasin Reedbourne stojącą na schodach i spoglądającą w moją stronę. Miała na sobie kolejną piękną suknię, tym razem pomarańczowo-niebieską. Pozdrowiłem ją lekkim skinieniem dłoni. Byłem ciekaw, ile pozostawiła jej w spadku babka.

Po drugiej stronie bramy Bootham plac wypełniali konni przyodziani w najlepsze stroje. Oszacowałem, że musi ich być blisko dwustu. Na czele dostrzegłem burmistrza. Jego twarz była niemal tak czerwona jak szata. Podjechaliśmy i stanęliśmy obok nich, oczekując na sygnał. W niewielkim oddaleniu przy drodze czekał trzydziestoosobowy oddział jazdy na wspaniale przystrojonych koniach.

Przyjrzałem się uważnie Gilesowi. Staruszek prezentował się bez zarzutu i był wyraźnie podekscytowany.

— Co to za ludzie? — spytałem. — Kim oni są?

— To miejscy rajcy i przedstawiciele cechów. Widzę też reprezentantów miejscowej szlachty z Ainsty. Wkrótce powinniśmy wyruszyć.

— O co szło ze strojami rajców? — spytał Tankerd.

— Polecono im, aby powitali króla w ponurych, szarych szatach na znak skruchy za udział w buncie pięć lat temu. Uparli się, że przywdzieją je dopiero za murami miasta, aby nie szczydziło z nich pospólstwo. Sir James lęka się, że w polu nie ubiorą się jak należy. Burmistrz znalazł się w niezręcznej sytuacji z powodu rady miasta i Fealty'ego.

Coś mignęło mi przed oczami i zrozumiałem, że przekłute piórko poluzowało się ponownie. Ściągnąłem czapkę i przytwierdziłem je szpilą, bacząc, aby nie uszkodzić delikatnej chorągiewki. Gdy kapitan straży dał sygnał do odjazdu, nasunąłem ją mocniej na głowę. Przejechaliśmy wraz z korowodem rajców Bootham Bar, a żołnierze podążyli za nami z chrzęstem pancerzy.

Orszak sunął przez opustoszałe miasto, choć ze wszystkich okien wyglądały twarze obywateli Yorku obserwujących nasz przejazd. Nocą uliczki wysypano piaskiem i popiołem, które tłumiły stukot kopyt. Za nami pojawili się ludzie z grabiami, którzy wyrównywali nawierzchnię. W niektórych

uliczkach nad drogą przejazdu zawieszono girlandy białych róż, a z nielicznych okien zwisały jaskrawe gobeliny i barwne tkaniny. Przypomniałem sobie, opowieść Gilesa o tym, jak to mieszkańcy Yorku przystroili miasto na przyjazd Ryszarda III, i spojrzałem w jego stronę.

- Jak postępuje śledztwo w sprawie śmierci mistrza Oldroyda? — spytał.
- Dochodzenie przejął królewski koroner.
- Oldroyd był dobrym fachowcem, to dziwne, że spadł. W mieście powiadają, że ktoś musiał go zepchnąć z drabiny. Chyba to niemożliwe?
- Nie wiem — odparłem wyraźnie skrępowany.
- W opactwie Świętej Marii doszło do serii dziwnych zdarzeń, nie sądzisz? Maleverer musi być tym zatroskany.
- I jest.
- Bierzesz udział w dochodzeniu? — zapytał.
- Nie, już nie.

Zbliżyliśmy się do kolejnej bramy przystrojonej girlandami. Pomyślałem, że to Fulford. Byłem ciekaw, czy po wyjeździe króla ponownie zatkną na niej głowy i części ciał skazańców.

Dalej ujrzeliśmy nieliczne, rozproszone domostwa, lecz po kilku minutach jazdy wydostaliśmy się na otwartą przestrzeń z zielonymi pastwiskami, brązowymi, zaoranymi polami i kałużami wody po wczorajszym deszczu. Drogę doprowadzono do należytego stanu, zasypując wyboje.

Na poboczu, w niewielkiej odległości przed nami, stało kilka wozów pilnowanych przez sługi i pół tuzina żołnierzy. Dojechawszy do nich, rajcy zsiadli z koni. W przykrym milczeniu zdjęli strojne szaty i zaczęli przywdziewać długie ciemnobrązowe stroje, które brali z wozów. Z dziwnym uczuciem obserwowałem burmistrza Halla, który rozbierał się z poczerwieniałą od gniewu twarzą, i wsunął białe, żyłaste ramiona w zgrzebną szatę. Słudzy starannie pakowali ubiory do pudeł stojących na wozach. Umieszczali w nich też czapki rajców. Najwyraźniej nieszczęśnicy mieli stanąć przed królem z odsoniętymi głowami. Rozejrzałem się po okolicy. W oddali jakiś oracz wiódł zaprzęg wołów, wykonując pierwszą orkę przed zimą. Nagle pomyślałem o ojcu.

Kapitan ostrożnie dobył z sakwy mały przenośny zegarek. „Ruszać!” — zawołał ponownie. Rajcy wsiedli na konie i podjechali do miejsca, w którym przy drodze stał duży biały krzyż. Usunięto tam ogrodzenie, tworząc szeroką przestrzeń obejmującą pastwiska z obu stron traktu. Dowódca straży zsiadł z konia i zajął miejsce na cokole, na którym ustawiono krzyż. Donośnym, wyraźnym głosem nakazał, aby wszyscy zsiadli na ziemię i ustawili się w rzędach po dwudziestu. Z przodu mieli stanąć rajcowie Yorku, po bokach zaś rozmaici oficjele tacy jak Giles i ja. Pozostali zajęli miejsca z tyłu. Giles podał mi petycje, które trzymał w torbie. — Pilnuj ich do przyjazdu króla. Pamiętaj, aby mi je wówczas podać. — Skinąłem głową i przycisnąłem je do piersi, żałując, iż nie są lżejsze. Tankerd nerwowo zmarszczył brwi, zarzucił na ramię obsyty złotą taśmą worek i stanął obok rajców. Stajenni zebrali konie i zaprowadzili je na pastwisko. Kapitan dokonał przeglądu, a następnie stanął przed nami, spoglądając w stronę traktu Fulford.

— Będziemy czekali — rzekł cicho Giles.

Staliśmy w milczeniu, obserwując drogę. Początkowo słychać było jedynie cichy odgłos liści opadających na ziemię z przydrożnych drzew. Konie zaprowadzono na pole obok długiej drewnianej budowli udrapowanej brązową tkaniną. Byłem ciekaw, co się w niej znajduje. Grupka sług niosła długie drewniane deski za zastoną. Zauważyłem, że w drewnie otwory wielkości głowy, powycinane w równych odstępach, co nasuwało skojarzenie z dybami. Giles zadrżał na ich widok. Poprawiłem torbę z ciężkimi petycjami.

Ponieważ było upalnie, niebawem poczułem odór potu tłumu grzejącego się w ciężkich szatach. Dotknąłem czapki, aby upewnić się, czy przekłute piórko nadal tkwi na swoim miejscu, i zrobiło mi się żal rajców stojących w słońcu z gołymi głowami. Burmistrz Hall przesunął dłoń po łysym czerepie.

Ustyszeliśmy królewski orszak, zanim ukazał się naszym oczom, niczym odgłos dalekiego gromu. Dudnienie narastało z każdą chwilą i po pewnym czasie odgadłem, że to stukot tysięcy końskich kopyt. Później na dalekim zboczach ujrzałem ogromną, brązową plamę, która zaczęła się rozszerzać, obejmując cały trakt. Toczyła się do przodu tak, jakby nie miała końca. Huk i stukot kopyt wypełniał powietrze, płosząc ptaki z drzew. Zacząłem odróżniać kształt tysięcy wozów o wysokich skrzyniach ciągniętych przez potężne konie pociągowe. Po obu stronach kolumny ramię w ramię jechały dwa szpalery żołnierzy w czerwonych kurtkach. Czoło orszaku lśniło mnóstwem barw, po chwili ujrzałem tłum wspaniale odzianych konnych dosiadających wierzchowców niemal tak samo strojnych jak jeźdźcy. Wyteżyłem wzrok, próbując dostrzec króla, lecz w tej samej chwili od strony owej chmary doleciał dźwięk trąb, który sprawił, że zamarliśmy. Gigantyczny orszak zatrzymał się w odległości pół mili od nas. Stukot kopyt ucichł, a jego miejsce zajął szmer tysiąca głosów podnoszący się i opadający jak morskie fale. Staliśmy i co jakiś czas dobiegały nas wydawane gromkim głosem polecenia. Atmosfera była napięta. Nawet Giles był podenerwowany, a w jego oczach błyszczała ciekawość. Podchwycił moje spojrzenie i szepnął z uśmiechem:

— Widzę ich.

Lady Rochford, Rich i inni dworzanie oddzielili się od delegacji Yorku i ruszyli w kierunku królewskiego orszaku, zlewając się z jaskrawym czołem korowodu. Na kilka sekund zapanowała cisza, a później widowisko się zaczęło. Towarzyszący nam żołnierze utworzyli szpaler po obu stronach traktu dzielącego nas od królewskiej świty. Następnie od cudnie przystrojonego tłumu poczęły się oddzielać różne postacie, które się wolno do nas zbliżały. Najpierw pół tuzina heroldów w czerwonych tunikach ozdobionych lampartami i liliami królewskiego herbu stanęło obok żołnierzy, trzymając uniesione długie trąby, z których zwisały jaskrawe proporce. Za nimi podążyli dwaj stajenni w kaftanach w zielono-białą szachownicę Tudorów, prowadząc parę koni. Zatrzymali się przed nami, nieco z boku. Zwierzęta miały na grzbiecie długie, bogato haftowane kapy niemal sięgające ziemi. Złote frędzle i chwosty u ich czarnych aksamitnych uprzęży lśniły w słońcu. Siwa klacz była rostej budowy, lecz drugi rumak okazał się prawdziwym olbrzymem. Pomyślałem, że to ceremonialne wierzchowce króla i królowej.

Królewscy dworzanie stale napływali, pojedynczo i dwójkami, sprawiając, że napięcie wzrosło do punktu krytycznego. Poczułem, że mój kołnierz jest mokry od potu. Szambelan stanął naprzeciw nas i uniósł ogromny ceremonialny miecz używany podczas uroczystości państwowych. Za nim ustawiła się szlachta w szkarłatnych i złotych strojach. Dostrzegłem wśród nich rosnącego męża o potężnej piersi, którego szeroką twarz okalała brązowa broda przypominająca brodę Maleverera. Sądząc z wyglądu, musiał to być Charles Brandon, książę Norfolk, par, który odpowiadał za organizację królewskiej podróży. Jako członek Tajnej Rady musiał wiedzieć o śmierci Oldroyda, Blaybournie i dokumentach, które utraciłem. Nagle zadrżałem na myśl, że również król mógł o tym usłyszeć.

Grupka małych chłopców, pewnikiem paziów, w żółto-zielonych tunikach i czapkach, wjechała na plac i zatrzymała się przed nami. Mieliśmy teraz przed sobą cały dwór lśniący wspaniałymi kolorami, w czapkach i sukniach błyszczących od klejnotów, o twarzach pozbawionych wyrazu. Dziwna to rzecz, lecz nawet najwyższe napięcie może trwać tylko chwilę, gdyż mimowolnie wróciłem myślami do oracza, którego widziałem jakiś czas temu. Pomyślałem, ileż to razy mój ojciec musiał chodzić za pługiem. Czy byłby ze mnie dumny, gdyby wiedział, że niebawem stanę przed królem?

Wróciłem do terażniejszości nie z powodu nowego zgiełku, lecz ciszy. Głosy i szuranie umilkły. Heroldzi unieśli trąby i zadęli unisono długą nutę. Za plecami usłyszałem szmer. To rajcowie Yorku poczęli padać na kolana. Kronikarz Tankerd wyszedł do przodu i uklęknął. Giles i ja zdjęliśmy czapki, idąc za jego przykładem.

Z przodu wystąpiły dwie postaci. Rzuciłem wzrokiem na olbrzymiego mężczyznę i stojącą u jego boku niewysoką dziewczynę odzianą w srebrzystą szatę. Przycisnąłem czapkę do piersi i pochyliłem głowę, widząc zbliżającego się króla i królową. Ich kroki stały się słyszalne w nagłej ciszy. Do moich uszu doleciało słabe skrzypienie. Przypominałem sobie, jak powiadano, że król nosi gorset, aby ukryć swą tuszę.

Stanęli w odległości około dwóch jardów od nas. Klęcząc z pochyloną głową, widziałem jedynie skraj sukni królowej misternie obszyty różnokolorowymi kamieniami oraz białe królewskie pończochy i białe trzewiki o kwadratowych czubkach ze złotymi sprzączkami. Nogi miał grube niczym wół. Zauważyłem, że ma ozdobioną klejnotami laskę, na której mocno się wspierał, stąpając ku nam wysypaną żużlem drogą. Serce poczęło mi walić, gdym klęczał, przyciskając do piersi petycje i ocierając czapkę o papiery.

— Obywatele Yorku, przybyłem odebrać wasz hołd! — Głos olbrzymiej postaci wydał się dziwnie wysoki, niemal piskliwy. Spojrzałem w bok i zauważyłem, że kronikarz Tankerd rozwinął długi pergamin. Podniósł głowę, spojrzał na króla i wziął długi, urywany oddech. Otworzył usta, lecz przez długą, przerażającą chwilę nie wydobył się z nich żaden dźwięk. Na szczęście odzyskał nad sobą panowanie i zaczął mówić głośno i wyraźnie, prawniczym tonem.

— Najpotężniejszy, niezwyciężony królu...

Była to długa przemowa utrzymana w wiernopoddańczym tonie.

— Twoi pokorni poddani, którzy podstępnie i zdradziecko zranili Twój Najwyższy Majestat, uczestnicząc w nikczemnej rebelii, obiecują i ślubują zgodnie z wiarą i prawdą miłować Waszą Królewską Wysokość...

Nie ośmieliłem się podnieść głowy, chociaż kark począł mi ponownie doskwierać, a grzbiet poboлеwał od długiego klęczenia, na dodatek musiałem trzymać owe przeklęte petycje. Spojrzałem z ukosa na Gilesa. Pochylił wielką głowę niemal do ziemi, więc nie widziałem jego twarzy. W końcu Tankerd zakończył swą mowę.

— W dowód naszego poddania, łaskawy Władco, przekazujemy ci ten oto dokument, na który przysięgali wszyscy tu zgromadzeni.

Skłonił się nisko i wręczył wielki pergamin jednemu z paziów, który postąpił parę kroków, aby go odebrać.

Wówczas wystąpił burmistrz, niosąc dwa ozdobne kielichy, którym widział w ratuszu. Przyklęknął i w pokornych słowach ją błagał króla, aby zechciał przyjąć dar od miasta. Spostrzegłem, że spotniał niczym wieprz. Ponownie się zamyśliłem. Z zadumy wyrwał mnie gniewny szept Gilesa.

— Szybko! Teraz nasza kolej!

Poczułem, że żołądek podchodzi mi do gardła, gdy wstałem i z pochyloną głową ruszyłem za Gilesem. To śmieszne, że ja, który miałem niegdyś za przyjaciela Thomasa Cromwella i stawiałem czoło Richardowi Richowi oraz księciu Norfolk, dygoczę jak galareta. Z drugiej strony nie zbliżałem się wszak do urzędnika lub szlachcica, lecz pomazańca bożego, do głowy Kościoła, opiekuna dusz trzech milionów poddanych, który w swej chwale przekraczał ludzką miarę. W ciągu owych kilku sekund naprawdę w to wierzyłem.

Przystanęliśmy obok kronikarza Tankerda. Czułem się po-twornie obnażony wśród klęczącego tłumu. Król był tak blisko, że widziałem gęste futro jego kurtki poruszające się lekko na wietrze i ogromne, oprawione w złoto rubiny, które ją zdobiły. Nadal pochylony spostrzegłem, że jego lewa tydka była grubsza od prawej, zauważyłem również bandaż pod białą pończochą. Na bandażu dostrzegłem małą żółtą plamę. Chwilę później powiew wiatru sprawił, że poczułem w nozdrzach smród. Woń przypominającą zapach zatkanego ścieku, przenikliwy smród ropy.

Giles począł mówić donośnym, wyraźnym głosem:

— Staję przed Waszą Wysokością jako przedstawiciel obywateli Yorku, modląc się, abys zechciał wysłuchać naszych próśb

o sprawiedliwość dla ludu.

— Uczynię to — odrzekł król.

Giles odwrócił się ku mnie. Wręczyłem mu petycje, nie podnosząc głowy. Wówczas czapka zsunęła mi się z głowy

i spadła na ziemię, gubiąc pióro. Nie ośmieliłem się jej podnieść i stałem tak, gapiąc się w dół i klnąc pod nosem. Giles wręczył petycje paziom, ci zaś oddali je do rąk królowi — delikatnych rąk

o długich palcach ozdobionych pierścieniami. Usłyszałem, jak urzędnik wystąpił do przodu i król oddał mu petycję.

Później usłyszałem wesoły rechot.

— Dobry Boże — rzekł do Gilesa piskliwym głosem. — Świetnie się prezentujesz, starcze. Czy wszyscy mieszkańcy północy są tacy krzepcy? — Ośmieliłem się lekko podnieść głowę, popatrując wszak nie na króla, lecz na oblicze Wrenne'a. Giles uśmiechnął się do Henryka, sprawiając wrażenie opanowanego. — Nie jestem tak rosty jak Wasza Wysokość — odpowiedział. — Któż może jednak wyrosnąć tak wysoko?

Król zaśmiał się ponownie.

— Słuchajcie wszyscy! — zawołał donośnie. — Rzekłem, iż ten starzec jest dowodem krzepy ludzi z północy. Spójrzcie na owego prawnika u jego boku! Tego, co zgubił czapkę! Wiem, że pochodzi z południa! Zobaczcie, jakim pokręconym pająkiem jawi się przy nim!

Podniosłem głowę, słysząc pochlebne śmiechy mieszkańców Yorku. Miałem obowiązek to uczynić, albowiem król do mnie przemówił. Był tak wysoki, że musiałem zdrzeć głowę, abyurzeć jego oblicze pod bogato zdobioną czapkę. Zobaczyłem czerwoną, nalaną twarz okoloną rudawą brodą i wydęte małe usta pod władczym, haczykowatym nosem. Król wpatrywał się we mnie małymi, głęboko osadzonymi oczami podobnymi do oczu Radwintera. Niebieskimi i chłodnymi jak lód, błyszczącymi i okrutnymi. Zdałem sobie sprawę, że wie, kim jestem. Wie o utraconych dokumentach i zapamiętał mnie. Nieznacznie skinął głową, wykrzywając usta w słabym uśmiechu, a następnie odwrócił się i pokuśtykał do swojego konia, opierając się ciężko na lasce. Wówczas zauważyłem, że królowa Katarzyna uważnie mi się przygląda. Miała pulchną twarz, raczej nadobną niż piękną. Wydała się lekko zachmurzona, smutna, jakby było jej przykro z powodu okrutnego sposobu, w jaki zostałem potraktowany przez króla. Nagle odwróciła się i podeszła do konia. Usłyszałem poruszenie za plecami — to obywatele Yorku zaczęli wstawać z kłęczek.

Pochyliłem się, podnosząc czapkę i piórko. Przez chwilę stałem jak zamurowany, z umysłem otępiałym przez szok i ból. Później poczułem kolejny bolesny skurcz żołądka. Rozejrzałem się, szukając Gilesa, lecz ten odszedł. Widziałem, jak jego wysoka postać ginie w tłumie mieszkańców Yorku. Wielu gapiło się na mnie, szczerząc zęby w uśmiechu lub wręcz rechocząc. Kronikarz Tankerd stał niedaleko. Chwyciłem go za ramię.

— Kolego Tankerd! — szepnąłem — Muszę szybko do wychodka. Wiecie, gdzie go szukać?

W odpowiedzi wskazał łękę, za którą stała duża drewniana konstrukcja.

— Tam. — Zrozumiałem, w jakim celu sprowadzono owe deski z otworami. — Musicie się pośpieszyć, panie — rzekł. — Połowa rajców miejskich czeka przed wami. — W rzeczy samej, od tłumy mieszkańców Yorku oderwała się sporawa gromadka mężczyzn odzianych w brązowe szaty, kuśtykając i potykając się na łące. Popędziłem w ślad za nimi przy wtórze salw śmiechu. Uszy poczęły mnie piec. Bolesny jęk jednego z zataczających się rajców uzmysłowił mi, że wychodek znajdował się dłań zbyt daleko. Wróciłem do miasta razem z obywatelami Yorku, podążając za królewskim orszakiem i żołnierzami, na czele ogromnego pochodu szemrzącego za moimi plecami

niczym wielki Behemot z Księgi Hioba. Słowa króla sprawiły, że czułem się przybity. Z trudem przychodziło mi ignorowanie ukradkowych, rozbawionych spojrzeń.

Przejechawszy pod bramą Fulford, ponownie znaleźliśmy się w Yorku. Na ulice wyległ teraz tłum, który powstrzymywali żołnierze. Słyszałem dolatujące z przodu okrzyki, którymi witano króla, lecz sprawiały wrażenie słabych. Wypatrywałem w tłumie Baraka i Tamasin, lecz ich nie dostrzegłem. Wiedziałem, że król przyjmie teraz hołd od ludzi, którzy brali udział w buncie roku tysiąc pięćset trzydziestego szóstego, lecz uniknęli egzekucji, albowiem byli niezbędni z przyczyn politycznych. Słyszałem, że będą pełzać na brzuchu przed królem obok wrót Minsteru. Później władca miał wziąć udział we mszy, która kończyła oficjalne uroczystości.

Marzyłem jedynie o tym, aby uciec, więc skorzystałem z okazji i widząc przerwę w szpalerze żołnierzy, skręciłem w boczną uliczkę i skierowałem się do opactwa Świętej Marii. Pomyślałem, że wieść o wyszyceniu przez króla dotrze do Lincoln's Inn

li o wschodzie księżycy będą o niej szeptać wszyscy londyńscy prawnicy. Ten dzień będzie mnie prześladował do końca życia. Za nic miałem niebezpieczeństwo, z jakim łączyło się samotne wędrowanie po mieście.

Oddałem Genesis stajennemu czekającemu w kościele i odszedłem, nie poklepawszy go na pożegnanie. Zmarszczyłem brwi na myśl o tym, że Giles mnie opuścił. Mógł zostać przy mnie, rzec coś, aby nieco załagodzić wstyd. Przystanąłem niezdecydowany, nie chciałem bowiem wrócić do swojej sypialni w tak przykrym nastroju. Obawiałem się, że ponure myśli mogą mnie przytłoczyć. Postanowiłem sprawdzić, jak się miewa Broderick. Uznałem, że atmosfera więzienia będzie odpowiadała nastrojowi, w jakim się znajduję.

Odpowiedziałem grzecznym skinieniem strażnikowi, który mi zasalutował. Radwinter siedział na krześle u drzwi celi, czytając Obediencję chrześcijanina wychwalającą rolę króla jako pomazańca bożego. Nadzorca wyglądał na opanowanego i schludnego jak zawsze, a jego włosy i krótka broda zostały przystrzyżone przez balwierza.

— Jak się udała uroczystość powitalna? — spytał. Zadrzałem. Okrutny błysk jego oczu niezwykle przypominał błysk oczu króla. Przypatrywał mi się uważnie, wiedział totiž, że byłem zdenerwowany.

— Dobrze — odparłem szorstko.

— Piórko się wam przekrzywiło.

Ściągnąłem czapkę, gniotąc ją w dłoń. Radwinter spojrzał na mnie ciekawie.

— Coś poszło nie tak?

— Wszystko odbyło się zgodnie z planem.

— W jakim nastroju był król, wesołym czy ponurym?

— Wielce radosnym. Jak się miewa Broderick?

— Śpi. Wcześniej zjadł co nieco. Przyniosłem jadło, które osobisty kucharz króla uwarzył w kuchni Jego Wysokości. Zaniósłem je Broderickowi i obserwowałem, jak się posila.

— Chciałbym go zobaczyć.

— Dobrze. — Radwinter wstał i odpiął klucze od pasa. Ponownie rzucił mi zaciekawione spojrzenie.

— Czy król do was przemówił?

— Wypowiedział jedynie kilka słów.

— To wielki zaszczyt.

— Zaiste.

Uśmiechnął się.

— Skomentował siniaka na waszej głowie?

— Nie. — Poczułem, że zaczynam kipieć gniewem.

— Cóż więc rzekł? — Radwinter się uśmiechnął. — Widzę, że trafiłem w czuły punkt. Czyżby rzekł coś o waszym krzywym grzbiecie? Wiem, że nie znosi kalek. W końcu jego błazen Will Somers jest garbusem. Powiadają, że jest przesądny. Może twój widok...

Rzuciłem się na niego, co nie zdarzyło mi się od czasu, gdy byłem studentem. Chwyciłem łotra za gardło i cisnąłem o kamienną ścianę, był jednak silniejszy ode mnie, podniósł się i wykręcił mi ramię, pchając mnie na ścianę. Żołnierze wbiegli do środka, lecz Radwinter uniósł dłoń. — Nic się nie stało — rzekł bez zająknięcia. — Kolega Shardlake jest dziś w kłótliwym nastroju, ale dałem sobie z nim radę. Nie trzeba meldować przełożonym. — Strażnicy spojrzeli na mnie z powątpiewaniem. Oparłem się o kamienną ścianę, ciężko dysząc, a Radwinter stał uśmiechnięty, sycąc oczy widokiem mego upokorzenia.

— Wiesz, jaka kara grozi za wszczęcie bójki w królewskich włościach? Utrata prawicy. To specjalne rozporządzenie króla. A wiesz ty, jaka kara grozi człowiekowi odpowiedzialnemu za ważnego więźnia, który napadł na jego strażnika? — Pokręcił głową, patrząc na mnie triumfalnie. — Mam na ciebie haka — rzekł cicho. — Zakarbuj to sobie w pamięci. Żołnierze widzieli. — Zarechotał. — Wiedziałem, że do tego, by cię pokonać, wystarczy wykorzystać twoją nienawiść do samego siebie — nędznego, niezgrabnego, rozgoryczonego garbusa.

— Ty zaś jesteś śmiercią! — rzekłem z wściekłością. — Zmorą, zaprzeczeniem wszelkiego dobra i życia pod słońcem!

Radwinter ponownie wybuchnął radosnym śmiechem. Nagle gniew mnie opuścił. Okazywanie złości Radwinterowi nie miało najmniejszego sensu — równie dobrze można by się gniewać na wściekłego psa.

— Zaprowadź mnie do celi — rzekłem.

Otworzył drzwi, wpuszczając mnie do środka z szyderczym uśmiechem. Muszę przyznać, że wszedłem do ciemnej nory z uczuciem ulgi. Broderick leżał na pryczy, spoglądając na mnie. Był brudny i nadal cuchnął wymiocinami. Postanowiłem, że każę go obmyć. Jego oczy były pełne zaciekawienia, jakby słyszał słowa wypowiedziane na zewnątrz.

— Przeszedłem zobaczyć, jak się miewasz — zacząłem bezbarwnym głosem.

Spojrzał na mnie, a następnie skinął chudą ręką.

— Podejdź, uklęknij obok mnie — powiedział. — Chcę mówić. Człowiek na zewnątrz, którego nazwałeś śmiercią, nie będzie mógł usłyszeć. To go rozwścieczy.

Zawahałem się, a następnie uklęknałem ostrożnie, czując, jak moje kolana trzeszczą w niemy proteście. Spojrzał na zmiętą czapkę, którą nadal trzymałem w dłoniach.

— Król cię upokorzył? — spytał cicho. Nie odpowiedziałem.

— To okrutny człowiek. Uderza z całej siły, dla przyjemności. Tak jak Radwinter. Nieszczęsny Robert Aske jest tego przykładem.

— Nie powiem niczego przeciw królowi.

— Henryk jest Mouldwarpem.

— Mam dość starych legend — rzekłem utrudzony.

— To nie legenda — zaprzeczył stanowczo Broderick. — To proroctwo. Wiedzieli o tym wszyscy uczestnicy Pielgrzymki Łaski. Merlin prorokował nadejście Mouldwarpa, tyrana, który zostanie wygnany ze swego królestwa wraz ze wszystkimi potomkami. Żadne z jego dzieci nie odziedziczy tronu. — Przyjrzałem się mu uważnie. Oldroyd wypowiedział przed śmiercią podobne słowa.

Broderick chwycił moje ramię z nieoczekiwaną siłą, a następnie szepnął delikatnie, choć stanowczo:

— „Wówczas pojawi się robak, jednooki Aske. Zgromadzi on świetne rycerstwo, kurczak zabije kapłana”. — Spojrzał na mnie płonącymi oczyma. — Widziałeś go. Ów człek mieni się przedstawicielem Chrystusa na ziemi, naszym sprawiedliwym władcą. Czy możesz zaprzeczyć, iż jest Mouldwarpem?

— Puść moje ramię, sir Edwardzie.

— Nadejście Aske'a zostało przepowiedziane. Robert miał tylko jedno oko, drugie stracił w wypadku.

— Lecz to on został pokonany, a nie król.

— Zasiał ziarno, które wyda plon. Mouldwarp zostanie obalony.

Uwolniłem ramię.

— To brednie.

— Proroctwo jest prawdziwe — odrzekł Broderick. Mówił spokojnie i z pewnością. — Król upadnie. Stanie się to wkrótce, choć pewnie po mojej śmierci.

Spojrzałem mu w oczy.

— To, co mówisz, jest zdradą stanu, chociaż pleciesz nonsensy.

Westchnął.

— W takim razie odejdz... choć sądzę, że dostrzeżesz prawdziwą naturę króla.

Podniosłem się z bólem. Z pewną satysfakcją stwierdziłem, że Radwinter spogląda gniewnie przez kraty. Otworzył drzwi.— Co rzekł? — spytał ostro. — O czym szeptaliście?

— O niczym ważnym — odpowiedziałem, patrząc na czapkę. Była zmięta, piórko się złamało, a małe paciorki luźno dyndały. Odwróciłem się i wyszedłem. Czułem, że śledzą mnie spojrzenia żołnierzy. Wiedziałem, że zawiadomią Leacona o mojej napaści.

Dotarłszy na kwaterę, wszedłem do swej sypialni, cisnąłem przeklętą czapkę na podłogę i kopałem tak długo, aż zamieniła się w bezkształtną masę. Usiadłem ciężko na łóżku.

Przypomniałem sobie, że gdy Thomas Cromwell nieprzerwanie piął się w górę, służąc Koronie, miałem niewielki udział w jego chwale — w miarę jak dawny przyjaciel zbliżał się coraz bardziej do źródła najwyższej światłości, jaką był tron. Spotkanie z królem, głową Kościoła, źródłem wszelkiej sprawiedliwości i prawa, było najwyższym zaszczytem, o jakim mógł marzyć mieszkaniec Anglii. Dzisiaj sam go poznałem. Przez chwilę miałem wrażenie, że ukazał mi, kim jestem: niegodnym stworzeniem, robakiem pełzającym po ziemi. Później ogarnął mnie gniew. Nie zasłużyłem na tak straszne upokorzenie. Pomyślałem, że Broderick miał rację, że Henryk VIII jest zaiste Mouldwarpem, a jego rządy terroru zostaną obalone. Przeszło mi przez myśl, że może tak być powinno.

Rozdział osiemnasty

Leżałem trzy godziny, na wpół otępiaty cierpieniem, dopóki nie usłyszałem dźwięku kroków i głosów wracających urzędników i prawników, których praca związana z królewską podróżą dobiegła końca. Trajkotali przy ogniu w stanie najwyższego podniecenia.

— Widzieliście owego tłustego kupca w pokutnym worze, jak czołgał się po bruku? Myślałem, że oczy mu wyjdą z orbit! — Pomyślałem, że byli świadkami upokorzenia buntowników przed królem w Minsterze.

— A jakże! Musiał unieść brzuch, aby go nie poranić o kamienie.

— Wiecie, co mi to przypomina? Stary obrzęd czołgania się do krzyża w Wielkanoc!

— Bacz, co mówisz, Rafe! Zakazano tego obrzędu...

— Mówiłem tylko...

Położyłem się na pryczy, słuchając ich paplaniny. Nie miałem ochoty wyjść z sypialni i się do nich przyłączyć. Wówczas usłyszałem znajomy głos Cowfolda.

— Słyszeliście, co król rzekł w Fulford owemu garbatemu prawnikowi?

— Tak, jeden z urzędników mi powtórzył. — Rozpoznałem głos Kimbera, młodego prawnika, który powitał mnie pierwszego dnia. — Rzekł, iż obok owego starego prawnika z Yorku wygląda niczym pokręcony pająk. Podobno twarz Shardlake'a pobladła niczym kreda. Spojrzał rozpaczliwie na królową, a następnie oddalił się chwiejnym krokiem.

— Okrutnie się z nim obszedł — zauważył jeden z zebranych.

— Gdzie tam okrutnie! — zawołał Cowfold. — Fealty i ludzie z dworu powinni wiedzieć, kogo posłać. Wybrali człowieka, który okrył południe hańbą. Garbusa. Moja matka została dotknięta przez garbusa, od tego czasu nic jej się nie układało...

Tego było za wiele. Wstałem, otworzyłem drzwi mej sypialni i wyszedłem na zewnątrz. Stojący wokół ognia zamilkli. Spojrzałem gniewnie na Cowfolda.

— Kiedy to garbus dotknął twojej matki? — spytałem donośnym głosem. — Założę się, że przed twym poczęciem, skoro od tego czasu nic jej się nie układało. Sądząc po twym wyglądzie, musiała się parzyć z wieprzami.

Niektórzy zachichotali nerwowo. Cowfold łypnął spode łba i byłby się na mnie rzucił, gdyby nie moja ranga. Odwróciłem się i wyszedłem, pozostawiając za sobą głęboką ciszę. Poczułem ból dłoni i zdałem sobie sprawę, że mocno zaciskałem pięści i paznokcie niemal rozorały skórę.

Zbeształem siebie za niepohamowany wybuch gniewu. Takie postępowanie mogło jedynie pogorszyć sprawę. Cowfold wpadnie we wściekłość i przy każdej okazji będzie ze mnie szydził za moimi plecami. Najpierw straciłem nad sobą panowanie w obecności Radwintera, a teraz Cowfolda. Stałem pod drzewem, ciężko dysząc. Patrzyłem, jak pasterze prowadzą owce o czarnych łbach do pustej zagrody. Najwyraźniej zwierzęta, które znajdowały się w niej poprzednio, zostały zabrane na rzeź, aby nakarmić tysiące gości przybyłych do miasta.

Spostrzegłem rosnącego mężczyznę w fartuchu idącego w stronę klatek z niedźwiedziami. Miał surowe oblicze i niósł tęgi kij oraz torbę, z której kapłała krew. Wielkie, kudłate bestie, które jeszcze przed chwilą leżały bez ruchu, podniosły się i zaczęły węszyć. Człowiek ów położył torbę na ziemi i wyciągnął z niej kawałki mięsa, które począł rzucać między kraty, bacząc, aby zachować bezpieczną odległość. Niedźwiedzie chwyciły je długimi pyskami, odstaniając żółte kły. Kiedy jeden z kawałków nie dosięgnął klatki, niedźwiedź wyciągnął łapę, zagarniając mięso szarymi pazurami. Mężczyzna krzyknął i uderzył go kijem. Zwierz zaryczał i cofnął łapę, opiekun zaś wrzucił mięso do środka, postępując się kijem. — Cofnij się, Bruin! — zawołał, gdy bestia spojrzała na niego maleńkimi, czerwonymi ślepiami.

Ruszyłem wzdłuż ściany kościoła w stronę głównego podwórca. Mimo późnego wieczoru na szczęście nadal było ciepło, gdyż w pośpiechu zapomniałem narzucić na grzbiet kurtkę lub pelerynę. Zapowiadał się jeden z owych złotych jesiennych wieczorów, pograżonych w ciszy i

mieniących się barwami w lekko zamglonym powietrzu. Piękno dnia kontrastowało z moim ponurym nastrojem.

Na dziedzińcu kipiało niczym w ulu. Przed King's Manor stało wielu żołnierzy, więc pomyślałem, że w środku przebywa król z królową. Studzy biegali to w jedną, to w drugą stronę, omal na przewrócili człowieka niosącego ogromne rzeźbione krzesło do pawilonów. Oparłem się o ścianę, usuwając mu się z drogi i obserwując biegające tam i z powrotem postacie.

Usłyszałem odgłosy stłumionego śmiechu. Przede mną ukazała się mała grupka dworzan. Rozpoznałem lady Rochford, która zdążyła się przebrać w żółtą jedwabną suknię. Obok niej kroczyła Jennet Marlin, tuląc do piersi małego pieska z oklapniętymi uszami. Towarzystwo im eleganckie damy, których nie znałem, z upudrowanymi twarzami i szycjami lśniącymi w promieniach słońca. Obszerne suknie szeleściły na kamieniach, gdy kobiety kroczyły w moją stronę.

Niewiasty flirtowały z grupką młodych mężczyzn, wśród których rozpoznałem Francisa Derehama, sekretarza królowej. Dereham zrobił kwaśną minę, może dlatego, iż damy zwracały większą uwagę na atletycznie zbudowanego młodzieńca o urodziwej twarzy i kręconych brązowych włosach. Prezentował się wspaniale w fioletowym kaftanie z rozciętymi żółtymi rękawami i złotym rzeźbionym sączkiem. Kiedy odwrócił głowę, w jego uchu błysnął kolczyk. W rysach twarzy młodzieńca dało się wyczuć pewną słabość, lubieżną gładkość.

— Zabierz swojego psa, lady Rochford — rzekł młody fir-cyk. — Za nadto grzeje łono panny Marlin. Popatrz, jaka jest rozpalona. — Spojrzał zaczepnie na Jennet, która faktycznie poczerwieniała, rzucając mu wściekłe spojrzenie.

— Może faktycznie powinnam to uczynić, panie Culpeper — odparła lady Rochford. — Daj mi go, Jennet. Panna Marlin podała jej psa, który zaczął się wyrywać, gdy lady Rochford przycisnęła go do piersi.

— Chodź tu, podobno trzymanie psa w owym miejscu dobre jest na słaby żołądek. Prawda, Rex?

— Znam lepszy sposób dopomożenia niewieściemu brzuchowi — odrzekł Culpeper, wzbudzając chichot pozostałych. Ku memu zdziwieniu lady Rochford rzuciła mu kokieteryjne, dziewczęce spojrzenie.

— Daj pan spokój — rzekła ze śmiechem.

— To żaden wstyd pocieszyć piękną damę — odparł, głaszcząc psa. Zwierzak warknął, próbując się uwolnić. Jego brązowa sierść zostawiła ślady na pobielonej ołowiowym pudrem szyi lady Rochford. Kiedy znaleźli się obok mnie, odwróciłem głowę, lecz Jennet Marlin i tak zdążyła obrzucić mnie złowrogim spojrzeniem. Śledziłem ich wzrokiem, gdy odchodzili. Lady Rochford, panna Marlin i ów gniewny, młody sekretarz Dereham. Wszyscy troje widzieli, jak wchodziłem do King's Manor ze skrzynką, w dniu, gdy mnie napadnięto.

Odepchnąłem się od muru i powlokłem w kierunku* naszych kwater. Ciekawe, gdzie jest Barak, pomyślałem. Pewnie z młodą Tamasin. Już miałem zamiar wejść do środka, gdy usłyszałem, że ktoś

woła moje imię. Odwróciłem się i ujrzałem, że zmierza ku mnie Craike.

— Witaj, Shardlake — rzekł z uśmiechem. — Jak się miewasz?

Wydawał się przyjaźnie usposobiony. Byłem ciekaw, czy słyszał o tym, co mnie spotkało w Fulford. Doszedłem do wniosku, że nie.

— Znośnie — odpowiedziałem. — A ty?

Westchnął.

— Ludzie skarżą się bez końca na warunki zakwaterowania. Myślą, że mogę jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki sprawić, aby z łóżek wszystkich oberży Yorku zniknęły wszy.

— Gdzie ulokowano tysiące przybyłych? — spytałem. — Gdzie ich umieściliście?

— Mam wolną minutkę — odrzekł. — Chcesz, abym ci pokazał, gdzie się wszyscy podziali?

Uniosłem brwi. — Wszyscy? Chcesz to uczynić w ciągu minuty?

Uśmiechnął się.

— W każdym razie wszyscy słudzy i furmani. Jest ich ponad dwa tysiące.

— Dobrze, przyda mi się odrobina rozrywki.

— Mnie również. To istny koszmar... chodźmy.

Ze zdumieniem stwierdziłem, że Craike prowadzi mnie do kościoła. Kiedy weszliśmy do środka, ogarnął nas wielki zgiełk. W większości boksów stały konie. Stajenni nosili duże wiązki słomy zwierzętom, które jadły łapczywie, oporzędzane przez pachotków. Poczułem przytłaczający smród gnoju. Zauważyłem, że w niektórych bocznych kaplicach urządzono prowizoryczne kuźnie. Kowale trudzili się przy kilku ogniskach, naprawiając podkowy, które zostały uszkodzone w trakcie podróży. Pomyślałem o pięciu tysiącach koni uczestniczących w królewskim objeździe i dwudziestu tysiącach podków.

Idąc za przykładem Craike'a, podwinąłem szatę, aby nie dotykała słomy i gnoju wyściełających nawę. Craike podszedł do drzwi w środku nawy, pod wielką iglicą, gdzie pełnili wartę dwaj żołnierze.

— Jest kto na górze, żołnierzu? — zapytał.

— Nie, panie. Obecnie nie ma nikogo.

Craike zwrócił się do mnie.

— Chodź — powiedział. — Dasz radę pokonać kilka stopni?

— Tak mi się zdaje. — Zawahałem się. Czy to mądre iść samemu z człowiekiem podejrzanym o napaść? Do diabła, pomyślałem. Nie będę się cofał ze strachu w tym przeklętym miejscu.

Przekroczyliśmy drzwi, stając na długich, krętych schodach. Wiodły one wysoko i obaj ciężko dyszeliliśmy, gdy Craike otworzył kolejne wrota prowadzące na dzwonnice. Choć dzwony przetopiono dawno temu, można było wyrzeć za barierkę, która je niegdyś osłaniała, i rzucić okiem na nawę. Daleko w dole kował kuł rozpalone do czerwoności żelazo, które oświetlało kolumny nieziemskim światłem. Nagle przypomniałem sobie śmiertelną walkę, którą cztery lata temu stoczyłem na innej dzwonnicy w Scarnsea. Omal nie przypląciłem tego życiem. Skoczyłem z przerażenia, gdy Craike dotknął mojego ramienia.— Lękaś się wysokości? Ja również jej nie lubię, lecz warto się wspiąć dla takiego widoku. — Zaprowadził mnie do okna. — Spójrz.

Stanąłem obok niego i wybałuszyłem oczy. Pola za klasztorem otoczono wiklinowym ogrodzeniem, tworząc wielkie obozowisko. Na łące rozstawiono setki stożkowatych, żołnierskich namiotów. Nad ogniskami zasnuwającymi dymem wieczorne niebo wisały kotły i ogromne rożna. Na sąsiednim polu stały setki wozów strzeżonych przez żołnierzy, a stada ogromnych koni pociągowych skubały trawę na łąkach, które ciągnęły się za nimi. Nieco bliżej ujrzałem mężczyzn kopiących latrynę. Przed namiotami roito się od ludzi. Niektórzy grali w kości, inni biegali za piłką. Od strony prowizorycznego ringu, na którym toczyły się walki kogutów, dolatywał śmiech i radosne okrzyki.

— Dobry Jezu! — westchnąłem.

— Obóz królewskiej straży. To ja wpadłem na pomysł, aby użyć dzwonnicy jako wieży obserwacyjnej. Urzędnicy i dowódcy mogą od czasu do czasu wspiąć się na górę, aby sprawdzić, co się dzieje. Dziękuję Bogu, odpowiadam jedynie za zakwaterowanie dworzan i szlachty.

— Organizacja obozu jest doprawdy zdumiewająca — rzekłem cicho. — Niemal przeraża.

Skinął wolno głową. Promienie słońca podkreśliły zmarszczki na jego pulchnej twarzy.

— Królewskie rody organizują takie wyprawy od wieków, podobnie wojsko. Z drugiej strony podróż trwa już wiele tygodni! To ogromny wysiłek. I znaczne koszty — dodał, unosząc brwi. — Nie masz pojęcia, ile to wszystko kosztuje.

Spojrzałem-na rzędy wozów.

— Dziś rano zdumiała mnie ilość dóbr, które tu sprowadzono.

— Zaiste. Głównie namioty. W niektórych rejonach kraju musieli w nich nocować nawet członkowie Tajnej Rady. Oprócz tego tysiące innych rzeczy, odjadła i paszy po dokumenty Tajnej Rady i charty, których król potrzebuje, gdy przyjdzie mu chęćka na łowy. — Spojrzał na mnie poważnie. — I dodatkowa broń, na wypadek kłopotów na północy, gdyby trzeba było zamienić w żołnierzy furmanów i woźniców.

— Co tam się dzieje? — spytałem, wskazując rząd kolorowychnamiotów stojących w niewielkiej odległości od pozostałych, przed którymi ustawiła się ciasna kolejka.

Craike poczerwieniał i odchrząknął:

— To... niewiasty podążające za wojskami...

— Kto?

— Dziwki.

— Rozumiem.

— W królewskim objeździe uczestniczą wyłącznie mężczyźni, nie licząc dam i dworek królowej. Nie mogliśmy pozwolić, aby mężczyźni dostali amoku w miastach, które mijaliśmy po drodze. Z konieczności... — Wzruszył ramionami. — Nie jest to przyjemne. Większość owych pań wybrano w Londynie i starannie przebadano. Nie chcemy rozprzestrzeniać w kraju francuskiej zarazy.

— Cóż, mężczyźni mają swoje potrzeby.

— Trudno zaprzeczyć, choć nie nawykłem do hołoty, jaką jest królewska służba. Powinieneś zobaczyć ich w drodze, panie. Znieważają wieśniaków, upijają się, załatwiają potrzebę, gdzie popadnie. Gdyby nie żołnierze, wywieźliby wszystko na tych swoich wozach. A jacy bezczelni! Zioną na dworzan cuchnącym oddechem, bez żadnej krępacji drapią się w kroku... — Potrząsnął głową. — Nowa nauka sprawiła, że pospólstwo stało się aroganckie. — Spojrzał na mnie przenikliwie. — Może jesteś innego zdania? Słyszałem, że opowiadasz się za reformami.

— Kiedyś faktycznie tak było — odpowiedziałem. — Teraz nie jestem po żadnej ze stron.

Craike westchnął.

— Pamiętasz nasze studenckie lata, zanim Anna Boleyn wszystko zmieniła? Spokojne to były czasy? W Lincoln's Inn jedna pora roku następowała po drugiej, a przyszłość była równie pewna jak przeszłość.

— Rzeczywiście, tamte lata wydają się spokojne — powiedziałem.

Przechylił głowę.

— Uważam, iż były to lepsze czasy. Kiedy rozpoczynałem służbę na dworze, nadal rządziła stara szlachta. Dziś ich miejsce zajęli ludzie z gminu, nowi obywatele. Cromwell odszedł, lecz pozostało wielu innych

— Zaiste. — Skinąłem głową. — Widziałem dziś Richarda Richa.

Zdumiała mnie jego reakcja na dźwięk tego nazwiska. Odwrócił głowę i rzucił mi przerażone, gniewne spojrzenie.

— Znasz Richa?

— Starłem się z nim w sądzie. W Londynie wspierał mojego oponenta.

— To istny wąż — rzekł gwałtownie Craike.

— Racja. — Przerwałem, mając nadzieję, że powie coś więcej, lecz zmienił temat.

— Dowiedzieliście się czegoś o człowieku, który napadł was w King's Manor?

— Nie. — Spojrzałem na niego uważnie.

— Zapewniam cię, że go znajdziemy.

— Może o tym nie wiesz, lecz od czasu owego ataku zwiększono środki ostrożności. Ludzie powiadają że śmierć nieszczęsnego Oldroyda nie była przypadkowa. Że z jakiegoś powodu został zamordowany.

— Tak powiadają?

— Tak. Ludzie odpowiedzialni za bezpieczeństwo są zatroskani. Na każdym posterunku dokonują kontroli, aby odsiać ludzi, którzy chcą się utuczyć na królewskim dworze — tych, którzy podają się za służbę, aby kraść jadło i inne dobra. Słyszałem, że dzisiejszego dnia uważnie sprawdzano wszystkie dokumenty, a ci, którzy nie byli uprawnieni do przebywania na terenie obozu, zostali przesłuchani, a nie wyrzuceni jak dotąd. — Popatrz na mnie. — Co się tu dzieje?

Byłem ciekaw, czy usiłuje wyciągnąć ode mnie jakieś informacje, choć sprawiał wrażenie szczerze zdumionego.

— Nie mam pojęcia.

— Byłem przerażony, gdy Maleverer kazał mnie przeszukać w dniu, gdy cię znalazłem.

— Nie masz się czego lękać, przecież cię wypuścił. Zostałeś ponownie przesłuchany?

— Nie, choć... rozmawiałem z Oldroydem częściej niż ktokolwiek inny w Świętej Marii. — Westchnął. — Muszę wyznać, że gdy zostałem posłany do Yorku, aby przygotować wszystko na przyjazd króla, lękałem się tutejszej ludności. Słyszałem, żeobywatele Yorku to zbuntowane dzikusy. Choć w mojej obecności bardzo się pilnowali, nie okazywali przyjaźni. W przeciwieństwie do nich mistrz Oldroyd okazał się niezwykle rozmowny. Był uprzejmie usposobiony, to wszystko. — Wziął głęboki oddech. — Lękam się, że niektórzy będą się w tym doszukiwać czegoś więcej. Musiałeś zauważyć, że mimo zewnętrznych pozorów wszyscy... mieszkańcy Yorku i przybysze z południa... stąpają po kruchym lodzie. Każdy jest podenerwowany.

Coś ukrywasz, pomyślałem, czuję to. Przypomniałem sobie, że Barak widział, jak późnym wieczorem wstępuje do nędznej tawerny w ubogiej części miasta.

— Musiałeś się czuć samotny, gdy tu przybyłeś — powiedziałem.

— Nie zaprzeczę. Mistrz Oldroyd był człowiekiem, z którym mogłem pogadać.

— Założę się, iż będziesz rad, gdy to wszystko dobiegnie końca i spokojnie wrócisz do rodziny w Londynie. Masz siedmioro dzieci, czy tak?

— Tak. Dzięki Bogu wszystkie żyją i mają się dobrze. Podobnie jak ich matka, moja Jane. — Ze zdumieniem zauważyłem, że jego oblicze spochmurniało. — Nie chciała, abym wyruszył razem z królewskim dworem. — Zaczął nerwowo gmerać przy guzikach szaty. — Wyjechałem z domu na dłużej, niż sądziłem. Mam wrażenie, że nikt nie wie, jak długo zabawimy w Yorku. Lękam się, że po powrocie będzie mnie czekać sroga awantura. Odkładana od czterech miesięcy. — Roześmiał się nerwowo. Pomyślałem, że obraz szczęśliwego życia małżeńskiego Craike'a, który sobie wyrobiłem, mógł być fałszywy. Nie wiedziałem, czy zagadnąć go o wizytę w tawernie, lecz postanowiłem tego nie czynić, by nie nabrał wobec mnie podejrzliwości. Pomyślałem, że udam się tam z Barakiem.

— Robi się ciemno — rzekłem. — Zejdźmy na dół, póki jeszcze coś widać. Dziękuję za pokazanie obozu. Myślę, że pójde go obejrzeć.

— Uczyniłem to z prawdziwą radością. — Uśmiechnął się i sprowadził mnie na dół. Ruszyłem w kierunku przeciwnego końca kościoła. Przez boczną furtę obok kościoła Świętego Olafa przelewał się strumień ludzi bez wątpienia jak ja pragnących obejrzeć wielki obóz. Z pewną niechęcią wmieszałem się w tłum, wiedząc, że niektórzy z przechodniów musieli być w Fulford. W niewielkim oddaleniu ujrzałem wielki buk o liściach barwy miedzi. Na gęstej trawie wokół pnia rozpościerała się warstwa ciemnopurpurowych liści. Obok stała ława, podszedłem i usiadłem na niej. Słońce zachodziło, a pod drzewem ścielił się mroczny cień. Obserwowałem ludzi wchodzących i wychodzących przez bramę, wsłuchując się w szelest opadających liści.

Moje myśli powróciły do Fulford. Zjawiły się ponownie jak pies, który powraca do swych wymiocin. Czy rzeczywiście pobladłem jak kreda? Czy rzuciłem królowej rozpaczliwe spojrzenie? Byłem ciekaw, jak musi się czuć dziewczyna poślubiona temu spasionemu starcowi o cuchnącej nodze. Przypomniałem sobie oczy króla okrutne jak oczy Radwintera. Taki był król Anglii, człowiek, którego Cranmer uważał za pomazańca bożego i strażnika naszych dusz. Wszystkim nam od maleńkości wpajano, że król jest większy od zwykłych śmiertelników. W ostatnim czasie władca Anglii urósł do rangi półboga. Nigdy w to nie wierzyłem, nie wierzyłem też, aby blask królewskiego majestatu zdołał ukryć tak wielką fizyczną i moralną brzydotę. Z pewnością dostrzegali ją także inni. A może oszołomił ich królewski przepych, jego władza? Byłem ciekaw, jak odebrał to spotkanie Giles, którego król w przeciwieństwie do mnie nazwał krzepkim człowiekiem. Raz jeszcze pomyślałem, że powinien był zaczekać, by mi dodać otuchy. Nie sądziłem, że zniknie, aby uniknąć kłopotliwej sytuacji.

— Tu jesteś, dzięki Bogu.

Podniosłem głowę i ujrzałem pochylającego się nade mną Baraka.

— Tak, tutaj się ukryłem. Obawiam się, że przychodzą mi do głowy zdradzieckie myśli.

— Czy to bezpiecznie siedzieć tak samemu?

— Nie jestem w nastroju, aby się tym przejmować. Słyszałeś, co się stało w Fulford?

— Tak, ów Cowfold drwił sobie z ciebie, gdym wrócił. — Zbeształem go niedawno, pewnie popełniłem błąd.

— Zagroziłem mu, że jeśli nie zamknie gęby, będę walił jego łbem o ścianę tak długo, aż stanie się miękki niczym pieczone jabłko. Mam nadzieję, że to go uciszy.

Uśmiechnąłem się.

— Dziękuję. — Zauważyłem niepokój malujący się na jego twarzy. — Coś się stało?

— Wszędzie cię szukałem, Maleverer chce widzieć nas obu w King's Manor.

— Ach. — Nagle w głowie mi się rozjaśniło, a ponury nastrój przysł.

— Jest z nim przedstawiciel Tajnej Rady. Chce z nami pomówić o zaginionych dokumentach.

Rozdział dziewiętnasty

Stanęliśmy ponownie przed biurkiem Maleverera. Dwóch strażników powiodło nas korytarzami King's Manor, którymi w dostojnym milczeniu stąpali bogato odziani słudzy i dworzanie. Król i królowa byli na górze, w królewskich apartamentach. Przypomniałem sobie ludzi, którzy rano trudzili się, wnosząc po schodach ogromny materac.

Maleverer siedział za biurkiem odziany w czerwony jedwabny kaftan, na szyi miał łańcuch — oznakę sprawowanego urzędu. Skinął, abyśmy stanęli przed biurkiem, sam zaś usiadł, zlustrował nas wzrokiem.

— Jakem rzekł, panie prawniku, członkowie Tajnej Rady przystali kogoś, aby z wami pomógł.
— Uśmiechnął się złowrogo na dźwięk kroków, które dobiegły z korytarza. — Pewnieście ciekawi, kogo przystali.

Nie odrzekłem. Usłyszeliśmy stanowcze pukanie do drzwi. Maleverer powstał i w jednej chwili z brutalnego despoty przeistoczył się w przymilnego dworzanina, gdy do izby wkroczył sir Richard Rich odziany we wspaniałą ciemnozieloną aksamitną szatę obszytą bobrowym futrem.

— Sir Richardzie, to dla mnie wielki zaszczyt. Spocznijcie, proszę.

— Dziękuję, sir Williamie — odrzekł gładko Rich. Usiadł, Maleverer zaś zastygł obok w pozie wyrażającej głęboki szacunek. Rich spojrzał na mnie, a na jego bladej twarzy ukazał się kwaśny uśmiech. — Witam, kolego Shardlake. Widziałem was w Yorku wczorajszej nocy. Znam kolegę Shardlake'a, sir Williamie.

— Jego obecność jest tu dla nas wielkim utrapieniem — rzekł Maleverer.

— Słyszałem. — Rich przyjrzał się mej twarzy zimnymi, szarymi oczami. — Spotkaliśmy się kilkakrotnie... rok temu. Czeka nas kolejne spotkanie przed Sądem Kanclerskim.

— Doprawdy?

— Czy wiecie, sir Williamie, że król uczynił zaszczyt koledze Shardlake'owi, zwracając się do niego osobiście? A raczej wypowiadając się na jego temat...

— Coś słyszałem.

— Mówią o tym wszyscy prawnicy. Kolega Shardlake wraz z prawnikiem z Yorku miał wręczyć Jego Wysokości w Fulford Cross prośby ludności Yorku...

— Ze starym Wrenne'em.

— Tak się zwie? Żałuj, żeś nie widział, panie, kolegi Shardlake i Wrenne'a stojących przed królem. Wrenne jest bardzo wysoki i trzyma się prosto. Z daleka przypominali dumnego starca i jego zgarbioną żonę staruchę — Rich wybuchnął śmiechem. — Król oznajmił, że północ rodzi krzepkich męźów, roślej szych czasem od ludzi z południa.

Maleverer spojrział na mnie i uśmiechnął się.

- Jego Wysokość umie rzucić celny żart. Spodoba się on mieszkańcom Yorku.
- Już im przypadł do smaku. Stoją na rogatkach, rechocząc.

Maleverer rzucił mi zły uśmiech.

- Widzicie, kolego Shardlake, pomogliście królowi nagiąć północ do własnej woli.
- Tym bardziej jestem rad — odparłem, z trudem panując nad głosem.

Maleverer się roześmiał.

- Zgrabnie powiedziane, nie sądzisz, sir Richardzie?
- Raczej ironicznie, znając usposobienie kolegi — burknął Rich. Pochylił się do przodu. — Mamy jednak inne sprawy na głowie. Kolego Shardlake, byliście w posiadaniu kilku dokumentów... bardzo ważnych dokumentów, ważniejszych, niż wam się zdaje. I pozwoliliście je sobie zabrać. Sir William opowiedział mi, co się stało, chciałbym jednak usłyszeć relację z waszych ust.
- Chętnie opowiem, sir Richardzie.

Opowiedziałem mu o wizycie w domu Oldroyda, znalezieniu skrytki w murze, dokumentach oraz napaści. Rich zrobił gniewną minę, gdy powiedziałem, jak Barak próbował otworzyć skrytkę.

- Nie mieliście prawa tego robić. Waszym obowiązkiem było pilnowanie jej do powrotu sir Williama.
- Przepraszam, sir Richardzie.
- Ja również — dodał Barak.

Rich prychnął, zwracając wzrok na Baraka.

- Widzę, że nadal sobie pozwalasz, jakby lord Cromwell żył. Nie ma go już wśród nas. Jesteście parą głupców wściubiających nos w cudze sprawy. — Przez chwilę patrzył na nas w gniewnym zamyśleniu. — Kto widział, że wnosicie skrytkę do King's Manor?
- Gdy weszliśmy, w holu była lady Rochford, jej dama do towarzystwa, panna Marlin i sekretarz Dereham. Patrzyli na nas. Moja peleryna była brudna.

Rich wybałuszył oczy.

- Jakim cudem macie znajomych w tych kręgach?
- Nie znam tych ludzi, sir Richardzie... jeno... — Spojrzałem na Baraka.
- Ów Barak flirtuje z pomocą kuchenną pozostającą pod zwierzchnością panny Marlin — wyjaśnił Maleverer.
- Widział was ktoś jeszcze? — prychnął Rich.

— Jedynie kolega Craike, który pozwolił nam zostawić skrzynkę w swoim gabinecie. Oprócz nich kolega Wrenne, którego spotkaliśmy po drodze i sierżant pełniący straż w bramie.

— Przesłuchałem wszystkich trzech i ową dziewczkę — oznajmił Maleverer. — Wypytałem też ucznia Oldroyda, lecz nie powiedział nam nic cennego.

— Musiało nas widzieć wielu innych, których nie zauważyliśmy — powiedziałem.

Rich się zamyślił.

— Przepytaliście lady Rochford w sprawie owej skrzynki? — spytał.

— Nie, panie. Wypytałem Jennet Marlin. Uznałem, że nie powinienem się mieszać w sprawy dworu królowej.

Rich skinął głową.

— Zaiste, lady Rochford i Dereham nie mogą być przesłuchiwanie przez kogoś takiego jak wy. Szambelan królowej zada im kilka ostrożnych pytań. Jeśli idzie o pannę Marlin, jej narzeczony siedzi w Tower. Podejrzewają go o przynależność do grupy spiskowców z Gray's Inn powiązanych ze spiskiem wykrytym na wiosnę.

— Przesłuchano ją i uznano, że może wyruszyć razem z królewskim dworem — rzekł Maleverer.

— Dopilnuję, aby przepytano lady Rochford i Derehama. Wy przesłuchacie ponownie ową Marlin. Zobaczmy, co to da. — Rich odwrócił się i wskazał długim palcem mnie, a następnie Baraka. — Lepiej uczynicie, powściągną ciekawość, kolego Shardlake. Za dużo wiecie. Niektórzy członkowie Tajnej Rady chcieliby was odesłać do Londynu, lecz pozostaniecie tu, abym miał na was oko. Prócz tego arcybiskup chce, abyście pilnowali Brodericka. Słyszałem jednak, że ktoś próbował otruć więźnia.

— Tak, sir Richardzie.

— Powiedział kto?

— Nie, zastanawiam się...

— Mów!

— Zastanawiam się, czy nie brał udziału we własnym otruciu. Wiem, że pragnie śmierci.

Rich spojrzął na Maleverera.

— Czy to możliwe?

— To niezwykły człowiek. Został surowo przesłuchany na zamku w Yorku, lecz nie rzekł ani słowa. Kaci lękali się, że skona, gdyby kontynuowali.

— Jakich narzędzi użyli?

— Jak zwykle, koła i rozpalonych do czerwoności pogrzebaczy. Kaci nie byli wszak sprawni w swym rzemiośle.

— Nie można powierzyć miejscowym tajemnic skrywanych przez Brodericka. Właśnie dlatego król nakazał, aby go przewieźć do Tower, gdzie zajmą się nim mistrzowie w tym rzemiośle. — Potrząsnął głową. — A czas płynie.

— Miejmy nadzieję, że za kilka dni znajdzie się na łodzi — rzekł Maleverer.

— Będziemy zdani na pomyślne wiatry. Można by go wyekspediować drogą lądową, lecz po deszczach i przejściu królewskiego orszaku trakty są w strasznym stanie. — Rich odwrócił się w moją stronę: — Jak on się miewa?

— Nadal jest osłabiony po podaniu trucizny. — Zawahałem się. — Widziałem go dziś. Opowiedział mi legendę o Mould-warpie. Mam wrażenie, iż daje jej wiarę.

Rich spojrzął na Maleverera.

— W skrzynce był dokument, który do niej nawiązuje.

— Legenda Mouldwarpa często krąży wśród buntowników w okresie zamieszek. Pasuje to do fanatycznej postawy Brodericka.

Rich rzucił mi przenikliwe spojrzenie.

— Dlaczego właśnie wam ją opowiedział? Chyba nie sądził, że dacie jej wiarę, co?

— Podśledzał moją rozmowę z Radwinterem. — Wziąłem głębszy oddech. — Radwinter wyciągnął ze mnie, że zostałem wyszydzony przez króla. Broderick usłyszał te słowa i opowiedział mi legendę o Mouldwarpie. Przysięgam, że nie rzekłem nic przeciw królowi.

Rich odchylił się do tyłu i spojrzął na mnie z ukosa.

— Lepiej, abyście tego nie czynili, w przeciwnym razie znajdziecie się w tarapatkach. Już bez tego cieszycie się złą sławą wśród członków Tajnej Rady. Coś wam poradzę, kolego Shardlake: pochylcie nisko głowę, idąc za naturalnym kształtem waszego wygiętego ciała.

— Rozumiem, sir Richardzie.

— Trzymajcie się z boku. To najlepsza rada dla was. — Mówił wolno i ostro'żnie, wbijając we mnie szare oczy pozbawione życia niczym oczy trupa. Pochylił się ku mnie i dodał: — Pomogłoby waszej reputacji, gdybyście doradzili londyńskiemu ratuszowi zrezygnować ze sprawy Bealknapa.

Spojrzałem mu w oczy. Zrozumiałem, że Rich podjął się tego przesłuchania, aby wyrzucić na mnie nacisk. Nic nie odrzekłem, on zaś lekko przechylił głowę.

— Kontynuowanie sporu nic wam nie da. Znalazłem odpowiedniego sędziego i zadbam, aby to on przewodniczył naszej sprawie. — Kogo? — spytałem.

— Kwestia ta nie została jeszcze oficjalnie przesądzona. Dowiedcie się w swoim czasie, jeśli będziecie trwać w uporze. Lepiej wszak, uwierzcie mi na słowo i doradźcie rajcom, aby odstąpili i oszczędzili sobie kosztów.

Nigdy nie uwierzyłbym słowom Richa. Zauważyłem, że Barak spojrział na mnie niespokojnie, co nie uszło uwagi sir Richarda.

— Może uda ci się przywieść twojego pryncypała do zdrowych zmysłów — prychnął. — W przeciwnym razie nie wiem, czym to się dla niego skończy.

Maleverer pochylił się w stronę Richa i rzekł cicho, choć z naciskiem:

— Moglibyśmy skorzystać z okazji i pomówić o majątku należącym do rodziny Aske'a, sir Richardzie? Gdyby udało się dojść do zgody w kwestii wydatkowania...

— Nie teraz. — Rich zmarszczył brwi i spojrział na mnie. — Idźcie już — powiedział. — Sprowadźcie ową Marlin. — Rzekłszy to, skinął dłonią, dając znak, abyśmy wyszli. Strażnik stojący na zewnątrz sprowadził nas po schodach.

— łączy ich jakiś podejrzany interes — mruknąłem do Baraka.

Na dworze zapadał zmrok.

— Niech to szlag! — zaklął Barak.

— Nie zdołałbym lepiej tego wyrazić — przytaknąłem z goryczą.

— Co masz zamiar uczynić w związku ze sprawą Bealknapa?

— Nie wierzę, aby Richowi udało się przekupić sędziego. W przeciwnym razie podałyby nazwisko. Nie, wykorzystał okazję, aby mnie zastraszyć.

— Zastraszyć ciebie? — Barak przystanął. Był wściekły, a z drugiej strony tak przestraszony jak nigdy. — Zastraszyć ciebie? — powtórzył. — Masz pojęcie, jaką presję może na ciebie wywrzeć, jeśli zechce? Na człowieka, który cieszy się niełaską wśród członków Tajnej Rady? Wiesz, co mógłby ci uczynić, gdyby zechciał?

— Mam ochronę Cranmera.— Zauważyłeś tu Cranmera? Podczas uroczystości nie dostrzegłem ani jednej arcybiskupiej szaty. Cranmer nie obroni cię przed Richem, jeśli ten będzie się cieszył wsparciem Tajnej Rady.

— Cranmer...

— Czy podjąłby tak wielkie ryzyko dla kogoś tak znikomego jak ty lub ja. Nie tylko ty jesteś w niebezpieczeństwie... to ja podjąłem próbę otwarcia owej przekłętej skrzynki!

— Nie pozwolę odsunąć się od sprawy naciskiem lub szantażem!

— Sam powiedziałeś, że nie sądzisz, abyś wygrał.

— Nie ulegnę szantażowi! — Zauważyłem, że mój głos przeszedł w krzyk.

— Ślepy upór — ocenił Barak. — To ślepy upór i pycha. Doprowadzisz do własnej śmierci... do śmierci nas obu. — Otworzył usta, aby rzec coś więcej, lecz po chwili zamknął je i odszedł.

Przesunąłem dłonią po czole.

— Cholera! — zakląłem tak głośno, że przechodzący urzędnik spojrzał na mnie ciekawie. Zawróciłem i poszedłem wzdłuż ściany kościoła do ławki pod bukiem. Ludzie w dalszym ciągu wchodzili i wychodzili przez furtę prowadzącą do obozu. Zadrżałem z zimna, gdyż powietrze stało się chłodne.

Wybuch Baraka mnie zaskoczył. Kiedy poznałem go rok temu, stanowił ucieleśnienie buntu, gotów odnosić się z pogardą nawet do najwyższej postawionych. Wtedy znajdował się jednak pod ochroną lorda Cromwella, Rich zaś z lubością przypominał nam, że Cromwell już nie żyje. Przyznał jednak, że nie pragnie sporów. Dziwnie wszak było słuchać, jak mnie oskarża o upór i lekkomyślność. Poczułem ciepłą falę samozadowolenia. Broniełem swoich klientów, co było powinnością każdego uczciwego prawnika. Osobista prawość była moją dewizą, podstawą tożsamości w zepsutym świecie prawa. Czy nawet tego miałem zostać pozbawiony przez owych szyderczych dworzan?

Kiedym jednak dłużej siedział pod drzewem, humor mi się poprawił. Wiedziałem, że uchwyciłem się tak kurczowo myśli o własnej reputacji, gdyż miałem straszny dzień i czułem, iż oprócz niej nic mi nie pozostało. Nie miałem prawa wplątywać Baraka w niemądry bunt przeciwko Richowi. Z drugiej strony nie mogłem porzucić moich klientów, wiedziałem bowiem, że mamy szansę na zwycięstwo. Barak z pewnością był tego świadomy.

Podskoczyłem nagle, słysząc dźwięk zbliżających się kroków. Wiedziałem, że nadal mogę się znajdować w niebezpieczeństwie. Przez trawnik zdążyła ku mnie mroczna postać. Z ulgą stwierdziłem, że to niewiasta. Suknia szeleściła o liście leżące wokół drzewa. Kiedy podeszła bliżej, ze zdumieniem zobaczyłem, że to Tamasin. Miała na sobie żółtą suknię i piękny srebrny naszyjnik.

— Panienska Reedbourne?

Dygnęła i zatrzymała się przede mną niepewnie. Sprawiała wrażenie zdenerwowanej, co wydawało się u niej niezwykle.

— Chciałabym z wami pomówić, panie — rzekła z wahaniem. — Widziałam, że usiedliście pod drzewem.

— O co chodzi?

— To ważna sprawa. Ważna dla mnie.

— Słucham. — Kiedy wskazałem ławę, spoczęła obok mnie. Przez chwilę milczała, jakby zastanawiała się, co powiedzieć. Przyjrzałem się jej uważnie. Wysokie kości policzkowe, pełne usta i broda wyrażająca determinację sprawiały, że była naprawdę niezwykle ładna, a do tego młoda. Wydała mi się niewiele starsza od dziecka.

— Panna Marlin została wezwana do sir Williama na przesłuchanie — oznajmiła w końcu.

— Wiem. Niedawno byliśmy u niego z Barakiem. Zastaliśmy tam sir Richarda Richa.

- Panna Marlin sprawiała wrażenie zagniewanej. Nie znosi sir Williama z całej duszy.
- Zauważyłem to w środę, gdy wezwano cię na przesłuchanie.

Poczerwieniała na wspomnienie podstępu, którym się posłużyła.

- Lepiej uczynisz, dając spokój Barakowi i mnie — rzekłem. — Wykonujemy tu tajną misję.
- Rozumiem, panie.
- Posprzeczaaliśmy się. Na pewno ci opowie. Jack bywa impertynencki.
- Jest bardzo zaniepokojony, panie.
- Zwykle to ja mam powody do niepokoju. — Zawahałem się. — Może tym razem to on miał rację. — Spojrzałem na Tamasin, zastanawiając się, ile jej mogę zdradzić. Im mniej, tym lepiej, dla jej własnego dobra. — Wiesz, gdzie jest?
- Poszedł rzucić okiem na obozowisko. Chciałam wam powiedzieć, panie... — ponownie się zawahała.
- Tak? — rzekłem zachęcająco. Pomyślałem, że nie było jej łatwo do mnie przyjść. Do starego, zrzędliwego chlebodawcy Baraka, za jakiego mnie pewnie uważała.
- Przepraszam za podstęp, którego użyłam, gdy wjeżdżaliście do Yorku.

Skinąłem głową.

- Postąpiłaś nierozważnie, w sposób niestosowany dla białogłowy. Maleverer miał rację, mimo to nie powinien być cię uderzyć.

Potrząsnęła głową.

- Nie dbam o to. — Patrzyła teraz na mnie pewnym wzrokiem. — Prowadzę dziwne życie, panie Shardlake. Od początku musiałam się o siebie troszczyć. Moja matka służyła na dworze.
- Wiem, Barak mi powiedział.
- Szyła dla dworów w królewskiej szwalni. Za Katarzyny Aragońskiej, a później Anny Boleyn.
- Naprawdę?
- Tak. Umarła podczas zarazy, która nawiedziła Londyn siedem lat temu.
- Przykro mi — rzekłem delikatnie. — Tylu ludzi umarło. Sam straciłem wówczas bliską osobę.
- Miałam wtenczas dwanaście lat. Na świecie została mi tylko babka, a raczej to ja jej zostałam. Była stara, niedomagająca.
- Rozumiem.

— Nigdy nie poznałam ojca, choć mniemam, iż był szlachetnej krwi. — Odniosłem wrażenie, że lekko się wyprostowała. — Mama powiedziała, że był doradcą pracującym na dworze.

— Naprawdę?

— Tak, może nawet starszym urzędnikiem.

Albo krawcem. Współczułem jej. Matka opowiedziała bajeczkę, aby ją pocieszyć, złagodzić wstyd związany z jej przyjściem na świat.— Widzę, że mi nie wierzysz, panie. Jestem przekonana, że tak faktycznie było. Czuję dumę niezależnie od tego, co okrutni ludzie powiedzą o moim urodzeniu.

— To dobrze. Nie słuchaj tego, co mówią okrutni ludzie. — Nawet jeśli tym kimś jest król, pomyślałem.

— Babcia poradziła, abym skorzystała z tego, że zaraza przetrzebiła szeregi służby, i objęła posesję po matce — ciągnęła dziewczyna. — Posłuchałam jej. W kancelarii szambelana rzekłam, że jestem wprawną szwaczką, choć nie miałam pojęcia o tej robocie.

— Wiesz, jak użyć podstępu.

Rzuciła mi gniewne spojrzenie.

— Ciężko pracowałam, panie. Tyrałam dniami i nocami, aby wyuczyć się na dobrą szwaczkę. Uczyłam się od innych dziewcząt, które pomagały mi przez wzgląd na matkę. Biedni ludzie muszą sami sobie radzić. Miałam na utrzymaniu siebie i babcię, a w szwalni królowej dobrze płacono, chroniono przed brutalnością zewnętrznego świata.

— Rozumiem.

— Nauczyłam się kombinować, panie.

— Jak Barak.

— Kiedy go ujrzałam owego dnia w mieście, coś się we mnie poruszyło. Pomyślałam, że mogłabym zaaranżować spotkanie.

Uśmiechnąłem się mimowolnie.

— Jesteś sprytna i śmiała, panienko. — Spojrzałem jej w oczy. — Myślisz, że ryba chwyciła haczyk?

Jej twarz przybrała poważny wygląd.

— Zaprzyjaźniliśmy się. Chciałam tylko powiedzieć, abyś nie stawał nam na drodze. Czy jestem zuchwałą, że o to proszę?

Przyglądałem się jej przez dłuższą chwilę.

— Myślę, że jesteś niezwykłą kobietą, panienko Reedbourne — powiedziałem. — Sądziłem, że jesteś płochą istotą, lecz się myliłem.

— Jack żałuje słów, które wypowiedział.

— Kiedyś był bardzo zuchwały, lecz teraz w połowie się ustatkował, choć druga połowa pozostała taka jak dawniej — dodałem.

— Mam nadzieję, że całkiem się ustatkuje — powiedziała. — Że będzie nadal u pana pracował.

Uśmiechnąłem się cierpko.

— Zatem o to chodzi, panienko Tamasin. Przysłaś zaproponować mi sojusz.

— Mamy wspólny cel. Jack bardzo cię podziwia, panie. Powiada, że znasz niedole ubogich i masz dla nich współczucie. Że rozumiesz ich potrzeby. x

— Naprawdę tak rzekł? — zapytałem. Byłem poruszony, choć najwyraźniej o to jej chodziło.

— Tak. Uważa, że dokumenty zaginęły z jego winy. Myślę, że jest na siebie wściekły. Nie bądź dla niego zbyt surowy, panie.

Wziętem głęboki oddech.

— Zastanowię się nad tym, co mi powiedziałaś, panienko.

— O nic więcej nie proszę.

— Widzę, że ci na nim zależy. A jemu na tobie?

— Mam nadzieję, że gdy ta przekłeta podróż się skończy, spotkamy się ponownie w Londynie. To jednak zależy ód niego.

Skinąłem głową.

— Opowiedz mi, jak porzuciłaś szwalnię i zaczęłaś pracować dla panny Marlin i lady Rochford.

— Po śmierci Jane Seymour jej służba poszła w rozsypkę. Dostałam posadę razem z panią Cornwallis, cukiernikiem królowej. Nauczyła mnie ona sztuki przyrządzania cukierków i innych słodczy.

— Zaprzyjaźniłyście się, prawda?

— Tak, to pocziwa staruszka.

— Umiesz się zaprzyjaźnić, z kim trzeba. Jak powiadasz, ludzie ubodzy muszą zadbać o siebie.

— Kiedy rok temu król poślubił Katarzynę, trafiłam do niej na służbę. Ona też przepada za łakociami. Moją przełożoną została panna Marlin. Była dla mnie bardzo dobra.

— Panna Marlin to dziwna niewiasta.

— Jest dla mnie życzliwa. Inne kobiety z niej drwią.

Bez wątpienia ty też jesteś z natury życzliwa, pomyślałem.

— A lady Rochford? — spytałem. — Jaka jest?

— Mam z nią niewiele do czynienia. Wszyscy się jej lękają, powiadają, że jest niebezpieczna.—
Naprawdę taka jest?

— Tak sędzę. Nic nie sprawia jej większej przyjemności od rozpuszczania pikantnych plotek tam, gdzie mogą spowodować największe szkody. — Zmarszczyła brwi. — Nie jest głupia, choć głupio postępuje.

— To niebezpieczne.

— Zaiste, choć ona zawsze taka była. Mimo to przywiązała się do królowej, szybko się ze sobą zaprzyjaźniły.

— Widziałem dziś królową.

Zawahała się.

— W Fulford?

— W Fulford. Czy Jack powiedział ci, co mnie tam spotkało?

Spuściła oczy.

— To było okrutne.

— Jak rzekłaś, im szybciej wyjedziemy z Yorku, tym lepiej.

Wstała.

— Powinam już iść, panie. Muszę sprawdzić, jak poszło panie Marlin.

— Czy Barak wie o naszej rozmowie.

— Nie. To był mój pomysł.

— Cóż, oczarowałaś mnie, Tamasin. Pewnie tak, jak oczarowałaś wielu innych. Chciałabyś, abym cię odprowadził?

Uśmiechnęła się.

— Dziękuję, panie, lecz nie jest to konieczne. Jak rzekłam, potrafię o siebie zadbać.

— W takim razie życzę miłej nocy.

Skłoniła się i odeszła pewnym krokiem, a po chwili znikła w tłumie. Obserwowałem, jak się oddala, myśląc, jak bardzo pomyliłem się co do niej. Pomyślałem, że jest dziewczyną z charakterem. Może Barak znalazł tę, która mu była pisana.

Rozdział dwudziesty

Odwaga, z jaką Tamasin powierzyła mi swoje tajemnice, sprawiła, iż poczułem się zakłopotany. W ciągu ostatnich dni nie traktowałem jej zbyt grzecznie. Wstałem z ławy, jako że zaczęło się robić chłodno. Postanowiłem zajrzeć do obozowiska z drugiej strony drogi, sprawdzić, czy uda mi się

odnaleźć Baraka. Przeszedłem przez furtę w murze przylegającym do kościoła Świętego Olafa i małą uliczką dotarłem do przejścia w wiklinowym ogrodzeniu, przy którym ustawiono strażę. Pokazałem glejt i zostałem wpuszczony do środka. Z miejsca poczułem w nozdrzach ostrą woń dymu, potu i ekskrementów. Kiedy wszedłem na pole, gdzie pod naporem tysięcy stóp i kopyt trawa zamieniła się w błoto, ktoś zadął w róg. Ludzie zaczęli podchodzić do palenisk, niosąc drewniane misy i łyżki. Nadeszła pora spóźnionego obiadu, więc wszyscy byli wyraźnie zgłodniaли.

Przystanąłem, obserwując, jak duża grupka żołnierzy zebrała się wokół ognia. Ogromne polana płonęły w prostokątnym palenisku o wymiarach sześć stóp na dwanaście, nad którym na wielkim ruszcie obracała się wielka tusza wołowa. Kuchcikowie dokładali drew, a inni obracali wielki ruszt pod nadzorem spotniałego kucharza. Rożen wydał mi się niezwykle skomplikowanym urządzeniem. Poniżej wołu, na mniejszych rusztach wirowały kurczaki, a za pomocą wystających prętów zdejmowano upieczony drób na wielkie półmiski pokryte tłuszczem ociekającym z pieczonej tuszy. Ubrani w skórzane fartuchy kuchcikowie, zasłaniający twarze chustami przed kapiącym tłuszczem, krzątali się wokół z zawrotną szybkością, zręcznie napełniając miski podawane przez zgłodniałych ludzi. Mimo żartów i przekomarzania mężczyźni zachowywali się jak należy. Wszyscy sprawiali wrażenie utrudzonych, albowiem wyruszyli o świcie, aby wziąć udział w widowisku pod Fulford, a następnie przybyli tutaj, aby rozbić obóz.

Obserwując małych kuchcików uwijających się między płomieniami i gorącym tłuszczem, pomyślałem, że Craike był w błędzie. Organizacja królewskiego objazdu wydawała się zaiste niezwykła, lecz drwienie z robotników było błędem. Bez zdyscyplinowania i umiejętności tych ludzi, woźniców, kucharzy i roznosicieli, niczego by nie działośo.

Usłyszałem kasznięcie, odwróciłem się i ujrzałem Baraka.

— Ach, to ty — rzekłem ostro. — Niezłe widowisko, prawda? — Milczeliśmy przez chwilę, patrząc, jak mężczyźni przykucnęli przy ognisku, jedząc łapczywie.

— Na polach za obozem pasie się trzysta wielkich koni z Suffolk — powiedział. — Nigdy nie widziałem tylu naraz.

— A ja, tak. Kolega Craike zaprowadził mnie na dzwonnice. Urzędnicy mają tam orle gniazdo, z którego obserwują obozowisko. Na wypadek gdyby ludzie zaczęli wszczynać burdy.

Uśmiechnął się.

— To ich nocny koszmar, co?

— Zaiste, koszmar! — Roześmiałem się.

— Wybacz, że się uniosłem. Zdenerwowało mnie przebywanie w towarzystwie tych głupców, Richa i Maleverera.

— Miałeś powód, nie sądzę jednak, abym mógł zrezygnować z tej sprawy, kiedy jest choćby najmniejsza szansa na zwycięstwo. Rozumiesz?

— Tak, chyba tak. — Milczał przez chwilę, a następnie zmienił temat. — Rozmawiałem z urzędnikiem, który był w Fulford.

Spojrzałem na niego przenikliwie.

— Co rzekł?

— Powiedział, że po uroczystości odniesiono Wrenne'a do domu, zaraz po wręczeniu petycji królowi.

— Co?

— Osunął się na ziemię między rajcami. Trzeba go było odwieźć wozem do Yorku.

krzątali się wokół z zawrotną szybkością, zręcznie napełniając miski podawane przez zgłodniałych ludzi. Mimo żartów i przekomarzania mężczyźni zachowywali się jak należy. Wszyscy sprawiali wrażenie utrudzonych, albowiem wyruszyli o świcie, aby wziąć udział w widowisku pod Fulford, a następnie przybyli tutaj, aby rozbić obóz.

Obserwując małych kuchcików uwijających się między płomieniami i gorącym tłuszczem, pomyślałem, że Craike był w błędzie. Organizacja królewskiego objazdu wydawała się zaiste niezwykła, lecz drwienie z robotników było błędem. Bez zdyscyplinowania i umiejętności tych ludzi, woźniców, kucharzy i roznosicieli, niczego by nie zdziałano.

Ustyszałem kasznięcie, odwróciłem się i ujrzałem Baraka.

— Ach, to ty — rzekłem ostro. — Niezłe widowisko, prawda? — Milczeliśmy przez chwilę, patrząc, jak mężczyźni przykucnęli przy ognisku, jedząc łąpczywie.

— Na polach za obozem pasie się trzysta wielkich koni z Suffolk — powiedział. — Nigdy nie widziałem tylu naraz.

— A ja, tak. Kolega Craike zaprowadził mnie na dzwonnice. Urzędnicy mają tam orle gniazdo, z którego obserwują obozowisko. Na wypadek gdyby ludzie zaczęli wszczynać burdy.

Uśmiechnął się.

— To ich nocny koszmar, co?

— Zaiste, koszmar! — Roześmiałem się.

— Wybacz, że się uniosłem. Zdenerwowało mnie przebywanie w towarzystwie tych głupców, Richa i Maleverera.

— Miałeś powód, nie sądzę jednak, abym mógł zrezygnować z tej sprawy, kiedy jest choćby najmniejsza szansa na zwycięstwo. Rozumiesz?

— Tak, chyba tak. — Milczał przez chwilę, a następnie zmienił temat. — Rozmawiałem z urzędnikiem, który był w Fulford.

Spojrzałem na niego przenikliwie.

— Co rzekł?

- Powiedział, że po uroczystości odniesiono Wrenne'a do domu, zaraz po wręczeniu petycji królowi.
- Co?
- Osunął się na ziemię między rajcami. Trzeba go było odwieźć wozem do Yorku.
- To dlatego zniknął, sądziłem, że mnie opuścił. Jak się miewa?
- Wiem jedynie, że zabrano go do domu, aby odpoczął. To pewnie nic poważnego, skoro nie wezwano medyka.
- Odwiedzę go jutro. Czy widzieliście z Tamasin, jak król wjeżdżał do Yorku?
- Tak, rosły to człek. Królowa wyglądała przy nim jak mysz u boku lwa. Uśmiechnął się i pomachał wesoło, lecz w tłumie widać było wrogie twarze, a od poddanych oddzielał go szpaler żołnierzy.
- Wyobrażam sobie. — Ogień pod paleniskiem buchnął ponownie. Nie miałem pojęcia, jak czterej spoceni kuchcikowie obracający rożen, mogli znieść taki żar. — Chodźmy, zanim przypieczemy się jak ów wół.

Zaczęliśmy obchodzić obóz. Chociaż zapadł już mrok, liczne ogniska i lampy zawieszane przed namiotami sprawiały, że droga była dobrze widoczna. Zakrztusiliśmy się dymem, który przywiał ku nam chłodny wiatr.

— Nie powiedziałem ci, że dziś po południu wdałem się w bójkę z Radwinterem — oznajmiłem.

— W bójkę? Ty? — Barak spojrzał na mnie z niedowierzaniem.

Zagwizdał, kiedy opowiedziałem mu, co się stało.

— Sam miałem ochotę mu przyłożyć po tym, co rzekł o Żydach z Yorku. Dobry Boże, Radwinter wie jak, sprowokować człowieka. — Spojrzał na mnie przebiegle. — Sądzisz, że mu o to chodziło? Że chciał cię wyprowadzić z równowagi?

— Jestem tego pewny. Chciał mieć na mnie haka. Urzędnicy nie wspominają o przybyciu króla Szkocji?

— Nie, rozmawiałem z ludźmi w obozie. Chętnie zabawię tu kilka dni, pod warunkiem że nie będzie padać i wieśniacy dostarczą zaopatrzenie. Siedzieli w Pontefract tak długo, że obcięto im racje żywnościowe.

— To pora żniw. Rolnicy będą chcieli zarobić na królewskim objeździe.

— Słyszałem, że godziwie im płacą. To część planu zdobycia przychylności mieszkańców Yorku. Spojrzałem na mężczyzn przechadzających się to w jedną, to w drugą stronę lub siedzących z miską w dłoni przed namiotem, gdyż w obozie płonęło coraz więcej ognisk.

— Ludzie są zmęczeni — powiedział Barak. — Niemal od trzech miesięcy są w drodze. — Skinąłem głową, zazdroszcząc mu łatwości, z jaką potrafi nawiązać rozmowę z prostymi ludźmi.

Dotarliśmy do ringu, na którym walczyły koguty. Zebrani wokół mężczyźni dopingowali dwa czarne ptaki o piórach śliskich od krwi. Koguty krążyły po placyku obok ognia, raniąc się ostrymi haczykami przymocowanymi do szponów.

— Twój kogut znowu przegrywa — rzekł ktoś, przeciągając samogłoski. — Choćbyś waść pęktł, panie Dereham, nigdy mnie nie pokonasz w obstawianiu walk kogutów. — Obejrzałem się i dostrzegłem chytrą, urodziwą twarz dworzanina, którego lady Rochford nazwała Culpeperem. Mała grupka dworzan stała z przodu, a pozostali widzowie z szacunku zastygli w odległości kilku kroków od nich. Twarz Culpepera oświetlały czerwone płomienie, podobnie jak twarz sekretarza Derehama stojącego obok z ponurą miną.

— Mylisz się, panie — odrzekł Dereham. — Postawiłem na oba ptaki. Pod dwie marki.

Culpeper spojrział na niego zdumiony.

— Przecież...

Dereham roześmiał mu się w twarz. Mimo powodzenia u kobiet młody Culpeper miał niewiele rozumu.

Wtedy Dereham mnie spostrzegł. Rzuciwszy wściekłe spojrzenie, ruszył ku nam gniewnym krokiem.

— Hej, ty! — zawołał ostro. — Ty jesteś prawnik Shardlake?

— Tak, panie.

— Sir William wypytywał mnie, czy widziałem, jak kilka dni temu wносиłeś malowaną skrzynkę do King's Manor. Po co wymieniałeś moje nazwisko, ty parszywy łotrze?

— Nie uczyniłem tego — odparłem spokojnie. — Sir William chciał przesłuchać każdego, kto mnie widział ze skrzynką. Zapamiętałem, że spoglądałeś pan na mnie razem z lady Rochford. Miałem pelerynę pobrudzoną od tynku — dodałem.

— Cóż w niej było takiego ważnego? — spytał Dereham. — Maleverer nic mi nie rzekł, wspominał jedynie, że została ukradziona.

Rozejrzałem się niespokojnie. Kilku ludzi odwróciło się w naszą stronę, słysząc gniewny ryk Derehama. Maleverer byłby wściekły, gdyby usłyszał, że Dereham rozpowiada takie wieści.

— Skrzynka zginęła, panie — odpowiedziałem cicho. — Sir William musiał się tym zająć.

— Nie odszczekuj się, ty wałkoniu z nieprawego łoża. — Twarz Dereham poczerwieniała. — Wiesz, kim jestem?

— Jesteś pan Dereham, sekretarz królowej.

— W takim razie zwracaj się do mnie z szacunkiem. — Zmarszczył czoło, a po chwili na jego twarzy pojawił się okrutny uśmiech. — Czy jesteś owym garbusem, z którego zakpił sobie nasz król?

— Tak — odrzekłem ze znużeniem. W rozmowie z ludźmi sprawującymi wysoki urząd, takimi jak Dereham, Rich lub Maleverer, mogłem jedynie milcząco przyjąć zniewagę.

— Huczy o tym na mieście. — Zaśmiał się i odszedł.

Barak ujął mnie pod ramię i odprowadził na bok.

— Pasożyty — mruknął. — Tamasin powiedziała, że Culpeper się do niej przystawiał. Postępuje tak z każdą, która mu wpadnie w oko. Jest jednym z osobistych przybocznych króla, więc może zrobić, co zechce.

— Powinienem mieć skórę krokodyla.

— Czekają nas dwa dni atrakcji. Jutro przed rezydencją odbędzie się wielkie widowisko szczucia niedźwiedzia, zaproszono na nie całą szlachtę Yorku. Pół obozu przyjdzie, aby mu się przypatrywać. Wieczorem nie będą mówić o niczym innym.

Skinąłem głowę.

— Zabierzesz Tamasin?

— Nie lubi takich przedstawień. Jeszcze jedna osoba o słabym żołądku.

Uśmiechnąłem się.

— Zamierzasz się z nią spotykać, gdy wrócimy do Londynu? A może to kolejna z twoich przelotnych przygód?

— Sądziłem, że jej nie lubisz.

— Byłem dla niej zbyt surowy. W każdym razie to twoja sprawa.

— Cóż, zobaczymy — odpowiedział, uśmiechając się zagadkowo. — Nie potrafię wybiegać myślą tak daleko. Mam wrażenie, że jesteśmy tu całą wieczność.

— Ja również. Chodź, spacer sprawił, że zgłodniałem. Myślisz, że przygotowali jadło w refektarzu?

— Chyba tak.

Ruszyliśmy w drogę powrotną do opactwa Świętej Marii. Nagle ujrzałem młodego Leacona stojącego obok namiotów w grupce żołnierzy. Skłonił się na mój widok, ja zaś w odpowiedzi skinąłem głową. Później dostrzegłem inną postać stojącą z założonymi rękami na obrzeżu tłumu i z zapartym tchem obserwującą krwawą walkę psów, dwóch olbrzymich mastifów. Człowiek ów skinął głową z wyraźną aprobatą, gdy jedno ze zwierząt rozszarpało brzuch drugiemu, wyszarpując na wierzch pokryte posoką wnętrzności.

— To Radwinter — rzekłem. — Chodźmy stąd. Nie chcę się z nim spotkać. — Niestety, łotr mnie spostrzegł. Uśmiechnął się ironicznie, kiedy znikaliśmy w ciemności.

— Co on tu robi? — zapytał Barak. — Sądziłem, że pilnuje Brodericka.

— Pewnie Maleverer dał mu trochę wolnego. Niech go szlag. Uważaj, błoto.

Dotarliśmy na koniec obozowiska, za linię namiotów, gdzie pole opadało lekko w kierunku drzew. Za nimi ujrzałem rzekę Ouse lśniąca w świetle księżyca, wtedy też zawróciliśmy w stronę opactwa.

— Jutro sobota — powiedziałem. — Możesz wziąć sobie wolne. Zamierzam odwiedzić Wrenne'a, aby zapytać, jak się miewa. Dowiem się też, jak zamierza rozpatrywać petycje. Być może będę musiał to uczynić osobiście, skoro Wrenne źle się czuje.

— Widowisko ze szczuciem niedźwiedzia odbędzie się rano — rzekł Barak. — Niektórzy urzędnicy postanowili urządzić sobie łowy z sokołami. Pomyślałem, że wybiorę się razem z nimi. — Zawahał się. — Tamasin chciałby to zobaczyć.

— Świetny pomysł. Odetchniecie świeżym powietrzem. Jak to było w owym starym wierszyku? Sokół siwy dla króla...

— Drzemlik dla damy — dopowiedział wesoło Barak.

— Gołębiarz dla wolnego chłopca, krogulec dla księdza...

— Pustułka dla łotra. Miejmy nadzieję, że ktoś pożyczy mi pustułkę — rzekł ze śmiechem. — Tamasin opowiedziała mi o swoim ojcu — zmieniłem temat.

— Tak? — Barak sprawiał wrażenie zdumionego. — Kiedy się z nią widziałeś?

— Spotkaliśmy się przypadkiem. Zamieniliśmy kilka słów. Przyznaję, mogłem być dla niej nieco zanadto surowy.

— Rad to słyszę.

— Sądzi, że jej ojciec był doradcą na dworze.

— Pewnie matka opowiedziała jej tę historię, aby pocieszyć dziewczynę. Nikt nie lubi nosić piętna bękarta.

— Tak samo pomyślałem. — Nagle wspomniałem Maleverera: był w podobnej sytuacji jak ona, choć radził z nią sobie w bardziej brutalny sposób.

Barak pokręcił głową.

— Pod wieloma względami Tammy jest niezwykle praktyczna, lecz ma istną obsesję na punkcie ojca. — Westchnął. — Niewiasty potrzebują pociechy, ona zaś nie jest szczególnie pobożna. Służąc na dworze, spostrzegła, że przyczyną zmian w religii bywają czynniki polityczne i zwykła chciwość.

— Myślę, że przekonasz się o tym na własne oczy, podobnie jak ja.

Barak skinął głową.

— Pomyślałem, żeby napisać do znajomego na dworze. Kiedyś wyświadczyłem mu przysługę, gdy służyłem u lorda Cromwella. Ludzie zwykle plotkują o bliźnich z nieprawego łoża.

— Może lepiej nie znać prawdy.

— Jeśli się okaże, że jej ojciec zajmował się przepędzaniem z kuchni zbłąkanych psów, nie muszę jej o tym mówić.

— To prawda.

Usłyszeliśmy jakieś głosy. Na granicy obozu panowała ciemność, jednak w niewielkiej odległości przed nami dostrzegłem małe ognisko, wokół którego zebrali się mężczyźni i chłopcy. Kilku kuchcików wyładowywało z wozu części kolejnego wielkiego rożna i ustawiało go z mozołem, przekładając duży środkowy ruszt przez centralne otwory.

— Nie zakładaj jeszcze korby, Danny! — zawołał tęgi kucharz w fartuchu.

— Dobrze, tato — odskrzyknął piskliwym głosem chłopiec

z drugiego końca rożna. Rożno było tak długie, że widziałem jedynie mroczną postać kuchcika.

— Gdzie jest ten przeklęty wół?

— Owen po niego poszedł.

— Mów ciszej. Lepiej, aby ludzie z namiotów na górze nie zjawili się po jedło, zanim nadziejemy wołu na ruszt. Kto idzie? — spytał ostro kucharz, słysząc nasze kroki, aby po chwili uchylić czapki na widok mojej szaty. — Przepraszam, panie. Nie chcemy, aby ludzie się tu zjawili, zanim pieczone będzie gotowe.

— Przechodziliśmy w pobliżu — rzekłem, odsuwając się od rożna, którego ostre końce poruszały się to w jedną, to w drugą stronę, gdy mały kuchcik próbował je umieścić na miejscu. — To potężny rożen — zauważyłem. — Upieczecie na nim całego wołu?

— Tak, panie. Pod nim będą się piec kaczkę i kurczaki.

— Czynicie to co wieczór od dnia wyjazdu z Londynu? — Rozmowa z kimś, kto nie wiedział ani nie troszczył się o to, co zdarzyło się w Fulford, była dla mnie prawdziwą rozkoszą.

— Tak, panie. Często w znacznie gorszych warunkach. Na polach, które w lipcu przypominały morze błota. Kiedy pewnego dnia deszcz zgasił ogień, ludzie wszczęli zamieszki. Trzeba było wzywać żołnierzy. — Kucharz pokręcił głową. — Już nigdy nie będę się skarżył na chłód panujący w kuchniach Hampton Court.

Przerwał, słysząc krzyk kuchcika dolatujący z drugiej strony rożna. Nagle usłyszałem zgrzyt metalu i poczułem, że Barak przewraca mnie na ziemię.

— Co, u diabła... — krzyknąłem, waląc się ciężko na nierówną trawę. Później podniosłem głowę i z przerażeniem ujrzałem wielki metalowy ruszt kołyszący się w powietrzu półtora metra nad moją głową. Gdyby Barak mnie nie przewrócił, byłby mnie przeszył na wylot. Barak i kucharz rzucili się w stronę drugiego końca różna. Po chwili dobiegł nas kolejny głośny krzyk kucharza.

— Morderstwo!

Zerwałem się na równe nogi, krzywiąc się z powodu bólu karku i przyskoczyłem do Baraka, który wraz z kucharzem pochylił się nad małą postacią leżącą na ziemi.

— Ktoś zdzielił kuchcika w głowę! — krzyknął Barak. — Później pchnął ruszt w twoją stronę. Próbował cię zabić!

— Danny! — zaszlochał kucharz. — Danny!

— Co z chłopcem? — wyszeptąłem. — Czy...

— Obejrzyjmy go.

Kucharz klęczał na ziemi, podtrzymując głowę chłopca. Ku mojej uldze mała postać poruszyła się.

— Ostrożnie — rzekł Barak. — Uważaj na głowę.

Mężczyzna rzucił mu gniewne spojrzenie.

— Myślisz, że nie wiem? To mój syn!

— Przepraszam. — Pochyliłem się. — Gdzie jest rana?

— Ma zakrwawiony kark — wyjaśnił kucharz.

— Myślę, że to powierzchowna rana. — Ostrożnie namacałem czaszkę. — Ktoś uderzył go w tył głowy.

Chłopiec jęknął.

— Tato! Nic nie widzę — stęknął. Pacholek liczył nie więcej niż dwanaście lat. Nagle ogarnęła mnie wściekłość na człowieka, który go powalił.

— Trzymaj nieruchomo — powiedziałem. — Zobaczymy, czy widzenie ulegnie poprawie.

Kucharz nie odrywał ode mnie wzroku.

— Ten człowiek chciał was zabić, panie.

— Teraz lepiej widzę, tato. — Chłopak próbował się podnieść, lecz jęknął i opadł na kolana ojca. — Wiruje mi w głowie.

— Posłuchaj — rzekłem — twój chłopak ma wstrząśnienie mózgu. Połóż go do łóżka, aby odpoczął, przykryj pledem. Przyjdź do mnie, jeśli do jutra jego stan nie ulegnie poprawie. Zapłacę za medyka. Jak się zwiesz?

- Goodrich, panie.
- Zapytaj o pana Shardlake w kwaterze prawników.
- Dobrze. — Kucharz spojrział lękliwie na rożen i ciemności, które się za nim rozciągały. — A jeśli tamten wróci?
- Zajmiemy się tym — rzekł ponuro Barak. Podbiegł do ogniska i wyciągnął z niego płonące polano. Ruszyłem za nim i po chwili obaj zniknęliśmy w mroku. Niestety, nie widzieliśmy niczego prócz silnego nurtu rzeki i świateł obozu płonących za naszymi plecami. Barak spojrział za siebie.
- Niech to szlag! Musiał udać się do obozu.— Masz rację — przytaknąłem cicho. — Chodźmy za nim. — Wróciliśmy do kucharza, który w dalszym ciągu klęczał nad synem. Ujrzałem zbliżającą się ku nam grupkę ludzi i wóz, na którym spoczywała tusza wołowa. Dotknąłem ramienia kucharza. — Zapamiętaj moje nazwisko. Shardlake. Daj mi znać, jak się miewa twój syn.
- Trzeba zawiadomić strażę!
- Zajmę się tym. Nie zapomnij. Przyjdź do mnie, do kwatery prawników.

Ruszyliśmy przed siebie w kierunku względnie bezpiecznego, oświetlonego miejsca, aby po chwili przystanąć i spojrzeć na tłum. Niektórzy mężczyźni po skończonej wieczerzy siedzieli przed namiotami, grając na obojach i dudach, których dźwięk niósł się w dal.

- Jestem w niebezpieczeństwie — rzekłem ściszym głosem. — Postąpiłem lekkomyślnie, włączając się samotnie po mieście.
- Czemu spróbowali dopiero teraz?
- Może była to pierwsza nadarzająca się okazja. Ktoś zobaczył, że idziemy do obozu.
- W King's Manor są setki ludzi. Gdyby Maleverer rzekł ci, o co chodzi w owych przeklętych dokumentach, wiedziałbyś, od czego rozpocząć poszukiwania.
- Nie uczyni tego. Powiem mu, co się wydarzyło, lecz nawet gdyby się tym przejął, nie zdołałby mnie ochronić. W takim tłumie ludzi to niemożliwe.
- Maleverer to dureń.
- Na dodatek łączy go z Richem jakieś podejrzane interesy. Nie, nie sądzę, abyśmy otrzymali pomoc z jego strony. Rich byłby rad, gdyby ktoś usunął mnie z drogi.

Barak gwizdnął.

- Chyba nie sądzisz...
- Nie mam pojęcia... Wiem jedynie, że ten, kto dziś próbował mnie zabić, przypuszczalnie uczyni to ponownie.
- Możemy poprosić, aby pozwolili nam wrócić do domu. Jesteś w niebezpieczeństwie.

— Mam wrażenie, że chcę, abym tu pozostał. A nawet gdybyśmy wrócili do Londynu, co powstrzyma sprawcę przedpodążeniem za nami? Podobno spiskowcy są także w londyńskich korporacjach... — Spojrzałem ponownie na ludzkie kłębowisko. Chociaż nie po raz pierwszy lękałem się zamachu na swoje życie, nigdy nie czułem się tak bezsilny. Popatrzyłem na Baraka.

— Dziękuję ci, Jack — rzekłem cicho. — Ocaliłeś mi życie. Szybko zareagowałeś.

— Odwróciłem się, gdy usłyszałem zgrzyt metalu, a wówczas ujrzałem poruszający się ruszt. Dobry Boże, to były ułamki sekundy.

Przez chwilę milczałem, a następnie wziętem głęboki oddech.

— Skoro ktoś dybie na moje życie, postanowiłem sobie, że go wyśledzę i pokonam. Mam tego dość. Nie pozwolę, aby polowali na mnie jak na zwierzynę. W niebezpieczeństwie mogą się znajdować także inni ludzie, skoro mój wróg nie cofa się przed atakowaniem dzieci. — Spojrzałem na Baraka. — Ty również możesz być zagrożony. Pomożesz mi? Wiem, że nie mam prawa prosić, niegrzecznie się z tobą obszedłem z powodu Tamasin.

Skinął głową.

— Możesz na mnie liczyć. Wolę działać, niż siedzieć beczynn timer i czekać, aż nas zaatakują. — Uścisnąłem jego wyciągniętą prawicę. — Jestem z tobą, tak jak ostatnim razem.

Rozdział dwudziesty pierwszy

Sobotni ranek był chłodny, a przez szarą mgiełkę spowijającą iglicę Świętej Marii siał deszcz. Poprzedniego wieczoru próbowałem dotrzeć do Maleverera, lecz usłyszałem, że nie można mu przeszkadzać. Barak i ja wstaliśmy wcześniej, po kiepsko przespanej nocy. Wychodząc, starannie zamknąłem drzwi, albowiem od czasu napaści w King's Manor zawsze je ryglowałem po powrocie do swojej sypialni.

Nieopodal w dużych żelaznych klatkach spały dwa niedźwiedzie. Dzisiaj na oczach króla miały stoczyć walkę z wielkimi mastifami. Ruszyliśmy w kierunku King's Manor. Spojrzałem na nagie gałęzie drzew i zauważyłem, że jesień przychodzi tu wcześniej niż w Londynie. Wiewiórki biegały po konarach, przypominając rozmazane, poruszające się plamy. Mury patrolowali żołnierze z rusznicami i mieczami. Tylko oni mogli nosić broń na zamku, w którym przebywał król. Urzędnicy królewscy czujnie wypatrywali broni szczególnie po tym, co zdarzyło się w niedawno w opactwie Świętej Marii. Rozmawialiśmy z Barakiem do późna i doszliśmy do wniosku, że miecza nie muszę się obawiać. Zabójca, kimkolwiek był, nie chciał zostać rozpoznany. Wyglądało na to, że ktoś nas śledził w ciemności, wyczekując okazji do zadania skrytobójczego ciosu i nie wahając się z niej skorzystać.

— Jesteś pewien, że nie chcesz, abym ci dziś towarzyszył? — spytał Barak.

— Nie, po spotkaniu z Malevererem udam się do Wrenne'a, a następnie wrócę do naszej kwatery. W dzień jestem bezpieczny, pod warunkiem że będę przebywał w miejscach publicznych. Nie, idź na polowanie.

— Dzięki. Jeden z urzędników pożyczył mi gołębiarza. Niedawno go wyszkolono. Ułożono go zaledwie kilka tygodni temu. Z drugiej strony lepszy taki niż żaden.

— Uważaj na siebie.

Kiedy odszedł, ruszyłem w kierunku rezydencji, gdzie na stopniach pełniła wartę cała falanga żołnierzy. Spojrzałem na okna górnych komnat, w których spał król. Ich okiennice były zamknięte. Ciekawe, czy towarzyszyła mu królowa. Przypomniałem sobie smród jego wielkiej, chorej nogi i wzdrygnąłem się.

Wartownicy zawiedli mnie do gabinetu Maleverera. Wstał już i pracował nad jakimiś dokumentami. Wyglądał na znużonego, dostrzegłem też czarne podkowy pod jego gniewnymi oczami. Trzeba było przyznać, że nie lęka się ciężkiej pracy.

— Czego znowu? — burknął, łypiąc na mnie złowrogo.

— Zostałem zaatakowany tej nocy, sir Williamie. Pomyślałem, że powinniście o tym wiedzieć.

Moje słowa wzbudziły jego zainteresowanie. Słuchał uważnie, gdy mu opowiadałem, co się stało. Zmarszczył brwi w zamyśleniu, a następnie spojrzał na mnie przenikliwie.

— Jesteście pewni, że to nie był wypadek? Słudzy bywają przebiegli niczym koty. Może ów kuchcik nie został uderzony, lecz wszystko upozorował, aby ukryć, że nieostrożnie obchodził się z rusztem. Wzięliście to pod uwagę?

— Jego głowa była zakrwawiona. Ruszt pchnięto w moją stronę z siłą, którą dziecko nie dysponuje. — Przypomniałem sobie ostry koniec rusztu dyndający w powietrzu.

Po chwili milczenia przemówił cicho:

— Sądziliśmy, że człowiek, który odebrał wam dokumenty, opuścił opactwo. Na wzgórzach ukryła się garstka ocalałych spiskowców. Pozostali uciekli do Szkocji i Londynu. Nie zauważono jednak, by ktoś odłączył się niespodziewanie od królewskiego orszaku. Może przekazali dokumenty swoim współpracownikom i wrócili. Wrócili, aby was zabić — jedyne go człowieka, który widział zawartość szkatuły. Najwyraźniej są o tym przekonani. — Zmarszczył brwi. — Może sądzą, że zachowaliście tę wiedzę dla siebie, zatajając ją przede mną

— Niewykluczone.

— Będę musiał złożyć raport Tajnej Radzie.

Zawahałem się.

— Może powinienem wrócić do Londynu? Odłączyć się od królewskiego orszaku?

Uśmiechnął się chłodno.

— Nie, kolego Shardlake. Posłużycie za przynętę. Wywabimy zabójcę z ukrycia.

— Może mnie zamordować — rzekłem.

Maleverer wzruszył ramionami.

— Musicie się o siebie zatroszczyć. Będzie to kara za to, że pozwoliliście sobie odebrać owe dokumenty. Nie, nie pozwalam na powrót. — Po tych słowach przez dłuższą chwilę wpatrywał się we mnie z uśmiechem, gładząc brodę długim, włochatym paluchem, tak że spomiędzy czarnych włosów wystawał jedynie żółty paznokieć.

— Będzie, jak rozkażecie, sir Williamie. — Staralem się mówić obojętnym tonem, jak zawodowiec. — Zamierzam odwiedzić kolegę Wrenne'a. Słyszałem, że zachorował. Zapewne trzeba będzie wprowadzić pewne zmiany, jeśli nie zdoła uczestniczyć w rozpatrywaniu petycji.

— Mówiłem, że jest na to za stary — mruknął Maleverer. — Powiadomcie mnie, jeśli nie będzie zdolny przewodniczyć posiedzeniom. Znajdzie się kogoś innego. Nie możesz go zastąpić. Potrzebujemy kogoś o odpowiedniej prezencji, cieszącego się tu poważaniem. — Uśmiechnął się do mnie ponownie.

Skłoniłem się i wyszedłem. Stąpając po schodach, pomyślałem, że sam muszę zadbać o swoje bezpieczeństwo. Postanowiłem, że od tej chwili będę nosił u pasa sztylet, choć na terenie King's Manor nie wolno było mieć broni.

Idąc zasnutą mgłą uliczką Petergate w kierunku Minsteru, zauważyłem ludzi w liberii Yorku zagrabiających piasek i popiół na drogę. Oznaczało to, że król wróci do miasta na kolejne uroczystości i przedstawienia. Spojrzałem na małe domki ciągnące się

wzdłuż Petergate i przypomniałem sobie rozporządzenie zakazujące obywatelom wyrzucania odpadków przed próg lub do rzeki, gdy w mieście przebywa król. Śmieci zalegały na tylnych podwórkach, co było symboliczną oznaką królewskiej wizyty: z przodu wszystko lśniło, z tyłu zaś gromadziły się coraz wyższe sterty gnoju.

Dotarwszy do Minsteru, zapukałem do drzwi Wrenne'a. Otworzyła mi stara gospodyni. Od razu spostrzegłem zatroskanie malujące się na jej twarzy.

— Dzień dobry, Madge — rzekłem. — Jak się miewa pan Wrenne? Słyszałem, że jest chory.

Westchnęła.

— Pan nie ma dziś sił do pracy. Leży w łóżku. Jest u niego medyk.

— Przyszedłem spytać, jak się miewa.

Westchnęła powtórnie.

— Wejdźcie, panie. Dowiem się, czy was przyjmie.

Zostawiła mnie w środkowej komnacie. Palenisko wygasło,

a siwy sokół spał na żerdce, wetknąwszy głowę pod skrzydło. Jego widok sprawił, że pomyślałem o Baraku, który wybrał się na łowy razem z Tamasin. Nie chciałem zostać sam w opactwie Świętej Marii, wiedziałem, że będę bezpieczniejszy w domu Wrenne'a.

Spojrzałem na sterty książek. Pomyślałem, że gdybym znalazł mapę Kentu, bez trudu odszukałbym wioskę Blaybourne. Chociaż nie wiedziałem, co w ten sposób uzyskam, moje postanowienie rozwiązania zagadki wzmacniało się z każdą chwilą. Stanowiło ono swoistą przeciwwagę dla wstydu i gniewu wywołanych wydarzeniami w Fulford Cross.

Madge wróciła po chwili, mówiąc, że Wrenne zaprasza mnie do siebie. Podążyłem za nią do małej, lecz ładnie urządzonej sypialni. Giles leżał przykryty kołdrą z pierza. Byłem zdumiony zmianą, która się w nim dokonała. Jego mocna kwadratowa twarz pobladła i wyglądała tak, jakby od wczoraj utraciła nieco ciała. Ku swemu zaskoczeniu spostrzegłem, że rozmawia z doktorem Jibsonem. Medyk uśmiechnął się na mój widok.

— Dzień dobry, panie Shardlake — powitał mnie doktor.

— Doktor Jibson powiedział, że się znacie — rzekł Wrenne, wyciągając do mnie rękę. — Nie zdradził skąd, ot, zawodowa dyskrecja. Mam nadzieję, że nie jesteś chory jak ja?

Ująłem jego dłoń, rad, iż przynajmniej głos staruszka jest mocny i czysty jak przedtem. Jego silny uścisk też nie uległ zmianie.

— Nie — rzekłem. — Lecz ty...

— Drobiazg, mam zły dzień. Odzyskam siły. W poniedziałek będę gotów do pracy. Rozpatrzmy wtedy pierwsze petycje na zamku.

— Zostawię was teraz, panie — powiedział Jibson. — Wytłumaczę gosposi, jak przygotować ów proszek.

— Przysuń sobie krzesło — rzekł Giles, gdy medyk się oddalił. Spojrzał na mnie poważnie, a następnie westchnął. — Słowa, które wyrzekł wczoraj król, musiały cię srodze zboleć. Przykro mi, iż posłużył się moją osobą do tak nikczemnego żartu.

— Nie pierwszy to żart, który znieść musiałem, choć nigdy nie spotkało mnie coś takiego z ust króla, przed tak dużym zgromadzeniem. Mów wszak, co z tobą, słyszałem, że chwilę później odwieźli cię do domu?

— Tak, nigdy nie miałem równie silnego ataku. Byłem skupiony, gdy król na mnie spojrzał i przemówił, później jednak... — przerwał, a jego ciało przeszedł dreszcz.

— Co się stało?

— Uznasz mnie za starego durnia.

— Nie.

— Nagle ogarnęło mnie przerażenie, tylko tak to mogę określić. Przez chwilę nie wiedziałem, kim jestem ani gdzie się znajduję. Kiedy król się odwrócił, cofnąłem się w tłum i omal nie upadłem. Na szczęście ludzie mnie znają. Pomogli mi wrócić do Yorku, tak aby tłuszcza nie spostrzegła, w jak żalosnym stanie się znajduję. — Sięgnął po kubek stojący obok łoża i pociągnął łyk. — Kiedy spojrzałem w oczy królowi, poczułem się tak, jakby wyszła ze mnie wszelka siła...

— Jego oczy były okrutne.

Giles nagle zachichotał, choć w jego głosie wyczułem lęk.

— Przypomniałem sobie starą legendę opowiadaną w niespokojnych czasach.

— Legendę, że nasz król jest Mouldwarpem?

— Tak. — Uniósł brwi. — Znasz ją?

— Słyszałem.

Potrząsnął głową.

— Niebezpiecznie mówić takie rzeczy. Ot, głupie przesady. Zbyt ciężko pracowałem, zanadto się trudziłem. Mimo to... cóż, często zastanawiałem się, jaki naprawdę jest nasz król. Teraz wiem.

— Potrząsnął głową. — Królowa jest taka młoda.

— Żal mi jej.

— Dorodna białogłowa, choć pozbawiona królewskiego wyglądu.

— Ma w żyłach krew Howardów.

— Howardów. Ród ten nie jest taki stary, za jaki się podaje. — Giles westchnął. — Może wszystkie owe symbole królewskiej władzy, bajania o panowaniu danym od Boga, tak przyćmiły nam umysł, że widząc rzeczywistość, doświadczamy szoku.

— Rzeczywistość brzydką i odrażającą.

Giles spojrzał na mnie.

— Musimy mieć króla, to najważniejsze ogniwo ładu społecznego, bez którego wszystko pogrążyłoby się w chaosie.

— Czy w Yorku nie zdetronizowaliście króla? Pięć lat temu? Ostatniej wiosny byliście bliscy powtórzenia tego wyczynu.

— Tak, ludzie chowają tu wielką urazę do króla. Powiedz mi, jak mieszkańcy Yorku przyjęli Henryka.

— Barak opowiadał, że wiwaty były niemrawe.

— Jakże inaczej przyjmowano Ryszarda Trzeciego.

— Ryszarda Garbatego — rzekłem cicho. — Pamiętam...

— Tak?

— Pewnego razu, gdym był mały, bawiłem się w salonie. Ojciec i jego przyjaciele rozmawiali głośno przy stole. Ktoś wspomniał o czymś, co wydarzyło się za panowania Ryszarda. Za czasów

Ryszarda Garbatego, rzekli, zapominając, że jestem w izbie. Ojciec spojrział na mnie. Do dziś pamiętam wyraz malujący się na jego twarzy. Wyraz żalu i rozczarowania.

— Ciężko ci musiało być — zauważył delikatnie Giles.

Wzruszyłem ramionami.

— Chyba tak.

Giles westchnął.

— Tak czy owak była to czysta propaganda. Pamiętaj, że

widziałem króla Ryszarda. Miał prosty grzbiet i twarde, poważne spojrzenie, choć nie okrutne. — Oparł się na poduszkach. — Byłem wówczas chłopcem, jakże dawno temu. — Spojrział na mnie. — Matthew, liczyłem na to, że sił mi starczy na dłużej. Ostatni atak pogrążył mnie w wielkim bólu i słabości. Jeśli choroba będzie przebiegać jak u mego ojca, okresy dobrego samopoczucia będą przerywane coraz częstszymi atakami. Mogę nie być łatwym kompanem podczas podróży do Londynu.

— Nie lękaj się. Wspólnie z Barakiem pomożemy ci ze wszystkich sił.

— Wielce jesteś życzliwy. — Spojrział na mnie oczami mokrymi od łez, lecz natychmiast odwrócił głowę, bym ich nie widział.

Pomyślałem, że nigdy nie widziałem łez na twarzy ojca, nawet po śmierci matki. W izbie na chwilę zapanowała cisza.

— Oprócz chęci ujżenia cię przyszedłem prosić o małą przysługę.

— Proś, o co zechcesz.

— Muszę sprawdzić coś na mapie południowej Anglii. W związku ze sprawą, którą prowadzę w Londynie. Czy w swoim księgozbiorze masz jakieś mapy?

Spojrzał na mnie błyszczącymi oczami.

— Oczywiście, mam stare mapy sporządzone przez mnichów, możesz je obejrzeć. Większość z nich to mapy ziem na północy, lecz mam również kilka map hrabstw południowych. Poproś Madge, aby dała ci klucze. Mapy i plany są na trzeciej półce w południowej ścianie pierwszej komnaty. Obawiam się, że nie będę ci mógł towarzyszyć.

— To rozumiaste. — Podniosłem się, widząc, jaki jest zmęczony. — Przyślę tu jutro umyślnego, aby dowiedzieć się o twoje zdrowie. Jeśli nadal będziesz kiepsko się czuł, pomówię z Ma-levererem, aby wyznaczył kogo innego do rozpatrzenia petycji. Maleverer nie pozwoli mi przewodniczyć.

Giles uśmiechnął się i energicznie potrząsnął głową.

— Jutro będę w lepszym stanie. — Zawahał się, a następnie rzekł: — Nie traktuj zbyt poważnie słów króla, Matthew. Stanowiły część politycznej rozgrywki. To nic osobistego.

— Wykorzystał to jako okazję do pochwalenia mieszkańców

Yorku moim kosztem. Osiągnął swój cel. Nie, najgorsze było to, że na własne oczy widziałem, jaką sprawiło mu to radość.

Giles spojrzał na mnie poważnym wzrokiem.

— Polityka to twarda i okrutna gra.

— Wiem.

Pożegnałem się z nim i zszedłem na dół. Doktor Jibson rozmawiał w holu z Madge.

— Pan Wrenne powiedział, że mogę skorzystać z jego archiwum — oznajmiłem.

— Pójdę po klucze — odrzekła po chwili wahania, zostawiając mnie samego z doktorem.

— Jak on się miewa? — spytałem.

Jibson potrząsnął głową.

— Trawi go choroba.

— Wspomniał mi, że jego ojciec zmarł na tę samą dolegliwość. Czy naprawdę nic nie można uczynić?

— Nie, owe złośliwe guzy pożerają go od środka. Można się jedynie modlić o cud.

— A jeśli nie nadejdzie? Ile czasu mu zostało?

— Trudno powiedzieć. Namacałem guz w jego żołądku. Nie jest jeszcze duży, lecz urośnie. Najwyżej kilka miesięcy. Powiedział, że planuje podróż do Londynu. Uważam, że to głupota.

— Może i tak, lecz owa podróż ma dla niego wielkie znaczenie. Obiecałem, że się nim zaopiekuję.

— Może nie być to łatwe.

— Poradzę sobie. — Przerwałem na chwilę. — Widziałeś waszmość Brodericka?

— Tak. Jego organizm usunął resztkę trucizny, którą mu podano. Jest młody i silny, mimo złego traktowania.

Skinąłem głową sfrustrowany tym, że medyk nigdy nie ma nic konkretnego do powiedzenia. Rozstaliśmy się, gdy Madge wróciła z kluczami. Ruszyłem za nią tylnymi schodami prowadzącymi do korytarza za sypialnią Wrenne'a.

— Pan nie pozwala mi tu zaglądać — oświadczyła, patrząc na mnie podejrzliwie. — Nie pomieszasz pan ksiąg ani papierów? Lubi, aby panował tu idealny porządek.

— Obiecuję.

Otworzyła potężne drzwi i wprowadziła mnie do izby śmierdzącej kurzem i myszami. Było to wielkie pomieszczenie, w rzeczy samej główna sypialnia. Wyburzono pół ściany, tak że izba łączyła się z następną. Ściany obu pokrywały półki biegnące od podłogi do sufitu wypełnione po brzegi książkami i papierami, zwiniętymi pergaminami i stertami rękopisów. Rozejrzałem się ostupiały.

— Nie miałem pojęcia, że jego księgozbiór jest taki okazały — powiedziałem. — Muszą tu być setki samych książek.

— Tak, pan zbiera je niemal do pięćdziesięciu lat. — Staruszka rozejrzała się wokół i potrząsnęła głową, jakby zainteresowania chlebobdawcy przekraczały granice zdrowego rozsądku.

— Sporządził indeks?

— Nie, powiada, że wszystko ma w głowie.

Spojrzałem na obrazek przedstawiający punkty kompasu. Giles

rzekł, iż trzecia półka na południowej ścianie jest pełna zwiniętych dokumentów.

— Zostawię was tu, panie — rzekła Madge. — Muszę przygotować proszek zapisany przez medyka. Ma złagodzić ból mojego pana.

— Cierpi?

— Prawie cały czas.

— Dobrze to ukrywa.

— Tak, panie. — Skłoniła się lekko i wyszła.

Zostawszy sam, przystąpiłem do przeglądania półek. Zbiór

Wrenne'a był zaiste fascynujący i niezwykły. Rozwinąłem dawne mapy wybrzeża Yorkshire i rejonów wiejskich, iluminowane przez mnichów rysunkami przedstawiającymi pielgrzymie sanktuaria i miejsca cudów. Dostrzegłem też mapy innych hrabstw, wśród których odnalazłem dużą mapę Kentu liczącą na oko ze dwieście lat. Choć nie została należycie nakreślona, zawierała dużo nazw.

Przy oknie wychodzącym na Minster stało biurko. Usiadłem przy nim i zacząłem studiować mapę. Odnalazłem Ashford, a później leżące na południowy zachód od niego Blaybourne. Na zachód od Blaybourne znajdowało się Leacon, z którego pochodził młody sierżant. Pogłodziłem brodę. Zatem człowiek nazwiskiem Blaybourne lub Braybourne mógł wywodzić się z Kentu i żyć w minionym wieku. Pozostawił też w Yorku wyznaczenie, które budziło niepokój królów. Co z tego wynikało? Zdałem sobie sprawę, że chociaż liczyłem na więcej wskazówek, na jakiś trop podsunięty przez mapę, widniała na niej jedynie sama nazwa — nazwa wioski położonej z dala od głównych traktów.

Odłożyłem mapę na miejsce i ruszyłem wzdłuż długich półek, dziwując się różnorodności i liczbie zgromadzonych książek i dokumentów. Były tam biografie i dzieła historyczne, księgi medyczne i ogrodnicze. Rozprawy o malarstwie, księgi sporządzone w języku angielskim, łacińskim i normańskim. Zdumiało mnie, że nie było tam żadnych woluminów z dziedziny prawa, jednak gdy

przeszedłem do sąsiedniego pokoju, moim oczom ukazały się całe półki z prawniczymi księgami, od klasycznych dzieł Bractona, po akta z dawnymi precedensami, roczniki i tomy z uchwałami parlamentu. Z radością zobaczyłem, że niektórych brakowało w bibliotece Lincoln's Inn, mieliśmy bowiem wiele luk w archiwach spraw sądowych.

Sięgnąłem po kilka roczników i wróciłem do biurka. Okazało się, że są to faktycznie zaginione precedensy. Zapomniałem o upływie czasu pogrążony w studiowaniu dawnych akt. Od czasu dzieciństwa, zawsze gdy byłem wzburzony, szukałem schronienia w świecie ksiąg, dlatego podczas przeglądania zbiorów Wrenne'a zacząłem odzyskiwać spokój ciała i umysłu. Po pewnym czasie oprzytomniałem i pomyślałem, że Lincoln's Inn zapłaciłoby sowicie za kopie owych akt. Stwierdziłem też, że tkwię w bibliotece od wielu godzin. Z lekkim zakłopotaniem zszedłem do kuchni. Madge siedziała przy ogniu, szując. Zakaszałem.

— Przepraszam, Madge. Zapomniałem o bożym świecie wśród owych ksiąg.

Jej twarz się rozpozodziła. Po raz pierwszy posłała mi uśmiech, zdumiewająco słodki i uroczy.

— To miło, że ktoś interesuje się tym zbiorem. Niewielu to ciekawi. Ludzie powiadają, że trzeba zapomnieć o przeszłości, o dawnych obyczajach. Pogrzebać je głęboko.

— To niezwykła biblioteka.

— Pan śpi. — Wyjrzała na dwór, gdzie przez mgłę siał deszcz. — Ciągłe mży. Chcielibyście coś zjeść? — Tak, dziękuję. — Zdałem sobie sprawę, że jestem głodny.

— Jeśli chcecie, mogę wam przynieść jadło do biblioteki. Przyniosę też świeczkę.

Właściwie czemu nie, pomyślałem.

— Tak. — Skinąłem głową. — Zostanę tam jeszcze jakiś czas. Dziękuję.

Wróciłem na górę, a Madge przyniosła mi po chwili nieco chleba i piwa oraz owej pozbawionej smaku, choć sycącej polewki. Postawiła też na biurku dużą świecę z pszczelego wosku. Jedząc, rozglądałem się po bibliotece. Pokoje urządzono istic po spartańsku — nie było w nich żadnych mebli prócz biurka, a deski podłogi były gołe, nawet niewyłożone sitowiem. Ile lat Giles trudził się tu w samotności? Co się stanie z ową kolekcją po jego śmierci?

Nagle przyszła mi do głowy pewna myśl. Wstałem i podszedłem do półek, na których znajdowały się uchwały parlamentu. Był to długi rząd dokumentów, pomyślałem sobie jednak, że podobnie jak w przypadku roczników sądowych mogły się tam znajdować wyjątkowe okazy. Powiodłem wzrokiem po półkach, dopóki nie znalazłem tomiszczą zawierającego uchwały z ostatnich trzydziestu lat minionego wieku. Wielka księga była oprawiona w brązową skórę i nosiła na okładce godło Minsteru. Położyłem ją na biurku. Poczułem wdzięczność do Madge za świeczkę, albowiem niebo za oknem poczęło ciemnieć.

Zacząłem odwracać ciężkie arkusze pergaminu, aby dotrzeć do uchwał z roku tysiąc czterysta osiemdziesiątego czwartego. Znalazłem pierwszą, pod tym samym tytułem, Titulus Regulus, co dokument ze skrzynki Oldroyda, który przez chwilę miałem przed oczyma. Titulus Regulus — tytuł królewski. „Ustawa przekazująca koronę królowi i jego spadkobiercom...”. Serce poczęło mi walić.

Zbadałem oprawę, przyjrzałem się widocznej u dołu pieczęci parlamentu, porównałem dokument z uchwałami wcześniejszymi i późniejszymi. Była to kopia sporządzona pół wieku temu. Pomyślałem, że owa uchwała z pewnością nie została sfalszowana. Maleverer kłamał. Z drugiej strony nigdy o niej nie słyszałem. W pewnym momencie owa uchwała musiała zostać usunięta z archiwum parlamentu i po cichu zniszczona.

Zacząłem czytać. Był to krótki dokument składający się

zaledwie z pięciu stron. Tekst miał formę mowy skierowanej do króla Ryszarda III — mowy wyjaśniającej, dlaczego Izby Lordów i Gmin chcą, aby objął tron. Po kwiecistym opisie szerzącego się w kraju upadku autorzy przeszli do sprawy małżeństwa króla Edwarda IV. Ledwie pamiętałem ową historię. Król Edward, dziadek naszego króla, poślubił niewiastę z gminu, Elizabeth Woodville, chociaż rzekomo zawarł już inny kontrakt małżeński, gdyż autorzy uchwały pisali:

...ponieważ złożył przysięgę małżeńską pani Eleonor Butler... wspomniany król Edward i Elizabeth żyli ze sobą w grzesznym związku, dopuszczając się cudzołóstwa... dlatego wszyscy potomkowie i dzieci króla Edwarda, będąc bękartami, nie mogą domagać się niczego na mocy prawa dziedziczenia.

W dalszej części uchwały była mowa o tym, że skoro jego następca, książę Clarence, i jego spadkobiercy zostali pozbawieni praw za dopuszczenie się zdrady, następnym w kolejności do tronu był książę Gloucester, Ryszard III:

...niewątpliwy syn i spadkobierca Ryszarda, nieżyjącego już księcia Yorku... przyszedłeś na świat na tej ziemi. Z tej racji wręcz nieco na temat swojego urodzenia i powinowactwa.

Rozsiadłem się wygodnie. Nic dziwnego, że Maleverer chciał zataić tę uchwałę. Wróciłem myślami do drzewa genealogicznego. Obecny król wywodził swoje prawo do tronu od matki, córki Edwarda IV. Jeśli pochodziła ona z nieprawego związku, Henryk VIII nie miał prawa do korony. Z tego zaś wynikało, że jej prawowitymi spadkobiercami byli potomkowie Jerzego, księcia Clarence, co wyjaśniałoby dlaczego w Tower ścięto Margaret z Salisbury i jej syna. Wstałem i zacząłem niespokojnie krążyć po pokoju.

Nagle obudził się mój prawniczy instynkt. Słyszałem opowieść o wstępnym kontrakcie małżeńskim króla Edwarda, nie był to

żaden sekret. Wstępne kontrakty tego rodzaju były jednak śliską sprawą, trudno było bowiem dowieść ich prawdziwości. Każdy człowiek pragnący unieważnienia małżeństwa mógł rzec, iż obiecał poślubić inną, zanim wziął sobie obecną małżonkę. Słyszałem o tym, że mężowie płacili kobietom, aby fałszywie przysięgły, iż obiecali im małżeństwo, aby uwolnić się od niechcianego związku. Na dodatek król Edward, królowa Elżbieta Woodville i owa Eleonor Butler nie żyli od pół wieku, obecnie nie można więc było niczego dowieść — chyba że kontrakt zostałby sporządzony na piśmie, czego wszak nie uczyniono, albowiem gdyby takowy dokument istniał, z pewnością odwołano by się do niego w Titulus. Wyglądało na to, że wszystko spreparowano, aby po fakcie usprawiedliwić objęcie tronu przez Ryszarda. W roku tysiąc czterysta osiemdziesiątym czwartym, gdy uchwalono ten akt, od dwunastu miesięcy zasiadał już na tronie. Ujawnienie Titulus, choć kłopotliwe, nie stwarzałoby jednak żadnego realnego zagrożenia.

Po raz drugi uważnie przestudiowałem dokument. Zdumiał mnie szczególnie jeden fragment, w którym Ryszarda opisano jako „niewątpliwego syna i spadkobiercę Ryszarda, nieżyjącego już księcia Yorku”. Czyżby ktoś sugerował, że Ryszard był bękartem? Dzieckiem Cecily Neville i innego mężczyzny? Przypomniałem sobie dziwną uwagę Maleverera, gdy powiedziałem mu o drzewie genealogicznym. „No tak, jak zwykle wszystko zaczyna się od Cecily Neville”. Hipoteza ta nie miała jednak żadnego sensu. Gdyby Ryszard III był bękartem, Tudorzy ujawniliby ten fakt — rozgłosiliby to z dachów domów, aby w ten sposób usprawiedliwić odebranie mu tronu.

Jeszcze raz przeczytałem uchwałę, lecz nie doznałem żadnego olśnienia w kwestii znaczenia owego fragmentu. Siedziałem za biurkiem, spoglądając na Minster z pięknymi witrażami mieniącymi się barwami w promieniach zachodzącego słońca. Czyżbym naprawdę spędził tu całą dzień?

Odłożyłem księgę na miejsce, zamknąłem drzwi i wróciłem do Madge. Była w głównej izbie i karmiła sokoła siekanym mięsem.

— Przepraszam, że siedziałem tak długo. Zapomniałem o upływie czasu.

Odłożyła tacę i otarła dłonie o fartuch.

— Dziękuję za twoją gościnność, Madge.

— Pan nadal śpi. — Przerwała, aby po chwili dodać nieoczekiwanie: — Czy jeśli pojedzie do Londynu... zatroszczysz się o niego, panie?

— Zaopiekuję się nim jak własnym ojcem.

— Jak on się miewa? Medyk nie chce mi powiedzieć, myśli, że jestem prostą, ubogą służką.

— Niezbyt dobrze.

Skinęła głową. * '

— Pan powiada, że jego stan nie ulegnie poprawie. Będzie mi go brakowało. Był dla mnie dobry, podobnie jak jego żona, niech spoczywa w pokoju. — Przeżegnała się. — To dobry człowiek, mimo złych uczuć, które wzbudził, wszczynając spór z rodziną żony. Teraz chce się pojednać z młodym Martinem.

— Pomogę mu go odnaleźć.

— Poszło o politykę. Pan popełnił błąd, zrywając kontakt z siostrzeńcem. Sądzę, że teraz to zrozumiał.

— O co poszło?

Przygryzła wargi.

— Nie wiesz, panie? Sądziłam, że ci powiedział.

— Nic nie powiedział, Madge. Miejmy nadzieję, że z bożą pomocą przywiozę ci go z powrotem.

Skinęła głową z oczami pełnymi łez, była jednak zbyt dumna, aby płakać w mojej obecności. Otworzyła mi drzwi i wyszedłem.

Deszcz przestał padać, lecz zerwał się chłodny, przenikliwy wiatr. Przypomniałem sobie, że w noc naszego pierwszego spotkania Wrenne zacytował słowa Thomasa More'a o wojnie Dwóch Róż. „Owe igrzyska królów przypominały sztuki teatralne rozgrywające się głównie na deskach szafotów”. Przeszedł mnie dreszcz i począłem iść w stronę opactwa Świętej Marii, trzymając się środka ulicy i spoglądając na cienie obok drzwi. Zaciśnąłem dłoń na rękojeści sztyletu pod peleryną, przyrzekając sobie, że od tej pory zawsze będę go nosił.

W opactwie panowała cisza. Przeszedłem obok ogromnej bryły kościoła, kierując się w stronę naszej kwatery. Stałem przy drzwiach, przysłuchując się wesołym głosom dolatującym ze środka. Pomyślałem, że będę musiał ponownie stawić czoło urzędnikom. Pchnąłem drzwi, otwierając je na oścież. Wszyscy spojrzeli na mnie z zaciekawieniem z wyjątkiem Cowfolda, który pośpiesznie odwrócił wzrok, pamiętając obietnicę Baraka, że rozkwasi mu łeb o ścianę.

— Dobry wieczór — rzekłem. — Widzieliście w pobliżu pana Baraka?

— Wyszedł — odpowiedział młody Kimber.

— Z nadobną dziewczką — dodał inny, na co kilku zarechotało. Skinąłem głową i udałem się do mojej sypialni. Czułem na plecach spojrzenia tamtych, dopóki z ulgą nie zamknąłem drzwi. Przekręciłem klucz i padłem na łóżko.

Po chwili usłyszałem, jak urzędnicy opuszczają kwaterę, udając się do refektarza na wieczerzę. Byłem głodny, lecz nie mogłem znieść ciekawskich spojrzeń, muszę też wyznać, że lękałem się iść sam. Zamknąłem oczy i natychmiast zasnąłem.

Kiedy się przebudziłem, było bardzo późno. Urzędnicy wrócili i poszli spać, słychać było bowiem donośne chrapanie i mamrotanie. Wyszedłem do holu. Ogień przygasł, lecz nadal płonął.

Postanowiłem, że pójdę na mały spacer, aby rozjaśnić umysł. Pomyślałem, że o tej porze w pobliżu nie będzie nikogo. Ostrożnie otworzyłem skrzypiące drzwi, nie chcąc nikogo obudzić. Wyszedłem na zewnątrz. Po księżycowym niebie sunęły obłoki. Bacznie rozejrzałem się dookoła, wypatrując postaci przycazonej w cieniu drzwi, a następnie okrążyłem róg budynku, gdzie pod łukiem wiodła ścieżka do rzeki.

Nagle skoczyłem przerażony, kładąc dłoń na rękojeści sztyletu. Usłyszałem szelest i spostrzegłem, że pod łukiem przykucnęła jakaś postać, a właściwie dwie.

— Coś za jeden?! — zakrzyknąłem.

Spod łuku wyłonili się Barak i Tamasin, trzymając się za ręce. Odetchnąłem z ulgą na myśl o tym, że przytapałem ich na całowaniu się pod murem. Wówczas ujrzałem ich twarze. Tamasin wybałuszyła oczy ze strachu, a twarz Baraka zastygła w przerażeniu.

— O co chodzi? Na Boga, co się stało?

— Cicho, na rany Jezusa. — Barak chwycił mnie za ramię i wciągnął pod łuk. — Nie mogą nas zobaczyć! — szepnął.

— Dlaczego? Co...

Wziął głęboki oddech.

— Poszliśmy na spacer — wyjąkał. — Tamasin nie powinna była wracać tak późno.

— Nie stało się nic złego. Kto...

— Widzieliśmy coś, panie — powiedziała Tamasin. — Coś, co nie było przeznaczone dla naszych oczu.

— Wiem teraz, co znaczyły słowa Oldroyda — wydusił z siebie Barak. — „Żadne dziecko Henryka i Katarzyny Howard nie może być ich prawowitym dziedzicem, ona wie”. Oldroyd to odkrył... Bóg jeden wie jak.

— Co takiego? Słuchajcie, znalazłem coś w domu Wrenne'a. Kopię uchwały parlamentu...

— Zapomnij o tym! — Barak potrząsnął głową, spoglądając na mnie niecierpliwie. — Wiedza Oldroyda nie miała nic wspólnego z dawnymi dokumentami. Chodzi o coś, co rozgrywa się tu i teraz. Wszyscy troje tkwimy po uszy w bagnie!

Rozdział dwudziesty drugi

Patrzyłem na nich jak oniemiały. Barak wychylił głowę, próbując przeniknąć ciemności przed naszą kwaterą.

— Jest tam kto? — szepnęła Tamasin.

— Nie, Bóg jeden wie, dokąd poszedł!

— Kto? — spytałem.

Barak odwrócił się w moją stronę.

— Słuchaj, musimy znaleźć miejsce, w którym będzie można swobodnie porozmawiać.

— Refektarz jest otwarty całą dobę — podsunęła Tamasin. — Odpoczywają tam żołnierze.

— Żołnierze? — powtórzył z wahaniem Barak.

— Tak, lecz o tej porze będzie tam prawie pusto. Znajdziemy stół z dala od innych.

— Która jest godzina? — spytałem, zdając sobie sprawę, że straciłem rachubę czasu.

— Dochodzi druga. — Barak skinął głową Tamasin. — W porządku, chodźmy tam.

— Na Boga, powiecie mi wreszcie, o co chodzi? — zapytałem, czując, że zaczynam drżeć ze strachu jak oni.

Tamasin spojrzała na mnie uważnie.

— Jeśli mu powiemy, będzie w niebezpieczeństwie tak jak my.

— Jego życie już jest w niebezpieczeństwie. Chodź. — Barak wysunął się z mroku i zaczął szybko iść w stronę refektarza. Podążyliśmy za nim.

Drzwi były otwarte, a stojące na stole świeczki oświetlały ogromną salę przyćmionym światłem. W środku nie było nikogo oprócz grupki żołnierzy pijących przy stole nieopodal drzwi. Mężczyźni zdjęli napierśniki i hełmy, pochylając się ciężko nad kubkami, utrudzeni długą wartą. Barak ruszył w kierunku stołu w najodleglejszym kącie sali.

— Powinniśmy zamówić piwo. — Ruszył w stronę wyraźnie znudzonego sługi siedzącego przy stoliku obok dużej beczki. Tamasin i ja usiedliśmy. Dziewczyna pochyliła głowę, opierając czoło na dłoni i burząc długie, jasne włosy. Zauważyłem, że jej dłoń lekko drży. Coś poruszyło ją do głębi.

Barak zjawiał się z trzema kuflami piwa i usiadł obok, tak by móc cały czas obserwować drzwi. Pochylił się, wziął głęboki oddech, a następnie począł cicho mówić.

— Jak wiesz, poszliśmy na polowanie z sokołami, gdy urządzono tu szczucie niedźwiedzi. Ja, Tamasin i kilku urzędników.

— Tak.

Tamasin pokręciła głową.

— Nie mogę uwierzyć, jaki beztroski był ten dzień...

— Po udanych łowach udaliśmy się do wsi. Wówczas zerwała się ulewa. Mogliśmy wrócić dopiero po zapadnięciu zmroku. Zajrzeliśmy na kwaterę, lecz ty szybko zasnęłaś, a nie chcieliśmy cię budzić. Przyszliśmy tu coś przekąsić. Później poszliśmy...

— Jack. — Tamasin spojrzała na mnie i poczerwieniła.

— Musi wiedzieć wszystko, Tammy. Jeden z urzędników miał klucz do ogrzewanej izby w budynkach klasztornych. Poszliśmy...

— W porządku — przerwałem. — Mogę domyślić się reszty. Co tak was przeraziło. — Opuściliśmy izbę godzinę temu. Tamasin powinna była wrócić do King's Manor już dawno. Nocuje w kwaterach dla służby. Nie wiedzieliśmy, jak ma wrócić, gdyż żołnierze pełniący wartę przy drzwiach z pewnością by z niej żartowali. Wówczas ujrzeliśmy drzwi niepilnowane przez nikogo. Obok kuchni przy komnatach królowej. Obeszliśmy pałac, aby sprawdzić, czy są otwarte. Właśnie tam ich ujrzeliśmy.

— Kogo?

Barak rozejrzał się po refektarzu, a w ślad za nim uczyniła to Tamasin.

— Pamiętasz owego fircyka Thomasa Culpepera, który przypatrywał się wczoraj walkom kogutów wraz z Derehamem? — spytał z najwyższym trudem Jack.

— Tak, powiedziałaś, że to jeden z przybocznych króla.

— Przybocznych... zaiste. — Barak zachichotał nerwowo. — Stał w drzwiach, żegnając się z królową.

— Królową?

— Królową Katarzyną. Nie rozpoznałem jej, lecz Tammy doskonale ją zna.

Tamasin skinęła głową.

— To była ona, panie. Obok stała lady Rochford.

Spojrzałem na nich z przerażeniem.

— Zdajecie sobie sprawę, co mówicie?

— Tak. — Barak ponownie chrapliwie zarechotał. — O pierwszej w nocy królowa wypuszczała ze swojej prywatnej komnaty największego kobieciarza na dworze.

— Jezu — jęknąłem, przypominając sobie pierwszy ranek w King's Manor, kiedy to lady Rochford zadrezczała Craike'a pytaniami w sprawie drzwi i zamków, na wypadek gdyby królowa musiała szybko opuścić rezydencję z powodu pożaru.

— Nie usłyszałeś, panie, najgorszego. — Tamasin westchnęła ciężko. — Widzieli nas.

— Co!

— Culpeper dostrzegł nas pierwszy — powiedział Barak. — Odwrócił się, spojrzał na nas i stanął jak skamieniały. Później wychyliła się lady Rochford i też nas dostrzegła. Była przerażona i wściekła. Wciągnęła do środka królową, która wydała słaby okrzyk przerażenia i zatrzasnęła drzwi. Młody Culpeper stał jak głupek, nie wiedząc, co czynić. Później uchylił kapelusza i odszedł. — Barak ponownie zarechotał. — Uchylił kapelusza.

Pociągnąłem łyk piwa, jako że zaschło mi w ustach. Zastanowiłem się przez chwilę, a następnie zwróciłem się do Tamasin.

— Jak była ubrana królowa?

Zrozumiała do czego zmierzam.

— Miała na sobie pełny strój. Żółtą suknię, jedną z najpiękniejszych. Do tego makijaż, naszyjnik i kolczyki.

— Nie ma zatem dowodów, że doszło do zdrady. Suknia i makijaż wskazują, że do niczego nie doszło.

Barak potrząsnął głową.

— To nie ma znaczenia. Culpeper był w jej prywatnych komnatach o pierwszej nad ranem. Już to wystarczy, aby stracił głowę.

— Razem z królową. Nie byłaby pierwsza. Podobny los spotkałby lady Rochford. Jezu, czemu naraża życie, pakując się w coś takiego?

— Bóg jeden wie, panie — odparła znużonym głosem Tamasin. — Może rzeczywiście jest na wpół szalona, jak mawiają niektórzy.

Zmarszczyłem czoło.

— Jesteście pewni, że Culpeper wychodził? Nie mógł zostać po prostu wezwany z jakiegoś powodu? Zapukał, one zaś otworzyły mu drzwi?

Barak pokręcił niecierpliwie głową.

— Czy jeśli ktoś puka do kuchennych drzwi o pierwszej nad ranem, królowa i jej pierwsza dama dworu schodzą na dół, aby je otworzyć?

— Nie, zgoda, kiepsko to wygląda.

— Wśród dworek krążą plotki, że pan Culpeper i królowa darzyli się uczuciem, zanim Katarzyna poślubiła króla — rzekła Tamasin. — Powiadają też, że pan Dereham miał z nią romans, gdy była dziewczyną. Dereham i Culpeper nie znoszą się wzajemnie. Nikt jednak nie podejrzewał, że królowa mogłaby...

— Musi być szalona — prychnął Barak, zaciskając pięści.

— Dobry Boże, jeśli królowa ogłosi, że jest w ciąży, może nosić dziecko Culpepera — powiedziałem, przygryzając wargi i ciężko dysząc. — Pasowałoby to do słów Oldroyda. „Żadne dziecko Henryka i Katarzyny Howard nie może być ich prawowitym dziedzicem, ona wie”. Miał na myśli królową.

— Właśnie — przytaknął Barak. — Może się to ciągnąć od miesięcy. A jeśli dowiedzieli się o tym spiskowcy z północy? Dobry Boże... — Pokręcił głową ze zdumienia. — Czy Culpeper byłby na tyle głupi, aby dobierać się do owieczek starego?

Skinąłem wolno głową.— Pomyślcie, jak osłabi to króla, gdy okaże się, że królowa jest przy nadziei i ta sprawa wyjdzie na jaw. Pamiętaj, że lady Rochford i Dereham widzieli, jak wnosimy skrzynkę. To, czego byliście świadkami, ukazuje ten fakt w nowym świetle.

— Może wyznanie zostało spisane przez człowieka, który widział ich razem? — zasugerował Barak.

— Nie — zaprzeczyłem, marszcząc brwi. — Wyznanie Blay-boume'a liczy wiele lat, a Tytułus pochodzi z roku tysiąc czterysta osiemdziesiątego czwartego.

— Powiedziałeś, że były tam inne dokumenty, których nie widziałeś.

— Tak, były — przytaknąłem wolno.

— Może dotyczyły królowej i Culpepera.

— Nie mam pojęcia, o czym mówicie? Co to takiego Tytułus i kim jest Blaybourne? — spytała Tamasin.

Spojrzałem na nią. Ich opowieść tak mną wstrząsnęła, że bezwiednie wspominałem o zawartości skrzynki, stawiając ją w niebezpieczeństwie jeszcze większym od tego, w którym się znajdowała. Teraz zagrożeni byliśmy wszyscy troje. Trzeba było połączyć siły. Wziąłem głęboki oddech.

— Jack i ja znaleźliśmy skrzynkę z dokumentami, którą później wykradziono. W domu zamordowanego szklarza Oldroyda.

— Wiem, stało się to owego dnia, gdy przesłuchano Jennet i mnie.

— Ktoś go zamordował z jej powodu, a teraz próbuje zabić mnie, ponieważ sądzi, że widziałem jej zawartość. — Opowiedziałem, jak napadnięto mnie w King's Manor i obozie, o wyznaniu Blaybourne'a i Titulus, dodając to, czego dowiedziałem się z kopii uchwwały, która ocalała w bibliotece Wrenne'a. Wybałuszyła oczy.

— Dobry Jezu, w coś się waszmość wpakował? — zapytała cicho.

— W największe gównno, jakie w życiu widziałas — odrzekł lakonicznie Barak.

Rozejrzałem się po refektarzu, słysząc hałas dobiegający z przeciwległego końca sali. Żołnierze ciężko wstali od stołui ruszyli do drzwi, zostawiając nas samych ze sługą, który zasnął z głową na stole, czyniąc sobie poduszkę z ramion.

— Co robimy? — spytał Barak. — Zawiadomimy o wszystkim Maleverera?

— Nie, jeszcze nie teraz — odpowiedziałem. — Możecie jedynie zaświadczyć o tym własnym słowem. Tamci wszystkiemu zaprzeczą. Wpakujecie się w poważne kłopoty i nic nie osiągniecie.

Barak pochylił się w moją stronę.

— Jeśli królową i Culpepera łączy coś z owymi dokumentami, lady Rochford mogła stać za zamachami na twoje życie. Teraz zdwoi wysiłki.

— Nie — zaprzeczyła Tamasin. — Królowa nigdy nie wzięłaby udziału w morderstwie. Tego jestem pewna. To życzliwa, łaskawa kobieta... dziewczyna. W pewnym sensie jest bardzo niewinna.

— Żyje na dworze, który jest gniazdem żmij — wtrącił się Barak.

— Zapewniam cię, że jest, jak powiedziałam. To głupia, niewinna dziewczyna. Każdy ci to powie. Musi czuć się zagubiona, w przeciwnym razie nie zachowywałaby się tak lekkomyślnie.

— Pamiętaj, że lady Rochford jest zdolna do wszystkiego — bronił swego Barak. — Przyjrzyj się jej życiu.

— Mimo to nie wyobrażam sobie, aby mogła się kryć za atakami na mnie — rzekłem w zamyśleniu. — Nie zrobiła na mnie wrażenia sprawnego organizatora. — Zastanowiłem się przez chwilę. — Tamasin, co twoim zdaniem uczyni lady Rochford? W sprawie tego, co widzieliście z Barakiem?

— Z pewnością zdecyduje o tym królowa — wtrącił się Barak.

Tamasin potrząsnęła głową.

— Myślę, że królowa pójdzie za radą lady Rochford. — Spojrzała na mnie. — Na jej miejscu próbowałabym nas zastraszyć i zmusić do milczenia. Albo przekupić.

Skinąłem głową.

— Sądzę, że masz rację. Poczekamy, aby sprawdzić, czy się do ciebie zwróci. Dalsze działania uzależnimy od tego, co powie. Jeśli do ciebie nie przyjdzie lub, co gorsza, podejmie jakieś ruszyli do drzwi, zostawiając nas samych ze sługą, który zasnął z głową na stole, czyniąc sobie poduszkę z ramion.

— Co robimy? — spytał Barak. — Zawiadomimy o wszystkim Maleverera?

— Nie, jeszcze nie teraz — odpowiedziałem. — Możecie jedynie zaświadczyć o tym własnym słowem. Tamci wszystkiemu zaprzeczą. Wpakujecie się w poważne kłopoty i nic nie osiągniecie.

Barak pochylił się w moją stronę.

— Jeśli królową i Culpepera łączy coś z owymi dokumentami, lady Rochford mogła stać za zamachami na twoje życie. Teraz zdwoi wysiłki.

— Nie — zaprzeczyła Tamasin. — Królowa nigdy nie wzięłaby udziału w morderstwie. Tego jestem pewna. To życzliwa, łaskawa kobieta... dziewczyna. W pewnym sensie jest bardzo niewinna.

— Żyje na dworze, który jest gniazdem żmij — wtrącił się Barak.

— Zapewniam cię, że jest, jak powiedziałam. To głupia, niewinna dziewczyna. Każdy ci to powie. Musi czuć się zagubiona, w przeciwnym razie nie zachowywałaby się tak lekkomyślnie.

— Pamiętaj, że lady Rochford jest zdolna do wszystkiego — bronił swego Barak. — Przyjrzyj się jej życiu.

— Mimo to nie wyobrażam sobie, aby mogła się kryć za atakami na mnie — rzekłem w zamyśleniu. — Nie zrobiła na mnie wrażenia sprawnego organizatora. — Zastanowiłem się przez chwilę. — Tamasin, co twoim zdaniem uczyni lady Rochford? W sprawie tego, co widzieliście z Barakiem?

— Z pewnością zdecyduje o tym królowa — wtrącił się Barak.

Tamasin potrząsnęła głową.

— Myślę, że królowa pójdzie za radą lady Rochford. — Spojrzała na mnie. — Na jej miejscu próbowałabym nas zastraszyć i zmusić do milczenia. Albo przekupić.

Skinąłem głową.

— Sądzę, że masz rację. Poczekamy, aby sprawdzić, czy się do ciebie zwróci. Dalsze działania uzależnimy od tego, co powie. Jeśli do ciebie nie przyjdzie lub, co gorsza, podejmie jakieś kroki przeciwko nam, udamy się do Maleverera. W poniedziałek. Do tego czasu będziemy przebywać wyłącznie w miejscach, które są bezpieczne.

— Uważam, że powinniśmy od razu pójść do Maleverera — upierał się Barak.

— Nie. Nie uczynimy tego bez dowodów. Wyobrażasz sobie, jak zareagowałby król, gdyby mu o tym powiedziano? Gdyby okazało się, że ta opowieść jest nieprawdziwa? Moglibyśmy stracić głowy.

Zwróciłem się do Tamasin.

— Odprowadzimy cię teraz do King's Manor. Czy żołnierze wpuszczą cię o tak późnej porze?

— Tak, niejedna dziewczyna wykrada się na noc ze dworu.

Uśmiechnąłem się cierpko.

— Rozumiem, takie obyczaje. — Odwróciłem się do Baraka, mając wrażenie, że nadal żywi wątpliwości. Nagle spostrzegłem, że zacisnął wargi i wytrzeszczył oczy, jakby dostrzegł coś za naszymi plecami.

— Za późno — rzekł.

Odwróciłem się szybko. Do refektarza weszła kolejna grupka żołnierzy z sierżantem Leaconem na czele. Odłączył się od pozostałych i pomaszerował ku nam, mocno dzierżąc pikę.

— Co się stało? — Spojrzał zdumiony na naszą trójkę. — Czemuście strwożeni jak psy, które wyrzucono przez okno?

— Nic się nie stało, sierżancie, po prostu...

— Późno wieczorzacie.

— Zagadaliśmy się. Powinniśmy iść spać.

— Muszę z wami o pomówić, panie. Na osobności. — Sierżant skinął głową. Wstałem i udałem się za nim. Jego żołnierze zebrali się wokół sługi, który przetarł oczy i począł rozlewać piwo. Zrozumiałem, że przed chwilą zakończyli służbę. Nie przysłano ich, aby nas pojмали.

Leacon spojrzał na mnie poważnym wzorkiem. Wcześniej zawsze był wobec mnie otwarty i przyjacielski, teraz jednak wyczułem w jego postawie coś nieufnego, niemal wrogiego.

— Jeden z żołnierzy doniósł mi o burdzie przy celi Brodericka — rzekł. — Doszło do bójki pomiędzy wami i owym nadzorcą Radwinterem. — O to chodzi — westchnąłem.

— Powinienem zawiadomić o tym sir Williama Maleverera, lecz mój człowiek rzekł, iż Radwinter was sprowokował.

— To prawda, sierżancie. Nie powinienem był na to pozwolić.

— Tym razem puszcza to w niepamięć, nie chcę jednak kolejnych kłopotów z Radwinterem, a sir William ma dość zajęć. Musicie mi wszak dać słowo, że nic podobnego się więcej nie zdarzy.

— Obiecuję.

Skinął głową.

- Jak się miewa Broderick? Powinienem był go dziś odwiedzić.
- Bez zmian. — Rzucił mi ponownie badawcze spojrzenie, a następnie skłonił się lekko i odszedł do swoich ludzi, ja zaś wróciłem do Tamasin i Baraka.
- O co mu chodziło? — spytał Barak.
- O moją bójkę z Radwinterem. Powiedział, że nie powiadomi o niej Maleverera, jeśli obiecuję mu, iż nie dam się więcej sprowokować. Cóż, mam teraz inne zmartwienia na głowie.

Odprowadziliśmy Tamasin do King's Manor. Całe opactwo było pogrążone w ciemności i ciszy. Złota moneta wystarczyła, aby straż bez przeszkód wpuściła ją do środka. Barak i ja wróciliśmy do naszej kwatery, lecz upłynęło wiele czasu, zanim zasnąłem.

Niedzielnny rano zapowiadał słoneczny dzień. Ubierałem się w sypialni, gdy Barak zapukał do drzwi.

- Na zewnątrz czeka kucharz, waszmość Goodrich.

Pośpiesznie naciągnąłem szatę i wybiegłem na dwór. Goodrich stał przy drzwiach.

- Jak się miewa twój syn? — zapytałem.
- Lepiej, panie, lecz ma paskudną ranę na głowie. Powiedziałem, aby dzisiaj nie pracował.
- Bogu dzięki, że jego stan się nie uległ pogorszeniu.
- To prawda, ale...Spojrzał na mnie. Pomyślałem, że chce prosić o pieniądze, więc sięgnąłem do sakwy. Goodrich potrząsnął głową.
- Chciałem was jedynie zapytać... kto mógł to uczynić? Czy mój syn jest bezpieczny?
- Zapewniam was, że nic mu nie grozi, panie Goodrich. Człowiek, który go ogłuszył, dybał na moje życie. Bądźcie spokojni, dowiemy się, kto to zrobił.
- Trzeba zawiadomić przełożonych. Na terenie opactwa przebywa król... — Przerwał, spoglądając z bojaźnią i lękiem w stronę King's Manor.
- Zostawcie to mnie. Pozdrówcie ode mnie syna.

Patrzyłem, jak kucharz odchodzi w stronę obozu.

- Wszystko w porządku? — zapytał Barak, stając obok mnie.
- Tak, chodźmy na śniadanie.

Ruszyliśmy w kierunku refektarza. Zauważyłem, że robotnicy pod okiem nadzorcy rozkładają jedną z niedźwiedzich klatek stojących obok zagród dla zwierząt. Przystanąłem, przypatrując się temu, co robią.

— Na oczach króla powalił sześć psów — oznajmił dumnie opiekun niedźwiedzi. — Później dzielnie wyzionął ducha. — Uśmiechnął się do mnie z nieskrywanym zadowoleniem. Druga klatka była w dalszym ciągu zajęta. Ocalały niedźwiedź nie spał, lecz leżał zwinięty w kącie klatki, odwrócony do nas plecami. Bestia zmieniła pozycję, wydając niski, jękliwy pomruk. Rozcięte w kilku miejscach futro zeszywniało od zaschłej krwi.

— Będzie jeszcze jedno widowisko? — spytał Barak.

Mężczyzna przyjrzał się zwierzakowi fachowym okiem.

— Tak, jest zdolny do kolejnej walki. To silna bestia.

Odszedłem, tłumiąc drżenie.

Jedliśmy w milczeniu pośród dworzan i sług, którzy śniadali przed kościołem. Pomyślałem o dniu, który nas czeka. Spokojne godziny spędzone w bibliotece Wrenne'a wydawały się bardzo odległe.

— Wolałbym nie zostawiać Tamasin samej w pałacu — rzekł w końcu Barak. — Niepokoję się o nią. — Myślę, że tak będzie najrozsądniej, Jack. Nie wolno nam działać pochopnie.

Potrząsnął głową.

— Po ostatniej nocy nie umiem trzeźwo myśleć. Idziesz na nabożeństwo? W kościele Świętego Olafa odprawiają mszę w kilku turach.

— Nie, nie dam rady.

— Nie chcę tu tkwić jak kotek cały dzień.

— Znam miejsce, w którym można siedzieć i spokojnie obserwować, co się dzieje.

Zaprowadziłem go do ławki, na której dwie noce wcześniej rozmawiałem z Tamasin. Tłumy ludzi ciągnęły na pierwsze nabożeństwo do Świętego Olafa. Po przyjeździe króla atmosfera panująca w opactwie uległa całkowitej zmianie — ludzie cicho rozmawiali i poruszali się ze spokojem.

Naszym oczom ukazała się mała grupka dworzan, wśród których rozpoznałem młodych mężczyzn spotkanych w obozie dwie noce wcześniej. Był wśród nich Dereham. Przechodząc obok, rzucił mi pogardliwe spojrzenie. Zauważyłem, że nie było wśród nich Culpepera.

— Ciekawe, czy król i królowa wezmą udział we mszy — powiedział Barak.

— Myślę, że będą się modlić w prywatnej kaplicy King's Manor.

— Ze względów bezpieczeństwa? Czują się zagrożeni przez mieszkańców Yorku?

— Może. — Westchnąłem. — Nie dziwię się, że powstałi przeciwko niemu.

Barak spojrział na mnie nieufnie.

— Chyba nie przeszedłeś na stronę papistów?

— Nie, chodziło mi o to, że przez lata byli traktowani jak obywatele drugiej kategorii. — Ujrzałem Craike'a wraz z grupą bogato odzianych oficjeli i pomachałem mu na przywitanie. Zawahał się, aby po chwili ruszyć ku nam.

— Idziesz do kościoła, kolego Shardlake?

— Może wybiorę się na późniejsze nabożeństwo.

Uśmiechnął się.

— Przed chwilą byliśmy na dzwonnicy. W obozie księżaodprawiają mszę na wolnym powietrzu. To istne widowisko. Przepraszam, muszę iść, w przeciwnym razie się spóźnię. — Skłonił się i pobiegł za tamtymi.

— Mimo uprzejmych słów w jego zachowaniu jest coś podejrzanego — zauważył Barak.

— Masz rację.

— Powinniśmy ustalić, co się działo w owej tawernie, w której go widziałem.

Skinąłem głową.

— Dobrze. Sprawdźmy to. Także Tamasin mogłaby się czegoś dowiedzieć.

Spojrział na mnie pytająco.

— Nie chcę jej narażać na niebezpieczeństwo.

— Mogłaby się wypytać o przodków pana Culpepera. O jego przyjaciół i członków rodziny. Ciekawym, czy coś go łączy z mieszkańcami północy.

— Zobaczę, co da się zrobić — odparł, marszcząc brwi. — Czuję się odpowiedzialny za Tamasin. To ja ją w to wplątałem.

Skinąłem głową. Chyba po raz pierwszy przejmował się losem dziewczyny.

— Lękam się, że i tak byłaby w to wplątana.

— Proszę Boga, aby to wszystko okazało się jednym wielkim oszustwem, a słowa Oldroyda miały całkiem inne znaczenie. — Wsunął dłoń za koszulę, dotykając palcami starej mezuzy. — Czy jeśli tych dwoje ma romans, Maleverer i ludzie króla coś podejrzewają?

— Nie mam pojęcia.

— Czy król jest impotentem? — Barak się zadumał. — Wszyscy wiedzą, że od lat choruje na nogę.

— Bóg jeden wie.

— Może jego nasienie jest rzadkie i słabe, stare i chore jak on sam, Culpepera zaś gęste i mocne.

Zadrzałem.

— Wolałbym nie wdawać się w takie rozważania.

— Skoro mowa o chorobie, jak się miewa stary Wrenne?

— Kiepsko. Leży w łóżku, lecz upiera się, że jutro zdoła przystąpić do rozpatrywania petycji. Chodź ze mną, w jego domu przynajmniej nic nam nie grozi.

— Dobrze. Spójrz, kto nadchodzi.

Spóźnialscy w dalszym ciągu podążali w kierunku kościoła. Wśród nich ujrzałem Jennet Marlin w towarzystwie kilku innych dam, których nie rozpoznałem.

— Gdzie jest Tammy? — zaniepokoił się Barak. — Panna Marlin lubi ją mieć przy sobie. — Przygryzł wargi. — Mógłbyś ją spytać? Nie pozwala mi na to moja pozycja.

Wstałem i ukloniłem się. Panna Marlin odziana w szarą suknię z adamaszku i staromodny kwadratowy czepiec z ogonami opadającymi za głowę dała znak swym towarzyszkom, aby szły dalej. Przystanęła i ku memu zaskoczeniu uśmiechnęła się z lekkim zdenerwowaniem.

— Witam, panie Shardlake. Idziecie do kościoła?

— Nie, chciałem was o coś zapytać. Czy panienka Reedbourne jest z wami?

— Nie. Źle się czuje, została w swojej izbie. — Ponownie uśmiechnęła się niepewnie, a następnie wzięła głęboki oddech. — Zbyt surowo się z wami obeszłam, panie — rzekła. — Chciałabym was przeprosić. — Tamasin była mi dobrą towarzyszką, lecz... — spojrzała na Baraka — ...ona i wasz człowiek mają się wyraźnie ku sobie. Nikt nie powinien stawać na drodze miłości, prawda?

— Tak — odparłem lekko zbity z tropu. Zmieniła zdanie podobnie jak ja. Może Tamasin zaapelowała także do niej, oczarowała ją, chociaż panna Marlin wydawała się osobą odporną na takie zabiegi. — Rozmawiałam z wami tak ostro, panie, ponieważ mój narzeczony został niesprawiedliwie osadzony w Tower.

— Rozumiem.

— Słyszałeś, panie, jak długo król może zabawić w Yorku? — spytała, obracając na palcu pierścioneńkę zaręczynowy.

— Nie, pani. Odnoszę wrażenie, iż nikt tego nie wie. Wszystko zależy od króla Szkocji.

Pokręciła głową.

— Nic nie wskazuje na to, aby w ogóle wyruszył w drogę. Ostatniej nocy w King's Manor rozmawiano o kolejnych napaściach rabusiów na granicy. — Rozejrzała się niespokojnie. — Chciałabym być daleko stąd. — Ja również.

— Bernarda nadal nie postawiono w stan oskarżenia ani go nie wypuszczono. Jesteście prawnikiem, panie. Jak długo mogą go trzymać w Tower?

— Jak długo zechce król, bez końca. Można składać protesty. Macie, pani, jakieś kontakty w Londynie?

— Jedynie przyjaciel Bernarda, prawników. Niektórzy boją się mieszać w tę sprawę.

— Twój niezachwiany duch może go ocalić — powiedziałem.

Spojrzała na mnie ponownie dużymi, przenikliwymi oczami.

— Było mi przykro, gdy dowiedziałam się, jak król was potraktował w piątek.

Poruszyłem się niewygodnie.

— Dziękuję.

— Żałuję, iż skojarzyłam was z sir Williamem Malevererem. W Yorkshire uważają go za niebezpiecznego, chciwego człowieka.

— Nie jest on moim przyjacielem ani opiekunem.

— Rozumiem. Mogę zapytać, w jaki sposób dołączyliście do królewskiego orszaku?

— Na prośbę arcybiskupa Cranmera.

— Ach, powiadają, że to dobry człowiek. Jest waszym patronem? .

— W pewnym sensie.

— Przepraszam... źle was osądziłam. — Dygnęła i odeszła w stronę kościoła. Strażnik stojący w drzwiach spojrzał na nią niecierpliwie. Po chwili drzwi się zamknęły, a ja wróciłem do Baraka.

— O co jej chodziło? — zapytał.

— Przeprosiła za to, jak mnie potraktowała. Mam wrażenie, że przestała się sprzeciwiać twojej znajomości z Tamasin. — Pokręciłem głową. — To dziwna niewiasta. Znajduje się pod wielką presją, to pewne.

— Rzekła, gdzie jest Tamasin?

— Tamasin powiedziała, że źle się czuje i chce zostać w swojej izbie. Przypuszczalnie woli nie rzucać się w oczy. — Spojrzałem na zamknięte drzwi kościoła. — Jeśli to, co widziałeś ostatniej nocy, wyjdzie na jaw, Jennet Marlin znajdzie się w trudnej

sytuacji. Lady Rochford jest jej chlebodawczynią, a Tamasin — służką.

— To nic w porównaniu z naszymi kłopotami.

Skinąłem głową.

— Chodźmy do kolegi Wrenne'a. Mam dość tego przekłętego miejsca.

Ruszyliśmy w kierunku bramy obok pustych pawilonów pilnowanych przez strażę, bacznie wypatrując niebezpieczeństwa.

Rozdział dwudziesty trzeci

Mijając King's Manor, ujrzałem człowieka w szarym, obszytym futrem płaszczu z ciężkim złotym łańcuchem na szyi. Zstępował po schodach w otoczeniu małej grupki urzędników. Rozpoznałem sir Richarda Richa. Podchwycił moje spojrzenie. Zadrżałem, widząc, jak odprawia urzędników i szybkim krokiem zmierza w moją stronę. Skłoniłem się nisko.

— Kogóż to widzę! Kolega Shardlake i młody Barak — rzekł, uśmiechając się lodowato. — Pracuje teraz dla ciebie?

— Tak, sir Richardzie.

Rich spojrział z rozbawieniem na Baraka.

— Ma odpowiednie wykształcenie? — Wyglądził szatę smukłymi dłońmi i uśmiechnął się. — Byłem u króla — oznajmił radośnie. — Po pojmaniu spiskowców na wiosnę tego roku ich ziemie przeszły pod mój nadzór. Rozmawialiśmy o tym, jak najlepiej nimi rozporządzić.

— Rozumiem, sir Richardzie.

— Król postanowił okazać hojność tym, którzy pozostali mu wierni w Yorku. Z drugiej strony ciągła groźba obcej inwazji sprawia, że nie może zrezygnować z żadnych dochodów. — Uśmiechnął się błado. — Prowadzi nas to do innej sprawy. Przekazałeś rajcom to, com ci rzekł na temat sprawy Bealknapa?

Wziąłem głębszy oddech.

— To, że wybrano sędziego, który będzie ją rozpatrywał? Napisałem, że ci, którzy na początku gry chwalać się dobrą kartą, zwykle blefują. — Skłamałem, albowiem jeszcze tego nie uczyniłem, choć miałem taki zamiar. Byłem ciekaw reakcji Richa. Zwracanie się w taki sposób do przewodniczącego sądu do spraw majątku likwidowanych klasztorów byłoby zuchwalstwem, lecz rozmawialiśmy teraz jak prawnik z prawnikiem. Rich rzucił mi niespokojne spojrzenie. Zmrużył oczy i odgadłem, że moje podejrzenia okazały się słuszne. Nie znalazł jeszcze sędziego.

— Podejdz no tutaj — rzekł ostro. Ujął mnie pod ramię i zaprowadził na stronę, tak aby Barak nie mógł nas usłyszeć. Spojrział na mnie twardo. — Wiesz, że mam tu interesy z twoim przełożonym, sir Williamem Malevererem. — Gniew wykrzywił mu wąską twarz. — Chce kupić ziemię w tej okolicy, a mój urząd ma ziemię na sprzedaż. Nie zapominaj, kolego Shardlake, że sir William ma tu wielką władzę, ty zaś jesteś w Yorku sam, jeśli nie liczyć tego nieokrzesanego sługi. Wygląda też na to, że nie spodobałeś się królowi. Bacz, co czynisz. — W tym miejscu zrobił znaczącą

przerwę. — Nie посыłaj owego listu do Londynu. Wiem, że tego nie uczyniłeś. — Musiałem wyglądać na zaskoczonego, bo się roześmiał. — Sądzisz, że w tak niespokojnej sytuacji politycznej listy z dworu idą do Londynu bez żadnej kontroli? — Popatrzył na mnie lodowato szarymi oczami. — Zakarbuju sobie, com rzekł. Nie igraj ze mną. — Odwrócił się i odszedł szybkim, gniewnym krokiem.

— Czego chciał? — spytał Barak, podchodząc do mnie.

Powtórzyłem mu przebieg rozmowy.

— Zawsze usiłuje mnie zastraszyć — powiedziałem. — Rok temu postępował tak samo. — Mimo to czułem się zaniepokojony. Im więcej gróźb, tym większe niebezpieczeństwo.

— Powinniśmy wrócić do domu — rzekł z naciskiem Barak. — My i Tamasin.

— Żadne z nas nie może tego uczynić, dopóki mu nie rozkażą. Jesteśmy tu uwięzieni jak muchy w konfiturze.

— Raczej w gównie — mruknął Barak, gdyśmy szli w kierunku bramy.

Ruszyliśmy w stronę Ministeru i domu Gilesa. Tym razem sam otworzył nam drzwi. Wyglądał znacznie lepiej niż wczoraj, a jego policzki odzyskały dawną barwę. Zaprosił nas do śród-kowej komnaty, gdzie przy ogniu siedziała Madge, przesuując w palcach paciorki różańca. Na nasz widok podniosła się i skłoniła, a następnie poszła po wino. Wrenne poprosił, abyśmy usiedli. Sokół na żerdzi pochylił głowę, bacznie się nam przypatrując.

— Wyglądasz znacznie lepiej — powiedziałem.

Uśmiechnął się.

— Dziękuję. Odpoczynek dobrze mi zrobił. Proszek doktora Jibsona złagodził ból. Jak się miewasz, panie Baraku? Widziałeś wczoraj króla? — Wyrzekł te słowa swobodnie, lekko wspominając o osobie władcy.

— Tak, panie. Kiedy wkraczał do miasta. To człowiek o imponującym wyglądzie. — Barak rzucił Gilesowi niepewne spojrzenie. Pomyślałem, że nigdy wcześniej nie widział człowieka, który powoli umiera. Nawet jeśli Giles to wyczuł, udał, że niczego nie zauważył.

— Nikt nie może zaprzeczyć, że nasz król prezentuje się okazale — rzekł, mądrze kiwając głową.

Madge przyniosła nam wino i półmisek małych ciasteczek. Z jakiegoś powodu unikała mojego wzroku. Byłem ciekaw dlaczego. Giles z przyjemnością pociągnął łyk ze swojej szklanicy.

— W piękny ranek nie ma nic lepszego od dobrego francuskiego wina i ciasteczek. Poczęstujcie się, panowie. — Uśmiechnął się do nas. — Dostałem z kancelarii listę powodów, którzy stawiają się jutro na zamku. Odbędziemy dwa posiedzenia.

— Jesteś pewny, że czujesz się wystarczająco dobrze, aby przewodniczyć? — zapytałem.

— Tak — odparł z naciskiem, kiwając głową. — W większości będą to stosunkowo proste sprawy.

— A jeśli strony nie będą chciały skorzystać z naszego arbitrażu?

Uśmiechnął się.

— Wówczas mogą popробować szczęścia przed londyńskimi sądami. Wątpię, aby chcieli z tego skorzystać.

— W takim razie musimy zadbać, aby sprawiedliwie ich osądzono.

— Zaiste. Zostawiłem listę w małym gabinecie obok wraz z torbami zawierającymi petycje. Panie Baraku, czy mógłbyś

połączyć dokumenty z listą nazwisk i naszym streszczeniem, żebyśmy mogli szybko się z nimi zapoznać.

— Dobry pomysł. Byłbyś łaskaw to uczynić, Baraku?

— Zabierz wino — dodał Giles. — Nie przystępuj do roboty o suchym gardle.

Kiedy drzwi się zamknęły, Giles zwrócił się do mnie z cierpkim uśmiechem.

— Madge wyznała mi, że wczoraj, gdy tu byłeś, popełniła małą niedyskrecję. Wspomniała ci o moim sporze z siostrzeńcem.

— Rzekła jedynie, że poszło o politykę.

— Czuła się w obowiązku mnie powiadomić. — Uśmiechnął się smutno. — Cóż, Matthew, powinieneś wiedzieć, jeśli masz mi pomóc w Londynie. Widzisz... trudno mi o tym mówić.

— To rozumiałe. Słuchaj, Giles... czy jesteś pewny, że twój stan pozwala na odbycie podróży? Po tym, co wydarzyło się w Fulford...

Machnął wielką dłonią błyskając pierścieniem ze szmaragdem.

— Pojadę — oświadczył z nieoczekiwaną stanowczością. — To postanowione. Pozwól, że opowiem ci o mym siostrzeńcu.

— Jeśli taka twoja wola.

— Bardzo bolałem nad tym, że żadne z naszych dzieci nie przeżyło — zaczął. — Moja żona miała siostrę Elizabeth, która poślubiła człowieka o nazwisku Dakin. Prawnika, strachliwego gnojka bez żadnych ambicji. Zawsze go miałem za nieudacznika i... cóż, jeśli mam być szczerzy, zazdrościłem im syna, który wyrósł na wysokiego, zdrowego i silnego młodzieńca. Kiedy osiągnął wiek męski, udał się do Gray's Inn, aby pobierać nauki. Dałem mu list polecający. — Uśmiechnął się powściągliwie. — Darzyłem go coraz większą sympatią. Martin był mądrym chłopcem, lubił samodzielnie myśleć i podziwiałem go za to. To rzadka cecha. Ty również ją masz — dodał, wskazując na mnie kielichem.

Zaśmiałem się.

— Dziękuję.

— Mimo to owa cecha może zaprowadzić człowieka zbyt daleko, sprowadzić na groźne wody.

— Zaiste — przytaknąłem.— Martin przyjeżdżał co roku do Yorku, aby odwiedzić rodziców. — Giles spojrział w kierunku stołu stojącego na podeście. — Przeżyliśmy tu wiele radosnych wieczorów, Martin i jego rodzice, moja żona i ja. Teraz wszyscy nie żyją z wyjątkiem Martina i mnie. — Twarz mu spoważniała. — Mimo to nigdy nie wspomniał o czymś, co musiało od dłuższego czasu w skrytości go nurtować. Aż do owego lata roku tysiąc pięćset trzydziestego drugiego, dziewięć lat temu. Królowała nam wtenczas Katarzyna Aragońska, choć Henryk od lat próbował uzyskać rozwód u papieża, aby móc poślubić Annę Boleyn. Dotarł już niemal do kresu drogi, wkrótce miał zerwać z Rzymem, wyznaczyć Cranmera na arcybiskupa Canterbury i skłonić go do uznania swojego pierwszego małżeństwa za nieważne.

— Pamiętam.

— Wszyscy na północy z przerażeniem myśleli o zerwaniu z Rzymem. Wiedzieliśmy, że Anna Boleyn była zwolenniczką reform. Lękaliśmy się, że do władzy dojdą tacy heretycy jak Cromwell, co też faktycznie się stało.

— Opowiadałem się wówczas po stronie reform, Gilesie — rzekłem szybko. — Dobrze znałem Cromwella, zanim doszedł do wielkiej władzy.

Rzucił mi badawcze spojrzenie. W razie potrzeby jego oczy były niezwykle przenikliwe.

— Z twoich słów wnoszę, że nie jesteś już entuzjastą reform?

— To prawda, nie opowiadam się po żadnej ze stron.

Giles skinął głową.

— Martina przepętniała żarliwość. Trudno sobie wyobrazić większego entuzjastę.

— Reform?

— Nie, papieża. I królowej Katarzyny. W tym właśnie tkwił szkopuł. Cóż, łatwo było... i jest... mieć sentymentalny stosunek do pierwszej żony króla. Była przy nim dwadzieścia lat, zawsze wierna, a nikczemny Henryk porzucił ją dla Anny Boleyn. Obaj wiemy, że kryło się w tym znacznie więcej. Królowa Katarzyna przekroczyła czterdziestkę i miała za sobą okres, w którym kobieta może mieć dzieci. Nie dała też Henrykowi męskiego potomka. Gdyby król nie poślubił młodszej, dynastia Tudorów zakończyłaby się wraz z nim.— To prawda.

— Wielu z nas uważało, że królowa mogłaby ocalić w Anglii prawdziwą wiarę, czyniąc to, co doradził jej papież: iść do klasztoru i pozwolić Henrykowi na powtórny ożenek. — Potrząsnął głową. — Głupia, uparta białogłowa. Obstawając przy tym, że Bóg pragnie, aby była z małżonkiem aż do śmierci, doprowadziła do rewolucji, której tak nienawidziła i tak się obawiała.

Skinąłem głową.

— Zaiste, osobliwy paradoks.

— Martin go nie dostrzegał. Upierał się, że król musi pozostać wierny Katarzynie Aragońskiej. Oznajmił nam to bez ogródek, gdy pewnego dnia siedzieliśmy przy stole. Wytrącił mnie tym z równowagi, doprowadził do wściekłości. W przeciwieństwie do niego zdawałem sobie sprawę, że jeśli Katarzyna Aragońska nie wyrazi zgody na rozwód lub nie pójdzie dobrowolnie do klasztoru, Henryk zerwie z Rzymem. Ostatecznie to uczynił. Dziś, gdy Katarzyna Aragońska i Anna Boleyn już nie żyją, może się wydać dziwne, iż pokłóciliśmy się tak gwałtownie z owego powodu, lecz w tamtym czasie ludzie popierający starą religię byli podzieleni. Podzieleni na realistów takich jak ja i ludzi podobnych do Martina, którzy utrzymywali, że królowa nie powinna ustąpić ani o cal. — Potrząsnął swoją lwią głową. — Byłem wściekły, gdy usłyszałem, że rodzice Martina go popierają. Zdałem sobie sprawę, że musiał z nimi rozmawiać, choć milczał przy mnie, który uczyniłem wszystko, aby ułatwić mu prawniczą karierę. — W głosie Gilesa wyczułem wielką gorycz.

— Może im nie powiedział, może czuli, że w sporze powinni stanąć po stronie syna.

Giles westchnął głęboko.

— Niewykluczone. Zapewne mój gniew wyplęwał po części z rozgoryczenia spowodowanego brakiem potomstwa, szczególnie, że także moja małżonka zaczęła się opowiadać po stronie Martina. Nie powinna była tego czynić, zachowała się nielojalnie. W końcu wyprosiłem z domu Martina Dakina i jego rodziców.

Spojrzałem na niego zaskoczony. Nie podejrzewałem go o taką gwałtowność. Zanim zapadł na śmiertelną chorobę, musiał być niezwykle silnym człowiekiem.— Od tego czasu nigdy więcej nie rozmawiałem z Martinem i jego rodzicami. Żona była bardzo przygnębiona, kiedy zakazałem jej zapraszania siostry. Nigdy mi tego nie wybaczyła. — Potrząsnął głową ze smutkiem. — Moja biedna Sarah! Zabroniłem jej rodzinie przestępować próg naszego domu! Trzy lata temu York nawiedziła zaraza i wszyscy pomarli: najpierw moja żona, a później rodzice Martina. Przyjechał, aby zorganizować pogrzeb rodziców, lecz nie zdołałem się przemóc, spotkać się z nim lub zjawić na pogrzebie. Nawet nie wiem, czy jest żonaty. Kiedy się pokłóciliśmy, był kawalerem. — Dostrzegłem wstyd na jego poranej zmarszczkami twarzy.

— To smutna opowieść, Gilesie, chociaż w ciągu ostatnich lat często dochodziło do podobnych zdarzeń. Wiele rodzin rozpadło się z powodu różnic w zapatrywaniach religijnych.

— Pycha i upór to wielkie grzechy — rzekł. — Teraz zdaję sobie z tego sprawę. Jeśli zdołam, pojednam się z Martinem. — Zaśmiał się smutno. — W końcu obaj przegraliśmy. Zwyciężył Cromwell i reformatorzy.

— Powinieneś wiedzieć, Gilesie — wtrąciłem — że choć rozczarowałem się reformatorami, nie uważam dawnej religii za lepszą. Była równie bezlitosna, równie fanatyczna. — Przerwałem na chwilę. — I równie okrutna.

— Chociaż w ostatnich latach bardzo posmutniałem i złagodniałem, na ostatek przyłgnałem do dawnej wiary. — Spojrzał na mnie. — W końcu wszyscy to uczynią. Powiadają, że nawet król jest rozczarowany przebiegiem reform — dodał. — Nie jestem jednak tego pewny. Cranmer nadal stoi na czele Kościoła.

Wzruszyłem ramionami.

- Król zwraca jedno stronnictwo przeciw drugiemu. Żadnemu nie ufar.
- Może jego zdaniem wszystko sprowadza się do polityki?
- A może sądzi, że każda zmiana kierunku miła jest Bogu, który działa za pośrednictwem jego sumienia?
- Czyż nie doszliśmy do zgody, że pogląd głoszący, iż to Bóg kieruje umysłem króla, jest nonsensem? — mruknął gniewnie Giles.
- Dawni reformatorzy nigdy nie myśleli o zastąpieniu papieża królem. — Spojrzałem na niego. Chociaż nie byłem zaskoczony jego konserwatywnymi poglądami w sprawach religii, uporczywe rozgoryczenie okazywane członkom własnej rodziny odsoniło nową stronę jego charakteru. Pomyślałem, że wszyscy mamy jakąś mroczną część natury.
- Cóż, pozostawmy te smutne tematy — rzekł z westchnieniem. — Zobaczmy, jak idzie młodemu Barakowi.

Zawahałem się, a następnie rzekłem:

- Gilesie, zanim to uczynimy, ja również muszę ci coś wyznać.

Spojrzał na mnie z zaciekawieniem.

- Cóż takiego?
- Kiedym wczoraj przeglądał mapy w twojej bibliotece...
- A, tak! Znalazłeś to, czegoś szukał? Madge wspominała, że długo ślęczałeś nad książkami.
- Tak, dziękuję ci. Twój księgozbiór jest doprawdy niezwykły.

Uśmiechnął się z zadowoleniem.

- Zbieram książki od pięćdziesięciu lat.
- Czy wiesz, że masz dokumenty prawnicze, których nie ma w innych bibliotekach? Które zaginęły dawno temu?

Jego twarz rozpogodził dziecięcy uśmiech.

- Naprawdę?
- Biblioteka Lincoln's Inn zapłaciłaby za nie sownie. Znalazłem jednak coś jeszcze. — Wziąłem głęboki oddech. — Uchwałę parlamentu, która jak miemam została usunięta z archiwów. Titulus Regulus.

Znieruchomiał, wpatrując się we mnie zmrużonymi oczami.

- O to ci chodzi.

- Czy zdajesz sobie sprawę, jaki dokument przechowujesz?
- Tak, zaiste. Czytałeś go? Co o nim sądzisz?

Wzruszyłem ramionami.

- Uchwała owa powtarza stare plotki, że małżeństwo króla Edwarda Czwartego z Elżbietą Woodville było nieważne z powodu wcześniejszego kontraktu przedmałżeńskiego. Obecnie nie można dowieść ani jego prawdziwości, ani tego, iż jest nieprawdziwy. Odniosłem wrażenie, jakby król Ryszard przytaczał w nim wszystkie argumenty uzasadniające przejęcie tronu.

Giles skinął głową jak jurysta.

- Być może.
- Mimo to, gdyby owa uchwała ujrzała światło dzienne, mogłaby wywołać spore zamieszanie.

Uśmiechnął się ku memu zaskoczeniu.

- Matthew, dla tych z nas, którzy mają na karku siódmy krzyżyk, usunięcie Titulus Regulus to stare dzieje. Uchwałę ową ogłoszono, gdy studiowałem prawo w Gray's Inn. Pamiętam, jak rok później ludzie nowego króla chodzili po wszystkich korporacjach, aby zabrać jej kopie. To żadna sensacja.
- Wybacz mi śmiałość, Gilesie, lecz dziś pamiętają o tym jedynie nieliczni. Gdyby została ujawniona, mogłaby wywołać spore zamieszanie.

Nie przestał się uśmiechać.

- Odnalazłem Titulus Regulus dziesięć lat temu, gdy przeglądałem stare księgi prawnicze w bibliotece Minsteru. Zatrzymałem ją. Mój księgozbiór wzbudza niewielkie zainteresowanie. Kiedyś odwiedzał mnie Martin, aby przeglądać księgi, co jakiś czas wpadali koledzy prawnicy. Myślę, że jesteś pierwszą osobą od lat, która spędziła tam tyle czasu. Owa uchwała jest dobrze ukryta, spoczywa nieoznaczona na półkach, które pokrywa kurz. Dodam, że indeks przechowuję we własnej głowie, ty zaś nie wspomnisz o niej Malevererowi.
- Oczywiście. Powinieneś jednak wiedzieć, że w King's Manor trwają poszukiwania wywrotowych dokumentów...

- Poszukiwania? Jakich dokumentów? — Spojrzał na mnie z zainteresowaniem.

- Nie mogę rzec nic więcej. Uwierz mi jednak, gdy mówię, że powinieneś się tego pozbyć.

Zamyślił się chwilę.

- Rzekłeś prawdę, Matthew?
- Tak, nie obchodzi mnie, że ujawnienie owego dokumentu postawiłoby króla w kłopotliwej sytuacji. Nie chcę jedynie, abyś ty lub ktokolwiek inny znalazł się w niebezpieczeństwie z tego powodu. Nie jest to dobra pora, aby przechowywać ten dokument.

Wpatrywał się w ogień, rozważając moje słowa.

— Może masz rację — westchnął. — Zbyt się chlubię tą kolekcją. Kolejny grzech pychy.— Mam nadzieję, że nie masz tam innych niebezpiecznych papierów.

— Nie, jedynie Titulus. Gdyby po mojej śmierci znaleziono Titulus Regulus, mógłby stać się problemem dla wykonawców testamentu.

— Tak. — Skinąłem głową z zakłopotaniem. — Mogłoby tak być. Mogliby wziąć Madge na przesłuchanie.

— Ten dokument mógłby być groźny dla Madge? Dobry Jezu, cóż się stało z naszą Anglią? Dobrze. Poczekaj tu, Matthew. — Powoli wstał z krzesła, wspierając się o jedno z oparcie dla złapania równowagi.

— Potrzebujesz pomocy? — spytałem, podnosząc się.

— Nie, mam lekkie zawroty głowy od długiego leżenia. To wszystko. — Podszedł pewnym krokiem do drzwi i wyszedł z izby. Stałem, wpatrując się w ogień. Byłem ciekaw, czy sporządził zapis w testamencie dotyczący biblioteki. Może pozostawił ją siostrzeńcowi. Później pomyślałem, że jeśli Martin Dakin był fanatycznym konserwatystą i prawnikiem z Gray's Inn, nadawał się znakomicie na członka grupy konserwatywnych prawników pod wodzą Roberta Aske'a, która zawiązała się w roku tysiąc pięćset trzydziestym szóstym. Człowiekiem, który mógł być podejrzewany o udział w niedawnej rebelii. Z tego, com wiedział, Martin Dakin mógł zostać uwięziony w Tower podobnie jak narzeczony Jennet Marlin, inny prawnik z korporacji Gray's Inn.

Giles wrócił. Ku memu zdumieniu trzymał w dłoni tom zawierający Titulus Regulus i ostry nóż. Uśmiechnął się ponuro.

— Spójrz, jak ci ufam, Matthew — rzekł. Położył księgę na stole i ostrożnie wyciął strony uchwytu. Uniósł je z westchnieniem i powiedział:

— Nigdy wcześniej nie uczyniłem tak z żadną z moich ksiąg.

— Podszedł do kominka i pewną ręką włożył karty w płomienie. Patrzyliśmy, jak gruby, stary pergamin zajmuje się ogniem i czernieje. Sokół odwrócił się na żerdzi, aby popatrzeć. W jego oczach odbiły się tańczące płomienie.

— Wiem, że trudno ci to było uczynić.

— Miałeś rację, Matthew, żyjemy w niebezpiecznych czasach. Chodź, wyrzyj przez okno. — Dał mi znak, abym podszedł, i wskazał niskiego, korpulentnego mężczyznę odzianego w habit*

— Mam nadzieję, że nie masz tam innych niebezpiecznych papierów.

— Nie, jedynie Titulus. Gdyby po mojej śmierci znaleziono Titulus Regulus, mógłby stać się problemem dla wykonawców testamentu.

— Tak. — Skinąłem głową z zakłopotaniem. — Mogłoby tak być. Mogliby wziąć Madge na przesłuchanie.

— Ten dokument mógłby być groźny dla Madge? Dobry Jezu, cóż się stało z naszą Anglią? Dobrze. Poczekaj tu, Matthew. — Powoli wstał z krzesła, wspierając się o jedno z oparc dla złapania równowagi.

— Potrzebujesz pomocy? — spytałem, podnosząc się.

— Nie, mam lekkie zawroty głowy od długiego leżenia. To wszystko. — Podszedł pewnym krokiem do drzwi i wyszedł z izby. Stałem, wpatrując się w ogień. Byłem ciekaw, czy sporządził zapis w testamencie dotyczący biblioteki. Może pozostawił ją siostrzeńcowi. Później pomyślałem, że jeśli Martin Dakin był fanatycznym konserwatystą i prawnikiem z Gray's Inn, nadawał się znakomicie na członka grupy konserwatywnych prawników pod wodzą Roberta Aske'a, która zawiązała się w roku tysiąc pięćset trzydziestym szóstym. Człowiekiem, który mógł być podejrzewany o udział w niedawnej rebelii. Z tego, com wiedział, Martin Dakin mógł zostać uwięziony w Tower podobnie jak narzeczony Jennet Marlin, inny prawnik z korporacji Gray's Inn.

Giles wrócił. Ku memu zdumieniu trzymał w dłoni tom zawierający Titulus Regulus i ostry nóż. Uśmiechnął się ponuro.

— Spójrz, jak ci ufam, Matthew — rzekł. Położył księgę na stole i ostrożnie wyciął strony uchwały. Uniósł je z westchnieniem i powiedział: — Nigdy wcześniej nie uczyniłem tak z żadną z moich ksiąg. — Podszedł do kominka i pewną ręką włożył karty w płomień. Patrzyliśmy, jak gruby, stary pergamin zajmuje się ogniem i czernieje. Sokół odwrócił się na żerdzi, aby popatrzeć. W jego oczach odbiły się tańczące płomienie.

— Wiem, że trudno ci to było uczynić.

— Miałeś rację, Matthew, żyjemy w niebezpiecznych czasach. Chodź, wyjrzyj przez okno. — Dał mi znak, abym podszedł, i wskazał niskiego, korpulentnego mężczyznę odzianego w habiti kroczącego dumnie w stronę Minsteru. — Dostrzegłem go z okna biblioteki. Wiesz, kto to taki?

— Nie.

— To doktor Legh. Dziekan Minsteru. Kiedyś najstraszniejszy z komisarzy Cromwella. Młot na klasztory.

Spojrzałem na Gilesa.

— Zrobili go dziekanem?

— Aby mieć oko na arcybiskupa Yorku. Masz raję, Matthew, w tych czasach nawet uczeni muszą mieć się na baczności.

Odwróciłem się do okna. Moją uwagę zwróciła postać kobiety biegnącej wąską uliczką w kierunku naszego domu z podkasaną spódnicą i jasnymi włosami wystającymi spod czepca. Rozpoznałem Tamasin.

Rozdział dwudziesty czwarty

Usłyszeliśmy głośnie pukanie do drzwi, a chwilę później Madge wprowadziła Tamasin. Dziewczyna miała niespokojne spojrzenie i wypięki na twarzy. Dygnęła szybko i rzekła:

— Panie, przychodzę z King's Manor. Wartownik powiedział, że poszliście do miasta. Pomyślałam, że was tu znajdzie. Musicie natychmiast wrócić do opactwa. Czy Jack tu jest?

Skinąłem głową. Madge wyszła, aby go zawołać. Giles uśmiechnął się, patrząc z podziwem na jej ubranie, zieloną suknię i jasne włosy wystające spod francuskiego czepca.

— Dobry Boże — rzekł — pięknych posłańców mają na dworze.

— Obawiam się, że nie zdążymy przejrzeć petycji — westchnąłem.

— Cóż, to proste sprawy, poza tym już się z nimi zapoznaliśmy. — Spojrzał na mnie z zaciekawieniem. — Coś się stało? Czyżby Maleverer potrzebował twojej pomocy?

— Oczekiwałem jego wezwania — odpowiedziałem wymijająco.

Giles skinął głową i ponownie spojrzał na Tamasin, która lekko pokraśniała.

— Skąd jesteś, panienko? — zapytał.

— Z Londynu, panie.

— Jak pan Barak.

Jack stanął w drzwiach, patrząc z niepokojeniem na Tamasin.

— Cóż, spotkamy się jutro rano — rzekł Giles. Wyszliśmy, ponownie przepraszając, że czynimy to tak pośpiesznie.

Co się stało? — spytał Barak, gdy Tamasin ruszyła szybkim krokiem w dół ulicy.

— Przecucie mnie nie myliło — odpowiedziała, lekko dysząc. — Byłam w swojej izbie, gdy w drzwiach stanęła lady Rochford z ponurą miną. Kazała mi przyjść po ciebie, Jack. Mamy się z nią spotkać w jednym z pawilonów. Biegłam prawie całą drogę.

— Wygląda na to, że obaj mieliśmy rację — rzekł do mnie Barak. — Chce z nami pomówić, a nie nas zabić.

Wziętem głęboki oddech.

— Przekonamy się.

Tamasin spojrzała na mnie poważnie.

— Wezwano jedynie Jacka i mnie.

— Chcę usłyszeć, co powie — odparłem zdecydowanym tonem. — Może nie posunie się do zastraszenia, jeśli w rozmowie będzie uczestniczył prawnik.

— Nie znasz lady Rochford, panie — odrzekła niepewnie Tamasin.

Weszliśmy szybkim krokiem do King's Manor i udaliśmy się w stronę pawilonów, które, choć puste, były pilnowane przez strażę.

— To ten najbliższy. — Wskazała Tamasin, prowadząc nas w kierunku imponującej budowli.

Wieże po obu stronach zwieńczonego łukiem wejścia sprawiały wrażenie ceglanych, dopóki nie podeszliśmy bliżej i pod farbą nie ujrzałem faktury drewna. Wartownicy zagrodzili nam drogę skrzyżowanymi pikami.

— Mamy się tu spotkać z lady Rochford — oznajmiła Tamasin jednemu z nich.

Wartownik przyjrzał się nam uważnie.

— Lady Rochford wspomniała jedynie o młodym mężczyźnie i kobiecie.

— Zmieniła polecenie.

Gdy żołnierz lustrował mnie wzorkiem, przypomniałem sobie, że wbrew wszelkim zasadom mam przy sobie sztylet. Na szczęście wartownik skinął głową, dochodząc do wniosku, że nie stwarzam żadnego zagrożenia.

— Drugie drzwi po lewej. — Żołnierze unieśli piki i weszliśmy do środka. Nagle ogarnął mnie strach. A jeśli to lady Rochford kryła się za tym wszystkim? Jeśli jej ludzie przygotowali zasadzkę, aby nas zamordować? Uznałem tę myśl za śmieszną. Wartownicy widzieli, jak wchodzimy, i zdawali sobie sprawę, że lady Rochford jest w środku. W jaki sposób zdołałaby się niepostrzeżenie oddalić?

Wewnętrzny dziedziniec za łukowatym wejściem był wyłożony marmurem, a ściany pomalowane w taki sposób, aby przypominały kamień. W powietrzu czuć było woń świeżego drewna. Na dziedziniec wychodziło kilkoro drzwi pilnowanych przez żołnierzy.

— Czy strażnicy nie uznają za dziwne, że lady Rochford spotyka się z nami w takim miejscu?

— Dziwactwa lady Rochford są powszechnie znane. Nie dopatrzą się w tym niczego złego... pawilony będą stały puste do przyjazdu króla Szkocji. Żołnierze pilnują jedynie, aby studzy nie dostali się do środka i nie wykradli gobelinów oraz innych sprzętów.

Ruszyliśmy w kierunku drzwi wskazanych przez strażnika. Wkroczyliśmy do salonu udekorowanego pięknymi gobelinami. Spojrzałem na kredens ze złotą zastawą i podłogę wyłożoną wonnym sitowiem. Pośrodku ustawiono wielkie trony obite purpurowymi poduszkami. Pomyślałem, że to właśnie tu spotkają się dwaj królowie.

Widząc, że się zbliżamy, wartownik otworzył kolejne drzwi i weszliśmy do komnaty mniejszej od poprzedniej, pozbawionej mebli, lecz ozdobionej pięknym cyklem gobelinów przedstawiających żywot Jana Chrzciciela. Lady Rochford stała po przeciwnej stronie odziana w jaskrawoczerwoną suknię z głębokim dekoltem, który podobnie jak jej twarz i szyja został posypany ołowiową bielą. Czarne włosy zaczesano ciasno pod francuskim czepcem wyszywanym perłami. Spojrzała na nas wyniośle, krzywiąc się gniewnie na mój widok.

— Czemu sprowadziłaś prawnika? — spytała donośnie. — Na Boga, panno Reedbourne, jeśli naślesz na mnie prawnika, ja naślę na cię coś gorszego.

Skłoniłem się i spojrzałem jej w oczy. Czuję się onieśmielony, lecz wiedziałem, że nie mogę tego okazać.

— Nazywam się Matthew Shardlake, pani. Jestem pracodawcą pana Baraka. On i panna Reedbourne zwrócili się do mnie o pomoc po tym, co ujrzeli ostatniej nocy.

Lady Rochford przystąpiła do Tamasin. Obawiałem się, że może ją uderzyć.

— Komu jeszcze powiedzieliście? — syknęła. — Mów! — Zauważyłem, że ona również jest wielce przestraszona.

— Nikomu, pani — odparła słabym głosem Tamasin.

Lady Rochford rzuciła mi niepewne spojrzenie, a następnie

zwróciła się do Baraka.

— Dziwne imię nosisz — powiedziała. — Jesteś Anglikiem?

— Z krwi i kości, pani.

Lady Rochford zwróciła ponownie wzrok na Tamasin. Pomyślałem, że skupi swój atak właśnie na niej, młodszej służce, która była jej bezpośrednio podległa.

— Gadaj, co widzieliście ostatniej nocy, ty i ten twój gbu-rowaty fagas. Co się wam zdawało?!

Tamasin odpowiedziała wyraźnie, choć jej głos lekko drżał.

— Pan Culpeper wychodził kuchennymi drzwiami, królowa stała w progu, a pani za nią. Królowa żegnała pana Culpepera.

Lady Rochford wybuchła sztucznym, pustym śmiechem.

— Głupie dzieci! Pan Culpeper został wezwany przeze mnie, to ja się z nim żegnałam. Królowa usłyszała nas i zeszła na dół, aby sprawdzić, co się dzieje. Culpeper zawsze płał mi figle, to znany kpiarz.

Było to tak oczywistym nonsensem, że Tamasin nie rzekła ani słowa.

— Byliście świadkami niewinnej sceny — kontynuowała lady Rochford, podnosząc głos. — Całkowicie niewinnej. Ten, kto twierdzi inaczej, narazi się na gniew króla, ostrzegam.

— Jeśli król się dowie, że królową widziano w drzwiach z największym zalotnikiem na dworze, faktycznie wpadnie w gniew — powiedziałem. — Chociaż spotkanie to mogło być zgoła niewinne, pogwałcono wszelkie zasady. Pobielona pierś lady Rochford zadrzała, w oczach pojawiły się błyski.

— Jesteś pan garbusem, z którego król zakpił w Fulford. Cóż to, prawniku, czyżbyś chciał wyrzucić pomstę na swoim królu za to, że zadrwił z twojego krzywego grzbietu?

— Nie, pani. Chodzi mi wyłącznie o bezpieczeństwo tych dwojga i własne.

Rzuciła mi gniewne spojrzenie.

— Co sugerujesz? Dlaczego miałyby wam coś grozić?

— Ludzie, którzy przypadkiem odkrywają niebezpieczne sekrety, często wpadają w tarapaty. Współpracuję z sir Williamem Malevererem w sprawach dotyczących bezpieczeństwa, więc doskonale zdaję sobie z tego sprawę.

Lady Rochford zmrużyła oczy na dźwięk nazwiska Maleverera. Zmusiła się do uśmiechu.

— To żaden sekret, panie — powiedziała z udawaną nonszalancją. — Żaden. Królowa lubi przebywać w towarzystwie przyjaciół z dzieciństwa. Ciężko znosi objazd, oficjalne uroczystości i niekończącą się podróż grząskimi traktami. To trudne wyzwanie dla młodej dziewczyny. Król nie miałby nic przeciwko jej spotkaniu z dawnymi przyjaciółmi. Czasami widuje się z nimi potajemnie z powodu plotek. Gdyby to się wydało, znalazłaby się w niezręcznej sytuacji...

— W takim razie wszystko w porządku — rzekłem gładko, choć lady Rochford zmieniła swoją historyjkę. — Nie interesują nas plotki, wszyscy troje chcielibyśmy jedynie jak najszybciej wrócić do Londynu i zapomnieć o tej męczącej podróży.

— Zatem nic nie powiecie? — spytała lady Rochford, odzyskując władczy ton. — Jeśli będziecie milczeć, włos wam z głowy nie spadnie, obiecuję.

— Taki mamy zamiar — odpowiedział Barak, a Tamasin przytaknęła jego słowom.

— Równie dobrze ktoś mógłby zapytać, co robiliście na dworze o pierwszej nad ranem — dodała ostro. — Panno Reedbourne, powinnaś być od dawna w łóżku. Panna Marlin jest dla ciebie zbyt pobłażliwa. Pamiętaj, że mogłabym bez trudu usunąć was obie ze służby.

— Zapamięta to — wtrąciłem. — Skoro o niej mowa, czy panna Marlin wie, co się stało ostatniej nocy? Lady Rochford roześmiała się z niedowierzaniem.

— Ta skwaszona cnotka? Nie wie o niczym. Nikt inny nie wie ani się nie dowie.

— W takim razie, jak rzekłaś pani, wszystko będzie w porządku. Choć jako prawnik muszę przedsięwziąć pewne środki ostrożności.

Lady Rochford rzuciła mi ponownie przestraszone spojrzenie.

— Co pan masz na myśli? Zapewnię ci, że nie powiedzieliście nikomu.

— Nie uczyniliśmy tego, zostawiłem jeno pismo, które zostanie ujawnione, jeśli zginę nagłą śmiercią.

— Nie! Nie wolno ci tego czynić! Gdyby wpadło w niepowołane ręce... Głupcze, sądzisz, że chcę wyrządzić ci krzywdę? Zastanów się! Nawet gdyby królowa wyraziła na to zgodę, czego nie uczyniła, sądzisz, że chciałabym zwrócić uwagę na któreś z was? — Zamilkła, aby po chwili podnieść głos do krzyku: — Macie siedzieć cicho! Cicho! — Jej ciało zaczęło lekko dygotać.

— Pani, jeśli sama się nie uciszysz, wartownik usłyszy, o czym rozmawiamy. Pewnie i tak podstuchuje u drzwi.

Zasłoniła usta dłonią.

— Słusznie — rzekła nieprzytomnie. — Masz rację. — Spojrzała na drzwi, a później ponownie na mnie. Była tak przerażona, że zrobiło mi się jej żal.

— Będziemy milczeli — oznajmiłem.

Rzuciła mi twarde spojrzenie.

— Widzę, że muszę wam zaufać.

— W takim razie pozwól, pani, że odejdziemy. — Oczekałem chwilę, na wypadek gdyby miała coś do powiedzenia, lecz ona jedynie skinęła głową, spoglądając na mnie dzikim wzrokiem. Barak i ja skłoniliśmy się, a Tamasin dygnęła, po czym wszyscy wyszliśmy z komnaty.

Spojrzałem na żołnierza pełniącego straż, który stał obok z kamienną miną. Nie odezwaliśmy się do siebie, aż nie wyszliśmy z pawilonów na otwartą przestrzeń przed King's Manor. Dopiero wówczas oparłem się o wóz i otarłem czoło chusteczką.

— Dziękuję, panie — powiedziała Tamasin. — Gdyby nie wy, zemdlałabym z trwogi.— Tak — dodał Barak. — Dobra robota. Zachowałeś spokój.

— Lata doświadczeń z przykrymi sędziami na coś się przydały. Nie było mi łatwo. Jezu, serce mi wali. — Poczuję lekki zawrót głowy.

— Nic wam nie jest, panie? — spytała Tamasin. — Bardzo zbledliście.

— Dajcie minutkę odpocząć. — Westchnąłem i potrząsnąłem głową. — Ostatnio czuję się tak, jakbym dryfował po wzburzonym morzu z bałwanami przewalającymi się nad moją głową i wiatrem gnającym łódkę Bóg wie dokąd.

— Miejmy nadzieję, że wkrótce znajdziemy się na prawdziwym okręcie — powiedział Barak. — Z dała od tego, co się tu dzieje.

— Tak. Dobry Boże, lady Rochford lękała się, że powiemy komuś o tym, co widzieliśmy. Czy rzeczywiście królową łączy coś z Culpeperem? A może lady Rochford obawia się o własną pozycję?

— Nie mam pojęcia — odrzekła Tamasin. — Wiem jedynie, że słudzy plotkują o niechęci, jaką darzą się Culpeper i Francis Dereham.

— Dereham — powtórzyłem w zamyśleniu. — Kolejny dawny przyjaciel królowej.

— Czy Culpeper, królowa i lady Rochford poszaleli? — spytał Barak.

— Lady Rochford wydaje się... całkiem normalna, choć Culpeper sprawia wrażenie matoła.

— Lubieżne, nadęte stworzenie — powiedziała Tamasin, wzruszając ramionami. Przymyślałem sobie, że Barak wspomniał, iż Culpeper próbował zwrócić na siebie jej uwagę. — Królowa Katarzyna to płoża dziewczyna — dodała. — Wszak nie tak płoża, aby kłaść się do łóża z Culpeperem.

— Co robimy? — zapytał Barak. — Milczymy czy idziemy do Maleverera?

— Milczymy. Nie sądzę, aby lady Rochford była zamieszana w kradzież naszych dokumentów, a nawet wiedziała o ich istnieniu.

— Wypytałam się wśród służby o Culpepera — powiedziała Tamasin. — Służy na dworze od czterech lat. Co jakiś czas wraca do rodzinnego domu. Pochodzi z Goudhurst w Kencie.—

Dziękują, Tamasin — rzekłem obojętnym głosem, choć była to interesująca wiadomość.

— Muszę już iść, panna Marlin zacznie się niepokoić. — Dygnęła i odeszła pewnym krokiem.

— Dobrze się spisała — skomentowałem.

— Tak, chociaż bardzo się zdenerwowała. Czy wiesz, co mi wczoraj powiedziała? Że gdyby dowiedziała się, kim jest jej ojciec, mógłby nas ochronić, jeśli piastuje wysoki urząd. Odrzekłem, że nawet gdyby tak było, nie można się odwołać do kogoś wyższego od króla. Ta sprawa stała się jej obsesją.

Skinąłem głową.

— Jej ojcem mógł być każdy. To interesujące, co powiedziała o Culpeperze, że pochodzi z Kentu. Jestem ciekaw, czy Goudhurst leży w okolicy Blaybourne i czy człowieka o tym nazwisku łączą jakieś związki z rebeliantami.

— Daleka jest droga z Kentu do Yorku. — Barak spojrział za mnie i dodał: — Oto człowiek, który ją wszak pokonał.

Odwróciłem się i ujrzałem poważnego sierżanta Leacona kroczącego ku nam szybkim krokiem.

— Na miły Bóg, czego ten od nas chce? — mruknąłem.

Sierżant podszedł i zasalutował w chłodny, oficjalny sposób,

tak jak w refektarzu.

— Wszędzie was szukałem, panie Shardlake — rzekł. — Sir William Maleverer wzywa was natychmiast do siebie. Jest w celi sir Edwarda Brodericka.

— Brodericka? — W natłoku zdarzeń wczorajszej nocy całkiem o nim zapomniałem.

— Podjęto kolejną próbę zamachu na jego życie.

Rozdział dwudziesty piąty

Poprosiłem Baraka, aby zaczekał w naszej kwaterze i udałem się za Leaconem, który ruszył szybkim krokiem w stronę klasztornych zabudowań.

— Co się stało? — spytałem.

— Radwinter oddalił się na chwilę, mając pozwolenie sir Williama — odpowiedział młody sierżant, nie zwalniając kroku. — Wcześniej obserwował, jak więzień spożywa posiłek. Dziesięć minut później wartownicy usłyszeli odgłos wymiotowania i ujrzeni go na podłodze. Miał torsje i ciężko dyszał. Człowiek, który go znalazł, wezwał mnie. Kazałem przynieść sól i piwo. Dodałem sól

do napoju i zmusiłem go do wypicia, a następnie pchnąłem jednego z moich po doktora Jib-sona. Medyk jest tam teraz razem z sir Williamem. Maleverer jest wściekły.

— Dobrze się spisaliście.

Nie odpowiedział. Ponownie wyczułem, że z jakiegoś powodu sierżant Leacon nabrał do mnie wrogości. Ruszyliśmy korytarzem, a dźwięk naszych kroków odbijał się echem od kamiennej posadzki. Drzwi izby Brodericka stały otworem. Było w niej pełno ludzi i podobnie jak w zamkowej celi czuć było zapach wymiocin. Dwaj żołnierze trzymali Brodericka w pozycji siedzącej na łożu. Sprawiał wrażenie półprzytomnego. Jeden z nich otwierał mu usta, a doktor Jibson wlewał Broderickowi do gardła jakiś płyn z dzbanki. Radwinter przyglądał się temu z wściekłością w oczach. Z wściekłością i czymś jeszcze. Zdumieniem? Maleverer stał obok z założonymi rękami i gniewnym obliczem. Odwrócił się i rzucił mi wściekłe spojrzenie.

— Gdzie się włóczył? — prychnął.

— Byłem u kolegi Wrenne'a, sir Williamie...

— Wyjdźmy na zewnątrz! Nie, ty zostań! — warknął do Radwintera, który chciał ruszyć w ślad za nami. Po tych słowach wyprowadził mnie z celi. Ponownie skrzyżował ramiona i spojrzał na mnie.

— To kolejny zamach — oznajmił.

— Trucizna?

— Radwinter tak jak co dzień obserwował przygotowywanie jadła w królewskiej kuchni, a później patrzył, jak więzień je spożywa. Dziesięć minut później Broderick wił się na podłodze. Radwinter klnie się na swoją głowę, że posiłek nie mógł zostać zatruty. Osobiście nadzorował jego przyrządzanie. — Zaciśnął wargi. — Nie wyobrażam sobie, aby mógł to uczynić ktoś prócz Radwintera.

— Gdyby to uczynił, czemu miałby rzucać na siebie tak oczywiste podejrzenia?

— Nie wiem — odrzekł Maleverer z gniewną konsternacją.

— Jeśli nie on, to kto? Kto wiedział, że przetrzymujemy tu Brodericka?

Maleverer potrząsnął gniewnie głową.

— Do tej pory niewielu. Widać wieść się rozeszła.

— Sierżant Leacon powiedział, iż Radwinter wyszedł zaraz po nakarmieniu więźnia — powiedziałem. — Aby zażyć ruchu. Czy w tym czasie ktoś mógł wejść do celi?

— Obok wartowników? I zmusić go do połknięcia trucizny? — Sir William prychnął ze zniecierpliwieniem. — Kiedy jeszcze mogli dodać trucizny do jadła?

— Może Broderick nie został zmuszony do jej połknięcia — rzekłem. — Może sam tego chciał.

Maleverer odwrócił się, słysząc poruszenie w drzwiach. Żołnierze wywlekli Brodericka na zewnątrz, pobrząkując ciężkimi łańcuchami, które krępowały mu kostki. Wynieśli krzesło Radwintera i posadzili na nim więźnia. Za nimi ukazał się doktor Jibson w koszuli z pobrudzonymi mankietami. Jego pulchna twarz poczerwieniała.— W środku kiepsko widać — wyjaśnił.

Spojrzałem na Brodericka. Jego twarz była trupio blada, oddech urywany i spazmatyczny. Rzucił mi krótkie, wściekłe spojrzenie. Radwinter wyszedł z celi, a Maleverer przywołał go do siebie.

— Rzekłem panu Shardlake'owi, że nie wyobrażam sobie, aby ktoś oprócz ciebie mógł otruć tego człowieka — burknął.

Radwinter spojrzał na mnie złowrogo.

— Prawnik ów nie rzeknie niczego, aby wyprowadzić was z tego błędu, panie.

— Pan Shardlake był odmiennego zdania.

Radwinter sprawiał wrażenie zbitego z tropu. Zmierzył mnie zimnym wzrokiem.

— Przysięgam, że go nie otrułem — powiedział. — Na miły Bóg, czemu miałbym się narażać na tak oczywiste podejrzenia?

— Nie odszczekuj się, nędzniku! — Zwalista postać Maleverera zawisła nad strażnikiem.

Radwinter cofnął się i po raz pierwszy dostrzegłem lęk na jego twarzy.

— Wydalili wszystko? — zwrócił się do medyka.

— Tak sędzę. Dobrze, że wartownicy od razu zmusili go do wymiotów.

— Mogę obejrzeć celę? — spytałem Maleverera.

— Po co?

— Nie wiem, skoro jednak pan Radwinter opuścił celę dziesięć minut przed zwaleniem się na podłogę Brodericka, ten mógł otruć się sam.

— W celi niczego nie ma! — prychnął Radwinter. — Przeszukujemy ją codziennie. Skąd miałby wziąć truciznę?

— Obejrzyj ją, jeśli musisz — powiedział Maleverer znużonym głosem.

Wszedłem do pustej celi i spojrzałem na kamienną posadzkę pokrytą wymiocinami. Skrzywiłem nos, przechadzając się tam i z powrotem, szukając czegoś niezwykłego, a Maleverer i Radwinter obserwowali mnie przez drzwi niczym dwie czarne wrony.

Na posadzce nie znalazłem niczego prócz drewnianej miski, łyżki i kubka Brodericka. Wszystkie były puste. Doktor Jibson mógł zabrać resztkę jadła w celu ponownego zbadania. Jedynymi sprzętami były zydel, łóżko i pusty nocnik. Zdarłem poplamioną pościel i moim oczom ukazał się słomiany materac. Wówczas dostrzegłem coś białego wetkniętego pomiędzy ramę łóżka i ścianę. Sięgnąłem i wyciągnąłem ostrożnie.

— Co tam masz? — spytał ostro Maleverer.

— Chusteczkę. — Ku memu zaskoczeniu była to niewieścia chustka, cienka, wyszywana, złożona w kwadrat.

Na jej powierzchni wyczułem nieprzyjemne, sztywne, ciemne plamy. Sięgnąłem po własną chusteczkę, rozłożyłem ją na łóżku, a następnie ułożyłem na niej tamtą.

— Muszę obejrzyć ją dokładniej na zewnątrz — rzekłem cicho. Wyniosłem ją ostrożnie, po drodze zabierając stołek. Broderick spoczywał rozciągnięty na krześle, najwyraźniej bez zmysłów, a doktor Jibson pochylał się na nim. Oddaliłem się nieco, a następnie położyłem chusteczkę na zydlu i rozwinąłem. Wszyscy trzej pochylił się nad mniejszą, która leżała zwinięta pośrodku.

— Co z tego? — prychnął Maleverer. — Dostał na pamiątkę chustkę od jakiejś białogłowy...

— Nie miał żadnej chustki — wtrącił ze zdumieniem Radwinter. — Przeszukano go, gdy został osadzony w zamku. Po przewiezieniu do opactwa zrewidowaliśmy go ponownie. Nie miał gości, którzy mogliby mu ją dostarczyć, a tym bardziej żadnych dam.

Pochyliłem się bliżej i zbadałem plamy.

— Powiadasz, że został zrewidowany, gdy przywieźliście go z zamku? — spytałem Radwintera.

— Tak, rozebraliśmy go do naga i przejrzelśmy ubranie.

— Zatem mógł to ukryć tylko w jednym miejscu. — Wskazałem na czarne plamy. Na chwilę zapanowało milczenie, które przerwał pełen niedowierzania śmiech Maleverera.

— Chcesz; nam rzec, że ów człek łąził z niewieścią chusteczką w zadku?

Spojrzałem na niego.

— Tak, użył damskiej chusteczki, jest bowiem mniejsza i lżejsza. Nie musiała brać w tym udziału żadna niewiasta.

— Czemu miałby to uczynić?

— Aby coś przemyścić. — Z ociąganiem dotknąłem owego przedmiotu. Ująłem za róg i ostrożnie rozłożyłem. Pochyliłem się ponownie. Wyczułem słabą woń, nie kału, lecz czegoś innego, odrażającego i zgniłego. Zmarszczyłem brwi. Znałem ten zapach, albowiem zetknąłem się z nim całkiem niedawno. Wyprostowałem się gwałtownie, gdy sobie przypomniałem. Była to woń idąca od królewskiej nogi — woń, którą poczułem przelotnie, gdy stałem przed nim z pochyloną głową w Fulford Cross.

— Co to takiego? — spytał ostro Maleverer. — Gadaj, co wyczułeś, prawniku!

— Nie jestem pewny, sir Williamie. Możemy poprosić doktora Jibsona?

Maleverer skinął ręką i medyk podszedł ku nam. Wyjaśniłem mu, gdzie według mnie została ukryta chusteczka, i dodałem, że w środku coś się znajdowało. Doktor Jibson pochylił się z ociąganiem, przysuwając do niej nos.

Zaśmiał się z goryczą.

- Znajoma woń. Rozkład i zgnilizna. Coś wstrętnego.
- Trucizna — rzekł Maleverer.
- Jeśli to trucizna, nie rozpoznaję jej.

Oczy Maleverera zabłyśły.

- Ukrywał ją w najbezpieczniejszym miejscu, dopóki nie nadarzyła się okazja jej zażycia. Chciał się otruć, aby uciec przed tym, co go czeka w Londynie. — Spojrzałem na Brodericka, który spoczywał półprzytomny na zydlu. — Na rany Chrystusa, musi być bardzo zdesperowany.
- Nie miał żadnych gości, panie — oświadczył Radwinter. — Kiedy był w zamku, nikogo do niego nie wpuszczano.
- Czy odwiedził go spowiednik?
- Nie, otrzymaliśmy polecenie z Londynu, aby nikogo do niego nie dopuszczać. Postępowaliśmy zgodnie z tą zasadą od chwili umieszczenia go w zamku miesiąc temu. Zabrano go z domu po zmroku w koszuli nocnej. Ubrania i inne przedmioty przyniesiono później. Zauważylibyśmy chusteczkę z trucizną.

Pokręciłem głową.

- W takim razie musiał to otrzymać na zamku. Już raz bezskutecznie usiłował się otruć. Później przemycił tutaj resztę trucizny i podjął kolejną próbę. Tym razem chyba tak szybko zrobiło mu się słabo, że nie zdążył jej ukryć w dawnym miejscu, więc wetknął ją między łożo i ścianę.
- Nie udało mu się po raz drugi — oznajmił doktor Jib-son. — Sierżant wywołał wymioty.

Maleverer spojrział na Brodericka, który ciężko dyszał.

- Zatem nie było truciciela.
- Tak — przytaknąłem cicho. — Otruł się sam.
- Była tylko osoba, która przyniosła truciznę. — Maleverer spojrział na Radwintera. — Trucizna przeszła przez ciebie. Sprawca mógł ci ją nawet przekazać.

Radwinter struchlał.

- Przysięgam, że tak się nie stało.
- Dopóki nie rozwikłamy tej zagadki, odsuwam cię od dotychczasowych obowiązków — oznajmił Maleverer. — Sierżancie Leacon! — krzyknął. Młody żołnierz z Kentu wyszedł zza ścianki. — Będziecie odpowiedzialni za więźnia. Zostaniecie tu i będziecie go obserwować. Cały czas. Radwinter, przekaz mu klucze.

Radwinter zawahał się chwilę, a następnie odpiął klucze od kaftana i podał Leaconowi. Broderick zaczął dochodzić do siebie. Jęknął i wyprostował się. Leacon spojrzał z powątpiewaniem na Maleverera.

— Nre mam doświadczenia, panie...

— Pan Shardlake zapozna was z obowiązkami. Doktorze Jibson, zbadajcie ową chusteczkę. Chcę wiedzieć, co to za trucizna. — Odwrócił się do Radwintera i rzekł: — Ty pójdiesz ze mną. Dwaj twoi ludzie również. Zostaniecie pod strażą do odwołania.

Radwinter rzucił mi gniewne spojrzenie. Otworzył usta i sądziłem, że coś powie, lecz żołnierze ujęli go pod ręce i wyprowadzili, podążając za Malevererem. Wziąłem głęboki oddech i zwróciłem się do Leacona:

— Myślę, że powinniście odprowadzić go do celi, sierżancie.

Leacon dał znak wartownikom, aby podnieśli więźnia. Broderick spojrzał na mnie.

— Otrułeś się — powiedziałem.

— Nie mów mi tylko, że to grzech śmiertelny — wychrypiał. — Próbowałem jedynie umknąć bardziej bolesnej śmierci, która mnie teraz czeka.

— Kto dostarczył ci truciznę? — spytałem.

— Mouldwarp. — Pochylił się w odruchu wymiotnym i począł kaszleć. Dałem znak żołnierzom, aby go wnieśli do celi. Wszedłem do środka, a następnie cofnąłem się, słysząc ciche kasznięcie sierżanta.

— Co mam robić, panie? — spytał chłodno. — Jak wyglądają rutynowe czynności?

Wyjaśniłem, że Broderick musi być pod nieustanną obserwacją, że on powinien osobiście nadzorować przygotowywanie jadła i patrzeć, jak więzień je spożywa.

— Poproście o dodatkowe wskazówki sir Williama, gdy będzie miał więcej czasu. I nie próbujcie niczego zeń wydobyć. Zajmiemy się tym po przyjeździe do Londynu.

Leacon skinął głową, a następnie spojrzał na mnie.

— Sądzicie, że nadzorca go otruł?

— Nie, choć nie mam pewności.

— Słyszałem opowieści o torturach zadawanych w Tower. Rozumiem, dlaczego Broderick chciał się rozstać z tym światem.

— Zatem muszę mu to uniemożliwić. — Westchnąłem. — Cóż mogłem jednak uczynić? Musiałem prowadzić dochodzenie.

— Dochodzenie rodzi często więcej problemów, niż rozwiązuje. — W głosie Leacona wyczułem ostry ton.

— Co masz na myśli? — spytałem.

Zawahał się, a następnie westchnął głęboko.

— Pamiętacie, panie, com rzekł o ziemi rodziców w Wal-tham?

— Tak.

— Kilka dni temu otrzymałem list. Jak pamiętacie, panie, wszystko zależało od tego, czy pewien stary las został im faktycznie darowany przez miejscowy klasztor? Wszystko na to wskazywało.

— W takim razie z pewnością otrzymaliście dobrą wiadomość.

Leacon potrząsnął głową.

— Byłaby dobra, gdyby nie granica. Granica oddzielająca ziemię dawnego klasztoru od posiadłości okolicznego pana, wytyczona cztery lata temu. Gospodarstwo rodziców znajdowało się po niewłaściwej stronie, musieli wszak dla niego pracować. Sprawa ta została rozstrzygnięta w arbitrażu przez pewnego prawnika. — Wziął kolejny głęboki oddech. — W archiwach w Ashford stoi, że wy nim byliście, panie. Wuj, który umie czytać, sprawdził to dla mych rodziców.

Spojrzałem na niego ze zdumieniem.

— Ziemię, których granice wytyczyliście, należały po części do pana mych rodziców. Mogliście rozdzielić ją sprawiedliwie między niego i człowieka, który nabył dawne ziemie klasztorne, lecz wasze postanowienie spowodowało, że rodzice zostali bez grosza.

Mowę mi odjęło. Sierżant się odwrócił.

— Nikt nie zważa na prawa ubogich — dodał cicho z goryczą w głosie. — Lepiej wróć już do moich ludzi.

Pół godziny później siedziałem wraz z Barakiem pod bukiem. Było to bezpiecznie miejsce z dobrym widokiem na okolicę. Nastąpiło późne popołudnie. Zerwał się chłodny wiatr, dlatego siedzieliśmy otuleni kaftanami. Wokół spadały liście, czyniąc jeszcze grubszym dywan listowia wokół drzewa.

— Jesień zagościła tu na dobre — rzekł Barak. — Wygląda na to, że dzień przyjazdu króla był ostatnim pogodnym dniem tego roku.

— Racja. — Spojrzałem na wieżę kościoła Świętego Olafa, marszcząc czoło

— Zastanawiasz się, w jaki sposób przekazano Broderickowi truciznę? — spytał Barak, gdy usłyszał ode mnie, co wydarzyło się w więzieniu.

— Tak, chcę udać się jutro do zamku, aby raz jeszcze obejrzeć celę.

— Osadzono w niej kucharza.

— Pewnie zostanie zwolniony. Wiemy, że jego jadło nie było zatrute.

— Dobrze się spisałeś — rzekł Barak. — Maleverer powinien być ci wdzięczny.

Roześmiałem się.

— Wdzięczność nie leży w jego naturze. Baraku, próbuję rozeznaczyć się w tym wszystkim, połączyć wszystkie wątki.— Ja również, aż mnie łeb od tego boli.

— Załóżmy na chwilę, że otrucie Brodericka nie miało bezpośredniego związku z innymi wydarzeniami: zabójstwem Oldroyda, napaścią na mnie w dniu kradzieży dokumentów i późniejszym atakiem.

— Myślisz, że tak było?

— To możliwe. Załóżmy to na próbę.

— Zgoda.

— Przeanalizujemy wszystkie wydarzenia. Najpierw śmierć Oldroyda. Kogo spotkaliśmy wczesnym rankiem, gdy został zabity? Najsamym Craike'a.

Barak spojrział na mnie i zaśmiał się niepewnie.

— W pobliżu była Tamasin.

— Rzekła, iż miała się spotkać z Jennet Marlin. — Spojrzałem na niego znacząco. — Tej nie było jednak w miejscu, w którym się umówiły. Zapamiętaj to.

— Był mglisty poranek, każdy z opactwa Świętej Marii mógł niezauważenie pchnąć drabinę mistrza Oldroyda.

— Tak. Mógł to uczynić Craike, lady Rochford, a nawet młody Leacon, który przybiegł po chwili.

— Kim był ten, którego spłoszyliśmy w kapitularku? — spytał Barak, ze złości kopiąc liście.

— Dostrzegłem jedynie skrawek czarnej szaty lub togi uciekającego. Słyszałem tupot kroków.

— Każdy ucieka, gdy jego życie wisi na włosku.

— A teraz zastanówmy się nad napaścią na mnie i kradzieżą dokumentów.

— Sprawca mógł się swobodnie poruszać po King's Manor, nie zwracając na siebie niczyjej uwagi.

— Musiał widzieć, jak wnosimy skrzynkę. Ponownie mamy Craike'a i Jennet Marlin.

— Lady Rochford i ponownie Leacona. Oprócz nich pół setki ludzi, których nie znamy.

— Leacon chyba zawsze znajduje się w pobliżu, lecz zwracamy na niego uwagę, bo go znamy. Gdy wchodziliśmy ze skrzynką, w holu mogło być pół tuzina żołnierzy, których nie rozpoznaliśmy, gdyż nie odróżniali się od innych wartowników w czerwonych kaftanach. — Westchnąłem.— Z

Craikiem jest podobnie, to jedyny urzędnik, którego znamy. Zapomniałeś o jeszcze jednym człowieku, który widział nas ze skrzynią.

— O kim?

— O panu Wrenne.

Zmarszczyłem brwi.

— Giles? Nie było go w King's Manor, gdy zabito Oldroyda.

— Skąd to wiemy? Mógł przebywać na terenie opactwa. Czy ktoś zwróciłby uwagę na jeszcze jednego prawnika w czarnej szacie? Mógł przyjść wczesnym rankiem i zamordować Oldroyda. Wiem, że zaprzyjaźniłeś się ze staruszką. Nie mam o to do ciebie żalu, niewiele tu przyjaznych twarzy, lecz jeśli szukasz ludzi, którzy są związani z tym miastem, znali Oldroyda i mieli wstęp do opactwa, on z pewnością do nich należy.

— Czy Giles jest człowiekiem zdolnym do popełnienia morderstwa? Pomyśl o stanie jego zdrowia. Ten człowiek umiera. Zależy mu wyłącznie na tym, aby przed śmiercią pojednać się z siostrzeńcem.

— Masz rację.

— Ty również, z zasady nie powinniśmy nikogo wykluczać. — Zmarszczyłem brwi, przypominając sobie niepokojącą myśl, że Martin Dakin może być w jakiś sposób powiązany z uczestnikami spisku. — Pamiętasz Pielgrzymkę Łaski? — spytałem.

— Tak, lord Cromwell wysłał mnie wraz z innymi, abyśmy się dowiedzieli, co mówią mieszkańcy Londynu. Sprawdzili, na jakie poparcie mogą liczyć rebelianci. — Spojrzał na mnie poważnie. — Okazało się większe, niż przypuszczał.

— Wśród prawników krążyły plotki, że w spisku uczestniczyli ludzie z korporacji Gray's Inn. Praktykuje tam wielu przybyszów z północy, jak Robert Aske.

— Żaden nie został oskarżony.

— Nie, lecz w Gray's Inn praktykował narzeczony Jennet Marlin i siostrzeniec Gilesa. Mam nadzieję, że jest bezpieczny. — Westchnąłem. — Przepraszam za tę dygresję. Przejdźmy do napaści w obozie.

Barak zaśmiał się głucho.

— Dobry Jezu, były tam setki ludzi. Na przykład Dereham i Culpeper. Młody Dereham nas widział, a to człek gwałtowny. — To prawda. Czy może go coś łączyć ze spiskiem wykrytym na wiosnę? Sekretarza królowej? Był w Yorku, kiedy zamordowano Oldroyda. Pamiętasz, widzieliśmy go przed gospodą? Przybył do miasta w pierwszej grupie. Tak, on również powinien się znaleźć w kręgu podejrzanych.

— Byli tam Leacon i Radwinter — dodał Barak. — Radwinter mógł na ciebie napaść.

— Nie, Radwinter jest wierny Cranmerowi. Jestem tego pewny. Gdyby wiedział coś o spisku, przekazałby informacje Malevererowi lub arcybiskupowi. — Potarłem brodę. — Nie widziałem Craike'a w obozie, lecz spotkałem go wcześniej i powiedziałem, że tam się udaję. Chodźmy razem do owej gospody, w której go widziałeś.

— Lepiej, abym poszedł tam sam.

— Nie, chcę ci towarzyszyć. Muszę coś robić. Krążę po omacku. Słuchaj, przyszła mi do głowy pewna myśl. A jeśli w obozie zaatakowano mnie z innego powodu niż za pierwszym razem?

— O co ci chodzi?

— O groźby Richa. Już raz mnie napadnięto, gdybym został zaatakowany powtórnie, uznano by, iż miało to związek ze skradzionymi dokumentami. — Pokręciłem głowę. — Czy Rich zadałby sobie tyle trudu i zaryzykował najęcie jakiegoś zbira, aby mnie sprzątnąć tylko dlatego, że byłem nieustępliwy w sprawie Bealknapa?

— Zbyt nieustępliwy. — Barak spojrział na mnie poważnie. — Rich jest zdolny do usunięcia z drogi kłopotliwego człowieka, wątpię jednak, aby chciał się pozbyć natrętnego prawnika, gdy ma czas na znalezienie odpowiedniego sędziego.

Westchnąłem.

— Masz rację. Dobry Boże, ależ to zagmatwane. Trudniej być zwierzyną niżli łowcą.

— Czy odnalezienie Titulus Regulus w żaden sposób ci nie pomogło?

— Nie, chociaż w owym dokumencie są rzeczy, które mnie zdumiewają. Na dodatek poznaliśmy sekret królowej. Nadal uważam, że powinniśmy zawiadomić Maleverera.

— Jeśli to uczynimy, lady Rochford, królowa i Culpeperwszystkiemu zaprzeczą. Jaki dowód wówczas okazemy? Zostaniemy przykładnie ukarani jako mąciciele. Nie chcę składać własnego losu w ręce Maleverera. Przecież skłamał, mówiąc, że Titulus Regulus to sfałszowany dokument. Nie mógłbyś napisać do Cranmera, opowiedzieć, co się stało, i prosić, aby sam zajął się tą sprawą?

— Sprawdzają całą korespondencję. Oprócz tego musielibyśmy czekać dziesięć dni na odpowiedź. — Spojrzałem na niego. — Nie, utkwiliśmy w Yorku na dobre. Nie mogę tu nikomu ufać z wyjątkiem ciebie.

Barak westchnął.

— Obiecałem Tamasin, że się z nią spotkam. Mogę iść?

— Oczywiście.

— Boi się.

— Wiem.

— Odprowadzić cię do kwatery?

Po drodze ustaliliśmy, że Barak wróci o dziewiątej i wspólnie zajrzemy do owej tawerny. Udałem się do mej sypialni i zamknąłem drzwi. Zaczęło się ściemniać. Westchnąłem, myśląc, że stwarzam problemy wszystkim ludziom: Barakowi, młodemu Leaconowi z powodu owego nieszczęsnego arbitrażu i Bro-derickowi, któremu ocaliłem życie, aby go oddać w ręce kata. Przypomniałem sobie ponownie okrutną twarz króla uśmiechającego się do mnie w Fulford. Pokręciłem głową. Obraz ten nie dawał mi spokoju, ścisnął wnętrze i w zagadkowy sposób znajdował się w centrum wszystkich zdarzeń. Moul-dwarp.

Rozdział dwudziesty szósty

Dzwony Minsteru głośno zabiły, hucząc echem w wilgotnym, nocnym powietrzu. Było ciemno, a my potykaliśmy się na niewybrukowanych ulicach, podążając w dół Fossgate do zaułka, w którym Barak ujrzał Craike'a.

— Tędy — wskazał Barak.

Skręciliśmy w wąską uliczkę, gdzie górne piętra rozpadających się domów niemal przysłaniały niebo. Drzwi i okiennice były pozamykane, a przez wypaczone deski prześwitywały jedynie paski żółtego światła. Na końcu uliczki kołysał się na wietrze i skrzypiał biały szyld.

— To znak piwiarni — oznajmił Barak. — Biały Jeleń.

Przyjrzałem się jej uważnie.

— Wygląda na podłą knajpę. Słusznie prawicieś, Craike nie umieściłby tu "członków królewskiego orszaku. — Skrzywiłem nos, czując woń moczu dolatującą z uliczki.

— Jesteś pewien, że chcesz wejść? — spytał Barak. — To niebezpieczne miejsce.

— Chcę się dowiedzieć, co tu robił. — Podążyłem za nim, zaciskając dłoń na rękojeści sztyletu. Posłuchałem rady Baraka i przywdziałem najskromniejszą szatę. Idąc przed siebie, wpatrywałem się w progi domów. Miałem wrażenie, że jesteśmy obserwowani, choć nikt nas nie śledził od opactwa Świętej Marii, gdyż bacznie rozglądaliśmy się dookoła i nasłuchiwaliliśmy.

Barak otworzył drzwi i weszliśmy do środka. Było to miejsce, jakiego się spodziewałem: prosta izba z ławami i stołami orazokienkiem, przez które flejtuchowata białołowa podawała piwo domowej roboty mężczyznom w obdartych szatach, siedzącym wedle ścian. Podłoga była goła, a w izbie panował chłód, nie rozpalono bowiem ognia. Pies należący do dwóch siedzących pod ścianą młodzieńców z północnych dolin odzianych w kurtki z owczej skóry zawarczał na nasz widok, a po chwili zaczął szczekać.

— Cicho, Crag. — Właściciel psa położył wielką dłoń na grzbiecie zwierzęcia. — Popatrz Davey, cóż to za panowie zawitali do Białego Jelenia.

Barak podszedł do bufetu i poprosił gospodynię o dwa kubki piwa. W pierwszej chwili nie zrozumiała go i poprosiła, aby powtórzył, o co mu chodzi.

— Przybysze z południa — oznajmił głośno właściciel psa, zwracając się do swojego kompana.
— Crag wyczuł smród.

Barak odwrócił się w ich stronę.

— Przyszliśmy się napić, przyjacielu — rzekł spokojnie. — Nie szukamy zwady.

Rozejrzałem się niepewnie. W izbie było kilkunastu mieszkańców Yorku, którzy przyglądali się nam z nieskrywaną wrogością. Panowie z północnych dolin, sądząc po ich wyglądzie, musieli już tu przebywać od jakiegoś czasu.

Jejmość podała nam przez okienko dwa drewniane kubki. Ponieważ wszystkie ławy były zajęte, moglibyśmy usiąść jedynie wówczas, gdyby któryś z gości raczył się przesunąć. Ponieważ żaden tego nie uczynił, staliśmy w niezręcznej pozie. Davey roześmiał się.

— Nie możecie znaleźć ławy, panowie? — Zwrócił się do przyjaciela: — Posuń się, Alan, zrób miejsce waszmościom z południa. Muszą to być szlachetni panowie, jako że do miasta nie puszczają prostych żołnierzy i sług. Może powinniśmy stać w ich obecności.

— Powiadam ci, że wszyscyśmy uczynieni przez tego samego stwórcy, z jednego ulepieni błota.

— Dobrze prawisz — odparł pogodnie Barak. — Od Londynu po Carlisle wszyscyśmy jednacy.

— Nie, panie. Różnimy się zamożnością, gdyż wszystkie nasze podatki idą do Londynu.

— Dobrze, że choć dziś się na nich obłowiliśmy — dodał jego przyjaciel. — Sprzedaliśmy nasze nędzne stadko owiec za pięć sztuk złota.

— Kiedy król wyjedzie, ceny ponownie spadną. Naszych ziomków nie stać na płacenie takich cen jak ludzi z południa. — Rzucił nam wojownicze spojrzenie, szukając zaczepki. Pociągnąłem łyk obrzydliwego piwa.

— Przyszlicie tu w jakimś interesie, panowie? — spytał jeden z gości siedzących na ławach. Ku memu zdziwieniu kilku innych głośno zarechotało.

— W interesie? — powtórzyłem.

— A jakże! Przecie nie dla naszej kompanii. — Rozległy się kolejne salwy śmiechu.

W tym momencie otworzyły się drzwi i do środka wszedł wysoki, żylasty mężczyzna w fartuchu. Spojrzał gniewnie na tych z północy i podszedł ku nam.

— Czym mogę służyć, panowie? — spytał cicho.

Wymieniłem spojrzenie z Barakiem. Widać oprócz piwa handlowano tu czymś jeszcze.

— Nie wiem — odparłem. — A co waszmość masz?

Mężczyzna wskazał głową drzwi, a my ochoczo podążyliśmy

za nim przez wąski korytarz cuchnący starym piwem. Na schodach płonęła lampa. Mężczyzna zamknął drzwi.

— Przepraszam za tamtych, panowie — powiedział. — Goście z południa nie są tu mile widziani.

— Nic się nie stało — odpowiedziałem. — Rzeknij waszmość, jak możesz nam pomóc?

— To zależy, czego szukacie... — Przyjrzał się bacznie naszym twarzom małymi, wyrachowanymi oczkami.

— Przyjaciel mój był tu jakiś tydzień temu. Urzędnik z królewskiego dworu. Duży gość z grzywką jasnych włosów.

— A, tak. — Łypnął chytrze, a jego twarz przybrała pogodny wyraz. — Pamiętam go. Opowiedział wam, co tu mamy?

— Tak.

— Rzeknijcie, na co macie ochotę. — Uśmiechnął się z ufnością. — Chcecie się zabawić z dziewczyną ze sztyletem? A może ma was wybatożyć stara lafirynda? W czym gustuje waszprzyjaciel? — Ponownie łypnął ku nam chytrze. — Mogę zaspokoić najbardziej grzeszne upodobania.

Jego słowa całkowicie zbiły mnie z tropu. Oczekiwałem wszystkiego, tylko nie tego. Barak wtrącił się do rozmowy.

— Masz dziewczki, które zaspokoją najdziwniejsze gusta, co?

Tamten skinął ochoczo głową.

— Gusta, których nie zaspokoisz waść w zwykłym domu. Mamy też chłopców, jeśli wolisz. Dysponujemy siecią kontaktów sięgającą czasów, gdy mieszkali tu mnisi. Niektórzy z nich byli wielkimi grzesznikami.

— Powiem, o co chodzi — rzekł szybko Barak. — Przysłał nas jeden z wyższych urzędników opactwa Świętej Marii, abyśmy dowiedzieli się, co masz. Zgaduję, że dostarczysz mu waszmość to, czego pragnie. Nie chce on jednak, aby go tutaj widziano. Masz pan jakowyś ustronny pokój?

— Tak, panowie, to da się załatwić.

— Macie tu tymczasem dwa szylingi za wasz trud. — Barak wyciągnął dwie monety i wręczył je tamtemu.

— Dobrze zapłaci? Ten urzędnik?

— Szczodrze.

Stręczyciel zmrużył oczy.

— Jak się zwie, panie?

- Nie udawaj, że nie wiesz. Poczekaj na nasz powrót.
- Przyjdźcie z rana, zanim otworzymy. Klienci nie będą wam przeszkadzać.
- Tak też uczynimy. Skoro o tym mowa, macie tu tylne wejście?

Skinął głową i zaprowadził nas do innych drzwi wychodzących na cuchnącą uliczkę. Ruszyliśmy przed siebie szybkim krokiem i rozluźniliśmy się dopiero wówczas, gdy ponownie dotarliśmy do Fossgate. Barak wybuchnął głośnym śmiechem.

- Zatem o to szło. Ten napuszony fanfaron, Craike, lubi być batożony przez leciwe dziwki. Ciekawym, czy o tym myśli, przeglądając dokumenty na tej swojej małej deseczce.

Spojrzałem na niego.

- Bardzo zręcznie sobie poradziłeś. Jakbyś wiedział, co robić...

Wzruszył ramionami.

- Lord Cromwell miał zaufanych ludzi wśród londyńskich stręczycieli, szczególnie tych, którzy zaspokajali nietypowe upodobania. Kiedy przekazywali mojemu panu nazwiska ludzi ze dworu, Cromwell miał ich w rękę.

- Posługiwał się szantażem?

- Jeśli wolisz tak to nazywać.

- Uczestniczyłeś w tym procederze?

- Tak, kontaktowałem się z niektórymi w jego imieniu. — Barak rzucił mi gniewne spojrzenie. — Przecież wiesz, że moje obowiązki nie ograniczały się do załatwiania codziennych spraw. Jeśli chcesz wiedzieć, nie lubiłem tej roboty. — Wzruszył ramionami. — Ludzie na wysokich stanowiskach, którzy chcą taplać się w bagnie, robią to na własne ryzyko.

- Tylko wówczas, gdy w pobliżu są szpiedzy. — Pstryknąłem palcami. — Idę o zakład, iż właśnie dlatego zapoznał się z Oldroy-dem. Chciał się wywiedzieć o podobne przybytki w Yorku.

- Istnieje tylko jeden sposób, aby to sprawdzić. Zapytać go.

Nie chciałem zawstydzać Craike'a, lecz zdałem sobie sprawę,

że nie mamy innego wyboru.

- Pomówię z nim jutro — rzekłem. Przez chwilę szliśmy w milczeniu. — Czy Tamasin wie, co robisz dla Cromwella? — zapytałem.

- Nie zna szczegółów. — Spojrzał na mnie ostro. — Nie musi ich znać. Nawet ty wcześniej o to nie pytałeś.

- Racja.

— Dlatego tak szybko zorientowałem się w procederze, który tam uprawiają. Gdyby nie to, moglibyśmy się znaleźć w towarzystwie dziarskich starych dziwek z pejcami, gotowych porządnie nam dokopać, a do rąk kogoś w King's Manor dotarłby mały raporcik!

Zaśmiałem się. Szliśmy przed siebie, a dźwięk naszych kroków odbijał się echem od kamieni.

— Zastanawiałeś się nad naszą rozmową? O przyszłości? — spytałem, gdy w oddali zamajaczył kontur Bootham Bar.

— Teraz myślę jedynie o tym, aby bezpiecznie wrócić do Londynu. I w ogóle mieć jakąś przyszłość — dodał ponuro.

Wróciliśmy do opactwa późną porą. Wartownik przepuścił nas przez bramę o jedenastej, gdy wszyscy pokładli się już do łóżek. Na niebie ukazała się ogromna, żółta tarcza księżyca, oświetlając przyćmionym światłem hełmy żołnierzy nieustannie patrolujących mury. Wartownicy pełnili straż na zewnątrz namiotów i pawilonów oraz przed drzwiami pogrążonego w mroku King's Manor. Słyszałem, że król wybiera się jutro na łowy, choć nie pojawiły się jeszcze żadne wieści o przybyciu króla Szkocji.

— Umówiłem się z Tamasin — oznajmił Barak". — Wcześniej odprowadzę cię do kwatery.

— O tej porze? Rozumiem, w sekretnym gniazdku. — Choć nie miałem takiego zamiaru, moje słowa zabrzmiały wyniośle. Rzucił mi ostre spojrzenie.

— Tak, czuje się ze mną bezpieczna.

— Będzie miała kłopoty, jeśli sprawa wyjdzie na jaw.

— Nie sędzę. Po trzech miesiącach podróży połowa służących na królewskim dworze ma z kimś romans. Królowa nie jest osobą, która narzuca swoim dworkom ostre zasady moralne. — Wyprzedził mnie i ruszył szybkim krokiem w stronę kościoła. Zrozumiałem, że go rozdrażniłem. Jeden z wartowników stojących przy pawilonach kichnął. Podskoczyłem ze strachu, choć byłem rad, iż w pobliżu są uzbrojeni ludzie. W nocy moje zmysły były wyostrzone, nastawione na wyśledzenie niewidocznego zabójcy.

W klasztorным kościele kilku stajennych spało na kocach rozłożonych w słomie niedaleko koni. Postacie zwierząt oświetlone przez świeceki płonące na wielkich żelaznych kinkietach miały sześć stóp wysokości. Ponad setka koni stała cicho w boksach. Na każdym widniała karteczka z nazwiskiem właściciela zwierzęcia, dzięki czemu można było szybko przygotować odpowiednie wierzchowce do drogi. Wielkie stado zwierząt pociągowych pasło się na okolicznych polach. Podeszliśmy do przegród Genesis i Sukey, które znajdowały się obok siebie.

— Zajrzyjmy do koni — zaproponowałem.

— Dobrze.

Młody stajenny przekreślił się na bok na stercie siana leżącej w nawie. Usiadł, spoglądając na nas zaspanym wzrokiem. Był

kilkunastoletnim chłopakiem o okrągłej twarzy, ze źdźbłami słomy we włosach.

- Coście za jedni? — zapytał, spoglądając podejrzliwie na moje nędzne szaty.
- Jesteśmy właścicielami owych koni. Przyszliśmy zobaczyć, jak się mają.
- Niczego im nie brakuje, panowie.
- Dobrze. Możesz spać, przyszliśmy tylko na chwilę. — Podeszliśmy i zagadaliśmy do koni, głaszcząc ich grzbiety. Genesis sprawiał wrażenie zadowolonego, lecz Sukey była niespokojna i odsuwała się od dłoni Baraka.
- Nudzisz się, Sukey? — zapytał. — Nie masz co robić? Miejmy nadzieję, że szybko wyruszymy w drogę. Wszystko zależy od króla Szkocji.
- Prowadzamy je tam i z powrotem wzdłuż nawy. — Stajenny podniósł się z posłania. — Nie wolno nam wyprowadzać ich na zewnątrz. Na dziedzińcu panuje zbyt duży ruch. To zakazane.
- Rozumiem.
- Kiedy przybędzie król Jakub, panie? — spytał chłopak. — Chcielibyśmy jak najszybciej wyruszyć w dalszą drogę.
- Sam pragnąłbym to wiedzieć — odparłem z uśmiechem. — Musimy iść spać. Dobranoc.

Wyszliśmy północnymi drzwiami kościoła na podwórze, przy którym znajdowały się nasze kwatery i zagrody dla zwierząt. Barak spojrział w lewo, w kierunku zabudowań klasztornych po drugiej stronie podwórca.

- Czekają tam na ciebie?
- Tak.
- Idź już, sam trafię. — Poczuję się winny, że go wcześniej zezłościłem.
- Na pewno?
- Tak, możesz odejść. Nikt nas nie śledził w kościele, sprawdzałem.

Poszedł, ja zaś ruszyłem ścieżką wiodącą w stronę naszych kwater. Obok zagrody z owcami o czarnych łbach ujrzałem niedźwiedzia, który stał oparty przednimi łapami o kraty. Gdym przechodził obok, zwierzę zaskowyczało. Przystanąłem i spoj-rzałem na niego. Biedny niedźwiedź musiał cierpieć z powodu odniesionych ran. Stańnięm w odległości kilku stóp do klatki i przyjrzałem się zwierzęciu. Niedźwiedź wydał niski, gniewny pomruk i zmienił pozycję, śledząc mnie małymi, błyszczącymi oczkami. Poczuję obrzydliwy zapach grubego futra.

Pomyślałem, że schwytano go pewnie w jakiejś dalekiej niemieckiej kniei, a następnie drażniono i bito, aby rozwścieczyć, a później wypuścić na arenę pełną psów. Król lubował się w takich widowiskach.

Nagle usłyszałem zgrzyt metalu ocierającego się o metal. Rozejrzałem się niespokojnie, albowiem od razu pomyślałem o rożnie, którym próbowano mnie zabić w obozie. Spojrzałem na klatkę i wyczułem, że coś się zmieniło — zrozumiałem, że drzwi się otwierają. Spostrzegłem, że ktoś unosi

kratę, ciągnąc z tyłu linę przytwierdzoną do górnej części drzwi. Niedźwiedź cofnął się w głąb, nie spuszczając ze mnie oczu. Usłyszałem szcęk, gdy drzwi uderzyły w sufit klatki.

Bestia wyszła na zewnątrz i przystanęła, wbijając we mnie ślepią. Z zagrody owiec doleciało przeraźliwe beczenie. Niedźwiedź wydał chrapliwy ryk i machnął wielkimi przednimi łapami. Promienie księżyca błysnęły w jego długich, zakrzywionych pazurach.

Cofnąłem się, kładąc dłoń na sztylcie, choć w obliczu ataku takiego potwora nic by mi nie pomogło. Niedźwiedź opadł na cztery łapy i zaczął iść ku mnie, rycząc okrutnie. Ciągnął za sobą jedną z zadnich łap, która musiała zostać zraniona podczas widowiska zorganizowanego dla króla. Gdyby nie był ranny, dopadłby mnie w mgnieniu oka. Mimo to poruszał się szybko, wbijając w ziemię potężne pazury. Odwróciłem się i zacząłem biec w kierunku otwartych drzwi kościoła. Wpadłem do środka, lękając się, iż w każdej chwili mogę poczuć na plecach jego pazury, że potężna bestia przygniecie mnie do ziemi swoim wielkim ciężarem.

Chwyliłem wielkie wrota, próbując je zamknąć, były jednak zbyt długo otwarte i deszcz sprawił, że drewno się wypaczyło. Ani drgnęły.

— Pomocy! — zakrzyknąłem. — Niedźwiedź uciekł! — Usłyszałem przerażone głosy za plecami. Zwierzę musiało przystanąć na zewnątrz, nie mogłem go bowiem dostrzec. Może spłoszył je hałas.

Po chwili podbiegł do mnie stajenny, z którym rozmawiałem, oraz kilku innych pachotków.

— Co się stało?

— Niedźwiedź uciekł z klatki. Jest w pobliżu! Pomóżcie mi zamknąć drzwi. Niech któryś pobiegnie po żołnierzy! Żywo! — Przypomniałem sobie, że w pobliżu King's Manor nie można nosić broni. Wyrwani ze snu stajenni patrzyli na mnie tępym wzrokiem.

— Na Boga, pomożecie mi zamknąć drzwi! — zawołałem.

Jeden z nich wystąpił do przodu.

— Powiedzcie, co... a niech to szlag! — Przerwał, gdyż bestia ukazała się w drzwiach. Zwierzę było ogromne. Wgra-moliło się do środka, powłócząc łapami, zwracając w naszą stronę wielki łeb i marszcząc nos. Wszyscy odskoczyli do tyłu. Konie wyczuły zapach niedźwiedzia i poczęły głośno rzeć, uderzając o boksy. Nagła kakofonia dźwięków wystraszyła zwierza. Bestia znieruchomiała i tylko wodziła małymi, głęboko osadzonymi ślepiami, tocząc pianę z pyska. Po chwili niedźwiedź stanął ponownie na tylnych łapach i otworzył pysk, odsłaniając parę ogromnych kłów. Spostrzegłem, że długa rana na zadniej nodze się otworzyła, a krew kapie na podłogę. Po niedawnym przeżyciu zwierzę musiało być zdezorientowane, przerażone i obolałe, co czyniło je jeszcze niebezpieczniejsze.

Przyłączyłem się do stajennych, którzy cofali się krok po kroku przerażeni nagłym pojawieniem się niedźwiedzia i rozpaczliwie wypatrujący drogi ucieczki. W pustym, pozbawionym sprzętów kościele nie było jednak niczego, na co można by się wdrapać. Przerażone konie podniosły wielki harmider. Niektóre zaczęły się cofać, uderzając kopytami w ściany boksów i rozbijając drewniane przegrody. Miałem nadzieję, że hałas spłoszy niedźwiedzia, lecz ten opadł na cztery łapy i zaczął iść przed siebie, popatrując to na mnie, to na pół tuzina cofających się stajennych — na okrutnych ludzkich

wrogów obnażonych w swojej żalosnej słabości. Niedźwiedź zakotłosał łbem osadzonym na potężnym karku, popatrując to na jednego, to na drugiego z nas. Odniosłem wrażenie, że skupił uwagę na mnie, pierwszym człowieku, którego napotkał po swoim uwolnieniu.

Chociaż miałem wrażenie, że trwa to całą wieczność, cofaliśmy się w głąb kościoła nie dłużej niż minutę. Nie odrywaliśmy oczu od niedźwiedzia, zbyt przerażeni, aby odwrócić się i zacząć uciekać, co mogłoby sprowokować bestię do ataku. Wtedy poślizgnąłem się na wilgotnej słomie, którą rozrzucono wzdłuż nawy, i upadłem na plecy. Krzyknąłem i dźwignąłem się jak oszalały na nogi. Stajenni cofnęli się dalej, dzięki czemu znalazłem się bliżej niedźwiedzia, który wpatrywał się we mnie z odległości kilku jardów. Spostrzegłem krwawy ślad ciągnący się od drzwi za jego tylną łapą. Zgiełk dochodzący od strony końskich boksów był nieopisany — zwierzęta rżały i waliły o zagrody.

Niedźwiedź sunął wolno przed siebie, ani na chwilę nie odrywając ode mnie oczu. Usłyszałem daleki tupot — stajenni uciekli ile sił w nogach. Porzucili mnie. Bestia przyśpieszyła. Ujrzałem obok siebie duży kinkiet ze świecami. Chwyciłem go oburącz i z całej siły cisnąłem w potwora. Metal uderzył go w bok. Niedźwiedź odskoczył z głośnym rykiem, przewracając świeczki na słomę. Żdźbła zajęły się od razu. Zwierzę cofnęło się o krok, wbijając we mnie udręczone spojrzenie. Ponownie stanęło na tylnych łapach i skoczyło do przodu. Krzyknąłem ze strachu, "kuląc się przed ostrymi pazurami.

Nagle coś błysnęło obok mnie. Usłyszałem tępy odgłos i spostrzegłem, że niedźwiedź runął do tyłu. Zamglonym wzrokiem ujrzałem drzewce wystające z jego piersi i drżące pióro. Chwilę później świsnęła kolejna strzała, zagłębiając się w ciało zwierzęcia. Po niej nadleciała następna. Niedźwiedź zawył i począł młócić w powietrzu łapami, dopóki w jego piersi nie utkwiał czwarty pocisk, który musiał dosięgnąć serca, albowiem runął z głuchym rykiem na stertę płonącej słomy. Niebawem jego futro zaczęło się tlić, chociaż zwierzę nie odczuwało już żadnego cierpienia.

Oparłem się o kolumnę, cały drżąc.

— Trzeba ugasić ogień, zanim się rozprzestrzeni! Przynieście wody! — Stajenni ruszyli przed siebie razem z dwoma żołnierzami, siekąc języki ognia miotłami, dopóki nie przyniesiono wiader z wodą i nie stłumiono płomieni. Spoglądałem tępym. Odniosłem wrażenie, że skupił uwagę na mnie, pierwszym człowieku, którego napotkał po swoim uwolnieniu.

Chociaż miałem wrażenie, że trwa to całą wieczność, cofaliśmy się w głąb kościoła nie dłużej niż minutę. Nie odrywaliśmy oczu od niedźwiedzia, zbyt przerażeni, aby odwrócić się i zacząć uciekać, co mogłoby sprowokować bestię do ataku. Wtedy poślizgnąłem się na wilgotnej słomie, którą rozrzucono wzdłuż nawy, i upadłem na plecy. Krzyknąłem i dźwignąłem się jak oszalały na nogi. Stajenni cofnęli się dalej, dzięki czemu znalazłem się bliżej niedźwiedzia, który wpatrywał się we mnie z odległości kilku jardów. Spostrzegłem krwawy ślad ciągnący się od drzwi za jego tylną łapą. Zgiełk dochodzący od strony końskich boksów był nieopisany — zwierzęta rżały i waliły o zagrody.

Niedźwiedź sunął wolno przed siebie, ani na chwilę nie odrywając ode mnie oczu. Usłyszałem daleki tupot — stajenni uciekli ile sił w nogach. Porzucili mnie. Bestia przyśpieszyła. Ujrzałem obok siebie duży kinkiet ze świecami. Chwyciłem go oburącz i z całej siły cisnąłem w potwora. Metal uderzył go w bok. Niedźwiedź odskoczył z głośnym rykiem, przewracając świeczki, na słomę. Żdźbła zajęły się od razu. Zwierzę cofnęło się o krok, wbijając we mnie udręczone spojrzenie. Ponownie

stanęło na tylnych łapach i skoczyło do przodu. Krzyknąłem ze strachu, kuląc się przed ostrymi pazurami.

Nagle coś błysnęło obok mnie. Usłyszałem tępy odgłos i spostrzegłem, że niedźwiedź runął do tyłu. Zamglonym wzrokiem ujrzałem drzewce wystające z jego piersi i drżące pióro. Chwilę później świsnęła kolejna strzała, zagłębiając się w ciało zwierzęcia. Po niej nadleciała następna. Niedźwiedź zawył i zaczął młócić w powietrzu łapami, dopóki w jego piersi nie utkwiał czwarty pocisk, który musiał dosięgnąć serca, albowiem runął z głuchym rykiem na stertę płonącej słomy. Niebawem jego futro zaczęło się tlić, chociaż zwierzę nie odczuwało już żadnego cierpienia.

Oparłem się o kolumnę, cały drżąc.

— Trzeba ugasić ogień, zanim się rozprzestrzeni! Przynieście wody! — Stajenni ruszyli przed siebie razem z dwoma żołnierzami, siekąc języki ognia miotłami, dopóki nie przyniesiono wiader z wodą i nie stłumiono płomieni. Spoglądałem tępym wzrokiem na czerwone kurtki żołnierzy i łuki wiszące na ich ramionach. Jeden z nich przystąpił do mnie. Rozpoznałem sierżanta Leacona.

— Sierzancie, jak... — wybełkotałem. — Co się stało?

— Usłyszałem zgiełk w celi Brodericka, jest zaraz za ścianą kościoła. Wziąłem ze sobą ludzi. Dobrze, że mieli łuki. — Spojrzał na mnie ponuro. — Macie szczęście, że łucznicy z Kentu potrafią strzelać.

Wziąłem głęboki oddech.

— W jaki sposób niedźwiedź wszedł do kościoła?

— Ktoś wypuścił go z klatki.

— Co?

— Gonił mnie aż do kościoła, później się poślizgnąłem. — Spojrzałem na stajennych, którzy sprawdzali, czy ogień został dogaszony. Jeden dostrzegł mój wzrok i odwrócił się ze wstydu. Ciało niedźwiedzia leżało pośrodku spalonej słomy.

Rozległo się więcej głosów. Odniosłem wrażenie, że rejwach panujący w kościele zbudził cały obóz. Spostrzegłem sługi i żołnierzy kręcących się wokół i oglądających niedźwiedzia.

— Chciał zapolować na owego garbatego prawnika — rzekł któryś. — Pamiętasz go? Tego z Fulford? — Sierżant spojrział na mnie, a następnie na niedźwiedzia, by ponownie utkwic we mnie wzrok. Na jego szerokiej, urodziwej twarzy pojawił się grymas.

— Powiadacie, że ktoś celowo wypuścił niedźwiedzia? — spytał.

— Tak. — Odetchnąłem głęboko. — Ktoś wiedział, że będę tędy przechodził, i na mnie czekał. — Nie miałem jednak pojęcia, kim był i jak się tego domyślił.

Rozdział dwudziesty siódmy

Sierżant Leacon polecił żołnierzom, aby odprowadzili mnie do królewskiej rezydencji. Ci wyjaśnili sprawę wartownikom przy drzwiach, a następnie jeden z nich wprowadził mnie do środka,

nakazując stąpać cicho i mówić szeptem, gdyż król i królowa spali na górze. Wszędzie panowała cisza, a żołnierze stojący przy ścianach wyglądali na pogrążonych w drzemce. Wspaniałe gobeliny i sprzęty oświetlało przyćmione światło nielicznych kandelabrow.

Ponownie zaprowadzono mnie na górę. Urzędnik zapukał do drzwi gabinetu Maleverera.

— Wejść! — zawołał głębokim głosem sir William. Ku memu zaskoczeniu ujrzałem w komnacie sir Richarda Richa. Siedzieli przy biurku pochyleni nad jakimiś aktami własności. Zdążyłem zauważyć nazwisko „Robert Aske z Aughton” wypisane grubymi literami, zanim Maleverer pośpiesznie zwinął dokument.

— Czemu przychodzisz do mnie o tak późnej porze? — warknął.

— Sir Williamie, po raz kolejny usiłowano mnie zabić.

— Co?!

Opowiedziałem mu o niedźwiedziu i wydarzeniach, które rozegrały się w kościele. Kiedy skończyłem, Rich cicho zachichotał.

— Kolego Shardlake, może gdy niedźwiedź zoczył w ciemności waszą zgarbioną postać, wziął was za małą niedźwiedzicę. — Mówiąc to, spoglądał mi hardo w oczy i jednocześnie zwinął pozostałe dokumenty leżące na biurku Maleverera. Pomyślałem, że próbuje odwrócić moją uwagę, że nie chce, abym zobaczył, nad czym ślęczeli.

— Ktoś celowo otworzył klatkę.

Maleverer przywołał urzędnika, który czekał na zewnątrz.

— Sprowadź tu natychmiast dozorcę niedźwiedzi — polecił.

Ten skłonił się i wyszedł.

Sir William spojrział na mnie z zaciekawieniem.

— Rozmawiałem z kucharzem Goodrichem. Nie byłem pewny, czy owo zdarzenie z różnem było wypadkiem, który próbowali przede mną zataić, czy ktoś rzeczywiście napadł chłopca i usiłował pozbawić was życia.

— Nie ma nic nowego w sprawie owych papierów? — zapytał sir Richard, spoglądając na mnie ponownie. — Tych, które stracił ów głupiec?

— Nic, pewnie dawno już trafiły w ręce spiskowców.

— Ktoś musiał zostać na terenie opactwa, aby podać truciznę Broderickowi i zaatakować Shardlake'a. Może należałoby przesłuchać go tu ponownie. Wydobyć zeń, co wie.

Maleverer potrząsnął głową.

— Księżę Suffolk zabronił, a król przyznał mu rację. Zastanawiali się nad sprowadzeniem tu kata z Tower, jednak zanim ten przybyłby na miejsce, dotarlibyśmy statkiem do Londynu. Taką mam przynajmniej nadzieję.

— Jeśli król Szkocji się zjawi. — Rich wykrzywił usta w grymasie rozbawienia.

— Jeśli Jakub nie pokaże w Yorku swojego parszywego tyłka, Szkoci srogo tego pożałują.

Usłyszeliśmy pukanie i żołnierz wprowadził do izby dozorcę niedźwiedzi. Wielkie chłoptisko skuliło się, a Rich pomachał ręką przed nosem.

— Boże, ależ on cuchnie!

— Wybaczcie, panie. — Zadrzał mężczyzna. — Musiałem wynieść padlinę z kościoła...

— Jak niedźwiedź wyszedł z klatki? — zapytał Maleverer. — Nie opuściłeś zasuwy jak należy?

— Nie, panie! Przysięgam. Drzwi nie zamyka się na zasuwę, lecz podciąga od tyłu. U góry jest lina. To dla bezpieczeństwa, panie. Ktoś stanął z tyłu, otworzył wrota i przywiązał linę do tylnej części klatki. Uciekł, gdy niedźwiedź wyszedł na zewnątrz.

— Czy każdy mógł tego dokonać? — spytał sir William, gniewnie marszcząc brwi. — Drzwi nie były w żaden sposób zabezpieczone?

— Nie, panie. Kto... kto chciałby wypuścić niedźwiedzia?

— Człowiek, który wiedział, że późnym wieczorem będę przechodził tą drogą — rzekłem. — Wiem już, co się stało. Kiedy razem z Barakiem wróciłem do opactwa, ktoś zobaczył mnie na dziedzińcu. Pobiegł wzdłuż ściany kościoła, podkraść się do klatki, a gdy wyszedłem, uwolnił zwierzę. Chciał mnie zabić.

— Gdzie był Barak? — prychnął Maleverer.

Zawahałem się.

— Pozwoliłem mu się z kimś zobaczyć.

— Z ową dziewczyną, co?

Nie odpowiedziałem. Rich zgarnął papiery.

— Sir Williamie, nie wytrzymam dłużej tego smrodu. Wybaczcie, ale was opuszczę. — Skłonił się Malevererowi i wyszedł z izby. Maleverer ponownie utkwiał wzrok w dozorcę.

— Powinieneś być lepiej pilnować zwierzęcia. A jeśli niedźwiedź by uciekł, gdyby król był w pobliżu?

— Panie...

— Zamknij gębę! Posłuchaj uważnie, nie mów nikomu, że ktoś otworzył klatkę. Rzeknij, iż zapomniawsz należycie zabezpieczyć drzwi. Nie chcę, aby ludzie plotkowali. Zrozumiałeś?

— Tak, sir Williamie. Uczynię, jak każecie.

— Lepiej, żeby tak było. A teraz wynocha. Zaplanowano jeszcze jakieś widowisko z udziałem niedźwiedzi?

— Tak, \ye wtorek w obozie. Jutro mają przybyć nowe zwierzęta.

— W takim razie umieście je gdzie indziej. Na zewnątrz opactwa. Jeśli ucieknie jeszcze który, staniesz na arenie zamiast psów. Jasne?

— Tak, sir Williamie.

— Dobrze. Wynocha.

Mężczyzna wyszedł zgięty w ukłonie. Maleverer westchnął, a następnie odwrócił się w moją stronę.

— Od tej pory nie ruszaj się nigdzie bez owego Baraka. Jestem zaskoczony twoim postępowaniem, przecież niedawno omal nie przeszyto cię rusztem w obozie.

Westchnąłem.

— Postąpiłem lekkomyślnie.

— Kto to robi? — warknął dziko. — Mam wrażenie, że ścigamy ducha. — Westchnął, a następnie machnął ręką. — Dobrze, idź już. — Spojrzał na mnie z ukosa. — Nawiasem mówiąc, masz jeszcze jednego wroga w osobie Richarda Richa. Lepiej doradź londyńskim rajcom, aby zrezygnowali z pozwu. Tak będzie lepiej dla twoich interesów, reputacji, wszystkiego.

Idąc po schodach w towarzystwie strażnika, zastanawiałem się nad radą Maleverera. Ty z pewnością dbasz o swoje interesy, pomyślałem. Chcesz przejąć ziemie Aske'a, które zostały zajęte przez króla i przekazane we władanie sądu do spraw majątku likwidowanych klasztorów. Ciekawe, co obiecałeś w zamian Richowi.

Barak wrócił do kwatery wczesnym rankiem. Zawołałem go do swojej sypialni i opowiedziałem, co się stało. Powtórzyłem też polecenie Maleverera, który nakazał, aby wszędzie mi towarzyszył.

— Mus to mus — odpowiedział, patrząc na mnie badawczo.

— Sir William domyślił się, że byłeś z Tamasin. Lepiej organizujcie sobie schadzki, gdy będę siedział bezpiecznie w sypialni.

— Czemu nie odeśle nas do Londynu? Praca nad petycjami niemal dobiegła końca.

— Nie jestem pewny. — Wyrząłem przez małe okienko. — Sądzi, że postużę mu za przynętę. Przyciągnę zabójcę.

— Kto to jest, do diabła? — spytał Barak.

— Powiedziałem Malevererowi, że to człowiek, który czai się w ciemności, wypatrując okazji. Ukrył się na dziedzińcu, gdy wróciliśmy z tawerny. Czekał na sposobność. Okrążył kościół i schował

się za klatką z niedźwiedziem. Pewnie zaplanował wcześniej, że go na mnie wypuści. Kiedy podszedłem do zagród ze zwierzętami, stworzyłem mu doskonałą okazję. To człowiek bardzo wytrwały, czający się w zasadzce, aby zaatakować niczym kot.— Jedna osoba?

— Tak sędzę.

— Zawodowiec?

Spojrzałem na niego.

— A ty jak uważasz?

Potrząsnął głową.

— Nie, raczej amator. Zawodowiec zaszedłby cię od tyłu i dźgnął nożem w plecy. To ktoś z rezydencji. Boi się, aby nikt go nie zobaczył i nie rozpoznał. W moim towarzystwie będziesz bezpieczniejszy. W sypialni nic ci nie grozi, nie wejdzie do środka z obawy, że zostanie spostrzeżony przez urzędników.

Zaśmiałem się z goryczą.

— Owi ludzie mają być moimi obrońcami? — Podszedłem do okna. — Jest taki wytrwały, taki zdeterminowany. Podejrzewa, że dowiedziałem się z owych dokumentów czegoś, o czym nie mam zielonego pojęcia. Może coś przeoczyłem. Gdybym zdołał dowiedzieć się czegoś więcej na ich temat. Setki razy analizowałem w myślach Titulus Regulus. Pewne fragmenty są tak niejasno sformułowane.

Wyjrzałem przez okno i przypomniałem sobie sen, który miałem pierwszego dnia pobytu w Yorku. Znajdowałem się w izbie podobnej do celi Brodericka. Później przyszło mi coś do głowy i gwałtownie nabrałem powietrza.

— Co się stało? — Barak natychmiast się ożywił. — Zobaczyłeś kogoś na zewnątrz?

— Nie, nie. Pomyślałem o czymś. O truciznie, której użył Broderick. Miał ją w swojej celi na zaniku w Yorku. Nie mógł jej wnieść, nikt nie mógł mu jej też dostarczyć. Jak się u niego znalazła?

— To zagadka.

— Musi istnieć odpowiedź.

— Wpadłeś na jakiś trop?

— Być może. Kiedy pójdziemy do zamku, aby rozpatrzyć petycje, zajrzemy ponownie do tej celi.

Następnego dnia skoro świt wyruszyliśmy do zamku. Nocą zerwał się silny wiatr, przynosząc rześisty deszcz. Widok szkieletu Aske'a dyndającego na murze sprawił, że zadrżałem. Spojrzałem na wieżę, w której przetrzymywano Brodericka, i pomyślałem, że gdy tylko ogłoszą przerwę w obradach, pójdę obejrzeć celę.

Weszliśmy do gmachu sądu. Ławy w holu były pełne ludzi, głównie kramarzy i ubogich rolników, choć dostrzegłem wśród nich kilku w lepszych szatach. Wszyscy patrzyli z niepokojem, gdy wkraczał na salę w prawniczej todze.

Giles zasiadał w mrocznej sali rozpraw przy stole ustawionym pod królewskim herbem i przykrytym zielonym suknem. Najwyraźniej odzyskał siły, a jego szeroka, poorana zmarszczkami twarz nadawała mu iście sędziowski wygląd. Obok niego przycupnął szczupły, czarnowłosy mężczyzna w wieku około trzydziestu lat, odziany w czarną szatę ze znakiem Rady Północy.

— Witaj, Matthew! Baraku, mógłbyś tutaj usiąść i robić notatki? Przygotowałem dla ciebie atrament i naostrzyłem pióro. — Skinął ręką, wskazując swojego towarzysza. — To kolega Ralph Waters, przedstawiciel Rady Północy.

Skłoniłem się Watersowi, który sprawiał wrażenie przyjaźnie usposobionego i sądząc z wyglądu, był urzędnikiem niższej rangi.

— Kolega Waters będzie reprezentował interesy Rady, albowiem niektóre ze spraw rozpatrywanych tego ranka to skargi wniesione przeciw niej. A to zmuszenie do nabycia ziemi, a to domaganie się dostarczenia prowiantu po zaniżonej cenie. Kolega Waters otrzymał polecenie, aby... odniósł się do nich przychylnie.

Urzędnik się uśmiechnął.

— Królewska sprawiedliwość ma się okazać łaskawa. Pamiętajcie, żadnych blefów — dodał, unosząc palec. — Obiecuję, że sam nie będę tego czynił.

— Ja również — zgodził się ochotczo Giles. — A wy, kolego Shardlake? Odeślemy tych, którzy wnieśli fałszywe petycje, z podwiniętym ogonem! — Sprawiał wrażenie uradowanego, że czeka go dzień pełen pracy. — A teraz do dzieła! Przejrzyjmy sprawy, które będziemy rozpatrywać, a następnie zacznijmy zapraszać powodów.

Przez cały ranek przysłuchiwaliśmy się dysputom i rozstrzygaliśmy. Po przerażających wydarzeniach ostatniej nocy czułem się dziwnie na sali sądowej otoczony zewsząd symbolami władzy. Przynajmniej na kilka godzin udało mi się zapomnieć o przygodzie z niedźwiedziem, jako że rozsądzanie spornych kwestii sprawiało mi ogromną radość.

Większość petycji dotyczyła drobnych spraw, bywało, że strony żywiły do siebie więcej gniewu, niż wymagała tego waga sporu. Kwestie takie rozstrzygaliśmy w sposób zdecydowany. Gdy petycja była skierowana przeciw Radzie, kolega Waters był przykładem rozwagi, choć zauważyłem, że Rada Północy często arogancko traktowała obywateli Yorku.

Przerwaliśmy obrady o dwunastej, wówczas też sługa przyniósł nam trochę zimnego mięsiva i chleb. Posiliłem się szybko, a następnie dałem znak Barakowi.

— Czy moglibyśmy opuścić panów na krótką chwilę? — spytałem. — Wrócimy za pół godziny. — Waters skinął głową, a Giles spojrzął na nas ciekawie.

Wyszliśmy na dziedziniec. Deszcz ustał, lecz wiatr się nasilił, powodując, że moja prawnicza szata się wydeła.

— Boli mnie nadgarstek — jęknął Barak. — Od notowania. Jaka zagadka czeka na nas w wieży?

Ruszyłem przez dziedziniec w stronę wartowni, gdzie strażnik o surowym obliczu zaprowadził nas do celi Brodericka.

Izby nie uprzątnięto od czasu, gdy została opuszczona przez kucharza. Skłębione sitowie walało się na podłodze, a na wysuwany łóżku pod oknem nadal leżało brudne prześcieradło. Łańcuchy Brodericka tkwiły w uchwytach w murze i leżały zwinięte przy łóżku.

— Co robimy? — zapytał Barak.

Podszedłem do łoża i podniosłem kajdany, którymi skrupowano nadgarstki Brodericka. Odszedłem od ściany, wyciągając łańcuch na całą długość. Stojąc w pozycji wyprostowanej, Broderick mógł się oddalić na odległość około ośmiu stóp. Obszedłem celę, zataczając półkole. Barak i strażnik przyglądali się temu ze zdumieniem.

— Co czynisz? — spytał Barak.

— Sprawdzam, jak daleko mógł sięgnąć. Badam, czy na podłodze i ścianach nie ma czegoś dziwnego.

— Niczego nie dostrzegam. — Tak — rzekłem, stając przy oknie. — Mógł do niego podejść. Tak jak podejrzewałem. Wspomniał, że widział przez nie szkielet Aske'a. — Dostrzegłem wieżę po przeciwnej stronie i szkielet kołyszący się na łańcuchach w powiewach zimnego wiatru, który smagał moją twarz kropelkami deszczu. Doleciało mnie też coś jeszcze. Woń, którą miała chusteczka znaleziona w celi Brodericka na terenie opactwa Świętej Marii. Woń, którą zapamiętałem z Fulford, gdy się pokłonił, zbliżając głowę do królewskiej nogi — smród zgnilizny i rozkładu. Przyjrzałem się długiej ołowianej rurze biegnącej wzdłuż muru. Była pęknięta po jednej stronie okna, obok nierównej rysy na murze. Z rury zwisała biała, oślizgła substancja. Do szczeliny spływała woda i coś jeszcze: kilka brązowych strumyczków odcinających się na tle grzybów, które wyrosły na brudzie.

— Pęknięcie przypomina skutek uderzenia pioruna — rzekłem do strażnika.

— Być może. — Sprawiał wrażenie zdumionego, że mnie to zaciekało.

— Skąd biegnie ta rura?

— To rura przelewowa, z małej kuchni na szczycie wieży używanej przez strażników. Zwykle spało tam kilku ludzi, lecz usunięto ich po sprowadzeniu Brodericka.

— Rura jest pełna wszelkiego paskudztwa, kawałków zepsutego mięsa, zgniłych warzyw. — Zdjąłem szatę, wyciągnąłem z kieszeni czystą chusteczkę, a następnie z pewną trudnością wysunąłem rękę przez kraty i odłamałem kawałek białego, oślizgłego nalotu. Zrobiło mi się słabo, gdy go dotknąłem. Powąchałem i pokazałem Barakowi. Pochylił głowę, aby po chwili cofnąć się gwałtownie.

— Uf! To gorsze od gnoju.

Wyciągnąłem ponownie rękę i zerwałem kilka małych grzybków.

— To trucizna Brodericka — rzekłem, kładąc je na dłoni. — Chusteczka pachniała tak samo jak substancja wypływająca z rury. Stąd ją miał. Zjadł grzyby, licząc na to, że są trujące.

— Dobry Jezu! — twarz strażnika wykrzywiła odraza. — Jaki człowiek mógłby coś takiego uczynić? — Człowiek pogrążony w wielkiej rozpacz. Człowiek wielkiej odwagi. Był w takim stanie, że spróbowałby wszystkiego.

— Przecież nie znał działania grzybów — zauważył Barak.

— Masz rację, wiedział jednak, że nie uczynią niczego dobrego, że mogą go zabić.

— Później wsunął w odbył chusteczkę z owymi grzybami — dodał Barak, a strażnik skrzywił się jeszcze bardziej.

— Był zrozpaczony. Trzeba niezwykłej odwagi, aby zrealizować taki plan. Zebrać ową substancję i zmusić się do jej połknięcia, czując, jak żołądek podchodzi do gardła, lecz nie mając pewności, czy trucizna spowoduje śmierć. Nikt nie brał udziału w jego otruciu.

— Jak się tego domyśliłeś? — spytał Barak.

— Nie domyśliłem się, wiedziałem jednak, że skądś musiał zdobyć truciznę, i pomyślałem, iż mógł ją znaleźć za oknem. Było to jedyne miejsce, którego nie sprawdzono. — Uśmiechnąłem się. — Jeśli będziesz wytrwale szukał, zawsze znajdziesz odpowiedź.

Opuściliśmy celę i wyszliśmy na podwórko. Spojrzałem na liście, które wirowały na dziedzińcu poruszane wiatrem.

— Powiadomię Maleverera — rzekłem. — Zdejmie to cień podejrzeń z Radwintera. — Zaśmiałem się cicho. — Ciekawym, czy okaże wdzięczność?

— Jeszcze bardziej cię znienawidzi.

— Nieszczęsny Broderick. Uznał, że wszystko będzie lepsze od tego, co zgotują mu w Tower. — Pokręciłem głowę. — Cóż, dopilnowałem, aby dotarł tam bezpiecznie.

— Nie umarłby. Owa substancja była tak odrażająca, iż jego organizm natychmiast ją wydalil. — Barak spojrzał na mnie uważnie. — Mówisz tak, jakbyś go podziwiał.

— W pewnym sensie go podziwiam. Dobry Jezu, ten smród przypomina mi woń królewskiej nogi. — Roześmiałem się. — Pleśń Mouldwarpa.

Po południu przesunął się przed nami kolejny korowód ludzi. Zaniepokoiła mnie tylko jedna sprawa, w której byłem zgoła odmiennego zdania niż Giles. Chodziło o skargę człowieka,

który dostarczył drewno do opactwa Świętej Marii na budowę pawilonów. Przywiózł on materiały kilka miesięcy temu i zgodnie z warunkami umowy, którą zawarł z Radą Północy, miał dawno temu otrzymać zapłatę. Zwracał się do króla, jako że do tej pory nie zdołał jej odebrać.

— To trudna sprawa — rzekł z zażenowaniem Waters, studiując dokumenty dostarczone przez powoda.

— Dlaczego? — spytał Giles. — Przecież to oczywiste, że należność dla pana Segwike'a jest przeterminowana. Znam go, prowadzi małą firmę, nie może sobie pozwolić, na dłuższe czekanie na zapłatę.

Młody urzędnik przesunął się na krześle.

— Sęk w tym, że jeśli pozytywnie rozpatrzmy jego petycję, Rada zostanie zalana podobnymi żądaniami. Nasi urzędnicy mają trudności z zapanowaniem nad... przepływem pieniędzy.

— Czyżbyś sugerował, że zamawiają więcej, niż mogą sobie pozwolić?

— Sir Robert Holgate prowadzi rozmowy z przedstawicielami królewskiego skarbu — odrzekł Waters. — Byłem spolegliwy w innych sprawach dotyczących Rady. Polecono mi, abym postępował tak w dalszym ciągu, pod warunkiem że owa petycja zostanie oddalona. Pan Segwike otrzyma zapłatę, podobnie jak pozostali, lecz potrzebujemy na to nieco czasu.

Giles skinął głową i uśmiechnął się delikatnie. Spojrzał na mnie pytająco.

— Jesteśmy tu, aby wymierzać sprawiedliwość — powiedziałem. — Żaden z nas nie powinien wywierać nacisku na pozostałych w poszczególnych sprawach.

— Od kiedy to prawo wzięło rozbrat z polityką? — spytał cicho Giles. — Zgodnie z angielską konstytucją „od zawsze”. — Wiedziałem, że mówię jak pedant, nie mogłem jednak pozostawić tego bez sprzeciwu.

— Jeśli odmówicie, będę mniej ugodowy w sprawie pozostałych petycji — oznajmił Waters. — Przykro mi, lecz takie otrzymałem polecenia.

— Mamy problem z tą sprawą, Matthew — podsumował Giles. Wzruszyłem gniewnie ramionami, lecz nie rzekłem ani słowa. Wymierzenie sprawiedliwości temu człowiekowi oznaczałoby pozbawienie jej innych. Wezwano drwała, starszego jegomościa, który przedstawił swoją sprawę niepewnym głosem, wyraźnie speszony naszą obecnością.

— Chyba nie wątpisz, że Rada Północy ureguluje należność? — zapytał Giles, gdy tamten skończył. — Działają z upoważnienia króla.

— Kiedy to uczynią, panie? — spytał staruszek. — Muszę spłacić własne długi.

Giles uniósł brwi i spojrzał na Watersa, przekazując mu problem.

— Wkrótce, dobry człowieku — odrzekł uspokajająco. — Lada dzień.

— Moi wierzyciele...

— Musicie jeszcze trochę poczekać — oznajmił Giles poważnym głosem. — Wszystko wam zapłacę. Przekażcie wierzycielom, że sąd królewski zapewnił, iż zapłata nadjedzie... — Przerwał na chwilę. — Niebawem...

Drwał odszedł, zwiesiwszy ponuro ramiona. Giles wziął głęboki oddech i spojrzał na Watersa.

— Mam nadzieję, że stanie się to niebawem, panie — powiedział.

— Zapewniam was, panie. Nie możemy dopuścić, aby York był pełen niezadowolonych kupców. Nie w obecnej sytuacji politycznej.

Spojrzałem na Gilesa.

— Onieśmieliłeś biedaka.

Wzruszył ramionami.

— Prawnicy muszą być dobrymi aktorami i dzielnie odgrywać swoją rolę dla większego pożytku. — Mimo to był wyraźnie zagniewany i ostro potraktował następnych wnioskodawców. Gdy rozpatrywaliśmy kolejne sprawy, wiatr na zewnątrz przerodził się w wichurę. Do naszych uszu doleciał dźwięk okiennic stukających na zamkowym donżonie.

— Na tym koniec — oznajmił Giles, gdy załatwiliśmy sprawę ostatniego powoda. Spojrzał na Watersa. — Z tym, co zostało, uporamy się w jeden dzień.

— Przewodniczyliście w tempie godnym podziwu, panie — odrzekł Waters. — Jutro możemy zacząć obradować w południe.

Pogrzeżyłem się w ponurych myślach, wspominając mój arbitraż w sprawie ziemi w Kencie i niesprawiedliwość, jaką wyrządziłem rodzinie sierzanta Leaona.

— Barak przygotowuje porządek obrad — rzekłem. — Chcecie, abyśmy przestali wam kopię, kolego Waters?

— Tak. — Wyciągnął nogi. — Co słychać w King's Manor? Słyszałem, że sir William Maleverer odpowiada za bezpieczeństwo króla.

— Tak, znacie go?

— Nie, pracuję w administracji, jest wszak znany jako człek gwałtowny. Wszyscy lękają się jego wybujałej ambicji. — Uśmiechnął się złośliwie. — Bękarci są z tego znani.

— Słyszałem.

— Podobno postanowił, że ożeni się dopiero wówczas, gdy zgromadzi tyle ziemi, iż ludzi nie będzie interesowało jego pochodzenie. Powiadają, że gdy był młody, darzył wielką miłością dziewczynę z rodu Neville'ów, lecz ta go odrzuciła. To dumny stary ród z Yorku. Nie chciała za niego wyjść z powodu plotki, że jest bękartem.

— Naprawdę? — Przypomniałem sobie, jak zareagował, gdy wspomniałem, że w rodowodzie pojawia się imię Cecily Neville. „No tak, jak zwykle wszystko zaczyna się od Cecily Neville”.

— Mogło go to rozgoryczyć — zauważyłem.

Waters skinął głową. Spojrzał na mnie.

— Czterdzieści lat temu jego matka i ojciec... rzekomy ojciec sir Williama... towarzyszyli królowej Małgorzacie w podróży do Szkocji, gdzie miała poślubić ojca obecnego króla. Sir Martin Maleverer musiał wcześniej zawrócić. Jego małżonka wróciła z dzieckiem wiele miesięcy później, razem z damami. Maleverer miał wątpliwości, czy chłopak jest jego. Nie urodził się nawet na tej ziemi.

Wyprostowałem się, albowiem słowa Watersa coś mi przypomniały. W Titulus Regulus o Ryszardzie III napisano: „Przyszedłeś na świat na tej ziemi. Z tej racji wiesz nieco na temat swojego urodzenia i powinowactwa”. Oznaczało to, że ktoś z jego rodzeństwa urodził się gdzie indziej. Ktoś był obciążony nieprawym pochodzeniem. Próbowałem przypomnieć sobie drzewo genealogiczne.— Nic wam nie jest, kolego Shardlake? — spytał Waters.

— Nie, wszystko w porządku.

— Zamyśliście się — zauważył z uśmiechem Giles.

— Przepraszam... — Przerwałem, jako że na zewnątrz rozległ się wielki harmider. — Co się stało?

Giles i Waters wymienili zdumione spojrzenia, a następnie wstali i wyszli na dziedziniec. Spojrzałem na Baraka i zadrzałem. Poruszenie na zewnątrz przypomniało mi wczorajsze krzyki i nawoływania w kościele.

— Zobaczmy, co się stało? — spytał Barak.

Zeszliśmy po schodach na zewnętrzny podwórzec. Słudzy

i urzędnicy stali w kole, nie zwracając uwagi na deszcz i obserwując, jak żołnierze wybiegają z wartowni i kierują się w stronę zamkowego wzgórza. U podstawy wieży spostrzegłem łańcuchy i kości rozrzucone na trawie. Waters uczynił znak krzyża.

— Dobry Jezu, to szkielet Aske'a. Wiatr go zrzucił. — Patrzyłem, jak żołnierze podbiegają do zbielałych kości i poczynają je zbierać, aby nie dostały się w ręce łowców relikwii.

— Szkoda, że nie było przy tym króla — zachichotał cicho Wrenne, a następnie uniósł brwi i rzekł do mnie: — Mieszkańcy Yorku uznają to za znak.

Rozdział dwudziesty ósmy

Maleverer był zdumiony, gdy godzinę później¹ wyjaśniłem, w jaki sposób Broderick się truł. Kiedy skończyłem, pokręcił głową i zarechotał, spoglądając na mnie zza biurka. W kącikach jego ust zaigrał uśmiech, gdy zgodnie ze swym zwyczajem przesunął palcem po brodzie.

— Dobry Boże, bystry z was człowiek. Zatem Broderick zdołał przechytryć Radwintera. — Zaśmiał się ponownie. — Straci biedak dobre imię, gdy ta wieść się rozniesie. Zakazałem mu opuszczać izbę. Teraz, gdy wiemy, że nikt inny nie brał w tym udziału, będzie mógł wrócić do dawnych obowiązków. Oczyszcisz go z podejrzeń, kolego Shardlake.

— Nie chcę, aby ktokolwiek był fałszywie oskarżany, nawet Radwintera.

Pogodny uśmiech Maleverera przerodził się w okrutny uśmieszek.

— Masz waszmość skrupuły. Żałuję, iż nie mogę sobie na nie pozwolić.

Nie odrzekłem ani słowa. Sir William odwrócił się i wyjrzał przez okno, obserwując, jak robotnicy obwiązują grubymi powrozami królewskie namioty, aby zabezpieczyć je przed wiatrem. Spojrzałem na jego mroczną twarz, ciekaw, czy to wstyd i gniew z powodu nieprawego pochodzenia sprawiły, że stał się nieustępliwym, okrutnym człowiekiem. Uznałem za osobliwe, iż nawet on doświadczył szyderstwa i słyszał śmiech za swymi plecami.

— Namioty nie mogą tu stać w nieskończoność — powiedział. — Przeklęty król Szkocji.

— Wiadomo kiedy nadciągnie, panie?

— Nie twój interes. — Zmienił temat. — Powiem Radwin-terowi, że może wrócić do służby. Miej nadal oko na Brodericka. Odwiedzaj go codziennie. Może spróbować czegoś innego. — Spojrzał na mnie z namysłem. — Jeśli Broderick sam wyszukał sobie truciznę, człowiek, który tu krąży, próbuje zabić wyłącznie ciebie.

— Na to wygląda.

— Pamiętaj, com ci rzekł, nigdzie nie chodź bez swojego tęgiego pomocnika. Możesz odejść. — Skinął piórem, ja zaś pokłoniłem się i wyszedłem.

Wracając do kwatery, utwierdziłem się w przekonaniu, że nie powiem mu o królowej i Culpeperze. Nie ufałem Malevererowi ani trochę. Wiedziałem, że mnie nie znosi i że wyrządziłby mi krzywdę, gdyby mógł.

Wiatr-nieco osłabł, choć nadal silnie wiało. Barak czekał na zewnątrz. Gdyśmy szli obok pawilonów, ujrzałem znajomą, otyłą postać zmierzającą w kierunku kościoła — kolegę Craike'a z szatą wydymającą się wokół kostek.

— Nadarza się okazja rozwiązania kolejnej zagadki — rzekłem.

W kościele panował istny młyn. Stajenni biegali tam i z powrotem, wszędzie wałała się słoma i gnój, a z kuźni urządzonych w bocznych kaplicach bił czerwony blask. W świetle dnia zauważyłem, na ścianach kościoła błoto i rysunki — prymitywne podobizny kobiet z odsłoniętymi piersiami i mężczyzn o ogromnych członkach.

— Gdzie on się podział? — spytał Barak.

— Pewnie wszedł na dzwonnice. — Przerwałem, spoglądając na zwęgloną słomę zgarbiętą pod ścianę. Padlinę niedźwiedzia zabrano dawno temu.

Craike zniknął nam z oczu, gdy dotarliśmy do drzwi dzwonnicy, lecz strażnik potwierdził, iż poszedł na górę. Znaleźliśmy go siedzącego na zydłu i wyglądającego przez okno

z posiłkiem rozłożonym na kolanach. Spojrzał na mnie ze zdumieniem.

— Co cię sprowadza, Matthew? — Jego głos był radosny, lecz oczy czujne jak zwykle. Spojrzał z uśmiechem na chleb i chłodne mięsiwo.

— Miałem trudny dzień, więc pomyślałem, że schronię się tutaj i zjem co nieco. Widok obozu nigdy mi się nie znudzi. Mogę go podziwiać z lotu ptaka.

Wyjrzałem przez okno, mrużąc oczy od wiatru świszczącego wokół dzwonnicy. W słabnym świetle ponownie ujrzałem setki ludzi siedzących przed namiotami, grających w karty i obserwujących walki kogutów. Ogniska płonęły, wiatr zaś rozwiewał dym na wszystkie strony. Duża grupa robotników kopała nowe latryny w pobliżu rzędu wozów. Craike podszedł i stanął obok mnie.

— Mają problem ze ściekami — wyjaśnił. — Nie dziwię się. Obóz liczący dwa tysiące ludzi, który pozostaje w jednym miejscu dłużej niż kilka dni, staje się odrażający. Pola wzdłuż drogi są tak zanieczyszczone odchodami, że nie będzie ich można uprawiać przez wiele lat. Ludzie obawiają się, że nieczystości przedostaną się do rzeki i wytrują ryby. Że wsiąkną głębiej w glebę.

Spojrzałem na jego pulchną twarz, a następnie wziąłem głęboki oddech.

— Craike, muszę z tobą o czymś pomówić.

— Naprawdę? Poważnie to zabrzmiało. — Przesunął wzrok ze mnie na Baraka i zaśmiał się nerwowo.

— Bo i poważna to sprawa.

Wrócił na poprzednie miejsce, przysiadając na zydłu.

— Pamiętasz owe dokumenty? — spytałem. — Te, które mi odebrano w twoim dawnym gabinecie?

— Nie zapominam o takich rzeczach.

— Wiesz, że to poważna sprawa.

— Wiem, ludzie Maleverera dokładnie mnie przeszukali. Później sir William polecił, abym nikomu o tym nie wspominał. Uczyniłem, jak kazał.

— Kilka dni temu Barak widział, jak wchodzisz do pewnej tawerny w Yorku. Do Białego Jelenia. Kiedy spojrzał na Baraka, dostrzegłem iskierkę lęku w jego oczach.

— Jaki to ma związek z poszukiwaniem owych przeklętych papierów? — spytał z drżeniem w głosie.

— Byliśmy tam ostatniej nocy. Dowiedzieliśmy się, że oberżysta może sprowadzić... pewne niewiasty...

Ciało Craike'a przeszedł dreszcz, a twarz mu spąsowiła.

— Po co tam poszedłeś?

Nie odpowiedział, lecz ukrył twarz w dłoniach.

— Mów — rzekłem ostro.

- Wstydzę się. Wstyd mi pokazać twarz — wyszeptał drżącym głosem.
- Nie chcę cię zawstydzić. Spójrz na mnie.

Westchnął głęboko i uniósł głowę. Odniosłem wrażenie, jakby nagle się postarzał, a jego czerwona twarz zmarniała. W kącikach jasnoniebieskich oczu błysnęły łzy.

— Owa tawerna to okropne miejsce — zaczął. — Bóg jeden wie, że widziałem wiele do niej podobnych w Londynie. Pewnie myślicie, że odniosłem sukces. — Zaśmiał się z goryczą, a później wyrzucił z siebie szybki potok słów. — Mam żonę, dzieci, dobrą pracę, cieszę się poważaniem. Nie znacie mnie wszak... jestem złym, niegodnym człowiekiem. Grzesznikiem. Księża, którzy uczyli mnie w młodości, dobrze o tym wiedzieli... szydzili ze mnie i zadawali mi ból. Potrzebuję bólu... jedynie wówczas czuję się bezpieczny. — Zaśmiał się pusto z taką goryczą, że przeszedł mnie dreszcz.

To, co rzekł, powinno było wzbudzić moją odrazę, lecz zamiast niej poczułem żal. Podobnie jak on wpadłem w pułapkę umysłu, której nie umiałem pojąć.

— W jakisposób dowiedziałeś się o istnieniu tego miejsca? — spytałem. — Od mistrza Oldroyda?

— Nie. Wypytałem go o lupanary w mieście, powiadając, że czynię to w imieniu urzędników, którzy wkrótce zjadą do Yorku, on jednak nie znał żadnego. Był porządnym człowiekiem. Nie, zacząłem rozpytywać na mieście i w ten sposób trafiłem do Białego Jelenia.

— Cóż, jeśli rzekłeś wszystko, nie moja to sprawa — powiedziałem. — Jeśli rzekłeś wszystko... — Westchnął, jakby rozdzierał własne serce. Jego wyraz twarzy uległ zmianie, jakby z prywatnego piekła przeniósł się na powrót do realnego świata. — To nie wszystko. Często odwiedzam pewien przybytek w Southwark. Tamtejsza rajfurka okazała się szpiegiem opłacanym przez sir Richarda Richa.

— Richa — powtórzyłem wolno. — Wiem, że Cromwell posługiwał się takimi metodami. — Spojrzałem na Baraka.

— Kiedy został ścięty, Rich przejął sieć jego informatorów. Płacił właścicielom niektórych lupanarów za przekazywanie nazwisk klientów. Lord Cromwell nie interesował się mną, zbyt mało znały. Z Richem jest inna sprawa. Wiesz, na czym polega moja praca? Zajmuję się przydzielaniem kwater dworzanom służącym w londyńskich pałacach naszego króla. Tak samo jak tutaj.

— Rozumiem.

— Sir Richard Rich pożąda nieruchomości jak nikt w Anglii. Jeśli poinformuję szambelana, że jakiś dawny dom klasztorny w Londynie nie nadaje się na kwaterę dla dworzan króla, wówczas można go nabyć za grosze. Richard Rich tylko czeka na taką okazję.

— Szantażuje cię?

— Jeśli mu się sprzeciwię, powie o wszystkim mojej żonie. To gwałtowna niewiasta. Porzuciłaby mnie, ujawniła moje grzechy i nigdy więcej nie ujrzałbym dzieci. — Na jego policzkach pojawiły się łzy. Nagle otarł je i spojrzał na mnie wyzywająco. — Taka jest prawda. Nie ma to nic

wspólnego z wykradzionymi dokumentami czy napaścią na ciebie. Jeśli ujawnisz tę sprawę, narazisz się na gniew sir Richarda. Ostrzegam cię, abyś nie traktował go lekko. Na dodatek zrujnujesz i mnie.

— Czy wywiera na ciebie presję także teraz?

— Tak. Maleverer chce nabyć dom w Londynie. Jest pewna nieruchomość w pobliżu Smithfield, należy do króla. On i Rich podzielą się różnicą między ceną, którą ustalę, a jej rzeczywistą wartością.

— Rozumiem — odparłem. — Maleverer próbuje nabywać ziemię także tam. — Nic o tym nie wiem. Miej zmiłowanie — jęknął Craike. — Zachowaj w sekrecie, com rzekł.

— Nikomu nie powiem. To, co powiedziałaś, mnie nie interesuje.

— Naprawdę? — Na jego twarzy pojawił się promyk nadziei.

— Przysięgam. Pomógłbym ci, gdybym mógł. Rich to większy łotr, niż sądziłem.

Odetchnął z ulgą.

— Dziękuję... dziękuję...

— Tak?

— Nawet mnie nie wyszydziłeś — rzekł z podziwem. — Większość ludzi by to uczyniła.

Spojrzałem na wymizerowaną twarz Craike'a i zdumiał mnie dziwny mrok, który w sobie skrywała. Pomyślałem, że wiele twarzy kryje w sobie ciemność.

— Zakosztowałem wystarczająco wielu szyderstw — odrzekłem.

Musiałem wstąpić do Brodericka przed wykonaniem kolejnego zadania — bliższego przeanalizowania królewskiego drzewa genealogicznego i pojawiającego się w Titulus Regulus twierdzenia, że Ryszard III urodził się w Anglii.

Wartę przed celą pełnił sierżant Leacon wraz z jednym ze swoich ludzi. Skłonił się nam sztywno.

— Wszystko w porządku? — spytałem.

— Tak. Cały dzień przeleżał na pryczy. Nie rzekł ani słowa do człowieka, którego umieściłem w celi.

— Odkryłem, skąd wziął truciznę. — Opowiedziałem sierżantowi o tym, czego się dowiedziałem na zamku. — Myślę, że Radwinter wkrótce powróci do służby.

Wzruszył ramionami.

— Miałem nadzieję, że go więcej nie ujrzemy.

— Niestety, nie. — Wziętem głęboki oddech. — Sierzancie, chciałbym podziękować wam i waszym ludziom za zgładzenie tej bestii ostatniej nocy. Obawiam się, że gdybyście nie przybyli na czas, nie byłoby mnie już na tym świecie.— Wykonaliśmy jedynie swój obowiązek — odrzekł chłodno. — Sądziłem, że ktoś celowo wzniecił zamieszanie, aby odwrócić moją uwagę i uwolnić więźnia. Nie wiedziałem, czy dobrze robimy, zamykając Brodericka i biegnąc do kościoła.

— Dziękuję Bogu, że to uczyniliście. Wolę nie myśleć, co mogłoby się stać, gdybyście nie byli tak blisko.

Skinął głową, lecz jego spojrzenie pozostało zimne.

— Sierzancie — rzekłem — zastanawiałem się nad kłopotem waszych rodziców. Nad tym, że przyczyniłem się do pozbawienia ich ziemi. Uderzyło mnie, że podjąłem się arbitrażu, nie znając żadnych umów dzierżawy dziedzicznej lub podnajmu. Czy wasi rodzice mają jakieś dokumenty świadczące, że mieli tę ziemię w dzierżawie?

Potrząsnął głową.

— Nie. Dokumenty przechowywane w sądzie uległy spaleni podczas pożaru, który wybuchł pięć lat temu. Zawsze wszak sądzili, że dzierżawią ziemię należącą do zakonu.

— Nie dysponowałem owymi dowodami. Mogłyby one zmienić rozstrzygnięcie, gdyby udało się je odnaleźć.

— Rodzice są niepiśmienni — odparł z zażenowaniem. — Polegają na tym, co powie im wuj, który umie niewiele więcej od nich. Nie są ludźmi, których stać na prawnika.

— Kiedy będą musieli się wyprowadzić?

— Za sześć miesięcy. Na wiosnę, w dzień wnoszenia kwartalnych opłat dzierżawnych.

— Posłuchajcie, sierzancie, czuję się odpowiedzialny za to, co się stało. Jeśli zechcecie, po powrocie do Londynu spróbuję im pomóc.

— Rzekłem wam już, że rodziców nie stać na prawnika.

— Uczynię to darmo. Pro bono, jak mówimy.

Jego twarz rozpozodziła się nieznacznie.

— Uczynisz to, panie? Gdybyś zdołał pomóc...

— Niczego nie gwarantuję, uczynię jednak, co w mej mocy.

— Dziękuję. — Spojrzał na mnie. — Muszę wyznać, że srodze was przekląłem, gdym usłyszał o waszym udziale w tej sprawie.

— W takim razie nie czyńcie tego więcej, zbyt wielu mnie ostatnio przeklina.

Uśmiechnął się.

— Oczywiście, jeśli nam pomożecie.

— Dobrze więc — rzekłem z pewnym zakłopotaniem. — Muszę teraz sprawdzić, jak się miewa Broderick.

Leacon potrząsnął głową, sięgając po pęk kluczy.

— Czemu ludzie stawiają się w tak strasznym położeniu? Czy nie dość mamy zmartwień na tym padole?

Broderick przedstawiał żałosny widok, gdy tak leżał blady i wymizerowany na swojej pryczy. Kiedy nad nim stanąłem, zapalono świeczkę, która w zapadających ciemnościach wydobyła głębokie cienie przedwczesnych zmarszczek na jego młodej twarzy. Spojrzał na mnie znużony.

— Masz co pić? — spytałem.

Wskazał dzban stojący na podłodze.

— Tak.

— Wiem, jak to uczyniłeś, sir Edwardzie — rzekłem cicho. — Skąd wzięłeś truciznę. Zjadłeś owe okropne grzyby, które rosły obok rury przelewowej, prawda?

Patrzył na mnie dłuższą chwilę, a następnie zamknął oczy.

— Teraz to bez znaczenia. — Westchnął apatycznie. — Zawiodłem. Tu nie mam żadnych szans.

— Musiałeś czuć się okropnie, wkładając je do ust.

— Zaiste, popiłem je wodą, zatykając nos, aby nie czuć smrodu.

— Rzeczywiście, smród był okrutny.

— Na nic się to zdało, mój organizm je wydalili. — Jego twarz wykrzywił grymas gniewu.

— Posłuchaj — rzekłem. — Dlaczego nie powiesz im tego, o co proszą? W końcu i tak cię złamią torturami. Znoszenie cierpień nie jest cnotą. Możesz wyjednać sobie łaskę, jeśli zaczniesz mówić. Nieraz tak bywało.

Roześmiał się chrapliwie.

— Myślisz, że dałbym wiarę ich obietnicom? Robert Aske im uwierzył i zobacz, jak skończył.

— Wczoraj jego szkielet spadł z wieży. Zrzucił go wiatr.

Broderick uśmiechnął się powoli.

— To znak, znak, który Mouldwarp powinien zapamiętać.

— Jesteś wykształconym człowiekiem, a pleciesz same nonsensy. — Przyjrzałem mu się uważnie, ciekaw, ile znał odpowiedzi, których szukałem. Odpowiedzi dotyczących związków łączących sekret królowej ze spiskowcami oraz zawartości skrzynki Oldroyda. Zakazano mi jednak podejmowania prób wydobycia zeń sekretów.

— Jeśli król Henryk jest Mouldwarpem — rzekłem nagle — kto jest prawowitym królem? Niektórzy powiadają, że hrabina z rodu Salisbury.

Uśmiechnął się krzywo.

— Ludzie powiadają różne rzeczy.

— Czyż prawowitym następcą tronu nie jest książę Edward, syn króla? — Przerwałem na chwilę. — A po nim synowie królowej Katarzyny? Ponoć jest brzemienna.

— Tak? — W jego oczach dostrzegłem jedynie rozbawienie zmieszane z pogardą. Zaśmiał się chłodno. — Czyżbyś zaczął odgrywać rolę przestuchującego, panie?

— Próbuję z wami jeno porozmawiać.

— Myślę, że nie czynisz nic bez celu. Wiesz, czego żałuję?

— Nie.

— Że nie będzie cię w Tower, gdy zaczną mnie torturować. Chciałbym, abyś był świadkiem tego, do czego doprowadziła twoja troskliwa opieka.

— Powinieneś zacząć mówić teraz, gdy twoje ciało jest jeszcze całe.

— Odejdź! — Głos Brodericka był pełen pogardy.

Westchnąłem i zapukałem do drzwi, aby je otworzono. Kiedy

tylko znalazłem się na zewnątrz, z żalem zobaczyłem, iż Radwinter już wrócił. Miał podkrążone oczy. Aresztowanie odcisnęło bolesne piętno na tym człowieku, który kochał władzę, jaką mu dano. Patrzył na Baraka, który stał oparty o ścianę z wyrazem rozmyślnej nonszalancji na twarzy.

— Słyszałem, że twój pan odkrył, w jaki sposób Broderick się otruił — rzekł Radwinter.

— Tak, Broderick sprytnie to uczynił.

— Więcej nie otrzyma takiej szansy. Przywrócono mnie do dawnych obowiązków. Maleverer rzekł, iż powinienem wam za to podziękować — zwrócił się do mnie. Wzruszyłem ramionami.

— Pewnie się cieszyacie, że mam wobec was dług wdzięczności — dodał z goryczą.

— Nie dbam o to — odpowiedziałem. — Mam na głowie inne sprawy.

— Raz was upokorzyłem i uczynię to ponownie. — Przcisnął się obok, niemal spychając mnie na Baraka, a następnie przywołał żołnierza i kazał mu oddać klucze do celi.

Rozdział dwudziesty dziewiąty

Siedzieliśmy z Barakiem w mojej sypialni. Pomiędzy nami leżał arkusz papieru, na którym odtworzyłem z pamięci drzewo genealogiczne, które znalazłem w skrzyni Oldroyda. Lampa stojąca chwiejnie na sienniku rzucała żółte przyćmione światło na imiona królów.

— W jaki sposób może nas to doprowadzić do człowieka, który cię napadł? — spytał znużonym głosem Barak.— Odpowiedź zawsze kryje się w szczegółach — odrzekłem, marszcząc czoło.
— W Titulus Regulus podkreślono, że Ryszard Trzeci urodził się w Anglii, co dawało mu pewną wiedzę na temat jego urodzenia i powinowactwa. Długo nad tym rozmyślałem. Sądzę, że autorzy owej uchwały między wierszami dają do zrozumienia, że jeden z braci Ryszarda był bękartem.

— Kiedyś twierdziłeś, że w Titulus Regulus wymieniono wszystkie fakty, nawet najbliższe, aby usprawiedliwić przejęcie tronu przez Ryszarda. Gdzie są dowody na to, o czym teraz prawisz? Spojrzałem na niego.

— Może w tej szkatule? — Wskazałem nazwisko Cecily Neville widniejące na początku rodowodu. — Gdyby jedno z jej dzieci było bękartem, wyjaśniałoby to słowa, które wypowiedział Maleverer po zniknięciu dokumentów: „No tak, jak zwykle wszystko zaczyna się od Cecily Neville”.

Barak pogładził brodę.

— Miała dwóch synów oprócz Ryszarda Trzeciego.

— Tak- George'a, księcia Clarence, który był ojcem Margaret z Salisbury, straconej tego roku, i Edwarda Czwartego, dziadka obecnego króla.

George książę Clarence zm. 1478

Edward, brabkt Wanvick Wygnany 1499

Henry lord TDontagu

KROL –Ryszancd zwany Garbatym okres panowania 1483-1485

Tftargaret poślubiona sir Hicljardoroi pole grabina j Salisbury |

Reginald, kardynał poletenry

Katherine

— Zakwestionowanie praw linii Clarence'a byłoby na rękę królowi. Ujawniłby to z radością.

— Spiskowcy pragnęliby to ukryć. Zniszczyliby wszelkie dowody, zamiast trzymać je w ukryciu i chronić. Zarzuty muszą być zatem skierowane przeciw Edwardowi Czwartemu, dziadkowi króla, którego nasz pan ponoć wielce przypomina.

Barak spojrział na mnie z przerażeniem.

— Jeśli Edward Czwarty nie był synem księcia Yorku...

— Wówczas roszczenia do tronu zgłaszane przez jego następców... roszczenia naszego króla... stałyby się daleko słabsze od roszczeń przedstawicieli linii hrabiny Salisbury. Prawa Henryka Ósmego zależą wyłącznie od praw jego ojca Henryka Tudora.

— W którego żyłach niewiele było królewskiej krwi...

Wskazałem na rodowód.

— Jeśli mam rację, zaznaczone imiona tworzą fałszywą linię. Wszyscy oni są potomkami Edwarda Czwartego.

— Kto był zatem ojcem Edwarda Czwartego?

— Bóg jeden wie. Jakiś szlachcic lub pan, który służył na dworze Yorków sto lat temu. — Uniosłem brwi. — Może człowiek o nazwisku Blaybourne.

Barak gwizdnął, a następnie zamyślił się chwilę.

— Nigdy nie słyszałem o znacniejszym rodzie, który nosiłby takie miano.

— Ja również, lecz wiele znakomitych rodów wygasło w okresie wojny Dwóch Róż.

Jack ściszył głos, albowiem urzędnicy poszli na obiad i w całym gmachu panowała cisza jak makiem zasiał.

— To niebezpieczne sprawy. Już samo podawanie w wątpliwość pochodzenia króla jest uważane za zdradę.

— Gdyby istniały dowody i gdyby ujawniono je równocześnie z romansem królowej i Culpepera, tron Henryka mógłby się srodze zachwiać. Królewski majestat zostałby wydrwiony. — Zaśmiałem się z niedowierzaniem.

— Nie ma w tym nic śmiesznego — zauważył Barak, przyglądając mi się badawczo.

— Wiem, pomyśl tylko... wielki Henryk wykluty z kukułczego jaja podrzuconego do królewskiego gniazda. Jeśli się nie mylę —

ciągnąłem poważnym tonem — informacje, które znalazły się w posiadaniu spiskowców, są najgroźniejszą miksturą jaką można sobie wyobrazić, zdolną podważyć prawa do tronu zarówno samego króla, jak i dzieci, które może mieć z Katarzyną Howard. Pewnie zamierzano je ujawnić po wybuchu rebelii, jednak spiskowcy zostali zdradzeni, zanim do tego doszło.

— Zdradzeni? Chyba raczej odkryci? Ten, kto ich wydał, wyświadczył przysługę temu krajowi.

— Zgoda, odkryci. Wtedy też dokumenty zniknęły, zostały ukryte w sypialni Oldroyda. — Spojrzałem na niego. — Ukryte do czasu, aż sytuacja ponownie dojrzeje do ich użycia. Broderick rzekł mi kiedyś, iż król niebawem upadnie. Może miał na myśli czas, gdy dokumenty owe zostaną ujawnione.

— Myślisz, że w powietrzu wisi kolejne powstanie? Trzymają York mocną ręką. Nigdy nie widziałem tak pilnie strzeżonego miasta.

— Teraz panuje tu spokój, lecz gdy król ruszy dalej, odjadą także żołnierze. York znajdzie się w ręku miejscowych konstab-lów, którzy będą musieli opowiedzieć się po czyjejś stronie. Lud Yorku nie powitał króla ze szczególnym entuzjazmem. Pamiętasz, co rzekł Wrenne: Rada Północy nie może dopuścić, aby miasto było pełne niezadowolonych kupców. Cranmer wyznał, że nie udało się odsonić kulisów spisku. Wielu przywódcom udało się zbiec, a władze nadal poszukują informacji

obciążających tych, którzy są przetrzymywani pod zarzutem udziału w intrydze. Mam na myśli takich ludzi jak narzeczony Jennet Marlin.

— I Broderick. Wszystko to domysły, niebezpieczne domysły — dodał Barak.

— Doprawdy? Hipoteza ta wyjaśnia sformułowania użyte w Titulus Regulus i sposób sporządzenia drzewa genealogicznego. Tłumaczy też uwagę Maleverera o Cecily Neville.

— Nie pomaga nam to w odkryciu, kto dybie na twoje życie.

— Nie, dowodzi wszak, że ktoś zamieszany w spisec chce mnie zgładzić, gdyż sądzi, że zapoznałem się z owymi dokumentami. Być może wiedzą o moich związkach z Cranmerem. Podejrzewają, że czekam na powrót do Londynu, aby opowiedzieć mu o wszystkim, gdy uwolnię się od Maleverera. — Wstałem i zapaliłem kartkę, przysuwając ją do lampy. — Czy to konieczne? — spytał Barak.

— Tak sędzę. — Papier spłonął błyskawicznie. Upuściłem skrawki na podłogę i zdeptałem. Stałem przez chwilę nieruchomo, a następnie zwróciłem się do Baraka. — Co byś uczynił, gdybyś był jednym ze spiskowców, którym udało się uniknąć aresztowania? Gdybyś ukrywał się gdzieś ze skrzynką pełną dokumentów?

Zamyślił się.

— Poczekalby, aż król wyjedzie z miasta, a żołnierze powrócą do Londynu. Później podjąłby próbę odtworzenia dawnej siatki na północy, tym razem wystrzegając się informatorów.

— Zadałbyś też o rozszerzenie siatki na południe, być może na korporację Gray's Inn.

— A kiedy nadeszłaby właściwa pora, wzniósłbym swój sztandar. Wtedy ujawniłbym wszystkie dokumenty mówiące o nieprawym pochodzeniu Henryka i romansie królowej Katarzyny. Przypuszczalnie poczekają do wiosny. Prowadzenie wojny zimą jest trudne. Trzeba wykarmić i przyodziać wielu ludzi.

— Postąpiłbym podobnie. Gdyby do tego czasu Katarzyna Howard okazała się brzemienna, tym lepszy skutek dałoby ujawnienie jej romansu z Culpeperem.

— A co z przysięgą wierności, którą miejscowa szlachta złożyła Henrykowi? Czy zachowałaby ważność, gdyby przedstawiono dowody, że Henryk nie jest prawowitym królem?

— Nie, to zmieniłoby wszystko.

Barak potrząsnął głową.

— Maleverer skończyłby z głową zatkniętą na pikę nad jedną z bram Yorku?

— Być może. — Usiadłem ponownie. — Czasem zastanawiam się, czy nie byłoby to sprawiedliwe. Tutejsza ludność jest strasznie uciskana.

Barak zmarszczył czoło.

— Spiskowcy odnowiliby związki z Rzymem, zawarli sojusz z obcymi państwami. Ze Szkotami, od tych zaś bliska droga do Francuzów...

— Przelano by morze krwi — rzekłem.

Barak podrapał się w głowę. — Myślisz...

— Co?

— Myślisz, że król zna opowieść Blaybourne'a? Wie, że może nie być prawowitym następcą tronu? Musi o tym wiedzieć. Kiedy Maleverer przekazał to nazwisko księciu Suffolk, podniosła się wielka wrzawa. A jeśli wie książę, wie też król.

— Wie, że może nie być prawowitym królem i brnie dalej?

— Czy na jego miejscu postąpiłbyś inaczej?

— Nie sędzę — odpowiedziałem. — Nie wie jednak o Katarzynie i Culpeperze. Nie może. Nie mam zamiaru mówić o tym Malevererowi. Gdyby dowiedział się, że odkryłem prawdziwy sens Titulus Regulus, nasze życie byłoby niewiele warte.

— Umarli nie snują opowieści, co?

— Po nim można spodziewać się wszystkiego. Król nie może pozostawać tu w nieskończoność. W Hull mamy miejsce na szybkim okręcie.

— Powinieneś zawiadomić Cranmera, kiedy wracamy.

— W swoim czasie.

— Tamasin będzie musiała wrócić razem z dworem. Może to trwać tygodniami. Chociaż tego nie okazuje, jest przerażona po przesłuchaniu, jakie nam urządziła lady Rochford. — Kiedy na mnie patrzył, zrozumiałem, ile ta dziewczyna dla niego znaczy. — Czy możemy załatwić jej miejsce na okręcie?

— To może być trudne. Nie ma żadnego powodu, aby szybciej wróciła.

— Można by wymyślić jakąś bajeczkę o chorym krewnym.

— Uczynię, co w mojej mocy — obiecałem. — Poczekajmy, aż dostaniemy się do Hull.

— Dziękuję. — Barak spojrział na mnie z wyraźną ulgą. — Nawiasem mówiąc, dlaczego król wraca z nami do Hull? Przecież już tam był.

— Planuje wzmocnienie umocnień miasta.

— To daleka droga.

— Jest królem, uczyni, co zechce. Muszę też załatwić miejsce dla Gilesa. Czuję się odpowiedzialny za staruszka. Odnoszę wrażenie, że zajął miejsce mojego ojca.

- Biedny stary. Patrząc na niego, nie pomyślałbyś, jaki jest chory. Podczas wczorajszego posiedzenia świetnie sobie radził.
- Zaiste, lecz doktor Jibson twierdzi, że nie ma dla niego ratunku. — Westchnąłem.
- Nie zgadzałeś się z nim w kwestii skargi owego drwala?
- Nie, Giles zna jednak lepiej ode mnie tutejsze realia.
- Myślisz, że uda się nam rozpatrzyć petycje do jutrzejszego popołudnia?
- Tak, wówczas nasza praca dobiegnie końca.
- Może wybralibyśmy się jutro z rana do miasta. Wyrwali się stąd na chwilę. — Poczzerwieniał. — Tamasin rzekła, iż idą jutro z panną Marlin na zakupy. Po materiały do szycia, aby móc naprawić bieliznę pościelową królowej. Powiedziałem, że mogę na nie czekać na placu Świętej Heleny około dziesiątej trzydzieści. Nie widziałem jej dzisiaj, a muszę stale ci towarzyszyć.
- W takim razie pójdę z tobą. Będę przyzwoitką. Mnie również przyda się odmiana.

Następny ranek okazał się słoneczny, choć nadal wiał chłodny wiatr. Wyruszyliśmy do miasta. Był to targowy dzień i w Yorku panował ożywiony ruch. Minęliśmy urzędników z opactwa Świętej Marii spierających się z jakimiś kupcami, przypuszczalnie pragnących poczynić trochę zapasów.

Tamasin powiedziała Barakowi, że razem z panną Marlin wstąpią do sklepu przy Coneygate, w którym sprzedawano przednie tkaniny. Przybyliśmy na plac krótko po dziesiątej. Rzuciłem okiem w stronę Stonegate i domu Oldroyda, wspominając, jak onegdaj zostaliśmy tam otoczeni przez członków cechu szklarzy. Moglibyśmy się znaleźć w niezłych opałach, gdyby nie nadszedł Wrenne. Po drugiej stronie placu ludzie wchodzili do ratusza i wychodzili z niego.

Barak wskazał głową kościół Świętej Heleny wznoszący się na rogu. Naprzeciw głównej fasady rosnęło drzewo, pod którym ustawiono ławę.

- Usiądźmy na chwilę — zaproponowałem.
- Polubięś przesiadywanie pod drzewami.
- Plecy oparte o pień są bezpieczne — rzekłem cicho. — Widzisz też, kto nadchodzi. — Będą musiały przejść obok, wracając do opactwa — dodał Barak. — Pomyślą, że zatrzymaliśmy się na chwilę, aby odpocząć.

Weszliśmy na teren przykościelnego cmentarza i usiedliśmy na ławce. Groby pokrywały zeschnięte liście o czerwonych, żółtych i złotych barwach. Liście sielankowe miejsce.

Barak szturchnął mnie w bok.

- Widzę miejskiego kronikarza, macha w naszą stronę — powiedział.

Podniosłem głowę. Kronikarz Tankerd wyszedł z ratusza. Jego widok przypomniał mi o wydarzeniach z Fulford. Gdy odpowiedziałem pozdrowieniem, począł iść w naszą stronę.

— Odpoczywacie, panie? — zapytał. Patrzył na mnie ciekawie. Może chciał opowiedzieć kolegom, jak wyglądałem po wyszydzeniu przez króla. Cóż, bez wątpienia czułem się utrudzony i spięty, choć były po temu zgoła inne powody.

— Talk. Wzięliśmy sobie wolny ranek przed rozpatrzeniem reszty petycji na popołudniowej sesji.

— Przesłuchania idą gładko?

— Bardzo sprawnie. Kolega Wrenne zna swój fach.

— Jest najbardziej szanowanym prawnikiem w Yorku, słyszałem jednak, że nie przyjmuje nowych zleceń. Może w końcu przejdzie na emeryturę.

— Zaiste, bardzo posunął się w latach — odparłem wymijająco.

— Ostatnio wyraźnie się postarzał.

Tankerd uśmiechnął się niepewnie, gdy nic nie odrzekłem.

— Cóż, muszę już iść. Rada miejska prosi, abym skłonił rolników z Ainsty do dostarczenia wszystkich płodów do opactwa Świętej Marii, nawet nasion pszenicy. Proponujemy godziwą zapłatę. Wygląda na to, że będziemy musieli dłużej poczekać na przyjazd króla Szkocji. Życzę udanego dnia. — Przerwał, aby po chwili dodać: — To, co król rzekł pod waszym adresem, było haniebne, panie. Nie tylko ja jestem tego zdania.

Spojrzałem nań zdumiony.

— Dziękuję — rzekłem. — Nie wszyscy zatem śmieją się ze mnie w ratuszu? — Żadną miarą, panie. Okrutny był to żart i nie poprawił reputacji króla.

— Dziękuję wam, kolego Tankerd. Miło mi to słyszeć.

Skłonił się i odszedł. Usiadłem, obserwując, jak się oddala.

Barak wymierzył mi kolejnego kuksańca.

— Idą!

Podniosłem głowę i ujrzałem pannę Marlin i Tamasin kroczące wolno ulicą. Za nimi szedł uzbrojony sługa niosący duże pudło zawierające bez wątpienia materiały krawieckie.

— Dzień dobry! — zawołałem.

Ponieważ mieliśmy słońce za plecami, panna Marlin musiała zmrużyć oczy, aby nas rozpoznać. Zawahała się.

— Mogłybyśmy spocząć na chwilę, pani? — zapytała słodko Tamasin. — Stałam przez cały ranek, chętnie usiądę. — Pomyślałem, że panienka Reedbourne została obdarzona dużymi zdolnościami dyplomatycznymi.

Panna Marlin spojrzała na nas, odgadując, że to spotkanie nie było przypadkowe. Zawahała się, a następnie skinęła głową

— Dobrze, odpocznijmy kilka minut.

Wstałem i skłoniłem głowę, dając znak, aby usiadła.

— Nie ma tu dość miejsca dla wszystkich — rzekła Tamasin. — Panie Baraku, usiądźmy pod tamtym drzewem. Pokażę waszmościowi materiały, które kupiliśmy.

— Tak? Chętnie je obejrzę. — Barak udał się za Tamasin do ustronnego miejsca pod dębem. Zostałem sam z Jennet Marlin. Sługa usiadł na trawie w stosownej odległości. Uśmiechnąłem się do niej niepewnie.

— Jak się pani miewa, panno Marlin? — Sprawiała wrażenie zmęczonej i czymś zaaferowanej. Nie wyglądała na szczęśliwą. Niesforne brązowe loki wystawały spod czepeczka i co chwila musiała odgarniać je z czoła. — Miała pani jakieś wieści z Londynu?

— Nie, nadal też nie wiem, jak długo pozostaniemy w tym przeklętym mieście.

— Rozmawialiśmy z miejskim kronikarzem, powiada, że kupują więcej prowiantu dla dworu.

— Ludzie w obozie zaczęli rozrabiać, wymykać się nocami, jak to czynili w Pontefract. — Westchnęła głęboko. — Żałuję, że dałam się namówić do udziału w tej podróży. — Spojrzała na mnie z powagą. — Miał mi towarzyszyć Bernard, mój narzeczony. — Zawahała się. — Szczerze powiedziawszy, przyobiecano mu wasze zajęcie.

— Och, nie wiedziałem.

— Najpierw aresztowano Bernarda, a później zmarł człowiek, który go miał zastępować. Pechowa jest ta wasza posada.

Nic dziwnego, że początkowo odnosiła się do mnie z taką wrogością. Miałem wrażenie, że teraz mnie zaakceptowała, a nawet uczyniła swoim powiernikiem. Byłem z tego rad. Choć może się to wydać osobliwe, czułem się tak, jakbym na powrót zaprzyjaźnił się z matką Suzanne. Pomyślałem, że powinienem przestać traktować ludzi jak substytut innych osób — panny Marlin jak Suzanne, a Gilesa Wrenne'a jak ojca.

— Do udziału w tej podróży przekonał mnie jeden z jego przyjaciół — ciągnęła. — Inny prawnik z Lincoln's Inn. Kiedy zabrali Bernarda do Tower, odwiedzałam go codziennie. Jego przyjaciele powiedzieli, że mogę ściągnąć na siebie podejrzenia, że będzie lepiej, jeśli wyruszę w objazd wraz ze dworem. Lady Rochford bardzo nalegała. Przywykła do tego, że dbam o jej garderobę.

— Domyślam się, że trudno ci było wyjechać z Londynu, pani.

— Wróciłabym, gdyby wydarzyło się coś nowego, lecz od trzech miesięcy sytuacja nie uległa żadnej zmianie. Wybacz, panie — rzekła nagle — muszę was zanudzać tymi opowieściami.

— Ależ skąd. Szczerze pani współczuję. — Spojrzałem na nią. — Jak pani narzeczony znosi pobyt w Tower? Czy odwiedzają go przyjaciele?

Obróciła pierścionek zaręczynowy na palcu.

— Tak, przynoszą mu jadło i odzienie. Dostał celę, która nie jest tak podła jak inne. Nad ziemią. Musiał za nią sownie zapłacić strażnikom — dodała z goryczą.

— Wyobrażam sobie.

— Mimo to lękam się o jego zdrowie. Nadciąga zima.

— Może do tego czasu go wypuszczą.

Westchnęła, nie udzielając odpowiedzi.

— Czy wszyscy jego przyjaciele należą do Gray's Inn?

Spojrzała na mnie badawczo.

— Dlaczego pan pytasz?

— Jestem ciekaw, czy zna siostrzeńca mojego przyjaciela. Innego prawnika z korporacji Gray's Inn, który pochodzi z północy. — Opowiedziałem jej o postanowieniu, które powziął Giles, i o tym, że zaofiarowałem mu pomoc.

Zastanowiła się.

— Prawnicy Gray's Inn, którzy pochodzą z północy, trzymają się razem. Większość zajmuje konserwatywne stanowisko w sprawach wiary.

— Siostrzeniec Gilesa ma podobne poglądy. Nazywa się Martin Dakin.

— Nie słyszałam tego nazwiska.

— Czy aresztowano innych prawników z Gray's Inn? Podejrzewano ich o udział w spisku w roku tysiąc pięćset trzydziestym szóstym.

— Nic o tym nie wiem.

— To dobra wiadomość. Dziękuję. W jakiej kancelarii praktykował pani narzeczony w Lincoln's Inn?

— Nie praktykował, lecz praktykuje. Zostanie uwolniony. Pracował w Garden Court.

— Przepraszam, dziękuję.

Przez chwilę milczała, a następnie spojrzała na mnie ponownie dużymi, smutnymi oczami.

— Słyszałeś, o co oskarżyli mojego Bernarda?

— Nie, pani.

Obserwowała mnie badawczo.

— Myślałam, że pan wiesz. Krążą o tym plotki.

— Nie słyszałem.

— O to, że znał dwóch szlachetnie urodzonych z Yorku, którzy brali udział w spisku. To oczywiste, że ich znał, byli starymi przyjaciółmi.

— Czy tamci zeznali, że uczestniczył w spisku?

— Nie, chociaż byli torturowani. Teraz obaj nie żyją. Ich szczątki wisiały w Fulford Gate, dopóki nie zostały usunięte na przyjazd króla. — Zaciśnęła pięści.

— W takim razie nie mają przeciwko niemu żadnych dowodów.

Spojrzała na mnie.— Mają list, który jeden z nich przesłał Bernardowi do Gray's Inn pod koniec ubiegłego roku. Powiadają, że jest w nim mowa

o lepszych czasach, które nastaną w tym roku. Bernard wyjaśnił mi, że chodziło jedynie o nadzieję na lepsze żniwa po ubiegłorocznej suszy.

— Jeśli to wszystko, zaiste marny to dowód.

— W dzisiejszych czasach niewiele trzeba, aby skazać człowieka. Szczególnie jeśli sprzyja dawnej religii. Bernard nie jest papistą, daleko mu do tego. Sądzę, że udało mi się go przekonać do prawdziwości biblijnej wiary. Jeśli kobieta może przekonać mężczyznę. Był jednak znany jako konserwatysta, i to wystarczyło do rzucenia nań cienia podejrzeń. Ktoś wlał szeptem truciznę we właściwe uszy. — Popatrzyła mi w oczy, surowa i skupiona.

— W czyje uszy? — Odniosłem wrażenie, że chciała, abym zadał to pytanie.

— Bernard kupił ziemię należącą do małego zlikwidowanego opactwa. — powiedziała. — Obok majątku jego rodziny. — Ponownie zaciśnęła usta. — Chciał ją dla siebie nabyć ród, który ma ziemię po drugiej stronie. Byłoby im na rękę, gdyby został skazany za zdradę. Wówczas jego ziemie przeszłyby na własność Korony i można by je tanio kupić. — Przerwała na chwilę. — Ta rodzina to Malevererowie.

Przypomniałem sobie, z jaką nienawiścią spojrzała na sir Williama w King's Manor, kiedy przyprowadzono ją na przesłuchanie razem z Tamasin.

— Ten człowiek odczuwa nienasycony głód ziemi — powiedziała.

— Wiem, że chce zagarnąć majątek Roberta Aske'a, interesuje się też nabyciem pewnej nieruchomości w Londynie.

— To dlatego, że jest bękartem. — Jennet Marlin omal nie wypluła z siebie tych słów. — Sądzi, że jeśli zgromadzi dość ziemi, ludzie o tym zapomną. — Spojrzała na mnie. — W dzisiejszych

czasach ludzie dla pieniędzy gotowi są na każdą niego-dziwość. W Anglii nigdy nie było tak wielkiej chciwości.

— Zgadzam się z wami, pani.

— Malevererowi się nie uda. — Zaciśnęła pięści jeszcze mocniej. — Bernard i ja jesteśmy sobie przeznaczeni. Mieliśmy

być razem — dodała cicho. — Ludzie wyśmiewają się ze mnie, powiadają, że chcę za wszelką cenę wyjść za mąż, zanim się zestarzeję...

— Pani... — mruknąłem zakłopotany jej otwartością.

— Nie rozumiem tego, co mnie łączy z Bernardem — kontynuowała. — W dzieciństwie się przyjaźniliśmy. Jak miałam kilka lat, umarli moi rodzice i dorastałam w jego domu. Jako chłopiec trzy lata starszy ode mnie był mi ojcem i bratem. — Przez moment milczała, a następnie spojrzała na mnie ponownie. — Powiedz mi, panie, wierzysz, że dwoje ludzi może być sobie przeznaczonych? Że Bóg mógł połączyć ich ścieżki, zanim się narodzili?

Poruszyłem się niespokojnie. Jej słowa brzmiały tak, jakby pochodziły z jakiegoś kwiecistego poematu opowiadającego o dworskiej miłości.

— Nie jestem o tym do końca przekonany, pani — odparłem. — Ludzie zakochują się i odkochują. Inni milczą o swojej miłości, aż jest za późno. Boleję nad tym, że kiedyś sam tak postąpiłem.

Spojrzała na mnie i potrząsnęła głową.

— Nie rozumiesz, panie. Nawet gdy Bernard poślubił inną, wiedziałam, że na tym się nie skończy. Później, gdy jego żona, umarła, poprosił mnie o rękę. To właśnie miałam na myśli. — Patrzyła na mnie z denerwującą gwałtownością. — Zrobiłabym dla niego wszystko! Wszystko!

— Przykro mi z powodu przeszkód, które stanęły wam na drodze.

— Powinnyśmy już iść — rzekła, wstając nieoczekiwanie. Spojrzała na Tamasin, która pokazywała znudzonemu Barakowi jakieś pięknie barwione tkaniny. — Tamasin! — zawołała. — Czas na nas!

Tamasin zapakowała materiały do pudła, strząsnęła liście z sukni i podeszła ku nam. Barak ruszył za nią.

— Życzę udanego ranka, panie — powiedziała panna Marlin, dygając. Po tych słowach niewiasty odwróciły się i wyszły z cmentarza w asyście służącego. Barak pokręcił głową.

— Dobry Boże, Tammy potrafi oczarować człowieka. Zmusiła mnie do oglądania tych przeklętych tkanin, tłumacząc, z czego

je wykonano. Wiedziała, że to mnie nudzi, lecz słuchałem jej jak urzeczony.

- Obłaskawi cię, jeśli nie będziesz uważał.
- Nigdy! — odpowiedział stanowczo, lecz z uśmiechem. — Przepraszam, że zostawiłem cię samego z panną Marlin.
- To nic! Jeszcze trochę i się zaprzyjaźnimy.
- Niemożliwe!
- Opowiedziała mi o swoim narzeczonym. Dowiedziałem się też czegoś więcej o naszym dobrotliwym sir Williamie. — Przytoczyłem mu, co Jennet Marlin opowiedziała o Malevererze i Bernardzie Locke'u. — Panna Marlin jest mu bez reszty oddana. Ciałem i duszą.
- Czyż nie jest to rzecz chwalebna u niewiasty?
- A jeśli coś mu się stanie? Będzie załamana.
- Może zdołasz zająć wówczas jego miejsce. — Barak uśmiechnął się.

Roześmiałem się.

- Nie sądzę, aby ktokolwiek zdołał to uczynić. Trudno byłoby wytrzymać z niewiastą o takim oddaniu jak panna Marlin. Przez wzgląd na nią mam nadzieję, iż nie znajdą niczego przeciw panu Locke'u.

Rozdział trzydziesty

Po południu wróciliśmy do zamku, aby rozpatrzeć ostatnie petycje. Kości Aske'a zebrano z trawnika pod donżonem. Nie pozostał żaden ślad po tym, iż wisiał w tym miejscu, prócz cienkiej czerwonej smugi u szczytu wieży, która przypominała plamę krwi. Później zdałem sobie sprawę, że to łańcuchy musiały przerdzewieć.

Tego dnia Giles niezwykle surowo potraktował powodów i musiałem kilka razy interweniować, gdy stracił cierpliwość do dukającego prostaczka. Skończyliśmy około piątej. Waters zebrał swoje papiery i skłonił się nam na pożegnanie.

- Życzę udanej podróży do Hull, panowie — rzekł.
- Dziękuję — odpowiedziałem. — Bóg jeden wie, kiedy wyruszymy.
- To prawda, wszystko wskazuje na to, że król zabawi tu dłużej.

Kiedy Waters wyszedł z sali, odwróciłem się do Wrenne'a. Był blady i zmęczony, a gdy powstał, jego wielka postać zamarła na chwilę. Tego dnia przyszedł o lasce i teraz ciężko się na niej opierał. Przez chwilę osobiście przypominał mi króla.

- Boli cię, Gilesie? — spytałem.

Skinął głową.

- Tak. Odprowadzisz mnie do domu? Usłużysz ramieniem?

— Oczywiście — odpowiedziałem poruszony prośbą. Pomogłem mu zejść po schodach i wyjść na ulicę. Barak podążał za nami. Giles drżał z zimna. — Jak długo król zamierza czekać na Jakuba? — zapytał niecierpliwie. — Nie słysząc, aby król Szkocji wyruszył!

— Nie znamy wiadomości, które nadchodzą ze szkockiego dworu.

— Jakub nie nadciągnie! — rzekł z naciskiem Wrenne. — Miałby przyjechać do obcego kraju i zdać się na łaskę kogoś takiego jak Henryk?

Barak rozejrzał się niespokojnie. Na szczęście w pobliżu nie było nikogo.

— Mów ciszej, Gilesie — upomniałem go.

Zniżył głos.

— Wiesz, że powiadam prawdę. Chciałbym, abyśmy wyruszyli już do Londynu — dodał z nietypową dla siebie gwałtownością.

Zostawiliśmy go pod opieką Madge i wróciliśmy do King's Manor. Modliłem się, aby znalazł siły na swoją ostatnią podróż pojednania. Umówiliśmy się na obiad z Tamasin. W refektarzu panowała rozluźniona atmosfera, ludzie rozmawiali i żartowali, jedząc niechlujnie, tak samo jak to czynili przed przyjazdem króla. Przywykli już snadź do jego obecności. Tamasin siedziała przy naszym stole z boku sali, skąd widać było drzwi. Miała na sobie piękną niebieską suknię, a jej jasne rozpuszczone włosy wychodziły spod małego czepca, opadając lokami na ramiona.

— Miałaś dużo roboty? — spytał ją czule Barak.

— Było spokojnie. Król i królowa wybrali się ponownie na łowy. Dobry wieczór, panie — przywitała mnie z uśmiechem.

— Dobry wieczór, Tamasin. — Usiadłem obok Baraka, czując, że nic tu po mnie. — Spędzę dzisiejszy wieczór w swojej sypialni — oznajmiłem. — Muszę przejrzeć pewne dokumenty. — Nie miałem nic do roboty, lecz chciałem, aby pobyli trochę czasu razem. Tamasin zrozumiała moją intencję i posłała mi wdzięczny uśmiech.

— Odbylem dziś interesującą rozmowę z panną Marlin — rzekłem. — Opowiedziała mi o swoim narzeczonym.

— Biedna panna Marlin, opowiada o nim każdemu, kto jej zechce wysłuchać. Powinna uważać, aby jej oskarżenia nie dotarły do uszu sir Williama.*

— Nie dba o to. Mam wrażenie, że myśli wyłącznie o panu Locke'u.

— Czyż to takie dziwne? — spytała Tamasin. — Mężczyzna, którego kochała całe życie, siedzi w Tower? Niektóre ze służek okrutnie z niej dworują. Przykre uwagi mogą ranić...

— Wiem to aż za dobrze.

— Mimo to nigdy nie wybuchła gniewem, zawsze nad sobą panuje. Czasami płaczę, gdy o niej myślę.

— Powiedziała mi, że jej zdaniem ona i pan Locke są sobie przeznaczeni. Że się pobiorą. Nie jestem pewny, czy takie oddanie dobrze wpływa na jej umysł.

Tamasin uśmiechnęła się lodowato.

— Podziwiam jej determinację.

Przez chwilę panowało niezręczne milczenie.

— Powinniśmy ci o czymś powiedzieć, Tammy — rzekł Barak, pochylając się do przodu. — Pan Shardlake został ponownie zaatakowany wczorajszej nocy.

— Co? — Podniosła głowę. Znowu ujrzałem napięcie malujące się na jej twarzy i cienie pod oczami. Jack opowiedział jej o niedźwiedziu. Kiedy skończył, odetchnęła z drżeniem.

— Mogłeś, panie, zginąć, gdyby nie żołnierze?

— Tak — odparł Barak zamiast mnie. — Gdyby nie byli blisko, ale na szczęście strzegli więźnia.

— Brodericka? — spytała.

Spojrzałem na nią przenikliwie.

— Skąd wiesz o Brodericku? Trzymamy to w sekrecie. — Odwróciłem się do Baraka. — Powiedziałaś jej? Im mniej wie, tym dla niej lepiej.

Wyglądał na zmieszanego.

— Wie o tym tylko garstka osób.

— Musimy baczyć na słowa.

Wzrok Tamasin stał się nieoczekiwanie twardy.

— Zawsze zważam na to, co mówię, panie. Życie nie obchodziło się ze mną łaskawie.

— Tammy powiada, że lady Rochford bacznie ją obserwuje — wtrącił Barak.

— To prawda. — Kiedy Tamasin nalewała sobie polewkę, 384

zauważyłem, że ręce jej drżą. Zrozumiałem, że od czasu spotkania z Culpeperem żyje w wielkim napięciu. Dobrze to ukrywała, lecz nie zdołała zapanować nad emocjami.

Minęło kilka dni bez żadnej wiadomości od króla Szkocji. Żołnierze w dalszym ciągu pełnili straż przed pawilonami i namiotami, których płótna co drugi dzień czyszczono małymi miotełkami. Któregoś popołudnia, gdym szedł przez dziedziniec w towarzystwie Baraka, ujrzałem sir Richarda Richa stojącego w drzwiach jednego z pawilonów. Rzucił mi chłodne spojrzenie, kiedy skręciliśmy w drugą stronę.

— Coś nowego w sprawie Bealknapa? — spytał Barak.

— Nie. Napisałem do rady miejskiej Londynu, powiadając, że powinniśmy wykonać kolejny krok. Nabrałem nadziei w tej sprawie. Wątpię, aby list dotarł do adresata. Rich nakazał, aby przejmować moje pisma, zanim trafią do posłańca.

— Dlaczego w takim razie go napisałeś?

— Aby wiedział, że moje postanowienie jest niewzruszone.

Barak uniósł brwi, lecz nie rzekł nic więcej. Zaryzykowałem

spojrzenie z ukosa. Rich zniknął.

Pogoda była słoneczna, lecz z każdym dniem robiło się coraz chłodniej. Liście, które opadły na dziedziniec, zgrabiono na duże sterty i palono. Następnego dnia udałem się z wizytą do Gilesa. Odzyskał dawną energię, lecz zauważyłem, że jego policzki nieco się zapadły. Zjadłem z nim obiad, słuchając opowieści o sprawach, którymi zajmował się w Yorku w ciągu minionego półwiecza — wspomnień starego prawnika, czasem zabawnych, czasem tragicznych. Wyczuwałem, że coś go gnębi.

— Czy pomyślałeś o napisaniu do siostrzeńca, Gilesie? — spytałem. — Mógłbyś wysłać mu list przez umyślnego.

— Nie — odrzekł stanowczo. — Poważnie się poróżniliśmy, Matthew. Mógłby zignorować mój list. Muszę się z nim spotkać osobiście. Oprócz tego nie dysponuję jego adresem. — Spojrzał na mnie uważnie. — Sądzisz, że nie wytrzymam podróży?

— Sam wiesz najlepiej, Gilesie. — Zawahałem się. — Na-wiasem mówiąc, w jakiej kancelarii praktykował Martin Dakin, zanim wasze drogi się rozeszły?

— W Garden Court, czemu pytasz?

— Dzięki temu łatwiej nam będzie go odnaleźć. Przypuszczalnie nadal tam pracuje. — Pomyślałem, że praktykował w tej samej kancelarii co Bernard Locke. Przeklęty pech? A może jedynie niefortunny zbieg okoliczności? W korporacji Gray's Inn nie było wiele kancelarii, wiedziałem też, że prawnicy z północy zwykli trzymać się razem. Nie wspomniałem wszak o tym, aby Gilesa zbytecznie nie niepokoić.

O dziesiątej zjawił się Barak, aby towarzyszyć mi do domu. Giles odprowadził mnie do drzwi.

— Dziękuję za troskę — rzekł, kładąc mi rękę na ramieniu. — Opiekujesz się mną jak syn.

— Nie, skądże — zaprzeczyłem. — Raczej jak przyjaciel. Dziękuję za miły wieczór, Gilesie. Przy tobie zapominam o zmartwieniach.

— Czy sprawa ziemi twojego ojca została rozwiązana?

— Wkrótce to nastąpi. Napisałem do wierzyciela, informując go, że spłacę hipotekę, gdy otrzymam wynagrodzenie za pracę, którą tu wykonałem.

— Smutno będzie się rozstać z gospodarstwem ojca.

— To prawda — odpartem, chociaż wcale nie myślałem o gospodarstwie. Poczułem się winny, gdy odkryłem, że nie doświadczam żadnych emocji na wspomnienie domu dzieciństwa. Nagle przed moimi oczyma stanęła twarz ojca. Wyglądał na smutnego i rozczarowanego.

— Co cię martwi, Matthew? — spytał Giles. — Owa dziewczyna i Barak sprawiali wrażenie bardzo zatroskanych, kiedy przyszli tu kilka dni temu, ty zaś byłeś dziwnie spięty...

— To urzędowe sprawy, Gilesie — zbyłem go z przepraszającym uśmiechem.

Uniósł dłoń.

— Jeśli będziesz chciał o nich pomówić, z chęcią wysłucham. O każdej porze. — Otworzył drzwi. Spojrzałem w mroczną, wąską uliczkę. Barak czekał na zewnątrz zgięty w ukłonie. — Przyjdźcie obaj w niedzielę. Oprowadzę was po Minsterze. Pewnie jeszczeście go nie widzieli.— Nie. — Po tym, co się wydarzyło, zapomniałem, że chciałem obejrzeć wnętrze kościoła.

— Przyrowadź tę piękną pannę, młody Baraku. Jej widok dobrze na mnie działa.

— Dziękuję, panie Wrenne.

— W takim razie jesteśmy umówieni. Dobranoc, Matthew. Do zobaczenia w niedzielę.

— Dobranoc, Gilesie. — Ruszyliśmy z powrotem. Byłem spięty, jak zawsze gdy szedłem w ciemności. Moje oczy czujnie przypatrywały się zaułkom, uszy nastuchiwały cichych kroków za plecami.

Opowiedziałem Barakowi, że siostrzeniec Gilesa praktykował w tej samej kancelarii co Bernard Locke.

— Kiedy wrócimy do Londynu — rzekłem — udam się tam prywatnie, zanim wybierzemy się razem z Gilesem. Dowiem się, jakie stanowisko zajmuje.

— Jeśli kiedykolwiek wyjedziemy z Yorku — odrzekł ponuro Barak.

Następnego dnia mieliśmy przykre spotkanie z lady Rochford. Rano wspólnie z Barakiem przejrzelśmy postanowienia arbitrażowe przed przekazaniem ich do biura Maleverera. Później udaliśmy się do King's Manor i oddaliśmy je urzędnikowi. Ustaliliśmy z Tamasin, że spotkamy się na dworze i pójdziemy do refektarza na obiad. Wychodząc z King's Manor, zadrzałem na widok lady Rochford zbliżającej się ku nam wraz z grupką dworzan. Nie dostrzegłem Culpepera, lecz towarzyszył jej Francis Dereham. Skłoniliśmy się i ruszyliśmy w pośpiechu, mając nadzieję, że nas zignoruje.

— Panno Reedbourne! — Przenikliwy głos lady Rochford sprawił, że stanęliśmy jak wryci. Pokłoniłem się razem z Barakiem, Tamasin zaś nisko dygnęła na widok zbliżającej się damy.

— Co robisz poza rezydencją, panienko? — zapytała surowo. Dworzanie spojrzeli na nas z zaciekawieniem.

— Idę do refektarza, lady. Panna Marlin mi pozwoliła.

Lady Rochford zmierzyła nas wyniosłym spojrzeniem.— Panna Marlin daje służbie zbyt wiele swobody. Mam nadzieję, że nie ma w tym niczego złego. — Spojrzała na mnie. — Dobrze, że jesteś pod opieką. Doszły mnie słuchy, że miałeś pan spotkanie ze zbiegłym niedźwiedziem, panie Shardlake. Byłoby szkoda, gdyby cię dopadł. Zabrałbyś do grobu wszystkie swoje prawnicze sekrety. — Zarechotała ostrym, nerwowym śmiechem.

Spojrzałem na nią badawczo. Czyżby mi groziła? Uznałem, że nie, gdyż ucieczkę niedźwiedzia przedstawiono jako wypadek. Przypominała jedynie, że ma na nas oko, sądziła też pewnie, iż spisałem wszystko, co widzieli Tamasin i Barak.

— Zapewniam cię, pani — rzekłem spokojnie — że trzymam wszystkie me sekrety tam, gdzie są bezpieczne.

— Nie wątpię — prychnęła, odwracając się i szybko odchodząc.

Ruszyliśmy przed siebie, lecz po kilku jardach usłyszałem kroki za swoimi plecami. Zanim zdążyłem się zatrzymać, odwróciła mnie raptownie czyjaś dłoń. Ujrzałem Francisa Derehama typiącego na mnie gniewnie. Na jego posępnej brodatej twarzy malował się dziki grymas.

— Garbaty gburze! — syknął. — Słyszałem twoje słowa. Jak śmiesz zwracać się tak do lady Rochford! Jeśli nadal będziesz się wynosił ponad swój stan, skarcę cię za twą bezczelność.

Nie odrzekłem ani słowa. Na szczęście Dereham nie posunął się dalej, bez wątpienia pamiętając, że wszczynanie awantur w obrębie królewskiego dworu prowadzi do poważnych konsekwencji.

— Rozgniewałeś mnie, pokurczu — ciągnął wściekły. — Nie jest rzeczą roztroptą, aby człowiek twojego pokroju naprzykrzał się ludziom mojego stanu. Na kolana, chamie! Przepróż lady Rochford!

Westchnąłem ciężko. Ludzie na dziedzińcu przystanęli ciekawi, co się wydarzy. Spojrzałem na lady Rochford. Stała przed grupką dworzan, nie wiedząc, co czynić. Później wystąpiła do przodu i położyła dłoń na ramieniu Derehama.

— Zostaw go, Francis — rzekła. — Nie wart zachodu.

Dereham spojrział na nią, a gniew malujący się na jego twarzy

ustąpił miejsca zdumieniu. Najwyraźniej rozsądek był cechą, którą lady Rochford przejawiała jedynie sporadycznie.

— Pozwolisz mu, by się bezkarnie odszczekiwał?

— To bez znaczenia! — prychnęła, czerwieniejąc.

— Co cię łączy z tymi ludźmi, pani? — spytał Dereham.

— Teraz to ty zapominasz o należnym sobie miejscu, Francis — odpowiedziała lady Rochford, podnosząc głos.

— Wstyd! — Dereham puścił moje ramię i odszedł bez słowa. Lady Rochford rzuciła mi dzikie spojrzenie, dając do zrozumienia, na co miałaby ochotę, gdybym nie trzymał jej w szachu, i odeszła, szeleszcząc suknią

— Ponoć Dereham podejrzewa, iż królowa coś przed nim ukrywa — rzekła Tamasin ściszym głosem. — Przynajmniej takie krążą plotki.

— Byłoby dla nas lepiej, aby się tego nie dowiedział — odrzekłem. — A przynajmniej, że coś nas z tym łączy.

Do niedzieli nie nadeszły żadne wieści o królu Jakubie. Byliśmy już w Yorku od trzynastu dni. Po lunchu spotkałem się z Barakiem i Tamasin na dziedzińcu, aby wspólnie wyruszyć do Wrenne'a. Niebo było pochmurne, wiał słaby, przenikliwy wiatr. Wszyscy owinęliśmy się szczelnie pelerynami.

— Czekałam na ten dzień — rzekła wesoło Tamasin.

— Choć na krótko opuścimy teren opactwa — przytaknął Barak.

Ruszyliśmy Petergate w stronę Minsteru. Spojrzałem na wielkie wschodnie okno katedry, które zdominowało cały widok—jeden z największych witraży w całym chrześcijańskim świecie. To dziwne, jak przywykłem do jego widoku, jak stał się jednym z elementów mojego obrazu tego miasta. Chociaż nabożeństwa się skończyły i na ulicach panowała cisza, w okolicy kręciło się wielu żołnierzy, inni zaś stali w bramach prowadzących do wnętrza świątyni. Kiedy podeszliśmy bliżej, dwóch z nich skrzyżowało piki, zagradzając nam drogę.

— Na terenie katedry przebywa król. Co was tu sprowadza?

Spojrzelśmy po sobie. Wolałbym odwrócić się i odejść, lecz

takie zachowanie byłoby nieuprzejme wobec Gilesa. Pokazałem wartownikom swój glejt i wyjaśniłem, że mam spotkanie z prawnikiem, który mieszka obok Minsteru. Przepuścił nas, lecz

ostrzegł, że jeśli natkniemy się na królewski orszak, powinniśmy usunąć się z drogi i stać ze spuszczoneymi głowami, dopóki nas nie minie. Nie wiedziałem, czy mi się zdawało, czy żołnierz słyszał o wypadkach w Fulford, jako że przyglądał się bacznie mojemu grzbietowi, gdyśmy przechodzili.

Przed Minsterem panował spokój, chociaż wokół roito się od żołnierzy w półpancerzach na czerwonych kaftanach, w hełmach z pióropuszcami i uzbrojonych w długie piki. Przynagliłem Baraka i Tamasin, chcąc jak najprędzej dotrzeć do domu Wrenne'a. Madge, która ostatnio witała mnie uprzejmiej, wprowadziła nas do środkowej komnaty, gdzie przy oknie stał Wrenne, patrząc ze smutkiem na pustą żerdkę sokoła.

— Witaj Matthew, witaj Baraku i panno Reedbourne. — Uśmiechnął się do Tamasin. — Dawno nie gościłem tu tak urodziwej panny.

— Co się stało z sokołem, Gilesie? — zapytałem.

— Biedna Oktawia zdechła. Madge znalazła ją dziś rano na podłodze. Była bardzo stara. Obiecywałem sobie, że jeszcze raz pójdziemy na łowy, że puszczę ją, aby poczuła słońce. Często

odkładamy różne sprawy, aż w końcu jest za późno. — Rzucił mi zbolące spojrzenie. Pomyślałem, że myśli o swoim siostrzeńcu.

— Chodźcie, napijmy się wina — powiedział z wymuszonym uśmiechem. — Będziemy musieli poczekać z wyprawą do Minsteru, w katedrze jest król. Zwykli śmiertelnicy muszą pozostać na zewnątrz. — Giles podszedł do stołu pewnym krokiem, napełnił szklanice i dał znak, abyśmy usiedli. Zapytał Tamasin, jak upływa jej czas w królewskiej podróży, ona zaś opowiedziała kilka historyjek o służących i przybocznych królowej oraz problemach z utrzymaniem czystości, gdy wojsko obozuje na błotnistym polu. Starła się nie wspominać o lady Rochford. Wrenne zachęcał ją, aby kontynuowała, wyraźnie rad z jej obecności. Później na zewnątrz podniósł się gwar i usłyszeliśmy wołanie straży

— Ruszać!

Giles podszedł do okna.

— Żołnierze się przegrupowują. Królewska wizyta musiała dobiec końca. Sądzę, że możemy już pójść do Minsteru.

— Chciałabym zobaczyć króla — westchnęła Tamasin. — Widziałam go jedynie przelotnie, gdy wjeżdżał do Yorku. — Nie widzisz go na dworze? — spytał Giles.

— Nie, widuję jedynie królową, a i to sporadycznie. Nigdy z nią nie rozmawiałam.

— Jedno spotkanie z królem wystarczy, prawda Matthew?

— Zaiste — odpowiedziałem z przekonaniem.

Wyszliśmy z domu i ruszyliśmy wąską uliczką prowadzącą na plac przez Minsterem. Pomyliliśmy się wszak, albowiem Henryk nie opuścił jeszcze katedry. Żołnierze w dalszym ciągu stali wzdłuż murów, a król, który dopiero co zszedł po schodach Minsteru, kuśtykał w naszą stronę wsparty ciężko na lasce. Podążał za nim korowód dworzan i obok kroczył siwowłosy starzec w szatach podobnych do szat Cranmera. Pomyślałem, że musi to być arcybiskup Yorku Lee. Król miał dziś na sobie ciężką obszytą futrem pelerynę, spod której wзираł ozdobiony klejnotami kaftan i gruby złoty łańcuch. Henryk beształ starca. Twarz poczerwieniała mu z gniewu, stała się bardziej purpurowa od brody. Stanęliśmy przy murze, skłaniając głowy w pokłonie. Pochyliłem się nisko, mając nadzieję, że król mnie nie rozpozna i nie przystanie, aby wypowiedzieć kolejny ze swych dowcipów.

— Na Boga! — mówił zachrypniętym, piskliwym głosem król. — Ta świątynia jest tak duża i bogata, że mogłaby pomieścić kości monarchy, a nie jakiegoś arcybiskupa, który umarł dawno temu! Zabierz wszystkie dary wotywnie i każ ją zburzyć! Zniszczę ten kościół albo ciebie, Lee, słyszałeś? Szkoda, że mi go pokazałeś! — Podniósł głos. — Nakazałem zamknięcie wszystkich świątyń. Zburzę każdą, która pozostała na terenie Anglii! W sprawach religii nie będzie innej władzy prócz mojej!

Jego głos -przycichł, gdy nas minął. Odważyłem się podnieść wzrok. Król począł się oddalać, a za nim podążała chmara dworzan. Spojrzałem na tył jego okazałej aksamitnej peleryny obszytej futrem. Czy był naprawdę wnukiem kogoś z gminu? Zadrzałem, jakby mógł usłyszeć moje myśli.

Dostrzegłem, że mocno utyka. Pomyślałem, że nie mógłby chodzić bez swojej wysadzonej klejnotami laski. Żołnierze odsunęli się od ścian, podążając za władcą przez bramy.— Widzisz, Tammy — rzekł Barak. — Wreszcie ujrzałaś króla z bliska.

— Nie sądziłam, że wygląda tak staro. — Westchnęła cicho. — Biedna królowa.

— Wszyscyśmy biedni — dodał Giles. — Wejźmy do środka.

Wnętrze Minsteru okazało się zaiste wspaniałe, nawa była większa od nawy katedry Świętego Pawła i lepiej od niej oświetlona. Rozejrzałem się wokół, wszędzie unosiła się lekka mgielka kadzideł. W środku piękno witrażu było jeszcze wyraźniej widoczne — wielkie wschodnie okno dominowało nad całą świątynią. W bocznych kaplicach i małych wnękach stali księża, odmawiając ciche modlitwy. Ponownie pomyślałem o dziwnym kierunku, jaki obrały w Anglii religijne reformy. Wielki kościół klasztorny opactwa Świętej Marii zamieniono w stajnię i kuźnię, natomiast katedra Minsteru pozostała nienaruszona.

Tamasin wskazała malowaną rzeźbę smoka o długiej szyi zawieszoną ponad nawą.

— Cóż to takiego, panie Wrenne?

— Dźwignia otwierająca wieko wielkiej chrzcielnicy. Przejaw poczucia humoru dekoratorów. Dzisiaj takie rzeczy są niemodne.

Podszedłem do Baraka, który stał nieco z boku, przyglądając się bogato zdobionej bocznej kaplicy. Nieopodal zatrzymała się mała grupka duchownych. W jednym z nich rozpoznałem dziekana, którego onegdaj wskazał mi Wrenne. Na jego twarzy malował się wyraz ponurego zadowolenia.

— Uczyń, com kazał — rzekł. — Najmij robotników. — Odszedł, a dźwięk jego kroków na posadzce rozniósł się głośnym echem po kościele.

— Nakazał im przystąpienie do rozbiórki wielkiej świątyni — wyjaśnił Barak. — Król wpadł w furję na widok darów wotywnych.

— Podśluchiwałaś? — spytałem z uśmiechem.

— A co? — Wzruszył ramionami. — Nie interesują mnie stare kościoły.

— Tamasin jest nim oczarowana.

— To niewiasta dla ciebie.— Dostałeś jakieś wiadomości z Londynu? W sprawie jej ojca?

— Nie. Przestała o tym mówić. Straciłem do niej cierpliwość, przyznaję. — Spojrzał na mnie zawstydzony. — Powiedziałem, że powinna o tym zapomnieć, przestać cały czas myśleć o ojcu. Wygląda na to, że odniosłem zamierzony skutek, prawie o nim nie wspomina.

Przyłączyliśmy się do Tamasin przed ścianką chóru ozdobioną naturalnej wielkości postaciami, w których rozpoznałem królów Anglii, od Wilhelma Zdobywcy po Henryka V. Wszystkie zostały pięknie wyrzeźbione.

— Jedenastu — rzekłem, policzywszy posągi.

— Czyż nie są wspaniałe? — spytała Tamasin.

— Zaiste.

Wskazała na rzeźby.

— Dlaczego posągi kończą się na Henryku Piątym?

— Dobre pytanie, pan Wrenne może wiedzieć. — Rozejrzałem się, szukając staruszka, lecz nie zauważyłem go w pobliżu.

— Poszedł tam — rzekła Tamasin, wskazując drzwi prowadzące do chóru.

— Poszukam go, zostańcie tutaj — dodałem, widząc, że zamierzają iść za mną.

Wszedłem do chóru, wzdłuż którego stały rzędy wysokich, pięknie zdobionych drewnianych ław. Z jednej strony wznosiła się ogromna, bogato rzeźbiona konstrukcja z ciemnego drewna z licznymi kolumnami i łukami. Na szczycie liczącego dziesięć stóp wysokości katafalku umieszczono wspaniałą rzeźbę, a po bokach klęczących i modlących się ludzi. Na katafalku wisały dary wotywno: różańce, pierścienie i naszyjniki. Giles klęczał w jednej z nisz, modląc się żarliwie w milczeniu, poruszał ustami. Słyszac dźwięk moich kroków, odwrócił się. Przez chwilę spoglądał na mnie nieprzytomnie, jakby błąkał się myślami gdzieś daleko, a następnie uśmiechnął się i wstał sztywno.

— Wybacz — rzekłem. — Nie chciałem przeszkadzać.

— Nie, nie powinienem był was zostawiać. To niegrzecznie. — Skinął w kierunku sanktuarium.

— Oto kaplica Świętego Wilhelma, która tak rozgniewała naszego króla. — Kim był?

— Jednym z pierwszych arcybiskupów Yorku. Powiadają, że most w Ouse się zawalił, kiedy przechodził nim na czele procesji, lecz dzięki boskiej opiece nikt nie zginął. Jest patronem tego miasta. Wielu zwraca się doń o wstawiennictwo.

Poruszyłem niezręcznie głową, nie wierzyłem bowiem w dawne opowieści o cudach, a sanktuarium wydało mi się przesadnie ozdobne, wręcz brzydkie.

— Wygląda na to, że ci, którzy powiadają, iż gorliwość króla dla reform umarła razem z Cromwellem, byli w błędzie — rzekł Giles. — Na własne uszy słyszeliśmy, że kaplica Świętego Wilhelma ma zostać zburzona. Razi jego wielką próżność.

— Na to wygląda — przytaknąłem cicho.

— Zgadzasz się z tym? — Spojrzał na mnie przenikliwie.

— Muszę wyznać, że nie przywiązuję wagi do świętych i sanktuariów, nie powinno się ich jednak niszczyć, skoro dla tyłu zachowały znaczenie.

— Teraz także ta świątynia zostanie zabrana mieszkańcom Yorku. — Westchnął Wrenne. — Chodźmy. — Spojrzał jeszcze raz na święte miejsce, a następnie zwrócił się w moją stronę. Wróciliśmy do nawy, gdzie Tamasin i Barak w dalszym ciągu przypatrywali się posągom królów.

— Panie Wrenne, dlaczego ostatnim z królów jest Henryk Piąty? — spytała Tamasin.

— Kiedyś stała tu rzeźba Henryka Szóstego, króla z rodu Lancasterów, który został pokonany podczas wojny Dwóch Róż. Wielu uważało go za świętego, ludzie przychodzili, aby składać dary pod jego posągiem. Królowie Yorku nie pochwalali tego, więc rzeźba została usunięta. — Uniósł brwi. — Widzisz zatem, że z kart historii można wymazać nie tylko królów, lecz świętych — powiedział do mnie.

Dwaj urzędnicy przeszli obok nas, zmierzając w stronę chóru.

— Jutro? — zapytał jeden z nich drugiego.

— Tak, zmęczył się czekaniem. Będą się pakować dziś wieczorem, a rano wyruszą do Hull. Podobno król jest wściekły, może dlatego tak go rozgniewało owo sanktuarium.

— Wybaczcie, panie, czyżby król wyjeżdżał z Yorku? — zwróciłem się do niego. — Tak, panie — odrzekł starszy z uśmiechem. — Jutro z samego rana. Znużył się oczekiwaniem na przyjazd króla Jakuba. Zwijają już obóz. — Uśmiechnął się najwyraźniej rad z owej nowiny.

Odwróciłem się do mych kompanów. Na naszych twarzach pojawił się wyraz ulgi.

— Nareszcie, Bogu dzięki! — Tamasin westchnęła.

Rozdział trzydziesty pierwszy

Kiedy wróciliśmy do opactwa, jego wygląd uległ całkowitej zmianie. Robotnicy poczęli zwijać królewskie namioty, ostrożnie zdejmować bogate gobeliny i sprzęty, aby załadować je na wozy.

Zatrzymał nas urzędnik nadzorujący roboty na dziedzińcu.

— Panowie, pani, zechciejcie chwilę poczekać. Macie konie w kościele?

— Tak.

— Zgłóście się po nie jutro z samego rana. Wszyscy muszą stawić się na podwórku o szóstej.

— Tak wcześnie?

— Tak. Przed zapadnięciem zmroku królewski orszak ma dotrzeć do Howlme przy Spalding Moor. Król chce strząsnąć pył Yorku ze swoich stóp.

— Gdzie spędzimy następną noc? — spytał Barak.

— W namiotach, na polu. Rezydencja Howlme Manor zdoła pomieścić jedynie dwór królewski. Wybaczcie, panie. — Strażnik chwycił za ramię innego człowieka, który wchodził na dziedziniec.

— Jutro będziesz musiała spać na błocie, Tammy — rzekł Barak, uśmiechając się do Tamasin.

Dziewczyna przechyliła kokieteryjnie głowę.

— Służki królowej zawsze mają dobre namioty. — Zrobiła minę. — Zwykle. — Roześmialiśmy się na myśl, że w końcu wyruszymy.

— Zapytam, jak będą przewozić Brodericka — powiedziałam do Baraka. — Zobaczymy się wkrótce.— Chcesz, abym z tobą poszedł?

Zawahałem się, lecz doszedłem do wniosku, że za dnia jestem bezpieczny.

— Nie, wśród żołnierzy nic mi nie grozi. Spotkamy się w refektarzu za godzinę.

Zostawiłem ich i ruszyłem do celi Brodericka. Pomyślałem o Gilesie. Rzekł, iż zjawi się w King's Manor o świcie. Miałem nadzieję, że zdoła nas odnaleźć w chaosie, jaki wówczas niechybnie zapanuje. Wrócił do domu, aby przygotować się do podróży do Londynu.

Sierżant Leacon pełnił wartę przy celi Brodericka z jednym ze swoich żołnierzy. Przywitałem go.

— W końcu wyruszamy, panie — oznajmił. — Nie będę udawał, że jest mi przykro z tego powodu.

— Ani ja. Co się stanie z Broderickiem?

— Zostanie umieszczony na wozie razem z Radwinterem. Sir William przyszedł, aby osobiście nam o wszystkim powiedzieć. Ulżyło mu, że Broderick wyruszy w końcu do Londynu. Powinien rychło znaleźć się w Tower.

— Zaiste. — Pomyślałem, że wiadomość, która przyniosła mi taką ulgę, Brodericka przybliżyła do tortur i śmierci.

— Będę jechał razem z moimi ludźmi obok wozu. — Sierżant spojrzał na mnie poważnie. — Wóz będzie pilnie strzeżony, zamknięty przez cały czas podróży.

— Jak on się czuje?

— Jest spokojny, jak zwykle. Radwinter siedzi w celi. Ponownie odpowiada za więźnia. — Skrzywił się z odrazą.

Zajrzałem do środka przez okratowane okienko. Broderick spoczywał na łożu, a Radwinter klęczał obok, przemawiając mu cicho do ucha. Obok łóżka stała świeczka. Broderick zamrugał na mój widok. Radwinter wstał i spojrzał gniewnie, a następnie podszedł i otworzył drzwi.

— Witam, panie Shardlake — rzekł z drwiącym uśmiechem. — Oczekiwaliśmy waszej wizyty. Sir Edward i ja mamy już dość swojego towarzystwa.

Kiedy wszedłem do celi, poczułem odrażającą woń.— Jak się czuje więzień?

— Dobrze, grzecznie je, co mu podamy. — Spojrzałem na Brodericka. Nie wyglądał na zdrowego. Jego skóra miała żółte zabarwienie.

— Powinien mieć trochę ruchu — rzekłem.

Radwinter pokręcił stanowczo głową

— Wykluczone, nikt nie może go widzieć. Ma być trzymany w zamknięciu, dopóki nie dotrzemy do Londynu. Godziny wloką się tu powoli. Aby czas szybciej płynął, opowiadam sir Edwardowi o wieży Lollardów i moich więźniach.

Broderick uniósł się na łokciu.

— Próbuje mnie przestraszyć opowieściami o przypiekaniu i patroszeniu. Cóż za ulga, ujrzeć waszą twarz, panie Shardlake. — W jego głosie wyczułem cień arystokratycznej pogardy, co przypomniało mi, że był człowiekiem szlachetnie urodzonym.

— Wyruszamy jutro rano, sir Edwardzie — oznajmiłem. — Powiedziano wam?

— Tak — odparł za więźnia Radwinter. — Będę musiał tłuc się razem z nim w zamkniętym wozie aż do Hull.

— Jutro staniemy na noc w miejscu zwanym Howlme.

Broderick skinął głową.

— Znam je doskonale. Rezydencja należała niegdyś do sir Roberta Constable'a, zastępcy Roberta Aske'a podczas Pielgrzymki łaski. Dziś zwłoki Constable'a wiszą na bramach Hull, król zaś ukradł mu dom w Howlme. To piękna posiadłość.

Mruknałem coś pod nosem, a następnie skinąłem głową i ruszyłem do wyjścia.

— Chciałbym zamienić z wami słówko, panie — rzekłem na odchodnym do Radwintera. Wyszedł za mną na korytarz, każąc wartownikowi, aby zajął jego miejsce w celi Brodericka. Najwidoczniej nie zostawiali go teraz ani na chwilę samego.

Radwinter oparł się o ścianę i spojrzął na mnie badawczo. Sierżant Leacon przyglądał się nam wsparty na pice.

— Martwi mnie bladość Brodericka. Jego cela cuchnie. Więzień potrzebuje powietrza.

— Jutro wyruszy w drogę na wozie.

— Nie jestem pewny, czy nadaje się do podróży. — To, co się waszmościowi wydaje, jest bez znaczenia. Od tego są przepisy.

Spojrzałem mu w oczy.

— Cranmer wspomniał, że jeden z waszych więźniów zmarł. Jeśli zdarzy się to ponownie, z Broderickiem, nie chciałbym być w waszej skórze.

Pomyślałem, że wybuchnie szyderczym gniewem, lecz on jedynie skinął głową i uśmiechnął się ponownie.

— Wszystkim wolno raz się pomylić, panie Shardlake. Wówczas okoliczności były zgoła odmienne. Chcecie, abym wam rzekł, co się stało?

— Słucham.

Przesunął się, stając w wygodniejszej pozycji.

— Było to siedem lat temu, zaraz po ślubie naszego króla z Anną Boleyn. Do Londynu przybył mnich z opactwa Hert-fordshire, głosząc, że zerwanie króla z Rzymem oznacza potępienie władcy przez Boga. Przywiedziono owego mnicha przed arcybiskupa, ten jednak nie zdradził, kto go karmi i udziela schronienia. Wasz dawny pan, Cromwell, chciał go zabrać do Tower, gdzie wyciągnęliby to zeń torturami, lecz arcybiskup uznał, że -pobył w wieży Lollardów wystarczy, aby zmiękł i stał się bardziej skory do wyznań. Umieszczono go pod moją kuratelą i kazano traktować surowo, wyciągnąć z niego wszystko, co zdołam.

— I?

— Mnich okazał się twardy. Gdym mu dał książeczkę z modlitwami po angielsku, cisnął ją o ścianę celi. Uznałem, że pomogę mu odzyskać rozum, wieszając go za nadgarstki u sufitu, tak by ledwie dotykał palcami podłogi. Słyszałem, że w Szkocji wieszają się ludzi za kciuki, lecz kciuki po chwili wypadają ze stawów, ja zaś chciałem, aby brat Frederick pocierpiał nieco dłużej.

Spojrzałem na niego z odrazą, na co pewnie czekał.

Uśmiechnął się ponownie.

— To uciszyło braciszka, trudno bowiem oddychać w owej pozycji, jest też ona wielce bolesna. Nie wiedziałem, że brat Frederick ma słabe serce. Może powinienem był wziąć to pod uwagę, teraz to rozumiem. Mnich był otyły, spotniał i począł dyszeć, gdy go wiedli po stopniach wieży. Drugiego dnia znalazłem go martwego na łańcuchach. Arcybiskup był na mnie srodze rozgniewany, wyznaję. Wysłał mnie na naukę do Tower, gdzie przyglądałem się najlepszym znawcom tego fachu.

— Cranmer was posłał?

— Tak. — Radwintar przechylił głowę. — Dzięki temu potrafię ocenić, ile zdoła znieść człowiek.

— Jesteś waszmość obrzydliwy — powiedziałem.

— Żałujesz mnicha, garbusie? Pomyśl, że jego śmierć była łagodniejsza od rozerwania i poćwiartowania za zdradę. Wyświadczyłem chamowi przysługę.

Odwrociłem się, lecz zawołał za mną:

— Słyszałem, że rozmawiałeś z Broderickiem, gdy mnie tu nie było! O tym, kto ma prawa do tronu. Wspomniałeś, że królowa może być brzemienna. — Spojrzałem na niego ze zdumieniem. — Wartownik przysłuchiwał się waszej rozmowie, jak mu kazałem. Otrzymałeś wyraźny rozkaz, aby go nie wypytywać.

— To była zwykła rozmowa — rzekłem wymijająco.

— Doprawdy? — Radwintar spojrzał na mnie badawczo. — Czasem zastanawiam się, czy nie masz w tym jakiegoś prywatnego interesu, panie Shardlake. Czy twoja troska o więźnia nie jest podyktowana czymś więcej niż głupim współczuciem? Jeśli tak jest, miej się pan na baczności.

Rozmyślałem niespokojnie o słowach Radwintera, wieczorząc z Barakiem w refektarzu. Sala była pełna ludzi w pośpiechu spożywających jadło. Chcieli jak najszybciej rozpocząć przygotowania do odjazdu. Zewsząd dolatywały głośne okrzyki i nawoływania, dawało się wyczuć ulgę, że król niebawem wyruszy w drogę do ostatniego miejsca przed powrotem do Londynu.

Prześledziłem w myślach to, co powiedziałem Broderickowi kilka dni wcześniej. W moich słowach nie było nic obciążającego czy niebezpiecznego. Zachowałem ostrożność, choć nie sądziłem, że Radwinter posunie się do nakazania jednemu z żołnierzy, aby mnie podsłuchiwał. Bez wątpienia go przekupił. Zastana-wiałem się, czy zawiadomić o tym sierżanta Leacona, lecz postanowiłem tego nie czynić. Zdecydowałem, że więcej nie będę ryzykował rozmowy z Broderickiem.

— Ile czasu upłynie, zanim dotrzemy do Londynu? — spytał Barak.

— W Hull zabawimy trzy lub cztery dni, a podróż okrętem zajmie tydzień. Wszystko zależy od pogody na morzu. W każdym razie podróż morską będzie szybsza od lądowej.

— Od tygodnia nie było żadnych kłopotów — powiedział w zamyśleniu Barak. — Sądzisz, że człowiek, który na ciebie napadł, zrezygnował?

— Na to liczę, choć cały czas mam się na baczności.

Uśmiechnął się.

— Cóż, za kilka tygodni będziemy bezpieczni. Wrócimy do pracy w Lincoln's Inn. Będziemy się ponownie mozolić w dawnym kieracie.

Serce zadrżało mi z radości.

— Czyżbyś postanowił kontynuować pracę w kancelarii?

— Na to wygląda.

— Kiedy dotrzemy do Hull, spróbuję znaleźć miejsce dla Gilesa i Tamasin na okręcie. Być może trzeba będzie kogoś przekupić, lecz damy sobie radę z Gilesem.

— Dziękuję — odrzekł cicho.

Spałem niespokojnie, albowiem przez całą noc zwijano obóz, a wozy hałasowały bez przerwy. Wstałem o brzasku i ubrałem się, wkładając na wierzch pelerynę i wciągając buty do jazdy konnej po raz pierwszy od czasu, gdy przybyliśmy do Yorku. Niektórzy urzędnicy już się obudzili i stali przy palenisku, w którym jeden z nich próbował rozniecić ogień. Skinąłem im chłodno i wyszedłem na zewnątrz.

Był zimny, wilgotny dzień, niebo pokrywała zasłona wysokich, mlecznobiałych obłoków. Barak już czekał na dworze — stał w drzwiach, przyglądając się ożywionej krzątaniu na dziedzińcu. Usunięto zeń niemal wszystko i rozebrano zagrody dla zwierząt.

— Ostatnia chwila świetności opactwa Świętej Marii dobiegła

kresu — powiedział. — Słyszałem, że król nakazał usunąć z kościoła witraże i zdjąć dach.

Spojrzałem na bryłę klasztornego kościoła, którego iglica ginęła we mgle, i przypomniałem sobie nieszczęsnego Oldroyda.

Po śniadaniu poszliśmy do boksów, aby przyprowadzić konie. Cieśle trudzili się przy rozmontowywaniu pawilonów. Na marne poszły ogromne pieniądze i praca. Królewscy słudzy ostrożnie zwijali ogromny gobelin przetykany złotymi listkami, umieszczając go w wodoszczelnym pokrowcu. Miał z& czterdzieści stóp długości i do jego zwinięcia trzeba było czterech ludzi. Czynili to z najwyższą ostrożnością, a żołnierze stali po bokach, strzegąc cennego przedmiotu. W głównej furcie kościoła panował harmider — ludzie wyprowadzali konie i zajmowali miejsce w grupach formujących się na podwórku. Weszliśmy w gęstą cizbę, przesuając się wzdłuż boksów w poszukiwaniu swoich zwierząt. Większość koni już osiodłano. W tłumie dostrzegłem sierżanta Leacona.

— Będziecie dziś jechali wierzchem? — spytałem..

— Tak, jeśli zdołam odnaleźć konia.

Ktoś zepchnął mnie na bok, przyciskając do boksu. Odwróciłem się rozgniewany.

— Z drogi! Przejście dla dworzan królowej! — Grupka dworzan i sług prowadzących konie do wyjścia spychała każdego, kto jej stanął na drodze. Rozpoznałem Francisa Derehama. Ujrzał mnie i uśmiechnął się złośliwie. Kiedy dworzanie przeszli, wróciliśmy z Barakiem do boksów.

— Uważaj, panie! — usłyszałem przenikliwy kobiecy głos, który wydał mi się znajomy. Przede mną stała Jennet Marlin. Młody dworzanin próbował uspokoić swojego konia, który rzucał głową i rżał spłoszony przez tłum. Mało brakowało, a przygniótłby pannę Marlin do boksu.

— Co robisz?! — krzyknął Barak, występując do przodu. — Nie widzisz kobiety?! — Pomógł tamtemu uspokoić konia, a następnie usłużył panie Marlin ramieniem, odsuwając ją od zwierzęcia. Spojrzała na niego zdumiona.

— To pan? Ach, dziękuję!

— Szukasz konia, pani?

— Tak, stał gdzieś w pobliżu.

Wspólnie z Barakiem pomogliśmy jej znaleźć właściwy boks, w którym czekał osiodłany siwy stępak.

— Chodź z nami, pani — zaproponowałem. — Musimy jedynie odnaleźć własne wierzchowce.

— Nie, dam sobie radę — odrzekła, czerwieniejąc. — Dziękuję za pomoc. Czuję się zobowiązana. — Wzięła konia za wodze i ruszyła w kierunku drzwi.

— Nie chce być traktowana jak słaba białogłowa — zauważył Barak.

— Ma swoją dumę. — W końcu dotarliśmy do boksów Sukey i Genesis, które czekały na nas osiodłane jak inne konie. Wyprowadziliśmy je nie bez trudu na zewnątrz, gdyż oba były dziwnie

podenerwowane. Sukey Baraka zawsze miewała humory, lecz ze zdumieniem stwierdziłem, że zwykle spokojny Genesis stał się osobliwie narowisty.

— Ależ tumult — powiedziałem. — Nie zorganizowano tego jak należy.

Z ulgą wydostaliśmy się na zewnątrz kościoła. Na dziedzińcu klasztorным poczęły się formować grupki ludzi. Niektórzy siedzieli na koniach, inni stali, trzymając swoje wierzchowce. Byli to dworzanie dostojników i wysokich urzędników, obok bramy skupili się dworzanie króla i królowej. Zauważyłem również grupkę prawników i urzędników zebraną wokół biało-brodego sir Jamesa Fealty'ego. Spojrzał na nas i skreślił kilka nazwisk z listy, którą trzymał w ręku.

Wśród służby królowej dostrzegłem Tamasin siedzącą na siwym stępaku obok Jennet Marlin, która nadal wyglądała na nieco podenerwowaną. Nieopodal dojrzałem lady Rochford w olśniewającej pelerynie śliwkowej barwy dosiadającą dużą czarną klacz, a obok niej sir Richarda Richa na ogromnym siwku. Przypatrując się królewskiej świcie, dostrzegłem Male-verera wśród jaskrawej ciżby. Czyżby miał się przyłączyć do królewskiej podróży? Perspektywa ta bynajmniej mnie nie ucieszyła. Wyczułem, że ktoś na mnie patrzy, i odwróciłem się w samą porę, by ujrzeć jak Thomas Culpeper odwraca w drugą stronę swoje urodziwe oblicze.

Craike siedział nieopodal na krępych dereszach. Mimo że spoczywał w siodle, miał tabliczkę zawieszoną na szyi. Chociaż przeglądał jakieś papiery, on również wyczuł mój wzrok. Zawahał się, więc pomyślałem, że wolałby mnie nie ujrzeć, lecz w końcu uśmiechnął się niepewnie w moją stronę.

— Dzień dobry, Matthew.

— Witam — odpowiedziałem wesoło. — W stajni panuje wielkie zamieszanie.

— Poszedłem wcześniej po konia.

— Będziesz miał dużo roboty, gdy wyruszymy w drogę?

— Tak, odjeżdżam za chwilę. Muszę dotrzeć do Howlme Manor przed główną grupą, aby sprawdzić, czy wszystko jest gotowe na przybycie króla.

— Zgaduję, że mamy poczekać na innych prawników.

— Tak, chociaż może to trochę potrwać — odparł. — Najpierw wyruszą dworzanie z królem i królową, po nich wysocy urzędnicy królewscy i szlachta. Na koniec pomniejsi urzędnicy. Obawiam się, że prawnicy pojedą na końcu. Po was ruszą-wszyscy studzy z obozu i ci, którzy spali na wozach. Wszystko musi zostać wykonane we właściwej kolejności.

— Rozumiem.

Spojrzałem na rezydencję. Sługa przycinał rosnące po obu stronach krzewy róż, ostrożnie odkładając kolczaste gałązki na wóz i nie zważając na panujący wokół rój wach. Pomyślałem, że King's Manor powróci do swojej poprzedniej roli siedziby Rady Północy.

— Król jest rozsierdzony, król Szkocji Jakub wielce go zawiódł — rzekł Craike. — Grozi, że podejmie surowe kroki przeciw Szkotom. Myślę, że gorzko zapłacą za tę zniewagę.

— To do niego... — zastanowiłem się, szukając właściwego słowa — ...podobne.

— Zaiste. — Craike uśmiechnął się nerwowo po chwili niezręcznego milczenia. — Będę teraz w ciągłym ruchu. Możemy się więcej zobaczyć.

— W takim razie do widzenia.

— Żegnaj — odpowiedział i dodał cicho: — Dziękuję. — Odwrócił konia i ruszył w kierunku bramy.

Barak spojrział na niego w zamyśleniu. — Biedny stary dureń — powiedział.

— Tak. Uspokój się, Genesis! — Mój koń szarpnął w bok, cicho rżąc.

— Nie dosiadajmy ich jeszcze — poradził Barak. — Dajmy im czas, aby się uspokoiły.

— Dobrze. Spójrz, przyjechał Giles. Nie ma konia?

Staruszek pojawił się w bramie. Niósł ciężką sakwę i sprawiał

wrażenie podenerwowanego. Stał, rozglądając się wokół, przewyższając o głowę wielu przechodzących obok jego krzepkiej postaci. Kiedy mu pomachałem, ruszył wolno w naszą stronę.

— Witaj, Matthew — wysapał. — Dzień dobry, Baraku. Obawiam się, że mam problem. Moja klacz nadepnęła wczoraj na ostry kamień. Nie nadaje się do jazdy. Nie wiem, co robić.

— Muszą mieć jakieś zapasowe konie — odpowiedział Barak.

— Racja, pewnie trzymają je w obozie. Nie zdołamy teraz żadnego sprowadzić.

— Weźcie Sukey — zaproponował Barak. — Będę szedł obok. Jestem pewny, że później uda nam się znaleźć wam wierzchowca.

Giles spojrział na niego z wyraźną ulgą.

— Dziękuję, młodzieńcze. Jesteś pewny?

— Tak, weźcie Sukey.

— Lepszy będzie Genesis — powiedziałem. — Klaczy Baraka może się nie spodobać, że dosiada ją obcy. Ja wezmę Sukey, zna mnie. Ty weź Genesis. To spokojny koń.

— Dziękuję raz jeszcze — Giles zaśmiał się nerwowo. — Nie wiem, co bym bez ciebie uczynił.

Do Fealty'ego podszedł jakiś urzędnik i porównali swoje notatki, a po chwili sir James zwrócił się w naszą stronę.

— Na koń! — zawołał.

— Podsadzę was — rzekł Barak, formując strzemię z dłoni, aby starzec mógł się wspiąć na grzbiet Genesis.

Giles podciągnął się i ostrożnie usadowił w siodle.

Dalsze wypadki rozegrały się tak szybko, że omal nie skończyłem ze strachu. Genesis stanął na zadnich nogach, wydając przeraźliwe rżenie. Giles krzyknął i kurczowo chwycił wodze, lecz koń zrzucił go z grzbietu. Ku swemu przerażeniu ujrzałem, jak starzecleci głową w dół. Byłby pewnikiem roztrzaskał czaszkę o kamienie, gdyby nie przystąpił do niego Barak. Giles runął ciężko na Jacka i obaj osunęli się z wrzaskiem na ziemię.

Ludzie spojrzeli na nas — jedni krzyknęli ze strachu, inni się roześmiali. Wrenne stoczył się z Baraka i usiadł zaszokowany na ziemi.

— Gilesie! — zawołałem. — Nic ci nie jest?

— Wszystko w porządku... Co się stało?

— Jack? — zwróciłem się do Baraka. Próbował się podnieść, lecz jęknął i opadł na plecy. Twarz mu pobladła, jak popiół.

— Niech to szlag! — rzekł niewyraźnie. — Cholerna kostka. — Spojrzałem na jego lewą stopę, która wygięła się pod nienaturalnym kątem.

— Sprowadźcie medyka! — poleciłem w stronę tłumu, który począł nas otaczać ciasnym pierścieniem. — Mamy rannego! — Ujrzałem dwóch urzędników, którzy pochwycili lejce Genesis i z trudnością go opanowali. Mój zwykle spokojny koń szarpał się gwałtownie, wyginając grzbiet jak oszalały. Przez ciżbę przycisnęła się Tamasin i uklękła obok Baraka. Była zrozpaczona.

— Jack! Jack!

— Nic się nie stało, dziewczyno. Zraniłem się w nogę, to wszystko.

— Słyszałam krzyk, myślałam...

— Nie, to był wypadek... — Spojrzał zakłopotany na ludzi. Po chwili ukazał się sir James Fealty, gniewnie marszcząc czoło.

— Co tu się dzieje, na Boga? — spytał gniewnie. — Wstań, kobieto — prychnął na Tamasin. — To niestosowne.

— Mój asystent zranił się w nogę! — rzekłem szorstko.

— To prawda — wtrącił Wrenne, podnosząc się na drżących nogach. — Ocalił mi życie — dodał.

Nagle wokół zapanowała cisza. Podniosłem głowę i ujrzałem, że stoi nad nami lady Rochford. Na jej twarzy malowało się przerażenie.

— Co się stało? — zapytała.

Wrenne skłonił się i rzekł:

— Zdarzył się wypadek, pani. Ten człowiek złamał nogę.

Spojrzała na Baraka, a później na Tamasin i na mnie.

— Nic gorszego? — Nie, pani — odpowiedziałem.

Odeszła sztywnym krokiem przepuszczona przez rozstępującą się cizbę.

— Idź, Tamasin — rzekłem cicho, pomagając jej wstać. — Powinnaś wrócić do swoich. Dopilnuję, aby Jack był bezpieczny.

Przełknęła ślinę i skinęła głową, a następnie spojrzała na Genesis, który w dalszym ciągu wrywał się dwóm ludziom, którzy go trzymali.

— Dlaczego twój koń tak się zachowuje?

— Nie mam pojęcia.

— Wierzga, jakby chciał się pozbyć siodła. — Wstrzymała oddech. — Spójrz, panie! To krew!
— Zrobiłem wielkie oczy, widząc strużkę krwi wypływającą spod siodła i plamiącą koński bok.

— Tamasin, pomóż mi to zdjąć — poprosiłem cicho. — Uważaj, aby cię nie kopnął!

Obserwowani przez grupkę zaciekawionych prawników unieśliśmy siodło. Spojrzałem z przerażeniem na grzbiet Genesis. Pod siodłem znajdowała się mała ciernista gałązka róży z kolcami wbitymi w ciało mojego nieszczęsnego wierzchowca.

— Włożono ją tam, aby zrzucił człowieka, który go dosiadzie — szepnąłem. — To kolejny zamach na moje życie.

Rozdział trzydziesty drugi

Wszyscy prawnicy widzieli, że znalazłem gałązkę róży pod siodłem Genesis, więc wiadomość rozeszła się po dziedzińcu lotem błyskawicy. Zostałem z Barakiem do nadejścia królewskiego medyka. Ku swojej uldze usłyszałem, że nie złamał kostki, lecz uszkodził więzadła. Medyk zabandażował mu stopę i uprzedził, że przez jakiś czas nie będzie mógł normalnie "chodzić". Uczyniliśmy prowizoryczne kule z gałęzi, a sługa zaprowadził go na jeden z wozów oczekujących w kolejce w miejscu dawnego obozu. Król i królowa już odjechali, a teraz wyruszali dworzanie i wyżsi urzędnicy, przejeżdżając kolejno pod bramą opactwa.

— Niech to szlag! — wrzasnął Barak do sługi, który podał mu ramię. — Nie cierpię leżenia.

— Musisz oszczędzać nogę, panie — rzekł Giles. — Chciałbym, abyś jak najszybciej odzyskał siły. Dziękuję ci raz jeszcze.

— Rad jestem, że zdołałem was ocalić, panie — odparł Barak, rozglądając się po pustoszejącym placu. Spojrzał na konnych opuszczających teren opactwa, na robotników na drabinach rozbierających dach pawilonów i milczący budynek kościoła. — Rozstaję się z tym miejscem bez żalu — prychnął wsparty na ramieniu sługi. Kiedy się oddalał, ujrzał dużą postać zmierzającą w naszą stronę. Maleverer. U jego boku kroczył sir Richard Rich odziany w piękną czarną szatę obszytą gęstym futrem. Kiedy stanęli przed nami, Maleverer oparł dłonie na biodrach.

— Co się stało? — warknął. — Słyszałem, że znowu masz kłopoty.— Człowiek ów nigdy się od nich nie uwolni — dodał uszczypliwie Rich.

— Opowiadaj!

Wskazałem głową sługę przycinającego róże obok King's Manor.

— Ktoś wsunął gałązkę róży pod siodło mojego konia. — Mówiąc to, uniosłem todygę, którą nadal trzymałem w palcach.

Maleverer zagwizdał z podziwem.

— Na Boga, zuchwałe posunięcie.

— Nie do końca. W kościele panował taki rejwach, że każdy mógł to uczynić, nie zwracając na siebie uwagi. Ponieważ ściany boksów są wysokie, ktoś mógł stanąć odwrócony plecami do wyjścia i niepostrzeżenie wsunąć kolce pod siodło. — Pomyślałem, że widziałem w stajni Derehama, a Craike rzekł, iż też zaszedł tam wcześniej. Mógł to uczynić każdy z setki ludzi, którzy się tam kręcili.

— Niech to szlag! — mruknął Maleverer. — Sprytna sztuka. A zatem nie zrezygnował. Nie przybliżyliśmy się nawet o krok do jego odnalezienia.

— Pojedziecie razem z królem, sir Williamie?

— Do samego Londynu. Mam tam interes. — Uśmiechnął się. — Nie pozbędziesz się mnie tak łatwo. — Spojrzał na Genesis. — Co z twoim koniem?

— Nie pozwoli, aby ktokolwiek go dziś dosiadł.

— Poszukamy ci innego. Tego weźmiesz na luzaka. Nie możemy zwlekać, bo wszystko się opóźni. Wozy nie mogą ruszyć, dopóki urzędnicy nie zajmą swojego miejsca w kolumnie. — Spojrzał na mnie gniewnie, jakbym celowo sabotował wyprawę. — Poczekaj tutaj — polecił i oddalił się w pośpiechu.

Rich uśmiechnął się w moją stronę.

— Mam nadzieję, że nic ci się już więcej nie przydarzy, kolego. Cóż poczną bez ciebie rajcy w ratuszu? — Po tych słowach odwrócił się i podążył za Malevererem. Giles spojrział na mnie poważnie. Pobladł, marszcząc czoło z zatroskania.

— Ktoś próbuje cię zabić? — spytał zdumiony.

Westchnąłem.

- Od jakiegoś czasu. To trzecia próba.
- Dlaczego?— Nie wiem. Może podejrzewa, iż widziałem zawartość tej przeklętej skrzynki, którą znaleźliśmy w domu Oldroyda.
- Sądzisz, że to ten sam, który ją zabrał? — Spojrzał na mnie zaszokowany.
- Tak, jak na ironię, prawie ich nie widziałem. Nie na tyle, aby pojąć ich wagę. Gilesie, przepraszam, że naraziłem cię na niebezpieczeństwo.
- Nic dziwnego, żeś taki spięty — powiedział.

Obok nas stanął żołnierz, trzymając za uzdę dużego siwka.

- Nazywam się Templeman — rzekł. — Mam dla was konia, panie. Kazano mi poprowadzić waszego.
- Dziękuję. — Zaproponowałem, aby Wrenne go dosiadł, sam zaś wspiałem się na Sukey. Żołnierz wziął lejce Genesis i ruszył za nami przez bramę. Spojrzałem po raz ostami na opactwo Świętej Marii i wyjechałem na zewnątrz.

Kolumna sunęła wolno ulicami Yorku: najpierw król i królowa z dworem, następnie szlachta i wysocy urzędnicy, a na końcu my, prawnicy. Za nami ciągnął się długi szereg wozów. Po obu stronach jechały dwa szpalery żołnierzy. Dziwnie się czułem, będąc częścią owego wielkiego pochodu, jakbym został pochwycony przez szeroki nurt rzeki. Obywatele Yorku przywykli już do naszej obecności — w oknach widać było nieliczne twarze. Ci, którzy przez nie wyglądali, sprawiali wrażenie uradowanych z tego, że królewski dwór wreszcie opuszcza miasto.

Skręciliśmy w drogę wiodącą na wschód, poruszając się z prędkością niewiele szybszą od marszu przy akompaniamencie stukotu kopyt oraz klekotu i skrzypienia setki wozów, które wlokły się za nami. Okolica była płaska i nizinna z licznymi sadzawkami i podmokłymi łąkami. Wiatr wiał po równinach, mierzwiąc końskie grzywy i ogony, powodując, że chorągwie niesione przez wojsko powiewały i łopotwały. Co jakiś czas konny postaniec przejeżdżał po pasie trawy oddzielającym drogę od pola, przekazując wiadomości między różnymi częściami kolumny.

Około południa wielki korowód zwolnił na moście rozpiętym ponad brzegami wartkiej rzeki.—
To Derwent — wyjaśnił Giles. — Jego brzegi wezbrały od opadów deszczu.

- Widzę. — Spojrzałem na niego.

Najwyraźniej doszedł już do siebie po doznanym szoku, a jego policzki odzyskały barwę. Jechaliśmy przez całe popołudnie drogą, z której rozciągał się doskonały widok na pustą, wyludnioną okolicę. Spojrzałem w szare niebo i zasnuty mgłą horyzont, zdając sobie sprawę, jak zatłoczone i klaustrofobiczne było opactwo Świętej Marii. Obszary wiejskie były słabo zaludnione, minęliśmy jedynie kilka ubogich wiosek, nie zatrzymując się w nich ani na chwilę. Kmiecie stali w drzwiach, obserwując przejeżdżający orszak. Matki kurczowo przyciskały dzieci do piersi, spoglądając na nas oczyma bez wyrazu.

Po kilku godzinach jazdy zarządzono postój na posiłek. Wszyscy stanęli w miejscu, a kucharze szli od tyłu kolumny, niosąc kosze, z których rozdzielano chleb i zimne mięsiwo. Byliśmy głodni i radzi

ze stawy, którą nam podano. Gdy jedliśmy, do naszych uszu doleciał tupot końskich kopyt. Obok przystanęła Jennet Marlin na małym siwku, za nią zaś Tamasin na swoim stępaku.

— Tu jesteście, panie — rzekła Tamasin. — Pojechałam do tyłu, aby zobaczyć Baraka.

— Gdzie jest?

— Ćwierć mili za wami, w wozie pełnym przeciwdeszczowych peleryn. Mówi, że czuje się jak głupiec. — Spojrzała na mnie poważnie. — Błagam, dopilnuj, aby odpoczął, gdy dotrzemy do Howlme.

— Uczynię to, obiecuję.

Chwilę później rozległ się okrzyk „ruszamy”. Królowi faktycznie się śpieszyło. Tamasin i panna Marlin zajęły miejsce za nami.

— Jestem zaszokowana tym, co się stało — rzekła Jennet Marlin. — Mówią, że ktoś wsunął gałązkę róży pod wasze siodło, aby koń was zrzucił. Czemu ktoś miałby dybać na wasze życie?

— Ktoś myśli, że znam jego tajemnicę, pani.

Odwróciła się w siodle i przez chwilę patrzyła na długą

kolumnę. — Ten orszak jest pełen zła — rzekła, odwracając się ku mnie. — Nie możecie od razu wrócić do Londynu?

— Nie, nie pozwolą mi.

— Szkoda.

— Z drogi! Z drogi! — Obok nas przystanął goniec z wiadomością dla jednego z urzędników. Jennet Marlin podjechała do przodu, aby go przepuścić. Tamasin nachyliła się i spytała cichym głosem:

— Co to miało znaczyć? Czemu lady Rochford podeszła do nas, gdy Jack spadł z konia?

— Nie mam pojęcia. Wyglądała na przerażoną.

— Dzisiaj muszę im usługiwać. Miałam nadzieję, że nasze zmartwienia ustaną, gdy wyjedziemy z Yorku.

— Odwagi, Tamasin.

Jennet Marlin spojrzała jej przez ramię.

— Lepiej wracajmy do naszych. — Popatrzyła na mnie. — Uważaj na siebie, panie.

— Nie omieszkać. Dziękuję. — Kiedy odjechały w kierunku czoła kolumny, odwróciłem się i zobaczyłem, że Giles przygląda mi się badawczo.

— Kto może ci to czynić?

— Nie wiem, lepiej, abym nie mówił więcej.

Jechaliśmy w milczeniu. Droga poczęła się wznosić i naszym

oczom ukazały się zalane pola i łąki. Po krótkiej chwili ustąpiły one miejsca jałowym moczarom z oczkami ciemnych porośniętych trzcina stawów. Ponure otoczenie najwyraźniej wywarło wpływ na uczestników podróży, albowiem szmer rozmów przycichł.

— Przygnębiające miejsce — rzekłem do Wrenne'a.

— Spalding Moor zawsze cieszyło się złą sławą. Spójrz przed siebie, to miejsce, do którego zmierzamy. — Uśmiechnął się, wskazując dłonią Howlme.

W oddali ujrzałem wysokie wzgórze wznoszące się pośród moczarów, na którym stał stary kościół otoczony drzewami o czerwonych i złotych liściach. Na stromych zboczach widać było kilka rozrzuconych domostw.

— To Howlme.

— Znasz to miejsce? Uśmiechnął się po raz pierwszy od czasu, gdy wyjechaliśmy z Yorku.

— Tak, tu się urodziłem — odpowiedział.

Byłem ciekaw, czy kolumna pocnie się wspinać na strome wzgórze, gdyż wciągnięcie na nie wszystkich wozów byłoby nie lada wyczynem. Na szczęście zatrzymaliśmy się u podnóża, gdzie wśród pól wcinających się w bagna wznosiła się rozległa rezydencja. Wszyscy zsiadli z koni i przystanęli w oczekiwaniu. Obok przejechały z klekotem cztery ogromne wozy wiozące królewskie charty. Zwierzęta czekały i wyły.

— Co teraz? — spytałem Templemana trzymającego Genesis za wodze.

— Powiedzą nam, kiedy mamy rozbić obóz. — Spojrzał na łąkę za nami. — To podmokłe miejsce — dodał ponuro. — Założę się, że będziemy mieli wodę pod namiotami. Nie pierwszy to raz.

— Pójdę do wioski — rzekł Giles. — Ostatni raz odwiedzę ulubione miejsca z dzieciństwa.

— Dawno tu nie byłeś?

— Ponad pięćdziesiąt lat, od śmierci matki. — Zsiadł z konia i odwiązał laskę, którą wcześniej przytroczył do siodła. Spojrzał na strome wzgórze. — Nikt mnie tam teraz nie pamięta, lecz mogę odwiedzić grób rodziców. Odwrócił się do żołnierza i spytał: — Zaopiekujesz się moim koniem, żołnierzu?

— Tak, panie.

— Odszukaj mnie w obozie, Matthew. Możemy wspólnie zjeść wieczerzę, choć nie wiem, jakie jadło nam podadzą wśród tych pól.

— A zatem do zobaczenia. — Giles odszedł wolno, torując sobie drogę przez tłum. Spojrzałem na rezydencję mającą za polami. Przed nią zgromadzili się dworzanie, połyskując welwetem i

satyną, stałą i piórami. Popatrzyłem na centralną postać, wokół której wszystko się obracało — mężczyznę o głowę przewyższającego pozostałych. Króla. Odwróciłem się w samą porę, aby ujrzeć człowieczka w zielono-białym kaftanie Tudorówprzepychającego się przez ciżbę. Zdjął czapkę i skłonił się przede mną.

— Przybywasz od sir Williama Maleverera? — spytałem.

— Nie, panie — odrzekł. — Twoja obecność jest niezbędna gdzie indziej.

— Gdzie? Kto mnie wzywa? — spytałem ostro, nagle zdając sobie sprawę, że muszę sobie poradzić bez Baraka.

— Nie mogę powiedzieć, panie, wzywa cię jednak ktoś znaczny.

Zmarszczyłem gniewnie czoło, lecz podążyłem za nim przez ciżbę. Musiałem iść szybko, aby nadążyć. Na szczęście poprowadził mnie w przeciwną stronę niż rezydencja, gdyż przez upiorną chwilę myślałem, że rozkaz nadszedł od króla. Dopędziłem go i spytałem bez tchu:

— Kto mnie wzywa?

Uskoczył w bok przed ogromnym wozem obładowanym wołowymi tuszami.

— Za chwilę się dowiesz, panie.

Zaprowadził mnie na pole, gdzie rozstawiono kilka dużych namiotów. Po wchodzących i wychodzących niewiastach wywnioskowałem, że zakwaterowano tu dwór królowej. Goniec wszedł do największego namiotu i uniósł jego krawędź, dając znak głową, abym wszedł do środka.

Wnętrze było bogato umeblowane. Na podłodze rozłożono maty z sitowia, a duże świece z pszczelego wosku oświetlały namiot ciepłym żółtym blaskiem. Ku memu zdumieniu spostrzegłem Baraka wspartego na drewnianej kuli, którą ktoś mu wynalazł. Obok niego stała Tamasin z wyrazem napięcia na twarzy. Naprzeciwko nich ujrzałem lady Rochford o surowym, wyniosłym wyrazie twarzy, przy niej zaś znajomą małą pulchną postać w sukni ze srebrzystego atłasu i czarnym czepcu ozdobionym wielkimi perłami. Pokłoniłem się nisko przed królową Katarzyną.

— Powstań, proszę. — Jej głos był miękki i dziewczęcy.

Podniosłem się i spojrzałem na nią, dygocząc ze strachu.

Popatrzyła na mnie. Z bliska wyglądała niemal jak dziecko, choć mimo zatroskanego wyrazu twarzy w jej orzechowych oczach dostrzegłem coś zmysłowego. Lady Rochford wykonała krok do przodu. — Jest zaskoczony, Wasza Wysokość — rzekła uszczypliwie. — Był bardzo zuchwały, gdy się z nim wcześniej spotkałam.

Nie odpowiedziałem, czekając, aby przemówiła królowa. Po chwili milczenia powiedziała:

— Lady Rochford powiadomiła nas, że panna Reedbourne i ów Barak znajdują się pod twoją opieką.

— Tak, Wasza Wysokość.

— Widziałam was w Fulford — rzekła królowa Katarzyna. — Przykro mi z powodu sposobu, w jaki was potraktowano.

— To bez znaczenia.

Wzięła głęboki oddech.

— Powiedziano mi, że ktoś próbował was dziś zabić.

— Tak, Wasza Wysokość. Ktoś wsunął mi gałązkę róży pod siodło. Kiedy mój przyjaciel dosiadł konia, ten stanął dęba. Przyjaciel byłby zginął, gdyby nie szybka reakcja pana Baraka.

Królowa spojrzała na lady Rochford. Przez chwilę nie mogła wykrztusić z siebie słowa, lecz wzięła się w garść.

— Wiecie, czemu ktoś mógł to uczynić?

Zawahałem się.

— Nie, Wasza Wysokość. Nie jest to jednak pierwsza próba. — Spojrzałem na lady Rochford.
— Sir William Maleverer panuje nad sytuacją.

— Widziałas, Wasza Wysokość! — prychnęła lady Rochford. — Widziałas pani, jak na mnie spojrzał? Sądzi, że mam z tym coś wspólnego.

— Czy rzeczywiście tak sądzicie? — spytała mnie królowa drżącym głosem.

— Nie wiem, kto to uczynił, pani — odparłem po chwili wahania.

Wzięła głęboki oddech.

— Kazałam was tu wezwać, aby zapewnić, że moje otoczenie nie ma z tym nic wspólnego.

— Dziękuję, Wasza Wysokość. Podejrzewam, że ataki mogą mieć związek z... inną sprawą niż ta, która była przedmiotem naszej rozmowy z lady Rochford.

W oczach królowej ponownie błysnął lęk. Spojrzała na lady Rochford.

— Jaką? — warknęła lady Rochford.

— Ta sprawa ma związek ze spiskiem.

Spojrzała na mnie zdumiona.

— Rozumiem.

Królowa uniosła dłoń.

— Nie mów — powiedziała. — Nie rozmawiają przy mnie o polityce. Nie chcę wiedzieć. — Byłem ciekaw, czy na tym polegała jej strategia przetrwania — trzymać się z dala od stronnictw na dworze. Popatrzyła na mnie ponownie. — Jeśli idzie o to, co ci ludzie widzieli w opactwie — rzekła, patrząc na Baraka i Tamasin, którzy do tej pory nie rzekli ani słowa — przysiągłeś, panie, lady

Rochford, że zachowasz milczenie. Ufam, że dotrzymasz słowa. — Wzięła się w garść, przybierając pozę królowej zamiast wystraszonej dziewczyny.

Skłoniłem głowę, nie wiedząc, co rzec.

— Nie powiedziałaś nikomu? — spytała ostro lady Rochford.

— Nikomu, przysięgam.

Ton jej głosu uległ zmianie, stał się łagodniejszy.

— To pech, że widzieliście Culpepera owej nocy. Królowa pragnęła jedynie towarzystwa kogoś w swoim wieku, mówiłam wam. Nie wydarzyło się nic niestosownego. Byłam z nimi cały czas.

— Prawda to — rzekła cicho Katarzyna Howard. — Uwierzycie słowu królowej?

Spojrzałem na nią.

— Oczywiście, Wasza Wysokość. — Naprawdę jej wierzyłem.

Byłem pewny, że jej spotkaniu z Culpeperem przypatrywała

się lady Rochford i że nie stało się nic zdrożnego. Nie ośmieliłaby się wszak nic takiego uczynić. Pożalowałem jej, albowiem poślubiła Henryka, zapominając o swoim młodym wieku, i mimo niewielkiej mądrości weszła między wilki, na królewski dwór.

Uśmiechnęła się.

— Dziękuję wam. Po powrocie do Londynu zostaniecie sownie wynagrodzeni.

— Nie dbamy o nagrodę, Wasza Wysokość.

— W takim razie dziękuję wam raz jeszcze. Mam nadzieję, że ten, kto dybie na wasze życie, zostanie schwytany i otrzyma to, na co zasłużył.

— Pamiętajcie o złożonej obietnicy — dodała lady Rochford. — Ja także naraziłam się na niebezpieczeństwo, aranżując to spotkanie. Królowa ma przybyć do Howlme Manor, powiedziałyśmy, że wstąpiła tu, aby się przebrać.

Królowa odwróciła się, a lady Rochford skinęła dłonią na znak, że możemy odejść. Skłoniliśmy się ponownie, a Tamasin ujęła Baraka i pomogła mu wyjść z namiotu. Przystanęliśmy, dotarłszy do skraju pola.

— Niech to szlag! — zaklął Barak.

— Jack! — skarciła go Tamasin.

— Kiedy stawiałem się na rozkaz i ujrzałem królową w namiocie, omal nie narobiłem w gacie.

— Co o tym sądzisz? — spytałem Tamasin.

— Myślę, że królowa powiedziała prawdę.

— Jestem podobnego zdania. Nie miała nic wspólnego z tą napaścią. Nie mam co do tego wątpliwości. — Potrząsnąłem głową. — Królowa jest taka młoda...

— Powiadają że była frywolną dziewczką, zanim król zatrzymał na niej swój wzrok.

— Może był to niewinny flirt. Może lady Rochford czerpała perwersyjną przyjemność z organizowania jej potajemnych schadzek z młodym mężczyzną, z pewnością jednak ona i królowa zapomniały o zachowaniu bezpieczeństwa. Teraz są przerażone. — Spojrzałem na pole, gdzie ustawiano obok siebie setki wozów. — Chodźcie, musimy znaleźć nasze kwatery.

— Popatrz tam! — rzekł Barak, dając mi kuksańca w bok.

Podążyłem za jego wzrokiem w stronę małej grupki urzędników, którzy przyglądali się nam ciekawie. Wśród nich był Craike. Dostrzegłem też sir Richarda Richa i moje serce zamarło. Mógł widzieć, jak wychodzimy z namiotu królowej. Co sobie pomyślał?

Rozdział trzydziesty trzeci

Wróciliśmy na skraj drogi, gdzie Templeman stał z naszymi końmi, pogryzając jabłko. Na polu za jego plecami wyrosły stożkowate namioty. Barak z trudnością torował sobie drogę w gęstej, kotłującej się cizbie — gdyby nie nasza pomoc z pewnością byłby upadł. Ponieważ w wielu trudnych chwilach polegałem na jego sile i zręczności, czułem się niezręcznie, że muszę go teraz wspierać.

Podszedłem do Genesis, który wyraźnie się uspokoił. Wiedziałem, że z powodu brzydkich ran na grzbiecie musi upłynąć trochę czasu, zanim ponownie go dosiędę.

— Wiesz, gdzie nas zakwaterowano? — spytałem żołnierza.

— Nie wiem, panie. Kiedy będą gotowi, przyjdą nam powiedzieć. Trzeba poczekać.

Obok nas przejechał wóz — tak blisko, że musieliśmy usknąć na skraj drogi. Barak poślizgnął się, wsparty na kuli, i byłby upadł, gdyby nie chwycił się ramienia Tamasin.

— Niech to diabli! — krzyknął gniewnie.

— Nie powinieneś wchodzić w taką cizbę — rzekłem mu. — Zostańcie z Templemanem, dopóki nie dowiecie się, gdzie nas umieszczono.

— Dokąd idziesz? — spytał.

Poczułem nagłą potrzebę opuszczenia tego kłębiącego się tłumu.

— Pójdę na spacer do Howlme — powiedziałem. — Odnajdę Wrenne'a i razem wrócimy do obozu.

— Powinieneś zostać z nami, panie — ośmieliła się zasugerować Tamasin. — Tak będzie bezpieczniej. Wkrótce zapadną ciemności.

— Muszę się oddalić na chwilę. Będę tam bezpieczniejszy niż w tłumie. Odnajdziemy was z Wrenne'em. — Aby zakończyć rozmowę, odwróciłem się gwałtownie i ruszyłem drogą prowadzącą do wioski.

Na okolicznych polach ustawiano wozy pod okiem królewskich urzędników odzianych w zielone kurtki. Na niektórych spostrzegłem przenośne biurka podobne do tych, które widziałem u Craike'a. Jedna z fur przewróciła się i żołnierze próbowali uwolnić ogromne konie, które leżały na boku, przeraźliwie rżąc i kopiąc. Na drogę wysypała się broń: miecze, kusze i rusznice. Żołnierze zbierali ją i zanosili na sąsiednie pole, odgradzając przechodzących od groźnego oręża. Na następnym polu ujrzałem inny wóz strzeżony przez pół tuzina żołnierzy. Na czarnej skrzyni widniał królewski herb. Rozpoznałem Leacona i podszedłem w jego stronę, czując, jak moje buty zapadają się w grząskiej trawie. Wóz nie miał okien, a jego drzwi były zamknięte. Sierżant skłonił się na mój widok.

— Mieliście bezpieczną podróż? — spytałem.

— Tak, nie wydarzyło się nic szczególnego. Spojrzał na mnie z zaciekawieniem. — Słyszałem, że włożono wam cierń pod siodło.

— Czy wiedzą o tym wszyscy uczestnicy królewskiej podróży?

— Podniosło się spore zamieszanie. — Odwrócił głowę, spoglądając na wóz stojący za jego plecami. — Czy ma to jakiś związek z Broderickiem?

— Nie sądzę. — Westchnąłem. — Wybrałem się na spacer, aby odpocząć od tłumy.

— Kiedy wyjeżdżaliśmy z Londynu, też trudno mi było wytrzymać w tak wielkim tłumie — odparł z uśmiechem. — Przywykniecie.

— Nie jestem pewien. Pomyślałem, że wybiorę się do wioski. Poszedł tam mój przyjaciel. Może widzieliście, jak tędy przechodził? Wysoki starszy mężczyzna w prawniczej szacie? — Tak, minął nasz posterunek jakiś czas temu. — Spojrzał na wóz. — Nie podoba mi się wygląd więźnia, panie. Skóra mu pożółkła. Od czasu, gdy się otruł, jego stan ulega ciągle pogorszeniu. Powinien zaczerpnąć świeżego powietrza. Nie może cały czas przebywać w zamkniętym wozie, mając za towarzysza owego człowieka.

— Macie rację.

— Jego widok wzruszyłby każdego. Niezależnie od tego, co uczynił. Porusza się i wygląda jak starzec, chociaż nie ma jeszcze trzydziestu lat.

— Tak. — Pokiwałem głową. — I umrze straszną śmiercią za to, w co wierzy, podobnie jak tyłu innych w ostatnich latach.

Leacon spojrział na mnie ciekawie.

— Z powodu swoich poglądów był gotów zabijać. Gdyby na północy wybuchło powstanie, tak jak planowali, ta ziemia spłynęłaby krwią.

Wolno skinąłem głową.

— Macie rację, sierżancie. Stałoby się tak niechybnie. Być może nadmiernie współczuję naszemu więźniowi. Mimo to otrzymałem rozkaz, by dbać o niego. Pomówię z Malevererem, zobaczę, czy da się coś uczynić, aby miał więcej ruchu. — Spojrzałem na czarny wóz. — Nie mam teraz siły na spotkanie z Radwinterem. Po powrocie ze spaceru zajrzę tutaj, aby sprawdzić, jak się miewa Broderick.

— Bądźcie ostrożni, panie, jeśli macie tu wrogów.

— Będę uważał. — Spojrzałem na młodego żołnierza. — Dostałeś jakieś wieści w sprawie ziemi dzierżawionej przez rodziców?

— Wuj napisał, że rodzice wielce się frasują. Po powrocie króla planuje przywieźć ich do Londynu. Będę wówczas stacjonował w Tower.

— Przeprowadźcie ich do mnie — rzekłem. — Przykro mi, że przyczyniłem się do ich nieszczęścia.

— Naprawdę sądzicie, że zdołacie im pomóc?

— Nie mogę niczego obiecać, dopóki nie zapoznam się z dokumentami w sprawie. Obiecuję uczynić wszystko, co w mej mocy. Przyrzekam. Sierżant obrzucił mnie długim, badawczym spojrzeniem.

— Mam nadzieję, panie. Jeśli oddadzą ziemię, nic im nie pozostanie.

Przytłoczony wyrzutami sumienia począłem się wspinać na wierzchołek wzgórza. Ścieżka była szeroka, a dębowy las rosnący na jej skraju sprawiał, że pokrywał ją gęsty dywan liści, musiałem więc uważać, aby nie upaść. Przez chwilę czułem się podenerwowany tym, że jestem sam, lecz uznałem, iż jeśli ktoś z obozu pójdzie moim śladem, z pewnością go wypatrzę.

Zerwał się zimny wiatr. Po dotarciu do wioski stwierdziłem, że składa się na nią jeden rząd ubogich chałup stojących wzdłuż traktu. Obok nich grzebało w ziemi parę kur i prosiąt, lecz oprócz kilkorga dzieci taplających się w kałuży nie dostrzegłem żywej duszy. Większość dorosłych pewnie zapędzono do pomocy przy rozbijaniu obozowiska.

Zbocze za wioską stawało się bardziej strome. Na szczycie ścieżka wychodziła na otwarty plac przed normańskim kościołem

o kwadratowej wieży. Przykościelny cmentarz z lewej strony sięgał linii lasu. Przystanąłem przed bramą cmentarną aby złapać oddech. Wiatr osłabł, a powietrze stało się czyste. Po prawicy ujrzałem-ogromną latarnię wysokości dwudziestu stóp wykonaną z desek ściągniętych grubymi powrozami. Była to jedna z owych latarni, które trzy lata temu Cromwell kazał poustawiać na wzgórzach w całym kraju, gdy zanosilo się na to, że Francja

i Hiszpania wkroczą do Anglii za namową papieża.

W dole ujrzałem obozowisko, w którym ludzie szykowali się do nocnego spoczynku. Podobnie jak owego dnia, gdy zbliżaliśmy się od Fulford, królewski orszak przywiódł mi na myśl ogromną plamę znaczącą okoliczny krajobraz. Spojrzałem na rezydencję, w której zatrzymał się król — starą piękną

budowlę, którą, zdaniem Brodericka, Henryk ukradł Robertowi Constable'owi. Wiele nakradł ten nasz monarcha, pomyślałem.

— W pogodny dzień widać stąd wieże Minsteru.

Nieoczekiwany głos sprawił, że podskoczyłem. Odwróciłem

się i ujrzałem Gilesa stojącego u mego boku.

— Dobry Boże, przestraszyłeś mnie.— Przepraszam. Szedłem odwiedzić grób rodziców. Zauważyłem cię w oddali. Wilgotne liście sprawiły, że nie usłyszałeś moich kroków. Wyglądasz na zasmuconego, Matthew.

— Musiałem wyrwać się na chwilę z obozu. Tutaj łatwiej się oddycha.

— Racja, na dole panuje wielki harmider i bałagan. — Spojrzał w kierunku zasnutego mgłą horyzontu. Słońce zaczęło kryć się za mlecznobiałymi obłokami, przez które przeświecały czerwone promienie. Giles wsparł się ciężko na lasce.

— W dniu, gdy postanowiłem, że będę studiował prawo, udałem się tu i spojrzałem w stronę Minsteru. Pomyślałem, że pewnego dnia będę wykonywał tam pracę prawnika.

— Tak też się stało.

— Zaiste. — Potrząsnął głową. — Stare dzieje. Wtedy związek łączący człowieka z Bogiem był jasny i wyraźnie określony. — Westchnął. — Później świat stanął na głowie, a York i cała północ znalazły się na dnie.

— Może po zakończeniu królewskiej podróży sytuacja na północy się ustabilizuje.

— Nie sądzę, aby król uczynił coś dla złagodzenia rozgoryczenia, które się tu nagromadziło. Udało mu się przekupić szlachtę, zapewnić sobie jej lojalność przysięgami, wystarczy jednak spojrzeć w twarz zwykłym ludziom, aby wiedzieć, co naprawdę czują.

Zaśmiałem się nieswojo.

— Giles, mówisz jak człowiek, który chowa urazę do wszystkich bogatych i chciałby doprowadzić do ich upadku. — Uśmiechnąłem się smutno. — Czasami sam się zastanawiam, czy na to nie zasługują.

— Nie, mylisz się. — Potrząsnął swoją lwią grzywą rudawych włosów. — Musimy mieć króla, aby w kraju panował ład. Niestety... Anglia ma takiego władcę, a nie innego.

— To prawda. — Spojrzałem na pola wykrojone wśród grząskich łąk u podnóża wzniesienia i kończące się raptownie na linii mokradła ciągnących się wiele mil za nimi. Postanowiłem zmienić temat, gdyż zdawałem sobie boleśnie sprawę, jak trudne są więzy lojalności, które kiedyś uznawałem za oczywiste.

— Gdzie było gospodarstwo twoich rodziców, Gilesie? — spytałem. Wskazał laską grupę zabudowań.

— Tam. Ojciec sam osuszył ziemię. Zauważyłeś pewnie, jak dzikie są mokradła Howlme. W oddali jest pustelnia, w której kiedyś zamieszkiwali mnisi, wskazywali drogę zbłąkanym wędrówcom. Teraz już jej nie ma. Król przejął nawet ich nędzną rudereę.

— Miałeś szczęśliwe dzieciństwo? — spytałem.

— Tak — odparł z uśmiechem.

— Ojciec nie chciał, abyś objął po nim gospodarstwo?

— Nie. Jak widzisz, praca uczonego sprawia mi radość. Rodzice zauważyli, że większe mam upodobanie do słów i argumentów niż tasaka z pazurem i rowów odwadniających. Pomyśleli, że mogę awansować w dalekim świecie.

— Ja również jestem mołem książkowym. Lubiałem rysować... kiedyś malowałem dla zabicia czasu, choć ostatnio tego zaniechałem. Wiedziałem jednak, że ojciec wolałby mieć krzepkiego syna, który objąłby po nim gospodarstwo... cóż, zamiast niego dostał mnie.

— Powinien był zaakceptować cię takiego, jaki jesteś, radować się twoim przenikliwym umysłem.

— Myślę, że próbował. — Zawahałem się. — Matka umarła, gdy miałem dziesięć lat.

— Zatem żadna niewiasta nie wywierała łagodzącego wpływu na twego ojca.

— Nie, później stał się jeszcze surowszy. — Przez chwilę milczałem.

— Idę na grób rodziców, a później do kościoła. Chcesz mi towarzyszyć.

— Tak, muszę obmyślić kamień nagrobny dla ojca.

Zaprowadził mnie na cmentarz. Większość pomników wykonanych z piaskowca naruszył ząb czasu, on jednak powiódł mnie do okazałego grobu z białego marmuru. Widniał na nim prosty napis:

Edward Wrenne 1421—1486 i jego żona, Agnes 1439—1488 Niech spoczywają w pokoju

— Oboje zmarli, gdym studiował — wyjaśnił. — Matka była bez reszty oddana ojcu. Zmarła i zmarła osiemnaście miesięcy po nim.

— Była znacznie młodsza od niego.

— Tak. Ojciec miał wcześniej inną żonę w swoim wieku. Nie doczekali się potomstwa. Zmarła w wieku czterdziestu kilku lat i została pochowana w grobowcu swojej rodziny. Ojciec poślubił wówczas moją matkę. Narodziłem się, gdy był już w podeszłym wieku.

— Rodzina mojego ojca mieszkała w Lichfield od pokoleń. Myślę, że po części właśnie dlatego żałował, że nie przejmę gospodarstwa. Nasza linia wygasła.

— Mój ojciec przybył do Howlme z Wakefield, gdy był młodym mężczyzną, więzi lokalne były więc słabsze.

Skinąłem wolno głową.

— To piękny pomnik. Marmur jest znakomitym materiałem. Też zamówię dla ojca pomnik z marmuru.

— Zostaw mnie chwilę samego, Matthew — rzekł cicho Giles. — Za minutę spotkamy się w kościele. Warto go obejrzeć.

Odwrociłem się i ruszyłem w stronę kościoła. Nagle zamarłem, słysząc trzask pękającej gałązki i głośny szelest. Spojrzałem w stronę drzew za cmentarzem, lecz nie dostrzegłem nikogo. Pomyślałem, że to jeleń, i ruszyłem w kierunku małego kościoła.

Mroczne wnętrze oświetlało kilka świeczek. Zauważyłem niewielkie, zgrabnie sklepione łuki i nowy dach o belkach ozdobionych różami Tudorów. W dużej bocznej kaplicy mrugał czerwony płomień lampy ustawionej przed obrazem Maryi Dziewicy. Nie przypadłoby to do gustu królowi Henrykowi. Usiadłem w ławie i zacząłem rozmyślać o ojcu, a światło wpadające przez wysokie ołtarze stopniowo słabło. Przed moimi oczami stanęła twarz ojca: zamazana, nieruchoma, pozbawiona uśmiechu. Tak, był surowym człowiekiem. Właśnie dlatego, gdym dorósł, z taką niechęcią powracałem do rodzinnego domu.

Usłyszałem dźwięk otwieranych drzwi i do środka wszedł Giles, stukając laską o podłogę. Podszedł do bocznej kaplicy i uczynił znak krzyża, a następnie wziął świeczkę i zapalił ją od lampy. Podszedł i postawił ją przed ławką, a potem usiadł ciężko obok mnie. — To piękne miejsce, prawda? Kiedyś byłem tu ministrantem. — Roześmiał się. — Byliśmy urwisami. Chwytałyśmy myszy, które podgryzały świece, zaprzęgałyśmy je do małych wózków własnej roboty i puszczałyśmy między ławkami.

— Też byłem ministrantem — odparłem z uśmiechem — chociaż w przeciwieństwie do ciebie grzecznym. Traktowałem wszystko bardzo serio.

Spojrzał na mnie.

— Dopóki nie stałeś się zwolennikiem reform.

— Tak, kiedyś byłem ich gorącym orędownikiem. Możesz w to wierzyć lub nie. Zawsze wszystko kwestionowałem.

— Myślę, że taki pozostałeś.

— Być może, chociaż teraz czynię to nieco inaczej.

Wrenne wskazał głową boczna kaplicę.

— To kaplica Constable'ów.

— Rodu sir Roberta Constable'a?

— Tak, mieli tu ziemię od wieków. Kapelan nadal odprawia mszę za ich dusze. Kiedy chodziłem tu jako dziecko, usługiwał tu ksiądz z ich rodu.

— Byli dobrymi panami?

— Nie. Surowymi, chciwymi ludźmi. Robert Constable był taki sam jak pozostali. Mimo to w końcu zginął za swoje przekonania.

Podobnie rzekłem Leaconowi o Brodericku.

— Słyszałem, że jego kości wiszą do dziś na bramach Hull.

— Tak, wkrótce je ujrzymy. — Zamyślił się chwilę. — Po śmierci ojca sprzedałem ziemię Constable'om. Trzymanie gospodarstwa w tak znacznej odległości od miejsca zamieszkania nie miało sensu. Nie powinieneś czuć się winny, jeśli sprzedaż gospodarstwo swojego ojca, Matthew.

— Masz rację.

Spojrzał na mnie i potrząsnął głową.

— Dźwigasz ciężkie brzemie. Najpierw ojciec, teraz te zamachy. Rzekłeś, że wcześniej podejmowano już jakieś próby?

Wziętem głęboki oddech.

— Trzy, licząc ciernie pod siodłem Genesis. Plus to ogłuszenie mnie podczas wykradzenia owych przeklętych dokumentów. Tydzień temu ktoś próbował przeszyć mnie rusztem w obozie. Giles wytrzeszczył oczy.

— Dobry Jezu.

— Później wypuszczono niedźwiedzia, gdym przechodził obok klatki.

— Mój Boże.

— Lękam się, że człowiek, który na mnie dybie, sądzi, iż dowiedziałem się czegoś z owych papierów ukrytych w skrzynce Oldroyda. — Przerwałem na chwilę. — Jednym z nich był Titulus.

— Tak?

— W ten sposób dowiedziałem się, jak niebezpieczne jest przechowywanie tego dokumentu.

— Teraz rozumiem. Co jeszcze widziałeś? — spytał ciekawie. — Maleverer rzekł mi, iż nie miałeś czasu dokładniej im się przyjrzeć.

— Nic wartego uwagi.

— Maleverer musiał być na ciebie wściekły z tego powodu.

— Nie tylko on, także członkowie Tajnej Rady.

— Jak to zniosłeś? — spytał delikatnie. — To i wydarzenia w Fulford?

— Ludzie potrafią wiele znieść, gdy nie mają wyboru. — Spojrzałem na niego. — Sam wiesz najlepiej.

— Wiem. — Wolno skinął głową. — Zaiste, Pan składa na nasze barki ciężkie brzemię. W ponurych chwilach zdaje mi się, iż są one cięższe, niż zdołamy udźwignąć.

Poruszyłem się w wąskiej ławie, ponownie czując ból karku.

— Chyba powinniśmy już wracać, za chwilę zapadnie zmrok.

— Pozwól, że zostanę tu jeszcze minutkę — powiedział. — Chciałbym się pomodlić.

— Oczywiście, zaczekam na ciebie przy latarni.

Wyszedłem z kościoła. Słońce skryło się już za horyzontem, a przykościelny cmentarz spowijał mrok. Przeszedłem przez bramę i spojrzałem na obozowisko. Okoliczne pola rozświetlały pochodnie i ogniska, wszystkie okna rezydencji jaśniały. Byli tam pewnie król i królowa. Craike dopilnował, aby im było wygodnie.

Giles modlił się długo. Namacałem palcami gruby powróz utrzymujący latarnię w pozycji pionowej, przywiązany mocno do wierzchołka żelaznego słupa wystającego ze środka ogromnego ogniska i przymocowanego do słupków wbitych w ziemię u podstawy.

Czując ucisk na pęcherz, rzuciłem okiem na cmentarz i drzewa graniczące z otwartą przestrzenią, aby upewnić się, że nikt mnie nie widzi. Wyciągnąłem przyrodzenie i odetchnąłem z ulgą, obsikując lampę strzyką moczu. Nagle odwróciłem się i zamarłem ze strachu. W odległości trzech jardów ode mnie stała Jennet Marlin. Miała na sobie czarną pelerynę z kapturem. Jej twarz wykrzywiało złowrogi grymas. Trzymała kuszę, mierząc w moje serce.

Patrzyłem na nią z otwartymi ustami. Przyłożyła kuszę do ramienia, ja zaś zmrużyłem oczy, czekając, aż przeszyje mnie bełt. Chociaż trzymała palec na spuście, nie wystrzeliła.

— Tym razem cię mam — rzekła przenikliwym głosem.

Obejrzałem się za siebie, w stronę kościoła, którego czarny

zarys majaczył na tle wieczornego nieba. Światło kaplicy zabarwiało okna słabą czerwonawą poświatą. Panna Marlin wykrzywiła twarz w grymasie uśmiechu i potrząsnęła głową.

— Nie licz na to, że starzec przyjdzie ci z pomocą — syknęła.

— Co... co mu zrobiłaś?

Spojrzała na mnie swoimi dużymi oczami pełnymi gniewu.

— Podparłam drzwi kościoła drewnianą kłodą. Jest w pułapce, to wszystko. Nie odbieram życia, jeśli to nie jest konieczne.

— Pozbawienie mnie życia jest koniecznością? — spytałem.

Nie odpowiedziała. Zauważyłem, że kusza na krótką chwilę

zadrżała w jej dłoni. Jennet Marlin była bardzo zdenerwowana. Modliłem się, aby nie drgnął jej palec...

Wiedziałem, że muszę ją zagadać tak długo, jak się da, aby nie nacisnęła spustu.

— Czy to ty próbowałaś przeszyć mnie rusztem w obozie? Wypuściłaś na mnie niedźwiedzia i wsunęłaś gałązkę róży pod siodło?

— Tak, w obozie nadarzyła się dobra okazja... spacerowałam brzegiem rzeki. — Jej spojrzenie było pełne nienawiści. Dlaczego? O co mnie podejrzewała? — Jeśli zaś idzie o niedźwiedzia, wiedziałam od Tamasin, że poszedłeś do Yorku, i czekałam, aż będziesz wracał obok zabudowań. Pomyślałam, że w ciemności może się udać. Kiedy wszedłeś do kościoła, pobiegłam wzdłuż zewnętrznej ściany i ukryłam się za klatką. Obserwowałam cię od dwóch tygodni — dodała z furją. — Z okien rezydencji opata, z obozu, z zakamarków dziedzińca. Kiedy ujrzałam, że wieczorem opuszczasz obóz, pomyślałam, że nie może się nadarzyć lepsza sposobność.

— Wzięłaś kuszę z przewróconego wozu?

— Tak. — Uspokoiła się, mierząc we mnie przez celownik.

— Czułem, że ktoś mnie obserwuje zza drzew. — Mów do niej, powiedziałem sobie. — To ty zabiłaś Oldroyda? — spytałem.

— Tak, musiał umrzeć. Miał tę przeklętą skrzynkę. Nie oddałby jej, nawet gdybym mu rzekła, iż przychodzę od Bernarda.

— Twój narzeczony dał ci misję do spełnienia? Bernard Locke należał do spisku?

— Tak, był jednym z nich.

— Sądziłem, że jesteś zwolenniczką reform.

— To prawda. Bernard żałuje tego, co uczynił. Chciał, aby zawartość skrzynki została zniszczona... bo mogłaby zagrozić panowaniu Henryka. Odpokutował winy, podobnie jak ja chciał ocalić króla przed zdradzieckimi spiskowcami.

Nie sądziłem, aby Bernard Locke żałował tego, co uczynił. Raczej wykorzystał tę zadurzoną w sobie niewiastę jako bezwolne narzędzie.

Ujrzałem za nią ledwie dostrzegalny ruch, wielki mroczny kształt zbliżający się w jej stronę. Rozpoznałem postać Gilesa. Jakimś cudem wydostał się z kościoła i teraz skradał się wolno w jej stronę z uniesioną laską. Na jego twarzy malował się wyraz napięcia, gdyż usiłował podejść niepostrzeżenie jak najbliżej. Wysiłkiem woli przesunąłem wzrok na Jennet Marlin.

— Bernard powiedział mi o dokumentach znajdujących się w posiadaniu mistrza Oldroyda. Miał je trzymać w skrytce w swoim domu. Kazał mi zabić szklarza, zabrać klucze i odnaleźć skrzynkę. Oldroyd nigdy by mi jej nie oddał.

— Zepchnęłaś z drabiny bezbronny człowieka... z zimną krwią.

— Nie miałam wyboru. — Jej głos nie zdrzał. — Czy nie był spiskowcem? Czy nie był zdrajcą zasługującym na śmierć? Gdyby jego koń się nie spłoszył, zabrałabym klucze. Głupie zwierzę podniosło alarm.

— Ustyszałaś, jak nadchodzimy, i ukryłaś się w kościele?

— Tak, omal mnie nie schwytałaś z tym gamoniem Barakiem. Później zjawiłaś się ze skrzynką, zanim zdołałam włamać się do domu Oldroyda. Z taką samą szkatułą, jaką opisał mi Bernard.

— Udawałaś przyjaźń, cały czas zastanawiając się, jak mnie zabić. Sądziłaś, że poznałam zawartość skrzynki?

Giles stanął tuż za nią, unosząc łaskę oburącz. Zawahał się chwilę, sądząc, że jeśli ją uderzy, panna Marlin wypuści bełt, osuwając się na ziemię.

— Tak, udawałam przyjaźń, aby coś z ciebie wyciągnąć. Ty również udawałeś przyjaciela. Cały czas ukradkiem śmiałaś się ze mnie, znałaś bowiem dokumenty obciążające Bernarda. Pozorowanie życzliwości było trudniejsze od targnięcia się na twoje życie. Zawsze, gdy widziałam twoją garbatą postać, robiło mi się słabo...

Teraz zrozumiałem przyczynę jej gniewu.

— Prawie nie widziałem owych papierów. Nie miałem pojęcia, że twój narzeczony uczestniczył w spisku.

— Bzdura. Nie powiedziałaś wszystkiego Malevererowi, lecz po powrocie do Londynu ujawniłaś to swojemu mocodawcy, Cranmerowi. Wiedz, że...

Nie dokończyła zdania, albowiem Giles uderzył ją w głowę z całej siły. Usłyszałem przerażający chrzęst łamanej kości. Jennet wydała słaby jęk zaskoczenia i padła na ziemię. Słyszając szcęk kuszy, rzuciłem się w prawą stronę. Usłyszałem głuchy odgłos, gdy bełt zagłębił się w drzewo. Spojrzałem przed siebie. Panna Marlin leżała na brzuchu z głową zasłoniętą kapturem. Giles stał za nią na chwiejnych nogach z szeroko wytrzeszczonymi oczami.

Podbiegłem do niej, przeskakując leżącą obok kuszę. Chwyciłem ją za ramię i poczułem, że jest bezwładna, pozbawiona życia. Nie oddychała. Czarne loki były wilgotne od krwi, a szeroko otwarte oczy patrzyły martwo niczym oczy ryby uwolnione od oszalałych emocji.

Poczułem rękę na ramieniu. Wstałem. Wytrzeszczone oczy Gilesa i nerwowy tik policzka wskazywały, że jest głęboko poruszony. — Zabiłem ją? — wyszeptał. Skinąłem głową.

— Ocaliłaś mi życie. Słyszałaś wszystko?

— Wystarczająco wiele. — Spojrzał w dół na jej ciało. — Dobry Boże. — Wziął głęboki oddech.

— W jaki sposób wyszedłaś?

— Znam ten kościół z czasów, gdy byłem chłopcem. Nie mogąc otworzyć głównych drzwi, wydostałem się w inny sposób. Boczna furtka. — Spojrzał na ciało Jennet Marlin.

— Lękałem się, że do ciebie wystrzeli. Podniosłem kuszę i wzięłem Gilesa pod ramię.

— Chodź — rzekłem cicho — musimy zejść do obozu. Trzeba natychmiast powiadomić Maleverera.

Rozdział trzydziesty czwarty

W drodze powrotnej do obozu starałem się nie ponaglać Gilesa, który kroczył przed siebie we własnym tempie. Staruszek stawiał ostrożne kroki, podpierając się laską i wymacując ścieżkę w ciemności. Kusza Jennet Marlin kołysała się na moim ramieniu.

— Myślisz, że Maleverer jest w Howlme Manor? — spytał Giles.

— Tak, powinniśmy się tam udać.

— Trudno uwierzyć, aby niewiasta zdołała tego wszystkiego dokonać.

— To możliwe — odparłem. U stóp wzgórza skręciliśmy w prawo i ruszyliśmy w kierunku rezydencji. Giles wyglądał na bardzo zmęczonego. Położyłem dłoń na jego ramieniu.

— Dasz radę? Może powinieneś wrócić do obozu, odnaleźć swój namiot i odpocząć.

— Nie, pójdę z tobą. Maleverer będzie chciał widzieć nas obu.

Dotarliśmy do wysokiego muru otaczającego posiadłość. Do rezydencji wchodziło się przez dużą bramę pilnowaną przez wartowników. Nie chcieli nas wpuścić do środka, lecz zdołałem ich przekonać, aby sprowadzili Maleverera. Giles przysiadł na pagórku przy bramie. Splótł dłonie na karku i opuścił głowę.

— Nic ci nie jest? — spytałem.

— Trochę mnie boli. Nie rób zamieszania z tego powodu — dodał z nieoczekiwaną gwałtownością.

Spojrzałem na niego z troską, pamiętając o jego upadku w Fulford. Przy bramie nastąpiło poruszenie. Przybył Maleverer. Popatrzył na nas, gniewnie marszcząc czoło.

— O co chodzi, do diabła? W rezydencji jest król. — Zmierzył mnie wzrokiem i spytał ostro: — Co się stało?

— Zaatakowano mnie ponownie, sir Williamie. — Podniosłem kuszę. — Jennet Marlin próbowała ustrzelić mnie z kuszy.

— Co? Białogłowa? — spojrzał na mnie z niedowierzaniem. — Gdzie ona jest?

— Jej zwłoki leżą przed kościołem w Howlme.

Rzucił mi twarde spojrzenie, a następnie zwrócił wzrok na Gilesa.

— Co ten starzec tu robi?

— Pan Wrenne był ze mną. Ocalił mi życie.

Giles podniósł głowę.

— Musiałem ją powalić — rzekł. — Nie było innego sposobu.

Maleverer wyciągnął rękę po kuszę.

— Ukradła ją z przewróconego wozu z bronią — wyjaśniłem.

— Wejdźcie do środka — warknął. — Obaj.

Zaprowadził nas ścieżką do wielkiej sali. Dzięki Bogu, nie

było w niej króla. Schodami przeszliśmy do izby, którą przekształcono w gabinet. Maleverer usiadł za biurkiem, my zaś stanęliśmy przed jego obliczem. W płomieniach świeczek twarz Wrenne'a sprawiała wrażenie bladej i spuchniętej.

— Czy pan Wrenne może spocząć, sir Williamie? — zapytałem. — Przeżył szok. — Maleverer spojrzał na niego i mruknął przyzwalająco.

— Dziękuję.

— Słucham, mówcie, co się stało.

Opowiedziałem mu wszystko, co zaszło na wzgórzu, powtarzając wyznanie Jennet Marlin o tym, że usiłowała mnie zabić, ponieważ była przekonana, iż poznałem treść dokumentów obciążających jej narzeczonego. Maleverer odchylił się do tyłu i spojrzał na Gilesa, który w milczeniu przysłuchiwał się moim słowom. Wskazał głową łaskę, którą Giles trzymał między kolanami.

— "Tym rozwalisz jej łeb?"

— Tak.

Giles spuścił oczy. Spojrzał na smugi krwi na swoich dłoniach i jego ciało przeszedł dreszcz. — Wiele słyszałeś, zanim ją uderzyłeś? — spytałem.

— Sam koniec. Nie chciałem jej zabić. Nigdy nie odebrałem nikomu życia...

— W takim razie uczyniłeś to dzisiaj wieczorem — rzekł Maleverer, patrząc na niego z pogardą. — Co z tobą? Wyglądasz, jakbyś za chwilę miał zemdleć. Wy, prawnicy, macie słabe żołądki.

— On... on źle się czuje — wyjaśniłem Malevererowi.

Spojrzał z zaniepokojeniem na staruszkę.

— W takim razie nie powinno go tu być. Król nie życzy sobie, aby w jego domu przebywali chorzy. Straż! — krzyknął. — Do izby wbiegł żołnierz. — Odprowadź waszmościa do jego namiotu! — wskazał głową Gilesa. — Dowiedz się, gdzie go umieszczono i zaprowadź.

Żołnierz pomógł Gilesowi wstać.

— Przepraszam — rzekł do mnie, a następnie wyszedł, opierając się na ramieniu żołnierza. Przez chwilę w izbie panowało milczenie. Maleverer gładził palcami brodę. Później sięgnął do szuflady biurka i wyciągnął jakiś przedmiot. Szkatułkę na klejnoty. Postawił ją na blacie. Spojrzałem

na nią i ujrzałem boginię łowów Dianę odzianą w szaty, jakie noszono sto lat temu, mierzącą z łuku do jelenia.

— Towarzyszyła mi od czasu wydarzeń w opactwie Świętej Marii. Wpatrywałem się w nią i rozmyślałem, kto mógł się za tym kryć. — Zarechotał. — Nigdy nie pomyślałem o pannie Marlin. Każę przeszukać jej pokój. Mogła w nim ukryć dokumenty.

— Ja również jej nie podejrzewałem. Z drugiej strony rozpaczliwie pragnęła uwolnić narzeczonego. Tylko na tym jej zależało. Człowiek zrozpaczony bywa niebezpieczniejszy od najgorszego łotra. Nigdy nie wiadomo, co uczyni w desperacji, łotr zaś zawsze pozostanie łotrem.

— Była sprytna. Bez trudu wykradła klucze do klasztornej kościoła. Wystarczyło powołać się na lady Rochford, aby mieć dostęp do całego King's Manor.

— Sprytna i opanowana. Udawała przyjaźń. — Uśmiechnąłem się ponuro. — Stałem się zbyt miękki wobec niej. Pragnąłem jej przyjaźni. Spojrzał na mnie badawczo.

— Spodobała ci się, co?

Westchnąłem.

— Nie, sir Williamie. Nie ufałem jej obsesyjnemu usposobieniu. Myślę, że to właśnie owa obsesja pozwoliła jej usprawiedliwić własne czyny. Ludzie zrozpaczeni potrafią znaleźć usprawiedliwienie dla wszystkiego, raz głupie, raz bardzo pomysłowe. — Wziąłem głęboki oddech i dodałem: — Sądziła, że byłeś odpowiedzialny za wtrącenie Locke'a do Tower, gdyż pożądałeś jego ziemi i miałeś nadzieję, iż zostanie skazany za zdradę.

Przygotowałem się na burzę, lecz Maleverer jedynie zachichotał.

— Głupia krowa, wysłałem go na południe z rozkazu Tajnej Rady, choć jeśli jego ziemie przejdą na rzecz Korony, co się teraz ani chybi stanie, być może niektóre kupię. — W jego oczach błysnęło pożądanie i w samym środku rozmowy o zdrajcach i mordercach uśmiechnął się przelotnie na myśl o kolejnym zysku. Zapewne już niedługo zgromadzi dość ziemi i uzna, że może się ożenić, że nikt już nie pamięta o jego nieprawym pochodzeniu.

Zmarszczył czoło i spojrzał na mnie i powiedział:

— Co z tobą? Nadal wyglądasz na zatroskanego.

— W dalszym ciągu nie rozumiem pewnych faktów. Czemu była taka pewna, że widziałem wszystkie dokumenty znajdujące się w skrzynce? Jeśli ogłuszyła mnie w opactwie, musiała widzieć, że przejrzałem jedynie te, które leżały na wierzchu.

Wzruszył ramionami.

— Może pomyślała, że już je przejrzałeś i odłożyłeś do skrzynki.

— Była pewna, że widziałem wszystkie i zataiłem to przed tobą, aby powiedzieć Cranmerowi.

Spojrzał na mnie twardo.

— Myliła się, prawda? — spytał, pukając palcem w skrzynkę. — Mamy jedynie twoje słowo, że więcej nie widziałeś.

— Rzekłem prawdę, sir Williamie.

Rzucił mi kolejne pogardliwe spojrzenie.

— Każę przetrząsnąć jej izbę. Jeśli nie znajdę tam owych dokumentów, przesłucham wszystkich, którzy mieli z nią kontakt. Młodą pannę Reedbourne i lady Rochford.

— Lady Rochford nie będzie z tego rada — rzekłem. — A Tamasin będzie przerażona.

— Niech ją szlag.

Pomyślałem, że jeśli żołnierze zapukają do komnat lady Rochford i izby Tamasin, pomyślą, że królowa i Culpeper zostali nakryci. Może i tak do tego dojdzie, skoro owe dokumenty istnieją. Spojrzałem na Maleverera.

— Sir Williamie, jej celem było zniszczenie dokumentów. Myślę, że uczyniła to dawno temu, kiedy odebrała mi je w opactwie.

Skinął głową, ponownie gładząc palcami brodę.

— Jeśli nie będzie po nich śladu, uznamy, że się ich pozbyła. Odebrała je Oldroydowi, który należał do spiskowców.

— Tak. Bernard Locke powiedział jej, że się opamiętał. Tłumaczyła sobie, że pomaga w pokrzyżowaniu planów spiskowców oraz niszczy obciążające go dowody. Sądzę wszak, że głównym motywem Locke'a było ratowanie własnej skóry.

Maleverer pokiwał głową.

— Wielu przetrzymywanych w Tower zmienia zapatrywania. Szczególnie gdy zobaczą koło i usłyszą jęki torturowanych.

— Broderick jest inny

— Jeszcze tam nie dotarł — warknął Maleverer. — Cóż, jeśli zniszczyła dokumenty, wyświadczyła nam przysługę, choć członkowie Tajnej Rady woleliby je pewnie zobaczyć. — Wstał. — Locke'a czekają teraz surowe przesłuchania. Każę rozpocząć przeszukanie. — Niemal wyczuwałem nerwową energię promieniującą z jego olbrzymiej postaci. — Rozkażę też zabrać ciało tej dziewczki, zanim potknie się o nie jakiś wieśniak. Dopóki nie wrócę, nie ruszaj się z tego pokoju, zrozumiano?

Kiedy wyszedł z izby w rozwianych szatach, usiadłem na krześle opuszczonym przez Wrenne'a. Pomyślałem, że choć Maleverer nie należy do najroztropiej szych, osiąga swój cel, zastraszając innych. Gardzi mną, lecz słucha moich przemyśleń. Westchnąłem i rozejrzałem się po pokoju, który kiedyś mógł

być gabinetem. Za biurkiem Maleverera wisiał stary gobelin przedstawiający scenę łowów. Czy wpatrywał się weń stracony Robert Constable, tak jak czyniłem to teraz? Odwróciłem się i wyjrzałem przez okno. Przez jakiś czas rozmyślałem, wpatrując się w ciemność.

Pomyślałem o Jennet Marlin. Nawet teraz było mi jej tylko żal. Zapewne obsesyjnie kochała Bernarda Locke'a od czasów dzieciństwa. Nie była brzydka, mogła znaleźć innego partnera, gdyby jej serce nie przygłnęło do niego rozpaczliwie. Ciekawe, jakim był mężczyzną. Pewnie charyzmatycznym draniem potrafiącym skłonić kobietę do uczynienia wszystkiego, o co poprosi. Poznałem takich w swojej prawniczej praktyce, szczególnie gdy pozbawili jakąś niewiastę całego majątku i ta próbowała go odzyskać za pomocą środków prawnych. Czy Locke wykorzystał obsesyjną miłość Jennet, aby uczynić z niej zabójczynię? Aby uniknąć w ten sposób egzekucji? Jeśli to uczynił, był gorszy od niej. Wzdrygnąłem się, gdy przed oczyma stanęła mi jej twarz. Grymas, z jakim na mnie patrzyła, trzymając kuszę.

Spojrzałem na skrzynkę. Ciekawe, do kogo pierwotnie należała. Z pewnością był bogaty. Pochyliłem się i otwarłem ją zaglądając do pustego wnętrza. Nadal zalaływała słabą wonią starych, stęchłych papierów. Czy Jennet Marlin je zniszczyła? Jeśli to uczyniła, wszystkie dowody obciążające królową i Culpepera zniknęły. Pomyślałem, że nic mnie to nie obchodzi, że nie czuję lojalności wobec Henryka. Może był fałszywym królem. Doznałby ulgi, gdyby wyznanie Blaybourne'a zostało zniszczone.

Podskoczyłem gwałtownie, słysząc huk otwieranych drzwi i widząc Maleverera wpadającego do pokoju.

— Czemu majstrujesz przy szkatule? — Opadł na krzesło. — W izbie Jennet Marlin nie znaleziono żadnych papierów. Jedynie listy od Bernarda Locke'a z Tower przewiązane tasiemką. Nic w nich nie ma prócz wyznań wzajemnej miłości. Słodkie gołąbe-czki. — Prychnął. — Kazałem przepytac inne damy dworu, aby dowiedzieć się, czy nie zapamiętały czegoś, co mogłoby nam pomóc. Wątpię wszak, by tak było. Sądzę, że masz rację. Zniszczyła owe dokumenty. Może cisnęła je do jednego z ognisk w Yorku. — Możesz iść do swojego namiotu. Wezwę cię, jeśli mi będziesz potrzebny. Na zewnątrz czeka żołnierz. Odprowadzi cię.

— Dobrze, sir Williamie. — Wstałem, pokłoniłem się i wyszedłem. Żołnierz stojący u drzwi wyprowadził mnie z Howlme Manor. Z ulgą odetchnąłem świeżym powietrzem.

— Czy król już śpi? — spytałem żołnierza, aby zagaic rozmowę.

— Nie, panie. Gra w szachy z jakimś szlachetnie urodzonym panem w sypialnej komnacie. Nie zaśnie jeszcze przez wiele godzin.

Powiódł mnie do obozu, w którym przygasały ogniska, a żołnierze i słudzy wstali już od wieczerzy. Siedzieli przed namiotami, prowadząc rozmowy lub grając w karty.

— Daleko jeszcze? — spytałem. — Wielcem utrudzony.

— Nie, dostaliście namiot przy ogrodzeniu. Wasz asystent i stary prawnik otrzymali kwatery obok.

Stanęliśmy przed trzema małymi stożkowatymi namiotami ustawionymi na skraju pola. Wokół rozstawiono inne, w których migotały płomienie świec, być może należące do prawników, gdyż tym z racji zajmowanej pozycji przysługiwała oddzielna kwatera. "Podziękowałem żołnierzowi, który odszedł w stronę rezydencji. Uchyliłem połę jedyne z trzech namiotów, który oświetlała płonąca świeca.

Giles leżał na rozkładanym łożu ustawionym na gołej trawie. Barak siedział na skrzyni obok niego, oparłszy kontuzjowaną nogę na drugiej. Szczył piwo, położywszy obok kulę.

— Cóż za sielska scena — rzekłem cicho. — Jak się miewacie?

— Pan Wrenne zasnął — odparł Barak. — Opowiedział mi, co się stało. Czy Jennet Marlin naprawdę nie żyje?

— Tak. Wracam od Maleverera. Kazał przeszukać jej rzeczy, lecz nie odnaleziono dokumentów.

— Zniszczyła je?

— Maleverer tak uważa. Jak twoja noga?

— W porządku, jeśli jej nie obciążam. Tammy musiała wrócić do swojej kwatery.

— Maleverer zamierza przestuchać w sprawie Jennet Marlin. Wezwie również inne damy dworu. Także lady Rochford.

— Tammy przeżyje szok — powiedział poważnym głosem Barak. — Bardzo lubiła pannę Marlin. — Westchnął.

— Nadal ani słowa od twojego przyjaciela z Londynu? W sprawie jej ojca?

— Napisał jedynie, że sprawdza pewne tropy.

— Powiedziałaś jej?

— Nie. Jeśli otrzymam złe wieści, w ogóle jej nie powiadomię.

Skinąłem głową i podszedłem do Gilesa. Spał głęboko.

— Ocalił mi życie. Myślę, że było to dla niego zbyt silne przeżycie. Nie zdołał więcej znieść. Musimy się o niego zatroszczyć.

— Oczywiście. — Barak spojrzał na mnie uważnie. — A zatem zagadka została rozwiązana.

— Mam nadzieję.

— Nie jesteś pewny?

— Coś nie daje mi spokoju, czuję się jednak zbyt zmęczony, aby o tym mówić. Muszę iść do namiotu i odpocząć. Nie umiem teraz jasno myśleć. — Nagle się roześmiałem.

— O co chodzi?

— Żołnierz, który mnie tu przyprowadził, rzekł, iż król gra w szachy z jakimś szlachcicem. Pomyślałem, że cała ta podróż przypomina jedną wielką partię szachów, w której prawdziwy król i królowa usiłują przechytrzyć mieszkańców północy.

Spojrzał na mnie poważnie, a oczy mu błyszczały w płomieniu świeczki.

— Prawdziwy król? — spytał cicho. — A może kukułka, która znalazła się w królewskim gnieździe?

— Tak czy owak, my trzej jesteśmy w tej grze pionkami, bez których łatwo można się obyć.

Rozdział trzydziesty piąty

Jechaliśmy traktem, który ciągnął się hen, aż po horyzont. Nadal dosiadałem konia, którego mi wczoraj pożyczono, jako że rany na grzbiecie Genesis nie zagoiły się na tyle, aby można go było osiodłać. Biedak truchtał na końcu kolumny razem z innymi luzakami. Obok mnie na grzbiecie Sukey podróżował osłabiony Barak. Uparł się, że nie będzie jechał wozem, mimo kontuzjowanej nogi. Gilesa nie było z nami — obudził się blady, chory i Wycieńczony. Podejrzewając, że ma atak, wybłągałem dla niego miejsce na jednej z furek. Dodam, że ja również odczuwałem skutki wczorajszej nocy i drżałem z zimna, choć otuliłem się szczelnie peleryną.

Dzisiaj mieliśmy pokonać jeszcze dłuższy odcinek do zamku Leconfield leżącego pięć mil na północ od Hull. Okolica za Howlme była bardziej pagórkowata, z niskimi wzgórzami porośniętymi drzewami o czerwonych i żółtych liściach lśniących w promieniach chłodnego jesiennego ranka. Krajobraz był naprawdę piękny. Na wschodzie rysowała się linia wzgórz, które jeden z podróżnych nazwał wrzosowiskami Yorkshire. Wokół słychać było stukot koni i terkot wozów. Przed nami migotały piórka w urzędniczych czapkach, skrzyły się jaskrawe kaftany żołnierzy jadących po obu stronach kolumny. Uprzęże dzwoniły, a posłańcy śmigali tam i z powrotem poboczem traktu.

Nie mogłem się uwolnić od obrazu Jennet Marlin leżącej na ziemi ze zmiażdżoną głową. Pomyślałem, że dzisiejszy stan Gilesa był przynajmniej po części wywołany reakcją na to, co musiał uczynić. Przypomniałem sobie szok na jego twarzy i wyznanie: „Nigdy nie odebrałem nikomu życia”.

— O czym tak rozmyślasz? — spytał Barak.

— O ostatniej nocy. O panie Marlin leżącej bez życia na wzgórzu.

— Spotkałem się z Tammy dziś rano, zanim wyruszyliśmy. Wyznała mi, że lady Rochford była przerażona, kiedy Maleverer przyszedł ją przepytwać. Także Tammy została przesłuchana, nie mogła mu jednak nic powiedzieć. — Spojrzał na mnie. — Była przybita, gdy dowiedziała się prawdy o panie Marlin. Płakała, kiedym ją ujrział.

— Przybita tym, że jej pani okazała się zabójczynią?

— I tym, że nie żyje.

— Lady Rochford musiała się lękać, że lekkomyślność królowej wyjdzie na jaw.

— Tak, lecz żadna z dam o niczym nie wiedziała. Panna Marlin nie miała przyjaciół oprócz Tamasin. Czasami wybierała się na samotne spacerunki, nikt jednak nie wiedział, dokąd chodziła.

— Wymykała się, aby mnie szpiegować — rzekłem.

Barak ściszył głos.

— Miałaś rację, nie wspominając Malevererowi o Culpe-perze. Rozchmurz się, jesteś bezpieczny. Wszystko skończone. Możesz się przestać kłopotać o owo drzewo genealogiczne i Blaybourne'a. — Uśmiechnęła się. — Przestań biadolić, jak mawiają w Yorku.

— Coś nie daje mi spokoju — wyznałem cicho.

— O co ci chodzi?

— Jennet Marlin nie przyznała się do tego, że zabrała papiery.

— I co z tego?

— Jestem pewny, iż chciałyby się upewnić, że nie żyję, kiedy wzięła owe dokumenty w King's Manor.

— Sądzisz, że należała do spiskowców.

Potrząsnęłam głowę.

— Nie, działała sama. We własnej sprawie.

— Któż więc mógł je zabrać? — dopytywał się Barak wyraźnie poirytowany. — Nie mam pojęcia. Czemu nie zabiła mnie od razu, gdy ostatniej nocy nadarzyła się po temu okazja? Mogła strzelić mi w plecy, gdy załatwiałem potrzebę przy latarni. Zamiast tego zadawała mi pytania, mierząc we mnie. — Wstrząsnęłam mną dreszcz. — Myślę, że gdyby zdążyła, zapytałaby, czy wiem, gdzie są owe papiery.

— Przecież nie mogłaś tego wiedzieć.

— Sądziła, że je mam. Wyjaśniałoby to, dlaczego była taka pewna, iż widziałem dokumenty obciążające Bernarda Locke'a.

— Wcześniej nie próbowała cię o to spytać. Suka, po prostu próbowała cię zabić.

— Nie miała okazji. Gdyby jedna z wcześniejszych prób się powiodła, mogłaby znaleźć pretekst, aby przejrzeć moje papiery w kwaterze w opactwie. Może przekupiłaby służbę.

Barak potrząsnął głową.

— Nie wyobrażam sobie tego.

— Nie mam żadnego dowodu. Jeśli w King's Manor napadł na mnie ktoś inny związany ze spiskowcami, dokumenty dawno temu znalazły się w ich rękach.

— Zatem zniknęli, kimkolwiek byli?

— Najpewniej dawno temu. — Westchnąłem. — Maleverer rzekł, iż Bernard Locke zostanie surowo przesłuchany. Może coś z niego wyciągną.

Barak wzruszył ramionami.

— Pewnie porozciągają go na kole.

— Tak. — Wzdrygnąłem się. — Ciekawe, co powie? Mam nadzieję, że nie wymieni nazwiska Martina Dakina. Staruszek by tego nie wytrzymał.

— Nie ma powodu, aby miał to zrobić. Po prostu pracowali w tej samej kancelarii.

Skinąłem głową w zamyśleniu.

— Jest między nimi różnica wieku. Giles rzekł, iż Dakin ma ponad czterdzieści lat. Locke musi być dziesięć lat młodszy, jeśli jest w wieku Jennet Marlin.

— Słusznie, prawnicy o tak różnym doświadczeniu zwykle ze sobą nie przestają.

— Chyba że coś ich łączy. — Westchnąłem ponownie. — Kiedy dotrzemy do Leeonfield, muszę odwiedzić Brodericka. Wczoraj nie zjrzałem do jego wozu.

Barak zmienił pozycję, aby ulżyć nodze.

— Powinieneś rzec Malevererowi, co myślisz. Owe dokumenty mogły nie zostać zniszczone.

— Uczynię to, lecz pewnie znowu mnie zbeszta. Wierzy w to, co chce, ma nadzieję, że sprawa jest zakończona.

Barak powiódł wzrokiem po otaczającym nas tłumie.

— Kto to mógł być?

Podążyłem za jego spojrzeniem.

— Każdy, dosłownie każdy.

Przejechaliśmy przez małą miścinę Market Weighton, nie zatrzymując się ani na chwilę. Król i królowa jechali na czele kolumny tak daleko od nas, że nie było ich widać. Ludzie stali na ulicach i obserwowali orszak, podobnie jak wcześniej czynili to wieśniacy. Ściągnęli czapki, lecz spoglądali na nas z kamiennymi twarzami, choć z oddali dobiegały wiwaty, gdy królewska para mijała zgromadzony lud.

Pod wieczór wjechaliśmy w las. Drzewa pochylały się nad traktem, spowalniając naszą prędkość, tak że poruszaliśmy się w tempie chodu. Kiedy słońce poczęło zachodzić, stanęliśmy na trawiastej przestrzeni przed ogromną rezydencją otoczoną starą fosą. Zsiedliśmy z koni, a stajenni opiekujący się wierzchowcami, odprowadzili je na koniec kolumny.

— Wiesz, gdzie nas zakwaterowano? — zapytałem stajennego.

— Sługa powie wam za chwilę, panie. Poczekajcie.

Pomogłem Barakowi, gdyż z powodu odniesionej kontuzji

nie mógł samodzielnie zejść z konia. Rzucił przekleństwo, mrużąc z niezadowoleniem pod nosem. Po chwili zjawił się Giles. Chociaż wyglądał lepiej niż rano, nadal wspierał się ciężko na lasce. Usiedliśmy na trawie, spoglądając na fosę, zamek oraz strumień ludzi i wozów wlewający się na sąsiednie pola. Na naszych oczach jeden po drugim zaczęły wyrastać namioty. Moją uwagę zwrócił znajomy czarny wóz, który wjechał na sąsiednie pole w otoczeniu żołnierzy.— Broderick — rzekłem.

Giles spojrzał na mnie z zaciekawieniem.

— Sir Edward Broderick z Hallington? Słyszałem, że został aresztowany. Wiozą go na południe?

— Tak. — Pytania o szczelnie zamknięty wóz strzeżony przez oddział wojska były nieuniknione teraz, gdy król wyruszył w dalszą drogę. Spojrzałem na Gilesa. — Znałeś go?

— Tylko ze słyszenia. Powiadano, że to świetnie zapowiadający się młodzieniec i dobry pan. — Uśmiechnąłem się ze smutkiem.

— Odpowiadam za to, by otoczono go właściwą opieką. Na prośbę arcybiskupa Cranmera.

— Jeszcze jeden obowiązek? — Giles rzucił mi poważne spojrzenie. — Dźwigasz ciężkie brzemię, Matthew.

— Już niedługo, w końcu wyruszyliśmy w drogę. Powinienem sprawdzić, jak się miewa. Wybaczcie. — Podniosłem się i ruszyłem przez pole w stronę wozu, którym transportowano więźnia.

Leacon, który właśnie oporządkował konia, skłonił się na mój widok.

— Czekałem na was ostatniej nocy, panie — powiedział.

— Coś mnie zatrzymało. — Popatrzyłem na zamknięty wóz. — Jak się czuje sir Edward?

— Jest apatyczny.

— A Radwinter?

Leacon splunął na ziemię.

— Tak samo jak co dzień.

— Zajrzę do nich.

— Sir William Maleverer był tu wczorajszej nocy. Sprawiał wrażenie ponurego. Jakiś czas rozmawiał z więźniem sam na sam. Radwinter musiał czekać na zewnątrz, co nie było mu w smak.

Pomyślałem, że pewnie chciał ustalić, czy Brodericka nie łączyło coś z Jennet Marlin.

— Zobaczę, jak się miewa — powiedziałem, wspinając się na mały stopień umieszczony z boku wozu i pukając do drzwi. Po chwili przez szparę wyjrzał Radwinter. Sprawiał wrażenie

zaniedbanego. Włosy miał rozczochrane i był wyraźnie zmęczony. Podczas podróży trudno mu było utrzymać schludny wygląd.

— Jużem myślał, że zapomnieliście o nas — rzekł kwaśno.

Kiedy zrobił mi miejsce, wszedłem do ciemnego, cuchnącego

wnętrza wozu. W środku śmierdziało potem i niemytym ludzkim ciałem. Siedzenia wymontowano, a na deskach położono kilka słomianych sienników dla więźnia i jego strażnika. Broderick leżał na jednym z nich z rękami i nogami skutymi ciężkim łańcuchem. Chociaż w ciemności niewiele widziałem, pomyślałem, że wygląda na bledszego niż zwykle.

— Witaj, Brodericku — powiedziałem.

Spojrzał na mnie jasnymi oczami pełnymi gniewu. Byłem ciekaw, czy wie coś o Jennet Marlin i jej narzeczonym, jednak nawet gdyby tak było, Maleverer niczego by zeń nie wyciągnął.

— Gdzie jesteśmy? — spytał.

— W Leconfield. Zanocujemy tu, a rano wyruszymy do Hull.

— Leconfield. — Na jego twarzy pojawił się wyraz smutku.

— Znasz to miejsce, panie?

— Tak. — Wyjrzał przez otwarte drzwi wozu. — Jesteśmy na zamku?

— Na okolicznych polach. Można go stąd zobaczyć.

— Jeśli pozwolisz, chciałbym rzucić na niego okiem przez otwarte drzwi.

— Nie — sprzeciwił się Radwinter.

— Tak — powiedziałem. Chciałem obejrzeć więźnia w lepszym świetle.

Radwinter gniewnie wzruszył ramionami. Broderick próbował się podnieść, lecz pętały go ciężkie łańcuchy. Podałem mu ramię, o które niechętnie się oparł. Przez brudną koszulę wyczułem jego wychudzone ramię. Pokuśtykał do otwartych drzwi i spojrzał na zamek. Po zwodzonym moście jechali dworzanie, a grupka łabędzi wzbiła się do lotu ponad fosą spłoszona hałasem. Wysokie mury z cegły lśniły czerwienią w promieniach zachodzącego słońca. Wszędzie widać było drzewa o jaskrawych jesiennych barwach. Przyglądałem się twarzy Brodericka, który mrugał oczami nienawykłymi do światła. Był strasznie chudy i blady.

— Jako chłopiec często tu bywałem — rzekł łagodnym tonem, jakim wcześniej nie przemawiał.

— Kiedyś była to siedziba rodu Percy w Yorkshire. — Spojrzał na mnie. — Onegdaj był to jeden z największych rodów północy.

— Kto jest obecnym właścicielem zamku? — spytałem.

— A kto jest właścicielem wszystkiego? — odpowiedział pytaniem. — Król. Zmusił hrabiego Northumberland, aby zapisał mu wszystko, a po jego śmierci przejął majątek. Prawowitym dziedzicem był brat hrabiego, sir Thomas, lecz wziął udział w Pielgrzymce Łaski i został stracony.

— Gdzie wiszą jego kości?

Broderick rzucił mi ostre spojrzenie.

— Nigdzie. Król kazał go spalić w Smithfield. Pozostał po nim jedynie proch miotany przez wiatr. — Broderick spojrzał na Radwintera. — Pewnie byłeś tego świadkiem, rzekłeś, że obserwowałeś wszystkie egzekucje.

Radwinter zmarszczył brwi.

— Obowiązkiem każdego obywatela jest oglądanie śmierci zdrajców.

— Dla ciebie to przyjemność. Odpowiedni z ciebie sługa dla Mouldwarpa.

Radwinter zachichotał.

— Jazda do środka. Lepiej, aby chrześcijanie nie oglądali twojej zdradzieckiej gęby. — Ujął Brodericka pod ramię i wciągnął go do mrocznego wnętrza. Sir Edward położył się niezdarnie na sienniku, pobrzękując łańcuchami.

— Przyda mi się odrobina świeżego powietrza — rzekł Radwinter. — Chcecie zamienić ze mną słówko, panie Shardlake? — Mówiąc to, zeskoczył lekko na trawę. Zwlokłem się z wozu w ślad za nim. Radwinter odetchnął głęboko chłodnym wieczornym powietrzem.

— Miło znaleźć się na zewnątrz. Wiecie, czy ruszymy jutro do Hull?

— Nie jestem tego pewien, choć jak miemam, tak właśnie się stanie.

— Rad opuścę wnętrze wozu. Ciągle podskakuje, choć trzeba przyznać, że jest bezpieczny. Słyszałem, iż ktoś próbował was zabić, lecz sam dał życie — dodał tym samym lekkim tonem. — Białogłowa. jakim wcześniej nie przemawiał. — Kiedyś była to siedziba rodu Percy w Yorkshire. — Spojrzał na mnie. — Onegdaj był to jeden z największych rodów północy.

— Kto jest obecnym właścicielem zamku? — spytałem.

— A kto jest właścicielem wszystkiego? — odpowiedział pytaniem. — Król. Zmusił hrabiego Northumberland, aby zapisał mu wszystko, a po jego śmierci przejął majątek. Prawowitym dziedzicem był brat hrabiego, sir Thomas, lecz wziął udział w Pielgrzymce Łaski i został stracony.

— Gdzie wiszą jego kości?

Broderick rzucił mi ostre spojrzenie.

— Nigdzie. Król kazał go spalić w Smithfield. Pozostał po nim jedynie proch miotany przez wiatr. — Broderick spojrzał na Radwintera. — Pewnie byłeś tego świadkiem, rzekłeś, że obserwowałeś wszystkie egzekucje.

Radwinter zmarszczył brwi.

- Obowiązkiem każdego obywatela jest oglądanie śmierci zdrajców.
- Dla ciebie to przyjemność. Odpowiedni z ciebie sługa dla Mouldwarpa.

Radwinter zachichotał.

- Jazda do środka. Lepiej, aby chrześcijanie nie oglądali twojej zdradzieckiej gęby. — Ujął Brodericka pod ramię i wciągnął go do mrocznego wnętrza. Sir Edward położył się niezdarnie na sienniku, pobrzękując łańcuchami.
 - Przyda mi się odrobina świeżego powietrza — rzekł Radwinter. — Chcecie zamienić ze mną słówko, panie Shardlake? — Mówiąc to, zeskoczył lekko na trawę. Zwlokłem się z wozu w ślad za nim. Radwinter odetchnął głęboko chłodnym wieczornym powietrzem.
 - Miło znaleźć się na zewnątrz. Wiecie, czy ruszymy jutro do Hull?
 - Nie jestem tego pewien, choć jak mniemam, tak właśnie się stanie.
 - Rad opuścę wnętrze wozu. Ciągłe podskakuje, choć trzeba przyznać, że jest bezpieczny. Słyszałem, iż ktoś próbował was zabić, lecz sam dał życie — dodał tym samym lekkim tonem. — Białogłowa.
 - To prawda.
 - Maleverer rzekł mi o tym, gdy przyszedł wypytać Brodericka ostatniej nocy. Sir Edward zaprzeczył, że zna ową niewiastę i jej narzeczonego. Może zdenerwowałeś ją pan swoim wścibskim, fałszywym postępowaniem?
 - Niewykluczone — odparłem obojętnie. Nie zamierzałem rzec mu więcej niż Maleverer. — Broderick sprawia wrażenie chorego i osłabionego. Sierżant Leacon powiada, że cały czas opowiadasz mu ponure historie.
 - To opowieści stosowne dla zdrajcy. Nie bez powodu mówię takie rzeczy Broderickowi. — Zmrużył oczy. — Powiedźcie mi, panie Shardlake, często oglądacie walki kogutów lub szczucie niedźwiedzi? Nie, nie lubicie takich przedstawień, słabej jesteście natury.
 - Jaki to ma związek z tematem naszej rozmowy?
 - Gdy byłem chłopcem, wchodziłem do jamy niedźwiedzia, gdy tylko udało mi się namówić jakiegoś naiwniaka, aby dał mi za to marnego grosza. Bywałem też z ojcem na egzekucjach, obserwowałem, jak wieszają i palą przestępców, chociaż w owym czasie takie widowiska rzadziej się zdarzały. Odkryłem, że ludzie i zwierzęta zupełnie inaczej idą na stracenie.
- Spojrzałem na niego. Kiedyś lękałem się tego człowieka o dziwnych, lodowatych oczach, jednak im częściej go spotykałem, tym większą doń czułem odrazę.
- Różnica polega na oczekiwaniu. Psy prowadzone do jamy niedźwiedzia nie myślą: Jezu, za chwilę zginę w strasznych męczarniach. Idą, walczą i giną. W odróżnieniu od nich ludzie wiedzą, często wiele dni wcześniej, co ich czeka. Oczekują męczarni zadawanych przez wolno

zadzierzgający się sznur, odrywania ciała od kości przez płomienie. Dla skazanych nie ma uciezki, jeśli jednak człowiek może ocalić życie, zdradzając tajemnicę... — Radwintar uniósł brwi. — Opowiadam Broderickowi te historie, aby go wypróbować i przestraszyć. Zabroniono mi stosowania cielesnych tortur, lecz odkryłem, że słowa bywają równie skuteczne.

— Broderick nigdy się nie złamie — rzekłem zniecierpliwiony. — Sam pan wiesz.— Woda drąży kamień. Nie mogę uwierzyć, by po nocach nie rozmyślał z przerażeniem o tym, co go czeka w Tower.

— Myślę Radwintar, żeście obłąkani — powiedziałem — i że z każdym dniem wasz stan się pogarsza. — Po tych słowach odwróciłem się i odszedłem.

Spotkanie z Radwintarem jak zwykle wyprowadziło mnie z równowagi. Kontakt z tym człowiekiem nieodmiennie wywoływał we mnie uczucie, jakby przeczłogało się po mnie coś nieczystego. Odszedłem w stronę zamku, gniewnie marszcząc brwi.

Kilku urzędników stało na łące przed fosą, oddychając wieczornym powietrzem i rozmawiając. Obok nich dostrzegłem Craike przeglądającego jakieś kwity umieszczone na małej deseczce. Zawahałem się, wiedząc, że wprawiam go w zakłopotanie, lecz w końcu postanowiłem do niego podejść. Pragnąłem pomówić z Tamasin, on zaś wiedział, gdzie ją umieszczono.

— Dobry wieczór — przywitałem się. — Ciągle pracujesz?

— Tak, jestem bardzo zajęty. — Odsunął się o krok i choć wiedziałem, z jakiego powodu nie chce ze mną mówić, jego opryskliwość mnie rozdrażniła.

— Chciałbym cię o coś spytać — rzekłem równie oficjalnym tonem jak on. — O zakwaterowanie na dzisiejszą noc.

— Pytaj szybko, bom bardzo zajęty. Przed chwilą dowiedziałem się, że zabawimy tu cztery noce.

— Cztery?

— Tak. Ruszymy do Hull pierwszego października.

Zacisnąłem wargi. Pragnąłem jak najszybciej wsiąść na pokład

okrętu płynącego do Londynu, a okazało się, że zabawimy tu dłużej. Odwróciłem się do Craike'a, przypominając sobie, w jakim celu go zagadnąłem.

— Wiesz, gdzie ulokowano służki królowej? — zapytałem. Spojrzał na mnie zmrużonymi oczyma. — To sprawa urzędowa — dodałem.

Wskazał piórem pole, na którym poczęto rozstawiać namioty w pewnej odległości od pozostałych. — Tam.

— Dziękuję — odparłem, próbując się do niego uśmiechnąć. — Mam nadzieję, że wszystko pójdzie gładko. — Widząc, że odwrócił się już do mnie plecami, pokręciłem głową i zacząłem iść we

wskazanym kierunku. Gdy zbliżyłem się do namiotów, ujrzałem, że Tamasin idzie ku mnie, unosząc skraj sukni, aby nie pomoczyć jej o mokrą trawę. Kiedy podeszła bliżej, zauważyłem, że jej oczy są czerwone od łez.

— Szukałem cię — rzekłem. — Chciałem ci opowiedzieć, co się stało.

— A ja szukałam waszmościa. — Uśmiechnęła się przez łzy, stając obok mnie. — Jak się miewa Jack? — spytała.

— Noga przestała go boleć, jeśli jej nie obciąża. Jest w zrzędlwym nastroju.

— Tak myślałam.

Spojrzałem na nią.

— Powiedział mi, że Maleverer przesłuchał cię ostatniej nocy.

Rzuciła mi sardoniczny uśmiech, który nie pasował do kobiecych rysów jej twarzy.

— A teraz przyszedłeś pan, by o to wypytać?

— Muszę wiedzieć, czego chciał się dowiedzieć.

— Przepytywał wszystkie służące królowej, lecz ani ja, ani żadna z nich nie mogłyśmy mu pomóc. Jennet rozmawiała ze mną niemal wyłącznie o obowiązkach i narzeczonym w Tower. Wspominała też o swoim wcześniejszym życiu. Miała smutne dzieciństwo. Była niechcianą sierotą, tylko pan Locke był dla niej życzliwy. Żał mi jej, mimo wszystkiego, co uczyniła.

— Wybacz, jeśli nie okażę jej dość współczucia.

Nie odpowiedziała.

— A lady Rochford? Jack powiedział, że wydawała się przestraszona, gdy Maleverer wziął ją na rozmowę.

— Nie widziałam tego. Słyszałam jedynie, jak krzyczała na Maleverera, a on na nią. — Ściszyła głos. — Myślę, że się uspokoiła, gdy zrozumiała, iż nie ma to nic wspólnego z Culpeperem i królową. Culpeper nie zbliżył się do królowej od kilku dni. Spojrzałem na nią.

— Płakałaś. Lękałaś się jak ona?

Popatrzyła mi w oczy.

— Płakałam z powodu Jennet. Nic na to nie poradzę. Była dla mnie miła, traktowała mnie niemal jak córkę. — Zawahała się. — Co się stanie z jej ciałem?

— Nie mam pojęcia. Pewnie pochowają je w Howlme. Ona próbowała mnie zabić, Tamasin.

Dziewczyna westchnęła boleśnie.

— Wiem, nic z tego nie rozumiem.

- Działała na polecenie narzeczonego, sama to wyznała. Uczyniła to z miłości — dodałem sucho. — Miłość przerodziła się w obsesję usuwającą w cień wszelkie inne uczucia.
- Kochała tego człowieka. To uczucie ją pożerało. Co się z nim teraz stanie?
- Zostanie przesłuchany na tę okoliczność.
- Surowo?
- Tak.
- Trudno uwierzyć, aby miłość mogła pchnąć człowieka do popełnienia takiego zła.
- Może się tak stać, gdy człowiek odda się mu bez reszty.

Spojrzała na mnie z zaciekawieniem.

- Naprawdę w to wierzysz, panie?

Rzuciłem jej surowe spojrzenie.

- Ktoś mógłby powiedzieć, że sztuczka, którą odegrałaś przed Jackiem, gdy wjeżdżaliśmy do Yorku, była oznaką... nie obsesji, lecz braku poczucia właściwej miary.
- Wytuczamy własną drogę w życiu działaniem, a nie paplaniem bez końca, panie — odpowiedziała.
- Czyżby? Stałaś się nauczycielką? Chcesz mnie pouczać?

Tamasin odwróciła głowę.

- Czy Jennet nie powiedziała ci niczego, co mogłoby nam pomóc w odgadnięciu jej planów?
- Nie — odrzekła, nie odwracając głowy.
- Nie rozmawialiście o owych skradzionych dokumentach, kiedy Maleverer przesłuchał was obie w King's Manor?
- Nie, nie była tym zainteresowana, a przynajmniej chciała stworzyć takie wrażenie. Spojrzałem na jej odwróconą twarz. Była na mnie rozgniewana. Poczujęm, że dawna irytacja, którą wobec niej odczuwałem, ponownie ożywa.

Dotarliśmy do miejsca, w którym Giles i Barak siedzieli na trawie. Barak usłyszał, że się zbliżamy, podniósł głowę i pomachał Tamasin.

- Jack! — zawołała niecierpliwie i pobiegła do niego.

Rozdział trzydziesty szósty

Zabawiliśmy w Leconfield trzy dni, w namiotach rozbitych na łące przy fosie. Podobno król miał do załatwienia jakieś sprawy. Szkoci napadali na przygraniczne wioski, co było pewnym znakiem, iż

Jakub nie jest zainteresowany zbliżeniem z Anglią. Może wzmocnienie fortyfikacji Hull wcale nie było takim złym pomysłem.

Uczestnicy królewskiej podróży mieli zakaz wychodzenia poza pola otaczające obóz, lecz ja nie zapuszczałem się nawet tak daleko. Odpoczywałem w swym namiocie. Dobrze mi to zrobiło, pomogło zapomnieć o dramatycznych wydarzeniach w Howlme i doświadczyć odrobiny relaksu. Jedynym moim ćwiczeniem były codzienne wizyty w wozie Brodericka, który stał na sąsiednim polu pilnie strzeżony przez żołnierzy. Sir Edward zamknął się w sobie, leżał bez ruchu na sienniku, jakby nie dostrzegał mojej obecności. Radwinter też niewiele mówił, zaprzestając typowych dla siebie słownych zaczepk. Może moje oskarżenie o obłąd trafiło w czuły punkt.

Pierwszego ranka w Leconfield zebrałem się w sobie i ponowię odwiedziłem Maleverera. Wartownicy skierowali mnie na wewnętrzny podwórzec zamku. Gdy na niego wstąpił, serce we mnie zamarło, albowiem sir William spacerował, rozprawiając z Richardem Richem. Spojrzeli na mnie ze zdumieniem. Ściągnąłem czapkę i pokłoniłem się.— Otóż znowu kolega Shardlake — rzekł Rich z uśmiechem. Przypomniałem sobie, że widział, jak wychodzę z namiotu królowej w Howlme, gdy mnie wezwała lady Rochford. Byłem ciekaw, czy do tego nawiąże, on jednak powiedział tylko: — Słyszałem, że uszliście cało z kolejnego zamachu. Że targnęła się na was białogłowa. Gdyby was ustrzeliła, moje życie stałoby się nieco łatwiejsze. Uwolniłbym się od kłopotów związanych ze sprawą Bealknapa. — Roześmiał się, a Maleverer zawtórował mu pochlebczym rechotem.

Byłem tak przyzwyczajony do drwin Richa, że słowa te nie wywarły na mnie większego wrażenia. Spojrzałem na Maleverera.

— Chciałem z wami pomówić o panie Marlin, sir Williamie.

Maleverer zwrócił się do Richa:

— Sprytny to człek. Miewa czasem dobre pomysły. Rozwikłał zagadkę otrucia Brodericka.

— Wie zbyt wiele — warknął Rich. — Pójdę już, sir Williamie. Później pomówimy o naszych sprawach. — Po tych słowach zostawił nas samych.

Maleverer rzucił mi poirytowane spojrzenie.

— Cóż mi chcecie rzec, kolego Shardlake?

Opowiedziałem, dlaczego nie dawało mi spokoju zachowanie

Jennet Marlin pod latarnią w Howlme.

— Nie jestem pewny, czy to ona napadała mnie w King's Manor. Nie powiedziała tego wprost, dziwne też, że pozostawiła mnie przy życiu po to tylko, aby później na mnie polować. — Spojrzałem na niego. — Przypuszczalnie podejrzewała, że ukryłem owe dokumenty przed tobą, by je pokazać Cranmerowi.

Zmarszczył czoło i przygryzł jeden ze swych długich pożółkłych paznokci.

— Oznaczałoby to, że owe papiery dostały się jednak w ręce spiskowców. — Mogło tak się stać, sir Williamie.

— Znadto spekulujesz. Gdyby buntownicy je mieli, dawno temu by ich użyli.

— Może czekają... na odpowiednią chwilę.

Spojrzał na mnie badawczo.

— Rzekłeś jeszcze komu o swych podejrzeniach?

— Jedynie Barakowi.— Co on na to? — burknął Maleverer.

Zawahałem się.

— Podobnie jak wy uważa to za czystą spekulację.

— A widzisz! Zapomnij o wszystkim. Słyszysz? Zapomnij! — Rzucił mi gniewne spojrzenie.

Pomyślałem, że gdyby przekazał tę wiadomość członkom Tajnej Rady, oni zaś uznali, że dokumenty mogły rzeczywiście wpaść w ręce spiskowców, zaszkodziłoby to jego reputacji właśnie wówczas, gdy sądził, że się poprawiła.

— Uczynię tak, sir Williamie. — Skłoniłem się i odwróciłem, aby odejść. Gdy dotarł do bramy, zawołał mnie do siebie.

— Panie Shardlake!

— Tak, sir Williamie.

Jego twarz była gniewna i zatroskana.

— Sir Richard Rich słusznie prawił, uciążliwy z was człowiek.

Przez kilka następnych dni mieliśmy ładną pogodę, choć robiło się coraz chłodniej. Leconfield było pięknym miejscem — zamek oraz otaczające go łąki i lasy mieniły się jaskrawymi jesiennymi barwami. Mimo to czas płynął nam wolno. Barak, Giles i ja spędzaliśmy długie godziny w namiocie, grając w karty i pocąc się w ciepłych kurtkach. Kiedy Jack wygrał od nas wszystkie pieniądze, przeszliśmy na szachy. Wspólnie z Gilesem nauczyliśmy Baraka zasad tej gry, zamiast bierek używając skrawków papieru, na których nakreśliłem figury. Nie widywaliśmy się z Tamasin, byłoby bowiem rzeczą niestosowną, gdyby przychodziła do naszych namiotów. Barak spotykał się z nią w większość wieczorów, kuśtykając po obozie w jej towarzystwie. Musiała opowiedzieć mu o naszej rozmowie, jako że zaczął odnosić się do mnie z pewnym chłodem.

Trzeciego dnia rano stałem z Gilesem przed wejściem do namiotu, przypatrując się drzewom pokrytym jesiennymi liśćmi. Pomyślałem, że Giles wyraźnie schudł, a jego potężna postać zmarniała.

— Jak się czujesz? — spytałem.

— Miewam bóle — odrzekł cicho. — Najgorszy jest wszak ziąb panujący w tych namiotach. Wysysa ze mnie wszelkie soki. — Spojrzał na swoje wielkie dłonie, poprawiając pierścień ze szmaragdem. — Tracę na wadze. Zgubię pierścień, jeśli nie będę uważał. Nie chciałbym go stracić, należał do mojego ojca.

— Może w Hull zanocujemy w prawdziwym domu, przy ogniu. To duże miasto, jak mniemam.

— Jużem się o to zatroszczył. — Mrugnął porozumiewawczo. — Przekazałem nieco złota jednemu z podwładnych Craike'a, aby mi załatwił izbę w gospodzie. Pomyślałem też o tobie i Baraku.

— Jesteś niezwykle hojny, Gilesie.

— Skądże. — Uśmiechnął się cierpko. — Uczyniłem jedynie dobry użytek ze swego grosza. Wkrótce pieniądze nie będą mi już potrzebne. Będzie mi brakowało mojego kominka

i Madge, która mnie przy nim oczekuje. — Spojrzał na mnie. — Zrobiłem na jej rzecz szczodry zapis w testamencie. W wygodzie spędzi ostatnie lata życia. Tobie zapisałem moją bibliotekę.

— Mnie?! — krzyknąłem zaskoczony.

— Jesteś jedynym człowiekiem, który doceni jej wartość. Proszę wszak, abyś przekazał owe stare roczniki prawne bibliotece Lincoln's Inn. Chciałbym, aby je dostali.

— Twój siostrzeniec...

— Martin otrzyma dom i wszystko inne. Przed wyjazdem z Yorku sporządziłem nowy testament. Chcę jednak zobaczyć Martina i powiedzieć mu o tym.

Położyłem dłoń na jego ramieniu.

— Obiecuję, że to uczynisz.

Przez chwilę wydawał się zasmucony, lecz milczenie przerwał nieoczekiwany sygnał myśliwskiego rogu. Podskoczyliśmy wystraszeni, widząc w oddali oddział jeźdźców w jaskrawych szatach pędzących w kierunku lasu i wielką sforę chartów gnających przed końmi.

— Król ruszył na łowy — rzekł Giles. — Słyszałem, że z takim trudem chodzi i dosiada konia, że musi stać z łukiem

w ukryciu, mierząc do jeleni, które pędzą na niego charty i naganiacze. Pomyśleć, że w młodości nazywano go największym atletą Europy.

Następnego wieczoru dowiedzieliśmy się, że rankiem pierwszego października wyruszymy do Hull. Nowy miesiąc zaczął się wiatrami i ulewnym deszczem, które nadciągnęły ze wschodu. Warunki atmosferyczne sprawiły, że wyruszenie wczesną porą okazało się wielkim wyzwaniem, trzeba było bowiem odnaleźć konie i miejsce w kolumnie. Pola zamieniły się w błotne grzęzawisko. Gлина oblepiła nie tylko koła wozów, lecz również skraj szat wyższych urzędników. Barak lepiej radził sobie z jazdą, albowiem wymuszony postój dał wytchnienie jego nodze. Mimo to żałował pewnie,

że nie jedzie w zakrytym wozie, gdyż posuwaliśmy się z wolna, z głowami pochylonymi z powodu ulewy.

Na szczęście przestało padać, gdy dotarliśmy do miasta Beverly. Przejechaliśmy je szybko i wydostaliśmy się na szeroki płaskowyż z wieżami kościołów widniejącymi w mijanych z rzadka wioskach. Trakt począł wolno piąć się w górę obok pól o czarnej, urodzajnej glebie. Późnym popołudniem ujrzelśmy w oddali szerokie ujście rzeki z białymi plamkami żagli, szersze od Tamizy w Londynie.

— Niebawem będziemy na miejscu — rzekł z ulgą Giles jadący obok mnie.

— Teraz pozostała nam tylko podróż okrętem — powiedziałem z otuchą. — Czy to rzeka Humber? Nie sądziłem, że jest taka szeroka.

— Tak, poześlujemy nią obok Spurt Head i wypłyniemy na Ocean Niemiecki.

— Byłeś kiedy w Hull?

— Raz lub dwa, w interesach. Ze dwadzieścia lat temu. Widzisz mury? — Podążyłem za jego wyciągniętym palcem i ujrzałem warowne miasto pomiędzy szarym ujściem i mniejszą rzeką wpływającą do niego pod kątem prostym. Hull okazało się skromniejsze, niż oczekiwałem, ponad połowę mniejsze od Yorku.

— Mury mają dziwną czerwonawą barwę — rzekłem.

— Wykonano je z cegły — wyjaśnił Wrenne. — Wszystkie cegły w Yorkshire pochodzą z Hull.

Gdy zbliżyliśmy się do miasta, spostrzegłem dużą grupę dygnitarzy stojących na murach, aby powitać króla podczas jego drugiej wizyty. Kolumna zatrzymała się i przez jakiś czas tkwiliśmy w miejscu, gdy witano królewską parę. Nie widziałem, co się dzieje, z powodu ciżby, która była przed nami. Z drugiej wszak strony byłem z tego rad, albowiem widok dostojników przywodził mi na pamięć zdarzenia w Fulford, które nadal budziły we mnie wstyd i gniew. Rzuciłem okiem na Derehama i Culpepera siedzących na koniach wśród innych dworzan.

W końcu urzędnicy królewscy poczęli przemieszczać się w tłumie i kierować ludzi do wyznaczonych kwater. Ujrzałem Craike'a zaglądnącego do papierów spoczywających na jego przenośnym pulpicie. Przytwierdził je do deski spinaczem, aby nie porwał ich wiatr. Craike podszedł do miejsca, w którym siedzieliśmy.

— Kolego Shardlake — rzekł — zostaliście umieszczeni w zajeździe razem z kolegą Wrenne'em i waszym asystentem, Barakiem. — Rzucił nam podejrzliwe spojrzenie, jakby zwietrzył łapówkę. Inni prawnicy, których umieszczono w namiotach, spojrzeli na nas z wyraźną zazdrością.

— Mam odprowadzić tych, którzy zostali zakwaterowani w Hull. Pójdziemy pieszo. Konie zostaną umieszczone w stajni.

W ten oto sposób Giles, Barak i ja ruszyliśmy do miasta w towarzystwie Craike'a. Znaleźliśmy się w grupie uprzywilejowanych wysokich urzędników, którzy zostali zakwaterowani w samym Hull.

Kiedy zbliżyliśmy się do murów z czerwonej cegły, spostrzegłem kolejny szkielet dyndający na łańcuchach. Pomyślałem, że to doczesne szczątki sir Roberta Constable'a, w którego rezydencji w Howlme zanocował nasz król. Wrenne odwrócił głowę z wyraźną odrazą.

Przeszliśmy bramę i ruszyliśmy długą ulicą którą Craike określił mianem Lowgate. Tutejsze domy znajdowały się w lepszym stanie niż te w Yorku, a ludzie — odrobinę zamożniejsi. Patrzyli obojętnie, ustępując nam drogi, była to wszak druga królewska wizyta i już wszystko widzieli.—

Jak długo tu zabawimy? — spytałem Craike'a.

— Nie mam pojęcia. Król chce opracować plan nowych umocnień.

— Gdzie stanie jego dwór?

Craike wskazał w lewo, tam gdzie nad czerwonymi dachami domów wznosiła się grupa wysokich kominów.

— W swojej rezydencji, która niegdyś należała do rodu de la Pole.

Pomyślałem, że to kolejny dom przejęty przez króla. Choć Craike sprawiał wrażenie niechętnego do rozmowy, postanowiłem kontynuować.

— Musimy wrócić łodzią do Londynu tak szybko, jak to możliwe.

Craike wyrównał papiery pulchną dłonią, bo wiatr ponownie je uniósł. Spojrzał w niebo, po którym przesuwały się szare obłoki.

— Miejmy nadzieję, że pogoda pozwoli na żeglugę. — Stanęliśmy przed drzwiami gospody. — Jesteśmy na miejscu.

W środku zastaliśmy już kilku szlachetnie urodzonych, którzy spojrzeli pogardliwie na nasze prawnicze szaty.

— Muszę wracać — rzekł Craike, kłaniając się nam na pożegnanie. — Moi podwładni z pewnością zabałaganili przy kwaterunku. To istny koszmar. — Po tych słowach odwrócił się i odszedł.

— Człowiek ów nie jest zbyt przyjazny — zauważył Wrenne.

Barak oparł się na kuli, spoglądając na nas z przebiegłym

uśmiechem.

— Ma wiele spraw na głowie.

Barak i ja otrzymaliśmy ładny pokój w tylnej części zajazdu, Wrenne zaś został ulokowany w sąsiedniej izbie. W kominku płonął ogień, a z okna rozciągał się widok na czerwone dachy domów ciągnące się aż do błotnistych brzegów rzeki Hull. Deszcz zaczął ponownie padać, dudnił dużymi kroplami o okna wykonane z małych szybek w kształcie rombów. Barak padł na łóżko z westchnieniem ulgi. Spojrzałem na moje sakwy, nie wiedząc, ile rzeczy wypakować. Później usłyszałem ciężkie kroki na schodach. Drzwi otworzyły się bez pukania i do środka wkroczył Maleverer.— Ładnie się urządziliście — rzekł ironicznie, przypatrując się izbie. — Przyszedłem

powiedzieć, że Broderick został umieszczony w więzieniu w Hull. Razem z Radwinterem. Jedno ze skrzydeł opróżniono z więźniów. — Jak to miał w zwyczaju, przesunął dłonią po czarnej jak węgiel brodzie. — Przynoszę nowe rozkazy od Tajnej Rady. Nie wiadomo, kiedy dotrzemy do Londynu przy tej pogodzie.

— Spodziewacie się zwłoki? — spytałem.

— Tak. Król nakazał, aby Broderick został przesłuchany w Hull. W tutejszym więzieniu mają koło.

Cały czas liczyłem, że Broderick jakimś cudem zdoła uniknąć tego, co mu chciano zgotować, a teraz dowiedziałem się, że jutro pójdzie na tortury.

— Jest bardzo słaby — rzekłem.

Maleverer wzruszył ramionami.

— Trzeba to uczynić. Nie podejrzewamy, aby wiedział, co znajdowało się w tej przeklętej skrzyni, może jednak znać nazwiska innych spiskowców z Londynu. Od początku wiedzieliśmy, że w samym sercu intrygi znajdowali się londyńscy prawnicy, nie potrafiliśmy ich jednak wyśledzić. — Maleverer pstryknął głośno palcami. — Zobaczymy, co jutro da się z niego wycisnąć. Wkrótce nadejdą informacje uzyskane od Bernarda Locke'a w Tower na temat misji panny Marlin.

Spojrzałem na jego toporną, pozbawioną litości twarz. Dla tego człowieka było to jeszcze jedno zadanie, jeszcze jedna robota do wykonania. Rzucił mi kolejny, szybki i twardy uśmiech, a następnie wyszedł z pokoju. Barak spojrzął na zamknięte drzwi.

— Dobry Jezu, ale twardziel. Nie ustępuje Cromwellowi.

Tej nocy kiepsko spaliśmy. Leżałem na łożu, rozmyślając o tym, co czeka Brodericka, i wspominając szydercze słowa, że podtrzymuję go przy życiu dla kata. Bernard Locke już został poddany torturom. Wzdrygnąłem się na myśl o bezlitosnej postawie Maleverera. Wstałem niedługo po północy, starając się nie obudzić Baraka, który cicho pochrapywał, i podszedłem do okna. Niebo było ciemne, a mocny wiatr dudnił kropelkami deszczu o szyby. Byłem ciekaw, czy Broderick rozmyśla w swojej celi? Czy próbuje się wyciszyć przed torturami na kole? Do szyby przykleił się wilgotny liść buku, zwinięty kształt ułożył się w oskarżycielski palec.

Maleverer przyszedł do zajazdu po obiedzie, kiedy Barak, Giles i ja graliśmy w karty. Wszyscy byliśmy w ponurych nastrojach, albowiem deszcz i wiatr nasiliły się jak nigdy, przeradzając w prawdziwą jesienną wichurę. Oberżysta twierdził, że wiatr z południowego wschodu nie wiał nigdy tak silnie w październiku. Dopóki dął, nie mogliśmy rozpocząć żeglugi.

— Zostawcie nas — rzekł grzecznie do pozostałych. — Chciałbym pomówić z kolegą Shardlakiem na osobności.

Kiedy wyszli, opadł na krzesło Baraka, które głośno zatrzeszczało.

— Miałeś rację co do Brodericka — rzekł bez zbędnych wstępów, patrząc na mnie z chłodnym uśmiechem.

— W jakiej sprawie?

— Był słaby. Zauważyłem to od razu, gdy go przywiedli. Kazałem ustawić w izbie koło i umieścić żelazo na palenisku, aby wiedział, co go czeka. — Maleverer mówił tak, jakby opisywał przygotowania do obiadu. — Radwinter sprowadził go z ochotą. Broderick ledwie spojrzął na narzędzia, a kiedy rzekłem, że za chwilę je poczuje, jeśli nie zacznie mówić, kazał mi skończyć z tą gadką. Nie brak mu odwagi. — Maleverer przygryzł wargi. — Tak też uczyniłem, a ponieważ nie mogłem zaufać żadnemu ze strażników, posłałem wszystkich do czarta, obracając koło z samym Radwinterem. Broderick milczał przez dobrą chwilę, a później krzyknął i zemdłał. Od razu. — Maleverer potrząsnął głową. — Trzeba było kilku minut, aby go ocucić. Byłem zmartwiony, a Radwinterowi nagle puściły nerwy. Powiedział, że powinniśmy zaniechać tortur.

— Kiedyś zabił w ten sposób więźnia — wyjaśniłem. — Arcybiskup Cranmer nie był z tego powodu zadowolony.

— Gdyby Broderick zmarł pod moją opieką, król urwałby mi głowę. — Spojrzął na mnie twardo. — Co z nim jest?

— Broderick jest osłabiony i wyczerpany. Z powodu przebywania w celi, trucizny i tego, że tłuł się wiele dni na wozie. Mruknął coś pod nosem.

— Miałeś dopilnować jego stanu.

— Uczyniłem wszystko, co w mej mocy.

— Sam się nim zajmę, aby w lepszym stanie dotarł do Tower. Odkarmię go. Radwinter nie ośmielił mi się sprzeciwić. Twoje zadanie jest skończone.

— Arcybiskup Cranmer...

— Przynoszę ci rozkazy Tajnej Rady.

— Rozumiem. W takim razie to już koniec. Moje obowiązki ustały. Mogę umyć ręce od sprawy Brodericka niczym Poncjusz Piłat. Sir Williamie, jak długo pozostaniemy w Hull? — ośmieliłem się spytać.

W odpowiedzi pokiwał jedynie głową.

— Czeka na nas okręt. Oprócz Brodericka kilku urzędników musi jak najszybciej dotrzeć do Londynu. Trzeba poczekać, aż pogoda się poprawi, gdyż w tych warunkach droga morska wcale nie będzie szybsza. — Spojrzął gniewnie na krople deszczu rozbijające się o szybę.

— Czy będę mógł popłynąć statkiem? — Skoro moje obowiązki dobiegły końca, nie musiałem szybko wracać do Londynu, lecz rozpaczliwie pragnąłem znaleźć się w domu, trzeba też było pomyśleć o Gilesie i Baraku. Sądziłem, że odmówi, lecz ku memu zaskoczeniu skinął przyzwalająco głową.

- Tak.
- Czy kolega Wrenne będzie mógł popłynąć z nami? — Zawahałem się, wspominając złożoną wcześniej obietnicę. — I panna Reedbourne?
- Jest mi to obojętne — odparł, wzruszając ramionami. — Jeśli chcesz, porozmawiaj z kancelarią szambelana. Są wolne miejsca, lecz urzędnicy będą chcieli pieniędzy.
- Dziękuję, panie.
- Nie dziękuj, dopóki nie dotrzesz bezpiecznie do Londynu. — W spojrzeniu, które mi posłał na odchodnym, było coś tajemniczego i szyderczego — coś, co sprawiło, że poczułem niepokój.

Rozdział trzydziesty siódmy

Zła pogoda nadal się utrzymywała. Niemal cały czas padał ulewny deszcz, a gdy na chwilę przestawał, z południowego wschodu nadciągał silny wiatr, gnając obłoki po niebie. W takich warunkach nie mógł wypłynąć w morze żaden statek. Słyszeliśmy, że król dokonał inspekcji błot po drugiej stronie rzeki Hull, aby obmyślić nowe fortyfikacje dla miasta. Z goryczą pomyślałem, że wróci przemoczony i osmagany przez wiatr, nie ma bowiem żadnej władzy nad warunkami atmosferycznymi.

Chociaż gospoda była wygodna, nudziliśmy się potwornie. Najgorzej sytuację znosił Barak, który jeszcze całkowicie nie wydobrzył. Ponury i poirytowany rozpogadzał się jedynie wówczas, gdy odwiedzała nas Tamasin. Opuszczałem wówczas izbę i przesiadywałem z Gilesem. Od czasu naszej rozmowy w Leconfield Tamasin traktowała mnie chłodno, podobnie też odnosiła się do Gilesa. Miałem wrażenie, że obwinia nas o śmierć Jennet Marlin, choć niewiasta owa chciała mnie zamordować. Kiedy udaliśmy się z Gilesem do kancelarii szambelana, słono opłacił miejsce na łodzi dla Tamasin, Baraka i nas dwóch. W przeciwieństwie do Baraka, który wylewnie okazał swoją wdzięczność, Tamasin ograniczyła się do chłodnego podziękowania.

Kiedy pogoda ulegała chwilowej poprawie i było sucho, Giles wybierał się na krótkie spacerunki do miasta. Pewnego wieczoru, gdy siedzieliśmy w jego izbie, wyjaśnił mi, co robi. Od jakiegoś czasu jego stan zdrowia uległ poprawie. Spokojne życie wyraźnie mu służyło, choć my byliśmy śmiertelnie znudzeni. — Poznałem kilku miejscowych prawników — rzekł. — Mieszkają w dzielnicy miasta za rzeką. Mają tam nawet małą bibliotekę.

Spojrzałem na niego z zaciekawieniem. Ostatnio zacząłem żałować, że nie wziąłem niczego do czytania.

- Niewiele tam książek — ciągnął dalej Giles — mają jednak dużo archiwów z dawnymi sprawami. Przeglądam je dla zabicia czasu. Biblioteka znajduje się w domu jednego z prawników, inni mogą z niej korzystać za symboliczną opłatą.
- Nawet jego przeciwnicy?
- Tak. Musieli do tego przywyknąć po powrocie z dalekiego Londynu. Odkryłem coś dziwnego. Teraz, gdy już nie praktykuję, mogę przeglądać dawne sprawy z zainteresowaniem, a nawet rozbawieniem wywołanym złością i urazami, które ludzie żywią wobec siebie.

— Czekają cię trudny los — rzekłem delikatnie.

Spojrzał na mnie poważnie.

— Skądże. Początkowo byłem wściekły, gdy dowiedziałem się o chorobie, miałem jednak długie miesiące, aby się z tym pogodzić. Będę rad, jeśli załatwię swoje sprawy w Londynie, pojednam się z Martinem. Jeśli dopilnuję, aby po śmierci moje nazwisko i ród nie poszły w zapomnienie, i przekażę dziedzictwo krewniakowi. — Nieświadomie zacisnął wielką pięść, tak że na jednym z palców błysnął szmaragdowy pierścień.

— Odnajdziemy Martina Dakina — powiedziałem uspokajająco, chociaż zaniepokoiło mnie wspomnienie słów Maleverera.

Giles skinął głową.

— Dziękuję. — Wyjrzał przez okno. — Deszcz przestał padać. Włóż toż, zaprowadzę cię do biblioteki.

— Dobry Boże, mam nadzieję, że pogoda wkrótce się zmieni. Chciałbym, abyśmy odpłynęli stąd jak najszybciej.

Spojrzał na mnie z zaciekawieniem.

— Zobaczysz na statku owego więźnia? Brodericka?

— Tak. — Opowiedziałem mu, że Maleverer uwolnił mnie od dotychczasowych obowiązków.
— Mam nadzieję, że jego stan uległ poprawie.

— W Londynie umieszczą go w Tower?

— Tak. Wyszliśmy na dwór. Z ulgą odetchnąłem świeżym powietrzem. Wielu innych uczestników królewskiej podróży skorzystało z chwilowej poprawy pogody i wyszło na spacer. Spostrzegłem grupę prawników idących ku nam, wśród nich tego, który drwił ze mnie w kwaterze opactwa Świętej Marii. Zmarszczyłem gniewnie czoło i spojrzałem w inną stronę, gdyśmy ich mijali.

— Panie Shardlake! — odwróciłem się gwałtownie na dźwięk swojego nazwiska. Jak mają czelność wołać do mnie na ulicy! Rozpogodziłem się wszak, gdy stwierdziłem, że to sierżant Leacon. Młody żołnierz miał na sobie cywilne ubranie, niebieski kaftan i pończochy. Atletycznie zbudowany, przystojny blondyn.

— Witajcie sierżancie, co u was słychać? Pamiętacie kolegę Wrenne'a?

— Tak, panie. — Skłonił się Gilesowi.

— Nie macie munduru?

— Nie pełnię dziś służby. Postanowiłem się przejść, skoro przestało padać.

— Podobnie jak my. Chodźcie z nami — dodałem, widząc, że chce ze mną pomówić. — Dostaliście jakieś wiadomości od rodziców?

- Niestety, nic dobrego, panie. Wuj, który pomagał im w owej sprawie, miał udar.
- Przykro słyszeć.
- Pomożecie nam, panie, gdy przyjedziemy do Londynu? Jeśli zdołam sprowadzić rodziców?
- W jego niebieskich oczach błysnęła rozpacz.
- Tak. Przyprowadź ich do Lincoln's Inn.
- Denerwują się, nie wiem bowiem, kiedy wrócimy. Załatwiłem sobie miejsce na statku.
- Naprawdę?
- Tak, mam pomóc w pilnowaniu Brodericka. Bóg jeden wie, kiedy wyruszymy.
- Widziałeś go? — spytałem. — Jakże się miewa?

Leacon pokręcił głową.

- Pilnują go teraz strażnicy na zamku. — Leacon pokręcił głową. — Wiem, że zaczęli go rozciągać na kole, lecz przestali, gdyż okazało się, że jest bardzo osłabiony. Może Radwinter oddał mu niechcący przysługę, trzymając zamkniętego i chorego w wozie przez całą drogę do Hull.
- Może i tak.

Szliśmy wąskimi uliczkami prowadzącymi ku rzece Hull. Nadszedł odpływ i morskie ptaki brodziły wśród odpadków w poszukiwaniu jedzenia, z trudem utrzymując równowagę na wietrze.

- Powinienem już wracać — rzekł Leacon.
- Napiszcie rodzicom, aby się nie martwili. Pomogę im, jeśli zdołam. — Obserwowałem, jak znika za rogami. — Sam ich w to wpackowałem — rzekłem do Gilesa.
- Jakim sposobem?

Opowiedziałem mu.

- Nie obwiniaj siebie — rzekł. — Wiń chciwców, którzy rzucili się na zakonną własność niczym sępy na padlinę.
- Także zakonnicy bywali bezlitosnymi panami.
- Nie tutaj.

Nie odrzekłem ani słowa.

- Tędy — powiedział, wskazując drogę. — Biblioteka jest już niedaleko.

Skręciliśmy w uliczkę, przy której stały dobrze utrzymane, czteropiętrowe domy i zapukaliśmy do drzwi jednego z nich. Sługa wprowadził nas do ładnie urządzonego holu, a z niego do dużej izby pełnej półek z książkami, w której przy stołach siedziało trzech lub czterech prawników w czarnych

szatach, czytając księgi z aktami spraw i sporządzając notatki. Jeden z nich, niski człowiek w średnim wieku, wstał, aby nas przywitać.

— Witaj, kolego Wrenne! Pański towarzysz jest pewnie owym prawnikiem z Londynu, o którym mi wspominałeś?

— Tak, to, kolega Shardlake. Matthew, poznaj kolegę Hala Daviesa, w którego domu się znajdujemy i który wpadł na chwalebny pomysł przekształcenia tej izby w bibliotekę. Opłaty, które pobiera, są niskie. Nie zarabia na tym, wszystko idzie na utrzymanie księgozbioru.

— Otrzymałem za to medal od władz miasta — oświadczył radośnie Davies. Jego wygląd wzbudził moje zaufanie. Miał szczerą twarz jak na prawnika. — Możecie tu zaglądać w oczekiwaniu na poprawę pogody.— Uczynię to z rozkoszą.

— Obawiam się, że zabawicie w Hull jakiś czas. W październiku silny wiatr z południowego wschodu jest czymś niespotykanym. Nawet hanzeatyccy kupcy lękają się wypływać teraz w morze.

— Jak długo może się utrzymać taka pogoda?

Przechylił głowę.

— Z owymi jesiennymi wichurami nigdy nie wiadomo. Mogą ustać jutro lub wiać przez kolejne dwa tygodnie. Napijcie się wina?

Spędziliśmy przyjemną godzinę w towarzystwie kolegi Daviesa. Wrenne, który wyglądał na znużonego, z radością powitał moją sugestię, abyśmy wrócili do gospody. Deszcz przestał padać i byłem ciekaw, czy pogoda nie ulegnie poprawie. Mimo to rozczarowałem się ponownie, podobnie jak w ciągu kilku ostatnich dni.

Gdy wróciliśmy na Lowgate, ujrzałem grupkę młodych dworzan kroczących wolnym krokiem środkiem ulicy i spychających miejscowych na pobocze. Zadrzałem na widok Derehama, a tuż za - nim Culpepera. Ten spojrzał mi w oczy, a następnie bez słowa opuścił kompanów i znikł w bocznej uliczce. Dereham ujrzał to, popatrzył na mnie i zmarszczył czoło. Ująłem Wren-ne'a pod ramię i przyspieszyłem kroku, aby jak najszybciej ich minąć, lecz zza pleców doleciał mnie głos:

— Hej, ty! Garbaty prawniku!

Kilku dworzan zarechotało. Odwróciłem się powoli. Dereham odłączył się od grupy i szedł w moją stronę, arogancko opierając dłonie na biodrach. Zatrzymał się i skinął ku mnie. Podszedłem niechętnie. Spojrzał na mnie lodowato.

— Znowu ty? Jak śmiesz pokazywać swoją gębę na mieście po tym, jak się zbłądziłeś w Fulford?

— Masz do mnie jakiś interes, panie? — zapytałem.

— Co uczyniłeś panu Culpeperowi, prawniku, że czmychnął na twój widok? — rzekł przyciszonym głosem.

— Kim jest pan Culpeper? — spytałem spokojnie, chociaż serce waliło mi jak młot. Zmrużył oczy.

— Kto wychodził z namiotów królowej w Howlme? Ty oraz młody mężczyzna i kobieta. Bacz, z kim się zadajesz.

Nie wiedziałem, że on również tam był.

— Byliśmy w urzędowej sprawie.

— Doprawdy?

Jedynie spojrzałem na niego w odpowiedzi. Mimo eleganckiego stroju był jedynie młodym draniem. Mógł być sekretarzem królowej, lecz ona z pewnością nie chciałaby, aby zadawał mi takie pytania. Zmartwiło mnie wszakże, że nas ze sobą powiązał: Culpepera, królową i mnie. Rzucił mi przeciągłe spojrzenie, a następnie odwrócił się i odszedł. Odetchnąłem z ulgą i podszedłem do Wrenne'a.

— Chodź — rzekłem, aby po chwili jęknąć cicho. Ku nam zmierzał sir Richard Rich w asyście małej grupki zbrojnych przybocznych. Nagle poczułem gniew na owych ludzi, którzy mogli mnie przywoływać skinieniem dłoni. Ciekawe, jakie zniewagi ma dla mnie Rich?

Na jego twarzy malował się chłodny uśmiezek. •

— Witam, kolego Shardlake. W cóż to się wtrąacie? Cóż to za interes macie do sekretarza królowej?

— Nic ważnego, sir Richardzie. Chciał mi jedynie przypomnieć, co wydarzyło się w Fulford.

Uśmiech na twarzy Richa się powiększył.

— A, tak. — Jego twarz przybrała ponownie chłodny, nieubłagany wyraz. — Nadal pragnę, abyście przestali się wtrącać w tę sprawę.

— Pewnie idzie o sprawę Bealknapa?

— Tak. — Utkwił we mnie lodowate, szare oczy. — Więcej tak grzecznie nie poproszę.

— Nie uczynię tego, sir Richardzie — odparłem.

Zacisnął wargi i westchnął głęboko.

— Rozumiem. Dam wam pięćdziesiąt funtów, jeśli doradzicie londyńskim rajcom, aby zrezygnowali z tej sprawy. Wiem, że potrzebujecie pieniędzy. Na wykupienie majątku ojca.

— Nie, sir Richardzie.

— Jak chcecie. — Dwukrotnie skinął głową, a następnie ponownie się uśmiechnął. — W takim razie niebawem odkryjecie, że wasze życie stało się dość nieprzyjemne. — Grozicie mi, przemocą, panie? — zapytałem śmiało.

Jego okrutny, znajomy uśmiech przypominał mi uśmiech

Maleverera.

- Nie grożę wam przemocą, mogę jednak uczynić coś innego.
- Przekonać klientów, aby zrezygnowali z moich usług, jak to pierwiej uczyniłeś?
- Nie, nie to miałem na myśli. Kolego Shardlake, wiecie, jaką mam władzę. Nie rzucam gróźb na wiatr. Zrezygnujecie ze sprawy Bealknapa?
- Nie, sir Richardzie.
- Jak chcecie. — Skinął głową, uśmiechnął się i poszedł dalej swoją drogą.

Tego wieczoru Wrenne i ja siedzieliśmy przy winie. Tamasin przyszła w odwiedziny do Baraka, więc się ulotniłem. Zza ściany dobiegały słabe jęki i głuche odgłosy. Wrenne się uśmiechnął.

- Jak mniemam to, co czynią jest grzechem, powinienes mu to rzec, jest bowiem twoim pracownikiem.

Roześmiałem się.

- Powinienes usłyszeć jego przysięgi. — Rozległ się kolejny głuchy odgłos. — Zrobi sobie krzywdę.
- To ty chcesz zrobić sobie krzywdę, Matthew. — Wrenne spojrzał na mnie poważnie.
- O co ci chodzi, Gilesie?
- O ową sprawę Bealknapa. Nie słyszałem wszystkiego, co ci rzekł Rich, lecz do mych uszu doszło dostatecznie wiele.

Westchnąłem.

- Próbował mnie przekupić, a później zaczął grozić, jeśli nie ustąpię.
- Nie musisz przyjmować łapówki, czemu jednak nie zrezygnujesz z owej sprawy? Sam rzekłeś, że jej wynik jest wątpliwy.
- Gdybym uległ pod przymusem, postąpiłbym niewłaściwie.
- Wielu prawników uczyniłoby to na twoim miejscu. Jesteś uparty, Matthew. Wyświadczyłbyś też przysługę swoim klientom, doradzając, aby poniechali sprawy, skoro nie mogą jej wygrać. Opierasz się tylko dlatego, że nie cierpisz owego Bealknapa i korupcji? Prawo zawsze było i pozostanie nią skażone. Spojrzałem na niego.
- Nie rozumiesz, o co idzie? Rozpaczliwe zachowanie Richa wskazuje, że mogę wygrać. Nie udało mu się znaleźć skorumpowanego sędziego w Sądzie Kanclerskim. Oznacza to, iż sędziowie uważają, że mamy mocne argumenty i nie chcą ryzykować ewidentnego oskarżenia o przekupstwo.
- Być może. Nawet jeśli rada miasta wygra tę sprawę, król może skłonić parlament do wydania uchwały uchylającej to rozstrzygnięcie. Dostaje wszystko, czego chce, za pomocą godnych i niegodnych środków. Sam wiesz.

— Trudno zaprzeczyć. — Spojrzałem na niego. — Jutro pójdę do biblioteki, ponownie przejrzę precedensy, które mają tu znaczenie. Może po dłuższej przerwie spojrzę na sprawę pod innym kątem. Może uderzą mnie jakieś nowe fakty.

Potrząsnął głową.

— Jeśli nie będziesz uważał, rzeczywiście coś cię uderzy. Właśnie tego się obawiam.

— Nie ulegnę im — rzekłem. — Nic z tego.

Jakiś czas później opuściłem Gilesa, aby pójść do wychodka. Na zewnątrz ujrzałem Tamasin idącą korytarzem, być może powracającą ze wspomnianego miejsca. Przez chwilę przypatrywała mi się chłodnym wzrokiem, a następnie słodko się uśmiechnęła. Mimo to jej spojrzenie pozostało lodowate.

— Panie Shardlake — rzekła — nie podziękowałam wam jak należy za miejsce na statku. Im szybciej opuszczę dwór królowej, tym będę szczęśliwsza.

— Powinnaś podziękować koledze Wrenne'owi — odparłem. — To on zapłacił.

— Uczynisz to za mnie? — spytała, kładąc dłoń na drzwiach do naszego pokoju.

Bezwstydnica, pomyślałem. I taka myśli, że w jej żyłach płynie szlachecka krew?

— Tak — odparłem grzecznie.

Przygryzła wargi.

— Nie gniewaj się na mnie, panie — rzekła cicho. — Przepraszam, że ostatnio brzydko się do was odnosiłam. Śmierć

panny Marlin była dla mnie wielkim ciosem. Nie potrafiłam uwierzyć w to, co uczyniła.

— A jednak to prawda. To prawdziwe szczęście, że jestem wśród żywych i mogę o tym zaświadczyć.

— Teraz to rozumiem. Przepraszam.

— Przyjmuję przeprosiny — rzekłem. — Wybacz, pani, lecz muszę cię opuścić.

Zrobiłem krok naprzód, zmuszając ją do usunięcia się na bok. Uczyniłem to szybciej, niż zamierzałem, gdyż Tamasin straciła równowagę, poślizgnęła się i upadła na ścianę. Coś wysunęło się z jej sukni na podłogę.

— Przepraszam — rzekłem pośpiesznie, nie chciałem bowiem wyrządzić jej krzywdy. — Pozwól, pani. — Pochyliłem się i podniosłem przedmiot leżący na podłodze. Spojrzałem na niego i zmarszczyłem brwi ze zdumienia. Był to prosty różaniec z drewnianych paciorków nanizanych na nitkę, wygładzonych od długiego używania. Twarz Tamasin spąsowiła.

— Odkryłeś mój sekret, panie — rzekła cicho.

Podałem jej ów przedmiot, który szybko ukryła w małej piątce. Musiała go nosić ukryty na pasie wokół halki.

Rozejrzałem się po korytarzu.

— Czy Barak wie, że jesteś zwolenniczką papieża? — spytałem cicho. — Wspomniał mi kiedyś, że nie masz zdecydowanych poglądów w sprawach wiary.

Spojrzała mi w oczy.

— Nie jestem zwolenniczką papieża, panie. Moja babcia została wychowana na długo przed wprowadzeniem reform... zawsze używała różańca. Mówiła, że jego odmawianie uspokaja ją, gdy jest zatrwożona. Do dziś różaniec dostarcza pociechy prostaczkom.

— Owa pociecha nie jest obecnie pochwalana. Wiesz o tym, skoro trzymasz ten przedmiot w ukryciu.

Dostrzegłem napięcie malujące się na jej twarzy.

— Lękam się, że to, co widzieliśmy, może wyjść na jaw. Boję się. I opłakuję Jennet.

Spojrzałem na pięść zaciśniętą wokół różańca i dostrzegłem, że Tamasin ma obgryzione paznokcie.

— Różaniec jest dla ciebie jedynie sposobem na wyciszenie się?

— Zapewniam was, panie, że nie kryje się w tym nic więcej. Może powinnam zaprzestać tej praktyki — dodała z rozgoryczeniem. — Będę przestrzegała wszelkich nakazów religijnych króla, choć zmieniają się z roku na rok. To dla mnie zagadka, może jest też zagadką dla Boga, lecz prości ludzie muszą jednak pozwolić, aby król i Bóg rozstrzygnęli te sprawy między sobą, prawda?

— Tak byłoby najrozsądniej.

Po tych słowach odwróciła się, lecz nie wróciła do pokoju, w którym oczekiwał na nią Barak, lecz pomaszzerowała korytarzem. Po chwili usłyszałem dźwięk jej kroków na schodach gospody. Poszedłem za nią wolnym krokiem, zastanawiając się, czy powiedziała mi prawdę i dlaczego odmawia różaniec. Może w typowy dla siebie sposób naprędce wymyśliła bajeczkę o babci? Jak nigdy wcześniej poczułem, że nie znam prawdziwej Tamasin, że to niewiasta mająca wiele sekretów.

Następnego ranka zajrzałem do małej biblioteki, jako że ponownie padało. Kiedy sługa pomagał mi zdejmować pelerynę, usłyszałem na schodach kroki Daviesa, który schodził na dół, trzymając skórzaną torbę pod pachą.

— Witajcie, kolego Shardlake, tak szybko wróciliście? Muszę wyjść, mam sprawę przed radą miasta. Możecie przeglądać wszystko, co was zainteresuje.

— Dziękuję. Ile jestem winien?

Machnął ręką.

— Nie pobieram opłat od gości, muszę was wszak ostrzec. — Ściszył głos. — Jest tu dziś stary kolega Swann. Ma ponad osiemdziesiąt lat. Od wielu lat jest najstarszym prawnikiem w Hull. Przeszedł na emeryturę dawno temu. Powiada, że zagląda tu, aby być na bieżąco z prawem, lecz w rzeczywistości chce jedynie pogadać.

— Rozumiem.

— Spał przy kominku, kiedy zjrzałem do biblioteki jakiś czas temu. Nie obudź go, jeśli chcesz pan w spokoju postudiować papiery.

— Dziękuję.

Davies skinął głową, nałożył pelerynę podaną przez służącego i wyszedł na deszcz. Cicho otworzyłem drzwi biblioteki. W środku było ciepło i spokojnie, za kratą płonął ogień, w którego płomieniach lśniły litery wytłoczone na grzbietach dużych starych książek. Jediną osobą w izbie był staruszek w błyszczącej prawniczej todze drzemiący przy kominku. Jego twarz znaczyła gęsta siatka linii i zmarszczek, a pod rzadkimi siwymi włosami widać było różową czaszkę. Przeszedłem na palcach obok regałów, wybierając kilka książek ze sprawami mogącymi mieć związek ze sprawą Bealknapa, i usiadłem przy stole. Trudno mi było skupić uwagę, albowiem bardzo dawno nie zaglądałem do książek. Zamyśliłem się nad słowami Gilesa. Nie spodobało mi się spojrzenie, które Rich rzucił mi na odchodnym. Z drugiej strony instynkt podpowiadał, że Rich nie zadawałby sobie tyle trudu, gdyby nie obawiał się przegrać tej sprawy. Musiałem iść za ciosem, próbować zwyciężyć. Moją życiową misją była walka w obronie klientów. Gdybym się poddał, cóż by mi pozostało?

Podniosłem oczy i zauważyłem, że staruszek się przebudził i spogląda na mnie zdumiewająco przenikliwymi błękitnymi oczami. Uśmiechnął się, a na jego twarzy pojawiło się jeszcze więcej zmarszczek.

— Widzę, że nie jesteście w nastroju do pracy, kolego.

Roześmiałem się.

— Obawiam się, że macie rację.

— Nie widziałem was tu wcześniej. Jesteście nowi w Hull?

— Uczestniczę w królewskiej podróży.

— Rozumiem.

— Jestem Matthew Shardlake. — Wstałem i ukloniłem się.

— Wybaczcie, że się nie podniosę. Mam osiemdziesiąt sześć lat. Nazywam się Alan Swann. Jestem emerytowanym prawnikiem — dodał, chichocząc. — Zatrzymała was w Hull kiepska pogoda?

— Obawiam się, że tak.

— Pamiętam wielką wicherę w roku tysiąc czterysta sześćdziesiątym. W roku bitwy pod Wakefield.

— Naprawdę? — spytałem, nie potrafiąc ukryć zdumienia. — Do dziś pamiętam, jak do Hull przybył posłaniec z wieścią, że księżę Yorku poległ. Później jego głowę przyozdobioną papierową koroną zatknęto nad bramami Yorku. Mój ojciec się radował, gdyż wszyscy opowiadaliśmy się wówczas za Lancasterami. Dopiero później cały kraj przeszedł na stronę Yorków.

— Wiem. Mam przyjaciela z Yorku, który opowiedział mi różne epizody wojny Dwóch Róż.

— Trudne to były czasy — przytaknął Swann. — Trudne czasy.

Nagle przyszło mi coś do głowy.

— Pamiętacie, jak Ryszard Trzeci objął tron po śmierci króla Edwarda Piątego? Po zniknięciu książąt w Tower?

Skinął głową.

— Oczywiście.

— Kiedy Ryszard zasiadł na tronie, rozeszła się plotka, że małżeństwo jego brata Edwarda Piątego było nieważne. — Zawahałem się. — Wspominano też o pochodzeniu samego króla Edwarda? — Spojrzałem badawczo na Swanna. W roku tysiąc czterysta osiemdziesiątym trzecim Giles był zaledwie chłopcem, lecz ten wiekowy prawnik musiał dobiegać wówczas trzydziestki.

Swann siedział w milczeniu, przypatrując się płomieniom. Wiatr z cichym wyciem wciągał żółte języki ognia do komina. Kiedy pomyślałem, że starzec pewnie zapomniał o mojej obecności, ten odwrócił się z uśmiechem.

— Od dawna nie rozmawiałem o tych sprawach. Od wielu lat.

— Mam antykwaryczne zainteresowania, podobnie jak mój przyjaciel z Yorku. To on wspomniał mi o plotkach na temat króla Edwarda. — Poczułem się winny, że okłamałem staruszkę, chciałem jednak wiedzieć, co zapamiętał z tamtego okresu.

— To interesująca historia — rzekł Swann z uśmiechem. — Nikt nie wie, ile jest w niej prawdy, nikt też się tego nie dowie, albowiem ojciec naszego króla zabronił o tym mówić.

— Tak, słyszałem.

Spojrzał na mnie.

— Twierdzenie owo wysunęła matka Edwarda Cecily Neville po jego śmierci. Oświadczyła publicznie, że ojcem Edwarda Czwartego nie był zmarły księżę Yorku, jej mąż. Twierdziła, że Edward pochodził z nieprawego łoża, był owocem jej związku

z pewnym łucznikiem w czasie, gdy przebywała we Francji podczas prowadzonych tam wojen.

Serce poczęło mi łomotać.

— Podniosło się wielkie zamieszanie — ciągnął cicho staruszek. Przerwał swoją opowieść, by szczerzej opatulić się peleryną. — Strasznie ciągnie od okna. Kiedym tu szedł, wiatr omal nie zwałił mnie z nóg. Pamiętam wicher z roku tysiąc czterysta sześćdziesiątego...

Powstrzymałem zniecierpliwienie.

— Tak, opowiadaliście o niej. Mówiliśmy wszak o Cecily Neville...

— No tak. Cecily Neville ogłosiła przed katedrą Świętego Pawła... tak, chyba była to owa katedra... ogłosiła całemu światu, że Edward Czwarty był owocem jej romansu z pewnym łucznikiem. Opowiedział mi o tym prawnik, który wkrótce potem przybył tu z Londynu w pewnej sprawie.

— Pamiętacie nazwisko owego łucznika?

— Blaybourne. Edward Blaybourne. Był łucznikiem z Kentu.

Krew poczęła mi dudnieć w uszach.

— Co się z nim stało?

— Myślę, że już nie żył, gdy Ryszard Trzeci uzurpował sobie tron. W końcu romans ten miał miejsce czterdzieści lat wcześniej. — Spojrzał na mnie poważnie. — Może go usunięto.

— Nie było zatem żadnych dowodów?

— O żadnych nie słyszałem. Jakem rzekł, sprawę wyciszono, gdy tron objęli Tudorowie. Henryk Siódmy poślubił córkę Edwarda Czwartego, matkę obecnego monarchy. Ryszard wydał uchwałę...

— Titulus- Regulus.

— Słyszeliście o niej? — Spojrzał na mnie zatrwożony. — Nie jestem pewny, czy powinniśmy rozmawiać o takich sprawach. Nawet teraz. Od lat z nikim o nich nie mówiłem.

— Jesteś, panie, jednym z niewielu, którzy pamiętają te wydarzenia.

— Zaiste, niewielu dożywa osiemdziesiątego szóstego roku — powiedział dumnie. — Nawet wówczas były to jedynie plotki.

Wstałem nagle.

— Panie, przypomniałem coś sobie. Nasza rozmowa tak mnie wciągnęła, że zapomniałem o umówionym spotkaniu.

Swann był wyraźnie rozczarowany.

— Musicie już iść?

— Niestety.

— Może się jeszcze spotkamy? Przychodzę tu co rano, aby ogrzać się przy kominku kolegi Daviesa. — Spojrzył na mnie z nagłym smutkiem w oczach. — Hołubi mnie. Wiem, że zbyt wiele mówię i przeszkadzam kolegom. Widzicie, panie, wszyscy moi dawni koledzy pomarli.

Ująłem i uściśnąłem jego dłoń delikatną niczym łapka ptaka.

— Macie mnóstwo wspomnień, z których możecie być dumni. Dziękuję wam, kolego. — Po tych słowach wyszedłem na dwór, czując, jak wiruje mi w głowie.

Rozdział trzydziesty ósmy

Gnałem ulicami Hull, pochylając głowę w silnych podmuchach wiatru. Myśli mi wirowały, gorączkowo poszukiwałem związków i dokonywałem obliczeń.

A zatem miałem rację, mówiąc Barakowi, że Edward IV mógł być bękartem, a Blaybourne — jego prawdziwym ojcem. Jednak łucznik z Kentu nie został usunięty, jak sugerował leciwy kolega Swann. Przeżył i sporządził wyznanie na łożu śmierci. Przypomniałem sobie kilka słów spisanych nieporadną, niena-wykłą do pisania ręką: „Prawdziwe wyznanie Edwarda Blaybour-ne'a, sporządzone w obliczu śmierci, aby świat dowiedział się o jego wielkim grzechu...”. Musiał umrzeć przed rokiem tysiąc czterysta osiemdziesiątym trzecim, kiedy stara Cecily Neville ogłosiła tę wiadomość, ponieważ w przeciwnym razie, jak rzekł Swann, kazałaby go sprowadzić, aby potwierdził prawdziwość jej słów.

W kwietniu, po wykryciu spisku, ktoś wyznał na mękach, że owe dokumenty istnieją, nie wiedział jednak, gdzie są ani kto je ma. Strategia spiskowców polegająca na przekazywaniu ludziom tylko tych informacji, które im były potrzebne, okazała się skuteczna. Bernard Locke, którego osadzono w Tower, wiedział, że owe papiery są u Oldroyda, lecz, jak na ironię, śledczy obawiali się poddać go torturom czy to dlatego, że był ustosunkowany, czy z powodu braku mocnych dowodów przeciwko niemu. Tymczasem aresztowano Brodericka. Domyślałem się, że wie coś o owych dokumentach, lecz kaci w Yorku niezdolali skłonić go do mówienia, postanowiono więc przewieźć go na południe.

Co jeszcze znajdowało się w skrzynce Oldroyda? Przypuszczalnie więcej dowodów potwierdzających słowa Blaybourne'a. Na przykład Titulus Regulus. Drzewo genealogiczne miało jedynie pomagać pamięci. Zadałem sobie pytanie, kto wiedział o wyznaniu Blaybourne'a. Król i członkowie Tajnej Rady wiedzieli o nim od wielu miesięcy. Kiedy powiedziałem Malevererowi, że Oldroyd wymówił przed śmiercią nazwisko Blaybourne'a, ten powiadomił księcia Yorku i usłyszał prawdę. Wyjaśniłoby to słowa Maleverera, że wszystko zaczęło się od Cecily Neville. Przypomniałem sobie pozostałe słowa Oldroyda: „Żadne dziecko Henryka i Katarzyny Howard nie może być prawowitym dziedzicem, ona wie”. Stanąłem jak wryty. Oczywiście! Żadne z ich dzieci nie mogło być prawowitym dziedzicem nie dlatego, że Katarzyna Howard mogła je spłodzić z Culpeperem, lecz dlatego, iż Henryk był wnukiem łucznika. Dodając „ona wie”, musiał mieć „na myśli Jennet Marlin, która zepchnęła go z drabiny.

— Nie ma to żadnego związku z Katarzyną Howard! — powiedziałem głośno.

Barak chodził po pokoju ciężkim krokiem. Pomyślałem, że zbyt szybko odrzucił laskę. Kuśtykał, krzywiąc się z bólu, gdy opierał stopę na podłozie.

- Bądź ostrożny — powiedziałem.
- Nie boli, jeśli ją lekko obciążam! — Zrobił kolejny krok, skrzywił się i zwałił na łożo. — Niech to szlag!
- Odkryłem coś, Jack — powiedziałem, siadając obok niego.
- Co takiego? — spytał poirytowany, lecz gdy powtórzyłem mu słowa Swanna i to, co wydedukowałem podczas drogi, zagwizdał.
- Dobry Jezu. — Milczał przez chwilę, rozmyślając o moich słowach, a następnie spojrzał mi w oczy. — Jeśli to prawda, król jest zaiste wnukiem łuczника z Kentu.
- Na to wygląda.

Wytrzeszczył oczy.

- Król wie o wszystkim... musiał wiedzieć od czasu, gdy wyszło na jaw istnienie owych dokumentów.
- Powiedziano mu, że znalazłem owe papiery i dałem je sobie odebrać. Nic dziwnego, że chciał mnie upokorzyć w Fulford. Nic też dziwnego, że spiskowcom tak zależało na ich odzyskaniu, jeśli wśród nich znajdowało się wyznanie Blaybourne'a.
- Mimo to Bernard chciał, żeby Jennet Marlin je zniszczyła, by ratować mu skórę.
- Tak, dużo w tym ironii.
- Jakim sposobem wyznanie, które Blaybourne sporządził w Kencie, zakładając, że wrócił w rodzinne strony, dostało się w ręce spiskowców z Yorku? Jeśli dokument ów liczy sześćdziesiąt lat, dlaczego chciano go wykorzystać dopiero teraz? Czemu nie uczynili tego podczas Pielgrzymki Łaski pięć lat temu?

Pogładziłem brodę.

- Robert Aske i pospólstwo nie chcieli wówczas obalić króla, szło jedynie o odsunięcie Cromwella i Cranmera. Może dlatego wtedy się nimi nie posłużyli.

Spojrzał na mnie przenikliwie.

- Sądysz zatem, że ta sprawa nie ma nic wspólnego z Katarzyną Howard i Culpeperem?
- Właśnie. Fakt, że szklarza zabiła Jennet Marlin, rzuca nowe światło na słowa, które wypowiedział. Mówiąc „ona wie”, miał na myśli Jennet Marlin.

Barak westchnął z ulgą.

- W takim razie sprawa się wyjaśniła. Tammy odetchnie, gdy jej o tym powiem. — Zamyślił się chwilę. — Wspomnisz Malevererowi o słowach starego prawnika?
- W jakim celu? Przecież zna już historię Blaybourne'a. Nie, to nie miałyby żadnego sensu. Możemy zapomnieć o tej sprawie oraz Katarzynie Howard i wrócić do domu. — Potrząsnąłem

głową. — Wrócić do domu z dwoma niebezpiecznymi sekretami, o Blaybournie i królowej. Nie wolno nam o tym nikomu wspominać.

— Ciekawe, czy owe dokumenty są teraz w rękach spiskowców.

— Kto wie? Nawet jeśli tak jest, niech czynią, co chcą. Niech wydrukują wyznanie Blaybournie w tysiącu egzemplarzach, rozrzucają je na ulicach Yorku i Londynu. Nic mnie to nie obchodzi.

— Mógłbyś przynajmniej rzec Cranmerowi, że twoim zdaniem Jennet Marlin nigdy ich nie miała. — Zadumał się. — Mogłoby im to pomóc w odnalezieniu pozostałych spiskowców.

— Pomyślę o tym.

— Powinieneś.

— Zastanowię się — powtórzyłem zirytowany. Zdałem sobie sprawę, że chociaż ci ludzie byli w większości zwolennikami papieża, jakaś częśćka mnie opowiadała się po ich stronie. — Tak czy owak, Bóg jeden wie, kiedy wrócimy do Londynu — dodałem, wyglądając przez okno. Zaczęło ponownie padać, a silny wiatr bębnił kroplami o szyby.

— W końcu przecież dotrzemy do Londynu. Wrócimy do Lincoln's Inn.

Spojrzałem na niego.

— Chcesz nadal dla mnie pracować? Nie zmieniłeś zdania?

Skinął głową.

— Tak, pora się ustatkować. Mam zamiar nadal widywać się z Tammy — dodał, patrząc na mnie wyzywająco.

Zawahałem się.

— Wiem, że oskarża mnie o to, iż w jakimś sensie doprowadziłem do śmierci Jennet Marlin. Udaje przyjaźń, nie chce mieć wroga w człowieku, który jest twoim chlebodawcą, lecz w dalszym ciągu mnie oskarża. To niesprawiedliwe.

Barak wyglądał na zakłopotanego.

— Tammy nie potrafi się pogodzić ze śmiercią Jennet Marlin. Wie, że nie zawiniłeś... lecz kobiety postępują nielogicznie.

— Tamasin potrafi być sprytna, jeśli służy to jej interesom — mruknąłem. — Upozorowała napad. Przeprosiła mnie, bo wiedziała, że jestem twoim chlebodawcą. — Nie byłem pewny, czy powinienem mu opowiedzieć o różańcu. W końcu doszedłem do wniosku, że uwierzy w historyjkę, iż był własnością jej babci. Niezależnie od tego, czy jest prawdziwa, stanie po stronie Tamasin. Jest w niej przecież zakochany.

Spojrzał na mnie gniewnym wzrokiem.

— Po śmierci Jennet Marlin Tammy przepłakała wiele nocy. Żałuję, że nie przekłęta tej kobiety, tak jak na to zasługiwała. Historia z królową i Culpeperem dodatkowo komplikuje sytuację.— Cóż, wygląda na to, że po powrocie do Londynu będę musiał przywyknąć do jej sposobu postępowania — rzekłem.

— Tak — odrzekł zuchwale, a po chwili dodał cicho: — Wiesz, na czym polega twój problem?

— Na czym?

— Nie rozumiesz kobiet. Zwyczajnych kobiet o niewieściej naturze. Jeśli już jakaś wpadnie ci w oko, okazuje się gwałtownym, zuchwałym stworzeniem, jak lady Bryanston rok temu...

— Jestem ciekaw, w jakim stopniu ty je rozumiesz. Mam wrażenie, że Tamasin owinęła cię sobie wokół małego palca. Nie sądziłem, że kiedykolwiek będę tego świadkiem. — Pożałowałem tych słów w chwili, gdy je wypowiadałem. Niezależnie od innych okoliczności obaj byliśmy w zrzędlivym nastroju skazani na swoje towarzystwo w Hull.

Barak zmrużył oczy.

— Wiesz, jaki jest twój drugi problem? Jesteś zazdrosny. Zazdrosny o to, co łączy Tammy i mnie. Może powinieneś znaleźć sobie damę, do której mógłbyś wzdychać?

Wstałem.

— Dogć tego!

— Trafiłem w czuły punkt, co? — spytał ironicznie.

— Pójdę do kolegi Wrenne'a — rzekłem, trzaskając na odchodnym drzwiami jak małe dziecko.

Przez następne dni moje stosunki z Barakiem pozostawały napięte. Nadal wiał silny wiatr i padał ulewny deszcz. Wichura z południowego wschodu uniemożliwiła wyptynięcie. Właściciel gospody narzekał, że jeśli taka pogoda utrzyma się dłużej, Hull popadnie w fuinę z powodu ustania handlu. Tamasin zaczęła mnie ponownie chłodno traktować. Barak wspomniał jej pewnie o naszej kłótni. Byłem ciekaw, czy powiedziała mu o różańcu.

Wymuszony odpoczynek przyczynił się jednak do poprawy zdrowia Gilesa, chociaż czasami widziałem na jego twarzy grymas bólu. Spędzaliśmy ze sobą wiele czasu. Ja opowiadałem mu o prowadzonych sprawach, on zaś snuł opowieści o życiu w Yorku i upadku miasta, którego był świadkiem. Coraz lepiej rozumiałem, na czym polegało zaniedbywanie i ciemnienie

północy przez Tudorów. Chociaż nasza znajomość była krótka, wiedziałem, że po jego śmierci będę ponownie czuł się tak, jakbym stracił ojca. Postanowiłem, że pozostanę przy nim do śmierci, nawet gdyby oznaczało to powrót do Yorku po krótkiej wizycie w Londynie.

Tymczasem król i jego orszak opuścili Hull. Czwartego października pogoda uległa zmianie. Pojawiły się nawet słabe promienie słońca, pierwsze, jakie widzieliśmy w tym miejscu. Usłyszeliśmy wiadomość, że Henryk i jego dwór następnego dnia przekroczą rzekę Humber, rozpoczynając

ostatni etap długiej podróży do domu. Wspólnie z Gilesem poszliśmy na brzeg wielkiego ujścia, by obserwować setki łodzi przepływających się na drugą stronę, do Barton w Lincolnshire. Przeprowa trwała godzinami. Łodzie sprowadzono z całego Yorkshire, a na rzece roіło się od białych żagli.

Kiedy wróciliśmy, miasto wydawało się dziwnie opustoszałe. Tak długo uczestniczyłem w królewskiej podróży, że trudno mi było oswoić się z myślą, iż wszystko już się kończyło. Z drugiej strony poczułem wielką ulgę, wiedziałem bowiem z każdym dniem, że król Henryk i królowa Katarzyna będą o kilka mil dalej ode mnie, a wraz z nimi Dereham, Culpeper i lady Rochford. Cóż za ulga, że nie będę ich musiał więcej widywać. Sekret królowej przypuszczalnie nie wyjdzie na jaw. Po przeżyciu przykrej przygody pewnie nie będą się już spotykać. W Londynie pozostał mi jedynie Rich, któremu musiałem stawić czoło w sprawie Bealknapa. Myśląc o przyszłości, byłem coraz bardziej przekonany o słuszności swojej decyzji.

Deszcz i wichura powróciły wieczorem, gdy król i jego orszak opuścili Hull. Pogoda nie uległa zmianie przez kolejnych dziesięć dni. Dopiero piętnastego października, gdy tkwiłszy tu już dwa tygodnie, wracałem z biblioteki kolegi Daviesa i zdałem sobie sprawę, że od dwóch dni nie było wiatru i deszczu. Spędzałem dużo czasu, rozmawiając, a raczej słuchając opowieści leciwego Swanna. Pomyślałem, że może wreszcie wypłyniemy. Przypomniałem sobie o Brodericku, który od czternastu dni gnął w więzieniu w Hull. Byłem ciekaw, jak się miewa. Po powrocie do gospody znalazłem wiadomość od Maleverera, który czekał na mnie w rezydencji króla. Zatem nie powrócił jeszcze do Yorku. Udałem się tam niezwłocznie, ciekaw, czego ode mnie chce. Rezydencja starego rodu de la Pole była ogromną budowlą z dziedzińcem, najświetniejszym gmachem w mieście. Zaprowadzono mnie do gabinetu Maleverera, który mieścił się w tylnej części domu. Jak zawsze w jego izbie główne miejsce zajmowało duże biurko pokryte dokumentami. Widać chciał stworzyć wrażenie, że jest niezastąpionym urzędnikiem.

Popatrzył na mnie, obracając pióro w wielkiej dłoni.

— Cóż, kolego Shardlake — rzekł nagle. — Oczekiwanie dobiegło końca. Jutro wypływamy. W końcu uznano, że morze się uspokoiło. Wyszło na to, że mogliśmy wyruszyć drogą lądową, choć nigdy nie wiadomo, jaką mielibyśmy pogodę.

— Poptyniecie z nami do Londynu, sir Williamie?

— Tak, muszę zdać raport z tego, co wydarzyło się w Yorku. Załatwić pewne sprawy związane z zakupem nieruchomości.

— Rozumiem. — Pomyślałem, że Rich zaszantażował Craike'a, zmuszając, aby ją sprzedał po okazyjnej cenie.

— Stawcie się w porcie o dziesiątej. Ty, Barak, panna Reedbourne i starzec, który wam towarzyszy. Twoja mała świta.

— Przyjdziemy o czasie.

— W Londynie będę cię musiał przesłuchać w sprawie panny Marlin. Wasze konie wrócą drogą lądową.

Pomyślałem, że sprawa mogła się jeszcze nie zakończyć.

— Ile czasu potrwa nasza podróż, sir Williamie?

— Wszystko zależy od pogody. Jeśli pomyślne warunki się utrzymają, niecały tydzień. Tak czy owak, wrócimy przed królem.

— Jak się, czuje Broderick? — spytałem z wahaniem.

— Całkiem dobrze. Przyniosłem mu trochę dobrego jadła i powiedziałem, że jeśli nie zje po dobroci, zostanie nakarmiony siłą. Że wetkniemy mu rurkę do gardła. Ładnie się zaokrąglił niczym kura na Boże Narodzenie. — Uśmiechnął się, odsłaniając białe zęby. — Nawiasem mówiąc, przybył postaniec z Londynu. Bernard Locke przyznał się do wszystkiego. Potwierdził, że Jennet Marlin działała z jego polecenia.

— Jak ją do tego skłonił? — zapytałem cicho.

Maleverer wzruszył ciężkimi ramionami.— Najwyraźniej była w nim zadurzona. Jak wam rzekłem, wiedział o skrzynce zawierającej dokumenty, które mogłyby zaszkodzić królowi. Kazał jej ją odnaleźć i jeśli zajdzie potrzeba, zabić wszystkich, którzy staną jej na drodze. Przyznał, że kazał też Marlin odnaleźć skrzynkę. Miała ją zniszczyć, gdyby powstanie na północy upadło, a nie przywozić do Londynu, by oddać spiskowcom. Chciał to uczynić. Powiedział jej, że żałuje tego, co zrobił, lecz katom w Tower wyznał, że pragnął ratować własną skórę.

— Rozumiem — przytaknąłem obojętnie.

— Najwyraźniej wśród dokumentów był rozkaz upoważniający Oldroyda do przekazania ich Locke'owi, pismo zawierające jego opis. Nie było w nim mowy o kobiecie. Właśnie dlatego Jennet Marlin musiała go zabić, aby zabrać skrzynkę, dlatego też znajdował się w niej dokument obciążający Locke'a.

— Czy... — Słowa utkwily mi w gardle, gdy pomyślałem, w jaki sposób skłoniono go do udzielenia odpowiedzi. — Czy podał nazwiska innych spiskowców?

— Nie, ci dranie są przebiegli. Wspomniałem już, że byli dobrze zorganizowani. Tworzyli odrębne komórki. Nikt nie znał więcej nazwisk, niż potrzebował. Locke'owi nie powiedziano, co jeszcze znajdowało się w skrzynce. Wiedział jedynie, że są w niej ważne dokumenty. Jego kontaktem w Londynie był jeden ze spiskowców, któremu udało się zbiec. Teraz jest przypuszczalnie w Szkocji i rozmyśla z królem Jakubem, jak nas nękać. Locke miał przekazać komuś skrzynkę — innemu prawnikowi, który miał się z nim skontaktować.

— Prawnikowi z Gray's Inn?

— Nie wiedział komu. Wierzę mu. — Mocno zacisnął usta. — Dowiemy się. Jeśli będzie trzeba, zamknijemy w Tower każdego prawnika z północy. — Pomyślałem z niepokojem o siostrzeńcu Wrenne'a.

— Jak zareagował Bernard Locke na wieść o śmierci Jennet Marlin? — spytałem cicho.

Maleverer wzruszył ramionami.

— Nie wierzył, dopóki strażnik z Tower nie pokazał mu pierścionka zaręczynowego, który ściągnąłem jej z palca.

— Był zmartwiony?

— Nie wiem. Kogo to obchodzi? — Podszedł do mnie i stanął tak blisko, że poczułem jego obrzydliwy oddech. — Masz to zachować dla siebie, rozumiano? Pracowałeś dla lorda Cromwella. Znasz wartość zamkniętych ust, znasz też karę za ich otwieranie.

— Nie pisnę ani słowa. — Pomyślałem, że Martin Dakin znalazł się w niebezpieczeństwie, jakie nie groziło mu nigdy wcześniej. Ludzie króla przetrząsną całą Garden Court.

Maleverer spojrzała na mnie przenikliwie.

— Nawiasem mówiąc, statkiem popłynę inny z twych znajomych — rzekł z chłodnym, znaczącym uśmiechem. — Sir Richard Rich.

— Nie pojechał z królewskim orszakiem?

— Nie, ma miejsce na statku. Chciał jak najszybciej wrócić do Londynu. — Uśmiechnął się ponownie. — Zrezygnowałeś z występowania przeciwko niemu?

— Nie, sir Williamie.

Posłał mi kolejny uśmiech.

— Mam nadzieję, że wiesz, co czynisz.

Stawiliśmy się na nabrzeżu przed wyznaczoną porą. Był to pierwszy słoneczny dzień od czasu, gdy przybyliśmy do Hull. Woda była spokojna, a morskie ptaki krążyły nad naszymi głowami, wydając głośne krzyki. Nasz statek, licząca siedemdziesiąt stóp długości karawela, stał w zatoce, eksponując swój kwadratowy żagiel umożliwiający szybką żeglugę. Ogromna rufa wznosiła się dwadzieścia stóp ponad linię wody. Na burcie widniała wymalowana białymi literami nazwa okrętu: Nieustraszony. Zastłonięte furty działowe wskazywały, że niegdyś był to okręt wojenny. Pomyślałem, że dolne pokłady podzielono na wygodne kabiny dla pasażerów, na nabrzeżu dostrzegłem bowiem pół tuzina urzędników odzianych w drogie szaty. Byli to przeważnie starsi ludzie podróżujący ze służbą. Zauważyłem wśród nich Richa rozmawiającego z Malevererem, żaden jednak nie spojrzał w naszą stronę.

Nasza mała grupka czekała, by wejść na pokład. Stałem obok Gilesa wspartego na lasce i bacznie przypatrującego się karaweli.

— Nie wiem. Kogo to obchodzi? — Podszedł do mnie i stanął tak blisko, że poczułem jego obrzydliwy oddech. — Masz to zachować dla siebie, rozumiano? Pracowałeś dla lorda Cromwella. Znasz wartość zamkniętych ust, znasz też karę za ich otwieranie.

— Nie pisnę ani słowa. — Pomyślałem, że Martin Dakin znalazł się w niebezpieczeństwie, jakie nie groziło mu nigdy wcześniej. Ludzie króla przetrząsną całą Garden Court.

Maleverer spojrzała na mnie przenikliwie.

— Nawiasem mówiąc, statkiem popłynię inny z twych znajomych — rzekł z chłodnym, znaczącym uśmiechem. — Sir Richard Rich.

— Nie pojechał z królewskim orszakiem?

— Nie, ma miejsce na statku. Chciał jak najszybciej wrócić do Londynu. — Uśmiechnął się ponownie. — Zrezygnowałeś z występowania przeciwko niemu?

— Nie, sir Williamie.

Postał mi kolejny uśmiech.

— Mam nadzieję, że wiesz, co czynisz.

Stawiliśmy się na nabrzeżu przed wyznaczoną porą. Był to pierwszy słoneczny dzień od czasu, gdy przybyliśmy do Hull. Woda była spokojna, a morskie ptaki krążyły nad naszymi głowami, wydając głośne krzyki. Nasz statek, licząca siedemdziesiąt stóp długości karawela, stał w zatoce, eksponując swój kwadratowy żagiel umożliwiającą szybką żeglugę. Ogromna rufa wznosiła się dwadzieścia stóp ponad linię wody. Na burcie widniała wymalowana białymi literami nazwa okrętu: Nieustraszony. Zasłonięte furty działowe wskazywały, że niegdyś był to okręt wojenny. Pomyślałem, że dolne pokłady podzielono na wygodne kabiny dla pasażerów, na nabrzeżu dostrzegłem bowiem pół tuzina urzędników odzianych w drogie szaty. Byli to przeważnie starsi ludzie podróżujący ze służbą. Zauważyłem wśród nich Richa rozmawiającego z Malevererem, żaden jednak nie spojrzął w naszą stronę.

Nasza mała grupka czekała, by wejść na pokład. Stałem obok Gilesa wspartego na lasce i bacznie przypatrującego się karaweli.

Za nim przystanęli Barak i Tamasin. Nadal nie powiedziałem Gilesowi, że jego siostrzeniec może się znajdować w niebezpieczeństwie, lękałem się bowiem, że dozna szoku.

— Wkrótce wypłyniemy — rzekł Giles do Baraka i Tamasin. Barak skinął głową, a Tamasin uśmiechnęła się nerwowo. Stała obok Baraka, gotowa służyć mu pomocą, gdyby się potknął, jako że nadal ciężko utykał.

Moją uwagę zwrócił wóz, który wjechał z terkotem na nabrzeże i stanął nieopodal wody. Wszyscy spojrzeli z zaciekawieniem, gdy otworzyły się drzwi i sierżant Leacon zszedł w towarzystwie dwóch żołnierzy odzianych w czerwone kurtki. Dwaj inni pomogli wsiąść Broderickowi. Na koszulę narzucono mu kaftan, którym szczelnie się owinął, czując najwyraźniej przenikliwy zimny wiatr od morza. Zauważyłem, że opiera lewe ramię na prawym i krzywi się z bólu, stawiając kroki. Pomyślałem, że wystarczy kilka minut na kole, aby doprowadzić do zwichnięcia kończyny.

Więzień rzucił okiem na mały tłum zebrany na nabrzeżu. Zatrzymał wzrok na grupce skupionej wokół mnie i przez dłuższą chwilę przypatrywał się nam surowym wzrokiem. Później wolno skinął głową, jakby wzywał, abyśmy przypatryli się temu, co mu uczyniono. Żołnierze pociągnęli Brodericka w kierunku trapu łączącego nabrzeże z pokładem okrętu. Spostrzegłem, że jego stopy są nadal skute łańcuchami, a za strażą kroczy Radwinter. Przemierzyli pokład i zeszli na dół.

— A zatem tak wygląda Broderick — rzekł cicho Wrenne, bacznie mi się przypatrując. — Skona w Londynie?

— Tak — odparłem beznamiętnie. — Jeśli przeżyje tortury, umrze śmiercią zdrajcy wypatroszony w Tyburn.

— Nie wiedziałem, że jest taki młody.

Urządник odpowiedzialny za przydział kajut podszedł do jednego z dworzan. Po chwili pasażerowie zaczęli wchodzić na pokład, nerwowo popatrując na wodę pod deskami, niektórym pomagali służący. Następnie urzędnik zbliżył się ku nam. Pulchny, zaaferowany człowieczek, przypominał mi Craike'a, który zbliżał się już pewnie do Londynu wraz z królewskim orszakiem. Nie pożegnał się przed odjazdem.

— Możecie państwo wejść na pokład — powiedział. Giles ruszył pierwszy.

Zwróciłem się do Baraka i rzekłem z wymuszonym uśmiechem:

— W końcu znaleźliśmy się na okręcie.

— Tak, żegnaj Yorkshire. Krzyżyk na drogę — dodał, gdy Tamasin ujęła go pod ramię, wprowadzając na pokład.

Rozdział trzydziesty dziewiąty

Cała nasza czwórka — ja i Barak, Tamasin i Giles — dostała małe kajuty na rufie. Kabiny nie większe od szafy, w których było miejsce jedynie na wąską koję przytwierdzoną do podłogi. Po drodze ujrzałem sługę rozpakowującego bagaż swojego pana w większej kabinie. Nieco dalej, tam gdzie dwaj żołnierze powiedli Brodericka, na zewnątrz ciężkich drzwi pełniło wartę dwóch ludzi. Pomyślałem, że to bez wątpienia okrętowy areszt. Byłem ciekaw, czy Radwinter przebywał razem z więźniem. Wszyscy wyszliśmy na pokład. Ogarnął nas chłód, chociaż morze było spokojne, a na niebie nie dostrzeżliśmy ani jednej chmurki. Bałem się pomyśleć, jakie warunki panowałyby tu podczas złej pogody.

Załoga uwijała się przy żaglach pod okiem oficera, zwalistego mężczyzny o ogorzałej twarzy. Po chwili odszedł zadowolony, stukając o deski pokładu. Poczuliśmy uderzenie i skrzypnięcie, a po chwili statek zaczął się oddalać od nabrzeża. Giles naciągnął czapkę na głowę i patrzył, jak odpływamy od brzegów Yorkshire.

— Na twoim miejscu bym ją zdjął — rzekłem. — Porwie ją wiatr. Nie powinieneś wychodzić na pokład.

— Dam sobie radę. — Szczelniej owinął się peleryną. Pomyślałem, że jego twarz jest wymizerowana. Usiadł na ławie przytwierdzonej do pokładu, podczas gdy Barak, Tamasin i ja obserwowaliśmy Hull znikające wolno na horyzoncie. Mała fala u ujścia rzeki Humber sprawiła, że statek zaczął się wznosić i opadać. Poczulem lekkie mdłości, przypomniałem sobie czyjaś radę i utkwiałem wzrok w błotnistym brzegu widniejącym w oddali.

Ustyszałem głosy za plecami.

— To on, był w Fulford. Król kazał mu obnażyć grzbiet wobec tłumu. — Obejrzałem się za siebie i ujrzałem dwóch urzędników gapiących się na mnie przez ramię. Odwrócili się, gdy gniewnie na nich spojrzałem. Z rozgoryczeniem pomyślałem, że opowieść o wydarzeniach w Fulford Cross zaczęła żyć własnym życiem, jak to bywa z plotkami. Czy nigdy nie pozwolą, abym zapomniał o upokorzeniu, które mnie spotkało ze strony Henryka? Ciekawe, co by powiedzieli, gdyby usłyszeli, że może być wnukiem łuczniaka z Kentu?

— O Boże! — Barak zakotłosał się gwałtownie, a następnie zgiął do przodu i zwymiotował na pokład. Stracił równowagę i runął z hukiem na deski pokładu. Urzędnicy wybuchli śmiechem, a żeglarze pracujący na maszcie spojrzeli nań z uśmiechem. Pomogłem mu się podnieść. Tamasin ujęła Jacka pod ramię i posadziła obok Gilesa. Kwaśna woń wymiocin sprawiła, że poczułem mdłości. Twarz Baraka pobladła jak papier. Wsunął głowę między kolana i jęknął, a następnie uniósł ją i spojrzał na mnie.

— Nie cierpię być chory! Mam tylko jedną sprawną nogę! — wybuchnął. — Nienawidzę tego!
— Spojrzał gniewnie na urzędników. — Tym durniom odechciałoby się śmiechu, gdybym był zdrowy!

— Wkrótce odzyskasz siły.

— Odpoczniesz, gdy wrócimy do Londynu — rzekła Tamasin. Spojrzała na mnie błagalnie. — Może pan Shardlake pozwoli ci pobyc jakiś czas u siebie, aby jego gosposia mogła cię pielęgnować. Przyspieszyłoby to leczenie.

— Oczywiście — rzekłem niezręcznie. — Da się to załatwić.

— Nie chcę żadnej łaski! Boże — jęknął ponownie, chowając głowę między kolanami.

Podszedłem do relingu, aby uciec od woni wymiocin. Czułem się rozdrażniony prośbą Tamasin. Ta wyrachowana dziewczka celowo poprosiła w chwili, gdy nie mogłem odmówić. Z drugiej strony miała rację. Barak sam by sobie nie poradził. Chciałby zrobić zbyt wiele i ponownie wyrządziłby sobie krzywdę. Po kilku minutach wróciłem do Baraka, który nadal tkwił z głową ukrytą między kolanami. Tamasin otoczyła go ramieniem. Giles zamarł pochylony. Jego nieruchoma postać sprawiła, że przeszedł mnie zimny dreszcz. Na szczęście otworzył oczy, gdy go dotknąłem.

— Gilesie? — spytałem delikatnie. — Nic ci nie jest? — Skrzywił się z bólu.

— Musiałem zasnąć.

— Barak źle się czuje. Przewrócił się na pokładzie. Nic nie słyszałeś?

Spojrzał na mnie śmiertelnie umęczony.

— Kiepski z niego żeglarz, co? — rzekł z wymuszonym uśmiechem. — Dawno nie byłem na morzu. Na szczęście nigdy nie cierpiałem na chorobę morską. — Spojrzał na brzeg mający na horyzoncie. — Ciągle widać Yorkshire.

— Zgaduję, że dopiero po kilku godzinach żeglugi opuścimy ujście.

— Ciekawe, jak Madge sobie radzi, kiedy nie musi się ze mną cackać.

— Gdy tylko dotrzemy do Londynu, Gilesie, odszukamy twojego siostrzeńca. Barak nam pomoże.

— Jak się układa między wami? — spytał cicho.

— Zauważyłeś, że coś jest nie w porządku?

— Trudno tego nie spostrzec. Pokłóciliście się o dziewczynę?

— W pewnym sensie, pośrednio. — Spojrzałem na wybrzeże, które znajdowało się teraz w nieco większym oddaleniu. — Nie martw się. Pogodzimy się, gdy to wszystko się skończy. Gdy wrócimy do dawnej rutyny w Lincoln's Inn. — Uśmiechnąłem się do niego. — Wówczas odnajdziemy twojego siostrzeńca.

Spojrzał na mnie w zamyśleniu.

— Jak się do tego zabierzesz? Jak masz zamiar szukać Martina?

— Udamy się do Garden Court, a jeśli go tam nie zastaniemy, skarbnik korporacji powie nam, gdzie praktykuje.

Skinął głową.

— Widzę, że nie powinno to być trudne.

— Tak — odparłem, mając nadzieję, że nie okaże się inaczej.

U'Trzy kolejne dni były spokojne i słoneczne, chociaż przebywanie na pokładzie i w ciasnych kajutach nie należało do przyjemności. Ale przecież podróż mogła nam upływać w znacznie gorszych warunkach. Ani razu nie natknęliśmy się na Richa lub Maleverera, którzy bez wątpienia przesiadywali w wygodnych kabinach pod pokładem. Giles spędzał większość czasu w swojej małej kajucie, wylegując się na koi. Leżał cicho, czasem błędząc gdzieś daleko myślami. Podejrzywałem, że ból dawał mu się we znaki, i martwiłem się jego stanem.

Chociaż pogoda sprzyjała podróżnym, usłyszałem, że kapitan nie był z niej rad, albowiem wiał jedynie słaby wiaterek powodujący, że nasz okręt musiał bez końca halsować. Czwartego dnia rozeszła się wieść, że musimy zawinąć do portu Great Yarmouth u wybrzeży Norfolk, nie mieliśmy bowiem wystarczającej ilości prowiantu na dalszą podróż. Słyszałem, jak Maleverer spiera się gwałtownie z kapitanem, powiadając, że zmarnowaliśmy dość czasu, ten jednak obstawał przy swoim.

W Great Yarmouth zabawiliśmy dwa dni, biorąc na pokład zaopatrzenie. Dowiedzieliśmy się też, że królewski objazd dobiegł końca. Król pognął na południe, gdyż doszły go wieści o chorobie księcia Edwarda.

— Od jego życia zawisły losy dynastii Tudorów — rzekł Giles, ki'edy usiedliśmy razem na pokładzie, obserwując oddalający się brzeg. Wrenne wyszedł, aby zaczerpnąć świeżego powietrza, powiadając, że poczuł się lepiej, choć nadal wyglądał na chorego, często też krzywił się z bólu, co raniło mnie do głębi. Barak, który przywykł do żeglugi, stał z Tamasin przy relingu. W ciągu ostatnich dni niewiele ze sobą rozmawialiśmy.

— Chyba że królowa Katarzyna będzie przy nadziei — kontynuował swoje rozmyślenia Giles.
— Są małżeństwem od ponad roku i nic. Może król nie jest już zdolny do płodzenia potomstwa.

— Może — odpowiedziałem z wahaniem. Chociaż znałem sytuację królowej, wolałem nie wdawać się w takie rozważania.

— Kto odziedziczy tron, jeśli księżę umrze? — ciągnął dalej Giles. — Ród hrabiny Salisbury został starty z powierzchni ziemi, a obie córki króla wydziedziczone. Henryk pozostawi po sobie wielki chaos. — Zaśmiał się cicho z goryczą. Wstałem.

— Muszę rozprostować nogi, Gilesie. Całkiem zeszywniałem. — Wrenne owinął się szczelnie pledem, który zabrał z kajuty. — Zrobiło się zimno, gdy wypłynęliśmy w morze — rzekłem do niego.
— Czy nie powinieneś wrócić do kabiny — dodałem z wahaniem, wiedziałem bowiem, że nie lubi być traktowany jak inwalida.

— Dobrze, zejść do kajuty — odrzekł nieoczekiwanie. — Pomożesz mi?

Odprowadziłem go i wróciłem na pokład. Tamasin i Barak śmiali się, stojąc przy barierce. Poczułem się wykluczony. Spostrzegłem, że Barak patrzy na żeglarza idącego wzdłuż pokładu. Ze zdumieniem ujrzałem, że człek ten trzyma za ogon kilka szurów, z których kapie krew.

— To okrętowy szcurołap — wyjaśnił Barak z uśmiechem do Tamasin. Skrzywiła swoją piękną twarz i odwróciła się w drugą stronę. Trącił ją. — Wiesz, jaka jest najważniejsza dodatkowa korzyść płynąca z tej roboty?

— Nie i nie chcę wiedzieć.

— Może zjadać szcury, które upoluje.

— Czasami jesteś odrażający.

— Lepsze to od zarobaczonych starych sucharów, którymi ich karmią. — Roześmiał się.

W tym momencie z luku wiodącego pod pokład wyłonili się dwaj żołnierze. Przystanęli, czekając na Brodericka, który podążał za nimi z rękami i nogami skutymi łańcuchem. Wychudła, żalonna postać stąpająca za dwoma rośliymi mężczyznami. Za nim szedł Leacon, a na końcu Radwinter. Żołnierze zaprowadzili Brodericka do relingu. Stanął, wpatrując się w morze, a dwaj strażnicy pilnowali, aby nie rzucił się w wodną otchłań. Leacon rozejrzał się po pokładzie, wciągając w płuca świeże powietrze. Kiedy Radwinter mnie ujrzał, ruszył w tę stronę.

— Witam, panie Shardlake.

Jego twarz była zmęczona i wynędzniała, a włosy i broda w dalszym ciągu znajdowały się w nieładzie. Pewnie od czasu wypłynięcia z Hull cały czas przebywał z Broderickiem pod pokładem. Uderzyło mnie, że już dawno nie był tak schludny i elegancki jak na zamku w Yorku.—

Miejmy nadzieję, że niebawem dotrzemy do Londynu — rzekłem.

— Zaiste. — Spojrzał na żagle. — Szkoda, że wiatr jest taki słaby. Kapitan powiedział, że to pechowa podróż.

— Przesady.

— Też tak uważam. Za kilka dni będziemy w Londynie. — Na jego twarzy pojawił się znajomy nikczemny uśmiech. — Sir Edwarda czekają w Tower radosne chwile.

— Dobrze się miewa?

— Całkiem znośnie. Czy wiesz, że płakał jak baba, kiedym mu rzekł, iż zostawiliśmy za sobą Spurn Head. Wiedział, że już nigdy nie ujrzy Yorkshire. Powiedziałem mu, że gdy z nim skończą, przybiją go poćwiartowanego do bram Yorku.

Potrzęsnałem głową.

— Nie masz pan dla niego litości, co?

Radwinter wzruszył ramionami.

— Na tym polega moja praca. Kiedyś rzekłeś, że jestem szalony... — Po błysku w jego oczach wiedziałem, że nie zapomniał. — U strażnika pilnującego zdrajców i heretyków litość byłaby oznaką szaleństwa. Nie byłoby to też zgodne z wolą bożą.

— Zali Bóg pragnie tortur i rozlewu krwi?

— Kiedy jest to niezbędne dla zachowania prawdziwej wiary. — Spojrzał na mnie z litościwą pogardą. — Nie czytałeś waszmość Pisma? Nie słyszałeś o bitwach i rozlewie krwi? Świat stworzony przez Boga jest pełen przemocy, my zaś musimy w nim działać. Król wie o tym i nie lęka się okazać surowości.

— Czy nie jest też napisane, że cisi odziedziczą ziemię?

— Dopiero wówczas, gdy silni sprawią, iż będzie bezpieczna.

— Kiedy to nastąpi? Kiedy ostatni poćwiartowany papista zostanie przybity nad bramami Yorku?

— Może. Trzeba być silnym, aby czynić na tym świecie to, co słuszne, panie Shardlake. Trzeba być równie bezlitosnym jak nieprzyjaciel.

Odwróciłem się. Leacon szedł w naszą stronę. Spojrzał z odrazą na Radwintera, a następnie zwrócił się ku mnie.

— Dzień dobry, panie Shardlake.

— Witajcie, sierżancie. Kiedyś nazwałem Radwintera szalonym — rzekłem przyciszonym głosem. — Za każdym razem, gdy go widzę, wydaje się coraz bardziej pogrążyć w obłędzie.

Leacon skinął głową.

— Sir William postawił mnie nad nim. — Spojrzał na Radwintera, który podszedł do relingu i spoglądał na morze. — Myślę, że stracił do niego zaufanie. Nie sprawił się w Yorku jak należy.

— Myślę, że przekraczało to jego kompetencje.

- Nie umie się pogodzić z utratą władzy. Czasem patrzy tak, jakby chciał mnie zabić.
- Miejmy nadzieję, że przy odrobinie szczęścia niebawem dotrzemy do domu. Jak się miewa Broderick? Radwintar rzekł mi, iż płakał, gdy Yorkshire zniknęło nam z oczu.
- To prawda, lecz od tego czasu jest spokojny. — Zawahał się. — Kiedy was ujrzał, poprosił, abym pozwolił mu z wami pomówić.

Spojrzałem na Brodericka, który wpatrywał się w morze, ignorując obecność żołnierzy.

- Dobrze — westchnąłem. — Porozmawiam z niri chwilę.

Leacon spojrzał na swoich ludzi.

- Możecie stanąć nieco dalej? — Kiedy zostawili Brodericka, odwrócił się w moją stronę. — Maleverer dał mi do pilnowania więźnia dwóch największych idiotów. Jednemu musiałem obniżyć żołądek za pijaństwo.

Broderick podniósł głowę, gdym do niego podszedł. Na jego wychudłej, porośniętej jasną szczecina twarzy pojawił się grymas bólu. Broda lśniła w morskiej bryzie podobnie jak długie włosy. Spojrzał na mnie oczami starca. Odwracając się, poruszył lewym ramieniem i skrzywił boleśnie.

- Co się stało z twoim ramieniem, Brodericku?
- Koło. — Spojrzał na mnie. Jego oczy były dziwnie spokojne, zniknęła z nich dawna dzikość. Od czasu naszego ostatniego spotkania zaszła w nim wyraźna zmiana.
- Słyszałem, panie, że omal nie zostałeś zamordowany w Howlme — rzekł cicho. — Przez narzeczoną Bernarda Locke'a.
- Tak.
- Znałem Locke'a. To jeden z tych, którzy potrafią nakłonić niewiastę, by wyczyniała różne rzeczy. Maleverer wypytywał mnie o to. Używał przemocy.
- Przykro mi to słyszeć. Wiem, że Jennet Marlin działała w pojedynkę. — Zawahałem się. — Nigdy nie odnaleźliśmy dokumentów, które zabrała. Jeśli ona to uczyniła...

Nie odpowiedział.

- Zastanawiałem się, czy nie wykradł ich ktoś inny. Czy nie dostały się w ręce spiskowców. Maleverer sądzi, że jestem głupcem.

Spojrzał na mnie spokojnie, choć nadal nie rzekł ani słowa.

- Mam rację, prawda? Wiesz coś?

Ponownie brak odpowiedzi. Westchnąłem i zmieniłem temat.

- Żałujesz, że Jennet Marlin próbowała mnie zabić?
- Tak, nie życzę ci śmierci. Na swój sposób okazałeś mi miłosierdzie.

Popatrzyłem na niego.

- Zabiłbyś mnie, gdybyś mógł w ten sposób zrealizować swój cel?
- Bez przyjemności — odparł dziwnie rzeczowo. — Nie raduje mnie niczyja śmierć. Nie sądzę też, by tobie, panie, sprawiała przyjemność.
- Panna Marlin mówiła o koniecznych ofiarach. Nie godzę się z poglądem, że czyjaś śmierć jest koniecznością.
- Moja jest. — Postał mi znajomy, ironiczny uśmiech. — Pogodziłeś się z tym, panie Shardlake, w przeciwnym razie nie przyjąłbyś tej misji od Cranmera. Nie przyjechałbyś tu, aby sprawować nade mną pieczę.

Westchnąłem.

- Czemu się zgodziłeś? Nie jesteś takim brutalem jak Maleverer i Radwinter.
- Dałem się podejść arcybiskupowi.

Skinął głową, a następnie rzekł:

- Nie skłonią mnie do mówienia w Londynie.
- Skłonią, Brodericku — odparłem spokojnie.
- Nie. — Postał mi słaby uśmiech, który sprawił, że przeszedł mnie zimny dreszcz. Uśmiech kogoś, kto posiadał tajemną wiedzę. Ściszył głos do szeptu. — Nie zdołają. Pamiętaj, panie Shardlake, że czas Mouldwarpa dobiega końca. — Spojrzał na mnie ze smutkiem. Wiesz co, myślę, że mógłbyś być jednym z nas. Możesz się jeszcze przyłączyć.

Odwrociłem się. Sierżant Leacon czekał w pobliżu.

- Nigdy nie widziałem go tak spokojnego — powiedziałem.
- Jest w dziwnym nastroju. Rzekł coś ważnego?
- Powiedział, że nie zdołają go złamać.
- Uczynią to.
- Wiem.

Wróciłem do luku, podczas gdy Radwinter stał nieruchomo przy relingu, wpatrując się w morze.

Tego wieczoru, po wieczerzy spożytej na pokładzie, usiadłem na ławie, obserwując tarczę słońca znikającą za horyzontem. Morze było spokojne, a statkiem kołysała jedynie lekka fala. Patrzyłem na czerwone słońce i niebo zasnuwane się z wolna obłokami. Miałem nadzieję, że pogoda nie ulegnie pogorszeniu. Tamasin zeszła do swojej kajuty, a Barak rozmawiał w pobliżu z kilkoma sługami.

Zerwał się słaby wiatr wystarczający do podjęcia podróży. Byłem z tego rad, bo coraz bardziej martwiłem się o Gilesa, który całymi dniami drzemał w kajucie. Wokół widać było mroczne postacie skulone przed wiatrem, drzemiące lub prowadzące rozmowy, grające w karty lub szachy. Wstał księżyc, oświetlając morze srebrzystą poświatą. Na pokład wszedł człowiek odziany w futro. Pod ozdobioną klejnotami czapką rozpoznałem twarz sir Richarda Richa. Zaczął spacerować ze spuszczoną głową, jakby o czymś rozmyślał. Żeglarze pracujący na pokładzie pośpiesznie usunęli mu się z drogi. Zawrócił i począł iść w drugą stronę. Kiedy dotarł do mojej ławy, na chwilę utkwiał we mnie wzrok, uśmiechnął się nieznacznie, zawrócił i odszedł. Zszedł pod pokład, a dźwięk jego kroków słabł z każdą chwilą. Podniosłem się, kiedy zniknął. Barak podszedł do mnie i rzekł:

- Przeklęty łajdak.
- Zaiste — odpowiedziałem poruszony jego troską.
- Rzekł coś?
- Nie, rzucił mi jedynie złe spojrzenie. Zejdę do kajuty.
- Słusznie, robi się chłodno. — Widok Richa sprawił, że poczułem jeszcze większy chłód.

Pod pokładem panowała cisza. Mijając celę Brodericka, ze

zdumieniem zobaczyłem, że pilnujący jej żołnierze popijają piwo z dzbana. Na mój widok próbowali go ukryć za plecami. Zmarszczyłem czoło i wróciłem do swojej kajuty. Kiedy ułożyłem się na koi, usłyszałem podniesione głosy na zewnątrz. Wstałem i szybko otworzyłem drzwi. Z kabin wytknęli głowy inni pasażerowie.

— Co wyprawiacie?! — krzyczał gniewnie sierżant Leacon. Żołnierze stali obok niego z zaczerwienionymi twarzami. Jeden trzymał w ręku dzban. Sierżant wytrącił go ręką i rozbił o podłogę, wylewając piwo. Żołnierz się potknął.

— Na miły Bóg, zapłacisz za to. Natychmiast pójdziecie ze mną do Maleverera.

Mężczyźni zbledli jak kreda. Drzwi celi się otworzyły i Radwinter wyrztał na zewnątrz.

— Co się dzieje, u diabła? — prychnął.

Leacon zwrócił ku niemu zaczerwienioną twarz.

— Ci idioci piją na służbie. Zabieram ich do Maleverera. — Mówiąc to, chwycił obu za kołnierz i powiódł przed sobą. Radwinter obserwował, jak odchodzi, uśmiechając się na myśl o przykryj sytuacji rywala. Zatrzasnąłem drzwi, zanim mnie zobaczył.

Poczułem ciężką dłoń, która mocno mną potrząsnęła. Otworzyłem oczy i zamrugałem. Ktoś trzymał nade mną lampę. Usłyszałem niespokojny szmer głosów na zewnątrz kabiny. Usiadłem półprzytomny i stwierdziłem, że wpatruję się w ponurą twarz Maleverera. W ciemności za jego plecami dostrzegłem Baraka w koszuli z potarganymi włosami.

— Obudź się! — Maleverer pstryknął mi gniewnie palcami przed nosem. — Wstawaj! Szybko!

Podniosłem się z łoża. W drzwiach dostrzegłem wielką postać Gilesa opatuloną pledami. Rozglądał się wokół, wyraźnie speszony. Zauważyłem Baraka osłaniającego Tamasin peleryną. Maleverer odwrócił się gniewnie i krzyknął w stronę ludzi wyglądających na korytarz.— Wracajcie do łóżek! — ryknął. — Bo każę aresztować!

— Z jakiego powodu całe to zamieszanie? — spytał płacząco Giles.

— Wracajcie do łoża, panie Wrenne — rzekła Tamasin. Ujęła go pod ramię i odprowadziła do kajuty. Ludzie zaczęli zamykać drzwi. W końcu na korytarzu został jedynie Barak. Maleverer zwrócił się w moją stronę.

— Gadałeś wczoraj z Broderickiem — wychrypiał. — Co ci rzekł?

Serce we mnie zadrżało, gdy wspomniałem słowa sir Edwarda, że mógłbym być jednym z nich.

— Nic... nic godnego uwagi — odpowiedział. — Próbowałem go wy badać w sprawie Jennet Marlin, lecz jak zwykle nie rzekł ani słowa. Co się stało?

— Pokażę ci. Chodź ze mną.

Wyszedł pośpiesznie z kabiny. Podniosłem się. Na szczęście położyłem się w koszuli i pończochach.

— Co się dzieje? — spytałem Baraka.

— Nie mam pojęcia. Obudziły mnie głosy i kroki na korytarzu. — Skinął głową w kierunku celi Brodericka. Ku mojemu zaskoczeniu drzwi były otwarte. Radwinter siedział skulony, trzymając głowę w dłoniach. Nad nim stał Leacon.

— Tutaj! — krzyknął Maleverer. Popędziłem za nim korytarzem. Otworzył drzwi na oścież i usunął się na bok. Barak podążył w ślad za mną. Lojalność Jacka dodała mi otuchy.

Kajuta Brodericka należała do jednej z większych. Obok każdej ze ścian stała koja, między nimi była wolna przestrzeń. Właśnie nad nią zwisało z sufitu ciało Brodericka. Był obnażony do pasa. Z jego koszuli skręcono linę, której jeden koniec przerzucono przez grubą belkę. Drugi został zadziergnięty wokół jego szyi. Broderick już nie żył. Ciało kołysało się pod wpływem lekkiej fali i łańcuchy krępujące ręce i nogi wydawały cichy brzęk. Jego stopy znajdowały się w odległości zaledwie kilka cali nad podłogą. Gdyby był choć odrobinę wyższy, nie zdołałby tego uczynić w niskiej kabinie. Miał zamknięte oczy i głowę przechyloną pod dziwnym kątem. Spojrzałem na jego wychudzoną, pokrytą bliznami pierś.

— Dobry Boże... — Spojrzałem na Maleverera. — Jak...

— Żołnierze się upili. Leacon przyprowadził ich do mnie, więc odesłałem ich do łóżka. Później poniosą karę. Z Broderickiem został jedynie on i Radwinter. Później Leacon przyszedł do mnie, aby pomówić o karze dla żołnierzy. Gdy wrócił, Radwinter leżał na podłodze obok ławy. Radwinter powiada, że ktoś zapukał do drzwi. Gdy wyjrzał, nie zauważył nikogo. Później ktoś uderzył go w tył głowy, zabrał klucze, a następnie rozkuł i zamordował Brodericka. — Przystąpił do Radwintera, który spojrzał na niego lękliwie. Sprawiał wrażenie ogłuszonego, nierozumiejącego, co się stało. Jak na ironię, nadawało mu to normalny, ludzki wygląd. Po raz pierwszy od czasu, gdy go poznałem.

— Mógł zabić się sam? — spytałem.

— Nie! — warknął Maleverer. Trudno mu było pogodzić się z tym, że stracił więźnia.

— Spójrz na nadgarstki. Skuto mu ręce za plecami. Łańcuch ma długość zaledwie sześciu cali. Zakładano mu kajdanki, gdy zostawał sam, aby nie zrobił sobie krzywdy. Ktoś musiał mu pomóc. Przywiązał powróż do krokwi i pomógł mu stanąć na pryczy. Skoczył, gdy tamten założył mu sznur na szyję.

Skinąłem głową.

— Na" to wygląda. — Ponownie spojrzałem na ciało. — Jego towarzysz pociągnął za nogi, aby złamać kark, gdy ciało dyndało na sznurze. Nie męczył się długo. Był litościwy. Pomógł mu popełnić samobójstwo. — Przyjrzałem się twarzy Brodericka, lekko odwróconej i dziwnie spokojnej. W końcu pozbył się nas wszystkich, na zawsze.

— Historyjka Radwintera nie trzyma się kupy — doszedł do wniosku Maleverer, patrząc spoде łba na wartownika. — Powiada, że zadano mu cios w tył głowy, nie widzę jednak żadnego śladu uderzenia. — • Zwrócił się w jego stronę. — Aresztuję cię pod zarzutem zamordowania więźnia. Klnę się na Boga, że gdy dotrzemy do Londynu, dowiemy się dlaczego.

Radwinter spojrzał na niego, a następnie wydał przerażający dźwięk, ni to pisk, ni jęk. Maleverer skinął głową Leaconowi.

— Wyprowadźcie go, a później zdejmijcie ciało. Na rany Jezusa, twoi ludzie odpowiedzą za ten bałagan. — Po tych słowach zwrócił się ku mnie. — Wszystko na nic — syknął. — Straciliśmy ostatnią szansę rozpracowania spiskowców!

Wiedziałem, że Radwinter nie zamordował Brodericka. Maleverer potrzebował kozła ofiarnego i go znalazł. Nagle zdałem sobie sprawę z czegoś, co sprawiło, że serce zaczęło mi łomotać o żebra. Miałem rację, podejrzewając, że to nie Jennet Marlin powaliła mnie w King's Manor. Uczynił to ktoś inny. Człowiek ten był na statku i pomógł Broderickowi rozstać się z życiem.

Rozdział czterdziesty

Następnego dnia pogoda się popsuła. Deszcz, wiatr i wysokie fale sprawiły, że wszyscy pasażerowie dostali choroby morskiej. Po obiedzie ulewa ustała. Wyszedłem na pokład i usiadłem samotnie na ławce, wpatrując się w szare odmęty Oceanu Niemieckiego. Po powierzchni przetaczały się gigantyczne grzywacze, a niebo było tylko odrobinę jaśniejsze od morza. Przez chwilę obserwowałem mewę srebrzystą szybującą nad wodą. Nie miałem pojęcia, jak ptaki mogły przeżyć w tak trudnych warunkach.

Odczuwałem potrzebę samotności, ucieczki od atmosfery szoku i zaniepokojenia, która zapanowała na okręcie po śmierci Brodericka i aresztowaniu Radwintera. Nie mogłem się uwolnić od wspomnienia odwróconej twarzy sir Edwarda. Byłem ciekaw, jak go Bóg osądzi. Samobójstwo to ciężki grzech, lecz Broderick uprzedził jedynie własną śmierć, czyniąc ją łatwiejszą. Choć wbrew sobie, byłem narzędziem w ręku tych, którzy tak go udręczyli, że odebrał sobie życie dzięki czyjejś pomocy. Zacząłem go podziwiać, mimo żarliwości, która mnie czasami przerażała.

Spojrzałem na pokład, gdzie za wzdętymi od wiatru żaglami kapitan biegał wśród załogi, wydając głośne komendy i spoglądając za burtę. Czy stało się coś złego? Odwróciłem się na dźwięk otwieranego włazu i ujrzałem wdrapującego się na pokład Baraka odzianego tak jak ja w ciężką pelerynę. Chwyił się barierki, gdy okręt się zakołysał, aby po chwili usiąść obok mnie.— Jak się miewa kolega Wrenne? — spytał.

— Nie wstaje z łóżka. Powiada, że nic mu nie jest, lecz według mnie jest bardzo osłabiony. Obawiam się, że ta podróż może się okazać dla niego zbyt trudna.

Barak westchnął.

— Przeżyje ją lub nie. Biedny starzec. — Milczeliśmy przez chwilę, obserwując kapitana przechadzającego się niespokojnie po pokładzie. — Mają problem ze sterem, złamaliśmy sworzeń.

Popatrzyłem na niego.

— Mówisz poważnie?

— Trzeba go naprawić. Zawiniemy do Ipswich. Opóźnienie jeszcze się wydłuży, nawet jeśli wiatr będzie nam sprzyjał. Marynarze uważają, że ten rejs jest przeklęty.

— Żeglarze są przesądni. Jaki dzień dziś mamy? Straciłem rachubę czasu.

— Dwudziesty trzeci października. Płyniemy od siedmiu dni. Jeden z marynarzy powiedział, że Rich jest wściekły. W Ipswich zejdzie na ląd i ruszy konno do Londynu.

— Tak czy owak, król wróci przed nami, choć teraz, gdy Broderick nie żyje, nie ma to pewnie większego znaczenia.

Barak skinął głową, mrużąc oczy, gdy opryskała nas duża fala przelewająca się przez pokład. Spojrzałem na niego.

— Dziękuję, że stanąłeś u mojego boku tamtej nocy — powiedziałem.

— Nie ma sprawy.

Zawahałem się.

— Jak się miewa Tamasin?

— W porządku. — Przez chwilę wpatrywał się w deski pokładu, a następnie popatrzył mi w oczy. — Powiedziałem, że powinna przestać opłakiwać Jennet Marlin. Mnie chciała zamordować, chociaż dla niej była życzliwa. Nie może cię obwiniać za to, że jej nie żałujesz. Dobry Jezu, Jennet Marlin mogłaby zabić Tamasin, gdyby ta stanęła jej na drodze.

— Masz rację.

Uśmiechnął się ponuro.

— Tamasin czuła się tak zagrożona, że Ignęła do Jennet Marlin, tak jak uchwyciła się myśli, że ma ojca szlachcica. Nic jej nie powiem, jeśli się okaże, że jest inaczej.— Nawet gdyby był szlachcicem, przypuszczalnie nie chciałby jej poznać.

— Też tak sędzę. — Przez chwilę wpatrywał się w stopy. — Napytałem sobie biedy. — Podniósł głowę. — Lubię ją, choć żałuję tego, co powiedziałem ci w Hull.

— Wszystko w porządku. Zbyt długo przebywaliśmy w zamknięciu. — Pomyślałem o różańcu, lecz nasze pojednanie było jeszcze zbyt kruche, aby o tym wspominać.

— Pewnie kiedy dotrzemy do Londynu, Radwinter trafi do Tower — powiedział Barak.

— Zaiste, przesłuchają go.

— Tak jak przestuchaliby Brodericka?

— Przypuszczalnie. — Pokręciłem głową. — Nie wierzę, aby Radwinter go zabił. Maleverer się myli. Jest taki zadufany w sobie, że widzi jedynie to, co ma przed nosem. Jakby nosił klapki na oczach.

— Wszystkie poszlaki wskazują na Radwintera. Był sam z Broderickiem, twierdzi, że został ogłuszony, lecz nie ma na głowie żadnego śladu.

— Wiesz przecież, że można uderzyć w taki sposób, aby nie został ślad. A motyw? Czemu Radwinter miałby to uczynić?

— Maleverer uważa, że oszalał. Nie sądzisz?

— Tak, to po części moja wina. — Westchnąłem. — Maleverer przestuchał mnie po zabraniu ciała Brodericka, kipiał wściekłością na Radwintera. Leacon wspomniał mu, że uważam, iż Radwinter jest obłąkany. Maleverer uczeplił się tego, twierdząc, że odebranie władzy sprawiło, iż nadzorca postradał zmysły, wpadł w szal i zabił Brodericka. Oczywiście zaprotestowałem, podkreślając, że Radwinter nigdy nie zamordowałby swojego więźnia, lecz Maleverer nie był w nastroju, by słuchać.

— Maleverer ma inne powody, aby wierzyć w obłąd Radwintera — powiedział Barak. — Podobno nadzorca załamał się, gdy umieszczono go w celi. Trząś się i ciskał przekleństwa na sir Williama. Kto wie, co się dzieje w umyśle obłąkanego?

— Nadal nie ma to dla mnie sensu. Jak miałby to uczynić w pojedynkę?

— Może najpierw ogłuszył Brodericka, a następnie go powiesił.— Nie wyobrażam sobie, aby mógł zaskoczyć Brodericka. — Przerwałem na chwilę. — Wiesz, co moim zdaniem się stało?

— Powiedz.

— Kiedy ostatni raz widziałem Brodericka, wydawał się spokojny, niemal zrezygnowany. Jakby ktoś już się z nim spotkał i zaproponował pomoc, jeśli nadal pragnie popełnić samobójstwo.

Barak gwizdnął.

— Później, gdy Leacon zaprowadził pijanych żołnierzy do Maleverera, ktoś już czekał. W kajucie słyhać, co się dzieje za drzwiami. Ogłuszył Radwintera...

— Zabrał jego klucze, założył Broderickowi pętlę na szyję i pociągnął za nogi, łamiąc mu kark.

— Tak.

Barak spojrział na lodowate, niespokojne morze.

— Coś strasznego, wybrać sobie śmierć. Broderick musiał być człowiekiem niezwyklej odwagi.

— Wiedzieliśmy wszak o tym. — Podążyłem za jego spojrzeniem. Ciało Brodericka spoczywało teraz na dnie, pod wysokimi falami. Kapitan nie chciał wieść zwłok do Londynu, obawiając się, że przyniesie nam to jeszcze większego pecha. Zmówił modlitwę nad ciałem i kazał wyrzucić za burtę zaszyte w prześcieradło. Wpadło w fale z głośnym chlupnięciem i pogrążyło się na wieki w szarym odmęcie.

— Zatem zabił go jeden z pasażerów?

— Tak sędzę. Człowiek, którego znał.

— Ten sam, który ogłuszył cię w King's Manor?

— Tak. — Powtórzyłem Barakowi, co Broderick rzekł mi dzień przed śmiercią. — Jestem pewny, że wiedział, kim był napastnik. Wiedział, kto zabrał mi dokumenty w King's Manor. Nie zaprzeczyłby, gdyby było inaczej. Wczoraj był inny, spokojniejszy. Nie lękał się już Tower, chociaż wcześniej próbował to ukryć. Myślę, że wszystko było już wówczas zaplanowane.

— Jakim sposobem? Przecież cały czas przebywał pod strażą.

— Nie wiem.

— Wspomniałeś Malevererowi o swoich podejrzeniach?

— Tak. Zlekceważył je i posłał mnie do diabła. Uważa, że już dopadł winnego. Musiał go znaleźć, albowiem popadł w niełaskę. Najpierw dopuścił do kradzieży dokumentów, a teraz dozamordowania Brodericka. — Uśmiechnąłem się z goryczą. — Nie sędzę, aby zrobił karierę po tym, co się stało. Ale nie zasługuje na to. Posługuje się wyłącznie brutalną siłą, działa bez odrobiny zastanowienia, bez żadnej delikatności.

— W przeciwieństwie do Cromwella.

— Tak, Cromwell potrafił spojrzeć na wszystko pod różnym kątem. — Popatrzyłem na Baraka.

— Sędzisz, że jestem w błędzie?

— Nie wiem. Jeśli masz rację, Broderickowi mógł pomóc każdy z płynących na tym statku. Nawet ktoś z załogi.

— To prawda. — Zawahałem się. — Ostatniej nocy, przed śmiercią Brodericka, na pokładzie zjawił się Rieh. Posłał mi zły uśmiech.

— Dlaczego Rich miałby zamordować Brodericka? Pozbawić króla ulubionego więźnia?

— Nie mam pojęcia.

— Cóż, przynajmniej tym razem można wykluczyć lady Rochford z kręgu podejrzanych.

— Tak. — Przygryzłem wargi. — Istnieje też inna możliwość. Znam człowieka, który miał doskonałą okazję zaplanować wszystko z Broderickiem, a następnie pomóc mu w popełnieniu samobójstwa. Człowiek z Kentu.

— Leacon? — spytał ze zdumieniem Broderick.

— Może coś ukrywa. Od czasu rozmowy ze starym prawnikiem w Hull nie przestaję myśleć o losie rodziny łucznika Blaybourne'a. Pewnie wrócił do swoich po przyjeździe z Francji. Ciekawym, ile wiedzieli. Mógł podyktować wyznanie krewniakowi. Pismo pozostało w rodzinie, aby później trafić do Londynu, a następnie do Yorku, gdy zaczęto planować rebelię.

Barak pokręcił głową.

— Leacon nie jest mordercą.

— Nie musi nim być. Człowiek, który ogłuszył mnie w King's Manor, mógł nie chcieć pozbawić mnie życia. Nie zabił też Brodericka, lecz pomógł mu popełnić samobójstwo. Leacon mógł powalić Radwintera, a następnie pomóc Broderickowi w rozstaniu się z życiem. Mógł nawet podsunąć piwo żołnierzom.

Barak wydał policzki.

— To całkiem logiczne, a mimo to... — Wiem, Leacon wydaje się mało prawdopodobnym kandydatem. Czuję się winny, że przyczyniłem się do kłopotów jego rodziny. Zaofiarowałem mu pomoc.

Barak zadumał się chwilę.

— Leacon pilnuje Radwintera, prawda?

— Tak.

— Może powinienesz rzec Malevererowi o swoich podejrzaniach.

Pokręciłem głową.

— Nie posłucha. To nie ma sensu.

— Mimo to powinienesz.

Westchnąłem.

— Pewnego dnia zanadto go sprowokuję i sam znajdę się w tarapatkach. Jednak masz rację.

Odwrociłem się, patrząc, jak kolejna duża fala rozbija się o śródkręcie. Z bocianiego gniazda nad naszymi głowami rozległ się okrzyk.

— Ziemia!

W małym uroczym Ipswich zabawiliśmy cztery dni. Umieszczenie statku w doku i naprawa steru okazały się nie lada wyzwaniem. Natomiast znalezienie oberży nie przedstawiało najmniejszego problemu. Giles przestał ukrywać, że czuje się wyczerpany. Leżał z twarzą wykrzywioną cierpieniem, nie mając ochoty na rozmowę. Postanowiłem pójść za radą Baraka i udałem się na poszukiwanie Maleverera. Wynałazł on sobie izbę w najlepszym zajeździe, kazał wstawić biurko i zasłał jego blat dokumentami. Siedział w tym swoim gabinecie, skrzętnie coś notując. Sprawiał wrażenie zmęczonego, a jego zwykle rumiana twarz przybrała szarą barwę. Powitał mnie jak zwykle gniewnym spojrzeniem.

— Jestem zajęty, panie Shardlake. Muszę przygotować obszerny raport dla Tajnej Rady.

— Pomyślałem o czymś, sir Williamie. Sprawa ta ma związek ze śmiercią Brodericka.

Westchnął i odłożył pióro.

— Słucham.— Wiem, Leacon wydaje się mało prawdopodobnym kandydatem. Czuję się winny, że przyczyniłem się do kłopotów jego rodziny. Zaofiarowałem mu pomoc.

Barak zadumał się chwilę.

— Leacon pilnuje Radwintera, prawda?

— Tak.

— Może powinieneś rzec Malevererowi o swoich podejrzeniach.

Pokręciłem głową.

— Nie posłucha. To nie ma sensu.

— Mimo to powinieneś.

Westchnąłem.

— Pewnego dnia zanadto go sprowokuję i sam znajdę się w tarapatkach. Jednak masz rację.

Odwróciłem się, patrząc, jak kolejna duża fala rozbija się o śródokręcie. Z bocianiego gniazda nad naszymi głowami rozległ się okrzyk.

— Ziemia!

fiW małym uroczym Ipswich zabawiliśmy cztery dni. Umieszczenie statku w doku i naprawa steru okazały się nie lada wyzwaniem. Natomiast znalezienie oberży nie przedstawiało najmniejszego problemu. Giles przestał ukrywać, że czuje się wyczerpany. Leżał z twarzą wykrzywioną cierpieniem, nie mając ochoty na rozmowę. Postanowiłem pójść za radą Baraka i udałem się na poszukiwanie Maleverera. Wynałazł on sobie izbę w najlepszym zajeździe, kazał wstawić biurko i zasłał jego blat dokumentami. Siedział w tym swoim gabinecie, skrzętnie coś notując. Sprawiał

wrażenie zmęczonego, a jego zwykle rumiana twarz przybrała szarą barwę. Powitał mnie jak zwykle gniewnym spojrzeniem.

- Jestem zajęty, panie Shardlake. Muszę przygotować obszerny raport dla Tajnej Rady.
- Pomyślałem o czymś, sir Williamie. Sprawa ta ma związek ze śmiercią Brodericka.

Westchnął i odłożył pióro.

- Słucham.

Opowiedziałem mu o swoich podejrzeniach związanych z osobą Leacona. Rzucił mi niecierpliwe spojrzenie.

- W ciągu ostatnich tygodni Leacon miał wiele okazji do zabicia Brodericka — odpowiedział.
- Nie sądzę, aby wcześniej przy Brodericku nie było żadnych żołnierzy. Nadarzyła się doskonała okazja.

— Dopuszczać się zaniedbania, pozwalając, aby jego ludzie się upili. Wspomnę o tym w raporcie. Poniesie konsekwencje. Czemu jednak miałby zabić Brodericka?

— Nie wiem, sir Williamie. Powiadam jedynie, że miał okazję. Cóż... pochodzi z Kentu. Pamiętasz panie, com ci rzekł o owym Blaybournie?

— Na miły Bóg, nie wspominaj więcej tego nazwiska! Ściany mają uszy. Nadal o tym rozmyślasz?

— Myślałem o rodzinie Blaybourne'a. O tym, czy jego wyznanie nie zostało przekazane...

— Lubisz snuć przypuszczenia, co? — Wyciągnął pióro w moją stronę. — Większość żołnierzy ochraniających królewską podróż pochodzi z Kentu. Leacon był od pięciu lat członkiem straży przybocznej Jego Królewskiej Mości. Zawsze solidny, aż do ostatniego błędu.

— Czy nie powinno to wzbudzić podejrzeń? Że okazał się niedbały akurat teraz? Po raz pierwszy w swojej karierze?

— Jesteś przesadnie ostrożny. Zamachy na twoje życie sprawiły, że stałeś się za bardzo podejrzliwy. Podejrzewasz i oczerniasz każdego bez żadnego dowodu. — Skinął dłonią, dając znak, abym odszedł. — Zostaw mnie. Nie chcę cię więcej widzieć. Odejdź.

Po wypłynięciu z Ipswich przekleństwo wiszące nad okrętem najwyraźniej zniknęło. Zaczął wiać pomyślny wiatr i po czterech dniach, pierwszego listopada, dotarliśmy do Tamizy. Stałem przy barierce, obserwując, jak statek wpływa w szeroką deltę. Toń była spokojna, a nad lądem unosiła się mgła. Byłem zmęczony i przemarznięty, podobnie jak inni pasażerowie na pokładzie. Wkrótce ukazały się pierwsze budynki i statek skierował się do brzegu, ku nabrzeżu Billingsgate. Na północny majaczył zarys londyńskiej Tower. Barak i Tamasin stanęli obok mnie. Tamasin rzuciła mi niepewne spojrzenie. Odpowiedziałem uśmiechem, albowiem dalsza sprzeczka nie miała najmniejszego sensu.

— Z jakiej to okazji? — spytał Barak, słysząc rozbrzmiewające w całym mieście dzwony.

— Ktoś powiedział, że to dla królowej Katarzyny — odrzekła Tamasin. — Król kazał odprawić nabożeństwo we wszystkich kościołach w podzięce za to, że znalazł w końcu dobrą żonę.

— Gdyby wiedział... — szepnął Barak.

— Najwyraźniej nie wie — dodałem szeptem. — I nie może się dowiedzieć. Powinniśmy zapomnieć o wszystkim. Zniknąć w Londynie.

Tamasin westchnęła.

— Po sześciu ostatnich tygodniach brzmi to jak bajka.

— Zaiste. Pójdę po Wrenne'a — dodałem niezręcznie. — Powiem, że prawie dotarliśmy do domu.

Zszedłem pod pokład do malutkiej kajuty Gilesa. Cały tydzień nie opuszczał koi, przesypiając większość czasu. Kiedy wszedłem, nie spał, lecz leżał nieruchomo z ponurym wyrazem twarzy.

— Jesteśmy na miejscu — oznajmiłem.

— Wiem, słyszałem nawoływania marynarzy. — Uśmiechnął się lekko. — Zatem udało się.

— Jak się czujesz?

— Lepiej. — Westchnął. — Muszę wstać.

— Kiedy dotrzemy do mojego domu, odpoczniesz kilka dni. W tym czasie Barak i ja rozpytamy się w Gray's Inn.

— Moglibyście poczekać kilka dni? Dopóki nie poczuję się lepiej i nie będę mógł wam towarzyszyć? — Zaśmiał się dziwnie. — Wolałbym powitać siostrzeńca na stojąco. Nie chcę, aby przyprowadzono go do mojego łóża.

— Dobrze, Gilesie. Zaczekamy kilka dni. Sprowadzę mojego przyjaciela, Guya, aby cię obejrzał. Jest aptekarzem i znakomitym medykiem.

— Tego starego Maura, o którym mi wspominałeś?

— Tak. Wiem, że przynajmniej złagodzi twój ból. Moja poczciwa gospoia Joan zaopiekuje się tobą. — Serce mi zadrżało na myśl o powrocie do domu. Pomyślałem, że pierwszą rzeczą, jaką uczynię, będzie przyśpieszenie rozprawy Bealknapa.

— Byłeś dla mnie bardzo dobry — rzekł cicho Giles. — Jak syn.

Nie odpowiedziałem, jedynie położyłem mu dłoń na ramieniu.

— Pójdę, abyś mógł się przygotować. Spotkamy się na pokładzie.

Kiedy wróciłem, statek cumował do nabrzeża. Drewniana burta uderzyła o brzeg. Spostrzegłem, że czeka na nas pół tuzina żołnierzy z pikami. Przyszli po Radwintera.

Kiedy rzucono cumy, przy barierce obok nas stanął Giles.

- Londyn wydaje się ogromny — rzekł.
- Jest taki — przytaknął Barak. — Powiadają, że co roku przybywa mu tysiąc mieszkańców.
- Jack oprowadzi was po mieście, panie — powiedziała Tamasin.
- Mam nadzieję, że ty również, panienko. Wspaniale będzie kroczyć ulicami Londynu w towarzystwie pięknej dziewczyny.

Obserwowaliśmy przemoczonych dworzan schodzących na ląd. Wśród nich spostrzegłem Maleverera.

Ujrzałem też Leacona z dwójką żołnierzy, między którymi kroczył Radwinter. Niegdyś schludne szaty strażnika były pogniecione, jego twarz brudna i nieogolona, a włosy i broda w nieładzie. Na rękach i nogach zauważyłem łańcuchy, którymi wcześniej skuto Brodericka. W jego wyglądzie nie było dawnej gwałtowności, szedł z nisko pochyloną głową.

Leacon i dwaj strażnicy sprowadzili go po trapie, przekazując oczekującym żołnierzom. Kiedy marynarz skinął ręką pozostałym pasażerom, zaczęliśmy schodzić na ląd. Na brzegu omal nie straciłem równowagi nienawykły do stałego lądu. Tamasin i Barak musieli mnie podtrzymać.

- Uważaj — rzekł Barak. — Pomóż, ja też się chwieję.

Poczułem na ramieniu obcą dłoń. Odwróciłem się, sądząc, że

ktoś jeszcze przyszedł mi z pomocą. Okazało się, że to Leacon. Otoczyła nas trójka żołnierzy z uniesionymi pikami. Leacon spojrzał na mnie surowo i powiedział:

- Pójdziecie z żołnierzami, panie Shardlake.

Rzuciłem mu gniewne spojrzenie.

- Co się dzieje? O co chodzi?
- Jesteście aresztowani, panie. Pod zarzutem zdrady.

Giles przystąpił do nas.

- Zdrady? — spytał wyraźnie zaszokowany. — O co wam chodzi? To jakaś pomyłka...
- Nie. Żołnierze, którzy przyszli po Radwintera, przynieśli także nakaz aresztowania pana Shardlake'a.
- Pokaż! — zażądał władczo Giles. — Jestem prawnikiem. — Wyciągnął dłoń, a Leacon wręczył mu kawałek papieru dobytego z kieszeni. Przyjrzał się mu rozszerzonymi ze zdumienia oczami, a następnie podał mi pismo drżącą ręką. Był to zaiste nakaz mojego aresztowania podpisany przez arcybiskupa Cranmera.
- Co mam czynić? — spytałem ochryplym głosem, czując, jak serce mi wali.
- Dowiedcie się w Tower, panie.

— Nie! — Barak skoczył ku mnie, chwytając Leacona za ramię. — To jakieś nieporozumienie, pomyłka. Arcybiskup Cranmer...

Jeden z żołnierzy złapał go za ramię. Barak stracił równowagę i runął z krzykiem na oślizgły bruk. Straż odprowadziła mnie na bok.

— Dowiedz się, o co chodzi, Jack! — zawołałem.

Tamasin pomogła mu się podnieść.

— Dowiemy się! — zawołała za mną. Wrenne z przerażeniem obserwował tę scenę. Zauważyłem, że dworzanie przypatrują się nam z oddali. Napotkałem wzrok Maleverera. Przechylił głowę, uniósł brwi i posłał mi uśmiech. Wiedział o wszystkim.

Rozdział czterdziesty pierwszy

Zaprowadzili nas do dużej łodzi wiosłowej zacumowanej nieco dalej przy nabrzeżu. Sierżant Leacon nie towarzyszył nam i w ten sposób znalazłem się w zupełnie obcych rękach. Żołnierze dali znak, abym zszedł po pokrytych szlamem stopniach. Poślizgnąłem się i byłbym wpadł w brudne wody Tamizy, gdyby jeden z nich mnie nie podtrzymał.

Posadzili mnie obok Radwintera i wypłynęli na szeroką rzekę. Spojrzałem w stronę nabrzeża i spostrzegłem trzy dalekie nieruchome postaci obserwujące, jak odpływam. Baraka, Tamasin i Gilesa. Zupełnie bezradni.

Inne łodzie na rzece ustępowały drogi szalupie pełnej żołnierzy w czerwonych kaftanach. Kiedy mijaliśmy jedną z nich, pasażer, pulchny radny, posłał Radwinterowi i mnie spojrzenie pełne lęku zmieszanego z sympatią. Wiedziałem, co myśli. Wiozą ich do Tower. To mógłbym być ja. Strach drzemał w każdym sercu. Teraz ten los spadł na mnie niczym grom z jasnego nieba. Z przerażeniem jednak odkryłem, że być może nie powinienem czuć się zaskoczony. Moja głowa była pełna zakazanej wiedzy o Blaybournie i pochodzeniu naszego króla. Choć wcale nie chciałem jej poznać, postanowili ją ze mnie wydobyć takimi lub innymi sposobami. Kto mógł na mnie donieść? Zmarszczyłem brwi. Z pewnością nie uczynił tego Swann, wiekowy prawnik z Hull. Oprócz niego tylko Barak wiedział, co odkryłem w sprawie Blaybourne'a, ten jednak z pewnością opowiedział wszystko Tamasin. Chyba to nie ona? Przełknąłem ślinę. Gardło mi wyschło na wiór. Obok siedział nieruchomo Radwinter, spoglądając posępnie przed siebie i nie zdradzając żadnych oznak szaleńczego obłędu, o którym wspomniał Barak. Zaczęło padać.

Była to krótka podróż. Nagle ponad naszymi głowami pojawiły się pokryte szlamem mury Tower odsłonięte z powodu odpływu. Serce zaczęło mi walić jak młot. Stanęliśmy przy zagrodzonej kratą bramie wychodzącej na rzekę. Pomyślałem, że weszła przez nią Anna Boleyn. Anna Boleyn, Anna Boleyn... Przyłapałem się na tym, że powtarzam jej nazwisko. Znałem koniec tej opowieści, jako że Cromwell zmusił mnie do udziału w egzekucji królowej. Widziałem, jak jej głowa spada z katowskiego pnia w Tower Green, owej pięknej wiosny, pięć lat temu.

— Wychodzić!

Łódź uderzyła o kamienne stopnie. Żołnierze chwycili nas za ramiona i wciągnęli na brzeg. Spojrzałem na kamienny łuk u szczytu schodów i ujrzałem Tower Green, na którym przysiadły kruki, a za nim zarys White Tower. Deszcz się nasilił.

— Puszczajcie! — Radwinter nagle ożył. — Nie uczyniłem nic złego! Jestem niewinny! — Próbowałem się wyrwać, lecz żołnierze mocno go trzymali. Nie odrzekli ani słowa. Pomyślałem, że jest niewinny jak Anna Boleyn i Margaret z Salisbury, którą tej wiosny zamordowano w Tower. W takim miejscu niewinność nie miała znaczenia.

— Na górę! — Żołnierze zwracali się do nas krótkimi zdaniami. Zawiedli nas na górę. Mało brakowało, a poślizgnąłbym się powtórnie, ponieważ nadal nie odzyskałem zdolności utrzymywania równowagi na lądzie.

— Zaczekajcie tutaj!

Stanęliśmy w przejściu otoczeni przez żołnierzy trzymających uniesione piki. Od napierśników i hełmów odbijały się refleksy migoczące na falach. Po chwili obok przeszedł jakiś urzędnik, zastaniając głowę przed deszczem. Spojrzał na nas z umiarkowanym zainteresowaniem, jakby zastanawiał się, kogo przywieźli tym razem. Przez chwilę wstyd wziął we mnie górę nad strachem. A jeśli ojciec przypatrywał się temu wszystkiemu z nieba?

W końcu wyszedł po nas ktoś z White Tower. Mąż ów miał na sobie obszytą futrem szatę oraz szeroki kapelusz. Kroczył

wolno, nie zważając na deszcz. Żołnierze zaszalutowali, kiedy stanął przed nami. Dobiegający czterdziestki mężczyzna był wysoki, szczupły, ze schludnie przyciętą rudawozłotą brodą. Dowódca wręczył mu jakieś dokumenty, bez wątplenia nakazy aresztowania. Tamten przyjrzał się uważnie Radwinterowi i mnie. Jego wzrok był badawczy, pełen wyrachowania.

— Który to który? — spytał cicho.

Żołnierz skinął głową w moją stronę.

— Ten to Shardlake, sir Jacobie. Drugi to Radwinter.

Sir Jacob pokiwał głową.

— Zabrać obu. — Kiedy się odwrócił, żołnierze otoczyli nas i powiedli za nim do Tower. Kruki wzbity się w niebo.

Weszliśmy głównymi schodami do White Tower przez hol o wysokim sklepieniu, gdzie żołnierze z załogi grali w karty i rozmawiali. Przerwali na chwilę, przypatrując się, jak przechodzimy. Pewnie wielu z nich towarzyszyło królowi w podróży na północ, niektórzy być może zapamiętali mnie z Fulford.

Bywałem już wcześniej w Tower w sprawach zawodowych, dlatego poczułem, jak serce we mnie zamiera, a żołądek zaciska się w supeł, wiedli nas bowiem do lochów. Zaczęliśmy schodzić krętymi schodami oświetlonymi pochodniami, coraz niżej i niżej. Ściany lśniły od wilgoci, albowiem znajdowaliśmy się poniżej poziomu rzeki. W końcu stanęliśmy przed drzwiami z okrągowym okienkiem. Schodziłem tędy cztery lata wcześniej, aby uzyskać pewne informacje od strażnika. Nie

zwracałem wówczas uwagi na otoczenie pochłonięty misją, którą miałem do spełnienia. Sir Jacob zakłatał do drzwi. Usłyszeliśmy brzęk kluczy i po chwili wprowadzono nas do środka. Zamknięto wrota. Jeszcze nigdy nie czułem się tak bezradny, tak całkowicie oddzielony od świata w górze.

Znaleźliśmy się w słabo oświetlonym pomieszczeniu o kamiennych ścianach i podłodze. Owionęło nas chłodne i wilgotne powietrze. W kamiennej ścianie znajdowały się ciężkie okrato-wane drzwi, a na środku podłogi stało biurko nadające wewnątrz osobliwie domowy klimat, ze świeczką z pszczelego wosku oświetlającą żółtym płomieniem stos dokumentów. Otyły strażnik o krótkich, przetłuszczonych włosach podszedł i stanął obok nas.

— Widzę, żeś pan wszystko przygotował. Dajcie Radwintera do dziewiątki — rzekł cicho sir Jacob. — Wróćcie tutaj, kiedy go skujecie. Czy Caffrey jeszcze tam jest?

— Tak, sir Jacobie.

— W takim razie przyprowadźcie go. — Skinął głową żołnierzom. — Możecie odejść.

Usłyszałem odgłos ciężkich buciorów na schodach. Strażnik odprowadził ich, a następnie ujął Radwintera za ramię i powiódł do celi. Radwinter nie stawiał oporu, jakby był całkiem zaskoczony tym, co się dzieje. Po chwili zniknęli na końcu korytarza i słychać było jedynie brzęk kluczy wiszących u'pasa otyłego strażnika. Urzędnik spojrzał na mnie.

— Jestem sir Jacob Rawling, zastępca naczelnika Tower. Odpowiadam za te sprawy. — Mówiąc to, uśmiechnął się chłodno, zataczając krąg dłonią.

— Rozumiem, panie. — Moje ciało przeszedł dreszcz. Ziąb przenikał przez wilgotne ubranie, docierając do kości.

— Z przykrością przyjmuję upadek człowieka o waszej pozycji. — W sposobie, w jaki potrząsnął głową, było coś osobliwie belferskiego, jakbym był uczniem ukaranym za jakieś poważne wykroczenie.

— Nie wiem, z jakiego powodu mnie aresztowano — odparłem.

Przyjrzał mi się badawczo, wydymając wargi.

— Sprawa ta ma związek z królową. — Zamrugalem ze zdumienia. A zatem nie chodziło o Blaybourne'a. Jeśli tak faktycznie było, czemu nie aresztowali Baraka lub Tamasin? Pomyślałem z przerażeniem, że przyłapano królową. Powiedzą, że zataiłem dowody jej cudzołóżnego związku z Culpeperem. Maleverer musiał o wszystkim wiedzieć.

— Nie miałeś pan dość zmartwień podczas królewskiej podróży? — Sir Jacob posłał mi kolejny belferski uśmiezek, jakby wbrew sobie bawiło go coś w złym zachowaniu ucznia, być może głupie przekonanie, że wszystko ujdzie mu płazem. Przyjrzał mi się uważnie.

— Niedawno padło tu wasze nazwisko, gdy rozpięto na kole Bernarda Locke'a. Chcieli oni wiedzieć, czy odegrał jakąś rolę w zamachach na wasze życie.

W przeciwieństwie do Radwintera wspomniał o kole bez

przyjemności, w jego głosie nie było też chłodnej determinacji jak u Maleverera. Wypowiedział to słowo z całkowitą obojętnością. Nagle wielce się go przeląknęłam.

— Wiem, panie.

— Wiem, że pan wie. Sir William wspomniał o tym w raporcie, w którym was oskarżył.

— To on się za tym kryje?

— Tak, oskarżył was o zatajenie związku łączącego Francisa Derehama z królową.

— Derehama? — Spojrzałam na niego ze zdumieniem.

Zmrużyłam oczy.

— Pan Dereham jest podejrzany o romans z królową Katarzyną. Podejrzewają, że wiedziałeś pan o tym, lecz zachowałeś milczenie.

Przypomniałam sobie, że Rich widział, jak w Howlme wychodzę z namiotu królowej. Był też świadkiem mojej rozmowy z Derehamem na ulicy w Hull. Dereham musiał być od początku podejrzewany, być może obserwowany przez Maleverera. Rich powiedział Malevererowi, a ten mnie oskarżył. Wychodziło na to, że aresztowali mnie z powodu czegoś, o czym nie miałem zielonego pojęcia.

— Dereham? — spytałam ponownie.

— Lepiej, abyście nie udawali, Shardlake. — Sir Jacob przemawiał rozsądnym głosem, jak nauczyciel, który stara się przekonać krnąbrnego ucznia. — Pokażę, co was czeka, jeśli się będziecie opierali. — Nie poruszył się jednak, a jedynie stał, bacznie mi się przypatrując. To zdenerwowało mnie jeszcze bardziej. Zadrżałam ponownie.

Doleciał nas brzęk kluczy. Otyły strażnik wrócił z roslym młodzieńcem, w poplamionej skórzanej kamizelce. Zmrużyłam oczy, przyglądając mu się w ciemności. Czy owe plamy były plamami krwi?

Sir Jacob skinął głową w ich stronę.

— Przeszukać go.

Wzdrygnąłem się, gdy mnie chwycili i zbadali szatę palcami. Położyli na stole sztylet, sakiewkę i pieczęć Cranmera. Sir Jacob podniósł pieczęć, obejrzał ją i mruknął coś pod nosem.*

— Przeprowadźcie Bernarda Locke'a — rzekł tamtym. — Trzeba go przenieść do celi dla skazańców.

Mężczyźni otworzyli drzwi jednej z cel i weszli do środka. Zamarłem, oczekując narzeczonego Jennet Marlin, człowieka, który kazał mnie zamordować.

Wynieśli go na krześle. Nie był skuty. Zdałem sobie sprawę, że torturowali go tak okrutnie, że nie mógł chodzić. Nogi zwisały mu bezwładnie, podobnie jak jedno ramię. Drugie zadrżało konwulsyjnie, gdy uchwycił się krzesła, alpy zachować równowagę.

— Tędy, kolego — rzekł grzecznie otyły strażnik, niosąc go przez hol. Próbowałem spojrzeć w twarz Locke'a, lecz jego głowa zwisała, a długie włosy przesłaniały oblicze. Jęczał cicho.

— Poczekajcie! — rozkazał sir Jacob, zatrzymując spotniałych strażników. Zastępca naczelnika podszedł i uniół głowę Locke'a za włosy. Więzień zaskowyczał z bólu. Dostrzegłem rozległą bliznę po oparzeniu na czole. Ze zdumieniem stwierdziłem, że był brzydki. Rysy jego pryszczatej twarzy wydały mi się toporne, spoglądał niespokojnie dużymi, wyłupiastymi oczami."

— Cóż, Locke — rzekł sir Jacob. — Dotarliście niemal do kresu swej drogi. Pomyślałem, że powinniście poznać pana Shardlake'a. Innego prawnika w opałach. Tego, którego próbowała zamordować wasza narzeczona. Masz mu pan coś do powiedzenia?

Bernard Locke przypatrywał mi się przez chwilę.

— Nic — odrzekł, odwracając głowę z grymasem bólu.

— Cemu to uczyniłeś? — spytałem. — Cemu wykorzystałeś tę nieszczęsną kobietę? Cemu nakłoniłeś ją do targnięcia się na niewinne życie? Cemu naraziłeś na tak wielkie niebezpieczeństwo, że w końcu utraciła własne?

Locke nie odrzekł ani słowa, a jedynie spojrzął na mnie obojętnie, jakbym należał do innego świata.

— Zdradziłeś swoich towarzyszy, wydałeś ją.

W dalszym ciągu milczał.

— Czy ożeniłbyś się z Jannet, gdyby wasz plan się powiódł?

Przesunął opuchniętym językiem po spieczonych wargach.

— Być może — rzekł wysokim, chrapliwym głosem. — Jakie to ma teraz znaczenie? Przyszło mi do głowy inne pytanie.

— Znasz pan Martina Dakina, prawnika z Lincoln's Inn? — Wiedziałem, że pytanie to może narazić na niebezpieczeństwo Dakina. Lecz więzień wszystko, co wiedział, zapewne przekazał już katom.

W jego zapadniętych oczach pojawił się błysk zainteresowania.

— Tak, znałem Martina. — Mówił o sobie w czasie przeszłym, jakby już nie żył. Jego usta wykrzywiły się w półuśmiechu. — Nie brał udziału w spisku. Jest bezpieczny.

— Kim jest ów Dankin? — zapytał sir Jacob.

Westchnąłem.

— To siostrzeniec mojego znajomego, starego prawnika. Jest obrońcą w Gray's Inn. Próbowałem pomóc staruszkowi go odnaleźć.

Sir Jacob spojrzął na mnie gniewnie.

— Wierzaj mi, panie Shardlake, że masz teraz na głowie inne zmartwienia. — Skinął strażnikom, którzy wynieśli Locke'a. Otyły stękał z wysiłku. Próbował otworzyć drzwi, jednocześnie trzymając krzesło. Kiedy w końcu mu się to udało, wynieśli Locke'a na zewnątrz.

— Będzie problem, aby go wtaszczyć na górę — zauważył młodszy.

— Tak — wysapał otyły. — Same z tobą kłopoty, kolego — rzekł do Locke'a i po chwili zaczęli go nieść po schodach. Każdemu poruszeniu krzesła towarzyszył jęk. Sir Jacob pochylił głowę.

— Często skazańcy u kresu doznają tak wielkiego cierpienia, że nie potrafią myśleć o niczym innym. Cóż, jutro jego katusze się skończą. Pójdzie na ścięcie.

— Nie będzie procesu?

Sir Jacob spojrział na mnie z ukosa, jakbym powiedział coś niegrzecznego.

— Myślę, że potrzebujecie nieco czasu, aby przywyknąć do miejsca, w którym się znaleźliście — powiedział. — Zaiste, tak będzie najlepiej. Pomówimy później. — Usiadł i począł coś notować, ignorując moją obecność.

Stałem na drżących nogach, a w mojej głowę kłębiły się obtąkańcze myśli. Czyżby królowa miała romans z Derehamem i Culpeperem? Wydawało się to niewiarygodne, a jednak było jedynym wyjaśnieniem podpisu Cranmera widniejącego na nakazie mojego aresztowania. Nie mieli pojęcia o Culpeperze. Zgodnie z prawdą mogłem zaprzeczyć, że wiedziałem o Derehamie. Czy mi jednak uwierzą? Czy nie użyją innych metod? Zdawałem sobie sprawę, że jeśli mnie wezmą na męki, powiem wszystko, co zechcą, byle przestali. Wyznam im prawdę o Culpeperze, ujawnię swoje podejrzenia na temat królewskiego pochodzenia. Wszystko. Wiedziałem, że zniosę mniej od Locke'a, mniej od Brodericka. Ogarnął mnie taki strach, że ukryłem twarz w dłoniach i jęknąłem.

Strażnicy wracali po schodach, sapiąc i postępując. Opuściłem drżące dłonie i zobaczyłem, że sir Jacob patrzy na mnie z cichą satysfakcją.

— W porządku — rzekł. — Widzę, żeś waść zrozumiał. Umieście go w celi z Radwinterem.

Rozdział czterdziesty drugi

Otyły strażnik powiódł mnie schodami do wąskiego, oświetlonego pochodniami korytarza, na który wychodził szereg solidnych drewnianych drzwi. Otworzył jedno z nich i wepchnął mnie do środka tak silnie, że omal nie upadłem.

Cela była długa i nisko sklepiona. Na pobielonych wapnem ścianach widniały plamy pleśni. Przez zakratowane okienko pod sufitem na końcu celi ujrzałem skrawek ciemnego nieba i usłyszałem szum wiatru dolatujący od rzeki. Musieliśmy się znajdować nad samą wodą. Jedynymi sprzętami znajdującymi się w pomieszczeniu była para rozklekotanych pryczy ustawionych po obu stronach drzwi. Na jednej z nich siedział Radwinter z głową ukrytą w dłoniach. Nie podniósł oczu, gdy strażnik powiódł mnie do drugiej.

— Usiądź — rozkazał. Opadłem na cienki, plugawy materac cuchnący zgnilizną. Nie zauważyłem koca. — Wyciągnij ręce — polecił. — Szybciej, nie zamierzam tkwić tu cały dzień. — Mówił spokojnie, lecz gdy spojrzałem w jego bezlitosne oczka, zrozumiałem, że chce ubić interes.

Wyciągnąłem ręce. Sięgnął po kajdany wsunięte pod pryczę i skuł mnie tak szybko i zręcznie, że ledwie zdążyłem się zorientować, co robi. Usłyszałem kliknięcie i zostałem spętany. Strażnik pochylił się, wyciągnął kolejny łańcuch i zakął mi stopy. Wstał i przyjrzał się swojej robocie, z zadowoleniem kiwając głową.

— Gotowe. Znakomicie.

— Czy to konieczne? — spytałem łamiącym się głosem.

— Konieczne? — powtórzył z uśmiechem, naśladując mój uczonej ton. — Takie są zasady, kolego. Niebawem się przekonasz, że to najłagodniejsza z nich. — Spojrzał na Radwintera, który siedział nadal ze spuszczoną głową, a następnie wyszedł z celi. Usłyszałem zgrzyt przekręcane go klucza.

Siedziałem nieruchomo sparaliżowany przerażeniem. Łańcuchy były długie. Mogłem swobodnie poruszać rękami i chodzić po celi, okowy były jednak ciężkie, a jedna z obręczy wpijała się boleśnie w nadgarstek, choć nie tamowała krążenia.

Podniosłem głowę i spostrzegłem, że Radwinter mi się przypatruje. Był brudny, wzrok miał dziki, a poszarzała twarz nabiegła krwią. Jakże się różnił od schludnego, pewnego siebie człowieka, którego poznałem na zamku w Yorku.

— Co uczyniłeś? — spytał urywanym, zachrypniętym głosem.

— Nie uczyniłem tego, co mi zarzucają.

— Łżesz! — krzyknął nieoczekiwanie.

Nie odpowiedziałem, lękając się, że może na mnie skoczyć.

Mówił dalej podniesionym głosem pełnym goryczy:

— Zawsze byłeś mięczakiem, a tacy są niebezpieczni, mogą bowiem ulec grzesznikom pokroju Brodericka. Przestępców należy karać, to sprawiedliwe. Ojciec to powtarzał, gdy spuszczał mi lanie. Mówił, że to prawo boskie i miał rację! — wykrzyknął, jakbym mu się sprzeciwił. — Nie zamordowałem Brodericka! Popęniłem kilka błędów, lecz pozostałem lojalny. Powinni mnie ukarać, lecz nie za to! — Podniósł głos, patrząc na mnie obłąkanym, gniewnym wzrokiem.

— Może cię przesłuchają i puszcza wolno — rzekłem uspokajająco. — Zrozumieją, że nie jesteś odpowiedzialny za śmierć Brodericka. Nie sądzę, abyś go zamordował.

Najwyraźniej puścił moje słowa mimo uszu.

— Błędy należy karać. — Zmarszczył gniewnie brwi. — Lecz nie można tego czynić z taką surowością, jakby dopuszczono się ich rozmyślnie. Tego nauczył mnie ojciec. Trzy uderzenia za zapomnienie o porze snu. Dwanaście razy za celowe zwlekanie z udaniem się na spoczynek. Pozostawił mi blizny, abym to zapamiętał.

Nie odpowiedziałem. Nie było takiej potrzeby, albowiem jego wzrok był rozbiegany. Przemawiał raczej do siebie niż do mnie. — Czasem kazał mi klęczeć i patrzeć na różgę, zanim jej użył. Było to

częścią kary. Wyjaśnił, że u zwierząt ta metoda nie działa. — Spojrzał na mnie. — Pamiętasz? — spytał z uśmiechem. — Mówiłem ci.

— Tak. — Pomyślałem, że Maleverer miał rację. Radwinter oszalał, nie wytrzymał napięcia. Zamknęli mnie w celi z szaleńcem.

— Ojciec powiedział mi to, gdy poszliśmy na szczucie byka! Chwycił moją dłoń tak silnie, że krew niemal przestała płynąć. Oczekiwanie na karę przeraża chłopca, wiedziałem też, że przeraziłoby dorosłego mężczyznę. — Nagle uśmiechnął się, spoglądając na mnie takim wzrokiem, jakiego mam nadzieję więcej nie oglądać. Mimowolnie przesunąłem się na łożu, aby się od niego oddalić. Wtedy na chwilę wróciły mu zmysły i popatrzył na mnie znajomymi, lodowatymi oczami.

— Poczujesz różgę... mam na myśli narzędzia tortur. Ja ich nie zaznam, jestem bowiem niewinny! Prawym jestem człowiekiem w bożych oczach! Król jest jego ziemskim pomazańcem i do tego nie dopuści! — Zaczął nagle krzyżeć w obłądnej furii, powodując, że odsunąłem się ze strachu. — Nędzny pokurczu! Król właściwie cię potraktował w Fulford Cross! — Nagle zaśmiał się ze złośliwą satysfakcją, niczym urwis podczas oglądania moralitetu. Przebywał teraz we własnym świecie, być może zawsze tak było. Wtem przerwał. — Maleverer mnie oskarżył — rzekł. — Oskarżył fałszywie. Kiedy stąd wyjdę, poczuje różgę. Z mojej ręki. — Potrząsnął głową. — Nie! Poczuj żelazo, żelazo i ogień! Czemu moja głowa drży i płonie? Czemu nie potrafię jasno myśleć? — Spojrzał na mnie z rozpaczliwym błaganiem.

— Powinieneś pomówić z księdzem, Radwinter.

— Odeślą mnie do papistów, przeklętych papistów, niech szesz na stosie... — Jego głos scichł i przeszedł w ledwie słyszalny szept, w niezrozumiałą paplaninę obłąkanego, który zwraca się do samego siebie. Wstałem i podszedłem do okna. Łańcuch szczęknął i brzęknął o podłogę, utrudniając poruszanie. Pomyślałem o tym, czego obawiali się wszyscy w Londynie. Znajdowałem się w Tower, skuty łańcuchem, oskarżony o zdradę, czekający na przesłuchanie Bóg jeden wie jakimi metodami. Na dodatek byłem zziębnięty, zmarznięty na kość. Zamknąłem oczy i ukryłem twarz w dłoniach, słuchając obłąkańczego szeptu Radwintera i kropel deszczu dudniących o rzekę. Odniosłem wrażenie, że poziom wody się podniósł. Musiał nadciągnąć przypyływ. Nigdy nie lękałem się tak o własne życie.

Wróciłem i położyłem się na pryczy, drżąc z zimna. Mijały godziny. Radwinter też opadł na siennik i zamilkł. Obaj zerwaliśmy się na dźwięk przekręcanej w klucza, lecz okazało się, że to jedynie młody strażnik przyniósł nam strawę, cienką polewkę z małymi grudkami unoszącymi się na szarej powierzchni. Postawił nasze miski na podłodze.

— Jeśli chcecie czego lepszego, musicie zapłacić — oświadczył, chytrze na nas spoglądając. — Obaj jesteście panami, będziecie mieli gości?

— Czy pozwalają na wizyty? — spytałem.

Popatrzył na mnie jak na głupca.

— Pewnie! Jak inaczej miałbyś pieniądze, aby nam zapłacić? Ktoś cię odwiedzi?

— Mam nadzieję — odpowiedziałem z westchnieniem, zdając sobie sprawę, jak rozpaczliwie potrzebuję widoku przyjaznej twarzy.

— Po mnie przyjdzie arcybiskup Cranmer — rzekł nagle Radwinter z dziwną wyniosłością. — Wówczas to ty mi zapłacisz, ty i naczelnik Tower.

— Czy przyprowadzi ze sobą króla? — Strażnik się zaśmiał i zatrzasnął drzwi. Radwinter rzucił mi złowrogie spojrzenie, a następnie podniósł miskę i zaczął siorbać zupę. Zjadłem obrzydliwą strawę, która jedynie wzmogła dolegliwości żołądkowe.

Mijały kolejne godziny. Zaczęło się ściemniać. Na zewnątrz padał deszcz. Czy oczekiwanie było elementem ich planu, jak mawiał ojciec Radwintera? Czy chcieli, abyśmy wyobrażali sobie, co nas czeka? Położyłem się, licząc na to, że Barak i Wrenne przyjdą mi z pomocą. Uczynią to niechybnie.

Wraz z upływem kolejnych godzin ziąb całkowicie sparaliżował moje myśli. Ubranie przemokło podczas przeprawy przez rzekę, a wiedziałem, że tu z pewnością nie wyschnie. Na zewnątrz nadal sięgał deszcz. Szum nasilał się i słabł, gdy woda podnosiła się i opadała w rytm przyptyków i odpływów. Koniec końców leżałem na deskach przy owinięty stęchłym materacem, aby choć trochę się ogrzać. Materac cuchnął moczem i starym potem. Robactwo oblaźło moje szaty i skóra zaczęła mnie swędzieć. Radwinter nie odzywał się ani słowem, widziałem jedynie jego postać zwiniętą na pryczy. Miałem nadzieję, że zasnął. Wolałem, aby nie leżał w ciemności z Bóg wie jakimi obłąkańczymi myślami kłębiącymi się w głowie.

Materac dostarczał mi niewiele ciepła. Drzemałem, budząc się co chwila i drżąc z zimna. Obserwowałem, jak niebo przechodzi z czerni w szarość za oknem zabezpieczonym grubymi kratami. Deszcz w dalszym ciągu padał. Kiedy na chwilę zasnąłem, osaczyły mnie jakby żywe, przerażające sny. W jednym prowadzono mnie w łańcuchach przed oblicze króla. Henryk leżał na bogato zdobionym łożu w pawilonie, w którym spotkaliśmy się z lady Rochford. Miał na sobie koszulę nocną, która nie skrywała jego tuszy. Fałdy skóry zakotływały się jak morze, gdy z trudem siadł na łożu. „Spójrz, co uczyniłeś!” — rzekł, odsuwając narzutę. Na jednej z jego olbrzymich nóg widniała ogromna czarna plama, rosły na niej żółte grzyby podobne do tych, którymi Broderick próbował się otruć. „Zapłacisz za to, Blaybourne”, powiedział, wbijając we mnie oczy podobne do oczu Radwintera.

„Nie nazywam się Blaybourne!” — zaprotestowałem, wyciągając ramiona w błagalnym geście, lecz żołnierze odciągnęli mnie za łańcuchy. Okowy brzęknęły o posadzkę, a ciasna obręcz wbiła się w nadgarstek. Ból był niezwykle realny. Wyrzuciłem ramiona do przodu i poczułem silne szarpnięcie. Równie realny okazał się szcęk metalu. Ktoś przekręcił klucz w zamku. Do celi weszło dwóch strażników, gruby i młody, z surowym wyrazem twarzy. Nie przynieśli jadła. Serce poczęło mi walić, a żołądek podszedł do gardła.

Strażnicy rzucili mi przelotne spojrzenie i zwrócili się do Radwintera, który podobnie jak ja usiadł na łożku. Z jego półprzyciemnego spojrzenia wywnioskowałem, że spał. Tłusty strażnik podniósł go na nogi. — Chodź, kolego. Sir Jacob chce cię wypytać.

Radwinter próbował stawiać opór.

— Nie! Nie uczyniłem nic złego! Powinien tu siedzieć Maleverer zamiast mnie! Na nadzorcę wyznaczył mnie arcybiskup Cranmer! — Zaczął się szarpać, lecz tłusty strażnik dzielił go w twarz, a następnie chwycił za włosy i spojrzął mu w oczy.

— Nie stawiaj się, bo powleczeniemy za nogi.

Radwinter nic nie odrzekł zamroczony uderzeniem i pozwolił wyprowadzić się z celi. Na korytarzu odzyskał przytomność, usłyszałem bowiem, jak krzyczy, gdy go odciągają. Przeklinał Maleverera i wołał, że wsadzi strażnika do więzienia. Usiadłem na pryczy, czując, że nogi drżą mi ze strachu. Kiedy przyjdą po mnie?

Mijały godziny.

Nadszedł kolejny przyptyw, gdyż szum wody się nasilił. Słyszałem, że najniższe cele zatapiały czasem fale wysokiego przyptywu, zabijając więźniów. Z niemą nadzieją wpatrywałem się w okno, czekając, aż woda wedrze się do środka. Drgnąłem niespokojnie, słysząc zgrzyt klucza. Czyżby nadeszła moja kolej?

W drzwiach celi stanął Barak, za którego plecami ujrzałem młodego strażnika. Zerwałem się i podbiegłem, chwytając go za ręce, jakbym zapomniał o właściwym dystansie.

— Jack! Jack! Dziękuję Bogu!

Poczerwieniał z zakłopotania, widząc tak nieoczekiwany wybuch uczuć. Poczerwieniał jeszcze bardziej na widok łańcuchów. Delikatnie ujął moje ramię.

— Usiądź. Proszę. — Posadził mnie na pryczy i zwrócił się do strażnika. — Mamy pół godziny?

— Tak, pół godziny za sześć pensów. Powiedziałem już, jaka obowiązuje stawka. — Wyszedł, zamykając za sobą drzwi. Barak usiadł na pryczy Radwintera. Z jego zatroskanej twarzy wyczytałem, że nie ma dla mnie dobrych wieści.

— To łożo Radwintera — rzekłem z histerycznym śmiechem.

— Radwintera? Umieścili was w jednej celi?

— Tak, on oszalał, Jack. Ja też postradam zmysły, jeśli zostanę tu dłużej. Zabrali go, Bóg jeden wie, co z nim zrobili. Nie jestem na to dość silny.

— A kto jest? Boże, jak ty wyglądasz. Co mogę ci przynieść? — Koce i suchą odzież. Rozpaczliwie jej potrzebuję. — Głos począł mi się łamać, a w oczach błysnęły łzy. — Przynies też trochę dobrego jadła. Później ci zapłacę.

— Załatwione.

— Dzięki. Dobrze cię widzieć. Mów do mnie, przypomnij o świecie, który istnieje za tymi murami. Udaliście się do mojego domu?

— Tak, pomyślałem, że będzie najlepiej, jeśli tam się zatrzymamy. Tamasin pomaga pielęgnować Wrenne'a. — Zawahał się. — Kiepsko z nim. Biedny staruszek. Omal nie upadł, gdy dotarliśmy na Chancery Lane. Trzeba go było położyć do łóżka.

— Wiedziałem, że źle się czuje. — Spojrzałem na Baraka. — Czy to już koniec?

— Myślę, że potrzebuje odpoczynku. Podróż była dla niego zbyt męcząca.

— Czy Joan wie, gdzie jestem?

— Pomyśleliśmy, że lepiej jej nie mówić. Powiedzieliśmy, że masz sprawę w Whitehall i kazałeś nam zamieszkać w swoim domu oraz zaopiekować się panem Wrenne'em do swojego powrotu.

— Dobrze. — Siedzieliśmy chwilę w milczeniu. — Słyszysz deszcz? — zapytałem.

— Tak, w Londynie jest zła pogoda. Od dwóch tygodni leje. Pamiętasz sad za twoim domem, który władze Lincoln's Inn nabyły z myślą o postawieniu tam nowego gmachu?

— Tak

— Po wycięciu drzew plac zamienił się w błotne bajoro. Teren opada aż do twojego ogrodu. Woda nie podeszła jeszcze pod mur, lecz może zalać ogród. Joan mi pokazała.

Nie odpowiedziałem, gdyż nie potrafiłem skoncentrować się na jego słowach. Barak milczał przez chwilę, a następnie rzekł:

— Cały wczorajszy dzień i dzisiejszy ranek poświęciłem próbie rozwikłania, o co w tym wszystkim chodzi. Rozmawiałem z moimi dawnymi informatorami w Whitehall, lecz żaden o niczym nie wie. Król wrócił do Hampton Court kilka dni temu. Nie ma go w Londynie. Powiadają, że dzieje się coś złego. Coś poważnego. Ściągnął do siebie wszystkich najważniejszych dostojników, w tym Cranmera. — Księżę zachorował?

— Nie, mówią, że jego stan uległ poprawie. Co ci rzekli?

Spojrzałem na drzwi i pochyliłem się ku niemu.

— Mów ciszej. Mogą podsłuchiwać za drzwiami. Chodzi o królową. — Opowiedziałem, co sir Jacob rzekł mi o Derehamie.

— Dereham? To nie ma sensu.

Popatrzyłem na niego poważnie.

— Jeśli użyją tortur, załamie się, Jack. Zabrali Radwintera na przesłuchanie. Kiedy usłyszałem zgrzyt klucza, pomyślałem, że nadeszła moja kolej. — Jęknąłem. — Miałem nawet pokusę, aby zawołać strażnika i wyśpiewać wszystko, co wiem o królowej i Culpeperze, nawet o Blaybournie. To oznacza, że ty i Tamasin jesteście w niebezpieczeństwie. — Spojrzałem na niego ponuro.

Skinął wolno głową i przygryzł wargi.

— Nie pojmuję, o co im chodzi — rzekł cicho. — Co ich zdaniem łączy cię z Derehamem?

Opowiedziałem mu o tym, że Rich widział, jak wychodzę z namiotu królowej, był również świadkiem, jak Dereham zaczepił mnie w Hull. — Pobyt w więzieniu sprawił, że ciężko mi się

myślało. — Musieli podejrzewać Derehama już wcześniej. Może królowa była bardziej nieroztropna, niż sądziliśmy.

— A Dereham wraz z nią?

— Tak. Pewnie Rich skłonił Maleverera, aby ten powiadomił Cranmera. Chcieli wymóc na nim, by kazał mnie przesłuchać.

— Dziwny sposób postępowania. Więcej sensu miałoby wezwanie cię do Cranmera i przepytanie, szczególnie że działałeś z jego upoważnienia.

— Myślę, że naopowiadali mu kłamstw, oczernili mnie. — W obecności Baraka odzyskałem zdolność trzeźwego myślenia. — Gdyby zamknęli mnie w Tower i zniszczyli moją reputację, rajcowie przypuszczalnie zrezygnowaliby ze sprawy Bealknapa. Myślę, że o to w tym wszystkim chodzi. Wyjaśniałoby to groźby Richa i chytre uśmieszki Maleverera.

— Być może.

— Posłuchaj uważnie. Idź do ratusza i poszukaj kolegi Ver-veya, to jeden z prawników rady miejskiej, porządny człek. Spytaj go, czy ludzie Richa podejmowali jakies kroki w sprawie Bealknapa. Jeśli to uczynili, jak podejrzewam, niechybnie stoi za tym Rich.

— Dobrze.

— Następnie przekaz tę informację Cranmerowi. Dostań się do Hampton Court. Przekup, kogo trzeba, wiesz, gdzie trzymam pieniądze. Jeśli wykorzystali Cranmera, nie spodoba mu się to. Rzeknij też słówko o Radwinterze. Powiedz, że oszalał, i że nie sądzę, aby zamordował Brodericka.

Barak uśmiechnął się i pokręcił głową.

— Chcesz pomóc temu draniowi?

— Pomógłbym każdemu, kto został niesłusznie oskarżony, nawet jemu.

— Darmo? — wysilił się na żart.

— Tak, tak jak rozpatruje się petycje biedaków. Pro bono, dla dobra wspólnego.

— Kto zamordował Brodericka?

— Jeden z pasażerów statku. Ten człowiek był w Howlme, gdy zginęła Jennet Marlin. Powiedz to Cranmerowi, jeśli będziesz miał okazję.

— Nadal podejrzewasz Leacona? Podeszedł do mnie, gdy cię zabrali. Powiedziały, że z przykrością cię aresztował, lecz dostał taki rozkaz.

— Jestem ciekaw, czy opowieść o ziemi jego rodziców była prawdziwa. — Przerwałem, czując, że ponownie drży mi głos. — Na Boga, wyciągnij mnie stąd, Jack. Pokazali mi, co uczynili Bernardowi Locke'owi. Złamali go. — Westchnąłem drżąc. — Został stracony dzisiejszego ranka.

Barak wstał. Teraz, gdy wiedział, co zrobić, sprawiał wrażenie zdeterminowanego.

— Pójdę do ratusza, a później kupię sobie przepustkę do Hampton Court. Znam człowieka w Whitehall, który jest mi winien przysługę z czasów, gdy pracowałem dla lorda Cromwella. Każę przygotować Tamasin rzeczy, o które prosisz. Czeka przed bramą Tower. — Zawahał się. — Nie chciałem, aby oglądała to miejsce.

— Słusznie, nie byłoby to wskazane.

— Modli się za ciebie.

— Podziękuj jej. Miałaś rację — ciągnąłem — ostrzegając, bym nie traktował lekko grózb Richa w związku ze sprawą Bealknapa. Sądziłem wszak, że zyskałem nad nim przewagę i jako prawnik nie mogłem ustąpić. Dlatego mnie tu wtrącił. — Uśmiechnąłem się smętnie. — Powiesz pewnie, że mnie ostrzegałeś, co?

— Nie, zawsze postępowałeś sprawiedliwie. - Nagle wstał i ujął moje dłonie. — Nie mogę znieść oglądania cię w takim stanie! — wybuchnął.

— Zatem znowu jesteśmy przyjaciółmi?

— Tak, choć nie musiałeś podejmować w tym celu aż tak radykalnych kroków — zażartował. Ucisnął jeszcze mocniej moje dłonie, tak że skrzywiłem się z bólu.

— Uważaj, ta obręcz jest za ciasna. Otarła mi skórę.

— Przepraszam. — Cofnął się kilka kroków i spojrzał z odrazą na moje kajdany.

— Nadal kulejesz — powiedziałem.

— Jakoś sobie radzę.

Spojrzałem na niego.

— Idź do Hampton Court, Jack. Na rany Jezusa, dotrzyj do Cranmera. Uważaj na siebie.

Rozdział czterdziesty trzeci

Przez resztę dnia siedziałem w celi, czekając na kolejne wieści, choć wiedziałem, że misja Baraka wymaga czasu. Przypomniałem sobie o dzwonach, które słyszałem wczoraj nad rzeką. Czy naprawdę było to wczoraj? Tamasin powiedziała, że uderzono w dzwony z okazji uroczystego nabożeństwa odprawionego w podzięce za udane piąte małżeństwo króla. Nie mógł wówczas podejrzewać Katarzyny. Cranmer musiał mieć twarde dowody, skoro odważył się powiedzieć o wszystkim królowi.

Radwintar wrócił do celi wczesnym popołudniem. Z ulgą stwierdziłem, że nic mu nie zrobili. Był jednak w podłym nastroju. Siedział na łożu, mrucząc do siebie z takim gniewem, że w kącikach ust poczęła gromadzić się piana. Zadrzałem na ten widok. W pewnej chwili podniósł głowę, spojrzał na mnie i rzekł:

— Powiedzieli, że wezmą mnie jutro na tortury, choć im wszystko wyznałem. Nie potrafią dostrzec prawdy. Ojczy, ci ludzie łamią zasady! Byłeś w błędzie. Może Bóg je ustanowił, lecz to ludzie wprawiają je w czyn. Oni je łamią! — Przerwał, aby po chwili, szelmowsko zachichotać, tak jak

poprzedniego dnia. — Wiem, że nie jesteś moim ojcem. Jesteś garbatym prawnikiem mięczakiem. Nic nie rozumiesz. — Odwrócił głowę w drugą stronę.

Kiedy światło dnia poczęło słabnąć, drzwi otworzyły się ponownie i naszym oczom ukazał się młody strażnik. Trzymał w ręku trzy czyste koce i schludnie złożone ubranie, na którym spoczywało trochę chleba, ser i owoce. Położył je na pryczy. — Przyniosła to dla ciebie dziewczyna — rzekł, uśmiechając się lubieżnie. — Ponętna mała blondyneczka. To twoja dziewczka?

— Nie.

Spojrzał na Radwintera, który odwrócił się do ściany, gdy okazało się, że nie przyszedł po niego.

— Kiepsko z nim — rzekłem. — Oszalał.

— Wiem, mieliśmy z nim niezłą zabawę. Powiedział, że naśle na nas króla i Cranmera. Kiedy jutro zobaczy, co dlań przygotowaliśmy, odzyska rozum. To gwarantowany sposób. Dobranoc, kolego. — Zatrzasnął drzwi.

Oderwałem kęs chleba i kawałek sera. Miały wspaniały smak. Nie uświadamiałem sobie, jaki jestem głodny.

— Radwinter, chcesz trochę? — spytałem.

Kiedy się odwrócił, spostrzegłem, że płacze.

— Nie — odrzekł, patrząc mi w oczy. — Powiedzieli, że zamordowałem Brodericka.

— Nie wierzę w to.

— Któż to zatem uczynił?

— Nie mam pojęcia, wiem jednak, że nie ty.

Spojrzał na mnie twardo, jakby dawny obłąd powrócił.

— Kogo obchodzi, co sądzisz? — warknął gniewnie.

— Nikogo.

— Garbaty mięczak. — Ponownie odwrócił się do ściany.

— Dobry Jezu, uchowaj przed tym nas obu — mruknąłem do siebie.

Chociaż koce przyniesione przez Tamasin sprawiły, że druga noc była cieplejsza, okazała się nie mniej straszna od poprzedniej. Radwinter mamrotał i wołał przez sen. Deszcz przestał padać, lecz wkrótce rozpętała się kolejna ulewa. Szum wody przypominał odgłosy wydawane przez rozwścieczone zwierzę. Kiedy wstał kolejny szary dzień, przebudziłem się i rozprostowałem zeszywniałe członki, pobrzękując łańcuchami. Gdzie był Barak? Czego się dowiedział w ratuszu? Czy udało mu się dotrzeć do Hampton Court?

Wczesnym rankiem w zamku zazgrzytał klucz. Ujrzeliśmy obu strażników.

— Chodź, Radwintre — rzekł wesóło j eden z nich. — Czekaj ą na ciebie.

Wrócili po mnie dwie godziny później.

— Czas pomówić z sir Jacobem — oznajmił otyły. — Nie będziesz nam sprawiać kłopotów, prawda? — spytał złowróźnie. — Sir Jacob tylko cię przepyta.

Zawiedli mnie do środkowej sali z biurkiem, za którym spostrzegłem okratowane drzwi prowadzące do White Tower. Czekał w nich żołnierz. Młody strażnik skinął mu głową.

— Zaprowadź go do zastępcy naczelnika — powiedziały. Żołnierz ujął mnie za ramię, gdy strażnik otworzył wrota prowadzące na schody Dał znak głową, że mam iść przodem. Potknąłem się na wąskich stopniach i zabrzączałem kajdanami.

Kiedy usłyszałem szmer męskich głosów, poczułem wstyd i przerażenie na myśl, że będę musiał przechodzić obok żołnierzy w Great Hall, brudny, kulejący i w kajdanach. Na szczęście żołnierz poprowadził mnie inną drogą, schodami wiodącymi do izby z dużym oknem pozbawionym krat i świeżym sitowiem na podłodze. Stanął u drzwi i zapukał.

— Wejść! — rozległ się głos sir Jacoba. Wkroczyliśmy do jasnej komnaty o żółtych ścianach. Na stole leżały dokumenty poukładane w schludne stosiki. Przypomniałem sobie, że w gabinecie Maleverera zawsze panował bałagan.

Przez okno pokryte kroplami deszczu widać było Tower Green, wokół której uwijali się ludzie. Sir Jacob siedział za biurkiem odziany w czarny kaftan i białą koszulę. Spojrzał na mnie poważnie.

— Jest to twoja jedyna szansa, aby zgodnie z prawdą odpowiedzieć na moje pytania — rzekł cicho. — Jeśli mnie nie zadowolisz, spotka cię taki los jak Radwintera. Zrozumiałeś?

— Tak, sir Jacobie. — Serce poczęło mi łomotać i ponownie musiałem stłumić w sobie pragnienie wyznania wszystkiego, co wiedziałem o królowej. Nie zdradziłbym jednak Baraka i Tamasin, gdy istniała najmniejsza szansa, że Jack zdoła dotrzeć do Cranmera i wyciągnąć mnie stąd.— Wczoraj aresztowano królową — oznajmił sir Jacob. — Po informacji otrzymanej przez arcybiskupa Cranmera, że przed ślubem miała romans z Francisem Derehamem, którego w Yorku wyznaczyła na swojego sekretarza. Mogli złożyć sobie przyrzeczenie małżeństwa, jesteś prawnikiem, wiesz, że może to unieważnić jej związek z królem.

Milczałem chwilę zaszokowany tą wiadomością, a następnie rzekłem:

— Nie wiem nic o tej sprawie, panie. Ledwie znałem Derehama. Domyślam się wszak, dlaczego mnie oskarżono.

Skinął głową, abym mówił. Zacząłem szybko opowiadać o wrogości, jaką darzył mnie Rich z powodu sprawy Bealknapa, o tym, że widział, jak wychodzę z namiotu królowej, i że natknął się na mnie, gdy rozmawiał z Derehamem w Hull. Wspomniałem też, że Dereham był świadkiem mojego upokorzenia w Fulford i wykorzystał przypadkowe spotkanie na ulicy, aby dodatkowo ze mnie szydzić. Zawahałem się, zanim to rzekłem, lecz po błysku w oku sir Jacoba odgadłem, że to zauważył. Był doświadczoneym śledczym. Spojrzał na papiery, które miał na biurku i zapytał:

— Jaki miałeś interes do królowej w Howlme?

Dziękuję Bogu, pracuję w zawodzie, który uczy szybkiego myślenia.

— Sprawa dotyczyła jednej ze służek, Tamasin Reedbourne. Dziewczyna miała... romans z moim asystentem, panem Barakiem. Popadła z tego powodu w konflikt z lady Rochford.

Sir Jacob gniewnie zmarszczył brwi, a następnie zaśmiał się jak nauczyciel, który przyłapał niesforne ucznia.

— Królowa była zatroskana prowadzeniem się jednej ze służek? — spytał z niedowierzaniem.

— Sir Jacobie, sir Richard Rich nie mógł wiedzieć o niczym więcej — powiedziałem szybko. — Nie mogę uwierzyć, aby sprowadzono mnie tu wyłącznie z tego powodu.

— Trudno o poważniejszą sprawę. Sir William Maleverer doniósł nam, że sługa jednego z wyższych urzędników podsłuchał, jak rzekliście w refektarzu Francisowi Derehamowi, iż jeśli zdoła się zakraść do sypialni królowej, król dostanie to, na co zasłużył po tym, co uczynił wam w Fulford. — To wierutne kłamstwo! — wykrzyknąłem. — Założę się, że panem owego sługi jest sir Richard Rich.

Na twarzy Rawlinga ponownie pojawił się znaczący uśmiech.

— Nie, urzędnikiem tym jest Simon Craike z biura posłańców.

— Craike jest na usługach Richa. Przesłuchaj tego sługę, panie. Błagam! Rich przekazał arcybiskupowi Cranmerowi fałszywe informacje.

— Rzekłem ci, że autorem raportu jest sir William Maleverer.

— Jestem przekonany, że działa w porozumieniu z Richem. Proszę was, panie. Błagam, przesłuchajcie sługę Craike'a. — Jak Craike mógł mnie zdradzić? Rich musiał go przycisnąć.

Sir Jacob sięgnął po kolejny dokument.

— Pan Barak i pani Reebourne przynieśli ci wczoraj ubranie i jedzenie. Strażnik powiadomił mnie, że rozmawialiście szeptem, jakbyście nie chcieli, aby was usłyszał.

— Czy chcielibyście tego, panie, gdybyście byli na moim miejscu?

— To mało prawdopodobne.

— Moglibyście przesłuchać owego sługę, panie? Zabrałoby to niewiele czasu. Siedzę tu już dwa dni. Jeszcze jeden...

Sir Jacob pogrążył się w myślach, uderzając paznokciem o wąskie wargi. Potrząsnął głową, kiedy zaczęła się już we mnie budzić nadzieja.

— Nie, nie jestem usatysfakcjonowany. Ukrywasz coś, czuję to.

— Sir Jacobie...

— Nie! — rzekł ostro, gniewnie machając dłonią. — Miałeś szansę. Wrócisz do celi, aby zobaczyć, co spotkało Radwintera. Może jutro, gdy znajdziesz się na jego miejscu, nabierzesz rozumu i wyznasz prawdę, zanim zaczną.

Szczęka opadła mi z przerażenia.

— Sir Jacobie, błagam, jeden dzień...

— Odmawiam. Nic nie skłania krnąbrnego do wyznania prawdy tak skutecznie jak tortury.

Ponownie minąłem salę, w której przebywali żołnierze, a promienie słońca oświetlały wilgotne schody pogrążone w mroku. Przeszedłem przez zakratowane drzwi i wróciłem do młodego strażnika. Był tam również jego otyły towarzysz. Na mój widok uśmiechnął się i potrząsnął głową.

— Zobaczmy się jutro, co? Widzę to po twojej twarzy. Jeśli chcesz mej rady, bez zwlekania wyznaj im wszystko, co wiesz. Twój towarzysz Radwinter tego nie uczynił i jest w opłakanym stanie.

— Widziałeś jego usta, Ted? — spytał wesoło młodszy.

— Tak, pewnie założyli mu imadło na zęby. Przez jakiś czas nie będzie mógł gryźć. — Tłusty strażnik ponownie pokręcił głową. — Wracasz do celi, kolego — rzekł, chwytając mnie za ramię.

— Czy były dla mnie jakieś wiadomości? — spytałem. — Od przyjaciela?

— Nie, nic nie dostałeś — odparł, prowadząc mnie do celi. — Porzuć nadzieję — rzekł, gdy zbliżaliśmy się do drzwi. — Najlepiej powiedz im wszystko, zanim zaczną. — Przekręcił klucz w zamku. — Uwierz mi na słowo, sam widziałem... A niech to szlag! — krzyknął nagle, wypuszczając moje ramię.

Spojrzałem do środka celi. Początkowo obraz, który ujrzałem, nie miał najmniejszego sensu. Pomyślałem, że do izby wstawiono ogromne wahadło, które kołysało się teraz pod oknem. Po chwili odkryłem, że to Radwinter. Nieszczęśnik ustawił prycze jedna na drugiej, a następnie ściągnął koszulę i jak Broderick uczynił z niej pętlę. Jeden koniec przywiązał do kraty, a drugi zadzierzgnął na szyi. Później skoczył w dół. Najwyraźniej skręcił kark, gdyż głowa była pochylona pod nienaturalnym kątem. Jego twarz przedstawiała makabryczny widok, otwarte usta były umazane krwią. Połowa zębów zniknęła. Oparłem się o ościeże i osunąłem na podłogę. Otyły strażnik podbiegł do okna, aby po chwili stanąć w drzwiach.

— Billy! Billy! — krzyknął. Ustyszałem tupot nóg i chwilę później ujrzałem drugiego.

— Na Boga! — wrzasnął. — Będą kłopoty. — Podszedł i obejrzał Radwintera, a następnie zwrócił się do swojego otyłego kompana. — Wiedziałeś, że prycze powinny być przytwierdzone do podłogi, jeśli w celi jest okno! — Od miesięcy próbuję skłonić do tego robotników! Jak przeciągnął prycze, mając ręce w takim stanie? — Spojrzałem na dłonie Radwintera dyndające bezwładnie u jego boku, zakrwawione i okaleczone, pozbawione paznokci. Wzdrygnąłem się i odwróciłem głowę.

— Powinni byli go rozpiąć na kole, zamiast brać się do rwania zębów — warknął młodszy. — Nie zdołałby się wówczas powiesić. Cholera! Zwłoki nadal się kołyszają. Musiał skoczyć przed chwilą!

— Chwycił jedną z nóg Radwintera, zatrzymując ciało.

— Czemu to uczynił? — spytał gniewnie otyły.

— Jutro mieli wziąć go ponownie na męki.

— Powiesił się ze wstydu — rzekłem cicho. — Uznał to za ostateczne pohańbienie. Oto, jaką prawdę wydobywają tortury.

Nadszedł zastępca naczelnika, aby obejrzeć, jak odcinają Radwintera i zabierają jego ciało.

— Nic z niego nie wyciągnęli — mruknął gniewnie.

Pomyślałem, że Radwinter po prostu nie miał im nic do

powiedzenia. Nie zamordował Brodericka. Broderick, Jennet Marlin, Oldroyd, a teraz Radwinter. Jakie krwawe żniwo zbiorą jeszcze dokumenty ukryte w tej przeklętej skrzynce? Ile ludzkich istnień zostanie unicestwionych z powodu romansu Katarzyny Howard?

Przez cały kolejny dzień i noc tkwiłem samotnie w celi. Na zewnątrz siał deszcz. Kiedy robiło się ciemno, rozglądałem się niespokojnie po kątach, jakby mógł się w nich czaić udręczony duch Radwintera. Wraz z upływem czasu moje nadzieje rosły i malały niczym poziom wody w Tamizie posłusznej rytmowi przyptywów i odpływów. Liczyłem na to, że Barak nadejdzie, że otrzymam jakąś wiadomość, która ożywi nadzieję. Z pewnością zdążył już dotrzeć rzeką do Hampton Court i wrócić. Co mi uczynią, jeśli się nie pojawi? Zawirowało mi w głowie na myśl o potwornych torturach zadawanych w Tower: kole, imadle, rozgrzanych do czerwoności szczypcach. Byłem głupcem, sądząc, że zdołam oszukać sir Jacoba. Przypomniałem sobie zakrwawione usta Radwintera. Przez głowę przemknęła mi myśl, że Baraki Tamasin uciekli, aby uniknąć przesłuchania w sprawie romansu królowej. Zganiłem się za taką głupotę — Barak nigdy by mnie nie zawiódł. Kiedy nadszedł świt, w oknie ujrzałem kawałek koszuli Radwintera przywiązany do kraty.

Strażnicy przyszli po mnie wczesnym popołudniem. Zachowywali ostrożność, nie wiedząc, czy będę stawiał opór. Pozwoliłem się wyprowadzić, wiedząc, że sprzeciwianie się nie ma najmniejszego sensu. Czułem lekkie zawroty głowy, jakby mój duch pragnął opuścić ciało.

Zeszliśmy schodami do mrocznego przejścia i stanęliśmy przed szerokimi, ciężkimi drzwiami. Otyły strażnik zakłatał. Serce waliło mi w piersi, czułem nadciągające omdlenie. Kiedy otworzono, wprowadzili mnie do środka i szybko wyszli na zewnątrz.

Znalazłem się w dużej, pozbawionej okien izbie o ścianach poczerniałych od dymu. Pomyślałem o kuźni, widząc duży koksownik stojący we wnętrzu i rosnącego mężczyznę w skórzanym fartuchu, który przyglądał mi się z rękami opartymi na biodrach. Korpulentny nastolatek przewracał węgle na palenisku. W rogu dostrzegłem koło ze skórzanymi pasami, a także inne narzędzia — szczypce, pogrzebacze i noże — zawieszane na hakach. Zawirowało mi w głowie. Obok stało duże metalowe wiadro, a wśród popiołu lśniły niewielkie białe przedmioty. Zrozumiałem, że to zęby Radwintera, i osunąłem się na ziemię.

Olbrzymi mężczyzna chwycił mnie i posadził na drewnianym krześle. Westchnąłem tak, jak niegdyś wzdychałem na widok niestarannie skopiowanych dokumentów.

— Oddychaj głęboko — rzekł. — Siedz spokojnie, oddychaj powoli.

Uczyniłem, jak kazał, spoglądając na niego w osłupieniu.

— Podgrzałeś cienki nóż, Tom? — rzucił przez ramię.

— Tak, ojcie. Zaraz będzie gotów. — Chłopak rzucił mi nieprzyjemny uśmiech zza pleców ojca.

— Złapałeś oddech? — spytał olbrzym.

— Tak. Błagam, posłuchaj... Jestem...

— Chodź tu, Tom. — Zanim zdążyłem zareagować, olbrzym podniósł mnie i przytrzymał, a chłopak ściągnął ze mnie nowykaftan i białą koszulę, które przyniosła Tamasin. Wielkolud cofnął się o krok i otaksował mnie wzrokiem. W jego oczach nie było szyderstwa z mej ułomności, a jedynie chłodne zainteresowanie zawodowca.

— W porządku — powiedział. — Łańcuchy. — Nim zdążyłem zareagować, przetrucili łańcuchy pętające moje nadgarstki przez hak umocowany do sufitu. Zadyndałem w powietrzu, dotykając posadzki czubkami palców. Okowy wpijały mi się w rękę, powodując ostry ból. Krzyknąłem.

Olbrzym przyjrzał mi się bacznie. Na jego grubo ciosanej twarzy pojawiło się zniecierpliwienie.

— Posłuchaj — rzekł. — Nie chcemy marnować czasu, więc odpowiadaj szybko. Co wiesz na temat związku łączącego Francisa Derehama z królową?

— Nic nie wiem! — wykrzyknąłem. Pomyślałem, że mógłbym położyć temu kres, wspominając o Culpeperze, mówiąc, co wiem o nim i Katarzynie. Czy aby na pewno? Mogłoby to ich jedynie sprowokować.

— Nie udawaj — warknął olbrzym. — Wiesz.

— Tortury są w Anglii nielegalne! — zawołałem. Twarz kata wykrzywiła się w uśmiechu.

— Słyszałeś, Tom? — zapytał. — Ten wymuskany głupek uważa to za torturę! Przecieśmy cię jedynie naprostowali. Pokaż mu, Tom!

Chłopak podszedł ku nam. W jednym ręku trzymał cienki nóż rozpalony do czerwoności. W drugim spostrzegłem małe imadło ze śrubą umożliwiającą jego zaciskanie. Uniósł je tak, bym mógł zobaczyć.

— Tym imadłem wyciągniemy ci kilka zębów — wyjaśnił ojciec. — A właściwie zmiażdżymy, zamiast wyciągnąć z korzeniem. To sprawia większy ból. Później zaczniemy wsuwać ci ten nóż pod paznokcie.

Odzyskałem przytomność. Zacząłem jasno myśleć, a dawne omdlenie minęło, choć trudno było oddychać z rękami wyciągniętymi nad głową.

— Gadaj, co wiesz o królowej i Derehamie!

— Nic nie wiem. Proszę... posłuchaj, ja...

Zapomniałem, jak szybko działają. Olbrzym chwycił moją głowę potężnymi łapskami i zmusił do otwarcia ust. Poczułem smak potu na dłoniach chłopaka, a później zimny dotyk metalu. Usłyszałem chrzęst i przez moją głowę przetoczyła się fala bólu. Na języku pojawiła się krew. Ból nasilał się i słabł, pulsując. Kiedy chłopak podniósł imadło, ujrzałem, że coś w nim bieje.

— Powiesz o Derehamie, czy mamy ci wsunąć nóż pod paznokiec. Będziemy się zajmować na zmianę twoimi paznokciami i zębami.

— Ja... ja... — wybełkotałem na pół oszalały z bólu. — Nie uczyniłem...

Ojciec skinął głową, a syn zbliżył nóż do moich skutyh kajdanami dłoni.

Rozdział czterdziesty czwarty

Nagle wstrzymał rękę. Kilka milimetrów od mojego ciała, tak że czułem na palcu piekący żar. Usłyszałem piskliwe skrzypienie otwieranych drzwi, a po chwili, poprzez ból i przerażenie, doszły mnie ludzkie głosy. Rozpoznałem ostry szept sir Jacoba. Drzwi zamknęły się ponownie. Rozejrzałem się dziko dokoła, jęcząc i plując krwią. Do izby wszedł otyły strażnik i stanął obok kata, patrząc na mnie z pewnym zainteresowaniem. Olbrzym skinął synowi, który cofnął rozgrzane ostrze. Poczułem, że mnie unoszą. Choć mogło to oznaczać początek nowych tortur, zdjęli z haka łańcuch, którym skuto mi ręce, a następnie opuścili na podłogę. Stałem chwiejnie. Wielkolud spojrział na mnie, a na jego mięsistej twarzy zagrał słaby uśmiech.

— Masz dziś szczęśliwy dzień. Kazano nam przestać. Wracasz do celi.

Zachwiałem się, wypluwając krew i kawałek zęba. Chłopak skruszył duży ząb trzonowy w dolnej szczęce. Otyły strażnik wyciągnął rękę, aby mnie podtrzymać.

— Chodź, odprowadzę cię — rzekł. — Masz koszulę i kaftan. — Mówiąc to, pomógł mi narzucić na ramiona rozdarte odzienie, a następnie wyprowadził półprzytomnego z izby.

— Co się stało? — spytałem ochrypłym głosem, gdyż usta nadal krwawiły. Zawsze byłem dumny z moich zębów, miałem wszak prawie wszystkie.

— Zawiodą cię do arcybiskupa Cranmera w Hampton Court. Nie wiem, gdzie cię umieści, nie ma już bowiem strażnika, prawda? Mieliśmy z Billym duże przykrości z jego powodu — dodał ponuro.

Za rogiem skręciliśmy do środkowego pomieszczenia, gdzie przy biurku obok młodego strażnika stał Barak. Serce podskoczyło mi z radości. Barak zachowywał się całkiem inaczej niż wcześniej — sprawiał wrażenie pewnego siebie i zdecydowanego. Przynajmniej było tak do chwili, gdy mnie zobaczył, albowiem na mój widok opadła mu szczęka.

— Jezu! Co mu zrobiliście?! Cholerni łąjdaćy... — wykrzyknął.

— Skądże, to nie my! — zaprotestował otyły. — Wzięli go na męki z rozkazu sir Jacoba. Lepiej go stąd zabierz, zanim arcybiskup zmieni zdanie.

— Wkrótce przyplynie spory transport nowych więźniów — poinformował go Billy.

— W samą porę, zwolniła się cela.

Barak ujął mnie za ramię.

— Ile zębów wyjęli ci dranie?

— Tylko jeden.

— Chodźmy, czeka nas długa podróż łodzią. Pada deszcz, na szczęście zabrałem twoją pelerynę i pled. Mam też ubranie. — Odebrał sztylet, sakwę i pieczęć Cranmera, które zarekwirowano, gdym tu przybył. Wręczył mi je.

— Możecie mu zdjąć łańcuchy? — spytał.

— Jasne. — Grubas sięgnął po koło z kluczami, pochylił się i uwolnił stopy oraz lewy nadgarstek. Kiedy przystąpił do otwierania ciasnej obręczy na prawej ręce, klucz się zaciął.

— Jasna cholera, ani drgnie!

— Spluń na klucz — doradził Barak. Strażnik to uczynił, lecz klucz nadal ani drgnął.

— Będziesz musiał z tym chodzić, kolego.

Barak pochylił się nade mną, bacznie oglądając kajdany.

— Zardzewiała. Zdejmę ją w domu. — Zwrócił się do strażnika. — Nie może on wszak stanąć przed arcybiskupem, ciągnąc za sobą trzystopowy łańcuch. Możecie zdjąć kłódkę?

Okrągłe obręcze były połączone z łańcuchem solidnie wyglądającą małą kłódką. Strażnik mruknął coś pod nosem i podszedł do ściany, na której wisiał pęk niewielkich kluczy. Choć przez cały czas przyglądałem się niemo temu, co czyni, oblizując spękane, nabrzmiałe wargi, teraz moim ciałem wstrząsnął niekontrolowany szloch, który odbijał się echem od ścian ponurej komnaty. Barak ujął mnie pod ramię i delikatnie wyprowadził przez zakratowane drzwi. Wspięliśmy się po schodach i minęliśmy wielki hol. Przestało mnie obchodzić, że żołnierze ujrzą pożałowania godny stan, w jakim się znajduję. Nie zadawałem żadnych pytań, mogłem jedynie iść przed siebie.

Zeszliśmy po stopniach White Tower. Chwilę później poczułem trawę pod stopami i krople deszczu spadające na głowę. W końcu zatrzymaliśmy się i mogłem podnieść głowę. Byliśmy ponownie przed Watergate. Spostrzegłem łódź oraz żołnierza i wioślarza w liberii Cranmera kryjących się pod łukiem. Łało jak z cebra, a wody Tamizy szumiały i kipiały od kropel spadających z nieba.

— Uważaj, jest ranny — rzekł Barak wioślarzowi.

Kiedy pomogli mi wejść na łódź, mężczyzna ujął wiosła. Barak owinął mnie pledem, gdy odpyłyliśmy od brzegu. Przypatrywałem się szerokiej rzece, obejmując dłonią pulsującą szczękę. Minęła nas duża barka zmierzająca w kierunku Watergate. W środku spostrzegłem przemokniętych

kawalerów i damy eskortowanych przez żołnierzy. Piękne szaty ociekały wodą. Wytrzeszczyłem oczy, widząc Francisa Derehama. Nie był już dumny niczym paw, lecz drżał oparty o burłę, z twarzą pobladłą niczym kreda. Wśród dam dworu królowej rozpoznałem lady Rochford, która przyglądała mi się oczami wybałuszonymi z przerażenia. Widząc moją zakrwawioną twarz, zaczęła krzyczeć i próbowała wstać, lecz niewidoczne ręce pociągnęły ją w dół. Przenikliwy krzyk ucichł, gdy barka znalazła się pod łukiem. Powiodłem za nią tępym wzrokiem.

- Czemu lady Rochford była na łodzi? Została aresztowana?
- Na to wygląda. Może wiedzą o Culpeperze.
- Jeśli nią wiedzą, wkrótce o nim usłyszą— rzekłem ponuro.
- Oznacza to, że jesteśmy bezpieczni — zauważył skwapliwie Barak.
- Tak. Uczynki Culpepera i tak wyjdą na jaw. Nasza wiedza przestanie mieć znaczenie.
- Co się stanie z królową?
- Myślę, że czeka ją topór. Nieszczęsna głupia dziewczyna. — Otarłem oczy rękawem, czując, że w kącikach wzbierają łzy. Skrzywiłem się z bólu, dotykając zranionej szczęki.

Barak spojrział na mnie z niepokojem.

- Zdołasz stanąć przed Cranmerem?
- Muszę się dowiedzieć, czego ode mnie chce. — Wziętem głęboki oddech. — Udało ci się, dotarłeś do niego?

Skinął głową, strząsając krople z nasiąkłych wodą włosów.

— Najpierw udałem się do ratusza i spotkałem z twoim przyjacielem, panem Verveym. Miałeś rację. Dzień po twoim aresztowaniu do ratusza przybył jeden z ludzi Rięha, mówiąc, że uwięziono cię w Tower. Doradził im, aby poniechali sprawy i zapomnieli o tobie. Byli śmiertelnie przerażeni na wieść, że ich prawnik siedzi w lochu. Zgodzili się wycofać pozew przeciw Bealknapowi pod warunkiem, że strony podzielą się kosztami sądowymi. Przykro mi.

— Nic mnie to nie obchodzi. — Westchnąłem. — Miałeś rację w tej sprawie. Zapłaciłem za swój upór.

— Później poszedłem do Whitehall, aby poprosić o spotkanie z Cranmerem w Hampton Court. Okazało się to niemożliwe, w Whitehall nikogo nie było. Mój człowiek powiedział, że królowa została aresztowana, choć było to jeszcze tajemnicą. Nie sądzę, aby udało mi się dotrzeć do arcybiskupa, gdyby nie twój dawny przyjaciel.

— Kto?

Barak uśmiechnął się.

— Kolega Simon Craike.

— Craike?

— Krążyłem po korytarzach zrozpaczony, kiedy się pojawił i spytał, w czym kłopot. Opowiedziałem mu o twym aresztowaniu i podejrzeniach co do Richa. Rzekł, iż nienawidzi Richa i jest ci winien przysługę. Napisał list, który miałem zanieść do kancelarii szambelana w Hampton Court.

— Zastępca naczelnika Tower rzekł mi, że sługa Craike'a słyszał, jakoby namawiał Derehama, aby poszedł do łoża z królową...

— Wyobrażam sobie, jak to czynisz — zarechotał Barak.

— Zatem Rich sam to wszystko ukartował, bez wiedzy Craike'a.— Craike nie jest łotrem, chociaż ma osobliwe upodobania. Prosił, abym ci przekazał, jak jest mu przykro z powodu tego, co się stało.

— W końcu zachował się jak należy. Widziałeś się z Cran-merem?

— Rozmawiałem z jego sekretarzem. W Hampton Court wrze. Cały czas towarzyszyli mi żołnierze. Sekretarz poszedł do arcybiskupa, a następnie wrócił z rozkazem, aby sprowadzić cię z Tower. — Spojrzał ponownie na moją twarz. — Działąłem najszybciej, jak mogłem. Nie spałem ostatniej nocy.

— Nigdy ci tego nie zapomnę, Jack — odrzekłem drżącym głosem. — Dziękuję.

UNasza łódź poruszała się jednostajnie w strugach deszczu. Skuliłem się pod pledami, gdy mijaliśmy Westminster i pałac Lambeth. Spojrzałem na majaczącą w oddali wieżę Lollardów.

— Radwintar nie żyje — rzekłem. — Wczoraj powiesił się w celi.

— Krzyżyk na drogę — odparł szczerze Barak.

— Koniec końców zrobiło mi się go żal.

— Żałujesz zbyt wielu, na tym polega twój problem.

— Być może. Jak się miewa pan Wrenne?

— Lepiej. Sprowadziłem do niego starego Maura.

— Guya? — Myśl o dawnym przyjacielu sprawiła, że moja twarz się rozpozodziła.

— Obejrzał moją nogę i stwierdził, że niemal wrócił do zdrowia. Rzekł, iż pan Wrenne jest wyczerpany, lecz po kilku dniach odpoczynku i dobrej strawy powinien odzyskać siły. — Jego twarz przybrała poważny wygląd. — Spytałem, ile czasu mu pozostało. Odrzekł, iż to kwestia miesięcy. Że jego ból i znużenie jeszcze bardziej się nasila.

— Mam nadzieję, że uda nam się odnaleźć jego siostrzeńca.

— A czemu miałyby się nie udać?

— Pochodzi z północy i jest religijnym konserwatystą. Pamiętasz, że pokazali mi Bernarda Locke'a przed egzekucją?

— Tak.

— Spytałem, czy zna Martina Dakina. Przytaknął i twierdził, że nic mu nie grozi, jednak w sposobie, w jaki to uczynił, było coś dziwnego, szyderczego.

— Słyszałem, że członkowie Tajnej Rady wysłali agentów do korporacji prawniczych. Przesłuchują ludzi. Głównie w Gray's Inn.

— Aresztowali kogoś?

— Nie wiem. Nawiasem mówiąc, powiedziałem staremu Maurowi, dokąd cię zabrali. Musiałem się sporo natrudzić, aby powstrzymać go przed udaniem się do Tower.

— To dobry człowiek — rzekłem z uśmiechem.

— Twój dom stał się areną cichej rywalizacji. Joan nie akceptuje Tamasin.

— Mam nadzieję, że nie śpicie razem.

Wzruszył ramionami.

— Konkurują o to, która ma się opiekować starym Wrenne'em. Dwie niewiasty w jednym domu to zły pomysł. Joan jest dla niego życzliwa.

Opanowałem gniewne spojrzenie. Nie było mi w smak, że Tamasin panoszy się w moim domu.

— Niebawem cię ujarzmi — powiedziałem.

Uśmiechnął się.

— Niech spróbuje. Nawiasem mówiąc, jutro spotkam się z moim dawnym druhem. Czegoś się dowiedział. Dostałem wiadomość.

— O ojcu Tamasin? Co pisze?

— Wspomina jedynie, że wpadł na jego trop.

Płynęliśmy jakiś czas w milczeniu. Moja szczęka boleśnie

pulsowała, a obręcz na nadgarstku była chłodna jak lód. W końcu w oddali zamajaczyły wieże Hampton Court. Serce zaczęło mi ponownie łomotać.

Żołnierze stojący na nabrzeżu sprawdzali dokumenty każdego z przybyłych. Barak pokazał im list Cranmera, który zabrał do Tower. Kazano nam czekać i zaprowadzono do małej drewnianej szopy wraz z innymi przybyszami. Słyszałem krople deszczu bębniące o deski. Nałożyłem jak należy rozdartą koszulę i kaftan, a następnie nasunąłem mankiet koszuli, aby ukryć przekłętą obręcz. Skrzywiłem się z bólu z powodu otartego naskórka i poranionej szczęki. Żołnierz z łodzi stał obok, co przypomniało mi, że nadal byłem więźniem.

Po pewnym czasie zjawił się urzędnik, ten sam stąpający bezszelestnie człowieczek, który dwa miesiące temu zaprowadził mnie przed oblicze Cranmera. Wybałuszył oczy na widok mojej opuchniętej, zakrwawionej twarzy, a następnie powiódł pod eskortą przez szeroki trawnik, tylne drzwi pałacu i mroczne korytarze. Wyglądając przez okno na dziedziniec, dostrzegłem znajomą postać wśród żołnierzy pełniących wartę przy drzwiach. Sierżant Leacon stał sam z przygnębioną miną.

Urzędnik zatrzymał się przed małymi drzwiami.

— Panie Shardlake, poczekacie tu, aż arcybiskup będzie wolny. — Pomyślałem, że znów jestem „panem”. — Wy pójdźcie ze mną — rzekł do Baraka. — Poczekacie gdzie indziej.

— Niebawem się zobaczymy — powiedział Barak, podążając niechętnie za urzędnikiem. Żołnierz otworzył drzwi i wprowadził mnie do środka, a następnie wyszedł i zamknął je za sobą. Pomyślałem, że będzie pełnił straż z drugiej strony. Rozejrzałem się wokół. Na ścianach wisiały gobeliny przedstawiające starożytny Rzym z kolumnami gmachów na drugim planie. W kominku płonął ogień. Obok niego leżała sterta poduszek, na których z lubością spocząłem, nie zaprzatając sobie głowy zdjęciem peleryny. W jednej chwili opadły mi powieki.

Obudziłem się, czując, że nie jestem sam. Otworzyłem oczy. Nade mną stał arcybiskup Cranmer w białym habicie i czarnej stule. Przypatrywał mi się z wyrazem zatroskania na surowej, zmęczonej twarzy.

Dźwignąłem się na nogi. Ruch głowy sprawił, że ponownie poczułem ból, szczęki i jęknąłem. Cranmer wyciągnął dłoń.

— Nie tak szybko, panie Shardlake. Zemdlejecie. Spocznijcie na krześle. — Przysunął mi krzesło stojące obok stolika do kart. Ciężko nań opadłem.

— Co się stało z waszą twarzą? — spytał cicho. Jego policzki poszarzały, oczy miał podkrążone ze zmęczenia.

— Wzięli mnie na męki w Tower, wasza miłość. Barak spóźnił się nieco. Zmiażdżyli mi ząb. — Nagle zdałem sobie sprawę, że mówię stłumionym głosem. Cranmer skrzywił się z niesmakiem.

— Nie pochwalam tego. — Zawahał się. — Sir Richard Rich przyszedł do mnie z wiadomością, że wiesz... o związku królowej z Derehamem. Potwierdziło to informacje, które otrzymałem, gdy król był jeszcze w podróży. Dawny sługa królowej, z czasów gdy nie była jeszcze mężatką, zeznał, że wcześniej utrzymywała cielesne kontakty z Derehamem i że mogli sobie przyobiegać małżeństwo. Przekonali mnie, abym umieścił waszjność w Tower. Rzekli, że będziesz skłonni ej szy do wyznań, gdy tam pobędziesz. — Przez chwilę patrzył na mnie surowo. — Czułem się przez ciebie zdradzony. Sądziłem, że nie powiedziałaś mi wszystkiego, co wiesz. Nie sankcjonuję wszak tortur.

— Rich kazałby mnie torturować dla rozrywki. Sądzę, że naczelnik więzienia dostał rozkaz od niego.

— Maleverer przyniósł mi zeznanie sługi pana Craike'a. Sługa ów zniknął. Craike przyszedł do mnie dzisiejszego ranka. Rzekł, iż sir William Maleverer zjawił się u niego w imieniu Richa, pytając, czy nie ma sługi, który złożyłby fałszywe zeznanie za pieniądze. Wyznał, że niechętnie go wskazał.

Nie wiedział, że masz być waszmość ofiarą tego spisku. Przyszedł do mnie, gdy usłyszał, że wzięli was do Tower. — Cranmer spojrzał na mnie uważnie. — Rzekł też, iż Rich go szantażuje. Powiedział, że dłużej tego nie zniesie, gdy zrozumiał, iż przyczynił się do niesłusznego osadzenia was w Tower.

— Straci stanowisko?

— Obawiam się, że tak. Jego wizyty w lupanarze to jedno... — arcybiskup skrzywił się z odrazą — ...nie powinien był wszak pozwolić, aby Rich wywierał nań presję. W ten sposób położymy temu kres. Maleverer chodzi na pasku Richa. Zabiega o jakieś ziemie Roberta Aske'a — Zacisnął wargi. — Straci stanowisko w Radzie Północy. Dopilnuję tego.

— Rich wygrał ze mną sprawę, wasza miłość — rzekłem cicho. — Sprawę, o której Barak opowiedział waszemu sekretarzowi. Ratusz wycofał pozew. — Ze zdziwieniem odkryłem, że nadal mi na tym zależy.

— Przykro mi to słyszeć. Musisz wszak zrozumieć, że Rich jest zbyt potężny, zbyt użyteczny dla króla, abym mógł się zwrócić przeciw niemu.

— W takim razie naprawdę zwyciężył.

Cranmer spojrzał na mnie poważnym wzrokiem.

— Pracowałeś dla lorda Cromwella, panie Shardlake. Wiesz, jaką swobodą cieszą się wielcy tego świata.

Nie odpowiedziałem.

— A zatem nie wiedziałeś nic o związku, który łączył Derehama i królową?

— Nic, panie. Przysięgam.

Westchnął.

— Zabrali Derehama do Tower. Użyją surowych metod. — Przygryzł wargi. — Musi tak być.

— Widziałem, jak go przywozili, widziałem dworki królowej...

— Osobiście przesłuchałem królową. Wkrótce wyjdzie na jaw więcej faktów, padły kolejne nazwiska. — Pomyślałem o Culpeperze i zląkłem się następnych pytań, on jednak tylko potrząsnął głową. — Nie sądziłem, że królowa tak się zachowa... — Westchnął ponownie. — Król stał się obiektem publicznego szyderstwa. Nie uwierzył jeszcze, że królowa go zdradziła, w końcu wszak da wiarę. Niech Bóg ma ją wówczas w opiece.

Spojrzałem na niego.

— Jeśli królowa upadnie, księżę Norfolk znajdzie się w tragicznym położeniu. Jest przywódcą stronnictwa konserwatywnego, wujem królowej.

Cranmer skinął głową. Pomyślałem, że choć arcybiskup ma drobne zastrzeżenia do użytych środków, przysłuży się to jego celom. Kiedy król objeżdżał północ, cały czas przemyślał nad obaleniem Norfolka.

— Będzie to koniec rodu Howardów — rzucił obojętnie. — Są inne rody, bardziej przychylnie sprawie reform. Seymourowie, Dudle'owie i Parrowie uzyskają teraz dostęp do króla. — Skinął głową w zamyśleniu.

— Czy królowa pójdzie pod topór? — spytałem.

Spojrzał na mnie nieprzeniknionymi niebieskimi oczami.

— Tak być musi, nie wolno wszak o tym wspominać poza Hampton Court. Zrozumiałeś?

— Tak. Spojrzał na mój nadgarstek, albowiem koszula się uniosła, odsłaniając obręcz i zdartą skórę. Westchnął ze smutkiem.

— Przykro mi z powodu tego, co cię spotkało, panie Shardlake — powiedział cicho. — Otrzymasz zapłatę wyższą od obiecaną. Dopilnuję tego.

— Broderick... — zacząłem.

Machnął ręką.

— Nie winię cię za to, że nie zdołałeś go ocalić. Nie wiedziałeś, że Radwinter popadł w obłąd.
— Zmarszczył brwi.

— Myślę, że nigdy nie był całkiem normalny.

— Sądziłem, że jego... okrucieństwo może zostać wykorzystane przez Boga. Że ujarzmi je w służbie prawdzie, używając do wyplenienia herezji. Mam nadzieję, że jego dusza zostanie zbawiona.

— Wasza miłość — rzekłem — nie sądzę, aby Radwinter zamordował Brodericka. Uważam, że Maleverer się myli.

Cranmer spojrzał na mnie ze zdumieniem.

— Wydawał się taki pewny siebie.

— Znałem Radwintera, wasza miłość. Nawet w Tower uznałby to za niewłaściwe. — Popatrzyłem mu w oczy. — Był wam wierny do końca.

— Któż więc zamordował Brodericka?

— Myślę, że ktoś pomógł mu popełnić samobójstwo. Już wcześniej usiłował to zrobić. Uważam, że człowiek ten wykradł dokumenty, które znajdowały się w skrzynce. — Cranmer bacznie mi się przyglądał, gdy mówiłem o swoich podejrzeniach. — Sir William mi nie uwierzył — dodałem.

Cranmer zadumał się chwilę.

— Przemawiał z takim przekonaniem. Jeśli Maleverer zlekceważył taką możliwość, jest zaiste nieroztropnym człowiekiem. Ktoś wykradł zatem dokumenty i uczestniczył w królewskiej podróży, aby w końcu wsiąść na statek. Kto?

Wziętem głęboki oddech.

— Żołnierz, który strzegł Brodericka na statku. Sierżant Leacon. Pilnował go też w opactwie Świętej Marii. Pochodzi z Kentu. Widziałem go przed chwilą na dziedzińcu.

— Wiem, został zwolniony ze służby. — Skinął wolno głową. — Nic nie stoi na przeszkodzie, aby go przesłuchać.— To tylko domysły, panie — powiedziałem. — Mogę was o coś poprosić?

— Słucham?

— Możcie go jedynie przesłuchać, bez stosowania surowych metod? Nie ma twardych dowodów przeciw niemu.

— Uczynię to osobiście. — Arcybiskup zmarszczył gniewnie czoło. — Gdyby owe dokumenty dostały się w ręce spiskowców, wpadlibyśmy w tarapaty. Niektórzy pozostali na wolności. Przesłuchaliśmy sympatyków papieża po przyznaniu się Bernarda Locke'a, nie ustalono jednak, z kim się kontaktował.

— Widziałem przelotnie Locke'a w Tower. Przed egzekucją. Był w opłakanym stanie.

— Niech Bóg ma w opiece jego duszę. — Cranmer po raz kolejny ponuro westchnął. — Z drugiej strony zasłużył sobie na śmierć, był zdrajcą i planował popełnienie morderstwa. — Machnął upierścienioną dłońią. — Idź do domu, panie Shardlake. Odpocznij. Zawiadomię cię, jeśli dowiemy się czegoś nowego.

— Tak, wasza miłość. — Przez chwilę zastanawiałem się, czy nie powinienem wspomnieć mu o Blaybournie, o legendzie, którą powtórzył mi leciwy prawnik z Hull. W końcu jednak doszedłem do wniosku, że arcybiskup wie. Wszyscy możni wiedzieli. Lepiej, aby się nie zorientowali, że ja również wiem. Wstałem, krzywiąc się z bólu. — Wasza miłość?

— Tak?

— Chciałbym prosić, abym nie musiał się więcej zajmować sprawami wagi państwowej. Po tym, co mnie spotkało, jeśli Bóg pozwoli, pragnę jedynie wieść spokojny żywot. — Sięgnąłem po pieczęć i podałem ją arcybiskupowi. Spojrzał na moją wyciągniętą dłoń.

— Mógłbyś mi się przydać, panie Shardlake. Wasz dawny przełożony, lord Cromwell, był tego zdania.

Nie odpowiedziałem. W dalszym ciągu trzymałem pieczęć w wyciągniętej dłoni. Spojrzał na moją wymizerowaną twarz.

— Dobrze — rzekł w końcu, odbierając ją niechętnie. Z bólem podniosłem się na nogi i pokłoniłem się. Zacząłem iść ku drzwiom, gdy na mnie zawołał:

— Panie Shardlake...

— Słucham, wasza miłość.

— Surowe środki stosowane przez króla są koniecznością. Nie zapominaj, że jest on pomazańcem bożym wyznaczonym do prowadzenia Anglii ścieżką mądrości i prawdy.

Chciałem mu rzec to, co powtarzał Radwinter, lecz jedynie skinąłem głową, ukłoniłem się ponownie i wyszedłem z komnaty. Żołnierz powiódł mnie mrocznymi korytarzami, przez trawnik, na nabrzeże, gdzie czekał już na mnie Barak.

— Wioślarz odwiezie was do miasta, panie — rzekł, pokłonił się i szybko odszedł. Spoglądając za nim, zdałem sobie sprawę, że odzyskałem wolność. Barak dotknął mojego ramienia.

— Wracajmy do domu — rzekł delikatnie.

Rozdział czterdziesty piąty

Kiedy dotarliśmy do Westminsteru, deszcz osłabł, a gdy łódź przybiła do stopni Tempie Stairs, przestało padać. Barak pomógł mi wysiąść na brzeg. Przystanąłem na chwilę, przyglądając się Tempie Garden i znajomemu przysadzistemu kształtowi kościoła templariuszy.

— Dojdiesz o własnych siłach do Chancery Lane? — spytał.

— Tak. Myśl o domu działa jak magnes.

— Nawiasem mówiąc, konie wróciły. Dwa dni temu. Świeże niczym nowa farba.

Roześmiałem się z goryczą.

— Nigdy nie wątpiłem w zdolności organizacyjne króla i jego sługusów. W ich umiejętność organizowania objazdów, przyjęć, wypraw wojennych, tortur i śmierci. — Spojrzałem na niego poważnie. — Wymogłem na Cranmerze, iż nigdy więcej nie poprosi nas o pomoc.

— Rad to słyszę. Nigdy bardziej nie pragnąłem pożyć jeszcze kilku dni. Co się stanie z Richem i Malevererem?

— Richowi nic nie zrobią. Jest zbyt potężny. Maleverer utraci stanowisko. Cranmer niepokoi się tym, kto zamordował Brodericka. Zasugerowałem, aby przesłuchał Leacona.

Barak pokręcił głową.

— Sierżanta? To nie on. Przypomina starego Wrenne'a, myśli jedynie o rodzinie i pracy.

— W takim razie Cranmer dojdzie do podobnego wniosku. Chciałem jedynie... zakończyć sprawę. Nie przychodzi mi do głowy nikt inny... — Przerwałem na chwilę, zastanawiając się, czy rzeczywiście tak jest.

— Idziesz? — spytał Barak.

— Tak, oczywiście. — Ostrożnie ruszyliśmy przed siebie, gdyż drogę zaścierał dywan z liści.

— Powinniśmy coś wymyślić, aby wytłumaczyć Joan twój wygląd — rzekł. — Moglibyśmy rzec, iż zostałeś napadnięty i obrabowany.

- Dobrze, będę musiał tylko ukryć obręcz. Cholerne kajdany.
- Zdejmę ją za pomocą narzędzi.

Pokręciłem głową.

- Czy padało cały czas, gdy siedziałem w Tower? Miałem takie wrażenie.
- Prawie.

Spojrzałem na drzewa огоłocone z liści.

- Kiedy wyruszyliśmy do Yorku, lato dopiero się skończyło. Teraz lada chwila nadejdzie zima.
- Pamiętasz, ile śniegu spadło w listopadzie cztery lata temu? Dobry Jezu, ależ było zimno!
- Aż nadto dobrze. Wyruszyłem wówczas do opactwa Scarn-sea w pierwszej sprawie wagi państwowej. Od tego zaczęło się moje rozczarowanie królem i jego polityką.

Wlekliśmy się przed siebie, przechodząc przez Fleet Bridge i docierając do Chancery Lane. W oddali ujrzałem znajome czerwone kominy.

- Dom! — westchnąłem. — Nareszcie! — W kącikach oczu błysnęły mi łzy.

Peter, chłopiec kuchenny, był w holu, gdy weszliśmy. Na mój widok wybałuszył oczy, więc wsunąłem rękę z obręczą do kieszeni peleryny.

- Gdzie jest Joan? — spytał ostro Barak.
- Poszła na targ, panie. Panienska Reedbourne zaniosta przed chwilą miskę bulionu panu Wrenne'owi. — Spojrzał na niego frywolnie, wspominając o Tamasin.
- Rozpaliłeś w salonie? — zapytałem. — Tak, panie.
- Przynieś nam piwa.

Kiedy wyszedł, udałem się za Barakiem do salonu i opadłem na fotel stojący przy kominku, masując nadgarstek.

- Pójdę po narzędzia — powiedział. Przypomniałem sobie ową noc rok temu, gdy tak zręcznie otworzył dla mnie kłódkę studni Wentworthów. Byłem wówczas nieco zgorzony jego umiejętnością otwierania zamków, teraz jednak nic nie robiło już na mnie większego wrażenia.

Barak zmagał się z obręczą pół godziny, bez skutku.

- Cholerny zamek, musiał zardzewieć — wysapał w końcu.

Spojrzałem na przekłętą kawałek metalu. Nienawidziłem tej

żelaznej obręczy bardziej niż czegokolwiek na świecie.

— Jak to zdejmujemy? Cholerstwo wpija mi się w nadgarstek.

— Mam przyjaciela w Cheapside, który potrafi otworzyć każdy zamek — powiedział Barak. — Jest zręczniejszy ode mnie i ma lepsze narzędzia. — Spojrzał gniewnie na obręcz, chcąc nie chcąc, przyznając się do porażki. — Sprawdzę, czy jest u siebie.

— Powinieneś odpocząć.

— Nie, załatwmy to od razu. — Wychylił kufel do dna i odszedł. Stałem chwiejnie na nogach i powoli wspiąłem się na schody.

Giles siedział na łożu w koszuli nocnej i szlafroku. Tamasin przycupnęła u jego boku, naprawiając jedną ze swoich sukni. Podskoczyła na mój widok. Oboje spojrzeli z strachem na moją twarz.

— Nie jest tak źle, jak wygląda — powiedziałem.

— Wypuścili cię? — spytał Giles.

— Tak, dzięki Barakowi. Nie chcę o tym mówić, nie teraz. Jak się miewasz, Gilesie?

Uśmiechnął się.

— Z każdym dniem staję się mocniejszy. Ta podróż była dla mnie zbyt wielkim wyzwaniem. Dobry Boże, cieszę się, że jesteś wolny. Bardzo się o ciebie martwiłem. — Poruszyła mnie troska malująca się na jego twarzy. — Nie jest dobrym pacjentem, panie — poskarżyła się Tamasin. Uśmiechnęła się, lecz jej oczy pozostały czujne. Była blada i zmęczona.

— Słyszałem, że dobrze się opiekujesz panem Wrenne'em.

— To prawda. — Giles postąpił jej ciepły uśmiech.

— Wstaje, choć wasz przyjaciel, pan Guy, rzekł, iż nie powinien jeszcze tego czynić.

— Barak powiedział mi, że Guy tu był.

— Mogę zostawić na chwilę chorego, panie? — spytała Tamasin. — Obiecałam pani Woode, że pomogę jej w zakupach.

— Tak, dziękuję, że przyniosłaś mi rzeczy do Tower.

— Jestem rada, że opuścisz to ponure miejsce, panie. Jack omal nie oszalał z rozpaczy. — Jej spojrzenie było nadal czujne, badawcze. Czy dlatego, że nie wiedziała, jakiego przyjęcia może się po mnie spodziewać? Dygnęła i wyszła z izby. Wziąłem jej krzesło i przysunąłem do łóżka.

— Co ci uczynili? — spytał cicho Giles.

— Dzięki Jackowi mniej, niż mogli.

— Barak opowiedział mi o nikczemnej intrydze, którą uknuli przeciw tobie Rich i Maleverer.

— Tak, Cranmer wie o wszystkim. Maleverer będzie miał kłopoty, lecz arcybiskup nie może tknąć Richa.

Zauważyłem, że Wrenne patrzy na mój nadgarstek. Przeklęty mankiet znowu się podwinął, odsłaniając obręcz i startą skórę.

— Ten przedmiot jest jak symbol — powiedział cicho. — Cały naród jest udręczony i sponiewierany przez króla. Taki łotr jak Rich może aresztować człowieka pod fałszywym pretekstem, a nawet użyć tortur, aby skłonić go do wycofania pozwu. To nie jest sprawiedliwość, Matthew. Anglia nie jest już tym krajem, jaki znałem.

— Słusznie prawisz, Gilesie — odparłem. — Powiedziałeś kiedyś, że Maleverer pochodzi z katolickiej rodziny, lecz po wypadkach roku tysiąc pięćset trzydziestego szóstego zwąchał się z reformatorami w nadziei na zysk.

— To prawda. Chciwy zeń człowiek. Co to ma...

— Może sycił swoją chciwość, opowiadając się po stronie reform, a jednocześnie potajemnie sprzyjając starej sprawie?

— Jakim sposobem? Co masz na myśli?— Nic.

Giles uśmiechnął się do mnie.

— Nie wiem, czyby się na to poważył.

Poszedłem do swojej sypialni i natychmiast zasnąłem. Przebudziłem się wczesnym rankiem następnego dnia. Spałem prawie całą dobę. Nieco odpocząłem, choć mój zmiądzony ząb pobo-lewał, a nerwy były tak napięte, że pisk myszy postawiłby mnie na nogi. Wstałem i włożyłem ubranie, przeklinając zardzewiałą obręcz. Spojrzałem na swoje odbicie w stalowym zwierciadle. Zdumiała mnie twarz o zapadniętych oczach, z ciemnym, kilkudniowym zarostem pokrywającym policzki.

Zszedłem po schodach. Joan usłyszała mnie i wybiegła z kuchni. Na mój widok otworzyła usta z przerażenia. Podniosłem dłoń, lękając się, że zacznie krzyczeć.

— Nie jest tak źle, jak wygląda. — Powoli zaczynałem się przyzwyczajać do tych słów.

— Co te łotry zrobiły z twoimi ustami, panie! Zbiry! W tych czasach nikt nie jest bezpieczny!

Spojrzałem na nią zdumiony, aby po chwili przypomnieć sobie, że napadli mnie zbójcy.

— Nic mi nie będzie, Joan. Jestem bardzo głodny. Mogłabyś przygotować mi coś na śniadanie?

— Oczywiście, panie. — Z zatroskaną twarzą pobiegła do kuchni. Usiadłem w salonie i rzuciłem okiem na podtopiony ogród zasłany liśćmi. Nie padało, lecz niebo przesłaniały ciężkie, deszczowe chmury. Przypomniałem sobie słowa Baraka i spojrzałem na przeciwległy mur, za którym władze Lincoln's Inn kazały wy karczować stary sad. Ostrzeżałem ich latem, że jeśli drzewa

nie będą wchłaniały wód gruntowych, działka w dole zostanie zalana. Pomyślałem, że powinienem tam pójść i oszacować szkody.

Zamiast tego wróciłem myślami do Maleverera. Pozwolił, aby Rich wplątał go w spisek wymierzony przeciwko mnie, licząc bez wątpienia na pomoc w przejęciu ziemi należącej do spiskowców, co doprowadziło do jego upadku. A jeśli chodziło mu o coś więcej? Jeśli prowadził podwójną grę? Nie chciał

dopuścić do świadomości, że Jennet Marlin mogła nie ukraść owych dokumentów, upierał się też, iż to Radwinter zamordował Brodericka. Pozwolił, aby na strażników wzięto parę pijaczków. Do tej pory brałem to za przejaw upor i głupoty, może wszak było inaczej? Czy przebywał teraz w Londynie, czy wyruszył w drogę powrotną do Yorku? Pomyślałem, że wiem, kto wyznaczył owych strażników...

Joan wróciła z jajkami, chlebem i serem.

— Przepraszam, że sprowadziłem ci na głowę tylu gości — rzekłem. — Obiecałem staremu Wrenne'owi, że będzie mógł się u mnie zatrzymać, dopóki nie wydobrzeje na tyle, aby załatwić sprawę rodzinną, w której tu przyjechał. Barak zranił się w nogę. Skoro o tym mowa, gdzie oni wszyscy są?

— Wyszli wcześniej rano — prychnęła. — Pan Jack udał się gdzieś w prywatnej sprawie, a Tamasin poszła do Whitehall, aby zapytać, czy ma jeszcze pracę. Wśród służby królowej panuje spore zamieszanie.

— Słyszałem — odpowiedziałem obojętnie. Wiedziałem, że zwolnią całą służbę Katarzyny i Tamasin straci pracę.

Po chwili milczenia dodała:

— Nie mam nic przeciwko panu Wrenne'owi, panie. To stary, chory jegomość... lecz ta dziewczyna. Obraża boska, że mieszka z Jackiem pod jednym dachem. Panienska Reedbourne to szelma, zadziorna sztuka. Nosi się jak dama. Powiada, że chce jedynie pomóc staruszkowi, lecz myślę, iż pragnie mieć na niego wpływ.

— Wkrótce odejdziesz, Joan — odparłem zmęczonym głosem. — Cała nasza czwórka potrzebuje kilku dni odpoczynku.

— Ona nie ma wstydu. Sądzą, że nie słyszę, jak przemyka nocą do pokoju pana Jacka, lecz ja jestem czujna.

— Dobrze już, Joan. Zbyt jestem zmęczony, aby się tym teraz zajmować.

Dygnęła i wyszła.

Zjadłem posiłek ze smakiem i zacząłem krążyć po izbie. Myślałem o Malevererze i Leaconie, o zwłokach Brodericka kołyszających się w celi na okręcie. Dumałem o Tamasin. Pewnie Barak spotka się dziś z dawnym przyjacielem. Czego się dowie na temat jej ojca? Pomyślałem o Martinie Dakinie i małobrakowało, a poszedłbym do Lincoln's Inn, byłem jednak zbyt zmęczony, aby spotkać znajomych, wścibskich prawników, którzy mogli słyszeć o wydarzeniach w Fulford Cross. Mogłem z

tym poczekać do jutra, kiedy zdejmą mi tę przeklętą obręcz. Może natknę się na Bealknapa? Ciekaw byłem, czy łotr wiedział, co mi uczynili, aby władze miasta wycofały pozew.

Postanowiłem wyjść na dwór i obejrzeć stary sad. Naciągnąłem buty i poszedłem do ogrodu. Ziemia była grząska, a przy murze, obok bramy prowadzącej do sadu, grunt stawał się rozmokły. Otworzyłem bramę i wyszedłem na zewnątrz.

Jabłonie rosły tam pewnie od wieków. Drzewa miały powyginane konary i wyglądały na bardzo stare. Mur sadu graniczył z jednej strony z Chancery Lane, z drugiej i trzeciej z gruntami należącymi do Lincoln's Inn, z czwartej zaś z moim ogrodem. Teren opadał lekko w stronę mojej działki. Tak jak powiedział Barak, dawny sad zamienił się w bajoro z zalanyymi wodą otworami, w których tkwiły niegdyś pnie drzew. Wycięcie jabłoni, które pochłaniały deszczówkę, spowodowało, że obok mojego muru utworzyła się sadzawka wielkości małego domu. Zakląłem pod nosem. Jeśli zła pogoda się utrzyma, woda zaleje mi ogród. Postanowiłem, że jutro odwiedzę skarbnika naszej korporacji.

Widok zniszczonego sadu wyprowadził mnie z równowagi. Wróciłem do ogrodu i udałem się do stajni. Genesis i Sukey stały w boksach, przeżuając siano. Na mój widok podniosły głowy i zarżały na powitanie. Podeszedłem i pogłaskałem Genesis. Spoglądając w jego ciemne oczy, pomyślałem, jak musiał się czuć prowadzony dwieście mil przez obcych ludzi przez nieznaną kraj. Pewnie tak jak ja w Tower zastanawiał się, czy zobaczy jeszcze dom. Nagle przypomniałem sobie ogromnego konia Oldroyda pędzącego na mnie i Tamasin w ów mglisty poranek dwa miesiące temu. Wtedy to wszystko się zaczęło.

Wyszedłszy ze stajni, poczułem na twarzy krople deszczu. Ruszyłem szybko w kierunku drzwi frontowych. Nagle spostrzegłem, że ktoś stoi na ganku zwrócony plecami w moją stronę. Wysoka postać w czarnej pelerynie. Mężczyzna spoglądał na drzwi, jakby nie wiedział, czy zapukać. Odruchowo sięgnąłem po sztylet, który nosiłem od czasu powrotu z Tower.

— Czym mogę służyć? — spytałem ostro. Mężczyzna odwrócił się i wówczas rozpoznałem Leacona. Miał na sobie cywilne ubranie i czapkę zamiast hełmu. Jego chłopięca twarz była bardzo zatroskana. Zauważyłem, że ma miecz, lecz chwilę później pomyślałem, iż nosi go większość mężczyzn w Londynie. Zdjął kapelusz i skłonił się.

— Panie Shardlake... — Przerwał, widząc moją twarz.

— Tak — rzekłem ponuro. — Trochę mnie przycisnęli w Tower.

— Słyszałem, że was uwolniono, panie. Otrzymałem wasz adres w Lincoln's Inn. Przykro mi, że musiałem was aresztować na nabrzeżu. Dostałem taki rozkaz...

— Czego chcecie?

— Jeśli można, chciałbym zamienić z wami słówko, panie.

Sprawił wrażenie zmęczonego i przybitego. Zrobiło mi się go żal.

— Wejdźcie. — Ominąłem go, otworzyłem drzwi i wprowadziłem do salonu.

- Odepniecie miecz, sierżancie? Ostatnimi czasy źle znoszę widok ostrych narzędzi.
 - Oczywiście. — Poczzerwieniał i pośpiesznie odpiął pochwę. Wziął ją i oparł o drzwi.
 - Słucham, co mogę dla was uczynić, sierżancie?
 - Zostałem... zostałem zwolniony ze służby, panie. Jestem teraz zwyczajnym George 'em Leaconem. Ponoć to kara za to, iż pozwoliłem moim ludziom się upić, stwarzając okazję zabójcy Brodericka. — Zawahał się. — Słyszałem, że pan Radwinter odebrał sobie życie. W Tower.
 - To prawda.
 - Przesłuchał mnie wczoraj sam arcybiskup Cranmer. — Przyjrzałem się uważnie jego twarzy, lecz odkryłem na niej jedynie przygnębienie i wyczerpanie. Zatem Cranmer nie rzekł mu, iż to ja podsunąłem mu ten pomysł.
 - Tak?
 - Spytał, jak doszło do tego, że strażnicy się upili.
 - Co mu rzekliście?
 - Że byli parą opojów. Pijak zawsze znajdzie dostęp do alkoholu. Przeszmuglowali go na pokład.
 - Kto ich wybrał do pilnowania Brodericka? — spytałem.— Dowódca straży polecił ich sir Williamowi. Myślę, że chciał się ich pozbyć. Kiedy sir William podał mi ich nazwiska, mówiąc, że z nami popłyną, sprzeciwiłem się. Powiedziałem, że to zły wybór.
- Zmarszczyłem brwi.
- Czemu cię nie posłuchał?
- Leacon wzruszył ramionami.
- Pewnie nie chciał, aby ludzie widzieli, że idzie za namową prostego sierżanta. Popełnił błąd.
- Ponownie „popełnił błąd”.
- Popełnił błąd, lecz to ty poniosłeś karę. Zrobił z ciebie kozła ofiarnego.
 - Zawsze tak bywało, panie. Sir William też poniósł karę, pozbawiono go stanowiska w Radzie Północy.
 - Powiedz mi, sądzisz, że to Radwinter zamordował Brodericka?
- Spojrzał na mnie zdumiony.
- A któż inny mógłby to uczynić? Obłąd Radwintera pogłębiał się z każdym dniem.
 - Może. — Popatrzyłem na niego i spytałem szybko: — Czy mówi ci coś nazwisko Blaybourne? Albo Braybourne?

— Braybourne to wioska w Kent. Nieopodal miejsca, z którego pochodzę. Prowadzisz inną sprawę dotyczącą ziemi? — Sprawiał wrażenie zdumionego, lekko zatroskanego, że siedząca przed nim rozmawiana postać mogła przeniknąć jego myśli.

— To bez znaczenia — odparłem z uśmiechem. — Panie Leacon, w jakiej sprawie przychodzicie?

— Może uznacie to za zuchwałość, po tym jak was aresztowałem...

— Ziemia rodziców. Oczywiście... — Całkiem zapomniałem o tej sprawie.

— Przyjechali do Londynu, lecz po zwolnieniu ze służby nie mam pieniędzy na prawnika.

— Spotkam się z nimi. Obietnica to obietnica. Nie było mnie wszak w Londynie od dwóch miesięcy. Potrzebuję kilku dni, aby uporządkować swoje sprawy. Przyrowadź rodziców do mojej kancelarii w przyszłą środę. Wzięli ze sobą dokumenty? — Tak, panie. — Na jego twarzy pojawił się wyraz ulgi. — Dziękuję. Wiedziałem, że jesteś pan człowiekiem prawnym.

Uśmiechnąłem się cierpko.

— Będę się musiał wcześniej ogolić, aby się lepiej zaprezentować.

— Jestem wam niezmiernie wdzięczny, panie Shardlake.

— Weź swój miecz. — Wyrzałem przez okno. Znowu lało. — Obawiam się, że zmokniesz.

Przez małe okienko w drzwiach wejściowych obserwowałem, jak odchodzi. Sumienny żołnierz, dobry syn. Sierżant Leacon z pewnością nie miał nic wspólnego z tym, co się stało. A Maleverer? Błędna ocena? A może uciszył Brodericka, aby nie wymienił jego nazwiska w związku ze spiskiem? Czy miał dokumenty? Nie mógł mnie jednak ogłuszyć w King's Manor. Nie było go wówczas w Yorku.

Wspiąłem się po schodach do pokoju Gilesa. Spał, lecz otworzył oczy, gdy wszedłem.

— Przepraszam — rzekłem. — Obudziłem cię?

— Za dużo śpię. — Z trudem usiadł. — Dziś wieczorem zejdem na kolację.

— Guy powiedział, że powinieneś zostać w łóżku jeszcze kilka dni. i

Giles się roześmiał.

— Chyba zapuściłbym tu korzenie. — Spojrzał na mnie. — Nadal wyglądasz na zmęczonego.

— Bo i tak jest. Przed chwilą miałem gościa. Młodego Leacona. Szuka pomocy prawnej.

Wrenne uniósł brwi.

— Po tym jak aresztował cię na nabrzeżu? Posłałbym go do diabła.

Westchnąłem.

- Obiecałem w Yorku, że mu pomogę. Jak mu rzekłem, obietnica to obietnica.
- To prawda — przytaknął z naciskiem Giles. — Nie ma nic ważniejszego. — Spojrzał na mnie.
- Chyba że jesteś królem, który codziennie łamie dane słowo.
- Tak — odpartem niedbale.
- Wydajesz się czymś zaaferowany, Matthew.
- Przepraszam. Nadal zastanawiam się, kto zaatakował mnie w King's Manor i pomógł Broderickowi odebrać sobie życie. Kim jest ów człowiek, który cały czas węszy i przemyka między nami? Jeśli był z nami na statku, teraz jest w Londynie.
- Sądziś, że ci zagraża? — spytał Giles.

Pokręciłem głową

- Nie, gdyby chciał mi wyrządzić krzywdę, uczyniłby to dawno temu. — Spojrzałem na niego z cierpkim uśmiechem. — Powiniennem o wszystkim zapomnieć. Powiedziałem Cranmerowi, że marzę jedynie o spokojnym życiu prawnika.
- W tych czasach to rozsądna polityka.
- Do końca życia. Barak jest podobnego zdania.
- Zaczny bywa żywot prawnika — rzekł Wrenne. — Miałem okazję osobiście się o tym przekonać. — Westchnął głęboko. — Teraz jednak mój czas dobiega kresu. Muszę odnaleźć siostrzeńca, wydać ostatnie dyspozycje. Powiniennem udać się do Gray's Inn, może nie jutro, lecz pojutrze. — Opadł na poduszkę i zamknął oczy. Nie wiedziałem, czy w takim stanie zdoła pokonać drogę z Chancery Lane do budynków korporacji Gray's Inn.

Zadumałem się też nad dziwnymi słowami, które Bernard Locke wypowiedział do mnie w Tower. Rzekł, iż Martin Dakin nie należał do spiskowców, że jest bezpieczny. Skoro nie był spiskowcem, dlaczego powiedział, że jest bezpieczny? Postanowiłem, że jutro udam się do Gray's Inn, aby go odnaleźć.

Rozdział czterdziesty szósty

Barak i Tamasin wrócili po południu. Barak zaszedł do pokoju, w którym odpoczywałem. Sprawiał wrażenie wyczerpanego.

- Nie udało mi się dotrzeć do mojego znajomego z Cheap-side — powiedział. — Ma jakąś robotę za miastem. Wróci dopiero jutro.

Położyłem dłoń na zbolątej szczęce. Pomyślałem, że powiniennem wstąpić do Guya, aby ją obejrzał.

- Mam nadzieję, że nie włamuje się do żadnego domu.
- Skądże, jest ślusarzem. Montuje zamki w nowym domu na wsi. Czemu zakładasz, że wszyscy moi znajomi są przestępcami?

— Przepraszam. — Podciągnąłem rękaw, odstaniając zardzewiałą obręcz. — Nasmarowałem ją tłuszczem, aby mniej ocierała rekę, lecz teraz cuchnie i brudzi mi koszulę. Nie będę czuł się wolny, dopóki jej nie zdejmą.

— Zajrzę do niego jutro. Powiedzieli mi, że powinien już być.

— Dziękuję. — Spojrzałem na jego zmęczoną twarz i mokre włosy. Na zewnątrz ciągle padało.
— Czy Tamasin poszła do Whitehall?

— Tak. Powiedzieli jej, że szykują się zmiany i kazali wrócić za kilka dni. — Spojrzał na mnie poważnie. — Tamasin lęka się to uczynić, wie, że przestuchują damy dworu królowej.—
Przestuchują dworki, a nie służące takie jak Tamasin.

— To prawda, lecz obawia się, że wkrótce zaczną wypytywać służbę. Pomyślała, że lepiej będzie, jeśli na jakiś czas zniknie z oczu. Uważam, że ma rację.

— Straci szansę zatrudnienia na dworze. Najlepiej płać posadę dla sługi w tym kraju.

Wzruszył ramionami.

— Boi się, po tym, co ci uczynili. Znajdzie sobie inną robotę. Powiada, że zostało jej jeszcze trochę pieniędzy po babce.

— Na długo jej starczyły.

— Tak. — Westchnął. — Rozmawiałem z moim starym druhem.

— Poszcęściło mu się w poszukiwaniach?

Barak zmarszczył brwi.

— Znalazł potencjalnego kandydata. Kazał przyjść jutro.

— Kogo?

— Nie powiedział. Dowiedziałem się jednak, że to profesjonalista, cokolwiek to może oznaczać. — Przerwał, słysząc pukanie do drzwi. Do izby weszła Tamasin.

— Przykro mi, że straciłaś posadę, Tamasin — rzekłem delikatnie.

— To prawda. — Stała obok mojego łóżka wyczerpana.

— Zostańcie u mnie kilka dni dłużej — powiedziałem. — Oboje. Dopóki sytuacja się nie wyjaśni. Może znajdziesz nową pracę na dworze.

— Po śmierci królowej? — Przemówiła z goryczą, jakiej wcześniej nie słyszałem. — Może mam być służką na dworze nowej pani? Zobaczyć, jak długo pożyje? Usłyszeć o sprawach, które mogą mnie wpakować w tarapaty? — Potrząsnęła zdecydowanie głową. — Nie, nigdy tam nie wrócę, niezależnie od tego, ile zapłacą.

— Dobrze już, Tammy — próbował uspokoić ją Barak, lecz ona ciągnęła:

— W Whitehall powiadają, że lady Rochford oszalała w Tower. Wrzeszczy i majaczy, nie można z niej wydobyć żadnej sensownej odpowiedzi. Nieszczęsna królowa jest przetrzymywana w Hampton Court. Bóg jeden wie, w jakim stanie się znajduje. Kobieta musi być zawsze uśmiechnięta i radosna, prawda? — Wykrzywiła twarz w parodii dziewczęcego uśmiechu, a następnie odwróciła się i wybiegła z pokoju.

Tego wieczoru spożyliśmy z Gilesem spokojną kolację w salonie, wsłuchując się w dudnienie deszczu na dworze. Przez całe popołudnie Barak był z Tamasin w jej pokoju. Joan się krzywiła, lecz nie zwracałem na to uwagi.

Był to pierwszy posiłek, który Giles zjadł przy stole. Jego stan uległ znacznej poprawie. Powiedziałem mu o ogrodzie i doszliśmy do wniosku, że jutro powinienem udać się do skarbnika naszej korporacji.

— Jeśli tego nie uczynisz, rzekną, iż nie powiadomiłeś ich w odpowiednim czasie, że zalewa ci ogród. — Uśmiechnął się. — Sam wiesz, jacy są prawnicy.

— Słusznie prawisz. Chcę, aby wykopali rów w połowie zbocza, żeby odprowadzał wodę. Trzeba to zrobić niezwłocznie, albowiem deszcz nieprędko ustanie. — Westchnąłem. — Zobaczają, jak wyglądam.

Następnego ranka wstałem skoro świt i zjadłem śniadanie, pragnąc jak najszybciej odwiedzić Lincoln's Inn. Tamasin i Barak wyszli razem, Tamasin, by poszukać mieszkania, a Barak, ślusarza. Zamierzał się też dowiedzieć o ojca Tamasin. Choć przestało padać, Chancery Lane była pełna kałuż, a błotnistą uliczkę zaścierały wilgotne liście. Szedłem ostrożnie w powiewach chłodnego wiatru. Nadciągała zima. Po drodze był zakład balwierski, więc pomyślałem, że skorzystam z jego usług, aby wyglądać jak należy. Siedziałem na krześle, boleśnie świadom obecności przekłetej obręczy, którą próbowałem ukryć. Balwierz opowiadał o dziwnych wydarzeniach, które dzieją się w Hampton Court. Miasto huczało od plotek, że królowa została aresztowana, że okazała się szpiegiem lub została zdybana w łóżu z każdym — od posługacza kuchennego po samego Cranmera. Powtarzał mi owe plotki z wyraźnym upodobaniem.

— Znowu jest jak za czasów Anny Boleyn — rzekł radośnie. Zapewniłem go, że wszystko to nieprawda, i udałem się do Lincoln's Inn.

Dziwnie się czułem, przechodząc ponownie Great Gate i widząc ceglane mury Gatehouse Court oraz kręcących się wszędzie prawników. Znajomi zapraszali mnie skinieniem głowy, gdym szedł do kancelarii skarbnika, byłem jednak zdecydowany jak najszybciej załatwić sprawę, w której przybyłem. Kiedy skarbnik wyparł się odpowiedzialności za zalanie mojego ogrodu, przypomniałem mu o przepisach dotyczących naruszenia ładu sąsiedzkiego i nim wyszedłem, miałem już obietnicę, że jutro w połowie wzgórza wykopią rów. Udałem się do mojej kancelarii w nieco lepszym nastroju.

Dwaj adwokaci, którzy przechodzili obok, zatrzymali się i spojrzeli na mnie ciekawie. Gniewnie zmarszczyłem brwi, kryjąc dłoń w kieszeni szaty, aby nie spostrzegli, że jest skuta obręczą.

Mój sekretarz Skelly pracował przy biurku. Powitał mnie ze szczerym entuzjazmem, który całkowicie mnie rozbroił. Jego oczy błysnęły za szklami okularów.

— Modliłem się za was, panie — rzekł. — Gdy przebywaliście wśród owych dzikich pogan. Rad jestem, że do nas wróciliście, choć twarz macie dziwnie spuchniętą.

— Boli mnie ząb — rzekłem, co było zgodne z prawdą. Plotki o moim uwięzieniu nie dotarły snadź do Lincoln's Inn, wiedziałem wszak, że je wkrótce usłyszą. — Jak idzie robota? — spytałem. Przed wyjazdem rozdzieliłem swoje sprawy między prawników, do których miałem pełne zaufanie.

— Nie ma żadnych problemów, panie. Kolega Hennessy wygrał tydzień temu sprawę Croppera.

— Naprawdę? To znakomicie. — Przerwałem na chwilę. — Słyszałem, że urzędnicy Tajnej Rady Królewskiej wypytywali w korporacjach o wiosenny spisek.

— Tutaj ich nie było, panie. — Zmarszczył nos. — Może w Gray's Inn.

Wczesnym popołudniem skończyłem zapoznawanie się z bieżącą sytuacją. Roboty było tyle, że mógłbym natychmiast przy-stąpić do pracy. Postanowiłem, że za pieniądze obiecane przez Cranmera spłacę dług ojca obciążający jego gospodarstwo. Wierzyciel przesłał mi list z zapytaniem, kiedy oddam pieniądze. Skreśliłem zwięzłą odpowiedź, że nie będzie musiał długo czekać. Później udałem się do stołówki, aby coś zjeść.

Postanowiłem, że po południu pójdę do Gray's Inn i przez cały czas myślałem o Martinie Dakinie. A jeśli odrzuci propozycję pojednania wysuniętą przez Gilesa, jak to często bywało w sporach rodzinnych? Ponownie pomyślałem, że moja troska o staruszka wypływa z poczucia winy spowodowanego zawiedzeniem nadziei ojca. W końcu doszedłem do wniosku, że słusznie postępuję.

Gdym szedł do bramy, ujrzałem Bealknapa zbliżającego się od strony swych pokoi. Byłem ciekaw, czy zobaczył mnie przez okno.

— Witaj, kolego Shardlake! — zawołał radośnie. — Słyszałem, że od czasu naszego ostatniego spotkania mieliście wiele przygód. Jakież kłopoty z Jego Królewską Wysokością w Yorku? A później pobyt w Tower? — Spojrzał na mój prawy nadgarstek, jako że przekłeta obręcz znowu się ześlizgnęła. — Dobry Boże — westchnął cicho.

— Wiadomość o moim pobycie w Tower nie jest jeszcze powszechnie znana. Bez wątpienia powiedział ci o tym Richard Rich. To on kazał mnie tam wtrącić.

— Twarz wam spuchła, kolego Shardlake — zauważył z fałszywym zatroskaniem. Nagle przypomniałem sobie komnatę tortur, trzask łamanego zęba i przerażenie, które mnie ogarnęło. Zamrugałem i spojrzałem gniewnie na Bealknapa. Odwrócił oczy, unikając mojego wzroku.

— Wiesz już pewnie, że ratusz wycofał sprawę — rzekł z typowym dla siebie nieznacznym uśmiechem. — Każda ze stron pokryje własne koszty. Wątpię, czy zostaniesz sownie wynagrodzony. Moje honorarium wypłaci sąd do spraw majątku likwidowanych klasztorów.

— Zapłaci ci Rich.

— Sąd. Byli zainteresowani tą sprawą. Cóż, można to uznać za intrygujące zakończenie. — Uchylił kapelusza, złożył mi sztywny, przesadnie głęboki ukłon i odszedł.~ *

— Następnym razem będziemy walczyć uczciwie! — krzyknąłem w ślad za nim. — Pokonam cię! Jeszcze mnie popamiętasz, Bealknap! — Nawet się nie odwrócił.

Ruszyłem Chancery Lane w kierunku Gray's Inn, które leżało po drugiej stronie Holborn. Chociaż deszcz nie padał, niebo zasnuwały szare, ciężkie chmury. Spytałem odźwiernego o Garden Court i zostałem skierowany do budynku po przeciwnej stronie dziedzińca. Ruszyłem przed siebie, przypatrując się prawnikom i dumając nad tym, iż mógł się wśród nich znajdować kontakt Bernarda Locke'a, któremu przekazano dokumenty, chyba że został aresztowany. Otworzyłem drzwi i znalazłem się w zewnętrznym holu. Mały otyły urzędnik siedzący przy biurku podniósł głowę na mój widok.

— Dobry wieczór — powiedziałem. — Jestem Matthew Shardlake z korporacji Lincoln's Inn. Szukam prawnika pracującego w Garden Chambers. Nazywa się Martin Dakin.

Urzędnik wyprostował się na krześle.

— Ach — westchnął, spojrzał na mnie ze zdumieniem i poczerwieniał.

— Znasz go?

— Tak, panie, ale... — Podniósł się wolno. — Poczekajcie chwilę, pomówię z kolegą Philipsem. Wybaczcie, proszę.

Podszedł do przeciwległych drzwi, zapukał i wszedł do środka. Czekałem trawiony niepokojem. Urzędnik sprawiał wrażenie zaskoczonego i wystraszonego. Byłem ciekaw, czy Dakin nie został wzięty na przesłuchanie. Rozejrzałem się po sali pełnej stosów dokumentów związanych różową wstążką. Pomyślałem, że praktykował tu także Bernard Locke. Zadrżałem, przypominając sobie, jak wyglądał w Tower z połamanymi kończynami i wypalonym piętnem na twarzy.

Urzędnik pojawił się w drzwiach.

— Kolega Philips chciałby zamienić z wami słówko, panie. — Ustąpił na bok, aby zrobić mi miejsce, i patrzył z ulgą, jak odchodzę.

Kancelaria Philipsa bardzo przypominała moją. Na mój widok zza biurka wstał pulchny prawnik w średnim wieku. Sprawiał

wrażenie wyczerpanego i miał podkrążone oczy. Skłonił się, a następnie spojrzał na mnie zatroskany.

— Jestem Ralph Philips — rzekł z wyraźnym północnym akcentem.

— Matthew Shardlake z Lincoln's Inn.

— Pytałeś pan o Martina Dakina?

— Tak.

— Nie chciałbym, abyście uznali to za impertynencję, lecz chciałbym wiedzieć, co was z nim łączy.

— Jestem przyjacielem jego wuja, kolegi Gilesa Wrenne'a z Yorku. Wiele lat temu poróżnił się on z siostrzeńcem i teraz przybył do Londynu, aby się z nim pojednać. Brałem udział w podróży króla na północ. Kolega Wrenne przyjechał wraz ze mną i przebywa teraz w moim domu przy Chancery Lane. — Przerwałem, aby dodać po chwili: — To starszy człowiek, nie jest w najlepszym stanie.

— Rozumiem — rzekł Philips, ciężko wzdychając.

— Co się stało? — spytałem bardziej surowo, niż powinienem. — Czy został wzięty na przesłuchanie w sprawie spisku, który wykryto na północy? Wiem, że prowadzono śledztwo w środowisku prawników.

Przyjrzał mi się uważnie.

— To prawda, byli tutaj. Przesłuchali wszystkich. — Westchnął ponownie. — Żaden nie miał nic do ukrycia, a szczególnie kolega Dakin. — Uśmiechnął się smutno.

— O co chodzi?

— Martin Dakin nie żyje, panie. Zmarł minionej zimy na zapalenie płuc.

— Nie, tylko nie to! — jęknąłem. — To straszne. — Wszystkie wysiłki i nadzieje Gilesa okazały się próżne. Na darmo odbył długą podróż, która tak go wyczerpała. Wszystko na nic.

— Nic wam nie jest, panie? — spytał Philips, wychodząc zza biurka i patrząc na mnie z z troskaniem.

— Nie, wybaczone, panie. To dla mnie szok. Nie spodziewałem się... — Zatem to miał na myśli Locke w Tower. Martin Dakin był bezpieczny, ponieważ odszedł z tego świata. Zduśnięcie jęku. Później pojawił się promyk nadziei. — Miał żonę? Dzieci?

— Nie. — Philips pokręcił przecząco głową. — O ile wiem, nie miał żadnych krewnych. Nigdy nie wspominał o wuju.

— Pokłócili się. — Spojrzałem na niego. — Nikogo zatem nie pozostawił.

— Nikogo, o kim bym wiedział. Po śmieci kuratelę nad jego majątkiem objął skarbnik naszej korporacji. — Zawahał się. — Muszę wam wyznać, że nie byłem z nim blisko związany.

— Tak?

Philips zawahał się po raz kolejny.

— Martin Dakin był wielkim zwolennikiem reformacji, a niewielu tu takich.

— Sądziłem, że był zagorzałym konserwatystą.

— Kiedyś zaiste tak było, zmienił wszak poglądy, słuchając ewangelicznych kazań w miejscowym kościele. — Uśmiechnął się ponuro. — Bywa, że ludzie opowiadający się żarliwie po jednej stronie stają się równie gorliwymi rzecznikami drugiej. Często byłem tego świadkiem w ostatnich latach.

— To prawda.

— Muszę wszak rzec, iż kolega Dakin był dobrym prawnikiem i porządnym człowiekiem.

Skinąłem głową w osłupieniu.

— Skarbnik dowiadywał się o jego rodzinę, musiał rozporządzić jego majątkiem. Jeśli go waszmość zapytasz...

— Tak, macie rację, powinienem chyba...

— Mogę poczęstować was szklaneczką wina, zanim wyjdziecie? — Nadal był zatroskany moim stanem. — Widzę, że przeżyłeś waść szok. Może powinieneś chwilę odpocząć.

— Nie, pójdę do skarbnika. Dziękuję, kolego. Dziękuję za waszą pomoc. — Skłoniłem się i wyszedłem z izby.

Cóż za ironia, pomyślałem. Zwolennik reform, ostatnia osoba, która chciałaby mieć coś wspólnego ze spiskowcami z północy.

Pod rosnącym nieopodal drzewem stała ławka. Usiadłem, chociaż deski były mokre. Nieszczęsny Wrenne, czeka go wielki cios. Byłem rad, że odwiedziłem Gray's Inn. Będę mógł przynajmniej delikatnie przygotować Gilesa w domowym zaciszu. Spojrzałem na potężnie zbudowanego mężczyznę w prawniczej todze, który przechodził obok. Czarna broda, czarne włosy. Pomyślałem, że to Maleverer, lecz gdy odwrócił się ku mnie, okazało się, iż to ktoś inny. Jakiś starszy mężczyzna. Spojrzał na mnie ze zdumieniem i odszedł pośpiesznie.

Poczułem kroplę wody na dłoni i wróciłem do rzeczywistości. Ponownie zaczęło padać. Wstałem. Przeklęta obręcz nadal uciskała nadgarstek. Rozmasowałem go i poprawiłem żelazo, tak aby pozostawało niewidoczne, a następnie spytałem przechodzącego obok prawnika o kancelarię skarbnika korporacji. Ruszyłem w tamtą stronę, czując kolejne krople deszczu.

Skarbnik Gray's Inn okazał się wysokim, zgarbionym mężczyzną podejrzliwie nastawionym do wścibskiego prawnika z innej korporacji. Gdy wyjaśniłem mu charakter mojej misji, okazał większą sympatię i zaprosił mnie do swojej wygodnej kancelarii.

— Nieufnie traktuję wszystkich, którzy wypytyją o członków Gray's Inn — powiedział.

— Rozumiem, węższą w poszukiwaniu spiskowców.

— W ciągu ostatnich dni przesłuchano wielu prawników. Jak kolega pewnie wie, praktykował tu Robert Aske. Pokarał go Bóg, podobnie jak innych malkontentów. Korporacje prawnicze powinny być miejscem praktykowania prawa, nie zaś spiskowania przeciw królowi.

Powiodł mnie do pomieszczenia, w którym siedział starszy mężczyzna, wertując jakieś dokumenty.

— Kolega Gibbs zajmował się tą sprawą. Przeszedł na emeryturę, lecz pomaga mi od czasu do czasu.

Staruszek podniósł się z krzesła i ukłonił, spoglądając na mnie zza grubych szkielek. Wyglądał tak, jakby był rówieśnikiem Swanna z Hull.

— Kolega Shardlake próbuje dotrzeć do krewnych świętej pamięci Martina Dakina — oznajmił skarbnik. — Dakin zmarł ostatniej zimy. Nie miał żony ani dzieci.

Starzec pokiwał głową.

— Tak, pamiętam. Korporacja rozporządziła jego majątkiem. To smutne, gdy kolega umiera samotnie. O ile pamiętam, Dakin miał jednak krewnego.

— Kogo? — spytałem niecierpliwie. Pomyślałem, że nawet dziecko z nieprawego łoża byłoby lepsze od niczego.

Staruszek położył palec na brodzie. — Tak, miał. Tak mi się zdaje.

Musiałem powściągnąć zniecierpliwienie, gdy prawnik zaczął wertować stos dokumentów leżących na półce.

— Pozwólcie, że was opuszczę — rzekł skarbnik.

— Dziękuję wam za pomoc. Czuję się wielce zobowiązany.

Gdy się odwróciłem, uśmiechnięty Gibbs trzymał w dłoni plik dokumentów.

— Znalazłem. — Wyciągnął testament. — Martin Dakin zmarł dziesiątego stycznia roku tysiąc pięćset czterdziestego. Zgodnie z jego wolą cały majątek został sprzedany i wraz z oszczędnościami... całkiem przyzwoitą sumką... przekazany... — Przejrzał testament. — Tak, zostawił pięćdziesiąt funtów kościołowi Saint Giles w Cripplegate. — Spojrzał na mnie ponad okularami z wyrazem dezaprobaty na twarzy. — To bardzo reformatorski kościół. Niektórzy uważają, że wręcz hereetycki.

— Tak, rozumiem. A co z resztą?

— Wszystko poszło na rzecz jednego zapisobiorcy.

— Kogo?

— Proszę zobaczyć.

Staruszek podał mi testament. Przeczytałem nazwisko spadkobiercy i otworzyłem usta ze zdumienia.

— Czy ta osoba przyjęła spadek?

— Tak. — Staruszek gniewnie zmarszczył brwi. — Wszystko wykonano zgodnie z prawem.

— Nie wątpię.

Zrozumiałem wszystko. Wiedziałem już, kto mnie ogłuszył w opactwie Świętej Marii i kto pomógł umrzeć Broderickowi. Znałem tożsamość człowieka, który miał dokumenty mogące wstrząsnąć posadami tronu króla Anglii.

Rozdział czterdziesty siódmy

Deszcz lał mocniej niż zwykle. Idąc Chancery Lane, musiałem pochylić głowę, aby woda nie spływała mi z czapki na oczy. Opuściwszy kancelarię skarbnika, wróciłem do Lincoln's Inn i udałem się do biblioteki. Siedziałem tam długie godziny, zastanawiając się. Krótkie listopadowe popołudnie zamieniło się w zmierzch i na stołach zapalono lampy. W końcu doszedłem do przekonania, że rozwikłałem zagadkę. Nie pozostawało nic innego, jak tylko wrócić do domu.

Było już ciemno, gdy z ciężkim sercem szedłem Chancery Lane. Płomienie świec widoczne w oknach domów odbijały się w kałużach, na których powierzchni tańczyły krople deszczu. Otuliłem się szczelnie peleryną, czując przekłęta obręcz wpijającą się w mój nadgarstek.

Potknąłem się przed drzwiami swego domu i upadłem na matę z sitowia. Joan stanęła w holu, oświetlając mnie lampą.

— Panie Shardlake! Przemokliście do cna! Leje tak, że przeraziłam się o ogród. Przyniosę wam suche ubranie...

— Nie trzeba — powiedziałem, zdejmując czapkę. Na chwilę oparłem się o drzwi, ciężko oddychając. — Nic mi nie jest. Czy Jack i panienska Reedbourne wrócili?

— Jeszcze nie, panie — prychnęła. — Mówili, że wrócą przed zmrokiem. Założę się, że zaciągnęła go do jakiejś ciepłej tawerny, aby się poprzytulać.

— Rozumiem. — Byłem zaskoczony. Sądziłem, że już wrócili, że będą w domu. Przygotowałem nawet mowę.— Pan Wrenne zszedł na dół jakiś czas temu — powiedziała Joan. — Prosił o coś do jedzenia. Podałam mu polewkę w salonie.

Zawahałem się. Najbardziej rozsądną rzeczą byłoby pójście na górę i przebranie się. Nagle zdrząłem gwałtownie.

— Nic wam nie jest? — spytała Joan z zatroskaną twarzą.

— Nic, jeno jestem zmęczony.

— Rozpaliłam w salonie.

— Wyschnę przy kominku — rzekłem z wymuszonym uśmiechem. — Chciałbym coś zjeść. Dziękuję ci, Joan.

Przez dłuższą chwilę przypatrywała mi się z powątpiewaniem, a później poszła na górę. Zamknąłem drzwi wejściowe. Barak miał własny klucz, więc sobie otworzy. Ruszyłem do salonu. Stałem na chwilę, próbując przezwyciężyć zmęczenie i wykrzesać z siebie resztkę energii. Później wziąłem głęboki oddech i otworzyłem drzwi.

Giles siedział przy stole, jedząc wysmienitą zupę przyrządzoną przez Joan. Na stole stała duża waza, z której unosiła się para. W świetle świeczki jego twarz wydawała się zmęczona, poznaczona głębokimi liniami zmarszczek tym wyraźniejszymi, im bardziej stawała się wychudła. Spojrzał na mnie z zatroskaniem.

— Matthew! Wyglądasz, jakbyś niemal utonął. Dostaniesz gorączki.

— Znowu leje.

— Wiem, czy ta ulewa nigdy się nie skończy? — Wskazał dłonią czarne okna, o które uderzały krople deszczu. — Barak i młoda Tamasin jeszcze nie wrócili.

Podszedłem do kominka i stanąłem odwrócony plecami do ognia, czując, jak ogrzewa moje nogi.

— Rozmawiałeś ze skarbnikiem Lincoln's Inn? — spytał. — Wykopią rów?

— Tak, musiałem użyć twardych argumentów, lecz w końcu obiecali to uczynić.

— Twoje ubranie paruje. Powinieneś się przebrać. Wyglądasz na wyczerpanego. Dostaniesz gorączki.

— Pierwej muszę coś zjeść.

— Nalej sobie zupy.

Wyjąłem talerz z kredensu, napełniłem go zupą, usiadłem naprzeciw niego i straciłem ochotę na jedzenie. — Czujesz się lepiej? — spytałem.

— Tak — odrzekł z ponurym uśmiechem. — Raz czuję się dobrze, raz źle. Tak samo jak ojciec. Dziś czułbym się jak dawniej, gdyby nie... — Położył dłoń na brzuchu, w miejscu, w którym utworzył się guz, skrzywił się przy tym z bólu. Skinąłem głową na znak, że rozumiem. — Jakież nowe wieści o królowej? — spytał.

— Aresztowali ją.

Potrząsnął smutno wielką głową. Spojrzałem na niego. Chciałem, aby Barak i Tamasin wrócili, zanim wyjawię mu, czego się dowiedziałem. Chociaż obecność Baraka mogła się okazać wskazana, jakoś nie mogłem się powstrzymać.

— Poszedłem do Gray's Inn, Gilesie. Chciałem się wypytać o Martina Dakina.

Zatrzymał tyżkę w pół drogi do ust.

— Nie powinieneś być tego czynić — rzekł wolno. — Nie zapytałeś mnie o zgodę.

— Chciałem pomóc.

— Czego się dowiedziałeś?

— Powiedzieli mi, że Dakin zmarł prawie dwa lata temu.

Odłożył tyżkę.

— Zmarł? — wyszeptał, prostując się na krześle. Zwiesił ramiona, a twarz mu pobrała. — Martin nie żyje?

— Sądzę, że o tym wiedziałeś — rzekłem cicho. — Wiedziałeś o tym, zanim przyjechałem do Yorku. Pamiętam, jak raz rzekłeś, iż dobry prawnik musi być dobrym aktorem. Myślę, że grałeś od dnia, w którym się poznaliśmy.

Zmarszczył gniewnie brwi, a następnie rzucił mi wściekłe spojrzenie.

— Jak możesz wygadywać takie rzeczy, Matthew? Jak...

— Powiem ci jak. Udałem się do dawnej kancelarii Dakina i dowiedziałem się, że zmarł na zapalenie płuc dwie zimy temu. Nie miał żony ani dzieci. Kazali mi pójść do skarbnika, który objął kuratelę nad jego majątkiem. Uczyniłem to i odkryłem, że zapisał ci wszystko. Przesłał ci pieniądze do Yorku, ty zaś podpisałeś pokwitowanie w marcu roku tysiąc pięćset czterdziestego. Widziałem kwit.

— To jakiś oszust... — Nie, widziałem podpis. Twój podpis. Widziałem go wcześniej wielokrotnie, gdy rozpatrywaliśmy petycje. Daj spokój, Gilesie — rzekłem niecierpliwie. — Jestem prawnikiem ponad dwadzieścia lat. Sądziś, że nie rozpoznałbym podrobionego podpisu?

Spojrzał na mnie z takim gniewem, jakiego wcześniej u niego nie widziałem.

— Matthew, zraniłeś mnie, choć jesteś moim najlepszym przyjacielem — rzekł z drżeniem w głosie. — To pewnie skutek napięcia, jakiego doświadczyłeś w Tower. Uczynił to jakiś oszust. Ktoś przejął list wysłany przez korporację i podszył się pode mnie. Pamiętam, że sam miałem kiedyś urzędnika, którego musiałem odprawić z powodu nieuczciwości. Z odległości dwustu mil łatwo udawać kogoś innego.

— Ukryć swoją prawdziwą tożsamość. Tak, ty wiedziałbyś, jak to uczynić.

Siedział jak skamieniały, intensywnie się we mnie wpatrując. Zaczął obracać wielki szmaragdowy pierścień, który nosił na palcu. Kropla wody wleciała mi za kołnierz, powodując, że zadrżałem. Miał rację, mogłem się nabawić gorączki. Trzask ognia i stukot kropel deszczu o szyby wydawał się nienaturalnie głośny. Pomyślałem, że słyszę skrzypienie otwieranych drzwi, lecz okazało się, iż dźwięk doleciał z wnętrza domu. Gdzie byli Barak i Tamasin?

— Z kancelarii skarbnika udałem się do biblioteki Lincoln's Inn — ciągnąłem dalej. — Przesiedziałem tam wiele godzin. Myślałem o wszystkim.

Nie odpowiedział ani słowa.

— Wymyśliłeś historyjkę o tym, że pragniesz się pojednać Martinem Dakinem, abym pomógł ci dotrzeć do Londynu. Czy w ogóle się posprzeczaście? Musieliście — odpowiedziałem samemu sobie — albowiem stara Madge o tym wiedziała, choć nie miała pojęcia, że Martin umarł i zapisał ci majątek.

— Nie pogodziliśmy się — rzekł cicho. — To, co ci rzekłem o naszej kłótni, było prawdą. A jednak zostawił mi wszystko. Byłem jego jedynym krewnym. Widzisz, jak ważna jest rodzina? — Westchnął boleśnie. — Nie powiedziałem Madge, że Martin umarł i wszystko mi przekazał, nie

wiedział też o tymniku w Yorku. Zbyt mnie tym zawstydził. — Spojrzał na mnie. — Było mi to jednak na rękę. Mówiłem wszystkim, że żyje. Nikt nie znał prawdy.

— Dlaczego chciałeś przyjechać do Londynu, skoro wiedziałeś, że umierasz? — spytałem powoli, cichym głosem. — Musiało chodzić o coś bardzo ważnego. Przypominam sobie, kiedy po raz pierwszy wspomniałeś o swoich planach. Stało się to, gdy zostałem ogłuszony King's Manor. Ty to uczyniłeś, prawda? Zabrałeś dokumenty, aby przekazać je swoim towarzyszom w Londynie.

Nadal milczał, bacznie mi się przyglądając. Początkowo miałem wrażenie, że gdy doprowadziłem do konfrontacji, jego twarz uległa zmianie, że przybrała monsturalny wyraz, pozostała jednak pokryta zmarszczkami, pełną determinacji twarzą przyjaciela. Była teraz jedynie czujniejsza i bardziej bezbronna niż dotąd.

— Czy owego dnia, gdy ocaliłeś mnie i Baraka z rąk tłumu przed domem Oldroyda, przyszedłeś po ową skrzyknę? — Zaśmiałem się z goryczą. — Musiałeś być zaszokowany, gdy wysunęła się spod mojej szaty. Dobrze to ukryłeś, tak jak wiele innych rzeczy od tamtej pory.

Wówczas przemówił.

— Ocaliłem cię, nie zapominaj o tym, skoro mnie osądzasz.

— W tym czasie Jennet Marlin realizowała własną misję, którą zlecił jej Bernard Locke, a o której nie miałeś pojęcia. Kiedy ujrzałeś Jennet przy latarni w Howlme, zabiłeś ją, aby nie zdążyła wyjawić, że nie zabrała dokumentów.

— I wybawiłem cię z jej rąk.

— Kierowałeś się własnym interesem. Miałeś dokumenty, których szukała. Bez wątpienia nadal je masz. Są w moim domu.

Giles westchnął głęboko, jakby całe jego ciało przeszedł głęboki dreszcz.

— Zawsze uważałem cię za przyjaciela, Matthew — rzekł cicho. — Smuciło mnie, że muszę cię okłamywać. Nigdy też nie wyrządziłbym ci krzywdy. Nie zamierzałem cię zabić w King's Manor, a jedynie ogłuszyć. Później też nie wyrządziłem ci krzywdy, choć wielokrotnie mogłem to uczynić. Uwierzyłem, że nie czytałeś owych dokumentów. Ja... to nie było... — Nic osobistego, prawda? Wykorzystałeś mnie, okłamałeś przyjaciela. To nic osobistego, czysta polityka. Tak jak rzekłeś o szyderstwie, które król wypowiedział pod moim adresem?

— Nienawidziłem tego. Nienawidziłem siebie za to, że zabiłem tę kobietę. — Jego ciało przeszedł lekki dreszcz. — Pomogłem umrzeć sir Edwardowi Broderickowi, ponieważ tego pragnął. Obaj wiedzieliśmy, że w Tower umarłby znacznie straszniejszą śmiercią. Nie, tego nie żałuję. Znałem go z działalności konspiracyjnej, w której odgrywałem ważną rolę. Pamiętasz, jak prowadzono go w kajdanach do nabrzeża w Hull? Spojrzał ku nam i skinął głową. Sądziłeś, że pozdrowił cię, lecz to mnie wówczas rozpoznał. Jedno skinienie wystarczyło. Wiedziałem, że próbował popełnić samobójstwo w Yorku, i zdecydowałem, że mu pomogę. Czuwałem noc w noc, czekając, aż nadarzy się okazja. Kiedy nadeszła, wykorzystałem ją. Ogłuszyłem Radwintera, zabrałem mu klucze i pomogłem Broderickowi się powiesić. To było straszne, lecz powziąłem postanowienie. — Wyprostował ramiona. — Sir Edward był dzielny, wspaniałym człowiekiem.

— To prawda — przytaknąłem, a następnie zmarszczyłem brwi. — Przecież cały czas chorowałeś na statku.

Uśmiechnął się ponuro.

— Jak wiesz mój stan ulega na przemian poprawie i pogorszeniu. Trochę udawałem.

— Dobry Jezu, oszukałeś mnie — rzekłem cicho.

— Musiałem pomóc sir Edwardowi. Zniósł wielkie tortury, aby zachować w sekrecie pewne sprawy, które mnie dotyczyły.

— Zatem od początku wiedział. — Przerwałem. — Wiedział, kim naprawdę jesteś.

Milczeliśmy przez dłuższą chwilę. Deszcz uderzał gwałtownie o szyby. Żałowałem, że Barak jeszcze nie wrócił.

— Czego się o mnie dowiedziałeś, Matthew? — spytał w końcu Giles.

— Dziś po południu próbowałem odgadnąć, dlaczego mnie okłamałeś, napadłeś i zdradziłeś. Kluczem do rozwiązania tej zagadki było wyznanie Edwarda Blaybourne'a. Poznałeś starego Swanna w bibliotece w Hull? Opowiedział mi starą legendę, że Blaybourne był prawdziwym ojcem króla Edwarda IV. Wybałuszył oczy.

— Sądziłem, że wszyscy, którzy o tym słyszeli, już dawno nie żyją.

— Swann był zaiste bardzo stary. Nie powiedziałem ci o tym, gdyż wiedza ta mogła być dla ciebie niebezpieczna. — Zaśmiałem się z goryczą. — Lecz ty już o wszystkim wiedziałeś. Lepiej niż ktokolwiek inny.

Giles wyprostował się, a w jego niebiskich oczach mignął groźny błysk.

— Tak, wiedza jest dla ciebie niebezpieczna, Matthew. Uwierz mi i nie zadawaj więcej pytań. Wycofaj się, póki jeszcze możesz. Pomóż mi opuścić twój dom. Nigdy więcej mnie nie ujrzysz.

— Za późno już na to.

Zacisnął usta, widząc, że kontynuuję.

— Pamiętam grób twoich rodziców w Howlme. Zostałem pobłogosławiony dobrą pamięcią, Gilesie. Pobłogosławiony lub przeklęty. Twój ojciec, którego jakoby przypominasz, miał na imię Edward. Na nagrobku dostrzegłem datę jego urodzin, rok tysiąc czterysta dwudziesty pierwszy. Miał niemal pięćdziesiąt lat, gdy przyszedłeś na świat. Byłeś dzieckiem jego starości. Mógł być wystarczająco dojrzały w roku tysiąc czterysta czterdziestym drugim, kiedy na świat przyszedł król Edward IV. Sądzę, że Edward Blaybourne był twoim ojcem.

— Tak — odrzekł zwyczajnie Giles. — Król Edward IV to mój starszy brat przyrodni. Henryk VIII jest wnukiem mojego brata. Kiedy zobaczyłem go w Fulford, gdy ujrzałem jego nikczemną twarz i poczułem ohydnych zapach, wiedziałem, że jest Mould-warpem. Zrobiło mi się słabo na myśl, że z tą kreaturą łączą mnie więzy krwi. To fałszywy król, jego ojciec był synem łucznika.

— Kiedy się dowiedziałeś?

— Powiem ci, Matthew. — Mówił spokojnie, choć jego oczy płonęły. — Może wówczas mi przebaczysz, że nadużyłem twojej przyjaźni. Zrozumiesz, że to, com uczynił, było słuszne.

— Opowiadaj. — Mój głos stał się chłodny i ostry.

— Miałem szczęśliwe dzieciństwo, tak jak ci rzekłem owego wieczoru w kościele w Howlme. Wiedziałem, że mój ojciec przybył w te strony wiele lat przed moim urodzeniem. Wyobrażam sobie, że był mężczyzną podobnym do młodego Leacona. Wysokim i silnym, uczciwym i przystojnym. Nie wspominał, skąd pochodzi, ograniczał się do stwierdzenia, że nie był z Yorkshire. Nigdy nie zastanawiałem się nad tym, że mógł przyjąć nazwisko Wrenne.

— Łatwo przyjąć nowe nazwisko w nowym miejscu.

— Zaraz po tym, jak przybył do Howlme i nabył gospodarstwo, poślubił miejscową kobietę. Kiedy mieli po czterdzieści lat, jego żona zmarła na suchoty. Ludzie często chorują na suchoty na tych mokradłach. Rok później poślubił moją matkę. Byłem ich jedynym dzieckiem. — Wziął kawałek chleba i począł go ugniatać wielkimi palcami. — Kiedy ukończyłem szesnasty rok, udałem się do Londynu, aby rozpocząć studia prawnicze. Dwanaście miesięcy później przyjechałem do domu na święta Bożego Narodzenia. Był to rok tysiąc czterysta pięćdziesiąty ósmy. Cztery lat przed bitwą pod Bosworth, kiedy to ojciec przyszłego króla Henryka VIII pokonał Ryszarda III. Znalazłem ojca na łożu śmierci. — Na chwilę ściszył głos. — Powiedział mi, że pierwszy raz wyczuł guz rok wcześniej. Stopniowo stawał się coraz bardziej słaby i chory. — Położył odruchowo rękę na własnym brzuchu. — Medyk rzekł mu, że nie można nic uczynić, że musi się szykować na śmierć. Żałowałem, iż nie powiedział mi wcześniej o chorobie, lecz podobnie jak twój ojciec nie chciał wprowadzać zamętu do mojego nowego życia w dalekim Londynie. Pamiętam noc, w którą wezwał mnie do swego łoża. Jego życie dobiegało kresu. Ogromne, silne ciało skurczyło się niemal o połowę. Teraz podążam za nim tą samą drogą — Spojrzał na resztki małego bochenka, który pokruszył. — Była spokojna noc. Na ziemi leżała gruba warstwa śniegu, wszystko spowijała cisza. Wtedy to zdradził mi tajemnicę, którą ukrywał przez ponad czterdzieści lat. Chciał podyktować mi wyznanie. Chcesz, abym ci powiedział, co zawierało? — Mówiąc to, sięgnął do kieszeni, za pazuchę kaftana, aby coś wyciągnąć. Spojrzał na mnie twardo, widząc, że go obserwuję.

— Tak, opowiedz mi — rzekłem.

— Stoi w nim, że przyszedł na świat jako Edward Blaybourne, w ubogiej rodzinie Blaybourne'ów z Kentu. Podobnie jak wielu jego rówieśników wstąpił do służby królewskiej jako łucznik. Był to końcowy okres wojen z Francją. Joanna d'Arc spłonęła na stosie i cały naród zwrócił się przeciwko nam. W roku tysiąc czterysta czterdziestym pierwszym ojca wysłano na służbę do garnizonu stacjonującego w Rouen. Księżę Yorku, który dowodził wówczas kampanią, walczył gdzieś w kraju, ojciec zaś został przydzielony do osobistej straży księżniczki.

— Cecily Neville.

— Tak. Księżniczka była młoda i samotna, wylękniona w obcym, nieprzyjaznym kraju. Zaprzyjaźniła się z ojcem i pewnej nocy skończyli w jej łożu. Spędzili razem tylko jedną noc, to jednak wystarczyło, aby się stała brzemienna. Kiedy odkryła, że jest w ciąży, postanowiła udawać,

że poczęła przed wyjazdem męża, a dziecko narodziło się po terminie. Mogła kazać zabić mojego ojca, lecz zamiast tego odesłała go z pieniędzmi, które pozwoliły mu na rozpoczęcie nowego życia. Umieściła monety w ozdobnej drewnianej szkatule na kosztowności...

— Skrzynka...

— Tak. Dała mu też swój szmaragdowy pierścień. Ojciec zawsze go nosił i przekazał mnie tamtej nocy. Od tego czasu się z nim nie rozstaję.

Przerwał na chwilę. Krople deszczu bębniły o szyby tak, jakby ulewa chciała się wedrzeć do środka.

— Czemu Cecily Neville nie powołała twojego ojca na świadka, kiedy w roku tysiąc czterysta osiemdziesiątym trzecim ujawniła prawdę?

— Nie miała pojęcia, gdzie przebywa. Ojciec dowiedział się o wszystkim wiele miesięcy później. — Giles westchnął ponownie. — Owa noc sprawiła, że ojciec doświadczał nieustannej duchowej agonii. Przez całe życie miał świadomość, iż dopuścił się strasznego grzechu, w którego rezultacie tron objął człowiek pozbawiony takiego prawa. Znakomicie ukrywał te uczucia pod płaszczykiem rubasznosci, czego się od niego nauczyłem. Kiedy zmarł jego syn, król Edward, i tron objął Ryszard Trzeci, nie krył radości, gdyż był on prawdziwym synem Cecily Neville i Richarda, księcia Yorku, z racji królewskiej krwi miał też prawo do objęcia tronu. Później Ryszard został obalony przez Henryka Tudora. W jego żyłach nie było prawie wcale królewskiej krwi, dlatego poślubił córkę Edwarda Czwartego, aby wzmocnić swoje prawa.- »

— To prawda, Henryk Siódmy zaślubił Elżbietę z Yorku, matkę Henryka Ósmego, która w rzeczywistości była wnuczką Edwarda Blaybourne'a.

— Była moją siostrzenicą, a księżęta uwięzieni w Tower mymi siostrzeńcami, nie zaś siostrzeńcami króla Ryszarda. Tym sposobem, jak na ironię, Henryk Siódmy nie wzmocnił roszczeń swojego rodu, lecz je osłabił ponad wszelką miarę. Ojciec przeżył to bardzo boleśnie. Uważał, że straszna choroba, której doświadczył, była karą boską. — Wrenne odetchnął głęboko. — Kazał mi owej nocy przysiąc na Biblię, że jeśli nadejdzie sprzyjająca chwila, użyję jego wyznania, aby pomóc królewskiej linii w odzyskaniu tronu.

— Mimo to czekałeś pięćdziesiąt lat.

— Tak! — Przytaknął z nieoczekiwaną gwałtownością, pochylając się do przodu. — Tak! Niczego nie uczyniłem, przyglądając się, jak Tudorzy niszczą Yorkshire. Patrzyłem, jak obecny król, ów Mouldwarp, którym jest w istocie, pozbawia ziemi i stanowisk stare czcigodne rody Yorkshire, zastępując ich łotrami w rodzaju Maleverera. Przyglądałem się, jak niszczy opactwa, łamie naszą wiarę. Stałem z boku, gdy rabowano ziemię należącą do ludu. Byłem biernym obserwatorem, albowiem przynajmniej początkowo nie dawałem wiary opowieści ojca!

Wielki żar, z jakim przemawiał, przekonał mnie, że czuł się winny wobec ojca znacznie bardziej niż ja.

— Początkowo nie potrafiłem uwierzyć w tak fantastyczną opowieść, postanowiłem jednak odkryć prawdę, przewertować stare, zakazane dokumenty, aby upewnić się, czy jest uzasadniona.

Zabrało mi to wiele lat, wiele lat badania starych ksiąg, rękopisów i rycin. Niektóre z nich były zakazane.

- Dlatego zostałeś antykwariuszem i zgromadziłeś tak wspaniałą bibliotekę?
- Tak, odkryłem też, że miłuję księgi dla nich samych. W końcu stało się to moją pasją zamiast życiową misją. Trudne to było zadanie, gdyż Tudorzy ukryli w Yorkshire wszelkie ślady swojego pochodzenia.
- Wiedzieli o tym od początku, prawda? Czy król jest świadom, że nie ma praw do tronu?
- Oczywiście, król i jego ojciec zawsze o tym wiedzieli.

Mimo to byli pewni, że są uprawnieni, aby go zachować. Ludzie sprawujący władzę nie oddają jej z własnej woli, a ten król dzierży zaiste wielką władzę. — Zamilkł, by po chwili ciągnąć nieco spokojniej. — Badałem tę sprawę przez długie lata. Udałem się do Blaybourne, na grób dziadków. Słuchałem miejscowych, którzy przemawiali z takim samym akcentem jak ojciec. Jednak dopiero dziesięć lat temu natknąłem się na kopię Titulus Regulus w skrzyni z porzuconymi dokumentami, którą znalazłem w Minsterze w Yorku. Później odnalazłem portret Cecyli Neville w jednym z domów należących do rodu Percy. Nabyłem go, choć musiałem nań wydać cały roczny dochód. Ukryłem go w mej bibliotece. Ukazano ją siedzącą przy stole, trzymającą przed sobą drewnianą szkatułę na klejnoty — szkatułę, którą mój ojciec przechowywał do końca swych dni, a która jest obecnie u Maleverera. Na jej palcu widniał ten pierścień. — Uniósł rękę, a na jego palcu błysnął szmaragd. — Wówczas to zacząłem odbywać podróże do Londynu. Odnalazłem, podobnie jak ty w Hull, ludzi, którzy pamiętali, jak po śmierci Edwarda Czwartego Cecyli Neville ogłosiła, że był on synem łuczownika i że to Ryszard Trzeci, a nie młodszy syn króla Edwarda, jest prawowitym królem. Musiałem działać bardzo ostrożnie, lecz złoto rozwiązywało ludziom usta. W końcu dysponowałem kilkoma pisemnymi zeznaniami złożonymi pod przysięgą. — Jego dłoń ponownie odruchowo powędrowała za kaftan. — Po pewnym czasie zgromadziłem wystarczającą liczbę dowodów. Może to dobrze, że nie mieliśmy z żoną dzieci, w przeciwnym razie nie byłoby mnie stać na łapówki, na zakup dokumentów i obrazów.

- Mimo to pozostawiłeś mi swoją bibliotekę. A może był to kolejny podstęp, by zyskać moją przyjaźń?

Na jego twarzy pojawił się grymas.

- Nie, podarowałem ci ją ze szczerzej przyjaźni. Pewni ludzie usuną z niej niebezpieczne przedmioty, zanim przejdzie w twoje ręce.
- Powiedziałeś „zanim przejdzie w twoje ręce”, a zatem będę żył. Obawiałem się, że zamierzasz mnie zabić.

Przeszył mnie wzrokiem.

- Chciałbym, abys był po naszej stronie, Matthew. Czuję, że już po niej jesteś. Wiem, że poznałeś króla takiego, jaki jest

Mimo to byli pewni, że są uprawnieni, aby go zachować. Ludzie sprawujący władzę nie oddają jej z własnej woli, a ten król dzierży zaiste wielką władzę. — Zamilkł, by po chwili ciągnąć nieco spokojniej. — Badałem tę sprawę przez długie lata. Udałem się do Blaybourne, na grób dziadków. Słuchałem miejscowych, którzy przemawiali z takim samym akcentem jak ojciec. Jednak dopiero dziesięć lat temu natknąłem się na kopię Titulus Regulus w skrzyni z porzuconymi dokumentami, którą znalazłem w Minsterze w Yorku. Później odnalazłem portret Cecily Neville w jednym z domów należących do rodu Percy. Nabyłem go, choć musiałem nań wydać cały roczny dochód. Ukryłem go w mej bibliotece. Ukazano ją siedzącą przy stole, trzymającą przed sobą drewnianą szkatułę na klejnoty — szkatułę, którą mój ojciec przechowywał do końca swych dni, a która jest obecnie u Maleverera. Na jej palcu widniał ten pierścień. — Uniósł rękę, a na jego palcu błysnął szmaragd. — Wówczas to zacząłem odbywać podróże do Londynu. Odnalazłem, podobnie jak ty w Hull, ludzi, którzy pamiętali, jak po śmierci Edwarda Czwartego Cecily Neville ogłosiła, że był on synem łuczownika i że to Ryszard Trzeci, a nie młodszy syn króla Edwarda, jest prawowitym królem. Musiałem działać bardzo ostrożnie, lecz złoto rozwiązywało ludziom usta. W końcu dysponowałem kilkoma pisemnymi zeznaniami złożonymi pod przysięgą. — Jego dłoń ponownie odruchowo powędrowała za kaftan. — Po pewnym czasie zgromadziłem wystarczającą liczbę dowodów. Może to dobrze, że nie mieliśmy z żoną dzieci, w przeciwnym razie nie byłoby mnie stać na łapówki, na zakup dokumentów i obrazów.

— Mimo to pozostawiłeś mi swoją bibliotekę. A może był to kolejny podstęp, by zyskać moją przyjaźń?

Na jego twarzy pojawił się grymas.

— Nie, podarowałem ci ją ze szczerej przyjaźni. Pewni ludzie usuną z niej niebezpieczne przedmioty, zanim przejdzie w twoje ręce.

— Powiedziałeś „zanim przejdzie w twoje ręce”, a zatem będę żył. Obawiałem się, że zamierzasz mnie zabić.

Przeszył mnie wzrokiem.

— Chciałbym, abys był po naszej stronie, Matthew. Czuję, że już po niej jesteś. Wiem, że poznałeś króla takiego, jaki jest naprawdę. Widziałeś jego okrucieństwa na północy, widziałeś, co uczynił całej Anglii.

— Dlaczego czekałeś tak długo, Gilesie?

Westchnął.

— Zaiste, minęło wiele lat. Nic nie robiłem ukontentowany swoim życiem. Były to spokojne czasy, zanim król poślubił tę wiedźmę Annę Boleyn i zakazał praktykowania prawdziwej wiary, z każdym rokiem coraz bardziej obciążając nas podatkami i uciskając. Kiedyś lud kochał Henryka. Ujawnienie tego, com wiedział, ściągnęłoby jedynie srogą karę i śmierć, nie zyskałoby powszechnego poparcia. Nie byłem pewny, czy mam prawo zachwiać tronem Anglii, która była wówczas pogrążona w spokoju, nie chciałem też wywoływać rozlewu krwi. Ojciec zobowiązał mnie do podjęcia działań, gdy uznam, że czas jest właściwy. — Twarz mu spochmurniała. — Może

wyływało to z lenistwa, z radowania się dostatnim żywotem wieku średniego? Może musiałem spojrzeć śmierci w oczy, zanim zdobyłem się na odwagę?

— Później na północy wybuchła rebelia. Nadszedł czas Pielgrzymki Łaski.

— Tak, lecz ja nadal niczego nie uczyniłem. Czuję wstyd z tego powodu. Sądziłem, że rebelianci zwyciężą, pojmujesz. Myślałem, że władza króla zostanie złamana, że ujawnię prawdę dopiero wówczas, gdy to będzie bezpieczne. Jak wiesz, w roku tysiąc pięćset trzydziestym szóstym król obiecał rozmowy. Złamał jednak dane słowo i wysłał armię, która spustoszyła północ ogniem i mieczem. Sam widziałeś, co uczynił z Robertem Askim. Do Rady Północy weszli informatorzy i sługusy Cromwella, ci nadzorowali niszczenie klasztorów i wyprzedaż ziemi londyńskim kupcom, którzy zaczęli pobierać rentę dzierżawną, wpędzając ludność Yorkshire w głód. Wówczas to w końcu zdecydowałem się podjąć działania, ujawnić innym, co wiem. Wtedy też zaczęła się choroba i nie miałem nic do stracenia. Zebrałem się na odwagę i podjąłem decyzję.

— Przyłączyłeś się do spiskowców.

— Tak, nawiązałem pewne kontakty w Yorku. Powiedziałem im o swojej tajemnicy i przedstawiłem dokumenty. Byli gotowi do obalenia króla. Ponieważ wszędzie węszyli królewscy szpie-dzy, zdecydowano, że mam siedzieć cicho, czekając, aż Yorkshire powstanie i razem ze Szkotami wyruszy przeciw południu. Wówczas nadszedłby czas sprzyjający ujawnieniu prawdy o pochodzeniu króla Henryka, co zapewne doprowadziłoby do jego obalenia. Dokumenty przekazano mistrzowi Oldroydowi, żeby były bezpieczne i żeby związać mnie nieodwołalnie ze spiskowcami.

— Zostaliście jednak zdradzeni. ,

— Tak, wśród nas był informator. Nie wiemy kto. Po aresztowaniu i torturach któryś z przywódców musiał wyznać na mękach, że istnieje skrzynka z dokumentami potwierdzającymi, że Edward Blaybourne był prawdziwym ojcem Edwarda Czwartego. Ktokolwiek to uczynił, nie wiedział o moim istnieniu. Kto podejrzewałby zresztą szanowanego, starego prawnika? Jednak Broderick wiedział. To on przybył do mnie z poleceniem zawiezienia owych dokumentów do Londynu i skontaktowania się z ludźmi sprzyjającymi spiskowcom. Nie podał mi nazwisk, lecz sądzę, że muszę ich szukać wśród członków Gray's Inn.

— Broderick nie żyje.

— W Londynie są inni. Muszę ich odnaleźć przed śmiercią. To moje ostatnie zadanie.

— Musiałeś żyć w ciągłym strachu, że Broderick zacznie mówić.

— Wiedziałem, że był znacznie odważniejszy ode mnie. Trzeba by najstraszniejszych tortur, aby zmusić go do mówienia. Musiałem mu pomóc w popełnieniu samobójstwa. Nie wstydzę się tego. Byłoby mi wstyd, gdybym niczego nie uczynił, gdybym pomógł utrzymać go przy życiu wbrew jego woli. Byłem zaszokowany, kiedy wyznałeś, że Cranmer powierzył ci to zadanie.

— Może miałeś do tego prawo — rzekłem wolno.

Wrenne zmrużył oczy, odchylając się do tyłu na krześle.

— Oto moja opowieść, Matthew. Niczego nie żałuję. Uwierz mi, że nie chciałem cię zabić w King's Manor. Zamierzałem cię jedynie ogłuszyć, jak Radwintera. Czasami trzeba czynić rzeczy przykre dla osiągnięcia wyższego celu. Nie chciałem cię też oszukiwać. Nieraz nad tym bolałem.

Przeszedł mnie zimny dreszcz, po którym nastąpiła fala gorąca. Poczułem, że na czoło występuje mi pot. Zacząłem gorączkować. Zdecydowano, że mam siedzieć cicho, czekając, aż Yorkshire powstanie i razem ze Szkotami wyruszy przeciw południu. Wówczas nadszedłby czas sprzyjający ujawnieniu prawdy o pochodzeniu króla Henryka, co zapewne doprowadziłoby do jego obalenia. Dokumenty przekazano mistrzowi Oldroydowi, żeby były bezpieczne i żeby związać mnie nieodwołalnie ze spiskowcami.

— Zostaliście jednak zdradzeni.

— Tak, wśród nas był informator. Nie wiemy kto. Po aresztowaniu i torturach któryś z przywódców musiał wyznać na mękach, że istnieje skrzynka z dokumentami potwierdzającymi, że Edward Blaybourne był prawdziwym ojcem Edwarda Czwartego. Ktokolwiek to uczynił, nie widział o moim istnieniu. Kto podejrzewałby zresztą szanowanego, starego prawnika? Jednak Broderick wiedział. To on przybył do mnie z poleceniem zawiezienia owych dokumentów do Londynu i skontaktowania się z ludźmi sprzyjającymi spiskowcom. Nie podał mi nazwisk, lecz sądzę, że muszę ich szukać wśród członków Gray's Inn.

— Broderick nie żyje.

— W Londynie są inni. Muszę ich odnaleźć przed śmiercią. To moje ostatnie zadanie.

— Musiałeś żyć w ciągłym strachu, że Broderick zacznie mówić.

— Wiedziałem, że był znacznie odważniejszy ode mnie. Trzeba by najstraszniejszych tortur, aby zmusić go do mówienia. Musiałem mu pomóc w popełnieniu samobójstwa. Nie wstydzę się tego. Byłoby mi wstyd, gdybym niczego nie uczynił, gdybym pomógł utrzymać go przy życiu wbrew jego woli. Byłem zaszokowany, kiedy wyznałeś, że Cranmer powierzył ci to zadanie.

— Może miałeś do tego prawo — rzekłem wolno.

Wrenne zmrużył oczy, odchylając się do tyłu na krześle.

— Oto moja opowieść, Matthew. Niczego nie żałuję. Uwierz mi, że nie chciałem cię zabić w King's Manor. Zamierzałem cię jedynie ogłuszyć, jak Radwintera. Czasami trzeba czynić rzeczy przykre dla osiągnięcia wyższego celu. Nie chciałem cię też oszukiwać. Nieraz nad tym bolałem.

Przeszedł mnie zimny dreszcz, po którym nastąpiła fala gorąca. Poczułem, że na czoło występuje mi pot. Zacząłem gorączkować. — Dla wyższego celu — powtórzyłem. — Dla obalenia króla.

— Widziałeś go, widziałeś, co czyni w Yorkshire. Wiesz, że Henryk jest Mouldwarpem, srogim tyranem, ucieleśnieniem okrucieństwa i mroku.

Poczułem silne uderzenie deszczu, jakby przelała się rynna.

— Tak — przytaknąłem. — Henryk jest potworem. — Potarłem nadgarstek, na który ponownie zsunęła się obręcz.

— Nie jest prawowitym królem ani nawet pretendentem do tronu, nie był nim też jego ojciec. W jego żyłach nie ma krwi pomazańca bożego.

— Może kilka kropel ze strony Tudorów, lecz ani jednej ze strony rodu Yorków. Co do tego również masz rację.

Poklepał się po kieszeni.

— Mam tu dokumenty. Jutro zaniosę je do miasta. Odnajdę człowieka, którego szukam. Każę je wydrukować i rozwiesić po całym Londynie. W połączeniu z aresztowaniem królowej wywołają wielką falę niezadowolenia. Czy możesz sobie wyobrazić lepszy czas na rozpoczęcie rebelii?

— To twoja ostatnia szansa.

— Przyłącz się do mnie, Matthew. Stań się jednym z nas. Przyśpieszmy zaranie nowej ery.

— Nie — odparłem cicho.

— Pamiętaj, jak Henryk wyszydził cię w Fulford? Bezinteresowne okrucieństwo, o którym ludzie będą potajemnie plotkować do końca twojego życia?

— Idzie o coś więcej niż moje uczucia. Kogo uczynisz królem w miejsce Henryka? — spytałem cicho. — Jedyny przedstawiciel rodu Clarence'ów, jeśli jeszcze żyje, jest kobietą. Prawo nie mówi jasno, czy niewiasta może odziedziczyć tron. Ludzie nie zechcą opowiedzieć się po stronie małej dziewczynki.

— Zaproponujemy stanowisko regenta kolejnemu z żyjących przedstawicieli rodu Clarence'ów, kardynałowi Pole'owi.

— Biskupowi opowiadającemu się po stronie papieża?

— Papież pozwoli mu zrzec się urzędu, aby mógł objąć tron. Przyłącz się do mnie, Matthew — powtórzył żarliwie. — Obalmy tyranów i sępy.

— A Cranmer?

— Pójdzie na stos — rzekł bez wahania. — Nie — odmówiłem ponownie.

Przez chwilę sprawiał wrażenie przybitego, a później jego spojrzenie stało się ponownie wyrachowane. Byłem ciekaw, co zamierza uczynić? Potrzebowałem Baraka, aby siłą zatrzymał Gilesa Wrenne'a w moim domu.

— Nadal sprzyjasz sprawie reform? — zapytał. — Sprzeciwiasz się przywróceniu starej religii?

— Nie, nie opowiadam się po żadnej ze stron. Zbyt dobrze znam jednych i drugich. Jestem przeciwny, albowiem przekonanie o słuszności własnej sprawy czyni cię ślepym na to, co się wydarzy. Wątpię, czy rebelia, którą wzniesiesz, zakończy się powodzeniem. Z pewnością jednak doprowadzi do rozlewu krwi, anarchii, do podziału kraju na protestanckie południe i katolicką północ. Kobiety zostaną wdowami, dzieci sierotami, a ziemia będzie leżała odłogiem. Szykujesz Anglii nową wojnę Dwóch Róż. — Potrząsnąłem głową. — Papiści i zwolennicy reform są tacy sami. Sądzicie, że znacie najświętszą prawdę," że jeśli kraj będzie rządony zgodnie z jej zasadami

wszyscy ludzie staną się dobrzy i szczęśliwi. To ułuda. Z takich zawirowań zawsze korzystają jedynie ludzie w rodzaju Maleverera, prostaczkowie zaś nadal zanoszą modły do nieba o sprawiedliwość.

— Przywrócimy przynajmniej prawdziwą wiarę — rzekł z nieoczekiwaną, chłodną gwałtownością. — Prawdziwą wiarę i prawowitego króla.

— A Cranmer pójdzie na stos. I ilu jeszcze? Nawet jeśli zwyciężysz, stworzysz świat będący zwierciadlanym odbiciem istniejącego, może nawet gorszy od niego.

— Powiniennem się tego domyślić. — Wrenne westchnął głęboko. — Nie jesteś człowiekiem wiary. Czy wiedza o tym, że obecny król nie jest prawowitym władcą, nic dla ciebie nie znaczy? — Jego ton stał się niemal błagalny.

— Nie uważam, aby był to wystarczający powód do pogrążenia Anglii w morzu ognia i krwi. Nie, to za mało.

— W takim razie pozwól mi odejść w pokoju. Nie będę cię więcej niepokoił. Wrócisz do dawnego spokojnego życia. — W jego głosie pojawiła się nutka gniewnej goryczy.

— Pozwolę ci odejść, jeśli oddasz mi owe dokumenty.

Odchylił się do tyłu, spuszczać oczy. Zastanawiał się, corobić. Wiedziałem, że tego nie uczyni, zaszedł już bowiem za daleko.

Spojrzał na mnie ponownie z gniewem, lecz przemówił spokojnie:

— Nie zmuszaj mnie, abym to uczynił, Matthew. Nie mogę ci ich zwrócić. Tyle czasu zajęło mi...

— Nie przyłączę się do was.

Wówczas wykonał coś, czego się spodziewałem, choć nie sądziłem, że potrafi to uczynić tak szybko. Skoczył na równe nogi, chwycił miskę z zupą i chlusnął mi nią w twarz, wydając ryk pełen furii i żalu. Krzyknąłem i poderwałem się z miejsca. Na wpół oślepiony chwyciłem Gilesa, lecz on wyrwał się i wybiegł na korytarz. Usłyszałem jego ciężkie kroki i przekleństwo, gdy próbował otworzyć drzwi frontowe. Zawrócił, ciężko dysząc, i ruszył do drzwi wychodzących na ogród. Poczuję powiew chłodnego powietrza, gdy je otworzył.

Wpadłem do holu. Drzwi do ogrodu stały otworem. W ciemności widać było jedynie ścianę deszczu. Oprócz odgłosów ulewy wokół panowała całkowita cisza. Joan musiała spać w swoim pokoju we frontowej części domu. Wyszedłem w mrok, czując na twarzy krople deszczu.

Rozdział czterdziesty ósmy

Za drzwiami panował mrok. W świetle padającym z okien salonu widać było jedynie strugi deszczu oraz ciemne kształty krzewów i drzew. Chociaż czułem pieczenie twarzy, zupa mnie nie poparzyła. Stałem chwilę, czekając, aż skóra się ochłodzi. Namacałem ręką sztylet, dobyłem go z pochwy i ponownie zadrzałem.

— Gilesie! — zawołałem. — Jesteś w pułapce! W ogrodzie jest jedynie brama wiodąca do sadu, a furtę do Lincoln's Inn zamykają na noc! Poddaj się! Nie uciekniesz. — W odpowiedzi usłyszałem jedynie nieprzerwany szum wody

— Zmituj się, człowieku! — krzyknąłem. — Wracaj do domu!

Pomyślałem, że mógłbym czekać w drzwiach do powrotu Baraka. A jeśli Wrenne zdołałby się wspiąć na mur? Chociaż stary i chory, był zdesperowany. Nie mogłem pozwolić, aby uciekł z dokumentami. Wszedłem do ogrodu.

Prawie nic nie widziałem. Trzymałem się tej części ogrodu, która była oświetlona słabym światłem padającym z okien i drzwi, bacząc, aby Giles nie rzucił się na mnie w ciemności. Chociaż deszcz nieco osłabł, mrok był nieprzenikniony. Potknąłem się i omal nie uderzyłem głową o gałąź. Ruszyłem na tył ogrodu, z chlupotem brnąłem w błocie, które im bliżej bramy prowadzącej do sadu, tym było gęstsze. Tak jak się obawiałem, woda zaczęła przesiąkać pod murem. Furta była otwarta. Duże ślady stóp wskazywały, że Giles nią wyszedł. Widząc, że klucz jest w zamku, pchnąłem ją i zamknąłem za sobą, wsunąłem klucz do kieszeni i oparłem się plecami o deski, lustrując okolicę. Ponownie przeszedł mnie zimny dreszcz.

Podniosłem głowę i ujrzałem słabe promienie księżyca przenikające przez sunące po niebie obłoki. Mimo księżycowej poświaty nie dostrzegłem nic więcej prócz czarnego błota.

— Gilesie! — zawołałem ponownie. — Gilesie! Jestem uzbrojony! Nie uciekniesz! — Spojrzałem na wysoki mur oddzielający sad od terenu Lincoln's Inn. Nie, Wrenne nie zdoła go przesadzić. Był tu gdzieś obok mnie.

Chmury rozdzieliły się na chwilę i na niebie ukazała się pełna tarcza księżyca, odślaniając błoto upstrzone wypełnionymi wodą otworami w miejscu, gdzie kiedyś znajdowały się drzewa. Z moim murem graniczyła teraz sadzawka szerokości trzydziestu stóp, na której w świetle księżyca tańczyły kropelki deszczu.

Później odniosłem wrażenie, że coś dostrzegłem. Pochyliłem się do przodu, wpatrując w ciemny kształt pośród błota, nieopodal sadzawki. Zaciśnąłem dłoń na sztylcie i ruszyłem powoli jego stronę. Moje buty zatapiały się głęboko w gęstej mazi, wydając głośnie mlaskanie. Kształt się nie poruszył. Czyżby Wrenne się przewrócił? Czy wysiłek okazał się dlań zbyt duży? Sięgnąłem ku mrocznej postaci i ostrożnie się nad nią pochyliłem gotów odskoczyć w każdej chwili. Gdybym musiał, nie zawahałbym się go dźgnąć. Po chwili gniewnie zgrzytnąłem zębami, ujrzałem bowiem nierówną korę i zdałem sobie sprawę, że patrzę na kłodę pogrążoną do połowy w błocie.

Uderzył mnie od tyłu. Był tak ciężki, że runąłem na ziemię, wypuszczając sztylet. Padając w błoto, wydałem stłumiony okrzyk. Przycisnął mnie kolanem, szukając broni w ciemności. Zatem był gotów mnie zabić. Wierżnąłem i uniosłem tułów, aby go przewrócić. Osunął się na bok. Skoczyłem na nogi, widząc, jak powoli się podnosi. Spostrzegłem, że trzyma w dłoni sztylet. Nie widziałem wyrazu jego twarzy, gdyż była pokryta błotem. Miałem przed sobą jedynie ciemny krąg z dwiema błyszczącymi źrenicami.

— Zmituj się, Gilesie — wysapałem. — Oddaj te przekłete papiery. Nie możemy tak skończyć.

- Musimy. — Przystąpił do przodu, rozkładając szerokodłonie. W jego prawicy błyskał sztylet.
- Będziemy musieli, jeśli nie puścisz mnie wolno. Błagam, Matthew, pozwól mi odejść.

Nagle się na mnie rzucił. Odskoczyłem, zadając cios obręczą zaciśniętą na nadgarstku. Trafiłem go w bok głowy. Jęknął i wypuścił broń. Musiałem go prawie ogłuszyć, albowiem zachwiał się i z pluskiem wpadł do bajora. Podniósł się i usiadł. Mroczna postać do pasa zanurzona w wodzie. Wtedy chmury ponownie zasłoniły księżyc, pogrążając nas w ciemnościach. Deszcz znowu zaczął padać.

Rzuciłem się na niego, zanim zdążył się podnieść. Teraz to Giles szamotał się i walczył pode mną. Wyczułem, że jego opór słabnie, gdy zacisnąłem mu dłonie na szyi i wepchnąłem głowę pod wodę. Wiedziałem, że tylko jeden z nas wyjdzie cało z tego przekłętą trzęsawiska. Trzymałem jego głowę pod wodą, ingorując straszne jęki i gulgotanie.

Po chwili przestał stawiać opór, a jego ciało zwiotczało. Usłyszałem upiorny odgłos, gdy wciągał wodę do płuc, dźwięk, który do dziś słyszę w snach. Wykonał ostatni rozpaczliwy ruch i stał się bezwładny jak szmaciana lalka. Mimo to się nie poruszyłem. Zrozumiałem, że płaczę. Na moich policzkach ciepła woda mieszała się z zimną. Klęczałem przez kilka minut, zaciskając mu dłonie na szyi. Szlochałem w ciemności, a krople deszczu po mnie spływały.

Nie wiem, ile czasu minęło, zanim stanąłem na drżących nogach. Chociaż cały się trząsałem, pochyliłem się i przewróciłem Gilesa, aby leżał twarzą do dołu. Później wsunąłem dłonie pod powierzchnię wody, rozpiąłem jego przemoczoną szatę i pomacałem, szukając dokumentów. Wyczułem torbę — gruby plik papierów owinięty w impregnowaną skórę. Zabrałem je i powlokłem się do domu, nie patrząc za siebie.

Barak i Tamasin wrócili godzinę później, ociekając wodą, jako że w dalszym ciągu padało. Tamasin wyglądała na przygnębioną, jakby płakała. Siedziałem w salonie przy kominku. Dołożyłem polan do ognia i zamarłem nieruchomo z pogrzebaczem w dłoni, wpatrując się w ogień. Drżałem i pociełem się od gorączki, albowiem ogarnęły mnie dreszcze. Spojrzeli namnie z przerażeniem, ponieważ cały byłem ubłocony, a z mojego przemoczonego ubrania unosił się obłok pary.

- Na Boga, co się stało? — wykrzyknął Barak.

— Giles Wrenne nie żyje — rzekłem cicho. — Kiedyśmy jedli, stracił zmysły. Wybiegł na zewnątrz, wołając swojego siostrzeńca. — Spojrzałem w niebieskie oczy Tamasin. Starannie obmyśliłem tę bajeczkę, aby chronić ich i siebie. — Pobiegł do sadu. Ruszyłem w ślad za nim. Znalazłem go w bajorze błota, które urosło teraz do rozmiarów sadzawki. Musiał się przewrócić i utonąć.

Tamasin zasłoniła usta dłonią.

- Rozum mu odebrało?

— Choroba musiała mu się rzucić na umysł. Wieczorem przyniosłem mu złe wieści. Jego siostrzeniec Martin Dakin zmarł prawie dwa lata temu.

— Nieszczęsny staruszek — szepnęła Tamasin. Zrozumiałem, jak wiele miała współczucia. Dla Wrenne'a, dla Jennet Marlin i dla mnie, gdy siedzieliśmy pod czerwolistnym bukiem w Yorku.

— Gdzie jest? — spytał Barak.

— Zostawiłem go — odpowiedziałem. — Nie dałem rady go przynieść. Czuję, że jestem chory.

— Ustyszałem, że mój głos zaczyna się łamać.

— Pójdę zobaczyć — rzekł do Tamasin. — Poczekaj tutaj.

Uklęknęła obok mnie, przykładając do czoła chłodną dłoń.

— Macie gorączkę, panie. Powinniście pójść do łóżka.

— Uczynię to. Przepraszam cię, Tamasin.

— Za co?

— Za to jak cię czasami traktowałem.

Uśmiechnęła się słabo.

— Zasłużyłam na to swymi głupimi sztuczkami.

— Może i tak. Straciłem dziś przyjaciela — dodałem cicho.

Położyła rękę na mojej dłoni, którą nadal obejmowała żelazna

obręcz.

— Odnalezienie ślusarza zajęło nam z Jackiem dużo czasu. Przyjdzie jutro rano z narzędziami. Uwolni cię od tych przeklętych oków.

— To dobrze... dobrze. Dziękuję.

— Czy pani Woode śpi? — Tak, Joan niczego nie słyszała. Nie ma potrzeby jej budzić. — Spojrzałem na Tamasin. — Płakałaś.

— Jack odnalazł mojego ojca, panie. Tak jak rzekł, to profesjonalista. Pracuje w pałacowej kuchni jako kucharz. Jack powiedział, że ma o sobie wielkie mniemanie. Nie chce mnie znać. — Zaszlochała i przygryzła wargi, tamując łzy.

— Przykro mi, Tamasin.

— Miałam dziecinne fantazje. Dobrze, że poznałam prawdę.

— Racja, choć czasami prawda skazuje człowieka na samotność — odparłem, myśląc o Gilesie.

Siedzieliśmy kilka minut w milczeniu. Po jakimś czasie wrócił Barak, otrząsając krople deszczu z włosów. Rzucił mi podejrzliwe, a jednocześnie zatroskane spojrzenie.

— Mogłabyś zostawić nas chwilę samych, Tamasin? — spytał cicho.

Skinęła głową i wstała.

- Dobranoc, panie — rzekła cicho i wyszła z salonu. Spojrzałem na Baraka, który wyciągnął mój sztylet i położył go na stole.
- Znalazłem to na zewnątrz, obok bajora.
- Musiał mi wypaść.
- W miejscu, gdzie leżał, błoto było poruszone, jakby doszło do szamotaniny. — Pomyślałem, że wie. Odgadł, że śmierć Gilesa nie była wypadkiem.
- Jego twarz jest okropna, ma rozpaczliwe spojrzenie.

Byłem rad, że jej nie widziałem. Spojrzałem mu w oczy.

- Powiadomimy koronera o jego śmierci jutro z samego rana. Nie będzie żadnych wątpliwości. Giles utonął.

Barak spojrział na mnie, wziął głęboki oddech i wolno skinął głową. Sprawa była zamknięta.

- Tamasin powiedziała, że odnalazłeś jej ojca.
- Tak, okazało się, że jest kucharzem. Kiedy do niego poszedłem, rzekł, iż wszystkiemu zaprzeczy. Pomyślał, że Tamasin chce od niego pieniędzy. — Zaśmiał się ponuro. — Prawdziwy profesjonalista.
- Biedna dziewczyna.
- Tak, postanowiłem jej jednak powiedzieć. Lepiej wszak znać prawdę, nie uważasz? Popatrzyłem na sztylet.
- Być może.
- Da sobie radę, jest twarda. To jedna z cech, które w niej podziwiam.
- Waśnie rodowe i zabieganie o zaszczyty powodują mnóstwo problemów, nie sądzisz? — Zaśmiałem się gorzko, aby po chwili zadrzeć gwałtownie. Barak spojrział na mnie.
- Powinieneś się położyć. Koszmarnie wyglądasz.
- Dobrze, pomóż mi wstać.

Kiedy podszedł, poruszyłem polana pogrzebaczem, aby spłonął ostatni kawałek papieru. Dokumenty Gilesa pochłonął ogień, a imię Edwarda Blaybourne'a zniknęło na wieki.

Epilog

Luty 1542, trzy miesiące później

Stałem w oknie mojego pokoju w małej gospodzie, obserwując wschód słońca. Od tygodnia trzymał silny mróz i gdy nad horyzontem ukazała się krwawa tarcza, krajobraz przybrał różową, a następnie białą barwę. Trawę, drzewa i mały kościółek naprzeciw zajazdu pokrywał szron.

Byłem ciekaw, czy trzy dni wcześniej, w rano swojego ścięcia, królowa Katarzyna obserwowała mroźny wschód słońca z Tower. Thomas Culpeper i Francis Dereham zostali straceni w grudniu, lecz spełnienie wszystkich wymogów prawnych przedłużyło życie królowej o dwa miesiące. W Londynie powiadano, że była zbyt przerażona, aby o własnych siłach wejść na szafot. Trzeba ją było wciągać po stopniach. Nieszczęsna, mała istota musiała czuć się zziębnięta w Green Tower z głową i karkiem obnażonymi dla kata. Po niej głowę na pniu położyła lady Rochford. Po aresztowaniu wpadła w obłąd, król jednak wydał prawo umożliwiające wykonywanie egzekucji na obłąkanych. Mimo to ballady opowiadały, że u kresu swojego żywota Jane Rochford wzięła się w garść i wygłosiła mowę, w której przyznała się do grzechów i błędów, a następnie dzielnie stanęła przed katowskim pnem ociekającym jeszcze krwią królowej. Była to długa mowa, która znudziła zgromadzoną tłuszcę. Zapamiętałem ją z Yorku, pełną dziwnego pomieszania arogancji i lęku. Biedna niewiasta. Co ją skłaniało do nieustannych intryg, które w końcu doprowadziły ją do zguby? Miałem nadzieję, że w końcu ona i królowa znajdą spokój.

Razem z Barakiem opuściliśmy Londyn dzień po egzekucji. Podróż do Kentu upłynęła nam w chłodzie, choć mróz sprawił, że trakt był suchy i wieczorem dotarliśmy do Ashford. Kolejny dzień spędziliśmy na wertowaniu miejscowych archiwów. Z radością odnalazłem dokumenty potwierdzające roszczenia rodziców Leacona, byli prawowitymi właścicielami ziemi, która im została nadana. Podejrzywałem, że okoliczny właściciel zlecił sfałszowanie tego dokumentu i z niecierpliwością oczekiwałem na jutrzejsze spotkanie z jego prawnikiem w Ashford, w asyście młodego Leacona i jego rodziców. W ten sposób wygospodarowałem dzień wolny, który, jak rzekłem Barakowi, chciałem przeznaczyć na załatwienie pewnej prywatnej sprawy. Zostawiłem go w Ashford i po południu ruszyłem do wioski oddalonej dziesięć mil od miasteczka. Była to maleńka, biedna osada, jakich setki można znaleźć w tym rejonie Anglii. Wzdłuż traktu stało kilka chałup, gospoda i kościół.

Wyszedłem cicho na zewnątrz, otulając się peleryną tak szczelnie, jak to było możliwe, gdyż w ostatnim czasie straciłem na wadze. Schudłem z powodu gorączki, której nabawiłem się w listopadzie. Przeleżałem w łóżku trzy tygodnie. Przez pierwsze dni niespokojnie majaczyłem. Kiedy gorączka opadła, z rozbawieniem zauważyłem, że Joan i Tamasin kłóć się o to, która ma mi przynosić strawę.

Było bardzo zimno. Mój oddech zamieniał się w parę, gdy wchodziłem na teren małego kościoła, kierując się w stronę pobliskiego cmentarza. Stopy chrzęściły na ściętej mrozem trawie, gdym szedł między kamieniami, wypatrując grobu.

Znalazłem go w tylnej części cmentarza. W cieniu drzew, na skraju lasu, stał mały, nędzny kamień. Schyliłem się i przeczytałem ledwie widoczny, zarośnięty porostami napis: Na pamiątkę Gilesa Blaybourne'a 1390—1446 jego żony Elizabeth

1395—1444 i ich syna Edwarda poległego we Francji w służbie Koronie, w roku 1441

Stałem bez ruchu pogrążony w zadumie. Nie usłyszałem cichych kroków, więc podskoczyłem ze strachu na dźwięk ludzkiego głosu.

— Edward Blaybourne dał synowi imię po swoim ojcu. Giles.

Odwrociłem się i spostrzegłem uśmiechniętego Baraka.

— Na Boga, co tu robisz? — spytałem.

— Domyśliłem się, dokąd się udałeś. Nie było to trudne. Wyruszyłeś do miejsca oddalonego o niecały dzień drogi od Ashford. Pomyślałem, że celem twojej podróży musiała być wioska Braybourne. Wstałem przed świtem i oto jestem. Zostawiłem Sukey za kościołem.

— Przez ciebie omal nie dostałem zawału.

— Przepraszam — rzekł, rozglądając się wokół. — Skromne to miejsce, nieprawdaż?

— Zaiste — odparłem, patrząc na kamień nagrobny. — Nieszczęśni rodzice Blaybourne'a zmarli niedługo po jego zniknięciu. Cecily Neville musiała ogłosić, że poległ. — Nagle uderzyły mnie słowa, które wcześniej wypowiedział. — Zaczekaj! Wiedziłeś, że Giles Wrenne był synem Blaybourne'a?

— Domyśliłem się tego. Majaczyłeś o wielu rzeczach.

Wytrzeszczyłem oczy.

— O czym?

— Wołałeś, że Wrenne jest prawowitym królem Anglii i powinien zostać posadzony na wielkim tronie. Później płakałeś. Innym razem w obecności Tamasin majaczyłeś o dokumentach, które płoną w piekle. Pamiętam, że grzebałeś pogrzebaczem w kominku, gdy wróciliśmy owej nocy. Dodałem dwa do dwóch.

Spojrzałem na niego poważnie.

— Wiesz chyba, jak niebezpieczna jest ta wiedza.

Wzruszył ramionami.— Bez owych dokumentów nikt nie zdoła niczego dowieść. Spaliłeś je, prawda?

— Tak, nie chciałem ci o tym mówić. Pomyślałem, że lepiej, aby nikt nie odkrył prawdy.

Skinął wolno głową, a następnie spojrzał na mnie ponownie.

— Zabiłeś go, prawda? Zabiłeś Wrenne'a?

Przygryzłem wargi i głęboko westchnąłem.

— Będzie mnie to prześladować do śmierci.

— Uczyniłeś to w samoobronie. Nie miałeś wyboru.

— To prawda. — Westchnąłem ponownie. — Trzymałem mu głowę pod wodą, dopóki nie utonął. Później odwróciłem ciało, aby wyglądało, że sam się przewrócił i utopił. Tak go znalazłeś, Jack. Okazało się, że w jego brzuchu był ogromny guz. Koroner nie potrzebował niczego więcej.

— Komu Wrenne miał zamiar przekazać te dokumenty?

— Chciał poszukać sympatyków spisku w Londynie. Jak na ironię, jego pierwszym kontaktem był Bernard Locke.

— Domyślam się, że w Londynie nadal pozostali ludzie należący w spisku.

Wzruszyłem ramionami.

— Pewnie tak. Może dzięki swemu despotyzmowi i głupocie króla zyskają nowych zwolenników. A może nie. Tak czy siak, nie chcę mieć z tym nic wspólnego.

Staliśmy w milczeniu, patrząc na stary grób.

— Dlaczego tu przyjechałeś? — spytał. — Z ciekawości?

Zaśmiałem się ponuro.

— Kiedy gorączka minęła i dowiedziałem się, że Wrenne został pochowany w Londynie, a w pogrzebie uczestniczyłeś tylko ty, Tamasin i Joan, wpadłem na szalony pomysł ekshumowania ciała i przewiezienia go tutaj. Pewnie z poczucia winy. — Wskazałem na nagrobek. — W końcu byli jego dziadkami. I dziadkami króla Edwarda Czwartego — dodałem.

— Nie jesteś mu nic winien — rzekł Barak.

— Jak rzekłem, był to szalony pomysł. Pewnie nadal mającę.

— Nie powinieneś odczuwać winy z jego powodu — powiedział. — Ani z powodu ojca.

Skinąłem wolno głową.

— Nie powinienem. Masz rację. Spłaciłem jego dług i położyłem na grobie piękny marmurowy pomnik. Wkrótce go odwiedzę. Teraz dostrzegam, że zawsze byliśmy sobie obcy, zawsze oddzieleni. Zawsze tak było, dlatego nie powinienem odczuwać winy z tego powodu.

— Właśnie.

— Mimo to chciałem tutaj przyjechać. Zobaczyć to miejsce. Nadal nie mogę się pogodzić z tym, że Giles mnie okłamał i próbował zabić. To głupie. Przecież ludzie ciągle zdradzają jedni drugich i czynią to z powodów znacznie bardziej błahych.

— Co zrobisz z biblioteką?

— Nie mam pojęcia. — Odnaleźliśmy testament Wrenne'a wśród jego rzeczy. Oczywiście nie było w nim żadnego zapisu na rzecz zmarłego siostrzeńca. Zapisał wszystko Madge z wyjątkiem biblioteki, którą przekazał mnie tak, jak obiecał. — Nie chcę jej. Są tam jednak rzeczy, które powinny zostać zniszczone. Obraz, może kilka innych przedmiotów. — Spojrzałem na niego. — Mógłbyś się tym zająć? Pojechać do Yorku zamiast mnie teraz, gdy zima zbliża się do końca? Z listu adwokata' Madge wynika, że planuje pozostanie w domu.

Zrobił niezadowoloną minę.

— Chcesz, abym ponownie odwiedził wilgotne ziemie Yorku? Jadł jej polewkę? Tylko jeśli to będzie absolutnie konieczne.

— Kiedy to uczynisz, skontaktuj się z antykwariuszem, panem Lelandem. Może będzie czymś zainteresowany. Stare księgi prawnicze powinienś przywieźć do Londynu. Mogą się przydać bibliotece Gray's Inn. — Uśmiechnąłem się sztucznie. — Mogą być wśród nich stare, zapomniane sprawy, na które mógłbym się powołać w sądzie.

— Może spotkam tam Maleverera. Teraz, kiedy stracił stanowisko w Radzie Północy, mógłbym mu zagrać na nosie.

Roześmiałem się.

— Nie byłoby mu to w smak. Jak wiesz, przez chwilę go podejrzewałem. Miałeś rację, jest zbyt głupi, aby cokolwiek zaplanować. Za jego wybuchami wściekłości kryje się pustka. Przypomina pustą łódź. Tak, zagraj mu na nosie, jeśli go spotkasz.

Barak spojrzał na mnie.

— Jest coś, o czym chciałem ci powiedzieć. Chwila wydaje się sposobna.— Tak?

— Poprosiłem Tamasin o rękę.

— Widzę, że nie zajęło jej to wiele czasu.

— Nie — odrzekł ze śmiechem. — Zgodziła się. Spojrzał w dół, trącając kamień czubkiem buta. — Nie uważaliśmy. Podejrzewam, że niedługo mogę mieć syna. — Zaśmiał się ponownie, tym razem lekko zakłopotany. — Może pewnego dnia ktoś ogłosi go królem. Może rozpocznie kolejną reformację, nawracając Anglię na wiarę moich żydowskich przodków.

— Byłoby to zaiste wielkie dokonanie. — Spojrzałem na niego. — Jesteś pewien, że chcesz się ożenić?

— Tak — odparł zdecydowanie.

— Będziecie do siebie pasowali. Może nauczy cię właściwych manier, kiedy stanie się panią w twoim domu, i w naszej kancelarii zapanuje nieco większy porządek.

— Niech spróbuje.

— Dziękuję ci za wszystko, co uczyniłeś — rzekłem cicho. — W Yorku i później. Byłeś wierny i lojalny, chociaż niesprawiedliwie potraktowałem Tamasin.

— W porządku. — Uśmiechnął się. — W końcu się ustatkuję. Chyba że namówisz mnie na kolejną przygodę.

— Nigdy — powiedziałem. — Nigdy, pókim żyw. Mam jednak coś innego.

— Co takiego?

— Dostałem list od Cranmera. Myślę, że czuje się winny z powodu mojego uwięzienia w Tower i tego, że namówił mnie na ową robotę w Yorku. To skomplikowany człowiek. W przeciwieństwie do Thomasa Cromwella uczucia nie dają mu spokoju. Pojawił się wakat na stanowisku adwokata w sądzie próśb i Cranmer zaproponował moją kandydaturę. Nasza sytuacja ulegnie zmianie. Po upadku królowej Katarzyny książę Norfolk utracił wpływy. Cały jego ród popadł w niełaskę. Reformatorzy w rodzaju Cranmera ponownie uzyskali dostęp do króla. Będę otrzymywał wyższe wynagrodzenie, choć i obecne mi wystarczy, gdy spłaciłem ten przeklęty ojcowski dług. Będę teraz pracował dla zwyczajnych ludzi, dla pospólstwa. Myślę, że to polubię.

Barak się uśmiechnął.

— Nie będziesz się musiał więcej przypocholebiać bogatym klientom.

Roześmiałem się.

— Nie.

— W takim razie i mnie to odpowiada.

Zatarłem dłonie.

— Rozpoczniemy od Leacona i pomożemy jego rodzicom odzyskać ziemię?

— Tak. — Uścisnęliśmy sobie dłonie. Pomyślałem, że nie wszyscy ludzie okazują się zdrajcami. Odwróciliśmy się, zostawiając w spokoju prawdziwych przodków naszego-fałszywego króla.

Nota historyczna

Doniosłe znaczenie polityczne wielkiej podróży Henryka VIII na północ w roku tysiąc pięćset czterdziestym pierwszym umyka uwagi większości historyków, głównie z powodu nieoczekiwanego ujawnienia romansu Katarzyny Howard z Thomasem Culpeperem, do którego doszło zaraz po jej zakończeniu. W książce *Rebelia* podążam za interpretacją Davida Starkeya (*Six Wives: The Queens of Henry VIII*, 2003) (*Królowe. Sześć żon Henryka VIII*, przekł. J. Szczepański, Rebis 2004), że między nim a królową nie doszło do niczego więcej prócz flirtu. Cranmer odegrał kluczową rolę w przesłuchiowaniu królowej, a jej upadek oznaczał cios dla stronnictwa religijnych konserwatystów na dworze Henryka, szczególnie dla księcia Norfolk. Szósta żona króla, Katarzyna Parr, którą poślubił rok później, okazała się wielką zwolenniczką reform.

Zmieniłem nieco fakty historyczne, gdyż Thomas Howard, książę Norfolk, był współorganizatorem królewskiej podróży wraz z księciem Suffolk przebywającym w Yorku. Ponieważ Norfolk odgrywał tak ważną rolę w ostatniej powieści o przygodach Shardlake'a, Alchemik, uznałem, że nadmiernie skomplikowałyby to intrygę, więc usunąłem go na dalszy plan. W przeciwieństwie do Henryka VIII, który rozpatrywał petycje podczas drogi, ja umieściłem sąd arbitrażowy w Yorku.

Królewska podróż rzeczywiście utknęła w miejscu z powodu zimna i obfitych opadów deszczu w lipcu. Zastanawiano się też, czyjej wówczas nie zakończyć. Wymyśliłem jednak burzową pogodę w październiku roku tysiąc pięćset czterdziestego pierwszego.

Północna część Anglii nigdy nie pogodziła się w pełni z panowaniem Tudorów. Z powodu upadku handlu, zmniejszenia dochodów i ruchów separatystycznych napięcie istniejące na początku XVI

wieku narastało aż do zmian religijnych lat trzydziestych, które sprawiły że ludność tego konserwatywnego regionu zbuntowała się przeciwko Henrykowi w październiku tysiąc pięćset trzydziestego szóstego roku. Przez kilka tygodni armia licząca około trzydziestu tysięcy zbrojnych koczowała nad rzeką Don, przygotowując się do marszu na południe, aby zebrać wsparcie i odsunąć od władzy Cromwella, Cranmera i Richa.

Henryk złamał dane słowo i nie spełnił niektórych żądań rebeliantów w zamian za rozejście się, lecz bezlitośnie stłumił powstanie w roku tysiąc pięćset trzydziestym siódmym. Robert Aske i inni przywódcy Pielgrzymki Łaski zostali straceni. Istnieją sprzeczne relacje, czy Robert Aske zawisł na łańcuchach zamku w Yorku, czy skrócono jego żywot w bardziej litościwy sposób. Osobiście uważam, że skonał na łańcuchach, ponieważ tak makabryczne spełnienie obietnicy, że Aske będzie martwy, nim odpadnie mu głowa, chyba lepiej pasuje do charakteru króla.

Rozwiązanie klasztorów w roku tysiąc pięćset trzydziestym szóstym (przejęcie ich majątku przez Koronę i przekazywanie renty dzierżawnej oraz zysków do Londynu), a także próba nałożenia ciężkich podatków w latach 1540—1541 dodatkowo pogłębiły trudności gospodarcze i niezadowolenie z nowej religii. W latach 1537—1541 gniew narastał, chociaż sytuacja wydawała się spokojna. Przywrócenie Rady Północy w Yorku, ustanowionej w celu utrwalenia królewskiej władzy w tym rejonie, niemal na pewno zbiegło się ze stworzeniem siatki informatorów. Sir William Maleverer to postać fikcyjna, choć trudno ją uznać za nietypową. Na początku roku tysiąc pięćset czterdziestego pierwszego wykryto spisek. Należała doń grupka szlachty i dawnego duchowieństwa, których celem było wzniesienie powstania podczas targu w Pontefract, w kwietniu owego roku. Nieliczne dowody wskazują, że spiskowcy zamierzali pójść dalej od swych towarzyszy z roku tysiąc pięćset trzydziestego

szóstego. Francuski ambasador Marillac donosił Filipowi V, że zamierzali ogłosić króla tyranem, co sugeruje, iż chcieli go obalić. Marillac pisał również o rzeczy bardziej zaskakującej i groźnej — spiskowcy chcieli się sprzymierzyć z katolicką Szkocją. Mieszkańcy północnej Anglii uważali Szkotów za barbarzyńców, ludzi prymitywnych i niebezpiecznych (tak jak mieszkańcy południa traktowali swoich rodaków z północy). Gniew spiskowców musiał być zaiste ogromny, skoro w rozpaczy postanowili sprzymierzyć się z odwiecznym wrogiem. Nie istnieją wszakże dowody, że w roku tysiąc pięćset czterdziestym pierwszym spiskowcy byli powiązani z konserwatywnymi prawnikami z londyńskiej korporacji Gray's Inn, jak to miało miejsce w roku tysiąc pięćset trzydziestym szóstym. Użyłem tego wątku na potrzeby intrygi.

Kolejna armia północy maszerująca na Londyn wraz ze Szkotami i być może sprzymierzoną z nimi Francją musiała być nocnym koszmarem henrykowskiego państwa. Obcy ambasadorowie donosili, że w roku tysiąc pięćset czterdziestym pierwszym ludzie władający Anglią byli jeszcze bardziej przerażeni niż pięć lat wcześniej. Po Pielgrzymce Łaski król wpadł na pomysł podróży na północ, jednak wówczas pomysł ten zarzucono. Teraz szybko do niego powrócili. Niepokój Henryka zdradza niezwykle tempo, w jakim zorganizowano to ogromne przedsięwzięcie, ponieważ król ruszył w objazd trzy miesiące po ujawnieniu spisku. Było to wielkie osiągnięcie nie tylko dlatego, że królewski orszak był trzykrotnie liczniejszy niż zwykle, lecz także dlatego, że zapuścił się znacznie dalej na północ od innych monarszych objazdów, poczynając od lat osiemdziesiątych XV wieku. Była to też zbrojna podróż, ponieważ królowi towarzyszyły tysiące żołnierzy i artyleria

przewieziona drogą morską do Hull. W międzyczasie bez procesu zamordowano w Tower hrabinę Salisbury, spadkobierczynię innej (katolickiej) linii mającej pretensję do tronu.

Aby ukazać królewską podróż na północ w żywych barwach, sięgnąłem do książek cytowanych w dalszej części, do własnej wyobraźni i ograniczonego źródła, jakim są raporty francuskiego ambasadora Marillaca oraz inne zapiski zebrane w książce *Letters and Papers of the Reign of Henry VIII* (Listy i zapiski z okresu panowania Henryka VIII). Opis hołdu złożonego przez mieszkańców Yorku w Fulford Cross został oparty na oficjalnych notatkach znajdujących się w miejskich archiwach.

Gdy przeglądałem owe dokumenty, uderzyła mnie liczba wzmianek o tym, że król i jego doradcy byli przerażeni, iż mogą się spotkać z wrogością a nawet przemocą ze strony mieszkańców północy. Organizatorzy pilnowali, aby liczba szlachty i rajców miejskich, którzy oddawali królowi hołd podczas drogi, była ograniczona. Zawsze też byli w pobliżu żołnierze Henryka.

Ten najbardziej polityczny z królewskich objazdów został niezwykle sprawnie zaplanowany. Miejscowa szlachta spotykała się z Henrykiem i królową Katarzyną po drodze, wręczając im dary, ci zaś, którzy uczestniczyli w spisku roku tysiąc pięćset trzydziestego szóstego, odczytywali długie hołdy, błagając o przebaczenie przed odnowieniem ślubów wierności. Przysięgi owe miały ogromne znaczenie w czasach Tudorów. Ci, którzy złożyli śluby, byli pewni, że król wybaczył im to, co uczynili w przeszłości, wiedzieli też, iż za ich złamanie czekałby ich straszny los. Bez wątpienia za kulisami rozdzielano przywileje i stanowiska. Próba skłonienia króla Szkocji Jakuba IV do związania się sojuszem z Anglią zawiodła. Kolejna dekada była okresem brutalnej wojny z północnym sąsiadem.

Zwykli ludzie wchodzący w skład wielkiej armii z roku tysiąc pięćset trzydziestego szóstego, którzy mogli stworzyć podobną armię pięć lat później, odgrywali w tym wszystkim rolę biernego obserwatora. Cała strategia opierała się na założeniu, że Henryk będzie bezpieczny, jeśli zyska sobie przychylność elit z północy. Ten sposób postępowania okazał się skuteczny, gdyż w czasach Tudorów nie było więcej niepokojów w Yorkshire. Jednak w roku tysiąc pięćset czterdziestym pierwszym, zważywszy na nastroje, które panowały wówczas na północy, pospólstwo musiało odnosić się niechętnie do królewskiej podróży i taką atmosferę panującą w Yorku starałem się oddać. W miejskim archiwum zachowały się zapiski świadczące, że obywatele doprowadzili rajców na skraj obłędu, odmawiając wysypania drogi przed domami piaskiem i popiołem, aby ułatwić królowi przejazd ulicami.

Opowieść o Blaybournie, choć może się wydać fantastyczna, została oparta na faktach. Istnieją dowody, że Cecily Neville, matka królów Edwarda IV i Ryszarda III z linii Yorków, twierdziła, iż Edward IV nie był ojcem księcia Yorku. Plotki krążące na francuskim dworze wymieniały jako jego ojca angielskiego łucznicza o nazwisku Blaybourne. Michael K. Jones w swojej książce *Bosworth 1485* przytacza historię, która została opowiedziana w *Britain's Real Monarch* (Prawdziwy władca Brytanii), dokumentalnym serialu wyemitowanym przez Channel 4. Odnaleziono nawet człowieka — sympatycznego australijskiego farmera (i republikanina) hodującego owce — który byłby dziś

prawowitym królem, gdyby okazało się, że Cecily powiedziała prawdę. Uważam, że argumentacja doktora Jonesa ma kilka słabych punktów, między innymi datę poczęcia Edwarda IV. Z drugiej strony jego hipoteza może być prawdziwa. Historia ta była z pewnością znana Thomasowi Cromwellowi, ponieważ w roku tysiąc pięćset trzydziestym piątym spytał go o nią hiszpański ambasador Chapuys być może, aby wyprowadzić go z równowagi.

Prawdą jest natomiast — choć w XXI wieku może się to wdać zdumiewające — że królowa Elżbieta II zachowała tytuł, który nadał sobie Henryk VIII: Głowy Kościoła Anglii, Obrończyni Wiary i (przynajmniej w teorii), Przedstawiciela Boga w królestwie.

Podziękowania

Jestem ogromnie wdzięczny pracownikom bibliotek rad miejskich Yorku, East Yorkshire i hrabstwa Lincolnshire oraz bibliotek uniwersytetów w Sussex i Londynie za pomoc w odnalezieniu materiałów na temat podróży Henryka z roku tysiąc pięćset czterdziestego pierwszego. Amerykański oddział Richard III Society umożliwił mi wykorzystanie Titulus Regulus zamieszczonego na ich stronie internetowej. Najważniejszym punktem podróży badawczej do Yorku było odwiedzenie wspaniale zrekonstruowanego domu ze schyłku XV wieku w Barley Hall, w centrum miasta, oraz wspaniałej, pobudzającej wyobraźnię wystawy poświęconej opactwu Świętej Marii w Yorkshire Museum. Dziękuję Warwickowi Burtonowi z York Walks za bardzo pouczające oprowadzenie po King's Manor i pomoc w późniejszych poszukiwaniach oraz Robertowi Edwardsowi, który obwiózł mnie po całym szlaku królewskiej podróży z Yorku do Hull. Jestem zobowiązany wielebnemu Nigelowi Staffordowi za pokazanie mi uroczego starego kościoła w Howlme-on-Spalding Moor oraz pani Ann Los za informacje dotyczące zamku Leconfield. Andrew Belshaw wystarał się o egzemplarz The Yorkshire Dictionary Arnolda Kelletta, który pomógł mi w sprawach związanych z miejscowym dialektem. Składał też podziękowania Jeanette Howlett, która namówiła mnie do odwiedzenia Sussex Working Horse Trust, gdzie dowiedziałem się wiele na temat koni, którymi poruszano się podczas królewskiej podróży po Anglii. Dziękuję doktorowi Jeremy'emu Bendingowi, który dostarczył mi cennych uwag na temat choroby nowotworowej pana Wrenne'a, oraz Mike'owi Holmesowi, który skorygował moje błędne wyobrażenia na temat podróży morskich w XVI wieku. Nie trzeba chyba dodawać, że wszelkie błędy w interpretacji tego bogatego materiału są moim dziełem.

Dziękuję raz jeszcze Roz Brody, Janowi Kingowi, Mike'owi Holmesowi i Williamowi Shawowi za przeczytanie maszynopisu książki oraz memu niezmordowanemu agentowi literackiemu Antony'emu Toppingowi za pomoc i cenne uwagi dotyczące tytułu. Składał też podziękowania mojemu wydawcy Marii Rejt i Marii Roberts, która dokonała adiustacji tekstu. Dziękuję serdecznie Fran-kie Lawrence za gigantyczne zadanie, jakim było przepisanie rękopisu książki.

Wybrana bibliografia

Jedyną pracą naukową dotyczącą spisku z roku tysiąc pięćset czterdziestego pierwszego, do której udało mi się dotrzeć, jest artykuł Geoffreya Dickensa opublikowany w 1938 roku: A.G. Dickens, Sediton and Conspiracy in Yorkshire („Yorkshire Archeological Journal”, tom xxxiv, 1938—1939). Cytowana wcześniej - książka Michaela K. Jonesa to fascynująca, pobudzająca fantazję analiza

legendy o Blaybournie. Jeśli chodzi o opowieść o Katarzynie Howard, najbardziej cenne są książki Lacey Baldwin Smitha *A Tudor Tragedy (Tragedia Tudorów)* i Davida Starkeya *Six Wives: The Queens of Henry VIII (Królowe. Sześć żon Henryka VIII, przekł. J. Szczepański, Rebis 2004)*, ukazująca owe wydarzenia ze współczesnej perspektywy.

Źródłem wartościowych informacji na temat polityki towarzyszącej podróży Henryka na północ jest artykuł R.W. Hoyle'a i J.B. Ramsdale'a *The Royal Progress of 1541, the North of England, and Anglo-Scottish Relations, 1534—1542* zamieszczony w „Northern History”, XLI:2 (wrzesień 2004), chociaż moim zdaniem autorzy poważnie przejawiają znaczenie spisku podczas królewskiego objazdu północnych połaci kraju. Jeśli chodzi o szczegóły dotyczące dworu Tudorów w okresie podróży na północ, czerpałem z książek Simona Thurleya *The Royal Palaces of Tudor England (Królewskie pałace w Anglii doby Tudorów)* i Davida Loadesa *The Tudor Court (Dwór Tudorów)*. Książka Dairmaid MacCulloch *Thomas Cranmer: A Life (Życie Thomasa Cranmera)* pomogła mi w zrozumieniu osobowości tego niezwykle złożonego człowieka. Jeśli chodzi o spis i przebieg królewskiej podróży, fascynującego, choć boleśnie ograniczonego materiału dostarczyły mi *Letters and Papers, Foreign and Domestic, of the Reign of Henry VIII, (Listy i zapiski, obce i krajowe, z okresu panowania Henryka VIII)* tom XVI.

Bardzo użyteczne były książki R.W. Hoyle'a *The Pilgrimage of Grace and the Politics of 1530s (Pielgrzymka łaski i polityka lat trzydziestych XVI w.)* i Geoffreya Moorcocka *The Pilgrimage of Grace (Pielgrzymka łaski)*. W swojej książce Moorcock przytacza legendę o Mouldwarpie.

Źródłem moich informacji na temat Yorku była książka D.M. Pallisera *Tudor York (York Tudorów)*. Bogato ilustrowana książka Christophera Wilsona i Janet Burton dostarczyła mi wielu cennych wiadomości na temat opactwa. Do dziś nie wiadomo, czy Henryk zatrzymał się w King's Manor podczas pobytu w tym mieście. Myślę, że tak właśnie było, ponieważ ma to sens ze względów logistycznych. Opis prac nad wznoszeniem namiotów i pawilonów przypominających te, które pobudowano na Polach Złotogłowa, jest moim dziełem, pasuje jednak do ograniczonych informacji, które pojawiają się w *Letters and Papers*. Nie było przecież czasu, aby wznieść coś trwalszego, bo budowniczy mieli do dyspozycji niecałe dwa miesiące.

Pieśń powitalna na część Henryka VIII z rozdziału 16. nie występuje w żadnej książce na temat muzyki epoki Tudorów. Sam ją wymyśliłem. Mam nadzieję, że wydała się autentyczna.

Polecamy powieści z Matthew Shardlake 'em

KOMISARZ

Anglia, rok 1537. Król Henryk VIII buntuje się przeciw władzy papieskiej i ogłasza głową Kościoła anglikańskiego. Aby umocnić nową wiarą musi zlikwidować najsilniejsze źródło katolicyzmu - klasztory. W kraju wybuchają zamieszki, mnożą się egzekucje i walki o klasztorną ziemię. Thomas Cromwell, kanclerz, a zarazem wikariusz generalny, deleguje do wszystkich konwentów komisarzy, którzy mają przeprowadzić kontrolę i dać królowi pretekst do rozwiązania zakonów. W klasztorze benedyktynów w Scarnsea wydarzenia wymykają się spod kontroli. Komisarz królewski, Robin Singleton, zostaje brutalnie zamordowany; zabójca ucina mu głowę. Znika bezcenna święta relikwia - dłoń złodzieja ukrzyżowanego razem z Chrystusem.

Cromwell posyła do Scarnsea swojego podwładnego, garbatego prawnika Matthew Shardlake'a, gorliwego zwolennika nowego porządku, który wraz ze swoim asystentem Markiem ma za zadanie wyjaśnić okoliczności zbrodni. Wkrótce po ich przybyciu w klasztorze dochodzi do kolejnych morderstw. Shardlake znajduje zwłoki młodej dziewczyny, byłej służącej. Trop prowadzi do Marka Smeatona, domniemanego kochanka niedawno straconej za cudzołóstwo królowej Anny Boleyn...

ALCHEMIK

Anglia, rok 1540. Potężny kanclerz Thomas Cromwell popada w niełaskę u króla Henryka VIII; jego rządy dobiegają końca. Prawnik Matthew Shardlake podejmuje się obrony Elizabeth Wentworth oskarżonej o zamordowanie nastoletniego kuzyna. Zdesperowany milczeniem dziewczyny, której los jest już przesądzony, Shardlake przystaje na propozycję Cromwella - odroczenie wyroku śmierci na młodej kobiecie w zamian za wykonanie przez niego tajnej misji. Akcja przejmowania majątków kościelnych zainicjowana przez króla przyniosła nieoczekiwany rezultat. W klasztorze Świętego Bartłomieja urzędnik sądowy Gristwood odnalazł podczas inwentaryzacji beczkę z legendarnym ogniem greckim, przed wiekami używanym do walki z niewiernymi, oraz formułę jego wytwarzania. Anglia, skonfliktowana z Rzymem oraz katolicką Francją i Hiszpanią, dramatycznie potrzebuje nowej broni, a Cromwell sposobu, by powrócić do królewskich łask. W imieniu Cromwella Shardlake ma przejąć formułę, ale kiedy udaje się do domu Gristwooda, znajduje zmasakrowane zwłoki gospodarza. Obok leżą zwłoki jego brata - alchemika. Tajemnica wytwarzania greckiego ognia przepada wraz z mordercą. Matthew i jego pomocnik Jack Barak mają niecałe dwa tygodnie, by rozwiązać tę zagadkę i ocalić Elizabeth. Niebezpieczeństwo czai się na każdym kroku...

C.J. Sansom. Współczesny pisarz brytyjski. Ukończył University of Birmingham, gdzie obronił pracę doktorską z historii. Do 2003 wykonywał zawód adwokata, potem poświęcił się karierze literackiej. Napisał 7 powieści przetłoczonych na 20 języków - Zima w Madrycie i Dominion oraz 5 kryminałów historycznych, których akcja toczy się w okresie rządów dynastii Tudorów: Komisarz, Alchemik, Rebelia, Księga Objawienia i Heartstone. Zdobyły one popularność w wielu krajach. Pisarz był trzykrotnie nominowany do prestiżowej nagrody Ellis Peters Historical Dagger przyznawanej przez Stowarzyszenie Autorów Powieści Kryminalnych CWA i otrzymał ją za Alchemika.